

Siegfried Lenz

Muzeum ziemi ojczystej

Przełożyły Eliza Borg i Maria Przybyłowska

Czytelnik 1991

I

Nie, to nie był wypadek. To ja podłożyłem ogień pewnego wieczoru osiemnastego sierpnia, nie pozostało mi nic innego, jak tylko zniszczyć jedyne muzeum ziemi mazurskiej tam na zachodzie, w Egenlund koło Szlezwiku. To nie był przypadek, mój drogi. Tak jak niegdyś budowa i urządzenie muzeum było moim własnym pomysłem, tak i teraz wyłącznie ja zdecydowałem o jego całkowitym zniszczeniu, razem ze wszystkimi świadectwami, dowodami i dokumentami, które się w nim znajdowały, a które wraz z przyjaciółmi zgromadziłem tu po wojnie.

Proszę spokojnie zapalić, popielniczka jest w szafce nocnej... Co pan mówi? Trudno pana zrozumieć przez te wszystkie bandaże... Tak, to surowa siostra, sądząc po głosie, ale jeśli pan od razu, jak tylko wejdzie, odwróci jej uwagę, zaskoczy ją jakąś prośbą... Niech pan poprosi o coś dla mnie; natychmiast pójdzie po świeży sok, a tymczasem pan wywietrzy... Tylko niech pan uważa, żeby szybko zamknąć szufladę...

W każdym razie musi pan wiedzieć, że podłożyłem ogień, używając do tego odpadków z tkalni, maczając je w benzynie i zapalając zarówno w izbie z kobiercami, jak i w tym pomieszczeniu muzeum, gdzie były przede wszystkim stare mazurskie zabawki: szmaciane lalki, instrumenty drewniane, rzeźbione i malowane ptaszki, które łatwo zajęły się od ognia. W mój plan wtajemniczony był tylko Simon Gayko, cieśla i kołodziej, tak jak ja pochodzący z Łukowca nad jeziorem o tej samej nazwie, Simon Gayko, który zbudował muzeum według moich wskazówek, jako prawdziwy dom mazurski, z wysuniętą drewnianą werandą... Nie, nie

byliśmy sami; przy pożarze, przynajmniej dopóki paliło się samo muzeum, obecna była moja żona Carola, mój dawny ulubiony uczeń, mistrz tkacki Marian Jeromin oraz moja córka Henrike i, jak już mówiłem, Simon Gayko – ten ostatni ukląkł, gdy z okien buchnęły płomienie gnane własnym podmuchem. Nikt nie próbował gasić; moja żona opierała się o drzwi naszego domu osłaniając twarz ręką, Marian stał bez ruchu pod czerwonymi bukami, córka Henrike, zresztą jedyna, która protestowała i rzuciła się na mnie z pięściami, wzywając do tłumienia ognia, płacząc przycupnęła w połowie dróżki, prowadzącej w dół ku wodzie...

Później, mój drogi, później obierze mi pan jabłko, dziękuję...

Ogień podłożyłem wieczorem, tak jak mówiłem, gdy już siedem naszych uczennic, przyjeżdżających na naukę tkactwa, pojechało do domu; wiał umiarkowany, północno-zachodni wiatr, niosąc iskry i dym prosto ku wodzie. Nie powstało też żadne niebezpieczeństwo, gdy ogień dosięgnął pokoju z dokumentami i uniósł w wirze iskier pisma i akta wraz z przywilejem wielkiego księcia elektora, nadającym miastu Łukowiec prawo do czwartego jarmarku w roku; resztę pism i dokumentów porwał ten dobrze obliczony prąd, żeglowały w powietrzu na kształt płatków i osiadały na wodzie albo krzaczastym głogu, który wspiął się na stromy brzeg. Dziwne: w tym czasie, gdy płonęło muzeum, dwa kutry rybackie przepłynęły obok Egenlund; ich załogi najwidoczniej nie chciały przyjąć pożaru do wiadomości, kutry prześliznęły się przez pióropusz dymu i obłok czarnych płatków w kierunku ujścia zatoki.

Najdłużej opierał się ogniowi pokój z ozdobami, gdzie przechowywane były również srebrne wyroby znalezione w Drygałach, spiralne naramienniki, klamry do podków i naszyjnik z poprzecznie i podłużnie żłobionych drewnianych paciorków – musi pan wiedzieć, że było to znalezisko z grobu Jadźwingów; w miedzianej urnie zachowały się jeszcze resztki prochów. Prawdopodobnie ogień tak długo oszczędzał nasz pokój z ozdobami, gdyż Simon Gayko – kiedyś mnie pewnie odwiedzi i wtedy pozna pan go może bliżej – Simon Gayko, krzepki i krępy, typowy Bośniak i jak Bośniak cierpliwy przy każdej robocie – ale co to ja chciałem powiedzieć... aha: Simon Gayko w swoim czasie na moją prośbę wstawił

w pokoju z ozdobami drzwi obite żelazną blachą, które poza godzinami otwarcia muzeum musiały być zamknięte, dlatego ogień najdłużej to pomieszczenie oszczędzał...

Tak, słusznie pan przypuszcza: nawet jeśli nikt nie ważył się w mojej obecności gasić pożaru, to przecież nie brakowało prób ratowania w ostatniej sekundzie niektórych eksponatów, zagrożonych przez ogień; córka prosiła mnie, bym pozwolił wynieść w bezpieczne miejsce chociaż spis słownictwa mazurskiego, zbiór, do którego powstania się przyczyniła, pilnie kaligrafując. Odmówiłem...

Henrike panu o tym opowiadała? No dobrze... Nic dałem ratować starej, ozdobnej beczułki do masła, która tyle znaczyła dla żony, zabroniłem też Marianowi wyciągnąć z ognia mój błękitno-biały ślubny kobierzec... Błękitno-biały ślubny kobierzec... Przed blisko czterdziestu laty sporządziłem go w Łukowcu jako swoją pracę mistrzowską; kobierzec, który wielokrotnie znikał i znów się pojawiał. Ten kobierzec był jedynym dziełem noszącym moje inicjały, Z.R., Zygmunt Rogalla; w przypadku wszystkich innych upierałem się przy anonimowości...

Pan nie rozumie? Niech pan poczeka, mój drogi, i niech pan słucha, aż dowie się pan dostatecznie dużo... Chciałem powiedzieć, że gdy dach muzeum rozprostował się pod wpływem gorąca, gdy się załamał i runął w dół, wówczas w pokoju z bronią eksplodowała amunicja rosyjskiej piechoty, pochodząca jeszcze z wielkiej zimowej bitwy o Mazury, która udowodniła w ten sposób swą wysoką jakość; w tym samym pomieszczeniu wypalała się polska, tatarska i litewska broń, również owe dwa zakrzywione miecze, za pomocą których moi przodkowie uśmiercili misjonarza Brunona z Querfurtu i jego siedemnastu towarzyszy, przybyłych do Łukowca, by tu propagować łagodniejsze obyczaje.

Tak to się nazywało: łagodniejsze obyczaje...

Nic myślę się: wszystko spłonęłoby, stopiło się i spopielalo do szczytu, gdyby wiatr nie zmienił kierunku, gdyby nic powiał umiarkowany wiatr północno-zachodni, aby ustąpić z kolei orzeźwiający podmuchom z południowego wschodu; wiatr wiał nam w oczy gryzącym kopciem,

rozdzierając jednocześnie niską chmurę dymu nad wodą, przede wszystkim jednak podsycił nieco już przygasły płomień, w ciemnych szparach wznicił iskry i żar. Lot iskier przybrał kierunek, jakiego nie oczekiwaliśmy. Płomienie porywały w górę wszystkie lekkie rozżarzone kawałki, które wprawdzie od razu czerniały w powietrzu, ale rozpalały się znowu, rzucane przez wiatr na słomiany dach domu mieszkalnego... rozżarzyły się do tego stopnia, że nagle płomień ukazał się nad tkalnią i popełznął w górę po dachu. Ogień wzniosł się aż do drewnianej kratownicy, sięgnął otwartych okien pokojów na mansardzie, sypnął deszczem słomianych pochodni, które porwał zaraz podmuch z południowego wschodu i poniósł wokół domu, to przyciskając je do węgarów, to znów porzucając pod drzwiami...

Myli się pan. Gdy pożar przerzucił się na dom mieszkalny, ja pierwszy podjąłem środki zaradcze, by nie dopuścić do rozprzestrzeniania się ognia. Utworzyliśmy łańcuch, podając sobie wiadra z rąk do rąk. Podzieliliśmy się, stając w sieni, na schodach, na piętrze nad tkalnią, wiadra wędrowały od kranu, gdzie stała moja żona, aż do Simona Gayko, który podawał je do mnie na górę przez właz w dachu; początkowo wyglądało na to, że woda, którą rozlewałem płasko po dachu, zdoła zatrzymać ogień, ale to dym, właśnie dym zmusił nas do opuszczenia włazu. Dym udaremnił również próbę wyłamania części płonącego dachu, przy pomocy siekiery i łomu usiłowaliśmy wyrąbać i zrzucić w dół krokiew znad tkalni, ale żelazne kątowniki tkwiły zbyt mocno w starych belkach, więc gdy już nie pomagały nawet mokre chusteczki do nosa, którymi zatykaliśmy usta, musieliśmy się wycofać. Przez jedno z okien widziałem nasz własny ślad z iskier i dymu, cały ten tren ognia, który tak przeraził zwierzęta na pastwiskach, że ruszyły galopem w stronę majątku w Holmbek...

Co pan mówi? Ależ oczywiście, że tak, Marian Jeromin wezwał straż pożarną...

Ponieważ nie pozostało nam nic innego do zrobienia, próbowaliśmy w pojedynkę lub pospołu ratować wartościowe przedmioty i wynosić na dwór wszystko, co się dało, przede wszystkim pościel, meble i odzież, a

nawet rozpoczęte prace naszych uczennic. Pracowaliśmy, dopóki pozwalały na to żar i dym. Tylko córka odmówiła w tym udziału; skulona trwała samotnie przy dopalających się resztkach drewnianego domu, w którym mieściło się przedtem nasze muzeum, i nikomu z nas nie udało się odciągnąć jej stamtąd ani przekonać o tym, że mogło dojść do większego nieszczęścia... Chciałem powiedzieć: innego rodzaju, rozumie pan...

Moją córkę zastąpił jakiś nieznajomy, który ukazał się nagle pod bukami i o nic nie pytając, rzucił się do wnętrza domu, bez wyboru wynosząc w bezpieczne miejsce, co tylko znalazł pod ręką i o co się potknął. On też, ów obcy, pomagał mnie i Simonowi Gayko uwalniać krosna z zamocowania, podczas gdy wokół nas waliły się już płonące belki, rozsypując się przy zderzeniu z ziemią na wszystkie strony i wypalając w kilku miejscach naraz dziury w podłodze sieni. Ale mimo jego pomocy nie zdołaliśmy wyrwać żadnego z krosien, gdyż przepędził nas żar bijący z izby z wełną. Choć był on krótkotrwały, jednak sprawił, że pękła płyta w drzwiach, pękały szyby, łuszczył się, a nawet spalał lakier na ramach okiennych. Musieliśmy wyjść na dwór...

To był pan? Pan był tym nieznajomym, który nam pomagał? Pan chciał zabrać Henrike? Nie wiedziałem... Nie poznałem pana... Ale co to ja chciałem powiedzieć?

Tak, na dwór; zaczerpnęliśmy powietrza pod czerwonymi bukami, wśród rzeczy, które wyratowaliśmy z ognia – wyglądało to jak po panicznej ucieczce – gdy wtem Marian Jeromin, ze spalonymi włosami i brwiami, dokonujący spieszego przeglądu uratowanego dobytku, stwierdził nagle, że brakuje księgi, a gdy to mówił, moczyłem już chusteczkę, wycisnąłem ją nad głową i nie zważając na jego ostrzeżenia i rady, z chustką na twarzy rzuciłem się biegiem ku drzwiom domu, skąd buchał żółtawo-błękitny dym jak na kartoflisku. Przytrzymali mnie. Nie dobiegłem nawet do wyslizganych kamiennych stopni, gdy Simon Gayko i Marian Jeromin wykręcili mi ręce i wśród perswazji próbowali odciągnąć do tyłu, na co ja się pozornie godziłem, póki nie rozluźnili uchwytu, myśląc zapewne, że odwiedli mnie od mego zamiaru. Ach, nie utrzymaliby mnie nawet we czterech; wystarczył niewielki zwrot, potem pchnięcie i już byłem wolny,

biegłem przez dym ku domowi i w górę po schodach do szafy w ścianie, w której przechowywałem księgę.

Tak, tak wiele dla mnie znaczyła – istniały też powody, dla których nie należała do inwentarza muzeum.

Sonja Turk własnoręcznie pisała ją przez ponad trzydzieści lat swoim przekornym gotyckim pismem, a ja stronicę tej księgi własnoręcznie przycinałem i oprawiałem w czerwoną kozłą skórę, zanim mi ją przekazała; mnie, jedynemu uczniowi, którego gotowa była przyjąć do terminu...

Kim była? Największą i najbardziej oryginalną tkaczką kobierców na Mazurach.

Przycisnąłem ciężką księgę do piersi; na poplamionych stronicach zgromadzone było wszystko, dzięki czemu sztuka tkacka doszła u nas niegdyś do potrójnego rozkwitu: łączenie symboli z ich wypróbowanym czarodziejskim działaniem, tajemnice produkcji farb roślinnych z jałowca, barwierskiego rumianku i marzanny i oczywiście wzory i techniki podwójnego splotu i wiązania. Choć schody ugięły się pode mną, udało mi się jeszcze zejść do sieni – z księgą w objęciach, tym upartym, rojącym się od błędów testamentem Sonji Turk, którego stopniowo nauczyłem się na pamięć. I wtedy u podnóża schodów ugodził mnie kawałek płonącej poręczy, uderzył prawie w to samo miejsce, w które trafiła mnie kula w czasie nieudanej egzekucji, niemal z tą samą siłą.

Upadłem, zdawało mi się, że padając trzymałem księgę mocno obiema rękami, do dziś myślę, mój drogi, że pogrzebałem ją pod sobą, ale żaden z mężczyzn, którzy mnie wynosili, nie zdołał jej odnaleźć w sieni, nawet Marian Jeromin, który jeszcze raz wdarł się do płonącego domu, kiedy przeniósł mnie już w bezpieczne miejsce – tak jak się tego po nim i ja, i on mogliśmy spodziewać – i szukał długo, aż dym go wreszcie zmusił do rezygnacji...

Ja też się tego obawiam, drogi Martinie, ja też sądzę, że księga spłonęła, aczkolwiek nie przepadła w tak ostatecznym sensie jak zniszczone

świadczenia z muzeum, ponieważ znalazła miejsce w mojej pamięci i ponieważ mam zamiar odtworzyć ją w języku Sonji Turk...

Co pan mówi? Że zbyt wiele uległo zniszczeniu? Rzeczy nie do odtworzenia? Przykro panu na myśl o stratach? Kto chce uporządkować swoje sprawy, drogi Martinie, ten musi liczyć się z bólem, a mnie nie pozostało nic innego, jak tylko zaprowadzić ład w swoich sprawach, po wszystkim, co zaszło, tak, po wszystkim...

W każdym razie zanieśli mnie w bezpieczne miejsce, pomiędzy uratowane rzeczy pod czerwonymi bukami, i tak mnie ułożyli, żebym nie patrzył na ogień, tylko na wodę; ale gdy budziłem się z krótkich omdleń, widziałem odbłask ognia w koronach drzew i na wielu obcych twarzach; twarze te zdradzały mi obraz sytuacji. Jedna z twarzy zdradziła mi także, co mi się samemu przydarzyło: twarz mojej żony, która mnie znalazła i pochylając się ku mnie cofnęła się raptownie z przerażeniem i zgrozą. Widziałem, jak rodziło się to przerażenie, to jej pełne męki niedowierzanie, poznałem, ile ją kosztowało znoszenie mojego widoku, zanim gwałtownie zakryła twarz dłońmi i po prostu bez słowa rzuciła się do ucieczki...

Miejmy nadzieję, mój drogi, miejmy nadzieję, że nowa skóra dobrze się przyjmie, wysepki skóry, które mi przeszczepiono... Jestem przygotowany na wszystko, skóra także ma swą pamięć; w każdym razie dziękuję panu, że pan przyszedł, przynajmniej pan, bo przewidziałem, że Henrike nie przyjdzie...

Ona nic nie wie? Powiedział pan, że Henrike nie wie, że pan tu jest? Tym bardziej powinienem panu dziękować. Mam tylko nadzieję, że nie podjęła żadnej pochopnej decyzji, jest do tego zdolna...

Mieszka u pana? To mnie uspokaja, wiem, jak wielki wpływ ma pan na nią... dużo mi o panu opowiadała... Tak, pański wpływ sięgał tak daleko, że pewnego dnia odkryła oceanografię jako ewentualny przedmiot studiów...

Pan mnie nie rozumie? Nie może pan pojąć, dlaczego to zrobiłem? To tylko dlatego, że nie zna pan wcześniejszych wydarzeń. W momencie,

który uważamy za jakiś początek, dawno już się coś zaczęło, jest wytyczony kierunek, są stworzone odpowiednie powiązania i przesłanki; a my wkraczamy tylko, by czegoś dokonać, coś spełnić albo też w coś wrosnąć, co dawno wyznaczył nam zmyślny przypadek...

Ależ oczywiście, naturalnie, że jestem gotów – tak, jestem gotów opowiedzieć panu wszystko wraz z wszelkimi okolicznościami, nawet jeśli zbudzi się przy tym dawny ból, wróćą dawne uczucia – ale od czego mam zacząć? Że tutaj leżę; śmiało mógłbym sięgnąć pamięcią aż do panów w białych płaszczach z krzyżem, do wielkich mistrzów krzyżackich, którzy narzucili poddaństwo moim ziomkom, by zapoznać ich ze swoją sztuką rządzenia, z krzyżem czy też ze swoim wzorowym systemem finansowym, opartym, jak wiadomo, na czterech źródłach dochodów. Mógłbym zacząć również od Hieronima Rogalli, mego uwiecznionego w dokumentach przodka, który zyskał znaczenie jako pszczelarz i gorzelnik; odsypiając koło barci potężnego rausza, z jakiego kto inny by się już nie podniósł, przeżył drugi napad Tatarów na Łukowiec, podczas którego zginęli wszyscy mieszkańcy płci męskiej.

Nasuwa się tu na pamięć także ów mąż w płaszczu arcykapłana o nazwisku Johann von Rogalla; po wielkiej zarazie pojawiał się tu i ówdzie na Mazurach, odbierając hołdy od przerażonych mieszkańców, którzy przeżyli; zgubiła go namiętna skłonność do zakładów...

Nie, nie, rozumiem pańskie zainteresowanie i właśnie panu, mój drogi, przyznaję szczególne prawo do wiedzy... Tylko, jak już powiedziałem, nie zdołam chyba rozpoznać właściwego początku, który doprowadził do tego końca, ponieważ byłyby on znowu następstwem czegoś, tak, następstwem... Zbyt wiele momentów wytycza drogę prowadzącą w dół, ludzie, sytuacje i nastroje albo po prostu tylko utracona kraina mazurska, zbyt wiele się nasuwa spraw i trzeba je obciążyć odpowiedzialnością... Od czego powinienem zacząć, kogo najpierw wziąć pod lupę?

Może mojego dziadka, dzierżawcę Alfonsa Rogallę, który zawsze mawiał o sobie, że umrze tylko za swoją zgodą, człowieka żadnego władzy, gwałtownika, dla którego żadna praca nie posuwała się dostatecznie

prędko i który codziennie przestrzegał swoich ludzi, by używali jak najmniej słów, gdyż uważał, że podczas mówienia marnuje się zbyt wiele cennego czasu. Choć był tylko dzierżawcą, przywykł traktować wszystko jak swoją własność, konie, dziewczęta i gołębie, i może właśnie ta jego bezmierna żądza posiadania sprawiła, że wszyscyśmy się go bali i nikt nie pragnął pozyskać jego zaufania. Alfons Rogalla ze zmiądzoną nogą...

Lecz oto już z góry zamkowej kiwa na mnie ręką mój wuj, Adam Rogalla, niezależny etnograf, nawiedzony kret, ryjący w naszej mazurskiej przeszłości. Zaprasza mnie do grzebania w żyznym bagnie moją małą niebiesko-żółtą łopatką; uczy mnie jeśli nie zachwyty, to bojaźni wobec wymownych świadków naszej przeszłości, a w jego domu, który przez te lata opętańczego gromadzenia zamienił się w muzeum regionalne, dowiaduję się jeszcze raz, że wiedza o świecie zaczyna się od wiedzy o kraju – albo się na niej kończy. Ponieważ umarł bezpotomnie, pewnego dnia mnie przypadł dom i muzeum. Wiele mu zawdzięczam, jemu, który zaszczerpił mi ów brzemienny w skutki zapał, a w każdym razie zaszczerpił tak wiele, że mógłbym od niego zacząć...

Ale z całą pewnością nie pominę jednego człowieka, bez wątpienia nadającego się na początek historii: jest nim mój ojciec, Jan Rogalla, najsłynniejszy producent i sprzedawca cudownych środków, który stale jeździł po Mazurach w najelegantszej dwukonce swoich czasów, na której wolno mi było siadywać obok niego w wypłowiełym marynarskim ubranku, z własnoręcznie zrobioną klatką na żmiję. Naszym koniom chwiały się za uszami sztuczne kwiaty; gdzie tylko się pojawialiśmy, oblegano natychmiast nasz wóz, gdyż każdy chciał zapewnić sobie dobre miejsce do obserwacji wielce podziwianego głównego punktu programu, a mianowicie momentu, gdy mój ojciec wsuwał do klatki rękę usianą sinoczerwonymi śladami od ukąszeń i tak wytrwale drażnił żmiję, że ta błyskawicznym ruchem wbijała mu ząb w ramię...

Albo Sonja Turk. Bez Sonji Turk na przykład wcale by mnie tu nie było, gdyż to ona właśnie, nasza najznakomitsza tkaczka – jej prace wystawiane były w Kownie i Królewcu – weszła pewnego dnia do rzeki Łukowiec i podała długą gałąź chłopcu kręcącemu się w wirach ciemnego brodu,

gdzie pojono konie, po czym bardziej pod wodą niż nad wodą doholowała go do brzegu. Przyszedłem do siebie na jej łące do suszenia wełny, wśród tych wszystkich jaskrawych pokładów przędzy w kolorach indygo, białym i czerwonym...

Wszelako im więcej osób wymieniam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jest ktoś, kto w szczególny sposób wpłynął na moją decyzję: Conny Karrasch, wielki Konrad Karrasch. Gdy tylko o nim pomyślę, czuję ukłucie w ramię, stoimy na dawnej górze zamkowej, w dość uroczystej pozie, nad urwiskiem porośłym lasem, dawno temu, pierwszego dnia pierwszej wojny światowej. Czuję znów ukłucie końcem noża, widzę, jak krew wypływa wolno, niemal z trudem, tylko kilka kropli, w których Conny tak długo zanurza ostrze, aż nabiera trochę na nóż, a potem wyciąga do mnie rękę, nie tak poważnie jak ja, raczej z ciekawością, a ja biorę nóż i przykładam go do blizny po szczepieniu. Lekki nacisk, krótkie ukośne cięcie i zanurzam czubek noża w gęstej cieczy, która, z przerwami, jakby szukając drogi, spływa w dół po jego ramieniu; potem krzyżujemy dłonie i patrzymy na siebie, stoimy na głucho dźwięczącym miejscu na górze zamkowej i tylko patrzymy na siebie, tam pod siedmioma sosnami, pod którymi, w rywalizacji z sobą, założymy wkrótce nasze prywatne cmentarze – tajemne miejsca grzebalne...

Nie bacząc na to, co zaszło, nigdy nie zerwaliśmy tamtego paktu, żaden z nas nie zniósł, nie unieważnił owego bratniego przymierza z dawnej góry zamkowej...

Tak, rozpatrując to wszystko wydaje mi się, że to chyba on, Conny Karrasch, był tym, co owym przymierzem nie do udźwignięcia zmusił mnie do takiej decyzji, pozostawił tylko tę drogę.

Ktoś idzie? Trzeba zgasić papierosa i zamknąć szufladę... Czy mogę spytać, ile pan ma lat? Dałbym panu jakieś dwadzieścia dwa. Już dwadzieścia cztery? Nie słyszałem żadnych kroków, chyba się panu zdawało...

Głośniej, proszę mówić trochę głośniej... Ma pan rację, raz trzeba się określić, a ponieważ już tak jest i nie może być inaczej, trzeba będzie

zacząć od ścielącego się obłoku pary, od barwnych dymów przedostających się z tak zwanego laboratorium ojca przez szpary i dziurki od kluczy do pokoiów mieszkalnych, gdzie w zależności od danej substancji czy związku przeżywalimy fioletowe, brunatne albo jaskrawożółte godziny. Kłębiło się u nas i snuło to wszystko, co wydziela się z siarki przy ogrzewaniu, na co rozkłada się chlorek rtęci, co wydestylowuje się z rozmarynu, do tego opary ze wszystkich ziół suszonych i ogrzewanych przez ojca w brytfannie albo rozgotowywanych na papkę. Długo siedzieliśmy cicho i znosiliśmy to wszystko, i podczas gdy owe opary zasnuwały pokoje, sprawiając, że nie widzieliśmy się wzajem, nasłuchiwalimy trwożnie odgłosów z laboratorium: szurania brytfanny, dźwięku probówek, gulgotania filtrów i wysokiego wibrowania wybijanych sit. A ponieważ również żyliśmy z tego, co ojciec warzył i destylował w swoim laboratorium, więc siedzieliśmy i znosili różnorakie mdłości, zaburzenia mowy, ochotę do kaszlu i wymiotów, a nawet barwne omamy, z których powodu ojciec najwidoczniej nie cierpiał wcale, a jeżeli cierpiał, to chyba niewiele... Niech pan nie myśli, że warzył on tam i gotował, co mu się żywnie podobało, bez celu; przy pomocy swych tajemniczych leksykonów, oprawnych w skórę, poszukiwał panaceum, środka leczącego wszystkie choroby, a kierował nim przy tym szczególnie Basilius Valentinus, moim zdaniem zdecydowany fantasta, który już w swoich czasach używał amoniaku, piorunianu złota i octanu ołowiowego, przyswajając je medycynie.

Tak, na początku były opary, łagodne i cuchnące, które snuły się po małym otynkowanym domku nad jeziorem Łukowiec, aktywne opary, które malowały na ścianach ropiejące saletrzane wykwity, przeżerały belki i powodowały, że nasza skóra stawała się żółtawa i szorstka. Oba koty dawno od nas uciekły, ptaki i motyle unikały bliskości domu, niektórzy goście popadali w lekkie omdlenie i trzeba było wynosić ich na dwór, na krzywy drewniany pomost nad wodą – działało się tak przeważnie przy jedzeniu. Skoro tylko ktoś zaczynał bełkotać przy stole albo nagle milknął i z wytrzeszczonymi oczami uskarżał się na dziwny brak apetytu, wiedzieliśmy już, co mu grozi, a ja wychodziłem po cichutku i na wszelki wypadek czyściłem pomost. Moja matka, którą zawsze można było

poznać po zapachu strąconej siarki i salmiaku, zdawała się godzić z tym wszystkim, nie skarżyła się, nie oburzała, wielobarwne opary przyjmowała jako nieuniknione zjawisko, występujące po prostu przy produkcji cudownych olejków, proszków i esencji, i tak tylko widzę ją we wspomnieniach: niedbale rozgarniającą dłonią barwne mgiełki, z powiewającymi wstążkami od fartucha, w zwolnionym tempie wynurzającą się lub niknącą w oparach, bezdźwięcznie i jakby ostatecznie.

Nigdy nie okazywała wobec nas wzburzenia, myślałem nawet, że w ogóle nie potrafi się denerwować, choćby się nie wiem co działo, gdy nagle, choć od najwcześniejszych lat przyzwyczajony byłem do wyziewów, zacząłem cierpieć na brak apetytu i zawroty głowy; poza tym nabrałem zastanawiającego koloru żółtka i w ciągu niecałego tygodnia opadłem tak z sił, że nie byłem w stanie dociągnąć na sznurku swojego stołeczka do brzegu jeziora, gdzie go regularnie kąpałem. Zaniepokojona matka postawiła moje łóżko przy otwartym oknie. Poiła mnie mlekiem z miodem. Po kryjomu kupowała mi rodzyнки; wszystko to jednak nie zapobiegło temu, że pewnego dnia spadłem zemdłony ze stołeczka, gdy usiłowałem schwytać w papierowe torebki szczególnie gęste opary.

Gdy matka mnie znalazła, wydała podobno pierwszy i ostatni okrzyk w swoim życiu. Wzięła mnie w ramiona i przychodzącego już do siebie zniosła po schodach. Nogą pchnęła drzwi do laboratorium, po prostu pchnęła, choć było to zabronione, i w świętym oburzeniu niosła mnie w stronę czarnego, porysowanego i powypalanego miejscami stołu, by złożyć mnie tam ze słowami: „Masz, widzisz, coś zrobił Zygmuntowi, naszej kruszynie” – oskarżycielski, wskazujący gest miał zwrócić uwagę na pierwszą ofiarę fantastycznych doświadczeń ojca.

Ojciec spojrział na nas zdumiony znad probówki, z rosnącym osłupieniem jął mrużyć oczy, nie dlatego, że właśnie przyniesiono mu ofiarę jego woniejącej nauki, lecz dlatego, że rodzina przekroczyła zakaz i wtargnęła do laboratorium. Nic gorszego nie mogło się przydarzyć, więc słuchał tylko zdrętwiały, co matka naprędce postanowiła, aby uchronić mnie przed wyziewami. Dwa razy w tygodniu – a więc wtedy, gdy on przy

pomocy ogrzewania lub gryzących kwasów wydzierał różnym substancjom ich tajemnice – miałem towarzyszyć wujkowi Adamowi na bagna pod górą zamkową, gdzie wieją tylko świeże wiatry i „nikt nie cuduje z siarką”. Pod siedmioma sosnami miałem stracić żółtawozielony kolor, wśród ziół na łące pozbyć się ustawicznej czkawki, tam gdzie wuj Adam wytrwale kopał drewnianym szpadlem, pod osłoną nagrzanym torfowych tarasów miałem uwolnić się od zawrotów głowy. Mój ojciec Jan Rogalla zmierzył mnie tylko udręczonym i pełnym zdumienia wzrokiem, niczym nieudany związek chemiczny, teoretycznie możliwy, a jednak nieudany...

Na opał, mówi pan? Czy torf kopano na opał? Z pewnością, ale nie wuj Adam, który w żmudnej pracy na bagnach u stóp góry zamkowej nie używał przecie żelaznego szpadla, lecz delikatnie kopał w ziemi drewnianą łopatką, używając przy tym szpachli i skrobaka, a nawet szczotek. Co on tam robił? Ten najpilniejszy kret w naszej historii wygrzebywał przeszłość. Poza tym wuj Adam nie był bratem mego ojca, lecz dziadka.

Spotykaliśmy się przy dzikiej gruszy, której owoce były twarde i gorzkie: jej korony trochę się czasami bałem, gdy byłem sam – nie mogłem jej przejrzeć, tak wiele tam było wilków i pokrzywionych gałęzi. Ja też byłem odpowiednio wyposażony na wyprawę na bagna, miałem ciemny wełniany płaszcz jak wuj Adam, plecak i jak on swój szpadel, tak ja niosłem na ramieniu moją małą, niebieską łopatkę z żółtą rączką. Jego powitanie było gwałtowne, pełne przejęcia i nieco bolesne: porywał mnie z ziemi razem z łopatką, zbliżał do swojej dużej, sowej twarzy, udawało mu się dokonywać tego jednym, dobrze obliczonym ruchem, aż kapelusz z szerokim rondem zjeżdżał mu na kark, a potem całował, gdzie popadło, przyciskając porywczo do siebie. Gdy tylko postawił mnie na ziemi, chwycił za rękę i w milczeniu ciągnął za sobą w dół piaszczystą ścieżyną, prowadzącą do Borku, niecierpliwymi krokami przemierzając brzegiem mieszanego lasu drogę na wzgórze, na górę zamkową. Tam się zatrzymywał. Najpierw nasłuchiwał, rozglądając się wokół. Ale nie był to niedawno emerytowany nauczyciel rysunku Adam Rogalla, który spokojnie przygląda się krajobrazowi w poszukiwaniu wzorów; to

nasłuchiwał i patrzył niezależny etnograf, a ponieważ nie puszczał mojej ręki, lecz ścisnął ją kurczowo, udzielało mi się jego podniecenie. Przesmyk między Jeziorem Tatarskim a jeziorem Łukowiec zaludniał się niemal samoistnie, w powietrzu rodził się tumult głosów i tętent galopujących kopyt końskich, a we wnętrzu góry zamkowej rozlegał się rumor i hałas, jakby atakowano ciężkie drewniane bramy.

Ten, kto stał na górze zamkowej, nie mógł inaczej postąpić, jak tylko przygotować ją do obrony; ledwie zdążono podciągnąć w górę wały i drewniane zapory i zabarykadować drzwi, gdy na przesmyku ukazywali się już ci w białych płaszczach, dekoracyjnie wyglądający wśród czarnych nieruchomych jezior i matowych srebrzystych topoli; właśnie płaszcze zdążyły się pokryć czerwonymi plamami, gdy wśród pierwszych krzewów jałowca zaczął się ruch, zaroilo się tam od przemkających litewskich łuczników, którzy chcieli urzeczywistnić swoje młodzieńcze marzenia. Jako napastników można było sobie wyobrazić wielu: Tatarów na kudłatych wierzchowcach, nieszczęśliwych Szwedów, zajadłych jeźdźców polskiej kawalerii i wreszcie nieśmiałych strzelców Samsonowa.

Nie wątpię, że również Adam Rogalla mimo woli przygotowywał górę zamkową do obrony, gdy tak stał i nasłuchiwał, a przynajmniej przypominał sobie, jak często i przeciw komu jej broniono w owych czasach, na których temat poszukiwał dowodów w ziemi.

W każdym razie z góry zamkowej można już było rozpoznać owe brunatne tarasy, które przekopał i oczyścił, całą sieć korytarzy, szybów i porządných platform, zaczynającą się na bagnach i biegnącą w kierunku rzadko zalesionego stromego zbocza góry; wyglądało to tak, jakby górę zarezerwował na później, żeby niezliczonymi znaleziskami, które z pewnością zawierała, wynagrodzić sobie skąpe, choć pouczające trofea zdobyte na bagnach.

Na widok tarasów, gładko wygrabionych płaszczyzn i podziurawionych ścian moja łopatką stawała się niespokojna, drgała i wychylała się jak różdżka, ledwo mogłem doczekać się, kiedy zejść w dół po zboczu i zabiorę się do roboty obok wuja, z wujem w zawody.

Zdejmowaliśmy plecaki i układaliśmy je porządnie obok siebie. Podczas gdy wuj rozwijał delikatniejsze narzędzia z chroniących je szmatek, piłem duszkiem malinową lemoniadę i zjadałem najgrubiej posmarowany kawałek chleba, gdyż w „niezasiarczonym” powietrzu i wśród naturalnego zapachu ziół odzyskałem apetyt jeszcze pręcej, niż przewidywała matka. Zanim zaczęliśmy, wuj pokazał mi skorupy jakiegoś naczynia, przydymione kamienie i szkielet, który miał o czymś świadczyć – właściwie były to dwa szkielety, wielkiego ptaka i jeszcze większej ryby; najwidoczniej ptak, którego szpony przebiły się aż do ości ofiary, zaatakował rybę i próbował porwać ją z wody, co mu się nie udało, tak jak nie udało mu się rozewrzeć pazurów, więc pewnie przez dłuższy czas, bijąc skrzydłami, płynął z nią po tafli jeziora, tak długo, aż jedno z nich zmuszone było się poddać.

Potem Adam Rogalla przydzielał mi kąt w swoim systemie wykopów i pokazywał, jak należy pracować łopatką i szpadłem: nigdy pionowo, nigdy energicznie, lecz zawsze pochyło i ostrożnie trzeba było nacinać mulistą ziemię, a przy najmniejszym oporze odłożyć łopatkę i z wyczuciem pracować dalej szpachlą i szczotką, gdyż – jak mówił – „nic tak nie wścieka badacza jak świadectwa, które sam rozgniótł”.

Kopałem w ziemi, mała łopatka rozgrzebywała torf i przetrząsała go z takim zacięciem, jakbym jednego dnia miał wykopać całą naszą przeszłość; kopałem aż furczało, kurz, ziemia i liście unosiły się w górę; gdy przecinałem wysuszone, skórzaste korzenie, rozlegał się suchy trzask; a kiedy wyrzucałem sypką ziemię za brzeg wykopu, wiatr porywał brunatne jej smugi ku górze zamkowej.

Zwierzęta, najchętniej wykopywałbym zwierzęta, przede wszystkim szkielety niedźwiedzi, ale i rysi, kun, bobrów, lecz wciąż nic się nie ukazywało, nic wyblakłego, pięknie sklepionego, nie błysnęła nawet pojedynczy kieł i czułem, jak rozczarowana łopatka traci stopniowo zapał, działa coraz mniej planowo. Wraz z rozczarowaniem przychodziło przedwczesne zmęczenie, siadałem na zrytym stopniu, obserwując pochylone plecy Adama Rogalli, który drewnianą szpachlą wycinał brązowe ciastka z małego pagórka, za każdym razem przyglądał im się

pilnie jak kura i pracował dalej; obserwując go tak, kręciłem szufelką dość nieuważnie, tak że całą swoją szerokością wiele razy uderzała o brzeg wykopu. Nagle wytężyłem słuch, usłyszałem jakiś dźwięk, krótkie echo, które później wracało do mnie, gdy tylko napotkałem w ścianie lśniąco wilgocią miejsce; powtórzywszy uderzenie dostateczną ilość razy, przyłożyłem poziomo łopatkę, wygrzebałem otwór, skrobałem i tarłem i wkrótce wydobyłem z sypkiej ściany zardzewiałą, ale wciąż jeszcze złociście połyskującą urnę.

Wydałem okrzyk radości, wołałem Adama Rogallę, z triumfem uderzałem łopatką w złoto, skakałem i tańczyłem wokół urny; wuj przyszedł w końcu, o wiele za wolno, jak mi się zdawało, o wiele za mało wzruszony i zamiast uklęknąć i z przyspieszonym oddechem badacza polerować i szczotkować znaleziony skarb, aż do oślepiającego połysku, pogardliwie kopnął urnę swoim twardym, podwójnie stębnowanym butem. Urna natychmiast się wyrzuciła, odleciała cienka pokrywka, naczynie turlając się uroniło kilka kości.

Skoczyłem za nim, chciałem pozbierać kości, święte kości Jadźwingów i Prusów, może kości palców moich przodków, lecz wuj powstrzymał mnie, schylił się po kartkę, którą wir powietrza uniósł z urny, i przeczytał głosem bez wyrazu: „Rogallów noseczki wachały już te kosteczki”.

Z ledwo powstrzymywanym rozdrażnieniem pozbierał sam gotowane, ogryzione żeberka, wrzucił do wiadra po marmoladzie, które wziętem za urnę, i cisnął naczynie poza wykop.

Wściekły wygramolił się na brzeg wykopu; ja też wyszedłem za nim. Pogroził kilkakrotnie w kierunku zarośli, ja też mechanicznie pogroziłem w stronę zielonej, przetykanej rdzawą barwą ściany. I rzeczywiście, w odpowiedzi na naszą wspólną groźbę ożywiły się elastyczne, jeszcze nie wycięte pręty na baty, zobaczyliśmy rozwianą płową czuprynę, potem skarpetki w czerwone koła; mogliśmy obserwować ich drogę ucieczki po chwiejących się i odskakujących w tył gałązkach aż do lasu.

– Drażni się łobuz – powiedział Adam Rogalla – ciągle się tylko drażni, ale pewnego dnia to się skończy. – W drodze powrotnej opowiadał, że drażni

go ciągle ten sam smarkacz, który znajduje przyjemność w zakopywaniu w poniekąd świętej ziemi gwoździ, pułapek na myszy, dzwonek od roweru, baterijek do latarek, a nawet – jak to się kiedyś zdarzyło – starego żelazka, i to tylko po to, aby rozżłóścić zapalonego badacza. Jego nazwisko wuj wymawiał zawsze z goryczą: Conny Karrasch...

Słucham? Tak jest: naszymi przodkami byli Prusowie, spokrewnieni z Jadźwingami, zbieracze miodu i, jak sądzę, wyśmienici myśliwi, którym bądź co bądź zawdzięczamy odkrycie, że pijanego niedźwiedzia łatwiej zabić niż trzeźwego; miski z wódką i leśnym miodem zapewniały połowę powodzenia...

Ale co to ja chciałem powiedzieć? Tak – znałem Conny'ego Karrascha, zanim jeszcze on mnie poznał, był tym chłopcem, który wykpiwał i nabierał Adama Rogallę, profanował torfowe tarasy, to za tym małym czortem posyłałiśmy groźby i przekleństwa; Conny Karrasch, jedyny cel gniewu i rozgoryczenia badacza, którego wciąż na nowo nabierał.

Zanim go poznałem, wiedziałem już, że jego ojciec był panem białego więzienia o grubych ścianach, łukowieckiego więzienia miejskiego, które kiedyś było twierdzą klasztorną o stromych murach, nie do sforsowania, opadających ku jezioru. Jak ja mu zazdrościłem, że może mieszkać za tymi murami pokrytymi z wierzchu barwnymi okruchami szkła! Czego nie byłbym gotów oddać za jedne jedyne odwiedziny w więzieniu! Rozstałbym się nawet z moim zbiorem ptasich jaj. Ale z początku Conny Karrasch był dla mnie tylko płowym wiechciem włosów w zaroślach, a przede wszystkim powodem bezsilnej wściekłości Adama Rogalli na bagnach za wsią, pod górą zamkową, gdzie miałem przyjść do siebie po owych wielobarwnych oparach, które wyzwały się w laboratorium mego ojca.

I to się udało.

Poza tym sam chciałem szybko wrócić do sił, gdyż w Łukowcu i okolicach rozpoczynały się wkrótce jesienne jarmarki, a to oznaczało dla mnie podróże do Prostków, Małkiń, Miłuków i Mostołów, ale również do Kobylina i Skomętna, miejscowości, będące widownią tylko dwóch

wydarzeń, które mogły podsycać rozmowy nawet w czasie najstroższych zim: ostatnia ucieczka Hugona Bandilli, który sam się nazwał królem mazurskich przemytników, i występy mego ojca ze żmiją o imieniu Ella.

Może pan sobie wyobrazić, że te podróże niosły ze sobą wczesne i decydujące doświadczenia, jesienne jazdy przez bagna i łąki, wśród brzoź, sosen i jeszcze raz brzoź, przez rozjeżdżone piaszczyste drogi, rżyska i wąskie drewniane mostki, podziurawione przez niezdarne wozy ze zbożem. Wszędzie ogniska z łątów kartoflanych. Potężne kształty na niebie. Z każdego zagajnika szaleńczy werbel dzięciołów. Babie lato. Zakurzone osty. Pełno łopianów. Płaskie smołowane czółna podnosiły się z czarnych leśnych jezior i płynęły w owych dniach w powietrzu. Nie było krzaka jeżyn, spod którego nie mógłby wyłonić się włóczęga o czerwonym wypukłym czole. Tam gdzie były gęsi, był też szczypiący gąsior. Psy podwórzowe szarpały się na łańcuchach, skoro tylko rozpoznały nasze konie po chwiejących się sztucznych kwiatach.

Rozciągnięte szpalery zdyszanych ludzi, gdy tylko nas odkryli: flisacy balansując na pniach pędzili do brzegu i spoglądali za nami, dzieci szkolne wypadały na dwór, jakby się szkoła paliła, stare kobiety, zbierające na polach kłosa i pozostawione kartofle, prostowały się i kiwały nam ręką, w półcieniu sosen robotnicy leśni machali czapkami ze związanymi w górze nausznikami.

Pałący wzrok naszego ojca, Jana Rogalli, obojętnie prześlizgiwał się po szpalerach, zdawał się nie zauważać hołdów, nie odnosić do siebie pozdrowień, gdyż zjawiska zewnętrzne nic dla niego nie znaczyły dla niego, który żył tylko po to, by dotrzeć do sedna rzeczy, do puszczającego bąbelki, parującego sedna, właśnie tam, gdzie jedynie można było znaleźć panaceum. Niech pan wyobrazi go sobie w ten sposób: pod czarnym, matowym kapeluszem, zwężającym się ku górze, blada, wymizerowana twarz, świadcząca nie tylko o płomiennym duchu badawczym, lecz i o wyraźnym braku świeżego powietrza; biała chustka na szyi, kryjąca koszulę bez kołnierzyka, czarny aksamitny żakiet z podwójnym rzędem perłowych guzików, bardzo wąskie, ciemne spodnie-rury, które, że się tak wyrażę, zawsze były opuszczone do połowy masztu. A obok niego ja w

moim wyblakłym marynarskim mundurku – napis na otoku czapki zaliczał mnie do załogi liniowca „Alzacja” – z zasłoniętą klatką na kolanach, w której Ella spała zwinięta w niezbyt pomysłową girlandę, stale znużona trawieniem. Rozumie się, że od Starego Krzywego aż do Czyńczów wszystkie niezdarne furmanki ustępowały z drogi naszej eleganckiej dwukonce, że pozdrawiano nas spiesznie, a niekiedy nawet ze strachem, na jakikolwiek wietrzny plac byśmy zajechali, wszędzie wyglądało, że oczekują nas z drzeniem. Jeszcze koła nie przestały się kręcić, a już wszystkie interesy szły źle albo po prostu je przerywano: jajka i masło pozostawiano samym sobie, kaczkom, które jeszcze przed chwilą obmacywano cierpliwie i z rozkoszą, spadała na głowę pokrywa kosza, sieje, sandacze i karasie, i bez tego śliskie, wyskakiwały z rąk z powrotem do skrzynki z rybami, jabłkom nie pomagały gładkie policzki, ziemniakom świeży zapach ziemi, gomółkom sera zapach ani kolor, nie zauważano nawet czarnych jagód ani borówek, i to tylko dlatego, że wiadomość o naszym przybyciu błyskawicznie obiegała nieprzejrzanym szereg wozów i każdy pędził, by zapewnić sobie miejsce z dobrym widokiem. Jak oni nas otaczali, oblegali, w ogromnych chustach na głowach, w butach filcowych, z prętami kadyku¹ pod pachą, z koszami i torbami na brzuchu; tu ktoś trzymał źrebię na krótkim postronku, ówdzie ktoś inny stał sapiąc, gdyż po prostu zapomniał postawić ciężki worek kartofli na ziemi, jeden trzymał w łagodnym uścisku gęsią szyję, ów kołysał wędzonymi węgorzami; a wszystkich – czy coś żuli, ssali czy palili, jednoczyło oczekiwanie, częściowo trwożne, a częściowo pełne nadziei.

Jan Rogalla siedział zawsze z początku zamyślony, zgarbiony, z rękoma schowanymi pod skórzanym fartuchem, tak szerokim jak kozioł bryczki; oczy jednak miał otwarte i w zamyśleniu wpatrywał się w dyszel wozu, z lekko skrzywioną twarzą, na której malował się wyraz czujności, i zdawał się nasłuchiwać tak właśnie, jakby czekał na jakąś melodię lub przesłanie, oczywiście przesłanie dotyczące tylko jego. Wreszcie poruszał się na koźle, prostował plecy, zdejmował kapelusz i – może trochę zbyt

¹ Kadyk (mazur.) – jałowiec (przyp. tłum.).

elegancko – zataczał nim spirale w powietrzu, na co zebrani odpowiadali bardzo zróżnicowanym aplauzem, ale był to tylko taki jego sposób witania, który zbliżał go do roli czarodzieja, magika, choć nie leżało to zupełnie w jego zamiarach. Natychmiast jednak wymazywał to wrażenie, gdy wchodził na kozioł, zdzierał wodoszczelną plandekę z regałów i otwartych szaf, gdzie krył się równie cudowny jak niedrogi duch substancji, którego on sam wywołał i którym napełnił probówki i buteleczki, wszystkie zaopatrzone we własnoręcznie wypisane etykiety z nazwami zawierającymi jakąś tajemnicę...

O tym też, mój drogi Martinie, musi się pan wszystkiego dowiedzieć. Jeden jedyny gest, szybki jak cięcie szabli, wystarczał, by ściągnąć na siebie uwagę, od której zależał, której potrzebował do swojego przemówienia, cichej, przerywanej mowy jakby do siebie, a kto się nigdy przedtem nie dziwił, tego Jan Rogalla zmuszał do zdziwienia, stwierdzając, że prawdziwym panem Mazur nie jest samotność ani bieda, lecz choroba w swoich tysięcznych postaciach.

Wypowiadał to, co przed i po nim rzadko kto miał odwagę twierdzić, a mianowicie, że właściwie istnieje tylko jedna jedyna choroba, istota wszystkich chorób; można ją sobie wyobrazić jako starą władczą wiedźmę, której chodzi o to, by zdobyć sobie respekt pod wieloma postaciami, raz pod płaszczkiem gorączki, raz jako padaczka, u tego jako próchnica zębów, u owego jako wąglik; jednak jakiegokolwiek przybierałaby maski, on, Jan Rogalla, przejrzał ją, pochwycił i zidentyfikował na tyle, że pod wszystkimi objawami może stwierdzić wciąż jedną i tę samą nadrzędną chorobę.

Wypowiedział jej więc swoją naukowo podbudowaną wojnę. Ma nadzieję dać sobie z nią radę przy pomocy swego panaceum, lecz na razie, dopóki mu się to nie uda, musi – niestety, niestety! – zadowalać się specyfikami tak licznymi, jak objawy samej choroby nadrzędnej, ale, jak mówił: „Lepsza jedna haubiczka niż żadnej artylerii”.

Musiaby pan słyszeć, jak on potrafił w sposób skromny i wymowny zarazem odmalować życie Mazurów, we wszystkich swoich przejawach

zagrożone przez chorobę, ból i rany; nie było ani jednego rzeńskiego zbieracza grzybów, który nie musiałby liczyć się pewnego dnia z zatruciem, rolnika, którego nie mogłoby dosięgnąć końskie kopyto albo kulisty piorun, rybak może sobie wyliczyć, kiedy w czasie kwitnienia roślin wodnych dopadnie go półpasiec, a kopacz torfu – kiedy go zmoże gorączka bagienna; na rzeźnika czyhają oczywiście mordercze trychiny, a na każdego bosego – zardzewiałe gwoździe za stodołą, rade spowodować zatrucie krwi; urzędnika nie oszczędzi apopleksja, choćby jego biurko nie wiem ile znaczyło, a flisak nie może liczyć na to, że ominą go ropiejące czyraki. Kto słuchał mego ojca, ten musiał odnosić wrażenie, że każdemu z Mazurów przeznaczone było przejść i odcierpieć jakąś specjalną, rzekłbym: odpowiednią dla niego chorobę, którą mógł się zarazić lub której mógł się nabawić w bójkach i nieszczęśliwych wypadkach.

Ale mimo to niech nikt przedwcześnie nie rozpacza, ponieważ jemu, Janowi Rogalli, udało się w naukowo podbudowanej nienawiści do choroby wytworzyć środki, przy pomocy których każdy może ulżyć swej doli, jeśli w ogóle jej nie przewyciężyć. Zwracał przy tym uwagę wszystkich na regały i otwarte szafy. Publicznie dziękował substancjom, że odkryły mu swe cudowne działanie. Śmiało można by to tak zrozumieć, że zawarł pakt z owymi substancjami, nie kończący się na zwalczaniu chorób. Z pokorą, której nie można było nic zarzucić, zwierzał się słuchaczom, że piorunian złota odstąpił mu swoje ostatnie tajemnice i dlatego może służyć ofertą, o której nigdy dotąd nie słyszano...

Nie, nie, nic takiego, co by odkrywało przyszłość... Oferował krople, które rozmieszane w kapuśniaku w krótkim czasie zwiększały bojaźń Bożą, ponadto maść przeciw cięciom kozackich szabel – najwidoczniej oczekiwał ataku Kozaków, a maść miała powodować natychmiastowe zasklepienie się ziejących ran, zadanych w galopie. Ale *clou* tej nadzwyczajnej oferty, któraomalże doprowadziła publiczność do łez, był ziarnisty specyfik, pachnący amoniakiem, w razie potrzeby czyniący przemytnika niewidzialnym. W tym miejscu od razu rozległy się okrzyki, najpierw nieśmiałe, a potem natarczywe pytania, ile kosztuje ten proszek; chciano również wiedzieć, jaką ilość trzeba zażyć, by stać się

niewidzialnym, jak popijać i wreszcie jak długo będzie się pozostawało w tym stanie, i co trzeba zrobić, by znowu przybrać postać widzialną...

Jan Rogalla uważał to pytanie za przedwczesne, zbywał je niecierpliwym machnięciem ręki, gdyż najpierw, zanim jeszcze rozpoczął się handel, trzeba było zrobić coś innego: udowodnić, że wszystkie te krople, proszki i esencje spełnią to, co w ich imieniu obiecywał; przystępował zatem do próby, do wypróbowania ich na sobie. Bez pośpiechu odsuwał rękaw żakietu, podwijał rękaw koszuli i pokazywał publiczności przedramię, usiane sinoczerwonymi punktami, dokładnie przestębnowane małymi, podobnymi do ostrzy sztyletów zębami – wszyscy najbliżej stojący mogli się o tym przekonać; skóra wyglądała jak ćwiczebny wzór uczennicy krawieckiej, bez śladu zapalenia. Ojciec prosił o zapoznanie się z delikatnym wzorem nakłuć, potem patrzył ponad głowami słuchaczy w dal, na pobliski las i bagna i konstatawał ze smutkiem, że w naszych czasach ani lasy, ani sprężyste bagna nie są bezpieczne, tam też czyha zagrożenie tak samo na zbieracza jagód, jak i robotnika leśnego: biało- albo brązowo-szare niebezpieczeństwo, zwijające się chętnie w kłębek w gąszczu czarnych jagód albo wylegające się w słońcu na zawiniątku ze śniadaniem drwala. Miał na myśli zmiję, drażliwą, nadymającą się, syczącą z wściekłości.

Kiedy już nazwał niebezpieczeństwo po imieniu, podawałem mu osłoniętą klatkę, którą brał z drgającą twarzą, podnosił do góry, okręcał i odsłaniał, znów nieco zbyt eleganckim ruchem, tak że błękitna chustka układała się w dwie, trzy girlandy. W klatce leżała Ella, jak zwykle senna, a jej dobre siedemdziesiąt centymetrów było tak pozwijane i splecione, że na pierwszy rzut oka trudno było odróżnić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Nosiła imię po siostrze mojej matki, której mowa była jednym trudno zrozumiałym sykiem. Chociaż Ella tak często brała udział w uciszaniu każdego, kto wątpił w słowa mego ojca, za każdym razem zdawała się zapominać, o co chodzi, i ciągle zmuszała swego mistrza do nowych wysiłków.

Na oczach wszystkich otwierał klatkę, pokazywał w koło, bynajmniej nie pogodny czy pewny siebie, lecz bardzo poważny, z zaciśniętymi ustami,

po czym odstawiał klatkę na drewnianą skrzynię, zaciskał dłoń w pięść i wsuwał rękę do klatki. Wiele razy trącał żmiję, której szyja pulsowała pod sklepioną łuską. Spłaszczona głowa cofała się powoli aż pod ściankę klatki. Tam się prostowała, wyciągała język w kierunku przedramienia i nagle uderzała z grzechotem, raz za razem, całą siłą mięśni, twarz Jana Rogalli drgała jeszcze mocniej, oczy miał zamknięte. Najdłuższy, zakrzywiony do środka ząb tkwił w górnej szczęce żmii i muszę powiedzieć, że gdy się mocno zagłębił, ojciec mógł wyciągnąć rękę z klatki razem z gadziną. Tak też zrobił, odwoził ramię poziomo w bok, by każdy mógł zobaczyć wiszącą na nim Ellę. Była uczepiona tylko zębami, huśtała się i nie puszczała. Jeden zdecydowany chwyt uciskający szyję i Ella rezygnowała, padając z powrotem do klatki.

Nie dbając o oklaski, które z samej zgrozy wypadały dość mizernie, Jan Rogalla opuszczał rękawy koszuli i żakietu i zdumiewająco pewnymi palcami zapinał srebrny guzik u mankietu, na którym orzeł czy jastrząb, w każdym razie jakiś drapieżny ptak, leciał ku stylizowanemu słońcu. Potem sięgał do regału po buteleczkę, odczytywał napis na etykietce, dla pewności wachał korek i na oczach wszystkich aplikował sobie trzy duże hausty gęstej cieczy, którą łykał ceremonialnie i jakby nasłuchiwał w skupieniu, tak właśnie, jakby mógł śledzić walkę w swoich wnętrznościach między trucizną a odtrutką.

Z zadowolonym uśmiechem dawał wszystkim do zrozumienia, że tak jak mówił, jego cudowny środek zwyciężył i przez najbliższą godzinę nie trzeba się o niego troszczyć.

Dopiero teraz nagradzano Jana Rogallę oklaskami, odpowiadającymi jego osiągnięciu; widzowie zbliżali się bijąc brawo, w milczeniu lub głośno rozważali, które schorzenie należałoby najpierw leczyć lub któremu warto by najpierw zapobiec. Czuwałem nad skrzynką od cygar, do której płynęły nasze dochody, uważałem, by za wybawienie od słabości czy niedomagań płacono według ustalonych cen: już za dwudziestopięcioletnią zwalczaliśmy próchnicę zębów, chorych na padaczkę wspierałem za dwie marki, gorączkujących z powodu febry uwalniałem od gorączki za markę siedemdziesiąt, za dwie i pół marki

umożliwialiśmy sparaliżowanym ostrożny ruch, już za talara ktoś mógł się pozbyć choroby św. Wita, a za trzy marki dwadzieścia pięć fenigów czyniliśmy każdego zdolnym do pobłażliwego uśmiechu wobec ukąszenia żmii...

Co pan mówi? Za jaką cenę przywracaliśmy wzrok ślepcom? Tego nie było w programie, nie tyle przez zapomnienie, co z zagadkowej obawy, gdyż Jan Rogalla, mimo tak dużej pewności siebie, niemal z wyrzutem odmawiał przywracania amputowanych członków i wzroku ociemniałym, a gdy ktoś chciał go rozwścieczyć, wystarczyło tylko zwrócić się doń z prośbą, by pobudził martwego do życia.

Niech pan się za wcześnie nie uśmiecha, mój drogi, istniały dlań granice, które bezwarunkowo uznawał, i był zupełnie zadowolony z sukcesów, które odnosił w bardziej konkretnych dziedzinach...

Czy w ogóle odnosił sukcesy? Mógłbym panu wymienić wiele, ale może najbardziej brzemienny w skutki, nie tyle wprowadzie dla niego, ile dla mnie, był jego występ na rynku w Łukowcu, po pierwszym śniegu, a dokładnie po numerze Elli.

Musiał rozdrażnić ją pierwszy śnieg, który nie pozwolił jej zapaść zaraz po przedstawieniu w zwykły sprzyjający trawieniu letarg – w końcu, w innych warunkach dawno zapadłaby w sen zimowy, właściwy jej gatunkowi, gdyż pełzała niespokojnie po klatce z deszczułek, syczała, wysuwała rozdwojony język i wciskała twarde skóry koniec ogona między deski. Jan Rogalla obsługiwał potrzebujących pomocy, ja czuwałem nad skrzynką od cygar i żaden z nas nie zauważył, w jakim stanie znajdowała się Ella, przede wszystkim jednak uszło naszej uwagi, że kilku chłopców podkradło się do klatki i drażniło i bez tego rozsierdzoną żmiją, liczyli jej kręgi patykiem albo próbowali pozbawić ją kilku łusek. Nagle usłyszeliśmy wrzask – słyszę go jeszcze dziś, ostry, przeraźliwy krzyk, urwany tak gwałtownie, jakby zdusił go ból; najpierw spostrzegłem tylko płową czuprynę, twarz ryzykownie przytuloną do klatki i ucieczkę innego chłopca, przemykającego się między płaszcami i kaftanami publiczności; potem jednak, gdy zsunąłem się z kozła, by zobaczyć, kto to jęczy,

ujrzałem, że Ella zaatakowała go spomiędzy deszczulek klatki. Za blisko, policzek znalazł się po prostu zbyt blisko klatki, a żmija nagłym wypadem wbiła weń zęby, niegłęboko, nie z całą siłą gdyż zagroda była zbyt gęsta, ale na tyle zdecydowanie, że zęby zagłębiły się w mięsz policzka jak haczyki wędki.

Ojciec otworzył wieko klatki. Schwycił żmiję od góry, tuż przy głowie. Ścisnął ją tak, że otworzyła paszczę, wypuściła swój łup i wijąc się wściekle, oplotła się wokół jego ramienia. Strząsnął ją zreźnie, rozluźnił nieco uścisk, aż zwisała jak długa, i upuścił ją na weń drzewną. Po nałożeniu pokrywy narzucił na klatkę nie tylko chustkę, lecz i derkę do przykrywania koni.

Tylko trochę krwi spłynęło po policzku, na którym został dokładny odcisk zębów żmii, ostrokątny trójkąt; widzowie pokazywali go sobie speszeni, podczas gdy ojciec z zimnym opanowaniem posadził monotonicznie zawodzącego chłopaka na wóz, wydobył z regału odpowiednią buteleczkę, a z kieszeni własnoręcznie wystruganą łyżkę. Wcisnął ją chłopcu między szczękające zęby, dwukrotnie zmusił go do połknięcia cudownego płynu, po czym pogładził go ręką po głowie, dodając otuchy. Nikt nie szemrał, gdy przerwaliśmy sprzedaż cudownych środków, by odwieźć pokąsanego do domu: w ten sposób spotkałem Conny'ego Karrascha, tak splotły się nasze odrębne drogi.

Wzięliśmy go między siebie na kozioł, owinęliśmy drugą derką, po czym zjechaliśmy z góry ku jezioru Łukowiec, przez stary most prowadzący na wyspę więzienną – przynajmniej więzienie, które kiedyś było zamkiem krzyżackim, leżało dotąd na wyspie, póki nie przerzucono na nią mostu i nie zbudowano potężnej grobli, potem jednak nie przestaliśmy nadal mówić o „wyspie” – następnie jechaliśmy wzdłuż białego muru, pokrytego z wierzchu ostrymi kawałkami szkła i odbijającego się w czarnej wodzie, aż do drewnianych drzwi z szerokich desek. Jan Rogalla uderzył drzewcem bata o jakąś klapę, uderzał rytmicznie, a gdy nic się nie działo, odnalazł i uruchomił sznur dzwonka, co spowodowało, że w głębokościach muru kilka dzwonek zaczęło dźwięczeć i szaleć, kilka dzwonek naraz, tak przesadnie alarmując, że ojciec mimo woli cofnął się

kilka kroków wstecz i zastygł w przestrachu. W końcu kłapa opadła, ukazała się jakaś gęba, dwa zaspane brązowe oczka i kokarda. Ojciec wspiął się na palce. Pospieszny szept przez kłapę. Długie, badawcze spojrzenie brązowych oczu, zanim w końcu przekręcono klucz w zamku. Gdy strażnik odkrył Conny'ego na koźle, pomógł mu zejść, zaskoczony i pełen troskliwości; nawykły do rozkazów, przywołał ojca skinieniem i pożegłował z obojgiem w kierunku budynku dyrekcji, ozdobionego jedynie odrobioną w żelazie datą. Ponieważ zapomniał o mnie, zamknąłem drzwi więzienia od wewnątrz: byłem u celu. Stałem tam, gdzie od dawna chciałem się znaleźć.

Może mi pan wierzyć: gdyby wyznaczono wówczas nagrodę za najpiękniejsze więzienie na Mazurach – myślę nie tylko o harmonii kolorów i położeniu ogrodu na zboczu, opadającym ku jezioru – wówczas Łukowiec, nasze małe łukowieckie więzienie miejskie otrzymałoby nagrodę abonamentową na całe dziesięciolecie. Lekko oszołomiony przeprowadzałem inspekcję murów, nierównych, biało otynkowanych, nic się tam nie kruszyło, wieki nie sypały pyłem ze szczelin, mury stały obojętne, a tym samym ostateczne, te mury, które kazał budować Paul von Russdorf, spodziewając się, że wypróbują się na nich polskie drabiny szturmowe, litewskie miotacze kul i tatarskie pociski zapalające – bezskutecznie, jak się okazało. Podwórzec wyłożony był starymi, kruszącymi się brukowcami. Wzdłuż błyszczącego pasma asfaltu, otaczającego główny budynek, ciągnęły się wąskie rabaty kwiatowe, astry, aksamitki pokryte pierwszym śniegiem. Patrzyłem w górę ku rzędom zakratowanych okien, szukałem twarzy, byłem przygotowany na niecierpliwy sygnał lub groźbę, ale wszystkie okna były puste, a ja przesuwałem się bokiem jak krab wokół ukośnej podstawy wschodniej wieży aż do ogrodu, do więziennego ogrodu. Na gliniastej ścieżce leżały dwa jabłka; chowając je szybko, postanowiłem sobie, że zatrzymam je na zawsze. Kapusta stała tam w idealnie równym szeregu, późne pomidory w brązowe plamy zwisały na pokurczonych krzakach, aż do oszronionych łąk nad jeziorem sięgały pola gnijących brzuchatych dyń. Dlaczego ich jeszcze nie zebrano?

Choć nikogo nie było widać, czułem, że obserwują mnie nie tylko wrony kołyszące się w olszynach. Zniszczona łódka szarpała się uwiązana do białej blaszanej boi. Obmurowane wejście za nagimi krzakami porzeczek wiodło wprost do środka ziemi, a ja myślałem, że musi się tam znajdować podziemny korytarz, który biegnie przypuszczalnie w poprzek pod dnem jeziora; wykopano go podobno w czasach, gdy więzienie było jeszcze ostoją okolicznych mieszkańców. Dalej nie ważyłem się iść. Z niepokojem przepatrywałem tylne okna w poszukiwaniu twarzy, ale nie znalazłem żadnej, również w głęboko osadzonych okienkach wieży; mimo to czułem, że jestem obserwowany i uważałem za stosowne wycofać się do bramy, gdzie stałem, pozwalając oddziaływać na siebie z bliska owej czarno-białej surowości, surowości klasztoru, której nie przyszły na myśl inne barwy, czerwień, zieleń czy nawet ciemny błękit, prawdopodobnie dlatego, że żaden inny kolor nie odpowiadał tak bardzo ślubowanemu ubóstwu, bezżenności, bezwzględnemu posłuszeństwu, jak biel i czerń...

Powiedział pan „prostota”? Prostota nie do zniesienia? Mój drogi, naprawdę musi pan mówić trochę głośniej...

Więc sądzi pan, że czerń i biel była wyrazem ich światopoglądu? Powiedzmy, ale w takim razie powinien pan sobie gwoli sprawiedliwości przypomnieć również o tym, że członkowie Zakonu Niemieckiego byli pierwotnie kupcami, odnoszącymi duże sukcesy w Lubece, i że założeniu Zakonu przyświecał tylko jeden cel: pielęgnowanie chorych...

Czerń, biel, hm...

W każdym razie po chwili wrócił mój ojciec, dosyć zmieszany, strażnikowi, który mu towarzyszył, bezpłatnie oddał buteleczkę z cudownym środkiem przeciw ukąszeniom żmii o smaku soku z rabarbaru, mówiąc tylko: po dwie duże łyżki trzy razy dziennie; pojechaliśmy prosto do domu, nie wracając już na targ, gdzie wielu ludzi pozwalało się przysypywać śniegowi tylko ze względu na nas.

W następnych dniach ojciec kazał sobie przynosić jedzenie do laboratorium, z którego na razie nie wydobywały się żadne barwne opary; dochodziła stamtąd tylko cisza, tak groźna i niezwykła, że czasem

myśleliśmy, że ojciec umarł, jednak za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, siedział skulony nad opasłymi jak kufry foliałami Bazylego Valentinusa, bezradnie wpatrzony, wyczerpany pytaniami o ostateczną pewność, której jego fantastyczny mentor najwidoczniej nie mógł mu dać, a wokół niego na podłodze biał się śnieg kartek z rozpoczętymi i nie doprowadzonymi do końca formułami, równaniami i symbolami alchemicznymi. Nic nie mogło go od tego oderwać, nawet list z berlińskiego sekretariatu cesarza, w którym z podziękowaniem potwierdzono nadejście środka mającego ostatecznie uwolnić panującego władcę od „dostojnej migreny”.

Po pięciu dniach zaproszono nas do więzienia. Gdy strażnik opierał rower o nasz płot, poznałem go od razu, przywitałem się z nim i poprowadziłem go do laboratorium, gdzie w bardzo rzeczowy sposób przedłożył ojcu, by zechciał przybyć do więzienia, i już na odchodnym dodał: – Tego małego nicponia – wskazał kciukiem na mnie – niech pan weźmie za kołnierz i przyprowadzi ze sobą.

Oczekiwano nas w porze podwieczorku, ale już na pół godziny przed czasem spacerowaliśmy z ojcem w tę i z powrotem pod bramą więzienia, ojciec w zamyśleniu nieuważnie stawiał kroki, ja trzymałem się blisko muru, w poszukiwaniu odłamanych kawałków szkła, które mogły spaść na ziemię. Gdy nadszedł czas, by zapukać, ojciec podniósł mnie do góry, a ja zacząłem bębnić obiema pięściami w klapę, która trzymała się tylko na skórzanych zawiasach i ze swej strony również wybijała suchy takt, tak skutecznie, że tym razem strażnik najpierw otworzył, zanim się upewnił, kto jest na zewnątrz. Zasalutował po wojskowemu, zaprowadził nas do budynku dyrekcji słabo oświetlonymi, świeżo wymyтыми korytarzami, oddającymi echo naszych kroków, zapukał do drzwi, zakończonych łukiem, otworzył je i znowu zasalutował po wojskowemu, zanim zameldował coś, czego nie zrozumieliśmy, po czym wezwał nas do wejścia. Na karku, w pończochach, a nawet we włosach czułem mrówki, dlatego nie od razu podniosłem wzrok.

Czekał na nas łańcuch od zegarka, masywny, złoty łańcuch ze spłaszczonych ogniw, na którym dla ozdoby dyndały oprawione w srebro

zęby odyńca i spreparowana przednia noga sarny, to znaczy oczywiście tylko kopytko; łańcuch rozpięty był na granatowej, nieco już znoszonej kamizelce, która z kolei otulała korpus przypominający po partacku wydmuchaną butelkę, gdyż trochę się wgniotła i wyciągnęła. Oprócz łańcucha na tej samej wysokości oczekiwały nas dwie tłuste, piegowate dłonie, z których zwisała mała czarna torebka z materiału, wystarczająca akurat na to, by pomieścić chusteczkę do nosa albo garść ziaren słonecznikowych, nic więcej. Na samej górze witał nas szary pulower z białym pasem na piersi, pas podnosił się i opuszczał wraz z regularnym oddechem, a równocześnie podnosiła się i opuszczała przypięta na nim odznaka, wybita w pięćsetlecie Łukowca: była to głowa Janusa o pustym spojrzeniu, z jedną twarzą pokrytą kędzierzawą brodą, a drugą gładko ogoloną.

Kiedy w końcu podniosłem wzrok, przestraszyłem się: każdy by się przestraszył, gdyż ojciec Conny'ego był zbyt podobny do brodatej połowy głowy Janusa: te same zmarszczki na czole, to samo odwieczne niezadowolenie, a także ten sam wyraz spokoju, cierpliwości i gorzkiego zdecydowania; różnili się tylko wiekiem. Ojciec Conny'ego był starszy, wówczas wydawał mi się o wiele za stary, by w ogóle nadawać się na ojca. Jakże sztywno się zachowywał, jak cedził słowa, w przeciwieństwie do matki Conny'ego, krągłogłowej, odznaczającej się nieobliczalną ruchliwością, mówiącej tak chętnie, że gotowej powtarzać każde orzeczenie.

Ale muszę panu powiedzieć, że przywitano nas uprzejmie, bardzo poprawnie podziękowano memu ojcu, po czym Conny musiał się zaprezentować jako ozdrowieniec bez gorączki, z językiem już nie opuchniętym, i tylko z trzema sinoczerwonymi punktami jako pamiątka na policzku. Rodzice byli zgodni co do tego, że uratowała go gęsta zawartość buteleczki; została jeszcze resztką, którą chcieli zachować i zapłacić za nią, na co mój ojciec nie chciał się zgodzić – obiecał przysłać przy okazji przeze mnie zapieczętowaną buteleczkę. Potem był placek drożdżowy posypany cukrem i tak jak wszędzie, gdzie Jan Rogalla znalazł się w towarzystwie, wymieniano wkrótce doświadczenia z chorobami – nieskrępowanie pokazywano sobie wzajemnie blizny, obszernie

rozwodzone się nad różnymi rodzajami śmierci, a gdy się już z tym dostatecznie zapoznano, dyrektor więzienia otworzył wysłużoną tabakierkę i puścił w obieg kamień nerkowy wielkości gołębiego jaja, który mu wyjął; kamień ten przewyższał wszystko, co dotąd powiedziano, i obecni popadli w dziwne zamyślenie.

Conny bardziej niż inni wyczuł mój niepokój, moje rozedrganie; siedział naprzeciwko mnie przy topornym stole, uśmiechał się poprzez biały płomień świecy, uśmiechał się, gdyż przyłapał mnie na lustracji pomieszczenia i ocenie sprzętów, dokonywanej w owym wzburzeniu, którego nie umiałem ukryć, a ponieważ z pewnością dostrzegł, jak bardzo byłem pod wrażeniem wszystkiego, nadał sobie pozory szczególnej obojętności. Gdy pudełko z cygarami przewędrowało z szelestem przez stół, skinął mi głową – wstaliśmy i opuściliśmy pokój, po wyszorowanych do czysta sosnowych schodach weszliśmy na górę, wszędzie panowała uderzająco chłodna, nieubłagana czystość, na schodach w krętym korytarzu, którym mnie prowadził, a nawet na strychu.

Znajdowało się tam pomieszczenie oddzielone nie ścianami, lecz naprężonymi linami – rodzaj pokoju do zabawy pod małym oknem, które wpuszczało tylko skąpe, przefiltrowane światło, topiące wszystko w zielonkawej poświacie, w podwodnej zieleni. Na pozór obojętnie zapraszał mnie, bym siedł dalej, aż do lin, ale ja nie musiałem iść aż tak daleko, by zrozumieć, czym mnie chciał zaskoczyć i wprawić w jeszcze większe zdumienie. W zielonkawym świetle czekało tam białe więzienie, model ze sklejk i tektury, a mury, wieże i fakt, że leżało na wyspie, nie pozostawiały wątpliwości, że było to łukowieckie więzienie miejskie, sięgające do kolan, ale ze wszystkim, co do niego należało, włącznie ze sztuczną rabatką.

Przestąpiliśmy linę, usiedliśmy na podwórzu więziennym, Conny Karrasch rozkoszował się moim osłupieniem, obserwował, jak wszystkiego dotykałem, obmacywałem i porównywałem małe więzienie z dużym, jak cieszyłem się każdym rozpoznanym szczegółem. Mogłem położyć dłoń na budynku dyrekcji, pokazać palcem okno, pod którym siedzieliśmy, a Conny wskazał pomieszczenie, w którym siedzieli dorośli,

pewnie przy cygarach i nalewce, zagłębieni w rozpoczętej przez mego ojca rozmowie o preparacie, który może uleczyć wszystkie choroby. Nie koniec na tym, po chwili Conny Karrasch szarpnął lekko dach więzienia, obluzował go, a ja pomogłem mu zdjęć go ostrożnie. Leżeli tam i siedzieli – niektórzy ciasno stłoczeni, inni w ponurej samotności, kilku z wykręconymi członkami, jakby ich przed chwilą torturowano – mieszkańcy więzienia o różnych twarzach, ale wszyscy w spranych drelichach i okrągłych drelichowych czapkach. Conny Karrasch wyjmował jednego po drugim, każdemu się badawczo przyglądał i potrząsał każdym, jakby napominając. Do każdej z lalek zwracał się po nazwisku, ustawiał je w kolumnę na podwórzu więzienia, najwidoczniej na apel.

Zgromadził w ten sposób około dwudziestu pensjonariuszy więzienia. Wszyscy mieli pomalowane twarze, a więc mieli być do kogoś podobni, pamiętam, że jeden z wklęsłym czołem i skośnymi oczami nie mógł być nikim innym, jak tylko Hugonem Bandillą, i był nim rzeczywiście – samozwańczy król mazurskich przemytników również zjawił się na apel. Conny Karrasch cieszył się, że może mi przedstawić tych wszystkich, których przywiodły tutaj niedozwolone skłonności albo wrodzony brak rozważli; uosobioną „niepocziwość” Mazur, niepożądany margines. Conny brał ich pojedynczo do ręki, wymieniał nazwiska i rodzaj przestępstwa, mniej więcej w ten sposób: Heinrich Yalendy, kradzież drobiu; Johann Skodda, bójka na noże; Otto Michalzik, obraza majestatu; Herman Hoyer, kłusownictwo na państwowym; Gustav Kudlik, kradzież drzewa z państwowego lasu; Michael Skowronnek, podpalenie; Gottlieb Naujok, szmugiel i obraza majestatu; Ludwig Poerschke, nie wiem, coś z Sodomą; Oskar Dumschewski, kradzież łodzi; Eugen Lawrenz, zabójstwo i podpalenie.

Przerwałem prezentację, poprosiłem, żeby Conny zrobił pauzę, po prostu dlatego, że mój oddech zbyt szybko przyspieszył; nagle jednak wbrew woli kazałem sobie podać mordercę, owego Eugena Lawrenza, zastosowałem ten sam chwyt, którym Jan Rogalla zmuszał do posłuszeństwa swoją żmiję, tak że szcudłowate nogi więźnia podrygiwały i tańczyły w powietrzu, po czym wpatrzyłem się w jego twarz.

Conny Karrasch oswobodził go z moich palców, bez słowa wsadził z powrotem do więzienia, zgarnął całą tę hańbę Mazur w drelichach i cisnął ich wszystkich razem do cel, jednego na drugim, twarzami do dołu, z boleśnie powykręcانymi nogami, a po pośpiechu, z którym to robił, poznałem, że ma mi jeszcze coś do pokazania, coś, co wszystko usunie w cień.

Nie myliłem się, gdy z powrotem nałożyliśmy dach, pociągnął mnie za sobą przez strych i dalej, chłodnymi korytarzami bez żadnych ozdób, szliśmy po wielu stopniach w dół, przez słabo oświetlony tunel, po czym Conny zapukał władczo w jakieś drzwi, które otworzył nam stary strażnik w mundurze; jego gniewna twarz rozjaśniła się na widok Conny'ego. Zażyły uścisk dłoni, konspiracyjny szept i mogliśmy wejść do pomieszczeń roboczych, mieszczących się w piwnicy, do warsztatu z nieprzeliczoną ilością stołów, na których leżały stosy gałązek, kłębki łyka i ryzy brązowego papieru, gałązki na miotły, papier na torebki, do tego poplamione gamki z klejem, gotowe drewniane podeszwy i skórzane wierzchy do sabotów.

Kiedy weszliśmy, mężczyźni w drelichach odwrócili ku nam twarze od swoich stołów, równocześnie, jakby poruszani jednym sznurkiem, a gdy nas ujrzeni, zaraz znowu rozczarowani oddali się pracy; ale już ta chwila wystarczyła, abym rozpoznał tych, których Conny Karrasch chciał mi przedstawić we własnej osobie: Hugona Bandillę i Eugena Lawrenza. Poza nimi nieomylnym instynktem rozpoznałem Kudlika, złodzieja drewna, i Skowronnka, podpalacza; w ich rękach połyskiwały zakrzywione noże, którymi przycinali witki na miotły. Rozdzielając łaskawie ukłony na prawo i lewo, Conny podszedł prosto do Eugena Lawrenza, podał mu dłoń, poszeptał z nim i pokazał na mnie, a wtedy również wyciągnąłem rękę i spojrzałem pytająco w jego niezgłębioną twarz.

Jego sprawa? Dowiedziałem się tego dopiero później; najpierw dowiedziałem się, że Eugen Lawrenz znał legendy o wszystkich jeziorach w dużym promieniu wokół Łukowca, nie tylko o jeziorze Selmęt czy Sunowo, lecz o wszystkich naszych dziewięćdziesięciu dwu jeziorach, które nie tylko coś ukrywały w swej nieruchomej głębi, lecz z których po

zapadnięciu ciemności wyłaniały się jakieś kształty, co z czasem splotło się w opowieści.

W każdym razie Conny zebrał o jakąś historię o jeziorach; prawdopodobnie wiele z nich już słyszał, o topielcach, pustelnikach i stynkach-olbrzymach z koroną na rybim łbie, ale Eugen Lawrenz lekko kręcił głową i przypomniał o cenie, którą najwidoczniej ustalili między sobą i którą Conny już wcześniej płacił. Bronił się tak uparcie, że nie pozostało nam nic innego, jak tylko dać to, czego żądał – mianowicie niedopałki, całą garść niedopałków cygar, które Conny sypnął na stół; mężczyzna od razu je przeliczył i wsunął do kieszeni, zanim wystąpił z jedną ze swoich opowieści o jeziorach...

Oczywiście! Jeszcze jak ja zapamiętałem! Tego, co Eugen Lawrenz opowiadał, nie da się tak łatwo zapomnieć, jego historie płynęły równomiernie, nieprzerwanie, jak tratwy na Łukowcu; poza tym musi pan wiedzieć, że w trakcie opowiadania nie przerywał pracy...

Brał więc ze stosu przygotowaną drewnianą podszewę, falistym ruchem przesunął po stole, po czarnym suknie, po czym ostrożnie zdejmował, a my tymczasem byliśmy już wśród sosen nad Jeziorem Tatarskim, widzieliśmy czarnego bociana siedzącego na jajach, słyszeliśmy nieokreślone westchnienia i przeciągłe okrzyki, które mógł usłyszeć każdy, kto poszedł tam samotnie i dostatecznie długo nasłuchiwał. Eugen sprawiał, że z pokrytego szlamem dna podnosiły się bąbelki, kaczkę z sykiem lądowały na wodzie i przestraszone wiosłowały zaraz między trzciny. A wtedy zza piaszczystego grzbietu wzgórza zbliżał się smutny pochód ludzi i koni, przenikał chybotliwie między rzadkie sosny – ruchoma rysa na tle ogromnego wieczornego nieba, pochód otoczony przez jeźdźców na małych kudłatych wierzchowcach, tatarskich konikach, ponad ich głowami sterczały sylwetki przytroczonych lanc.

Związani jeńcy schodzili potykając się ku jezioru, byli to mężczyźni i kobiety z Łukowca, których Tatarzy wiedli ze sobą, prawdopodobnie rozczarowani lub rozgniewani, gdyż nie znaleźli tego, czego oczekiwali, zakopanego srebra, była wypędzonego do lasu; w dole nad jeziorem,

które dotąd było bezimienne i dopiero od tego dnia będzie się nazywać Jeziorem Tatarskim, niespodzianie zatrzymali pochód, porozumieli się między sobą, zsiadli z koni i przywiązali swoje kudłate wierzchowce do sosen. Przy pomocy misternie splecionych knutów modelowali gromadę jeńców, wpędzając ich w koło zatoczone obcasem przez jednego z Tatarów, po czym zapłonęły ogniska, a oni siedzieli niezadowoleni wokół nich i piekli skrawki mięsa, które kruszały dotąd pod siodłami.

Ich pełne rozczarowania milczenie i wzrok wbity w jeden punkt niepokoiły związanych jeńców, a przede wszystkim Marię Chłupkę, żonę burmistrza, która nie mogąc dłużej tego znieść, porozumiała się z jednym z podoficerów tatarskich i odjechała z nim i jeszcze kilkoma jego towarzyszami – nie na długo, bo podczas ich nieobecności zapas drzewa przy ogniskach pozostał niemal nienaruszony, a gdy wrócili, kilku jeźdźców zrzuciło przy ogniu owalne beczułki z miodem pitnym, przytroczone dotąd do siodeł.

Nagle wszyscy Tatarzy zrozumieli, czego im było brak i co było przyczyną, że nie zaprezentowali dotąd swych muzycznych i tanecznych talentów: brakowało gorzałki. Odszpuntowali zatem beczki, a kiedy się rozgrzali, zaczęli śpiewać swe stepowe pieśni i tańczyć stepowe tańce – tak długo, aż żona burmistrza i kilka innych kobiet spytało, czy nie mogłyby zabawić się razem z nimi. Rozwiązano je. Rozmasowały przeguby rąk i kostki u nóg, zzuły buty, zrzuciły zbyt długie wierzchnie spódnice i zatańczyły z Tatarami w świetlistym kręgu ognisk, nad bezimiennym jeziorem. Im również dano gorzałki, piły albo tylko udawały, że piją, podczas gdy związani jeńcy nie dostali jeść ani pić; mogli tylko siedzieć na piasku i przyglądać się. Tatarzy, wypiwszy zawartość beczulek, padli na ziemię, a padając na ciepły piasek próbowali pociągnąć za sobą kobiety.

Na godzinę przed wschodem słońca – nad jeziorem, które wreszcie miało otrzymać swoją nazwę, kłębiły się mgły – wśród wystygłych ognisk podniosło się jak na komendę kilka postaci w spódnicach; przemykały się bezładnie i nachylały spieszenie nad śpiącymi, zwiniętymi w kłębek w chłodzie poranka, a kto ze związanych nie spał, ten widział wznoszące się i opadające pięści, grzebiące nogi i unoszące się ciała, które zaraz opadały

w drgawkach z powrotem, wszystko bezgłośnie albo prawie bezgłośnie. Kobiety pozabijały Tatarów, zawlokły nad jezioro i powrzucały ciała do wody, wciąż jeszcze ostrożnie, dbając o ciszę; oczyściły brzeg i dopiero teraz podeszły wszystkie do związanych i zaczęły rozcinać ich pęta. Robiły to bardzo delikatnie, bardzo uważnie, gdyż chciały zobaczyć zaskoczenie jeńców, gdy się przebudzą, przebudzą bez więzów, na wolności otrzymanej niepostrzeżenie, ale okazało się, że żaden z mężczyzn nie spał i wszyscy bez słowa dali się rozwiązać.

Stali naprzeciw siebie w uroczystym nastroju, który zrodził się sam przez się, szukali się wzrokiem, milcząco zadawali pytania, podczas gdy na jeziorze wolno wirowały lub tonęły ciała martwych Tatarów.

Burmistrz Łukowca, Ottomar Chlupka, pierwszy objął swoją żonę i wolno wszedł z nią na piaszczyste wzgórze; inni, jeszcze sztywni, drżący z zimna i wstrząśnięci, podeszli również do swoich małżonek, objęli je i pospieszyli za burmistrzem.

Eugen Lawrenz przesuwiał po czarnym suknie szereg klamer do sabotów, był to pochód uwolnionych mężczyzn wracających z żonami do miasta i zostawiających za sobą mroczne jezioro, które odtąd nazywało się Jeziorem Tatarskim.

Postanowiłem wówczas zbierać niedopałki cygar, aby poznać wszystkie pozostałe, tj. dziewięćdziesiąt jeden historii o jeziorach, które Eugen miał na składzie...

Tak, teraz może mi pan obrać jabłko, ale przedtem chciałbym się czegoś napić...

Nie szkodzi, że herbata wystygła, dziękuję... Kiedy pewnego dnia przyjdzie tu Simon Gayko – a na pewno przyjdzie, jak wszyscy inni – wówczas będzie go pan mógł zapytać: nigdy nie odważyliśmy się ryc bosymi stopami w mulistym dnie Tatarskiego Jeziora, nawet kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, skąd wzięło swoją nazwę, gdyż coś tam bez przyczyny bulgotało i wzdychało, i równie bez przyczyny zrywał się lekki powiew; poza tym nie można było w nim zanurzyć stopy, żeby zaraz nie przyssał

się tuzin pijawek. Nigdy nie kąpaliśmy się w tym jeziorze. Nie jedliśmy z niego ryb. Wysmołowana łódka, którą mój dziadek, dzierżawca Alfons Rogalla, kazał zawieźć drabiniastym wozem nad jezioro, butwiała pozostawiona sama sobie; uwiązana do pala, pogrążała się coraz głębiej, aż dryfująca kra zgmiotła jej burty. Jezioro Tatarskie wraz z czterema innymi jeziorami należało mianowicie do majątku usytuowanego na wysokim brzegu na końcu grobli, łączącej wyspę więzienną ze stałym lądem; zatem i to jezioro należało do mojego dziadka, tak jak wszystko w majątku, w co nikt nie wątpił, choć dziadek był tylko dzierżawcą – wozy, konie i robotnicy folwarczni, dziewczęta i psy, chłopcy stajenni i cały żywy i martwy inwentarz. Dziadek rządził wszystkim jak swoją własnością, każdy się z tym godził albo zostawał do tego zmuszony przez tego pokrzywionego, wiecznie zniecierpliwionego mężczyznę, który najchętniej w ogóle zlikwidowałby mowę...

Nie zrozumiałem cię, mój drogi... Czy w ogóle płacił czynsz dzierżawny? O tak, raz w roku robił rachunki, raz w roku zamykał się na dziesięć dni w swoich pokojach, działo się to w styczniu, światło paliło się prawie przez całą noc; jego bliscy wiedzieli, że obliczał wówczas czynsz dla obłożnie chorej kobiety mieszkającej bardzo daleko, w odległym Królewcu; nienawiść do niej zżerała mu serce, podobno i ona myślała o nim jedynie z uczuciem nienawiści, gdyż czuła się stale oszukiwana, a tolerowała go jedynie dlatego, że mieli jakąś wspólną tajemnicę. Za każdym razem, kiedy otrzymywała szczegółowe rozliczenie, przesyłała w odpowiedzi trafne, sarkastyczne pytania i kończyła napomknieniem o swoim nie zmienionym stanie zdrowia, co doprowadzało dziadka do takiego wzburzenia, że całymi dniami mógł jeść tylko plastry wątrobianki i popijać gorzałką; to go uspokajało. Nigdy nie skorzystałby z naszej pomocy, choć mojemu ojcu udało się wyprodukować środek przeciw wszelkim zdenerwowaniom z liści parzydła leśnego, zebranych po pełni księżyca i zawierających kwas pruski; środek ów w okolicach Łukowca znakomicie skutkował. Dziadek mógł jeszcze znieść, że ojciec zostawiał naszą dwukonkę w jednej z szop majątku i puszczał konie na pastwisko, ale nic poza tym. Pogarda była wszystkim, na co mógł się zdobyć w odniesieniu do fantastycznej wiedzy mego ojca, oprócz tego zarzucał nam,

że pomagamy ludziom odkrywać choroby i oddawać się im bez reszty, wykorzystywać je, jak to nazywał. Nie przeszkadzało mu to jednak posyłać po nas, gdy w majątku było pilno z jakąś robotą – nie po ojca, dla którego miał jedynie odtrącający gest. Mawiał wtedy krótko: – Niech Ida przyjdzie do pomocy, sami nie poradzimy.

Po to więc, aby dali radę przy zwożeniu, świniobiciu, młocce, ważeniu zboża, bez sprzeciwu ruszaliśmy w drogę do majątku, na grobli pozwalaliśmy wiatrowi wywiewać resztki chemicznych oparów z ubrań, oszczędzaliśmy sobie długich powitań wraz z przynależnymi do nich pytaniami, choć matka przywiązywała do tego dużą wagę, i udawaliśmy się od razu do budynku, w którym byliśmy potrzebni.

Majątek; był to niegdyś majątek państwowy, który tak jak wiele innych państwowych dóbr od dawna przeszedł w prywatne ręce. Na gliniastym, rozjeżdżonym podwórzu wiatr zamiatał stale wirującymi w kółko źdźbłami słomy i siana. Łańcuch zawsze zdążył powstrzymać w skoku oba ujadające psy, z kuźni dochodził nieustający odgłos kucia. Na brzegu gęstego, zabrudzonego odchodami stawu stały już oczywiście gąsiory z uniesionymi w górę dziobami, w ataku na łydki poziomo opuszczały szyje i syczały. Nigdy nie zapomniałem o kiju albo sztachecie, w którą wpijały się dziobami.

Zawsze byliśmy przygotowani na to, że w majątku będzie działo się coś, o czym warto mówić. Ciągłe ktoś wkładał rękę do sieczkami albo koń kopnął kogoś w biodro, stale ktoś spadał z chwiejnego wozu, kogoś ranił byk, ktoś zaciął się zardzewiałą kosą albo wóz przygniatał komuś klatkę piersiową, gdy zawiodły hamulce. Rozumie pan, o co chodzi. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie można było coś przeżyć, nawet w kurniku, nawet przy biciu kaczek, co musi pan sobie wyobrazić jako milczącą pracę z ręki do ręki, do czego trzeba mieć zarówno największe wyczucie, jak i nieprzeciętną siłę w palcach.

Stary Piwko, największy niezguła nawet jak na mazurskie warunki, zapędzał wszystkie kaczki razem do zagrody, osiemdziesiąt czy sto sztuk, stale uciekających przed jego kijem, z zawieszoną na końcu owalną pętlą z

plecionego drutu, która chwiała się i podrygiwała przed ciemnobrązowymi oczami kaczek, nim Piwko jednym ruchem nie zarzucił jej na kaczą szyję i nie przyciągnął ptaka do siebie. Stworzenie nie mogło już kwakać, biło jednak wściekle skrzydłami, tupało i wiosłowało kurczowo rozczapierzonymi łapami, ze strachu srało, wleczone łukiem po zagrodzie. Piwko wyciągał zduszone kaczki na kiju, ja stałem już w pogotowiu, obiema rękami chwytałem za dziób, z którego wszystkimi otworami wydostawały się bąbelki, uważając, by szyja była porządnie wyciągnięta i leżała spokojnie na pieńku, podczas gdy Piwko podnosił siekiere, przymierzał się akuratnie i jednym jedynym uderzeniem odcinał łeb. Siekiera ze świstem wbijała się w pieńek. Łeb przypadał mnie. Dzioby otwierały się, jakby coś kosztując. Oczy z wolna zaciągały się błękitną błonką. Odnosiłem łby na brezent, gdzie układałem je rzędami po dziesięć, w równej odległości od siebie, tak by łatwo można je było policzyć, a tymczasem Piwko podawał ciepły, drgający, skręcający się we wszystkie strony kaczki korpus Regine Ziemek, siedzącej z rozsuniętymi kolanami na stołku i nucącej jakieś melodie; nucąc brała kaczkę, małym nożem otwierała tętnicę szyjną i przytrzymywała ją fachowo, wykrwawiając ptaka; bezustannie mieszała krew w glinianej misce, nie dopuszczając do jej skrzepnięcia.

Regine Ziemek to była nie tylko najbardziej zrównoważona i wszechstronna, ale też najbardziej beztroska dziewczyna służąca w majątku, dziewczyna, która nigdy i nikomu nie miała nic więcej do powiedzenia, niż „na, meinetwegen” albo „wszystko jedno”, co na to samo wychodzi. Jej brak zdania był tak zdecydowany, a spokój tak wielki, że tylko z rzadka podnosiła głowę i zerknęła na podwórze, choć szło tam o jej własną przyszłość; przed niewielką publicznością – mój dziadek pojechał gdzieś konno – dwóch mężczyzn mierzyło się ze sobą ustalając, czyje nazwisko Regine Ziemek ma nosić w przyszłości. Spokojnie mieszała krew na czerninę, swoją ulubioną potrawę, usłużnie podawała dalej kaczkę mojej matce, która ją skubała, rozcinała i sama wyjmowała i sortowała wnątrznosci.

Przy tym, jak powiedziałem, na podwórzu rozstrzygała się przyszłość Regine. Z mojego miejsca przy pieńku mogłem rozpoznać rywali:

Prawdźika, starszego szwajcara, przysadzistego, o szorstkim, ostrym wyrazie twarzy, a obok niego w pogiętych, ale eleganckich butach z cholewami – Hugona Bandillę, króla mazurskich szmuglerów, który wyłącznie z powodu tego pojedynku samowolnie udzielił sobie urlopu z więzienia. Najwidoczniej rywale wszystko już między sobą omówili; podali sobie teraz ręce, a gdy stary Piwko zapytał dziewczynę: – A ty byś chciała, żeby który zwyciężył? – ta wzruszyła ramionami i odparła: – Wszystko jedno który.

Pracowała bez szczególnego pośpiechu, podając kaczki mojej matce, podczas gdy na dworze obaj mężczyźni brali na plecy po dwa cetnary zboża, wychodzili na wysoką, uginającą się drabinę prowadzącą po szesnastu drewnianych szczeblach na górkę nad stajnią. Jedną ręką podtrzymywali i poprawiali ładunek, drugą podciągali się w górę, szczebel po szczeblu, a drabina drżała, chwiała się i wyginała, trzeba było ją przyginać, uspokajać drgania naciskiem ud, by można było posuwać się dalej w górę, ku otworowi, gdzie nie zrzucało się po prostu ciężaru na ziemię, lecz ostrożnie zsuwało po plecach, i to tak, by worek nie spadł i zawartość nie wysypała się z niego na podwórze.

Ustalono, musi pan wiedzieć, że każdy z nich wejdzie po drabinie pięć razy, pięć razy z dwoma cetnarami zboża na grzbiecie; wyglądało to tak, jakby waga ciężaru zwiększała się za każdym razem, gdyż Bandilli w miarę postępowania zawodów nie udawało się już wyprostować kolan mimo dających oparcie sztylpów, a Prawdźik wydawał z siebie na drabinie głosy, jakich przedtem nikt z jego ust nie słyszał, głosy skargi i rozpacz. Gdy nadchodziło ich drzenie, gdy ciężar zaczynał się niebezpiecznie przechylać, zbawczy otwór wydawał się nieosiągalny, a jakiś głos namawiał do rezygnacji, wtedy jeden szukał drugiego wzrokiem, na chwilę zatapiał w nim spojrzenie i jakby wzmocniony cudownym środkiem mego ojca, wdrapywał się dalej, obserwowany przez widzów nie tyle ciekawie i z entuzjazmem, co w milczeniu i z napięciem. Tylko stary niezguła Piwko, stale uśmiechnięty pod daszkiem wypłowiałej czapki, nie mógł powstrzymać się od swoich głupich komentarzy i przy co drugiej kaczce meldował Regine o stanie zawodów, mówiąc: – Pewnie

dostaniesz kolczyki od Bandilli – albo: – Prawdzik, cóż to za piękne nazwisko...

Regine Ziemek zerknęła lekceważąco na rywali, uśmiechała się, by już w następnej chwili przyglądać się pilnie mojej matce, która czyściła bladoniebieskie wnętrzości, po czym owijała je i supłała wokół oparzonych kaczych łap, jako dodatek do czerniny. Szyjki też owijała flakami, które przeciągała delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym, wyciskając w ten sposób zielonkawą, czasem jeszcze rozpoznawalną zawartość; owijała też skrzydełka – żołądków nie, żołądki, rozcięte i oczyszczone, lądowały w drewnianym cebrzyku.

Dziewczyna nie czyniła niczego, by odeprzeć wrażenie, że bardziej interesuje się czyszczeniem, parzeniem i owijaniem kaczych wnętrzości niż własną przyszłością; również kiedy rywale rozpoczęli następne zawody – po pierwszych nie wyłonił się niewątpliwy zwycięzca – siedziała dalej niewzruszona na swoim stołku, nie chciała patrzeć na to, co działo się na mulistym brzegu stawu, bronionym przez gąsior...

Niech pan tak nie mówi, drogi Martinie, był to nie tyle brak zainteresowania, ile poddanie się losowi, tamtejsze poddanie się losowi...

W każdym razie rywale, stając naprzeciw sobie na brzegu stawu, zdjęli najpierw marynarki i ściągnęli koszule bez kołnierzyków, Prawdzik zdjął swoją koszulę szwajcara w biało-czerwone paski. Patrzyli na staw, po którym pływały małe wysepki planktonu. Ważki jak zwykle patrolowały teren, ciągnąc szeregami. Wiatr pędził pojedyncze żdźbła puchu jak wydęte żagle po nieprzejrzystej, gęstej wodzie, w której nic się nie odbijało; woda nie zdradzała swoich głębin ani płycizn. Ościste karasie, czasem liny z energicznym biciem płetw przeszywały jej powierzchnię i chwytały owady.

Publika, która podążała za rywalami, szeptała między sobą; większość obserwatorów stała ze skupieniem na twarzy, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

Wtem mężczyźni spojrzeli na siebie. Wyzywająco skinęli sobie głowami, schylili się po ciężkie, bardzo długie bicz – wie pan, takie, przy pomocy których kierowało się czwórką koni – znowu spojrzeli na siebie, ale ten, kto wiedział, o co szło, zauważył, że spuścili wzrok i zmierzili się w dół od pasa; jeden drugiego, rozumie się. Przymierzali się więc tak nad stawem, a na powtórne skinienie zaczęli wywijać tymi ciężkimi, ale zwężonymi na końcu biczami, najpierw wysoko nad głową, a potem coraz niżej i niżej, wprawiając je w równomierne i płaskie obroty, tak że węzeł na końcu rozcinał czasem wodę, ostro i szybko jak jaskółka, a gdy rzemień osiągnął dostateczny rozmach i chwila wydawała się dogodna, atakowali. Rozpuszczali rzemień na całą długość i niemal natychmiast ściągali z powrotem, tak że związał się w kółko, a dokładniej biorąc – uderzając miał tyle luzu, że mógł się owinąć trzy, a może nawet pięć razy wokół jakiegoś przedmiotu, który z kłaśnięciem unieruchamiał. Celowali w nogi. Próbowali schwytać się wzajemnie za kostki. Gdy już rzemień błyskawicznie spętał rywala, wówczas łatwo było go powalić w nadbrzeżny muł.

Może pan sobie wyobrazić, że nie miałem czasu kłaść giętkich szyjek kaczyc na kłocu – musiałem się dowiedzieć, jak skończy się pojedynek nad stawem, skąd słychać było klaskanie i świst, gdzie rywale, jak to określaliśmy, cięli powietrze na plastry, opanowani i zacięci, owszem, ale przy tym bez kipiącej wrogości; od czasu do czasu, gdy rzemień natrafiły na siebie i splatały się, podchodzili jeden do drugiego, wprawdzie ciężko oddychając, ale bez widocznej złości, wspólnie rozplątywali węzły i pomagali sobie w razie potrzeby. Pamiętam też, że gdy nad wodą ustawał świst i klaskanie, Regine Ziemek pochylała się lekko do przodu, myśląc zapewne, że właśnie nastąpiło rozstrzygnięcie; nie była więc zupełnie niezainteresowana, chociaż jestem pewny, że w żadnym wypadku nie wyjawiałyby, jakie oczekiwania wiązała z wynikiem zawodów.

Rywale rozchodzili się ponownie, wracali na umówione miejsca i wprawiali bicz w ruch; niespodziewanie Prawdzikowi udał się cios z tak dokładnie wymierzoną siłą, że Hugo Bandilla skurczył się, zwinął cały z bólu. Rzemień sięgnął wprawdzie tylko jego buta, ale okręcił się na nim

wielokrotnie i tak ciasno, że gdyby Prawdzik teraz mocno pociągnął, jego współzawodnik prawdopodobnie by się przewrócił, ale Prawdzik nie ciągnął, nie, naraz stał całkiem bezradny z tą swoją przewagą, opuściwszy bicz, jakby nie chciał osiągnąć nic ponadto.

Jego spojrzenie biegło w dal, nad Bandillą, ku pochyłej kuźni, ku wysłużonym, na wpół zarośniętym bronom i siewnikom, gdzie nagle wyłonili się dwaj żandarmi, po jednym z każdej strony; najwidoczniej już się porozumieli, gdyż zaraz się rozeszli i zaczęli schodzić nad staw. Dostrzegliśmy ich wszyscy z wyjątkiem Bandilli; ten wciąż jeszcze stał i czekał na decydujące pociągnięcie, które miało go powalić. Gdy nasze skupione i zwrócone w jednym kierunku oczekiwanie skłoniło go wreszcie do odwrócenia się, było już za późno; żandarmi w źle skrojonych mundurach, każdy z gwizdkiem na pleconym sznurku, podeszli do niego równocześnie, wytrącając mu bicz z ręki i wykręcając ręce do tyłu. Nie przyjmowali do wiadomości niezadowolenia publiki, zmuszali się, by nie widzieć wrogich gestów i nie słyszeć rzadkich przekleństw, gdyż bali się, że zagrozi to ich powodzeniu, już raz bowiem Bandilla wykorzystał do ucieczki zatarg między żandarmami a widzami.

Żandarmi popchnęli swego więźnia do przodu, w go międzyzy siebie, aby go poprowadzić przez szpaler niechęci, wśród zgrzytania zębami i gróźb; wówczas Prawdzik pociągnął jeden raz za przydługi rzemień, dając sygnał – a sygnał ten był tak jednoznaczny, że zatrzymał się nie tylko Bandilla, ale i żandarmi. Prawdzik bez pośpiechu, w zamyśleniu zaczął obchodzić staw, przekładając dłonie zwiżał rzemień, składał go w równomierne zakola, aż rzemień przywiódł go do grupy, a dokładnie do Bandilli. Schylił się przed nim; nie patrząc odplątał rzemień z jego buta; rozluźniając go kolistymi ruchami, spojrzał z dołu ku Hugonowi, dosyć zatroskany, a potem powiedział krótko, jakby należało coś skwitować: „Niniejszym chciałbym zrezygnować ze swoich praw, żebyście tylko wiedzieli, i szczęścia życzę”. Odwrócił się nieco zbyt raptownie i skierował przez podwórze majątku do stajni, wlokąc za sobą rzemień, a Regine Ziemek nie potrzebowała pytać, jaka przyszłość się dla niej szykuje, gdy bez jednego spojrzenia przeszedł obok kaczego podwórka...

Cierpliwości, mój drogi, jeszcze trochę cierpliwości: musi pan się jeszcze czegoś dowiedzieć, bo to należy do rzeczy, a ponieważ sam dostatecznie często wyciągałem wnioski z rzeczy niepozornych... Ale co to ja chciałem powiedzieć?... Aha, słusznie, publika, nasi ludzie z majątku, tak, właśnie to chciałem powiedzieć: robotnicy, dziewczki folwarczne i chłopcy stajenni zaczęli nagle klaskać, była to przyciszona owacja, a ponieważ dotyczyła obydwu mężczyzn, rozchodziła się w obydwu kierunkach, towarzyszyła Prawdzikowi do stajni, a Hugonowi Bandilli aż do psych bud. Wtem owacja się skończyła, urwała się nagle, ostro jak pękający pas transmisyjny.

Przez otwartą bramę wjeżdżał konno mój dziadek, Alfons Rogalla, nie podniósł nawet głowy na pozdrowienie żandarmów. Nadjeżdżał stępą; w poprzek, z przodu u siodła, zwisało coś bezwładnego, poplamionego – martwe ciało jego myśliwskiego psa imieniem Łapaj. Dziadek zatrzymał się na chwilę przy ludziach, zrzucił ciężar na ziemię i budząc się nagle z zamyślenia stwierdził, że tylko on tu decyduje, kiedy ma być koniec pracy. Niecierpliwy ruch ręką i ludzie rozproszyli się, wracając do swoich zadań – z wyjątkiem chłopca stajennego, któremu dziadek nakazał wzrokiem, by został. Kazał sobie pomóc przy zsiadaniu, trącił nogą martwego psa, powiedział tylko: „Zakop go”, i pokuśtykał do nas na górę, do kurników.

Pies zawiódł go podczas polowania na łyski nad Jeziorem Tatarskim, zatrzymał się przed pasem sitowia. Wiele postrzelonych kaczek powiosłowało w trzciny, pies miał je wytropić i zaaportować, lecz za każdym razem, gdy czarna woda zaczynała sięgać mu do boków, skomląc oglądał się w tył, sierść mu się jeżyła, odmawiał wykonania rozkazu, tak, nad Jeziorem Tatarskim...

Co pan mówi? Nie tylko; dziadek poświęcił chwilę, by nam to wytłumaczyć: – Właściwie powinienem go być zastrzelić po pierwszej odmowie... – Zastrzelił go więc za drugim razem, ale przywiózł do domu i kazał pogrzebać w pokrzywach za kuźnią. Jego nieufność zawiodła go tam jeszcze raz i kazała mu udeptać grób butami; była to głęboka, wprost masochistyczna nieufność, panująca nad nim i zmuszająca go do drobiazgowego sprawdzania, jak wykonuje się jego rozkazy, zarówno na

polach, jak i w lesie czy budynkach majątku; zdawał się nawet troszczyć o nasz deputat i nie odmówił sobie obecności przy napełnianiu bańki do mleka kaczą krwią i przekazywaniu miski ze śliskimi wnętrznościami.

Matka nigdy nie zwlekała z odebraniem od niego wynagrodzenia, niezwłocznie nieśliśmy do domu, co nam się należało, nawet jeśli to była tylko bańka pełna kaczej krwi i miska z wnętrznościami, słodkawa pachnąca podstawa czerniny...

Teraz kieliszek wódki z jałowca, jak chętnie zaprosiłbym pana teraz na taki kieliszek, aby móc potem wyliczyć i opisać wszystkie dodatki do mazurskiej czerniny, ale rozumiem, mój drogi, że musi pan już iść... Przepis wraz z wszystkimi wariantami zajmował przeszło dwie i pół strony w „Wielkiej księdze przepisów”, wyłożonej w naszym muzeum obok pokoju z ozdobami, w bocznym pomieszczeniu, w którym zgromadziliśmy wszystkie dostępne dokumenty o zwyczajach związanych z jedzeniem, pićiem i pracą...

Tak, wiem, musi pan iść... Henrike też miała swój udział w powstaniu tej książki, w szperaniu...

Gdybym tylko wiedział, gdzie są moi ludzie, Carola, Simon Gayko, Marian, gdybym tylko wiedział, gdzie się schronili, tu nic się nie można dowiedzieć, może tylko udają, że nie wiedzą, bo chcą mnie oszczędzić. W każdym razie wiem, gdzie jest Henrike, dziękuję panu za to...

Rzeczywiście pan to zrobi? Może uda się panu raczej dowiedzieć, gdzie się oni wszyscy podziali i co ich dotąd powstrzymuje od odwiedzenia mnie; nie powinienem chyba myśleć, że są ranni, że coś im się przydarzyło po tym, jak mnie wynieśli z zasięgu ognia...

Słucham? Że jestem zdenerwowany? Nie, nie, o to nie musi się pan martwić, to tylko zwykłe podniecenie, na które jestem skazany, pojawiające się samo z siebie, które mi zawsze towarzyszyło.

O, w to nie wątpię, teraz jest pan niemal zobowiązany przyjść tu znowu...

Wiem, musi pan już iść... Rozumiem, że nie zechce pan przekazać pozdrowień Henrike... Ja w każdym razie się cieszę, bardzo się cieszę, że pan znowu przyjdzie. Nie musi się pan trzymać pory odwiedzin.

II

Bliżej, mój drogi, niech się pan przysunie bliżej do łóżka, będę pana lepiej rozumiał i nie będę musiał tak natężyć głosu. Tak będzie łatwiej...

A więc Henrike nie chce się pogodzić, nie chce i nie może się pogodzić z tą stratą, i wcale mnie to nie zaskoczyło, spodziewałem się tego. Między nami – zdziwiłbym się, gdyby było inaczej, gdyż w owych latach, kiedy urządzaliśmy muzeum, byliśmy nie tylko ogarnięci tym samym zapałem, lecz inspirowało nas również to samo przekonanie, że Mazury, ten mroczny, tajemniczy kraj dopiero wtedy były ostatecznie stracony i porzucony, gdyby nikt o nim nie pamiętał.

Być może dowiedział się pan przez ten czas, jak wiele nas właśnie łączyło, Henrike i mnie, i jak bardzo byliśmy do siebie podobni w swoich nadziejach i oczekiwaniach, co między innymi uwidoczniło się głównie wtedy, gdy musieliśmy bronić naszego muzeum przed sarkazmem jej starszego brata, przed drwinami i politycznymi zarzutami Bernarda. Nie musieliśmy się specjalnie porozumiewać, dyskutować, wzywać, w sposób niejako naturalny staliśmy po tej samej stronie barykady, Henrike i ja, mimo lat, które nas dzieliły, mimo różnicy przeżyć...

Tak, rozumiem, że nie może się pogodzić ze stratą, rozumiem również jej rozczarowanie i ową, jak pan to nazwał, skamieniałą gorycz, gdyż w końcu w chwili pożaru pozbawiona została również swego wkładu, a rezultaty jej szperania rozsypały się w chmurze popiołu.

Słucham? Nie, nie mogłem jej wtajemniczyć. Henrike nie zna ostatecznego powodu i może nawet by nie zrozumiała, że czasem tylko nagła strata zwraca nam szansę zachowania czystych rąk...

Przyznaję, drogi Martinie, że musi to zostać dopiero udowodnione, ma pan rację, i jeśli starczy panu cierpliwości, dam panu dowody na to, że nie miałem innego wyjścia – tak, niezbite dowody.

Ale co to ja chciałem panu opowiedzieć? Przecież już to uporządkowałem, przemyślałem... Ta zima, prawda, tej zimy, kiedy to po raz pierwszy coś sobie uświadomiłem...

Na początku więc, jak już mówiłem, kłębiły się wielobarwne dymy, rozkwiatały sztuczne mgły, z których wynurzałem się lekko oszołomiony i odkrywałem Mazury, zaczynające się od otynkowanych murów więzienia, a kończące na majątku dziadka. A potem była ta zima, i niech pan sobie wyobrazi kraj, jak gdyby na zawsze zasypany śniegiem, pomniejszone domy, skurczone lasy, smugi śniegu, unoszone wiatrem, niech pan rzuci w powietrze kilka wyczerpanych wron i doda naszej zimie to wszystko, czego w swej nieżyczliwości wymaga: a więc twardych, błyszczących płaszczyzn lodowych, trzaskającego mrozu i owej sztywności sitowia i traw na oblodzonych łąkach. W skrzynkach rybaków, łowiących pod lodem, marzły okonie i sieje, stawały się kruche jak szkło. Bielizna na sznurach zamarzała i trzeszczała, a czasem darła się przy zdejmowaniu. Mróz przegryzał się przez ochronne warstwy kopców i kartofle robiły się słodkie. Małe ptaszki – sikorki sosnówki, mysikróliki – skapywały martwe z drzew.

A teraz niech pan sobie wyobrazi sześć par sanek, prześlizgujących się jedno za drugim bez dźwięku dzwonek po nietkniętym śniegu, na przełaj przez pola i łąki, równoległe do brzegu jeziora Łukowiec, sześć par sanek pełnych okutanych ludzi, zmierzających do Zatoki Juskowskiej, tam gdzie Borek sięgał sosnami do jeziora i gdzie na nierównym zboczu leżały chaty Małego Grajewa.

To nie władze, lecz my sami nadaliśmy grupce porośniętych mchem chałup nazwę Małe Grajewo, ponieważ tu właśnie znaleźli schronienie jego późniejsi mieszkańcy i nie pozostało im nic innego, jak żyć tylko między sobą – polscy robotnicy rolni, flisacy i robotnicy leśni, którzy od pokoleń karczowali pnie w naszych lasach i nikt lepiej od nich nie potrafił

tego robić. Z ostatnich sanek widziałem bezkształtne, wypchane plecy, nad którymi sterczały lufy strzelb barwy dymu, widziałem jasne obłoczki oddechów koni, puszczonej wolno w cuglach i ciągnących nas przez pagórki i muldy, całych w ciemnych plamach od potu. Oczywiście był tam Alfons Rogalla, mój dziadek, nadleśniczy Blask, ale jechał także Heyduck z tartaku i Tuchliński, miejski kasjer z Łukowca, a przed nami na koźle masywny, podobny do kłoca ojciec Conny'ego Karrascha, który uległ w końcu naszemu marudzeniu: – No, niech tam będzie, ale bez wygłupów, bo oberwiecie! – Siostrze Conny'ego, Edith, nie pozwolono wejść pod fartuch podbity futrem.

Sanki wjechały kawałek do Borku, obok zawianej śniegiem szkółki leśnej, sięgającej do bioder, skręciły na polanie i przyspieszyły biegu w dół w kierunku jeziora Łukowiec i Małego Grajewa. Czekano tam na nas. Dzieci trwały za szybami, oślepyli od lodowych kwiatów – Conny pomachał kilkorgu z nich – czekały również kobiety w lekko uchylonych drzwiach, a dalej, obok oblodzonej studni, gdzie rozlana woda zamarzała i utworzyła pagórek, stali mężczyźni w ciężkich kaftanach, futrzanych czapkach i filcowych butach, z kłonicami albo podobnymi do nich drągami w rękach. Sanki zajechały w dwuszeregu i zatrzymały się na stratowanym placyku koło studni. Obeszło się bez powitań, nawet bez podniesienia ręki, wymieniano tylko spojrzenia, lekceważące i sceptyczne, po czym jeden z obecnych, bladej mężczyzna o powolnych ruchach, Johannes Hauser, podszedł do sanek Blaska.

Dziwne? Niech pan się nie dziwi, mój drogi, tak to już u nas było: nasi ludzie nazywali się Konopatzki, Piasek albo Sobottka, a tu, w Małym Grajewie, nosili nazwiska Gutkelch, Niedermuller albo Hauser...

Widzę jeszcze Johannesesa Hausera i jego ściągnięty profil w bladym słońcu; z pewnością nie był najstarszy z mężczyzn, ale był ich rzecznikiem albo nieoficjalnym starostą, który teraz bez zmiany wyrazu twarzy słuchał wskazówek nadleśniczego, o nic nie pytając, kiwając tylko głową i kryjąc za plecami swoją kłonicę na znak oddania. Raz jednak się uśmiechnął, odchylił głowę do tyłu i zmęczonym gestem odpowiedział na pozdrowienie Conny'ego, który pomachał ku niemu ręką; przymrużył

jedno oko, mrugając jak do współnika. – Mój przyjaciel Johannes – szepnął mi Conny.

Johannes Hauser słuchał dotąd, póki nie został odprawiony gestem, po czym podszedł do swoich ludzi i obserwował wraz z nimi, jak sanki ruszyły, zawróciły i skrzypiąc podjeżdżały na zbocze, a dopiero gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słyszalności, zebrał ich wokół siebie i zdawał się mówić do nich z tym samym brakiem wyrazu, z jakim przyjmował wskazówki; widziałem jeszcze, jak ruszyli w małych grupkach naszym śladem, chwiejąc się między rzadko stojącymi drzewami.

Zajechaliśmy na wyznaczone miejsce, polowanie mogło się rozpocząć.

Każdej zimy, jak tylko sięgnę pamięcią, przekraczał granicę wraz z poddaną mu gromadą i każdej zimy, gdy tylko potwierdziła się wiadomość o wilku, wyruszały mieszane grupy myśliwych, by przede wszystkim zgładzić właśnie jego, owego starego, jednookiego wilka-przewodnika, któremu z takimże respektem jak i oburzeniem nadano przydomek Czarny Diabeł, choć nie był wcale czarny, lecz szary, raczej średniej wielkości, cały pokryty bliznami, z futrem przypominającym kawałek spalonego leśnego poszycia. Często go okrążano, zaczajano się nań, strzelano z fuzji, przysięgano, że został trafiony, z całą pewnością podawano się za świadka jego ostatniego skoku, a niektórzy twierdzili, że na ich oczach wywinął kozła, wzniecając kurzawę śniegu, ale cokolwiek by wymyślono i przypisywano sobie, to nikt nie mógł okazać mizernej skóry i dlatego było pewne, że przyszłej zimy znowu będzie można się go spodziewać. Przybywał, jak sądzono, z lasów spoza granicy, aż od polskich Suwałk, ze swoją zgają siał spustoszenia w zwierzynie, zagrażał drogom i oblegał odległe gospodarstwa.

To było ósme, według obliczeń dziadka nawet dziewiąte, polowanie, a wśród uczestników było kilku takich – Blask, Karrasch, Tuchliński – którzy brali w nich udział od początku i dla których pojawienie się starego wilka-przewodnika było kulminacyjnym punktem zimy, wciąż

tym samym wyzwaniem, z tymi samymi rozmowami, przygotowaniem i wyprawami.

Co pan ma na myśli? Oczywiście, również z ciągle tymi samymi wieczornymi pogwarkami, podczas których fetowano każdą chwilę polowania.

A więc zajechaliśmy na ustalone miejsca, najpierw jeszcze rzędem przez ośnieżony las, po czym sanki jedne po drugich odrywały się od pozostałych i znikwały za sąznięmi drewna i jodłami, ociążałymi od śniegu, tak właśnie, jedne po drugich, aż wreszcie i my ześliznęliśmy się w boczną drogę i jechaliśmy póty, póki Borek nie otwarł się przed nami i nie przeszedł w zarośla jałowca. W dali widniała obludzona góra zamkowa z siedmioma sosnami, a pod nią, w kierunku przesmyku, na bagnach, dokładne ślady zimowych tarasów i płaszczyzn, wykopanych i wygładzonych przez Adama Rogallę, tak starannie, że ich planową dokładność można było rozpoznać nawet pod śniegiem.

Zatrzymaliśmy się pod osłoną kadyku. Conny i ja wyplątaliśmy się z okryć, przeszukiwaliśmy skraj lasu, wpatrywaliśmy się w zamrożone bagna, splądrowany pas trzciny nad jeziorami, białe pagórki poszczególnych krzaków jałowca. Nic się nie poruszało, nic jeszcze nie drgnęło, a ojciec Conny'ego siedział z flintą na kolanach, ociążał i niefrasobliwy, bez oznak zdenerwowania, ale może też z góry zrezygnowany, gdyż jako uczestnik wszystkich dotychczas daremnych polowań również teraz mógł nie wierzyć w powodzenie. Podniósł tylko do góry jeden nausznic futrzanej czapki, dłonie miał schowane w bezkształtne rękawice z jednym palcem. Sposobem, w jaki siedział, dawał nam do zrozumienia, że nie chce, by się do niego odzywano, dlatego naciągnęliśmy na głowy futrzane okrycie i pozostawili tylko szparkę, by móc obserwować spokojny krajobraz.

Nie chciałbym za dużo mówić, drogi Martinie, ale kto nie przeżył tej ciszy na Mazurach zimą, ten w ogóle nie powinien zabierać głosu, gdy mówi się o ciszy; nie było to bowiem tak, że brakowało zwykłych dźwięków, choćby nawet skromnego szumu, pluskania czy ciurkania w tej ciszy

człowiek czuł się jak na krańcu świata, zapomniany i opuszczony, mogło się zdawać, jakby czas przepływał tu ponad wszystkim, nad każdym wysiłkiem, każdym buntem. Ale zostawmy tu; nie możemy przecież opuścić sanek i naszego stanowiska pośród jałowca, musimy obserwować skraj lasu, czy nie wypadnie z niego szary, wydłużony korpus, albo też, mądry doświadczeniem wielu blizn, będzie pełznął, zaryty głęboko w śniegu, ku brunatnemu pasmu trzcin.

Wreszcie ojciec Conny'ego podniósł również drugi nauszник do góry i wyciągnął jedną dłoń z rękawicy. Był to dla nas sygnał, by się znowu wynurzyć i stojąc nadłuchiwać, przede wszystkim z głębi Borku, skąd słyhać było teraz krzyki, szczególne wołanie, śpiewne, na jednym tonie, przypominające żalosną skargę. Słyszało się również gromkie uderzenia, drzewo uderzało o drzewo, prawdopodobnie walono kłonicami o pnie, a wśród tych uderzeń padł pierwszy strzał, cienki i prawie bez echa. Konie zastrzygły uszami, nasłuchując odgłosów z tyłu i potrzasały łbami w oczekiwaniu na komendę. Ojciec Conny'ego spokojnie odbezpieczył fuzję, palcem wskazującym namacał spust. Okrzyki nie przybliżyły się, następowały po sobie w szybkim tempie, w rytmie nadbiegającej i szybko załamującej się fali, również wówczas, gdy rozległ się grad wystrzałów, brzmiący głucho jak fajerwerki w śniegu. Sójki zerwały się z drzew, kolorowy dzięcioł przeleciał nisko w kierunku jeziora. To nie zimno wywoływało teraz mrowienie w stopach; skakaliśmy na sankach, bębnilili pięściami w zgiętą żelazną poręcz, wyrzucali ręce w górę, gdyż w lesie coś się kurzyło, skomlało, uciekało, coś, co z pewnością nadawało się na cel, ale nie było celem, na który ojciec Conny'ego czekał w mrocznym spokoju...

Tak, tak właśnie jest, jak pan mówi: w zdenerwowaniu widzi się więcej. Nawoływania, grzmiące uderzenia, grad wystrzałów podniecił nas tak bardzo, że dookolna nieruchomość ożywiła się, coś się poruszało, wilo i wzbudzało podejrzenia, zwłaszcza we wczesnym zmierzchu, przynoszącym ze sobą zapach dymu. Ta niecierpliwość, to mrowienie; ponieważ czuliśmy się poza nawiasem, wybiegaliśmy myślami w głąb lasu, gdzie hałas wszystko obudził, do samego ośrodka zamieszania, w którym stary jednooki wilk, oślepiiony błyskami strzałów, warcząc

rozpraszał swoją zbitą z tropu zgrają i zmuszał do ucieczki w pojedynkę, pomiędzy migające kłonicie, wśród lśniących nawisów śniegu, które echo strzelaniny strącało z gałęzi. Dlaczego przydzielili nam to odległe stanowisko?

Może pan sobie wyobrazić, jak się poczuliśmy, gdy spostrzegliśmy, że odgłosy polowania zaczęły cichnąć i oddalać się, nie pozostało nam nic innego, jak nasłuchiwać w bezruchu, w ogromnym rozczarowaniu, gdyż wydawało się nam, że zostaliśmy wystrychnięci na dudków.

Coś musiało się stać pośród wędrującego pierścienia strzelców i naganiaczy; tam, gdzie pragnęliśmy być, padały już tylko pojedyncze strzały, a dochodzące i rzadka okrzyki brzmiały jak rozkazy, przekazywane dalej, jak śpiewne komendy, które odnosiły się również do nas w naszym martwym kącie. Conny nalegał, prosił i marudził, byśmy jechali za polowaniem, ale jego ojciec potrząsnął głową i wpatrywał się w skraj Borku – tak długo, aż zmierzch pozbawił wszystko ostrości: gałęzie, krzaki i białe pagórki, dopiero gdy wszystko zlało się w jedną granatową ścianę, dał znak do wyruszenia, ale wówczas było już cicho. Polowanie, zda się, dobiegło rzeczywiście końca, nie słychać już było uderzeń ani okrzyków, w milczeniu sunęliśmy przez Borek na miejsce zbiórki, podrażnieni rozczarowaniem.

Sunęliśmy więc na miejsce zbiórki, ku Francuskiemu Wzgórzu, płaskiemu, bezdrzewnemu wzniesieniu w Borku; wyszukał je sobie na stare lata pewien francuski żołnierz i musi pan wiedzieć, że był to trębacz, towarzyszący swemu nawykłemu do zwycięstw cesarzowi w wyprawie na Moskwę; spokojny trębacz, który w powrotnej drodze skąpał się w zimowej Berezynie; który – jak sobie opowiadano – zjawił się w Łukowcu chory, bez płaszcza, w samych onucach na nogach, stukając do wszystkich domów, by wymienić swoją trąbkę na chleb; bezskutecznie, póki nie zapukał do kalekiego kowala; ten snadź znał się na rzeczy, dał mu więc oprócz chleba siekierę i gwoździe, a francuski żołnierz poszedł do Borku, zbudował sobie chatę i mieszkał tam, często odwiedzany przez kalekiego kowala, który z kolei był trębaczem szturmowym u Bośniaków; przy korzystnym wietrze Łukowczanie słyszeli podobno nieraz sygnały, jakich

jeden drugiego usiłował nauczyć, słuchali ich może nie ze strachem, ale jednak z dreszczykiem niepokoju.

Ta trąbka również wisiała w naszym muzeum, tak, mój drogi, również owa napoleońska fanfara szturmowa...

Byliśmy więc w drodze na miejsce zbiórki, kierowaliśmy się ku Francuskiemu Wzgórzcu, gdzie płonęło ognisko, pochodnie dodatkowo rozjaśniały polanę, woskowe pochodnie, ale również zwykłe sosnowe szczapy, wybuchające płomieniem, trzeszczące i rozsiewające zapach żywicy. Sanki ustawiły się w półkole, rozpoznałem to między pniami prześlizgującymi się przed oczyma, zauważyłem też, że stali tam mężczyźni naprzeciwko siebie, nieporuszenie i wyzywająco, z czujnymi twarzami, po których ślizgał się odblask pochodni. Jak gdyby nigdy nic przyłączyliśmy się do reszty sań, wyskoczyliśmy, popatrywaliśmy tu i tam między mężczyznami, aż odkryliśmy dwa martwe ciała w śniegu obok ognia, ciało wilka, wyciągnięte jak do skoku, z wyprostowanymi łapami, a obok, z kawałkiem drzewa pod głową, ciało mężczyzny. Leżeli tam, jakby obaj stanowili trofea tego polowania, wilk i mężczyzna, mniej więcej na tej samej wysokości...

Widzi pan, ze mną było to samo, nie od razu zrozumiałem, co się stało i co się działo później, tam w półkolu sań, wśród tych wszystkich ruchomych cieni, gdzie większość mężczyzn stała tylko wyzywająco naprzeciwko siebie, ale kilku szeptało ze sobą albo ściślej: spierało się z hamowanym oburzeniem. Z jednej strony występował Blask, a w imieniu ludzi z Małego Grajewa mówiło dwóch mężczyzn, wyglądających na braci, obaj o szerokich kościstych twarzach, każdy z szalikiem z niefarbowanej wełny wokół szyi. Rozprawiali o czymś między sobą, wyglądało to na powstrzymywane oskarżenie i szorstką obronę – jak już mówiłem, początkowo nie wszystko rozumiałem – po czym razem podeszli do ognia, za nimi mężczyźni z pochodniami i nasi ludzie z fuzjami zwisającymi luźno z ramienia, lufą w dół, a rzecznicy obu stron przyklękli w śniegu obok nieruchomego mężczyzny i zaczęli go badać, najpierw zlepione włosy, potem tył głowy i kark, krąg stojących wokół zacieśnił się, gdy z leżącego ściągnięto ciężki kaftan, dwa swetry, a na koniec obie szorstkie

koszule bez kołnierzyka, tak że leżał w śniegu z nagim torsem. Ale nawet teraz nie zadowolili ich ten widok, przesuwali po ciele palcami, badali pachy, po czym obrócili ciało na drugą stronę, żółtawy, chudy korpus z dwiema bliznami w kształcie sierpa pod łopatkami, tak, odwrócili go, dotykali i obmacywali aż do ostatniego kręgu. Podnosili dłonie do światła, szukając śladów krwi...

– Słucham?

Tak, z pewnością mieli ten zamiar, ale nie mogli znaleźć żadnej rany postrzałowej, nawet śladu draśnięcia; choć jednak zostało dowiedzione, że nie zabiła go kula, dalej czuliśmy ich wrogość, a na ich twarzach pozostał wyraz bezradnego oburzenia. Nie otwierali kręgu, zdawali się na coś czekać, przy czym sami być może nie wiedzieli na co, gdyż ostatecznie to kilku z nich znalazło owego mężczyznę w młodniaku i przyniosło tutaj, a potem sami stwierdzili, że nie miał zewnętrznych obrażeń.

W każdym razie czułem intensywność ich oczekiwania, kucając koło martwego wilka, dotykając jego sierści i roztrzaskanej kulami paszczy, gdzie znalazłem odkruszony ząb, którego tak pilnie potrzebował mój ojciec, a kucając tak, widziałem, jak Conny przecisnęła się przez pierścień ludzi, spostrzegł martwego mężczyznę i powoli przybrał postawę pełną przerażenia, jakby musiał się przed czymś bronić. Przeniósł ciężar ciała do tyłu, pełen grozy spojrzał znów na mężczyznę w śniegu, a potem na Blaska, który patrzył na niego twardo i odpychająco. Conny zdawał się już dostatecznie dużo wiedzieć, zrezygnował z wszelkich wyjaśnień i z jakimś szlochem, brzmącym jak jęk, rzucił się na naszego głównego leśniczego i wbił pięści w jego szeroki futrzany płaszcz, z bezcelową zaciętością, bardziej po to, by stępić własny ból niż osiągnąć jakiś skutek.

Conny Karrasch, wielki Conny Karrasch, któremu może nie wyłącznie, ale przede wszystkim zawdzięczam, że tu leżę – tak, nikt tak bardzo nie wpłynął na moją ostateczną decyzję jak on – Conny mógłby wtedy równie dobrze wbić pięści w powiewające na wietrze prześcieradło, gdyż szeroki płaszcz Blaska wychwytywał wszystkie uderzenia i nie pozwalał osiągnąć celu. Blask nawet się nie bronił, spoglądał tylko na napastnika z

lekceważącym zdziwieniem; jednym ciosem, wymierzonym szeroko i niemal spokojnie, ściał Conny'ego z nóg. Conny zwinął się w kłębek, zanim skomląc upadł na śnieg. Powtarzał z jękiem: – Zastrzeliliście Johannaesa, zastrzeliliście Johannaesa – kopał nogami śnieg i nie słuchając wielokrotnych, monotonnych rozkazów ojca powtarzał wciąż na nowo: – Zastrzeliliście Johannaesa. – Zdawał się wcale nie zauważać, że ojciec podniósł go w górę – za kark, jak królika, potrząsnął nim w powietrzu i zmusił do podniesienia twarzy, a gdy Conny nań spojrzął, uderzył go, raz wewnętrzną stroną, a potem grzbietem dłoni, z goryczą i dokładnie, tak że każdy z kręgu mógł zobaczyć, jak klaszcząca siła uderzeń miotała głową Conny'ego na obie strony. Chłopak upadł, zakrył rękoma twarz i nie wstawał.

Zanieśli go do sanek, rzucili na nie i niedbale nakryli kocem; teraz nie było już słyhać jego jęków. Ścisnąłem w dłoni ukruszony wilczy ząb, przepełzłem przez krąg myśliwych, prześliznąłem się do sanek, wspiałem na nie, odszukałem Conny'ego pod futrem i dotknąłem go. Drgnął, odsunął się ode mnie i wcisnął w kąt, zwinęty w kłębek. Zostawiłem go samego, gdyż musiałem zobaczyć, jak odchodzili od ognia, jak rozluźniali krąg, krąg podejrzeń i przesądów; śledziłem przez swoją szparkę, jak porozumiewali się na odległość, stale uważając, by mówić tylko to, co najkonieczniejsze. Potem sanki Tuchlińskiego podjechały do ogniska, załadowano człowieka i wilka na ten sam pojazd, razem ułożono ich obok siebie, jednakże człowieka przykryto. Zasypali ognisko śniegiem, w blasku pochodni zadeptywali miejsce po ogniu i powoli, by ludzie z Małego Grajewa mogli za nimi nadążyć, sanki Tuchlińskiego skrzyły w szeroką przesiekę, otoczone migocącymi płomieniami.

Nie, ojciec Conny'ego wiele nie mówił, tylko gdy wszedł na sanki, wcisnął drzewce biczyska w wybrzuszenie koca i powiedział: – Przyjacieli Polaczków – a potem sunęliśmy w milczeniu przez ciemności, płozy tarły o zamrożone koleiny, a gdy minęliśmy majątek i ojciec Conny'ego skierował sanki na tamę, powiedział nagle, jakby w czasie całej tej drogi nie mógł o niczym innym myśleć: – Przyjacieli Polaczków...

Nasz wilk w muzeum, wypchany egzemplarz, który z wyciągniętym gipsowym jęzorem witał każdego, kto wchodził do działu „Zwierzyna Mazur”, ów wilk był, nawiasem mówiąc, o wiele szczuplejszy i krótszy, a sierść jego w kilku miejscach całkiem wytarta od pieszczotliwego głaskania dzieci szkolnych...

Co pan mówi? Miniony świat? A więc to wszystko wydaje się panu minionym światem, zapomnianym i martwym, szczęśliwie przewyciężonym, tak pan myśli? – Nie wiem, mój drogi, dla mnie nie ma żadnego minionego świata, żadnego zaksięgowanego czasu, tak po prostu zerwanego z kalendarza historii, jestem raczej przekonany o tym, że każda przeszłość trwa, ponieważ nie można się z niej wyleczyć...

Tak, przeszłość jest wśród nas, jako cierpienie albo możliwość... Ale co to ja chciałem powiedzieć?

Prawda, w powrotnej drodze z polowania, tak, na końcu tamy sanki zatrzymały się, rękojeść biczyska wskazała na nasz mały domek – lód wypaczył drewniany pomost – a ja zeskoczyłem i czekałem na jakieś słowo pożegnania, ale wszystko, co usłyszałem, to był trzask z biczka. Może Conny mi jeszcze pomachał, nie wiem, nie mogłem długo obserwować sanek, gdyż mój ojciec wypadł podniecony z domu, pociągnął mnie do środka i zaraz wyciągnął dłoń, pokrytą bladymi i zaognionymi bliznami: – No, gadaj, masz ząb czy nie masz? – Nie zostawił sobie czasu, by przyjrzeć się mojej zdobyczy lub ją obwąchać; ułamany wilczy ząb zadźwięczał natychmiast w moździerzu, gdzie wśród potrząsań i wyważonego dodawania nasion srebrzystego ostu wydobywano zeń jego tajemnice.

Przez całą tę zimę Conny pozostał dla mnie nieuchwytny; nie pokazał się, gdy rybacy tuż przed więzieniem wyciągali szerokie sieci z wyrąbanej siekierami przerębli, nie było go wśród okutanych widzów, gdy żeglarze lodowi mknęli z sykiem na ostrych płozach przez jezioro Łukowiec i pokazywali swoje sztuki, a także później, podczas wielkiej odwilży, gdy ostrożnie kroczyliśmy po chwiejnych odłamkach kry wzdłuż brzegu, odpychaliśmy się nawzajem i przyciągali, wtedy również Conny Karrasch się nie pokazał.

...Owszem, ale do więzienia mnie nie wpuszczali, choć często tam chodziłem, po prostu odsyłano mnie niemym, przeczącym gestem, więc po pewnym czasie zaprzestałem tych prób, nie zapominając o Connym. Brakowało mi go, ponieważ przywykłem oczekiwać od niego rzeczy niesłychanych, pomysłów przewyższających wszystko inne, odkryć możliwych tylko dla jego zmysłu spostrzegawczego, ba, wystarczyło, by wpatrzył się w coś albo dłużej niż zwykle nasłuchiwał, a ja już szykowałem się na jakieś nadzwyczajne wieści. Czasem myślałem, że jest chory, niekiedy jednak wyobrażałem sobie, że jego ojciec skazał go na bezterminowy areszt, gdyż był tak krnąbrny, i że wiąże teraz z Eugenem Lawrenzem miotły i przycinając mu witki, słucha historii o naszych dziewięćdziesięciu dwu jeziorach. Niech mi pan wierzy, gdyby już wtedy zaginął słuch o Connym Karraschu, gdyby jego ojciec usunął go wówczas z zasięgu naszego wzroku, prawdopodobnie nie byłibyśmy obaj tutaj i nie zaszłaby konieczność, bym się usprawiedliwiał wspomnieniami.

Ale Conny pojawił się znowu, ukazał się na horyzoncie, może nieco bledszy niż zwykle, ale wciąż z tym współczującym spojrzeniem, które miał dla wszystkiego, i ze skłonnością do nagłego przerywania zabawy czy rozmowy, by zwrócić się ku nowemu pomysłowi. Oczywiście zachował też swoją właściwość bezgłośnego i nieoczekiwanego pojawiania się – również wtedy, podczas spóźnionych obchodów pięćsetlecia Łukowca w Juszrowskiej Zatoce, to znaczy, tylko przedstawienie było spóźnione, gdyż wuj Adam Rogalla nie zdążył na czas z inscenizacją „Dziki miód. Sceny z dziejów Mazur”. Musi pan wiedzieć, że jubileusz założenia naszego miasta trwał cały rok, a uroczyste przedstawienie było ostatnią dużą imprezą: skoncentrowanym wysiłkiem, by w sposób obrazowy pokazać nam, Mazurom, z jakich mroków pochodzimy, jakie doświadczenia zarezerwowała specjalnie dla nas historia, jak nas gnębiono, męczono, dręczono, nie mogąc jednakże zapobiec temu, że przeciskaliśmy się, że tak powiem, przez każdą pułapkę zastawioną przez los.

A teraz niech pan sobie wyobrazi Zatokę Juszrowską: chwiejące się wodorosty, wybujały pas trzciny, ponad tym wszystkim zapach tataraku, brzęczenie bąka. Tam, w środku zatoki, w nierównym, stromym brzegu

powstał wskutek obsunięcia się ziemi albo wybuchu, ale raczej przez obsunięcie, otwór w kształcie półksiężyca, rodzaj amfiteatru dla mniejszych ambicji, z widokiem na zazwyczaj gnuśne, tylko jesienią gniewne jezioro Łukowiec. Nie było tam żadnych kamiennych ani tym bardziej drewnianych ławek, lecz wygrzebane w ziemi muldy do siedzenia, z których dobrze było widać obszerną, zieloną scenę pokrytą płatami bujnej murawy. Cień topól i wierzb padał na scenę, obniżając się skośnie ku przodowi i na boki, gdzie można było wejść jedynie od strony trzciny przez dwa wykopane w ziemi schodki. Wszystkich dekoracji dostarczył czerwiec, łącznie z ważkami, nurkami i dzikimi kaczkami.

Jak zawsze i wszędzie, łukowieccy widzowie przyszli za wcześnie, niektórzy o wiele za wcześnie. Na wiele godzin przed rozpoczęciem uroczystości stopnie amfiteatru były zajęte, wymieniano nowiny i przekąski, odprowadzano sobie nawzajem dzieci, które zabłądziły między rzędami, oceniano trzciny, obserwowano wspólnie wodne ptactwo lub też w milczącym oczekiwaniu wystawiano się na oślepiający blask jeziora.

My, aktorzy, zostaliśmy przyodziani pod pieczę Adama Rogalli – nie na oczach publiczności, lecz na wąskim, osłoniętym przesmyku, z którego uginająca się ścieżka prowadziła przez trzciny na scenę – a więc mój ciągle wzbudzony wuj, który był nie tylko autorem, ale i reżyserem, ubierał nas, napominał i przywoływał na miejsce.

Niech pan sobie tylko wyobrazi ruch na przesmyku: panowie w białych płaszczach z przesadnie długimi mieczami; krótkonodzy Jadźwingowie w koszulach z worka, litewscy łucznicy, odziani w podziurawione skóry, Tatarzy z krzywymi szablami, szwedzcy strzelcy, polscy rycerze z lancami, boski i dumni; do tego wypożyczeni ze wszystkich epok cywile w łachmanach, którzy musieli za wszystko pokutować – tu na Mazurach, podobnie jak wszędzie. Adam Rogalla przeskakiwał między epokami, ubierał nas w kostiumy i ilustrował nasze dzieje, własnoręcznie zawiązywał mi pasek na grubej workowej koszuli, a siostrze Conny'ego, Edith, pokazał, jak ma tulić na scenie swoją bezkształtną lalkę, podobną do ciężarnego bobra.

Nagle zobaczyłem Conny'ego. Rozsuwał rękami trzciny, patrzył na żywą historię Mazur, nieporuszony, nie wychodząc z trzciny, nawet nie przywitał się z nami, z Edith i ze mną. Chociaż się o to ubiegał, nie dopuszczono go do gry: wuj Adam nie pozwolił. Conny nie miał dla nas nic oprócz pobłażliwego uśmiechu, a gdy go zawołałem, równomiernymi ruchami czapli wyśliznął się z pola widzenia. Edith wzruszyła ramionami, nie, to nie, i niechętnym gestem zażądała, bym starł plamki szlamu z jej nagich nóg. Było to jedyne dotknięcie, jakie mogła znieść; nie dawała wziąć się za rękę, nie mogłem objąć jej ramieniem, nie dawała mi nawet zbadać w dłoniach ciężaru jej ogromnych warkoczy kukurydzianej barwy, przy tym graliśmy rolę rodzeństwa, dzieci jaćwieskiego księcia, wielkiego, mrocznego Wadolesa. Ale właśnie taka była wówczas, dumna, odpychająca i nieobliczalna, na długo przedtem, zanim została moją żoną, moją pierwszą żoną.

Ale musi pan przecież rzucić okiem na przedstawienie w Juszrowskiej Zatoce, w naszym wymoszczonym zielenią teatrze pod gołym niebem. Adam Rogalla kazał nam iść i prowadził nas, Jadźwingów i Krzyżaków, ścieżką na scenę, towarzyszył nam krzyk wodnych ptaków, przede wszystkim alarm kaczek krzyżówek. Okopcone kamienie, zwęglone kłody, zniszczone i uszkodzone sprzęty domowe nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że tak ważna dla naszych losów scena rozgrywa się na zamku, na efektownie obleganym, wciąż jednak jeszcze nie zdobytym zamku wielkiego Wadolesa nad Jeziorem Selmęt, w tysiąc dwieście osiemdziesiątym trzecim roku. Najpierw posłano na scenę trupy Jadźwingów, które utworzyły pagórek, świadczący o naszej zaciętej woli obrony; również martwi Krzyżacy w nadpalonych i zaplamionych na czerwono płaszczach ułożyli się na scenie, tworząc dekoracyjny mur, który demonstrował skutki nadmiernej napastliwości. Tu i ówdzie, zgodnie z pomysłami reżyserskimi, obejmowali się w uścisku martwi Jadźwingowie i Krzyżacy. Jednemu zasłaniały twarz futrzane buty, innemu ciążył w piersiach obosieczny miecz, a dwaj siedzieli martwi, wsparci plecami o siebie jak po robocie. W każdym razie trupy się podobały i otrzymały pierwsze oklaski.

Między tymi nieżywymi albo raczej słabo oddychającymi aktorami siedzieliśmy my, Edith i ja, na ciepłych płatach murawy. Siedzieliśmy rozmarzeni, wyspiarskie dzieci zatopione w zabawie, ona ze swoją bezkształtną szmacianą lalką imieniem Skomanta, ja z pudełkiem, zawierającym tylko gładkie, zbielełe kosteczki, przeważnie kości ptaków. Mieliśmy tak trwać, całkowicie zatopieni w zabawie, na co pozwala jedynie niewinność, nie wolno nam było się skarżyć ani okazywać przerażenia z powodu umarłych, tak efektownie ułożonych wokół nas – zamiar artysty może pan sam odgadnąć. Pewien rodzaj powściągliwej skargi dozwolony był tylko Wadolesowi, ponuremu księciu Jadźwingów, granemu przez Tuchlińskiego, łukowieckiego kasjera z kasy miejskiej; zataczając koła po scenie, skarżył się na utratę towarzyszy, kobiet, poddanych, a także ziemi, którą od niego po kawałku wyłudzali „piekielni rycerze bez skazy”, ludzie, którzy „przyszli z pustymi rękami, a krzyż uczynili symbolem zemsty”, jak mówił. Jego jedynym słuchaczem na scenie był Sygus, najlepszy łucznik jaćwieski; wyczerpany obroną siedział na zwęglonej belce i zadowalał się tylko od czasu do czasu gwałtownymi westchnieniami, które brzmiały jak czkawka.

Kiedy Wadoles, krążąc w koło, wypowiedział już swoje skargi, przerzucił się na przekleństwa i złorzeczenia, wyprostował się, wygrażając horyzontowi tak gwałtownie, aż stracił równowagę; złorzeczył „po trzykroć przekłętemu plemieniu w białych płóciennych płaszczach”, które uprowadziło wszystkich jego ziomków, pozostałych przy życiu, bądź rozproszyło ich aż do Samlandii. A potem z szyderczym tryumfem w głosie wezwał Krzyżaków, by zabrali również resztę, pochłonęli, pobili, a gdy łucznik Sygus objął go zgodnie z rolą, wyszeptał wyraźnie, sprzedając naszą historię: – Wielu już tak, Sygusie, zwyciężało u nas aż do własnej śmierci, pozwólmy im również tym razem zwyciężyć; prawdziwym zwycięzcą będzie dzika głusza.

Było to, zdaje się, hasło dla melancholijnego Wielkiego Mistrza – chyba Ludolfa – który ukazał się w podkasanym płaszczu na ruinach zamku i zażądał widzenia z wielkim, jak powiedział: przesławnym Wadolesem. Ów nadał się od razu godnością, by przyjąć najważniejszego wroga, żałował tylko, że nie może zaproponować nalewki – wie pan wszak, mój

drogi, jak się odbywają spotkania na najwyższym szczeblu – i zapytał z udaną uprzejmością, czemu zawdzięcza tę wizytę. Rozsądkowi, Wielkiego Mistrza Ludolfa przywiódł tu, jak mówił, rozsądek, dlatego nie chce siadać; chce dokonać na stojąco oceny sytuacji: spalone chaty, pobita i rozproszona ludność, on sam z jednym towarzyszem i dwojgiem dzieci, w tej sytuacji, jak twierdził, można myśleć tylko o poddaniu.

Jednak nie liczył się z dalekowzrocznym sprytem Wadolesa; ów, wyposażony nie tylko w pięć, lecz w siedem zmysłów, jak większość Jadźwingów, wietrzył w poddaniu się pułapkę, zastanawiał się dość długo, zapytał nawet kości z mojego pudełka, rozkładając je, po czym z niezmierną uprzejmością oświadczył zaskoczonemu Wielkiemu Mistrzowi, że nie skapituluje. Zaraz też uzasadnił swą decyzję, odzywając się uprzejmie, jak to było w jego zwyczaju, mniej więcej w te słowa: – Nie przystoi nam powstrzymywać postanowionego już upadku zakonu rycerskiego, lecz abyście mogli ponieść zupełną klęskę, musicie najpierw w pełni zwyciężyć, przyjdźcie więc i zabierzcie sobie wszystko, co potrzebne wam jest do pełnego zwycięstwa. – Wielki Mistrz Ludolf wydawał się teraz nie tyle melancholijny, co zmieszany i ogłupiały; prawdopodobnie nigdy jeszcze nie wyłożono mu w ten sposób historii, a podczas gdy ten milczał oszołomiony, mroczny Jadźwing malował niemal z rozkoszą wizję przyszłości: najpierw spustoszony kraj, nie przynoszący nikomu pożytku; potem gorączkowe próby zasiedlenia obcymi ludźmi z Mazowsza, po to tylko, aby ten kraj utrzymać, dalej przepowiadał niesnaski z polskimi królami, kilka powstań i rebelii przeciwko Zakonowi; nie prorokował dosłownie Grunwaldu, ale mówił o bitwie, którą opiewać będą księgi.

Potem Wadoles zwrócił się do nas, swoich dzieci; głaszcząc nas pytał jednocześnie w taki sposób, by Wielki Mistrz to słyszał, czy chcemy dać Zakonowi wolną drogę do całkowitego zwycięstwa. Podnieśliśmy się, zachwyceni kiwnęliśmy głowami, na co on nas pocałował i czule uśmiercił swoim krótkim mieczem...

Co pan mówi? Czy wytrzymałszy bez ruchu? Więcej nawet, drogi Martinie, zgodnie ze wskazówkami reżysera musieliśmy, uśmiechając się

blógo, osunąć się na ziemię, a wyszło nam to tak przekonywająco, że kilku widzów zaczęło głośno wygrażać Wielkiemu Mistrzowi. Ale musi pan jeszcze wiedzieć, że Sygus, ów łucznik, ogarnięty oburzeniem, pochwycił kilka strzał i rzucił się w sitowie, przypuszczalnie naprzeciw zagrażającej sile; w ten sposób opróżnił scenę dla dwóch głównych postaci.

Stanęli więc, godni, tragiczni i wielcy, naprzeciw siebie. Dłonie, jak chciał autor, trzymali na rękojeści mieczy i ze wstrzymanym oddechem usiłovali zgłębić, że tak powiem, tragiczną sytuację z czytanki. Zerknąłem ku nim: wielcy przeciwnicy nie przestawali mierzyć się znaczącymi spojrzeniami, bez mrugnięcia, nie przełykając, a nawet powstrzymując się od naturalnego odruchu uśmiercania piekielnych juszkwowskich komarów. Reżyseria wymagała owej upartej, długotrwałej wymiany spojrzeń; w końcu patrzyły sobie w oczy dwie następujące po sobie epoki.

Widzowie zaniepokoiли się, z przodu niektórych poniosły nerwy, zerwali się na równe nogi i zażądali: – Dołóżcie wreszcie temu łachudrze, pokażcie mu – ale Wadoles, opanowany, nie dał się wytrącić z równowagi ani z roli i dalej zmierzał ku śmierci, takiej śmierci, jaką przygotował mu Adam Rogalla: wyzwawszy Ludolfa na pojedynek, ograniczał się przez chwilę do obrony koniecznej, cofał się ciągle, aż znalazł się tuż przy nas, po czym skłonił się w kierunku wroga, by otrzymać decydujące pchnięcie. Kiedy padał, wydało mi się, że w starej wypróchniałej wierzbie dostrzegłem Conny'ego Karrascha, ironicznie obserwującego przez lukę w liściach ociążały tok naszej historii.

W każdym razie ja i Edith opuściliśmy scenę wśród umiarkowanych oklasków i popędziliśmy przez trzciny ku półwyspowi; tam ściągaliśmy z siebie jaćwieskie workowe koszule i przeistoczyliśmy się w białobłękitne mazowieckie dzieci, dzieci kolonistów, tak, znowu w parę rodzeństwa z przesadnie symbolicznymi zabawkami: Edith musiała obsługiwać maleńki kołowrotek, ja miałem orać ziemię miniaturowym drewnianym pługiem, naturalnie delikatnie. Scena: popękany pień drzewa, dębu oczywiście, co najmniej osiemsetletniego, z trzeszczącymi gałęziami, dostatecznie rozłożystego dla Perkuna, pogańskiego bożka, który właśnie preferował ten gatunek drzew jako miejsce pobytu. Wraz z

rodzicami Stefanem i Anną Priezław udaliśmy się na scenę, pod drzewo, gdzie usiedliśmy i z różnym apetytem zjedliśmy śniadanie. Szczególnie Stefan Priezław wziął chyba w arenę całą melancholię świata, dlatego też nie smakowały mu ani wędzone sieje, ani chrupka, pieczona stynka, ani peklowane mięso czy smażone kartofle; wszystko tylko nadgryzał i wrzucał z powrotem do niezgłębionego kosza. Stefan cierpiał. Miał swoje powody.

Potem zaczął niestrudzenie okrążyć drzewo i niby przypadkiem odkrył długą linę konopną, należącą prawdopodobnie do Perkuna, pogańskiego boga-gromowładcy, co jednak nie powstrzymało Priezława od ściągnięcia liny przy pomocy zręcznych podrzutów i pociągnięć. Mierzył ją metr po metrze i zdawał się przy tym zastanawiać, do czego może służyć lina, oprócz tego, że można się na niej powiesić. I nagle cały smutek i przygnębienie zniknęło z jego twarzy: z wyrazem nieśmiałego szczęścia stanął przed nami i rozkazał przywiązać się do popękanego drzewa. Ponieważ nie wolno nam było o nic pytać, a tym bardziej okazywać sprzeciwu, przywiązaliśmy go do drzewa, tak jak sobie życzył, zaciągnęliśmy linę raz przy razie, owijając sznurem pierś, brzuch, nogi, wykręciliśmy też ramiona do tyłu i zaciągnęliśmy węzły wokół przegubów. Jeszcze kiedy go wiązaliśmy, westchnął z zadowoleniem, a powód zadowolenia wytłumaczył nam i wszystkim, którzy chcieli słuchać.

A więc Stefan Priezław był Mazowszaniec, jednym z obcych kolonistów, których Zakon zachęcał do zasiedlania mazurskich pustaci i obdarzał gruntami, łąkami i kawałkami lasu, nie żądając w zamian nic ponad to, by zasiedlili i zagospodarowali kraj, wolni od podatków za dziesięć pierwszych lat i z zapewnieniem, że będą mogli pozostać przy swojej religii. Sądził, że powinien być za to wdzięczny Zakonowi, on, Polak. Tymczasem jednak jego rodacy przedostali się znowu do krzyżackiego kraju, nie tyle by wymienić poglądy na uprawę roli, lecz by się przekonać, ile łupu może przetransportować pojedynczy wojownik – była to próba, przy której musieli zetrzeć się z Zakonem.

To, co beznamiętni sprawozdawcy nazywali zamieszkami, było nie wypowiedzianą wojną, podczas której również Stefan Priezław musiał się

zdecydować, czy stoi po stronie Zakonu przeciw dawnym rodakom, czy z dawnymi rodakami przeciwko Zakonowi, któremu zawdzięczał swoje grunta, ryby z jeziora Łukowiec i dziki miód z sosnowych barci. Długo odwlekał decyzję, nie mógł wzbudzić w sobie ani ciepłych uczuć dla jednych, ani iść za drugimi tylko z wdzięczności.

Mówił pan coś? Słusznie, typowa sytuacja z książki z obrazkami; tu ojczyzna i wszystko pozostałe; tam lojalność i cała reszta – zakończył więc kłopoty w ten sposób, że kazał się przywiązać do tego niesamowitego drzewa, a resztę po prostu pozostawił przyszłym dziejom...

Nie, inaczej, niż pan myśli: oświadczył, że stanie po tej stronie, na widok której uda mu się rozerwać więzy.

Nie musieliśmy długo czekać. Ledwie Edith wprawiła w ruch swój szumiący kołowrotek, ledwo wyryłem maleńkim pługiem swoje inicjały w ziemi, a już pod kruczoczarnymi grzywami, pod lancami z proporczykami, pod drzewcami, z których z powszechnym wybaczeniem spoglądał wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, pojawiła się garstka nędznie odzianych żołnierzy, po których każdy mógł poznać, jak bardzo potrzebowali wytchnienia. Chociaż staliśmy tuż przed nimi, trzeba im było zdumiewająco dużo czasu, by nas odkryli – tak to się czasem dzieje w teatrze.

Zachowywali się dość przyjaźnie, opróżnili nam tylko kieszenie, zjedli wszystko z kosza, a gdy jeden z nich odkrył na horyzoncie białe, powiewające płaszcze, naradzili się, kto byłby im bardziej przydatny w ich wyprawie, Edith czy ja. Zdecydowali się na Edith, przekonawszy się najpierw, jak jestem umięśniony. Gdy jeden z żołnierzy delikatnie krępował jej rączki skórzanym biczem, Stefan Priezlaw napiął skrępowaną pierś, szarpnął się i zwinął, z jękiem popatrzył na trzeszczące gałęzie, zapewne prosił Perkuna o pomoc, ale więzy nie puszczały, ciągnęły go wciąż do tyłu.

Zabierając broń, worki, tobołki i kosze, a przede wszystkim Edith, skryli się w chroniących trzcinach, akurat w porę, by nie odkryły ich surowe białe płaszcze i nie pozbawiły łupu.

Zbrojni rycerze pozdrowili nas z pełną rezerwy uprzejmością, wywrócili nam kieszenie – oczywiście tylko w poszukiwaniu broni, w zamyśleniu przyjrzeni się leżącym wokół dokładnie ogryzionym kościom i ościom ryb, popatrywali badawczo w gałęzie, prawdopodobnie w poszukiwaniu dyndających butelek, i w nieopanowany sposób wyrażali swoje rozczarowanie, że nie ma u nas nic do zabrania.

Nagle jednemu z nich wydało się, że widzi na horyzoncie całą polską armię, od razu też ocenił zagrażającą nam siłę kawalerii i piechoty i aby nie narazić na nic przykrego wojska, sprawiającego na pozór beztroskie wrażenie, zbrojni postanowili także skryć się w trzcinach. Zanim jednak zamknęła się nad nimi zieleń, stwierdzili, że od pewnego czasu brakuje im pazia do najniższych posług.

Tak właśnie było: jeden z braci-rycerzy położył mi żelazną dłoń na karku, skłonił się lekko przed zrezygnowaną Anną Priezlaw, moją sceniczną matką, i z wyrazem ubolewania uprowadził mnie stamtąd.

Trzeba było panu widzieć teraz Stefana Priezlawa, jak się prężył w swoich więzach, jak się natężał i sapał; to próbował uwolnić ramię, to znów wyteżał podciągnięte kolana, aby rozluźnić linę konopną, ale całe to napinanie się i naciąganie nic nie pomagało albo musimy przyjąć, że widok rycerzy nie dodał mu siły do rozerwania więzów. W ten sposób kości zostały niejako rzucone: ani jedni, przyodziani w barwne szmaty, ani drudzy w białych płaszczach nie ujrzeliby Stefana Priezlawa po swojej stronie – zbyt już oddalony od swojej dawnej ojczyzny, niezupełnie przekonany do nowych trzeźwych panów lennych, zrezygnował z walecznego udziału w czymkolwiek i zdecydował się na demonstrację całkiem szczególnego rodzaju...

Niech się pan nie wysila, mój drogi, nigdy pan nie odgadnie.

Ponieważ dał już poznać w natrętnej symbolice, że do jednych jeszcze, a do drugich już nie należy, uważał, że powinien teraz zademonstrować, co wyznaje, i dlatego zaczął najpierw cicho nucić, a potem niemal pełną piersią śpiewać „Pieśń Mazurów”. Jego śpiew nic nie tracił na tym, że w tamtych czasach nie było jeszcze „Pieśni Mazurów”; śmiało, pełnym

głosem pomijał stulecia, nieustraszenie zapożyczając muzykę z przeszłości, a ponieważ u nas nie pozwala się nikomu śpiewać samotnie, słuchacze podjęli refren: „Ojczyzno, brzegu mazurski, niech żyją Mazury, mój kraj...”

Ale gdy Stefan Priezlaw rozpoczął drugą zwrotkę: „Dziko szumi gaj”, podleciał do niego bzyzcząc podstępny owad miedzianego koloru, zupełnie niezainteresowany jego śpiewem, wyglądający jak klamerka od chodaka, i właśnie gdy Stefan otwierał z oddaniem usta do słowa „gaj”, owad trafił go w twarde, brązowe od nikotyny siekacze. Zaskoczony zamknął usta z kłapinięciem, przerwał śpiew, nie, kontynuował go bulgocząc, a wtedy znowu coś zabręczało i uderzyło go boleśnie w jabłko Adama: wówczas zaniechał „Pieśni Mazurów”, popatrzył zmrużonymi, rozdrażnionymi oczyma na ciągle szepczące, a więc podejrzane srebrne topole, tak długo, aż coś go znowu ukąsiło w owrzodzony kark. Stefan Priezlaw odetchnął głęboko, gniew rozszerzył mu klatkę piersiową, żyły nabrzmiały wściekłością, linka konopna skrzybiała, drżała i obracała się lekko, gdy się napinał, po czym pękła. Rozerwała się na wiele włókien nie raz, lecz tuzin razy, tak właśnie, co widzów przyprawiło najpierw o podniecone milczenie, zaraz potem jednak wywołało oklaski, które wpędziły Stefana z jednego zakłopotania w drugie. Szybko, ale i z przestraczem opuścił scenę, towarzyszyła mu pieśń Mazurów, która, jak sądzili widzowie, dodała mu sił, potrzebnych do rozerwania więzów.

W ten oto sposób Conny zaingerował w scenę z mazurskiej historii, nadał jaskrawo-ponurej grze niespodziewany zwrot: przy pomocy gumy i klamerki od chodaków, które wystrzeliwał z zemsty za to, że nie wolno mu było grać. Tak, mnie przeszkodził nawet w zainkasowaniu wielkich końcowych oklasków i obecności przy tym, jak widzowie obsypywali aktorów prezentami. Nawiasem mówiąc, słowo „przeszkodził” tu nawet nie wystarcza; trzeba by raczej powiedzieć, że wygonił mnie ze sceny, i to z wielkiego aktu o zarazie.

Ponieważ Łukowiec został tym razem nawiedzony przez zarazę, Adamowi Rogalli nie pozostało nic innego, jak poświęcić tej chorobie scenę, robiącą duże wrażenie, odważną w przedstawieniu spraw zmysłowych, czego nie

spotykało się u nas codziennie. Rozproszeni po całej scenie siedzieli, klęczeli, stali ludzie przy swojej pracy: szewc przy trójnogu, stelmach przy imadłach, rolnik z cepem, a ja przykucnięty wypróbowywałem mały flecik, który wyciąłem sobie z soczystej wierzby. Tym razem nie miałem siostry – tylko autor wiedział dlaczego. Musieliśmy udawać, że nic nie widzimy, w każdym razie nie wolno nam było reagować na wejście szczura wielkości człowieka, który z niemal dosłyszalnym świstem wpadł na scenę, był to parszywy, dość wyleniały szczur, ze sporymi uszami i włosami na brodzie, które odstawały sztywno jak druty. Szczur gwizdał i chichotał; przemykał się od jednego do drugiego i zaglądał im przez ramię; pełen współczucia, ironiczny, a przez nas niezauważony, wykonywał jakiś taniec, zapożyczając kilka kroków z mazurka. Nie wolno nam było spostrzec tego tańca; nawet wówczas, gdy niektórzy widzowie zwracali nam uwagę na pewnego siebie szczura, musieliśmy trwać zatopieni w pracy i zabawie, czekać, aż muśnie nam kark palący oddech, tchnienie śmierci, tchnienie zarazy, jakie bardzo precyzyjnie wydawał szczur, i nie wszyscy, ale większość z nas musiała, trafiona zgubnym tchnieniem, osunąć się łagodnie ku przodowi i umrzeć jak podcięci kosą. Mnie też się to przydarzyło.

Słucham?

Nie, nie docenia pan Adama Rogalli; nie był to jakiś zagraniczny, lecz najzwyczajniejszy ogromny szczur, który grał postańca śmierci; poza tym przedstawiał go, niepokojąco alegorycznie, Heinrich Henseleit, mój nauczyciel. Ale niech pan słucha dalej: ledwo szczur, ostro gwizdząc, zniknął w trzcinach, pojawił się, stąpając wielkimi krokami, cały w szkarłacie, Johann von Rogalla, mój daleki krewny, jako fałszywy arcykapłan, tak, w towarzystwie dwu podpitych sług, którzy dźwigali worki napełnione do połowy. Głosem, który niemal kładł trawę, błogosławił ów przodek zmarłych i zastraszał żywych, wycytując rejestr najeżony grzechami, nazywając zarazę pierwszym etapem sądu, ostrzegając, zaklinając, malując obraz klęsk, po czym wyjaśnił tym, którzy przeżyli, w jaki sposób mogą zatrzymać zarazę, skłonić ją do odejścia. Byłoby to możliwe jedynie wtedy, gdybyśmy się rozstali z najdroższymi, najcenniejszymi rzeczami, na przykład ze wszystkimi złotymi monetami;

przyjmowane będzie również srebro, od biedy w wyrobach. No i ci, którzy przeżyli, spieszyli ku nim, trzeba przyznać, a worki połykały monety i pierścienie, łańcuchy i świeczniki; fałszywy arcykapłan nie miał nawet czasu obliczyć, kiedy będzie dość kosztowności, by odwrócić zarazę. Krzyknął tylko na swoich pijanych służebnych, by przestali mrugać i nie grzebali w workach.

Ale potem, mój drogi, potem wziął mnie na ręce mój sceniczny ojciec, niejaki Dworak, który pracował w naszym urzędzie miar i wag i zaniósł – całkiem rozluźnionego i odprężonego – do Johanna Rogalli, a gdy ten spytał, co też mu przyniósł, odparł tylko szorstko: – No, cóżby, najdroższe, co mam.

Leżałem tak, że miałem przed sobą starą wierzbę, kryjówkę Conny'ego, i patrzyłem prosto na dziurę po sęku, przypominającą zmrużone oko, gdy podniosły się dwa palce, kciuk i palec wskazujący, ułożone w V, po czym coś zafurkotało z ciemnej głębi, zataczając się trochę w locie, ale szybciej niż owad. Trafiło mnie powyżej kości jarzmowej. Taki gorący, śpiewający ból: nikt nie pozostałby martwy, nawet gdyby wymagała tego reżyseria.

Zaprzeczając istnieniu szczura, tchnieniu zarazy i śmierci, zerwałem się, przyciskając ręką piekącą goleń, może pan sobie wyobrazić zdumienie widzów, kiedy wśród śmiechu popędziłem do wierzby, z której zszedł albo raczej ześliznął się Conny Karrasch; nie słuchałem już żadnego przywoływania do porządku, żadnych wskazówek reżyserskich. Kierowany wyłącznie bólem, goniłem Conny'ego najpierw skrajem trzcin, potem przez kołyszące się sitowie, aż przyskało i chlupotało, gdy przebiegaliśmy przecinki, przy czym on nie uciekał bynajmniej w panice przede mną, lecz spokojnie, z zaufaniem do siebie, które pozwalało mu na robienie tylko tego, co konieczne.

Uciekał w kierunku półwyspu, gdzie zebrały się wszystkie mazurskie epoki; drogę jego ucieczki rozpoznawałem po chwiejących się źdźbłach trzcin, po trzasku i szumie; goniłem go aż do przewróconej topoli, leżącej w wodzie, oślizłej i pokrytej wodorostami, której wystające gałęzie porośnięte były liśćmi.

Między gałęziami stał Conny, wdrapał się na zalany wodą pień, postanowił zaniechać ucieczki i oczekiwać mnie tam, ukryty w liściach, ale nie ukryty dobrze. Szybko powziąłem pewien plan: chciałem schwycić go za nogi, ściągnąć ze śliskiego pnia, a gdy go już będę miał w wodzie, tak długo i tyle razy zanurzyć, aż odda mi swoją gumę i klamry od chodaków. Z takim zamysłem pobrodziłem ku niemu w wodzie. Nie okrzyknęliśmy się, patrzyliśmy tylko na siebie, nie pozwalając sobie na odwrócenie uwagi przez dwie ważki, zataczające wokół nas kręgi, a wtem, gdy go chciałem schwycić, poczułem pod stopą coś miękkiego, może trupa zatopionego kota, podskoczyłem w górę, rozpościerając w bok ramiona, by odzyskać równowagę. Wtedy Conny uderzył mnie podciągniętym kolanem w podbródek. Upadłem w przód, tułowiem na pień, z nogami w wodzie...

Czy mnie całkiem pokonał? Tak, może mi pan wierzyć.

W każdym razie teatr pod gołym niebem dla mnie się skończył, a miałem wystąpić jeszcze w dwu historycznych scenach, grając nieme role dziecięce, o druku pierwszej mazurskiej Biblii i o poświęceniu linii kolejowej z Królewca do Łukowca. Dwa siekacze chwiały się i krwawiły, krwawił również czubek języka, tak mocno i niespodzianie uderzył mnie podkurczonym kolanem; przez chwilę leżałem na pniu w trzcinach, aż doszedłem do siebie, obmacałem grunt dookoła i oderwałem się od swojego sfalowanego odbicia.

Mrugając oczyma podniosłem wzrok i zobaczyłem wśród gałęzi nie Conny'ego, lecz Edith, moją bosonogą siostrę sceniczną, obserwującą mnie z zimną ciekawością. Nie odpowiedziała na mój uśmiech; siedziała na pniu, tam gdzie Conny wyszedł z wody, z podciągniętą workowatą koszulką, powoli chlapiąc nogami; sam nie wiem, dlaczego pobrodziłem ku niej, wciąż jeszcze oszołomiony uderzeniem. Prawdopodobnie chciałem ją wciągnąć do wody, zanurzyć w głęb razem z jej preclami z warkoczy barwy kukurydzy, które przy pewnych ruchach kłapały jak przyprawione uszy, a ona pewnie odgadła, co mam zamiar z nią zrobić, gdyż nagle wstała, szukając pewnego oparcia w gałęziach.

Ach, ten upał w trzcinach, to pulsujące elektryczne powietrze, powodujące, że w głowie zaczynała pracować mała kuźnia: może zna pan to uczucie i pragnienie ratowania się, po prostu robiąc cokolwiek, obojętne co. Jej mokre nogi były całkiem blisko. Sprężyłem się już do skoku, gdy wtem zobaczyłem pijawkę, błyszczącą od czerni, mocno pompującą, która w jednej trzeciej zagłębiła się już niezauważona w nodze Edith. Popatrz, powiedziałem, popatrz tylko na swoją nogę, a ona popatrzyła w dół bez przerażenia czy okrzyku, ba, podkurczyła nawet nogę, żeby bardzo uważnie przyjrzeć się skręconej pijawce z bliższej odległości; nagle wyciągnęła nogę w moim kierunku i powiedziała rozkazująco: – Odczep ją.

Taka właśnie była. Objąłem jej nogę, przyłożyłem obcęgów z palców do pijawki, przycisnąłem i pociągnąłem jednocześnie, nie mogąc zapobiec temu, że połyskliwe ciało pękło. Cienka strużka krwi spłynęła ku kostce, zaczynając się od ciemnego punktu, części głowowej pijawki, która tkwiła jeszcze w nodze. Edith popatrzyła na mnie z góry, z obiema rękami w gałęziach, a gdy pijawka pękła, potrząsnęła krytycznie głową i jakbym na nic innego nie zasłużył za tę niezręczność, zażądała pogardliwie, abym wyssał czarną resztkę z jej nogi, ale biada mi, gdybym ją ugryzł.

Objąłem jej kostki, podniosłem nogę do mojej piersi, a w momencie, gdy skinęła głową, nawykła do rozkazywania, pociągnąłem krótko, nieoczekiwanie, tylko jeden jedyny raz i to wystarczyło. Edith wpadła obok mnie do wody. Mogłem ją wygodnie wcisnąć w głąb, raz i drugi, przytrzymałem ją, aż jej warkocze przemokły, a workowa koszulka całkiem nasiąkała wodą, aż zabrakło jej powietrza pod moim uciskiem. Trzeba było widzieć tę twarz, gdy zerwała się ociekając wodą, jej sklezione rzęsy, otwarte usta i ten wyraz zdumienia i przerażenia...

Chętnie, mój drogi, teraz chętnie się napiję herbaty. Jeśli w dzbanku jest za mało, może pan zadzwonić na siostrę, siostrę Margaret; wprawdzie raczej niechętnie spełni pana prośbę, za to jej herbata jest mocniejsza niż zwykła herbata szpitalna. Za dwa lata siostra kończy tutaj pracę, dostanie emeryturę, jak mi opowiadała, i wróci w swoje rodzinne strony do Brunsholm, trzydzieści cztery kilometry stąd, pięć domów za

żywoplotami z głogu, dwa nagrobki jej zmarłych mężów, którzy obaj utonęli. Nie może zrozumieć tego, co zrobiłem; wczoraj przy zmianie opatrunku zarzuciła mi, że usunąłem ziemię spod stóp naszym ludziom, rozumie pan, poza tym sądzi chyba, że chciałem odebrać ludziom prawo do wspomnień. Od pierwszego dnia mnie potępiła.

Ale co to ja chciałem powiedzieć? Mówiłem o siostrze Conny'ego, słusznie, o Edith, która była tylko siedem dni młodsza ode mnie i wprawdzie miała skłonności do tycia, ale tylko skłonności, i która pewnego dnia wbrew wszelkim oczekiwaniom została moją żoną. Edith: jej chwilowa przewaga brała się stąd, że nic jej nie dotyczyło, że nie czuła się niczym związana, ani żadnym przyrzeczeniem, ani też skutkami jakiegokolwiek działania. Edith, która rzuciła piłkę do ciemnej piwnicy więzienia – tam, gdzie podobno zaczynało się tajemne przejście pod jeziorem Łukowiec, po czym posłała mnie na dół, żebym szukał piłki, kazała sobie opowiadać, co tam straszy w wilgotnych korytarzach, w których utrzymywał się zapach starych grzybów. Albo rozpałała u stóp góry zamkowej ognisko, gotowała kijanki i motyle cytrynki, wrzucała do tej zupy jagody jałowca, krajała i dodawała mniszku, i obserwowwała mnie uważnie, gdy chlipałem to wszystko. Pewnego razu kazała mi skoczyć z drewnianego mostku w sam środek wysepki z rzęsy, która nie pozwalała rozpoznać, jak głęboki był tam staw, a choć przytrzymały mnie rośliny i muliste dno, udało mi się dopłynąć do brzegu, ale ona na mnie wcale nie czekała, dawno poszła do kuźni, prawdopodobnie dlatego, że podkuwanie koni bardziej ją interesowało. Siostra Conny'ego, tak.

Poza tym była jedyną, której wolno było wchodzić do laboratorium mojego ojca; nie pozwalał wprawdzie, by ruszała brytfanki, sita i moździerz, również sześćdziesiąt osiem szuflad w czarnej szafie było dla niej zamknięte, ale najwidoczniej nie miał nic przeciwko temu, by siedziała na porysowanym stołku, z rękami wciśniętymi między kolana, wykrzykując, gdy z tygli i brytfanek podnosiły się wielobarwne opary.

Co? Czy również mdlała? Nawet częściej niż ja; o, uwielbiała te krótkie omdlenia, błagała o nie, często mówiła do mojego ojca: no, nadym trochę, tak bym chciała zemdleć. Tak bardzo chciała, że godziła się na czkawkę,

która pojawiała się za każdym razem po przebudzeniu. Zdobywała to, czego potrzebowała, czego sobie życzyła, co chciała wypróbować.

Niech pan sobie na przykład wyobrazi nasze piękne otynkowane więzienie w letni wieczór, jeden z tych białych nieruchomych wieczorów w Łukowcu, wszystko było ciche, piasek nie szeleścił, brzozy przestały świecić; najwyżej małe trzciniaki skakały w pobliżu brzegu. Może na jednym z ciepłych kamieni nadbrzeżnych siedział kot. Oczywiście roje komarów unosiły się i opadały, mówiliśmy, że szyją w powietrzu. Wieczór, po którym się niczego nie spodziewało, bez gramfonowej muzyki z wypożyczalni łodzi, bez ogniska na półwyspie, wokół którego siedzieli zwykle spragnieni drwale...

Stałem w cieniu murowanego filara mostu, po kolana w wodzie, dygotałem, chociaż woda była ciepła, zerkałem ku nieregularnemu prostokątowi za więziennym ogrodem, na grubo rowkowane drzwi, które miały się otworzyć tego wieczora, wbrew wszelkim przepisom i zwyczajom, wbrew wszystkim doświadczeniom. Po trochu, na próbę, otwierały się już wielokrotnie, przynajmniej tak mi się zdawało, ale nikogo jeszcze nie wypuściły, nikt nie wysliznął się i nie przemknął bezszelestnie między kapustą i pomidorami do wody, a ja już zwątpiłem, czy w ogóle stanie się to, co mi Edith obiecała. Nie było jej widać, mimo to wiedziałem, że podobnie jak ja obserwuje drzwi, całkiem schowana za stosem kompostu, obitego deskami, dziś dla odmiany bez białych podkolanówek i bucików z klamerkami, lecz bosko jak ja. Światła w więzieniu pogasły, tylko nad wejściem od strony ulicy płonęła zawieszona latarnia. Nie krążył tu żaden strażnik. Nie trzeba się było liczyć z psami, gdyż matka Edith nie mogła znieść szczekania...

Ma pan rację, mój drogi, nie można uniknąć idylli...

W każdym razie Edith i ja wyczekaliśmy, aż ciężkie, wbrew oczekiwaniu nie skrzypiące drzwi ostrożnie się rozwarły, aż ukazała się w nich głowa, potem ramię i całe ciało w wypłowiałym drelichu, wszystko tak jak przewidywałem. Więzień, teraz już wolny, zamknął drzwi i od razu do nich przywarł, nasłuchując, płasko, z rozpostartymi ramionami, mimo to

sprawił wrażenie niezupełnie zdecydowanego, oszołomionego prawdopodobnie licznymi możliwościami; stał przez długą chwilę jak przygwożdżony, zanim oderwał się od drzwi i przemknął przez grządkę. Wierzby z pokurczonymi głowami rzucały skąpy cień, ciągnęło go w tym kierunku, podwinął nogawki do kolan, spoglądając ku przycumowanej łodzi, zarzucił jednak pomysł ucieczki łodzią i pobrodził wzdłuż brzegu w kierunku mostu, ku mnie. Od pierwszego filara dzieliła go jeszcze przeszkoda z drutu kolczastego, rozpiętego ukośnie, sięgającego od ogrodu więziennego około dziesięć metrów w jezioro; opłynął go niemal bezszelestnie, nagle zanurzył się, a gdy już chciałem wyjść z mojej kryjówki, wyłonił się parszkając przed pierwszym pasmem roślin wodnych i pobrodził na piaszczysty półwysep. Był to Eugen Lawrenz: kiedy się podniósł, kiedy wyłuskał się z drelichowej kurtki, aby ją wyżyć z wody, rozpoznałem Eugena Lawrenza.

A więc Edith nie obiecywała za wiele: nie tylko udało jej się namówić do ucieczki mordercę i spokojnego gawędziarza, lecz dotrzymała słowa i otworzyła mu ostatnie drzwi do wolności kluczem, który po zmierzchu miał wisieć w wartowni. Nie, nie obiecywała mi za wiele; jeszcze zanim Eugen Lawrenz wspiął się na zbocze i podszedł do mostu, zobaczyłem, jak Edith przemyka się przez ogród więzienny – nie wzdłuż brzegu, lecz między krzakami porzeczek i obok drzew owocowych, aż zagroził jej drogę drut kolczasty, który musi pan sobie wyobrazić jako przedłużenie muru. Edith prześliznęła się przezeń tak zręcznie, jakby drut przeciągnięto i poprzepłatano ukośnie dla innych, lecz nie dla niej, po czym poczekała na mnie, jak było umówione, tak, poczekała na mnie. Skinęliśmy sobie głową, nie wykonaliśmy innego ruchu, nie powiedzieliśmy słowa, w podnieceniu ruszyliśmy za Eugenem Lawrenzem, który był już na moście i którego mokry ślad dochodził do niszy widokowej, a więc do połowy mostu.

Za mostem zszedł najpierw do domku wypożyczalni łodzi, spoczywającego na palach w jeziorze, masywnej drewnianej budowli, pomalowanej na rdzawo, z pomostem na łańcuchach, przy którym w równych odstępach przycumowane były łodzie, brązowe łodzie wiosłowe i biało-błękitne kajaki. Lawrenz wśliznął się do domku, długo go

przeszukiwał i badał, przy czym kilkakrotnie coś przewracał: wiosła albo zapasowe maszty; a choć domek nie wydał mu się stosowną kryjówką, to jednak znalazł w nim coś, czego w tej chwili potrzebował: zawiniątko z ubraniami. Odkrył najwidoczniej poplamione farbami, sztywne od pokostu manatki wypożyczającego łodzie Fahrna, tak, jego ubranie robocze, oprócz tego kamizelkę i czapkę, którą miał już na głowie, gdy wyszedł na pomost. Ściągnął swój mokry drelich, pozbył się również długich kałesonów, zwijając je w dół po nogach jak kiełbaski i na naszych oczach przeobraził się w niewinnie ubranego, bynajmniej nie podejrzanego cywila. Eugen Lawrenz zaniósł swój więzienny drelich na brzeg. Zawiązał supły na rękawach i nogawkach. Napełnił go mokrym piaskiem, odłamkami cegieł, butelkami po piwie, powłókł miękkiego, nieforemnego więźnia na pomost i zatopił go bez szmeru.

Nie odczekał, aż pokażą się pęcherze, wyłowił sobie z wody poręczny, kanciasty drąg, opuścił wypożyczalnię łodzi i mając nas ciągle za sobą, powędrował brzegiem wzdłuż ciemnych zabudowań kąpieliska.

Niech pan nie sądzi, że tam pozostał, chociaż sprawdził wszystkie kabiny do przebierania i mógłby bezpiecznie spędzić noc w dawnym wozie cyrkowym, który służył teraz jako pomieszczenie kabinowe. Z ostrożności zapędził się aż na półwysep, na ogrodzony pagórek, gdzie na wierzchołku rosły trzy pełne znaczenia dęby, „trzy palce wzniesione do przysięgi”, jak je nazywaliśmy, chociaż nikt z nas nie znał treści przysięgi. Stał tam podobny do kłosa cokół, wysoki na chłopa, świeżo zbudowany i przeznaczony na podstawę dla zamyślonemu generała von Günthera; miał to być pomnik ulubionego komendanta Bośniaków; pierwszy projekt ojcowie miasta Łukowca odesłali, ponieważ generał okazał się zbyt podobny do artysty, niejakiego Rosińskiego.

Eugen Lawrenz przelazł przez ogrodzenie z żelaznych prętów, zaostzonych na kształt pali, obszedł wkoło cokół, wdrapał się na niego, stanął tam na rozstawionych nogach i patrzył ponad jeziorem na ukryte w tajemniczym mroku więzienie; następnie przykucnął i opukał cokół. Z boku była żelazna płyta, przytrzymana tylko śrubami; Eugen Lawrenz

wyjął ją, wsadził głowę do otworu, jeszcze raz rozejrzał się i wcisnął się do środka: bośniacki generał miał swojego pierwszego sublokatora.

Tak to było, mój drogi. Już miałem ochotę powiedzieć mu dobranoc, gdy od wewnątrz naciągał płytę na otwór, ale Edith zamachała przecząco ręką. Nie chciała nawet odebrać należnego jej podziękowania, a gdy w milczeniu biegliśmy truchcikiem do domu, każde z własnym podnieceniem, miała już obok wspólnego swój drugi, osobisty plan...

Nie, nie chcę jeść, owoców też nie, tylko pić, ciągle pić...

Czy wie pan, jakie zdanie usłyszałem podczas ostatniego obchodu?

Bo to, moi panowie, powiedział jeden z nich odwracając się do odejścia, jest charakterystyczne dla oparzeń tego stopnia, organizm umiera wewnątrz z pragnienia i jednocześnie tonie w swojej ranie. Dziękuję, ta szwedzka woda jest bardzo orzeźwiająca, niech pan spróbuje...

A więc Eugen Lawrenz spał w cokole pomnika, zastrzeżonego dla wielkiego bośniackiego komendanta; tam na półwyspie były szare słowiki, nasze swojskie słowiki, musi pan wiedzieć, pewnie mu śpiewały, ale nie dłużej niż dobrze po północy, gdyż potem przeważnie milkły w krzewach czarnego bzu. Ale na pewno nie spał tak niespokojnie jak ja.

Pierwszy zjawiłem się na śniadanie, pochłonałem swoją mączną zupę ze skwarkami, aż przyskało, ku cichemu zadowoleniu mojej małomównej matki, której dla wyrażenia niemal każdego uczucia wystarczały gesty, dobitniejsze i bardziej wymowne niż wszelkie słowa. Na przykład moje zaskakujące życzenie, że wezmę dzisiaj do szkoły cztery kromki chleba ze smalcem, skwitowała lekkim strzepnięciem dłoni, czym wyraziła niezmierne zdumienie, po czym nastąpił okrągły ruch ręką z rozchylonymi palcami, co wyglądało tak, jakby czyściła kruchą kulę, w jej mowie gestów oznaczało to jednak radość.

Zaledwie chleb znalazł się w moim tornistrze, natychmiast wyruszyłem w drogę, na długo przed czasem, o którym zwykle wychodziłem, przeszedłem obok białego więzienia przez most, na którego środkowym

filarze kłótliwie obradowały dzikie kaczkę i łyski, i ruszyłem dalej w kierunku kąpieliska. Tam zamknąłem się w kabinie, zbadawszy uprzednio, czy drewniane ściany mają dziurki po sękach, wygrzebałem z tornistra kanapki ze smalcem, rozłożyłem kromki i posypałem je starannie, choć nie za grubo, podobnym do kaszy, pachnącym amoniakiem proszkiem, który wyprodukował mój ojciec, aby uczynić niewidzialnymi ściganych szmuglerów. Resztę proszku wsypałem w zamyśleniu do jeziora, które ku mojemu zdumieniu nie zagotowało się...

Trochę cierpliwości, mój drogi, niech pan poczeka...

Jak niewinnie wyglądał cokół pomnika w ostrym porannym słońcu, jak gdyby nigdy nic, jak powiedziała moja matka. I nic się też nie zmieniło, gdy zacząłem gwizdać, gwizdząc przelazłem przez żelazne ogrodzenie, położyłem tornister na cokole i kucnąłem przed zdejmowaną płytą. Dopiero kiedy zapukałem, coś poruszyło się w kamiennej kryjówce, usłyszałem chrząknięcie, potem szybkie grzebanie, podobne do grzebania królika, i na drugie pukanie jakiś głos powiedział: – Proszę wejść. – Płytę wypchnięto od wewnątrz, w górze ukazała się twarz Eugena Lawrenza, zaspana, nieco skrzywiona, jego oczy z wodnistymi tęczęwkami obszukały mnie pytająco, popatrzyły badawczo na półwysep za mną, nikt tam nie biegł, nie skradał się ani nie kulił; Eugen zwrócił się znowu ku mnie i burknął: – Chyba trochę za wcześnie na odwiedzinę? Że też zawsze muszą człowieka nastraszyć!

Rozwinąłem z papieru kromki ze smalcem i podałem w głąb cokołu. Powąchał chleb, ugryzł, pożuł z zamkniętymi oczyma, i nagle schwycił mnie za przegub i powiedział: – Jak chcesz, to wejdź. – Mój tornister pofrunął przez otwór, zanurzyłem się za nim w półcień, usiadłem opierając się o kamień, podniecony i szczęśliwy, przyglądając się jak je, i stale pamiętając o tym, że w każdej chwili może zamienić się w nagły słupek dymu albo skurczyć się do wielkości niepozornego ziarnka grochu, które, poruszone jakąś dziwną siłą, po prostu się odturla i nie da nikomu schwytać...

Co pan mówi? Oczekiwałem tego pytania, ale w jego wypadku, w wypadku Eugena Lawrenza, prosek zawiódł, Lawrenz nie stał się niewidzialny, prawdopodobnie dlatego, że nie był szmuglerem i nie był dostatecznie prześladowany, a może znajdzie pan jeszcze lepsze wytłumaczenie.

W każdym razie, skoro nie stałem się świadkiem jego rozplynięcia się w powietrzu, to miałem przynajmniej nadzieję na opowiadanie o jeziorach, ale tego ranka Lawrenz nie był w nastroju, mówił nieustannie o majątku, o czorcie z majątku, o swoim prawie, którego będzie dochodził; mówił to z emfazą, jakby musiał ciągle o tym pamiętać niczym o zadaniu do wykonania. Wspominając, porządkował sobie w głowie wszystkie przeżycia, ba, wszystkie poplątane myśli, przywoływał zdarzenia, aby usprawiedliwić swój zamiar, może musiał też przekonywać samego siebie, dodawać sobie odwagi, a ja po prostu pozwalałem mu mówić, ponieważ stopniowo wynikało z tego coraz więcej, a ja coraz lepiej rozumiałem jego i jego historię.

Eugen Lawrenz był więc garncarzem, wędrownym zdunem, budującym kaflowe piece, ale robił także talerze, kubki i butelki do gorącej wody, wszystko, czego od niego żądano, najchętniej jednak piece kaflowe, artystyczne, barwne monstra, zielone i błękitne, sięgające do sufitu, których kafle sam gruntował, polewał i malował dziewczęcymi i kobiecymi włosami – również w naszym muzeum mieliśmy taki słynny mazurski piec kaflowy. Za to, że w majątku odnawiał naczynia i reperował piece kaflowe, mógł mieszkać w małym domku nad wodą, w domku dla krasnoludków, jak go nazywaliśmy, ponieważ żaden dorosły mężczyzna nie mógł stać w nim prosto, a łóżko było tak krótkie, że trzeba było spać z podkurczonymi nogami. Tu, w tym domku dla lalek pod olszynami, niedaleko wodopoju mógł mieszkać Eugen Lawrenz i mój dziadek tolerował fakt, że sprowadziła się do niego kobieta, która nie była jego żoną.

Kobieta ta pomagała mu w maleńkim warsztacie, który sobie dobudował, okazywała mu też wdzięczność za to, że dał jej dom, ale tylko w początkowym okresie i tylko tak długo, póki był na miejscu.

Skoro tylko go wezwano do naprawy albo upiększania pieców, kobieta znikwała, nazywało się, że jedzie w odwiedziny, ale w rzeczywistości przeprowadzała się tylko do Łukowca, do czegoś w rodzaju podmiejskiej gospody przy koszarach, w których stacjonował czterdziesty szósty pułk kawalerii. Eugen Lawrenz wkrótce dowiedział się, gdzie przebywała w czasie jego nieobecności, ale znosił to w milczeniu i dalej oddawał jej część swojego zarobku, podobno milczał również, gdy wychodziła o zmierzchu i wracała dopiero nad ranem.

Swoje milczące potępienie dawał jej odczuć tylko w ten sposób, że przy każdej pogodzie otwierał okna i robił przeciąg, ponieważ, jak mówił: „nie chce dostać zadyszki od końskiego smrodu”. Zrozumiałem, że niekiedy nie było jej tygodniami, a nawet miesiącami; Eugen przyjmował ją w milczeniu, bez względu na to, kiedy wracała, o porach, które sama wybierała, czasem o północy.

Kiedyś, pewnego lata, gdy był znowu sam przez całe miesiące, zauważył wracając z glinianki, że brakuje błękitnych talerzy, które dla niej wypalił; zauważył to już z dworu przez okno, a gdy gwałtownie rozwarł drzwi, znalazł na swoim łóżku dziecko, małą dziewczynkę, czarnowłosą i jasnooczą...

Nie, nie, Eugen Lawrenz nie był ojcem, wiedział o tym i kobieta wiedziała także, że on wie – tak to zrozumiałem – a gdy nakarmił dziecko, poszedł do knajpy przy koszarach, siedział tam długo, nie dając się sprowokować żadnemu kawalerzyście, czekał tylko na kobietę. Nie pokazała się, nie pojawiła się nigdy więcej; po pewnym czasie zaprzestał poszukiwań i kazał ochrzcić dziecko imieniem Meta.

Zatrzymał je przy sobie, pielęgnował w chorobach. Nosił na plecach do oddalonych miejsc pracy. Dawał jej kolorową masę do ugniatania, podczas gdy sam formował i wypalał glinę, sporządzając kolorowe kafle, podobne do płaskorzeźb. Podobno przerobił w domu z dziewczynką materiał pierwszej klasy szkoły podstawowej, wskutek czego mogła potem przeskoczyć jedną klasę. Karmił ją przede wszystkim zupą zacierkową i Meta rosła silna i zwinna, rozbijając przyjazna wobec

każdego. Dowiedziałem się, że nazywała go „majster Eugen” i że po szkole uczyła się u niego garncarstwa, namiętnie i z niepojętą wytrwałością jak na dziecko, z zacięciem, tak...

Meta miała już dwanaście albo trzynaście lat; z majątku przychodzili coraz częściej wieczorami chłopcy, siadali na palach umacniających brzeg, puszczali kaczki po wodzie i zerkali na dom. Dziewczynka obserwowała ich, ale nie wychodziła i tylko odpowiadała niezrozumiale na ich okrzyki.

Żeby w ogóle wychodziła z domu, Eugen Lawrenz posyłał ją do glinianki albo na ogrodzone pastwisko, gdzie Meta musiała wyciągać dla niego z drutu kolczastego włosie końskie, którego potrzebował do malowania specjalnych kafli, albo posyłał ją do stawu w żwirowni, gdzie się w ciepłe dni kąpała. W cichości ducha cieszył się, że ze wszystkich wycieczek wracała wcześniej, niż oczekiwał, a potem pomagała mu ze zdwojonym zapałem, jakby czegoś zaniedbała. Gdy kiedyś poszedł za nią przypadkiem, zobaczył, jak mój dziadek jechał konno przez żwirownię, a gdy dziewczynka przestraszona wygramoliła się ze stawu, wstrzymał konia i poczekał, aż narzuciła na siebie sukienczynę, po czym podjechał do niej, rozkazał jej coś i wsadził ją na konia.

Zapobiegliwy we wszystkim, Eugen Lawrenz miał już od dawna swój plan dla Mety; plan ten nazywał się Wilhelm German, był pomocnikiem leśniczego, mieszkał w Małym Grajewie i miał pewne oszczędności. Meta, wówczas może piętnastoletnia, śmiała się z wymowy Germana, poza tym nie wiedziała, co z nim robić. Wszystkie próby Eugena Lawrenza wskazywania na wewnętrzne przymioty Wilhelma Germana nie powiodły się; mówiła tylko: nic w nim nie ma oprócz gwałtowności. Podobno pewnej jesieni Wilhelm German opuścił pośpiesznie Małe Grajewo, kupując bilet z Łukowca do Romint, co, jak sobie opowiadano, uczynił nie tylko z rozczarowania co do Mety, lecz raczej dlatego, że na krótko przedtem odwiedził go wieczorem mój dziadek Alfons Rogalla.

Tej samej jesieni Eugen Lawrenz po powrocie z glinianki usłyszał głosy w chacie, znajome głosy, po raz pierwszy podsłuchiwał wówczas, skulony za

olszynami. Meta płakała cicho, mówił tylko Alfons Rogalla, mój dziadek, tonem nie znoszącym sprzeciwu, pogardliwie i rozkazująco.

Najpierw chciał się dowiedzieć, gdzie to się stało: w zwirowni czy nad Jeziorem Tatarskim, czy też nad stajnią, potem wymieniał groźnie imiona chłopców z majątku, którzy mogli wchodzić w grę równie dobrze jak on, wreszcie zaczął mówić o matce Mety. Do tej pory Eugen Lawrenz słuchał tylko z przerażeniem i smutkiem, niezdolny do żadnego ruchu, chociaż coraz ciężiej było mu znieść łkania dziewczyny. Ale gdy Alfons Rogalla powiedział na pożegnanie, że w stajniach majątku nie ma niestety wolnego miejsca i że będzie musiała urodzić dziecko tu, nad wodą, Eugen Lawrenz podniósł z ziemi łopatę i zastąpił Rogalli drogę. Zanim uderzył, pleciony bicz koński mojego dziadka trafił go w twarz, tak że przez pewien czas nie mógł wyraźnie widzieć, mimo to zaatakował. Złamał dziadkowi obojczyk, zmiażdżył kolano. Wpadł potem do domu z łopatą na krótkiej rączce i rozbił i zniszczył wszystko, co przeważnie sam zbudował. Dziewczyna znikła i nigdy jej nie odnaleziono; jednak jeszcze zanim jezioro Łukowiec zamarzło, a więc w kilka tygodni później, sieć rybacka wyłowiła but i pończochę, które należały do Mety.

Przed sądem Eugen Lawrenz ani razu nie zabrał głosu w swojej obronie. Mówił za to mój dziadek, Alfons Rogalla. Zaświadczył, że kiedy leżał w jeżynach, niezdolny do ruchu, słyszał z chaty „wściekłe uderzenia” i „słowa obłąkanej goryczy”...

Tak, mój drogi, tego dowiedziałem się owego ranka w zaciszu cokołu, zamiast opowiadania o jeziorach, ale muszę przyznać, że bardziej niż zwierzenia Eugena Lawrenza podnieciła mnie wówczas łapczywość, z jaką pochłonał cztery podwójne kromki ze smalcem, a wraz z nimi prawie pół torebki proszku, który miał czynić niewidzialnymi ściganych szmuglerów. Nie spuszczałem go z oczu, patrzyłem na niego jak zaczarowany, przypuszczalnie też bezradnie, gdyż proszek nie działał, aż stał się nieufny i zapytał: – Co się tak gapisz i gapisz, co tu jest do gapienia? – Nagle przyłożył ucho do kamiennej ściany i ruchem ręki nakazał, żebym się nie ruszał.

Nie będę już tego przeciągał; najpierw w cokół uderzyło coś metalowego, potem usłyszeliśmy odgłos skoku, po którym nastąpił porozumiewawczy okrzyk; krótka cisza potwierdziła nasze podejrzenia; właśnie gdy położyłem sobie tornister na kolanach, dotarła do nas komenda, byśmy wyszli z podniesionymi rękami. Jako pierwszy precisnął się Eugen Lawrenz. Pod cokołem wykręcili mu ręce do tyłu i założyli kajdanki. Zanim opuściłem kryjówkę, podałem im swój tornister, który wzięli ze śmiechem. Obaj żandarmi postawili mnie na nogi, ujęli wypróbowanym chwytem za ramiona, ale ja nie czułem ich chwytu, niemal zapomniałem o ich obecności, gdyż obok ogrodzenia stała Edith, nie, nie stała, podskakiwała na jednej nodze, zaróżowiona z radości, z palcem na ustach, podskakiwała, aż jej ciężkie precle z warkoczy kołysały się i kłapały. Eugen Lawrenz popatrzył na nią osłupiały, odpowiedziała wyzywająco na jego spojrzenie, wytrzymała je ze śmiechem, klaszcząc w dłonie, Edith, moja pierwsza żona. Po przewlekłym przesłuchaniu puścili mnie do szkoły, szedłem tyłem, aż skryły mnie krzaki czarnego bzu, aż zniknąłem za żywopłotem; tam poczekałem, aż wyruszyli, więzień między dwoma żandarmami, a za nimi tanecznym krokiem, z pantomimiczną swawolą komentując pochód, biegła Edith.

I nagle, pod wpływem kaprysu, na wysokości kąpieliska straciła ochotę, by towarzyszyć transportowaniu więźnia, odłączyła się i zniknęła, podskakując, za żywopłotem z tui...

Widzi pan, drogi Martinie, również o tym musi się pan dowiedzieć, po prostu dlatego, że jest to częścią mojego życia, tak, i aby odpowiedzieć na pana pytanie, muszę to wszystko pokazać, tak daleko sięgnąć pamięcią, gdyż ze skąpych wyjaśnień nic tu nie wynika, w każdym razie nie taki wniosek, jakiego pan sobie życzy. Nie możemy przecież stać się zrozumiali bez opisanie innych spraw, które na nas spadły i które miały na nas często niedostrzegalny wpływ, bez pokazania, z jakich powodów cierpieli ludzie w naszym małym mieście, czym żyli i skąd brała się ich radość...

Tak, słyszę kroki, to siostra Margaret, prawdopodobnie przynosi kolację, ale nie musi pan z tego powodu odchodzić, może pan nawet zjeść kromkę

chleba, jeśli pan chce, zresztą chleb bez charakteru, nie przyrumienione kromki chleba tostowego... Proszę, siostró, proszę, czy mogę zapoznać panią z naszym młodym przyjacielem rodziny, Martinem Wittem, narzeczonym mojej córki, powiedzmy: prawie narzeczonym...

Co pani mówi? Moja żona przyszła? Nareszcie. Ależ oczywiście, siostró, przecież jej oczekuję, zawsze jestem gotów...

Teraz nie może pan iść, mój drogi, właśnie teraz nie, chcę, żeby pan poznał moją żonę, ależ nie będzie pan przeszkadzał, gdyż to, co mamy do omówienia...

Gdzie pan jest, Martinie?

III

Do zlewu, niech pan wysypie popiół do zlewu, proszę wszystko splukać; woreczek niech pan włoży do nocnej szafki. Tak, to Simon Gayko przysłał mi ten woreczek przez moją żonę, woreczek z popiołem, wilgotnym i już trochę zlepionym, z popiołem, który zebrał na wystygniętym pogorzelnisku naszego muzeum – Simon ze swymi bośniackimi nawykami. To był jego prezent pożegnalny, ostatni znak z domu starców, gdzie ma teraz dzielić pokój z byłym strzelcem wyborowym.

Tak jak mówiłem, mój drogi, nie musiał pan odchodzić, tak się spieszyć, gdyż nie mieliśmy nic do omówienia, czego pan nie mógłby usłyszeć. Zapewne spotkał pan moją żonę na korytarzu, weszła w chwilę potem, jak pan odszedł, nie została długo, większą część wizyty przesiedziała w milczeniu. W każdym razie odjęła mi jedną troskę: mieszka znowu w domu, w którym się wychowała, tu w Szlezwiku, przeprowadziła się do swego ojca, do kamieniczki z pruskiego muru o wąskiej fasadzie, zbudowanej dla organisty i zawsze zamieszkaanej wyłącznie przez organistów, gdzie ojciec nie był pierwszym, który ustanawiał rekordy oszczędności. Jego wiek nie powstrzymuje go od tego, by udowadniać, że wraz z osobistymi ograniczeniami zaczynają się drobne swobody, jego pamiętnik ma być dowodem na to, jak można się obywać małym...

Słucham? O tak, od dawna, już od dawna jest na emeryturze. Będą więc znowu mieszkać razem, podczas gdy Simon Gayko, jak go znam, będzie rzeźbił i malował fantastyczne drewniane ptaki, całe stada ptaków, pięknych, złych i kłótliwych. Widzę je już, zwisające na sznurach z sufitu albo gotowe do ataku z wysokości szafy i dumnie siedzące na parapetach okien...

Popiół na pożegnanie, woreczek pełen wystygłego popiołu, nie trzeba słów, rozwiązano węzeł, minął czas wspólnoty...

Oczywiście, pamiętam, kiedy się to zaczęło, w tym punkcie może pan na mnie polegać; kto sądzi, że będzie się musiał stale usprawiedliwiać – a ja tak sądzę – ten jest wcześniej skazany na wyrabianie sobie pamięci.

Simon Gayko: od pierwszego dnia, gdy przyszedł do naszej klasy, musiał odczuć drwiny kolegów, zresztą nie z powodu wyników w nauce, lecz dlatego, że był przysadzisty, miał długie ramiona i pałkowate nogi, wygięte śmiało jak tatarskie szable; mówiliśmy: nogi to mu na beczce prostowali. Mówiliśmy mu jeszcze inne rzeczy, na przykład przezywaliśmy go pawianem, a on znosił to, obrażał się na krótko, nigdy nie próbował bronić się siłą.

Chociaż i ode mnie słyszał różne rzeczy, gdy tak defilował na szablanych nogach, to jednak nasze osobiste stosunki zaczęły się dopiero tego ranka, gdy zjawił się w klasie z jakąś paczką; rzuciła się w oczy, gdyż była bardzo długa, zawinięta w pergamin, zawiązana sznurem z łyka, a Simon zaniósł ją bardzo ostrożnie na katedrę, położył i ostrzegał każdego, by nie dotykał pakunku. Pilnował jej zdecydowanie, dopóki nie przyszedł Heinrich Henseleit, nasz nauczyciel, a Conny, jako ulubiony uczeń, zameldował nas jak bosman na okręcie: załoga w komplecie na pokładzie i tak dalej...

Ma pan rację, przypuszczając, że Henseleit służył w marynarce wojennej, jako cesarski sygnalista na dużym krążowniku „Yorck”, co dla nas, jego uczniów, miało pewne następstwa: z niewielkimi wyjątkami klasa знаła alfabet Morse’a i rozmawiała przy pomocy kodu flagowego. W każdym razie nauczyciel przyjął meldunek Conny’ego, dał sygnał S-D, co znaczyło

tyle co: Siadajcie, dzikusy, zda się, dopiero wtedy zauważył Simona Gayko i jego dużą, nieporęczną, ale lekką paczkę. Na pytanie, dla kogo jest ta paczka i co zawiera, Simon odpowiedział: – Zrobiłem to zupełnie sam.

Pozwolono mu rozwiązać sznurek, odwinąć papier, wyjąć biały model jachtu i przepłynąć nim w poprzek klasy. Heinrich Henseleit, nie spuszczać oka ze zgrabnego przedmiotu, wyciągnął prawą dłoń, by dotknąć Simona, przyciągnąć go do siebie tak blisko, że w zamyślnym uznaniu mógł mu położyć rękę na ramieniu; półgłosem powtarzał do siebie to, co podsunęły mu podziw i zdumienie. A podsuwały mu niezbyt wiele, gdyż po stale powtarzanym okrzyku – Czy to możliwe – szeptał tę samą nazwę: awizo² „Hohenzollern”, przy czym palce jego wędrowały z nabożeństwem po modelu, tak że każdy mógł zobaczyć, iż coś sprawdza i uzgadnia ze swoim wspomnieniem. Można było również przewidzieć, że lekcja rachunków przepadnie: zbyt duże wrażenie wywarł, zbytnią siłę przyciągania we wspomnieniach Henseleita miał ów biały jacht z żółtymi kominami.

Nauczyciel wyprostował się nagle, dał sygnał Z-N, co po prostu oznaczało: „Zebrać się na naradę”, zgromadził nas w półkole wokół katedry i chwalił Simona Gayko, głaszcząc jego uczesane na wodę z cukrem włosy, rozdzielone pośrodku głowy, i kazał mu opowiedzieć klasie, co też on zbudował i co „miał na myśli” budując. Simon zdawał się na to czekać, kręcił wielkim palcem u prawej nogi po wywoskowanej podłodze, mrugał oczami, po czym zdał sprawę z tego, co wiedział: A więc cesarski statek, awizo „Hohenzollern”, ma cztery tysiące sto osiemdziesiąt ton wyporności; gdy da z siebie wszystko, ale to wszystko, osiąga prędkość 21,5 węzła. Po obu stronach ma dwie łodzie ratunkowe, więcej nie potrzebuje, na najwyższym maszcie powiewa cesarski sztandar, a tu, na pokładzie kompasowym, stoi cesarz, stąd przyjmuje zawsze parady i tak dalej, tak, nasz kochany cesarz. Więcej Simon nie umiał powiedzieć, wspominał tylko, że we wszystkim zachował proporcje, nawet robiąc kotwicę i trap.

² Awizo – mały statek pośpieszny do służby wywiadowczej (przyp. tłum.).

Heinrich Henseleit odkrył już, że można podnieść górny pokład jachtu i rzucić okiem do kajut i salonów, które Simon Gayko umeblował dla cesarza, wprawdzie niezgodnie ze skalą, ale za to z fantazją, a więc sofą, fotelem i dywanem z gałganków. Klasa musiała podejść jeszcze bliżej. Polecono nam, byśmy sobie wyobrazili, jak cesarz podróżuje na swoim jachcie, może na Morze Śródziemne albo na Północne. Klasa miała sobie wyobrazić, jak cesarz stoi na pokładzie kompasowym i – na przykład z okazji otwarcia Kanału Kilońskiego – przyjmuje pozdrowienia zebranej floty...

Zachwycony? Lekcja w zachwycie? Może pan tak to nazwać, ale nasz nauczyciel nie zadowolili się tym; odwrotnym końcem pióra wskazywał na kajutę i salon, pytając klasę, co według nich cesarz mógł robić w licznych pomieszczeniach. A klasa odpowiadała: na sofie mógł rozmyślać, w salonie wydawać rozkazy, żeby zatopić wszystkie nieprzyjacielskie okręty, przy stole jadł zupę rybną z buraczkami, dwie porcje, a w kajucie odpoczywał z cesarzową po wszystkich swoich zwycięstwach. Heinrich Henseleit pozwalał na te domysły, ale nie mógł darować sobie zaprezentowania swoich przypuszczeń, wskazał więc pomieszczenie, w którym cesarz naradzał się ze swoimi admirałami, i inne, w którym szykowano go do parady, oraz mały pokój, w którym troszczył się o każdego z nas bez wyjątku. Kto wie, dokąd zawiódłby go ów zapach, gdybyśmy nie usłyszeli nagle kroków, dudniących kroków na korytarzu; woźny Gawliczek gwałtownie otworzył drzwi, nie pukając, i z czapką w ręce wezwał nauczyciela Henseleita do pokoju rektora, bardzo pilnie i zaraz, i nie czekając na pytania albo zwrócenie uwagi, dlatego nie zapukał, popędził dalej do następnej klasy. Henseleit zgrzytnął zębami i kazał Conny'emu pilnować klasy.

Staliśmy wciąż jeszcze przed modelem cesarskiego jachtu, każdy chciał zbadać go teraz na własną rękę, każdy obliczał, dotykał, stukał zgiętym palcem albo opuszką, a budowniczy Simon nie nadążał odpowiadać na nasze pytania. Musiał nam jednak bez przerwy zwracać uwagę, upominać, byśmy byli ostrożni, gdyż niektórzy badali jacht zbyt obcesowo, ale mimo wszystko był szczęśliwy, tak, rzadko widywałem Simona Gayko tak szczęśliwego, jak tego dnia, gdy sprawił nam niespodziankę modelem

statku „Hohenzollern”. Z satysfakcją zdradzał tajniki swojego dzieła. Tym, którzy chcieli go naśladować, odsłaniał szczególne trudności i dawał za darmo wskazówki. Po raz pierwszy poczęstowano go słodowymi karmelkami.

Wtem usłyszeliśmy samolot, a raczej odgłos lecącego samolotu, jeszcze bardzo odległy, dochodzący z wysoka: to Conny naśladował ten dźwięk wargami, przy ostatnim oknie klasy, tam, gdzie stała nasza ławka. Zbliżał się środkowym przejściem, warkot samolotu nasilił się, stał się groźniejszy, Conny rozpostarł ręce jak skrzydła, sztywno jak gołąb, a w prawej jego ręce lśniło coś mosiężnego. Rzeczywiście w prawej dłoni trzymał mosiężny tłuczek, część jednego z mózdzierzy mojego ojca, który nosiłem nie wiem czemu przez całe lata w tornistrze; Conny zbliżył się, zakręcając, zatoczył płynnie pętlę wokół katedry, po czym pochylił górną część tułowia i ruszył do ataku. Najwidoczniej nie zadowolilo go opuszczenie tłuczka, nagle gwałtownie zniżył ramię i nadał tłuczкови rozpęd; wydłużona kropla mosiądzu uderzyła w jacht i przebiła go. Kominy skłoniły się ku sobie i spadły z katedry, łodzie ratunkowe wyskoczyły z mocowań, kluza wypłuła kotwicę. Salony i kajuty zostały zniszczone, poręczki skoszony, pokład zgnieciony i rozbity: tłuczek nie mógł trafić skuteczniej.

Może to pana zdziwi, mój drogi, ale tylko nieliczni z klasy byli oburzeni; większość klaskała w ręce, podskakiwała z zachwytu i gratulowała Conny'emu wspaniałego dzieła zniszczenia, lak, gratulowali mu i chronili przed popychaniem i potrącaniem.

Simon Gayko? Simon zbladł, zaczął drżeć i wydał z siebie tylko jeden jedyny odgłos, suchy, monotony szloch; wyciągnął ręce w kierunku wraku, pogłaskał swoje rozbite dzieło. Wciąż szlochając, zaczął zbierać resztki: kominy, łodzie ratunkowe i to, co pozostało z pokładów, ułożył w papierze, związał w nieforemną paczkę i podążył do swojej ławki.

Schowałem swój tłuczek, musiałem go bronić przed innymi, którzy chcieli go wypożyczyć, by rzucać do pospiesznie odkrytych celów; powrót Henseleita zakończył tumult. Śmignęliśmy na swoje miejsca, stojąc

obserwowaliśmy jego chód od drzwi do katedry, z której jak zwykle miał dać sygnał, byśmy usiedli, lecz tym razem sygnału nie było; tym razem stał długo jak skamieniały i patrzył ponad naszymi głowami w dal, grały mu mięśnie twarzy, a oddech słychać było aż w ostatniej ławce; nie zauważył, że białe awizo zniknęło, jeszcze nie. Głosem, o który go nie posądzaliśmy – zwykle mówił tak, jakby wisiał na największym żaglu i wołał coś w kierunku pokładu – a więc wyzywająco cicho i dlatego tym bardziej dosłyszalnie, powiedział nagle: – Wojna, jest wojna. Możecie iść do domu.

Po tej wiadomości nieco się odprężył, przestąpił z nogi na nogę i pozwolił sobie na szczyptę tabaki, czego nigdy w klasie nie robił. Potem mówił dalej, nie do nas, raczej jakby do siebie, mówił o cesarzu, który niczego nie chciał, i o carze, który właśnie wezwał „do walki zbrojnej z mieczem w rękę i krzyżem na piersi”. Mówił też o armii rosyjskiej, która stała już podobno niedaleko Mazur, o Kozakach dońskich i petersburskich dragonach, przy czym uśmiechał się z ufnością i wielokrotnie wspominał nasze bagna, nasze niezawodne bagna.

Może pan sobie wyobrazić, jak niecierpliwiliśmy się podczas tych wieści – zupełnie jakby podłączył nas do maszyny elektrostatycznej. Nic nie mogło powstrzymać naszego zniecierpliwienia: w myślach wymykaliśmy się już na mosty, do Borku na obie zakurzone drogi wylotowe z Łukowca, aby przypadkiem nie przegapić wojny. Niektórzy chwyтали już za tornistry, gdy Simon Gayko zaszlochał mocniej, chwycił swój pakunek i zaniósł go na katedrę, gdzie otworzył go w niemym oskarżeniu, tylko otworzył, nie obwiniając żadnego z nas po nazwisku, nie skarżąc. Henseleit wpatrzył się we wrak, spojrzął na klasę i, zgrzytając zębami, znów na awizo i powoli, ale zdecydowanie sięgnął po swoją trzcinkę: – Kto to, na miłość boską, co za łajdak to zrobił? – Conny zgłosił się natychmiast. Musiał wyjść na środek, a ponieważ to mój tłuczek pobłogosławił jacht, musiałem i ja wystąpić. Żadnych wyjaśnień nie przyjmowano. Trzcinka cięta i gwizdała, uderzała najpierw w pustkę, gdyż ręka się cofała, potem jednak trafiała, kreśliła piekące rysy na czubkach palców, sprawiła, że opuszki puchły, a my tańczyliśmy na jednej nodze. Słychać było tylko świst.

Nie wiem, jakie kary przysłyby Henseleitowi w normalnych czasach do głowy i jak długo by trwały; pewne jest, że właśnie ogłoszonej wojnie zawdzięczaliśmy, iż uszliśmy z niecałym tuzinem uderzeń.

Nie, muszę się poprawić, Conny i ja otrzymaliśmy jeszcze dodatkową karę, tak łatwo Henseleit nikogo nie wypuszczał: gdy zwolnił już klasę, kazał nam jako pracę domową napisać sto dwadzieścia razy jedno zdanie, to samo zdanie, rozumie się, groźne zdanie do zapamiętania: Cudzej własności nie wolno niszczyć. Po czym zwolnił nas, a my wypadliśmy na dwór, w to gorące, już zmatowiałe południe, w poszukiwaniu zapowiedzianej wojny.

Dzwoniły dzwony, dzwoniły w obu kościołach Łukowca, ale dla nas nie miało to znaczenia, musieliśmy biec dalej, tam, gdzie coś się działo, w dół nad jezioro i na most, ręka w rękę. Conny schował nasze tornistry w łodzi ustawionej na kozłach, w ten sposób łatwiej było nam wspiąć się na skarpe, na most, gdzie starsi żołnierze, prawdopodobnie ochotnicy, sporządzili zaporę z bron, pługów, kół od wozów, dyszli i zardzewiałych rur, wszystko poszczepiali ze sobą, nie do rozwikłania; była to przeszkoda, której nie odciągnęłoby nawet dwanaście koni, a jedyną lukę zastłonili przednimi kołami powozu i położyli pień drzewa na osie: teraz każdy wrogi obserwator mógł zameldować, że mostu broni dziesięciocentymetrowa haubica. Cztery czynne haubice, którymi dysponował łukowiecki garnizon, pociągnęły przez lukę obok nas w kierunku zachodnim, na Skomack Wielki i Orzysz, nasza kawaleria wyruszyła również w tym kierunku, a także oddział inżynieryjny z taborem i sprzętem, wszyscy w dobrym humorze, skłonni do słów pełnych otuchy, tak że obawialiśmy się, iż wojna ominie Łukowiec.

Naraz uspokoiły się dzwony, słychać było tylko echo, nie maszerowali już żołnierze, ochotnicy siedzieli w cieniu kasztanów i palili, jezioro spokojnie odbijało masywny, umocniony most; w tej chwili wydało mi się, że całe miasto nasłuchuje, wstrzymuje oddech, bez ruchu, niepewnie wsłuchuje się we własną przyszłość. Nikt nie siedział w przycumowanych na dole łodziach, w oknach nie pokazywała się żadna twarz, ani jeden wóz nie

hałasował w mieście po bruku – jeszcze nigdy nie było w Łukowcu tak cicho...

Nie rozumiałem pana, drogi Martinie...

Jak daleko znajdowała się armia rosyjska? Jak była liczna? Cóż, stała zaraz za granicą, oddalona od Łukowca o niecałe dwadzieścia kilometrów, były tam oddziały armii „Wilno” Rennenkampfa, Kozacy dońscy, fińskie regimenty strzelców, konnica orenburska, poznaliśmy je wszystkie. Zresztą w naszym muzeum leżały kopie planów ich kampanii.

Ale co to ja chciałem powiedzieć: cisza, słusznie, napięta cisza nad miastem, tego jasnego sierpniowego dnia, gdy wszystko wstrzymywało oddech w oczekiwaniu. Nam oczekiwanie nie wystarczało, przekradliśmy się przez nie pilnowaną lukę, przebiegliśmy obok więzienia i majątku i obraliśmy kierunek na górę zamkową. Nie było tu Adama Rogalli ani łopatk, która wyrzucałaby miałką, torfiastą ziemię poza brzeg wykopanych tarasów. Dwa bociany łapały żaby na moczarach. W oddali pod srebrnymi topolami, przez półwysep między Jeziorem Tatarskim a jeziorem Łukowiec, maszerowali na zachód żołnierze, otuleni w leniwy obłok kurzu, chwilami dosięgały nas ostre błyski. Czoło pochodu zniknęło już w dużym lesie państwowym, daleko za jeziorami, gdzie światło nie raziło już tak boleśnie. Obserwowaliśmy ich, aż opadł obłok kurzu i tabor zniknął, po czym zabraliśmy się do pracy...

Przy siedmiu sosnach, osłonięci wystającymi z ziemi korzeniami, usypaliśmy wał z kamieni, podparliśmy go padpalonymi resztkami bali, nie zapominając o otworach strzelniczych, a zastarzały zapach spalenizny, który zachowały kamienie i bale, dał nam poczucie, że chrzest bojowy mamy już za sobą.

Był to dzień zupełnie jakby zrobiony z cynfolii, wszędzie szeleściło i trzeszczało, oślepiało i rozbłyskiwało, wszystko, co stało pionowo, drżało z ekstazy, powietrze lśniło twardym blaskiem. Wydawało się, że wskazówki zegara stoją tego dnia w miejscu, jakby zawsze miało być południe, rozżarzony piec chlebowy, w którym pęka kora drzew, a nawet

jagody jałowca. Nieogarniony, tak, mój drogi, ten dzień był dla nas po prostu nieogarniony.

W każdym razie musi pan wiedzieć, że nie tylko wznieśliśmy wał, lecz również go wypróbowaliśmy, zajmując pozycje obronne i przeprowadzając połączone z dość dużymi stratami ataki rosyjskiej artylerii i petersburskich dragonów. Byliśmy zadowoleni, szczęśliwi i wyczerpani, trzymaliśmy się bardzo mocno za ręce. Potem Conny wyciągnął swój szczyrek, dość uroczyście wysunął małe ostrze, a mnie przeniknął dreszcz, gdy tak staliśmy naprzeciwko siebie z nagimi torsami i pytającymi spojrzeniami sięgaliśmy aż do samego dna duszy. Byłem gotów, zgiąłem ramię i wysunąłem je w kierunku Conny'ego, poczułem ukłucie czubka noża, zobaczyłem, jak mozolnie wycieka gęstawa krew, tylko kilka kropel, w których Conny tak długo maczał koniec noża, aż krew do niego przylgnęła. Ciekawie przyglądał się później, jak nacinałem jego ramię, zaraz pod blizną od szczepienia; zanurzyłem czubek noża w strumyczku, który powoli, jakby szukając sobie drogi, spływał po jego ramieniu, a gdy już spłynął, położyliśmy dłonie jedna na drugiej i popatrzyliśmy na siebie zbyt podnieceni, by móc cokolwiek powiedzieć, staliśmy tylko w głucho dźwięczącym miejscu na górze zamkowej pod siedmioma sosnami...

Bernhard, mój syn Bernhard, powiedział kiedyś o tym: – No i widzisz, krew jest najgorszym atramentem. – Właśnie do mnie napisał, po długim czasie przysłał kartkę z życzeniami wyzdrowienia, siostra mi ją przeczytała...

Słucham? Czy Henrike tego panu nie opowiadała? Jako asystent socjalny, Bernhard pracuje jako pracownik socjalny w Bremie, wspólnie z przyjacielem, z którym się nie rozstaje od dwunastego albo trzynastego roku życia...

A więc zawarliśmy pakt na górze zamkowej i trzeba nas było wtedy widzieć w drodze do domu: nawet na jedną chwilę nie zdjęliśmy ręki z ramienia drugiego, nasze biodra ocierały się o siebie, tak blisko szliśmy, weseli i bardzo pewni siebie. Najpierw ja odprowadziłem Conny'ego do

więzienia, potem on mnie pod mój dom, w końcu rozstaliśmy się w połowie drogi, idąc tyłem i kilka razy sobie machając. Nareszcie jakaś odmiana: wojna.

Również dla mojego ojca, Jana Rogalli, wojna była wydarzeniem z przyszłością. Z jego laboratorium bez przerwy unosiły się barwne opary, we wszystkich pomieszczeniach kwitła mgła, nad naszym małym domem stały chmurki o uroku bengalskich ogni. Dzień i noc w jego tajemniczej, naukowej kuchni gotowało się, piekło, bulgotało i smażyło, od czasu do czasu docierał do nas odgłos umiarkowanych wybuchów, w płomieniach powstawały tam zapachy, które przyprawiały nas o kolorowe sny na jawie. Ledwo powiesiłem swój tornister na gwoździu, ojciec polecił mi wyławiać z jeziora puste butelki, puszki i inne pojemniki – z jeziora, ale również z odpadków hotelu „Luisenhof” i browaru „Masovia”, a ja dostarczałem mu, czego potrzebował, płukałem naczynia w cebrzyku, pomagałem je napełniać ciemnymi, zawiesistymi, galaretowatymi, zawsze nieprzezroczystymi substancjami. Ponieważ przyroda wydawała mu się z zasady mętna, również cudowne lekarstwa musiały być z natury mętne; zwracał na to uwagę mimo pośpiechu przy produkcji. Pracowaliśmy z takim zacięciem, jakbyśmy mieli zaopatrzyć w lekarstwa nie tylko jedną armię, lecz wszystkie; pod ścianami, łózkami, w piwnicy i na strychu piętrzyły się środki, które miały łagodzić gorączkę od ran, skutki cięcia szablą, ba, nawet postrzału.

Na sceptyczne westchnienia mojej matki, która cierpiała z powodu coraz większej ciasnoty, ojciec odpowiadał przemądrzale: – Co ty sobie myślisz, ile oni będą potrzebować, gdy już na siebie napadną? Przy takich dużych armiach będzie porządne zapotrzebowanie. – Wobec takiego argumentu mojej matce nie pozostało nic innego, jak wyciągnąć w końcu słoje na przetwory i wbrew ich przeznaczeniu pozwolić je napełniać cudownymi lekami...

Powie pan, kupiec idący na całego; gdyż w Łukowcu nie pojawił się jeszcze ani jeden rosyjski żołnierz, nie słychać było huku za horyzontem, posterunek obserwacyjny na wieży kościelnej nie miał nic do liczenia poza powracającymi do domu bocianami. Dawały się już słyszeć pytania

pełne zwątpienia, szerzyła się niewiara. Ojciec, który tyle zainwestował, odpowiadał na każdą wątpliwość z ufnością, którą rzekomo potwierdzała fizyka: na ogniu, mawiał, najpierw bulgocze, potem gotuje się, a wreszcie kipi.

Przespąłem chwilę, kiedy zakipiało, to znaczy leżałem w czymś w rodzaju omdlenia na łóżku, boso, tylko w spodenkach gimnastycznych, a obok mnie, błogo odprężona, prawie jak w szczęśliwej śmierci, spoczywała Edith, która odwiedzała nas głównie po to, aby się dać „okadzić”. Ciężkie, jadowicie zielone opary, które wdychała przykucnięta, oszołomiły ją i zdążyliśmy jeszcze położyć ją na łóżku, zanim i mnie zrobiło się niedobrze; zwymiotowałem w kontrolowany sposób, chwytając podszedłem do niej i padając poszukałem jeszcze jej dłoni.

Kiedy tak leżeliśmy, młodzi, zupełnie jakby przygotowani do pogrzebu, który mógłby wzbudzić sensację w mieście, pamiętam jeszcze, że śniłem o Perkunie, pogańskim bożku, który ukochał dęby; wysuwał się z korony drzewa, wyężdżając siły, aby odpędzić fioletowe, brunatne i zielone welony dymu, które stały nad naszym domem, próbował zgarnąć je na siebie, jak ozdobę, jak sztandar, może jako kamuflaż, i podczas gdy zgarniał te kolorowe zasłony, w oddali rozpętała się letnia burza. Rozlegały się tylko pojedyncze grzmoty, krótkie uderzenia, a potem w moim śnie coś bębniło, silnie i bez echa, tak jak grad bębni o rozpięty parasol. Ostrożnie przeciągałem się, zerkałem i opadałem z powrotem na łóżko; zawsze potrzebny był pewien wpływ, czasu, te omdlenia opuszczały nas na raty.

Przyszli Rosjanie. Po krótkiej utarczce – tak można chyba nazwać wysiłki ochotników: szybko oddali za horyzontem kilka strzałów i od razu się wycofali – Rosjanie zajęli Łukowiec, ale co ja mówię: „zajęli”; tej posłusznej swemu ruchowi gąsienicy wojsk, ciągnącej na nas z taborami, bagażami i wszelkimi możliwymi pojazdami z lasów na południowym wschodzie, nie mogli zatrzymać żadni ochotnicy. Ciągnęli niepowstrzymanie, pochłaniali nas i otaczali, pozostawiając kilka niezbyt potrzebnych jednostek, po czym pociągnęli dalej w kierunku na Skomack Wielki i Orzysz.

Najpierw przez tamę koło majątku przeciągnęły regimenty syberyjskich strzelców, potem dragoni, oddziały robocze i obrony krajowej z Pleskau, a my siedzieliśmy na żelaznej poręczy na tamie i ocenialiśmy ich. Szacowaliśmy ich oddziały z karabinami maszynowymi, ich haubice, ale również oficerów jadących na przodzie, którzy wszyscy bez wyjątku nosili skórzane mapniki, każdy okrzyk brali za pozdrowienie i od razu gotowi byli odwzajemnić te powitania. W odróżnieniu od oficerów, którzy zachowywali się pewnie i swojsko, żołnierze okazywali umiarkowaną uprzejmość, niektórzy rzucali nam jakieś niemieckie słowo, inni mrugali do nas, jakby chcieli uspokoić zarówno nas, jak i siebie.

Przed naszymi oczami przejeżdżali dragoni na spoconych koniach, oddziały specjalne z zapakowanym sprzętem, artyleria ciągniona przez sześć koni, zgodnie z rozkazami, które wydawano w starannie odosobnionej, bardzo odległej kwaterze głównej, a które nawet nie były zaszyfrowane, po prostu dlatego, że byli tak pewni siebie. Wszelako generał w białej kurtce mundurowej zdawał się nie podzielać tej pewności, siedział na tylnym siedzeniu otwartego samochodu, smutny, udręczony kurzem i upałem, oczy miał prawie zamknięte; gdy przejeżdżał koło nas, zdawał się nie zauważać czterech kozackich jeźdźców, którzy eskortowali jego pojazd. Za nim przetoczyły się kuchnie polowe, dalej postępowały fińskie regimenty, a w końcu bardzo młodzi żołnierze w nie dopasowanych mundurach i nowych, najwyraźniej cisnących butach.

Matka, która obserwowała pochód żołnierzy z okna, ukryta za firanką, powiedziała przygnębiona podczas obiadu: – To się nijak nie kończy, aby ino nie otoczyli cesarza... – Natomiast Jan Rogalla, mój ojciec, jadł odprężony i z apetytem...

Słucham? Tak, mój drogi, dziś trzeba uwierzyć na słowo, że Łukowiec za pierwszym razem został zajęty bez zniszczeń, w pierwszych dniach nie było również aresztowań ani rekwizycji, zalali nas jedynie swoją ilością i tak jak wielka rzeka rozdziela swoje wody na martwe ramiona, tak też oni pozostawili kilka jednostek obrony krajowej i Kozaków dońskich, okupujących nas; aby uczynić zadość zwyczajowi, ogłoszono na naszym bezdrzewnym rynku, że Łukowiec znajduje się obecnie pod zarządem

rosyjskim. Policjantom pozwolono zatrzymać swoje mundury i pozostać na służbie, posłaniec magistracki nie musiał oddawać roweru, nocnemu stróżowi potwierdzono pisemnie jego przydatność. Okupanci zadowolili się tym, co i tak stało puste, rozlokowali się w garnizonie, przejęli urząd prowiantowy i stajnie. Tylko komendant miasta wraz ze swoim sztabem nie mógł najwidoczniej zrezygnować z widoku na jezioro Łukowiec i zakwaterował się w „Luisenhof”.

Zmiana? W czym mielibyśmy ją odczuwać? Kiedyś nasz świat ograniczał niedostępny cesarz, teraz równie nieosiągalny car: obaj byli groźnymi, ale równie pełnymi blasku legendami.

A jednak coś się zmieniało, powoli, dzień po dniu, musieliśmy godzić się z tym, że niektóre rzeczy, przedtem dozwolone, obecnie nie uchodziły, odkryliśmy nie znane uczucie: czekanie na zakazy, dotyczące wszystkiego, co robiliśmy. Pojawiły się rzeczywiście.

Niespodziewanie kilku kozaków z oficerem na czele zajechało przed więzienie; kazali sobie otworzyć bramę, przeprowadzili niecierpliwą rozmowę z ojcem Conny'ego, po czym wyniesiono stół i krzesło na podwórze więzienia, tuż przy słonecznikach. Oficer usiadł, owijając sobie przegub siedmioma rzemieniami artystycznie splecionej szpicruty; jej rękojęść wystawała jak ogromny palec wskazujący, którym porozumiewał się przy pomocy znaków – na lewo od niego miał stanąć tłumacz, a po prawej stronie stary dyrektor więzienia. Jakże obojętnie czekał oficer, podczas gdy w więzieniu słychać było okrzyki radości, jaka bez wyrazu pozostała jego twarz, gdy poszczególni więźniowie, wyprowadzani ze swoich cel na podwórze, próbowali mu przedwcześnie dziękować! Jeden umiarkowany ruch rękojęści, a więźniowie kamienieli i cofali się.

Musieli zgromadzić się na podwórzu więzienia, przybliżyć się, utworzyć kręty szereg, a gdy wywoływano nazwisko któregoś z nich, musiał podejść do stołu, zdjąć drelichową czapkę i milczeć. Ojciec Conny'ego stojąc wyczytywał z listy nazwisko więźnia, jego przestępstwo i wymiar kary; tłumacz przekładał to oficerowi, który ani razu nie skinął ani nie potrząsnął głową, tylko patrzył na więźnia, ostro, a zarazem obojętnie, po

czym rękojeść szpicruty zaczynała wibrować, zanim ogłosiła wyrok: jeśli opuszczała się w dół, wówczas więźnia odprowadzano do celi, jeśli zaś ustawiała się pionowo, wówczas czas odbywania kary natychmiast się kończył.

Zupełnie jak w legendzie.

Staliśmy na wewnętrznym dziedzińcu więzienia, może pan sobie wyobrazić, jacy byliśmy niespokojni, wciąż na nowo zdumieni wyrokiem, który nader często nie odpowiadał naszym oczekiwaniom, po rozważaniach i błyskawicznym sprawdzeniu, których my w każdym razie nie mogliśmy zrozumieć. Nie można było nic przewidzieć: więzień, który dopiero co siedział z powodu szmugłu i obrazy majestatu, mógł oto spieszenie opuścić więzienie, a zaraz następnym, któremu nie zarzucano nic oprócz obrazy majestatu, musiał wracać do swojej celi. Conny, Edith i ja nie mogliśmy pojąć, dlaczego ułaskawiony został podpalacz, a złodziej drobiu odesłany, by odbywał dalej swoją karę, nie mogliśmy zrozumieć posępnej, sędziowskiej mądrości, która nożownika wypuszczała na wolność, zaś wyrok kłusownika na państwowym potwierdzała niedbałym opuszczeniem rękojeści szpicruty.

Tak, to prawda: nasze podniecenie dotyczyło przede wszystkim Eugena Lawrenza. Stał w szeregu jako przedostatni, ruszył do przodu nie podnosząc oczu, z tą samą obojętnością, jaką okazywał oficer kozacki, a gdy wreszcie stanął przed stołem, tłumacz musiał go dwukrotnie wzywać, by zdjął czapkę. Ojciec Conny'ego, oślepiony przez słońce i wyczerpany bezgłośnym buntem, czytał jękając się z książki więziennej, tłumacz chwycił jego słowa, objaśniał przestępstwo i wymiar kary; wtem ojciec Conny'ego wmieszał się jeszcze raz ku zaskoczeniu wszystkich, pewnie myślał, że musi wtrącić swoje trzy grosze do tego przypadku, co wywołało jedynie niechętnie zdumienie oficera. Rękojeść szpicruty wystrzeliła energicznie do góry, wyrażając zarazem wyrok i przestrożę, a tłumacz musiał powiedzieć Lawrenzowi, że jest wolny, że może iść do domu ze swoim zawiniątkiem.

Eugen Lawrenz nie podziękował jak inni, stał bezradnie, jakby ta wolność mu nie odpowiadała, jakby kolidowała z jakimś planem, który długo obmyślał; także później, gdy zniknął w więzieniu, nie ważyłbym się przewidywać, czy pojawi się znowu ze swoim tłumoczkim, czy każe się zamknąć w celi.

Ukazał się znowu. Wyszedł na podwórko z zawiniątkiem tabaczkowego koloru właśnie wtedy, gdy oficer polecał ojcu Conny'ego stawić się niezwłocznie w komendanturze w hotelu „Luisenhof”; trzymając w ręce sękatą laskę, Lawrenz przeszedł nie podnosząc wzroku obok strażnika, sam otworzył przymkniętą bramę i skręcił ostro w cień muru. Poszedłem natychmiast jego śladem, który wiódł wzdłuż muru, przez tamę, aż do olszyn w dole, gdzie kiedyś stał jego maleńki domek. Ukrył zawiniątko w gęstwinie jeżyn, narzucił nań trawę i gałązki, ochłodził twarz w jeziorze, po czym zaczął się wspinać ku majątkowi, tak, wspinał się i okrążał go uważnie. Pokazał się znów za kuźnię i wpatrywał w dom mieszkalny; przy stajniach stał najdłużej, nieruchomy jak słup, aby poznać właściwości domu, a jeszcze bardziej zwyczaj jego posiadacza.

Cierpliwości, drogi Martinie, pozwólmy zdarzeniom toczyć się po kolei. Podczas gdy obserwowałem Eugena Lawrenza, odkrył mnie ojciec, rozpoznał z wysokości swojej eleganckiej dwukonki, zatrzymał się, zawołał mnie i musiałem wyjść z za ochronnego szpaleru pogiętych baniek od mleka i wspiąć się na kozioł. Trzeba było przerwać śledzenie i zająć miejsce obok Jana Rogalli, który zrobił na mnie duże wrażenie swoją zdecydowaną i uroczystą postawą. Promieniowała odeń niewątpliwa pewność zwycięstwa, jak również coś pańskiego: tak wyobrażam sobie dawnego kupca, wyruszającego niegdyś za największym interesem swego życia. Jego przygana wypadła odpowiednio łagodnie: nawet wojna, Siechmunt, nie jest powodem, żeby w twoim wieku nie bywać wcale w domu.

Ukłonów, które rozdawał na podwórzu majątku, nie mogę nazwać inaczej niż łaskawymi, łaskawie pozdrawiał również rosyjskich ordynansów, którzy ustąpili nam z drogi przed bramą. Chłopski wóz, który chciał przejechać most przed nami, został zatrzymany i obrzucony obelgami;

przy pomocy pchnięć bagnietem zbadano niewinność wiązek słomy, zanim pozwolono mu wjechać do Łukowca: nasza dwukonka jednak przetoczyła się obok podwójnych straży bez zatrzymywania, tak, przejechaliśmy, chociaż na naszym wozie pod wypłowiałą plandeką piętrzyło się coś i rozrastało w zagadkowe kontury.

Promenadą nad jeziorem jeździli w małych grupach Kozacy, trzymając konie w cuglach, póki się nie rozzuchwalili: nagle przyspieszali tempa aż do wyciągniętego galopu, pochyłali się na bok i koziołkowali pod brzuchy koni, jechali głową na dół, widząc świat do góry nogami, po czym wynurzali się ze zwycięskim uśmiechem i pozdrawiali nas.

Przetoczyliśmy się przez pusty rynek i wjechali na ulicę prowadzącą do dworca, strzeżonego przez Kozaków; zajeżdżały tam pociągi z końmi, działami, z zaopatrzeniem, a także pociąg z młodymi rosyjskimi cywilami, którzy ociężale sformowali się na placu dworcowym, strapieni ludzie, wlokący ze sobą co najwyżej tekturowe pudło, których później zaprowadzono do garnizonu, gdzie mieli się przebrać. Spotkaliśmy ich maszerujących po tym, kiedy dogonili nas i zawrócili z drogi rączy kozaccy jeźdźcy, co jednak wcale nie znaczy, że ojciec pojechał zrezygnowany do domu tylko dlatego, że nie mógł osiągnąć swego celu najkrótszą drogą: tam, gdzie inni dawno by dali za wygraną, jego upór zmuszał go do wytrwałości, dzięki której znaleźliśmy się na tyłach garnizonu, na zapleczu wojskowego lazaretu. Niepewnego wartownika, który początkowo domagał się dokumentów, pokonałiśmy dzięki temu, że ojciec z akrobatycznym rozmachem zerwał brezent ze skrzyń, regałów i szeregów butelek i ukazał jego oczom swą ruchomą, cudowną aptekę, a następnie z powściąganym tryumfem poprosił go o sprawdzenie przywiezionych medykamentów według listy. Ten potrząsnął głową i otworzył bramę.

Może uśmiechnie się pan teraz, mój drogi, jednak mogę pana zapewnić, że Jan Rogalla w najlepszej wierze szedł z dwukonki, by w ciągu najbliższych godzin zrobić interes swojego życia, w miarę możliwości potwierdzony przez rosyjskiego lekarza naczelnego. To, co cesarscy lekarze wojskowi odrzucili z – jak twierdził – pierońskiej głupoty,

spodziewał się teraz osiągnąć u carskich lekarzy wojskowych, których uważał za mniej nadętych.

Musi pan sobie najpierw wyobrazić ofertę, którą chciał przedstawić wrogowi: sto czterdzieści cztery pozycje, które umieścił na swoich listach i obszernie wyjaśniał ich krótko- i długoterminowe działanie. Oferta zaczynała się od pospolitych cudownych środków, jak maść na otarte stopy, galaretka na odparzenia, syrop przeciw zaziębieniu i gorączce – a więc lekarstwa przeciw najzwyklejszym przypadłościom armii w marszu. Dalej oferta stawała się bardziej interesująca, odważniejsza i bardziej niezwykła, a wreszcie tak fantastyczna, że każdego dowódcę mogła zwalić z krzesła. Były tam błyskawicznie działające specyfiki przeciw ranom od szrapneli, szybko skutkujące esencje przeciw pchnięciu bagnetem i lancą, proszek na rany spowodowane strzałami z mózdzierza, ponadto ojciec służył skwierczącym balsamem przeciw oparzeniom i – chyba *clou* całej listy – tanim tonikiem przeciwko brakowi odwagi na polu bitwy.

Niech pan sam powie, mój drogi, jakie obrazy musiała wywołać ta oferta w umyśle wodza z wyobraźnią: z cudownie uodpornioną, w każdym razie nie dającą się zdziesiątkować armią uderzyć na przeciwnika, który po prostu dlatego, że nic nie może zrobić, najpierw jest zdumiony, w końcu upada na duchu i jest gotów do kapitulacji.

W każdym razie uwiązaliśmy konie przed wojskowym lazaretem i rozeszliśmy się w poszukiwaniu naczelnego lekarza rosyjskiego, ale odnaleźliśmy tylko dwie pielęgniarki. Na nasze pytanie o pokój lekarza wojskowego odpowiedziały nie rozumiejącymi spojrzeniami. Snuliśmy się po korytarzu lazaretu przed otwartymi drzwiami, ruchem głowy pozdrawialiśmy rannych, którzy leżeli w koszulach bez kołnierzyków na siennikach; nie uszła mojej uwagi zuchwała ufność, z jaką ojciec puszczał oko do tego czy owego.

W jednym z pokojów mówiono po niemiecku, weszliśmy tam i usłyszeliśmy, że Rosjanie wzięli do niewoli co najmniej dwudziestu niemieckich ochotników, rannych pod Prostkami; ruchomy lazaret wielkiej księżnej Wiktorii Fiodorowny udzielił im pierwszej pomocy.

Również im skinął ojciec głową przy pożegnaniu, dodając otuchy: poczekajcie, wasze ciężkie dni są już policzone.

Zeszliśmy korytarzem w dół, jak poradzili nam ochotnicy, tam, gdzie robiło się coraz bardziej ponuro, wisiła jeszcze rzeczywiście na ścianie fotografia cesarza Wilhelma, zdjęcie z jego podpisem. Na jednych spośród drzwi z szybami z mlecznego szkła wisały dwa ręcznie napisane zakazy wstępu – po niemiecku i po rosyjsku: był to pokój z lekarstwami, zapukaliśmy tam. Wewnątrz zamilkł jakiś głos, urwała się nucona melodia – coś zabrzęczało, zatrzasnęły się drzwi od szafy i po potwornym pukaniu, skwitowanym przekleństwem, wyszedł do nas rozgniewany Wotan³, człowiek, który wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałem sobie zawsze boga piorunów i niezadowolonego szefa: wodniste oczy, broda w kolorze mgły, przesadnie wyrobione mięśnie szyi. Na nierówno zapiętej kurtce od munduru olbrzym nosił szarobiały kitel; twarz jego zasepiła się na nasz widok, zmierzwione brwi ściągnęły się, po czym obdarzył nas przekleństwem, które, choć go nie rozumieliśmy, pozwalało jednak wyczuć tyle, że Janowi Rogalli i mnie uderzyło na twarz palące gorąco. Przekląwszy, odwrócił się z ulgą, dał znak dwu siedzącym cicho obok siebie pielęgniarkom, gestem przywołał je do siebie, porozumiał się z nimi szeptem i zapraszającym ruchem zezwolił na rozmowę.

Jan Rogalla, z czarnym kapeluszem w dłoni, wyjaśnił cel naszego przybycia i przedstawił swoją propozycję: jedna z sióstr tłumaczyła. Ojciec rozłożył spisy lekarstw, podał kilka nazw tajemniczych substancji, objaśnił ich działanie, podczas gdy mężczyzna w kitlu stał pod oknem i słuchał, z początku rozbawiony, potem jednak z coraz większym zaciekawieniem. Ojciec powoli rozszerzał ofertę; im bardziej fantastycznie brzmiały poszczególne pozycje, tym realistyczniejsze stawały się jego objaśnienia, mówił w sposób wyważony, pełen wyrazu, unikał wszelkiej przykrej autoreklamy, a przede wszystkim nie wychwalał niepotrzebnie znaczenia lekarstw dla dalszej kampanii armii rosyjskiej, co czyniło go jeszcze bardziej wiarygodnym i spowodowało, że

³ Wotan – bóg starogermański (przyp. tłum.).

główny zarządca medykamentami nie mógł już wytrzymać z niepokoju: chciał zobaczyć próbki, prosił o dowody, może o krótką demonstrację.

Ojciec poszedł do dwukonki, aby zabrać do koszyka kilka najciekawszych cudownych środków; mnie pozwolono poczekać; ssałem miętowy cukierek i obserwowałem wielkooki strach, który pojawił się na twarzy jednej z sióstr; najwidoczniej rosyjski lekarz wojskowy rozwijał przed nią jakiś plan, po czym po cichu rozkazał jej odejść. Usiadłem na połowym łóżku, przeraziłem się chrzęstu, z jakim rozgryzłem cukierek. Wotan w lekarskim kitlu bębnił dużymi, porośniętymi jasnym włosem palcami po parapecie.

Wreszcie Jan Rogalla wrócił, nieco zbyt eleganckim ruchem postawił koszyk na składanym stole i wyjmował buteleczki, puszki i słoiki, zestawiając je w przejrzystą kolekcję. Ściśle według listy lekarstwo po lekarstwie wędrowało w stronę lekarza wojskowego; ów wachał pojemniki, potrząsał nimi, trzymał je pod światło i robił, co tylko mógł, by wyrazić swój podziw – nieco zbyt mechanicznie, ale zauważyliśmy to zbyt późno.

Nagle rozwarły się drzwi, dwóch uzbrojonych żołnierzy z nasadzonymi bagnetami pomaszzerowało w kierunku mojego ojca i prawie równocześnie położyło mu rękę na ramieniu; lekarz zdjął kitel, uleciał zeń cały zachwyty, pozostał tylko gniew i drwina, po czym oznajmił Janowi Rogalli z mniej więcej dwudziestocentymetrowej odległości, że niniejszym jest aresztowany. Jako sabotażysta. Jako agent, który w szczególnie podstępny sposób chciał podkopać zdrowie całej armii. Odpowiednia kara zostanie ustalona w kwaterze sztabowej. Pojazd wraz z ładunkiem ulega zarekwirowaniu. Na jego skinienie obaj żołnierze odprowadzili ojca.

Co zrobiłem? Biegłem za nimi; ponieważ nie zostałem aresztowany, podążałem za nimi, tak, korytarzem w dół i na dworze aż do bramy, gdzie żołnierze mnie przepędzili.

– Biegnij do wuja Adama – powiedział ojciec, więcej nie wolno mu było powiedzieć, żołnierze zabronili mu mówić.

Nie, dziękuję za herbatę, zjadłbym teraz kilka winogron, które mi pan przyniósł... Nie musi mi pan za każdym razem coś przynosić, mój drogi... Dziękuję.

A więc biegłem za żołnierzami, oczywiście w odpowiedniej odległości, ciągle w nadziei, że Jan Rogalla się za mną obejrzy, ale on szedł w nogę ze swymi strażnikami, wstrząśnięty i jakby ogłuszony. Pozwolił zaprowadzić się do „Luisenhof”, do kwatery sztabowej, a ponieważ mocno wierzyłem, że zaraz go zwolnią, czekałem przy przystrojonym proporczykami wózku lodziarki. Ale nie wyszedł ani on, ani żołnierze, musiałem więc udać się w dół ku wodzie, nad szeroką pętlę rzeki Łukowiec, do wuja Adama.

Jego wąski ogród ograniczała woda, przepływająca obok w powolnych wirach, dom był cofnięty, położony na obsadzonym roślinnością zboczu, potężny budynek pokryty trzcina, otynkowany, z pasem błyszczącej smoły nad ziemią. Wuj Adam mieszkał tam samotnie, wiódł sam ze sobą nie kończące się, urozmaicone rozmowy; nikt nie wiedział, czy odczuwał brak żony, która umarła zaraz w pierwszym roku małżeństwa. Gdy przychodziłem do niego, nigdy nie korzystałem z oficjalnego wejścia; za każdym razem przemykałem się schylony pod oknem kuchennym, rzucałem kamień do beczki z deszczówką, wciskałem się, stopami do przodu, przez otwarte okno piwnicy, piwnicznymi schodami skradałem się do góry, nasłuchiwałem, gdzie jest wuj, podchodziłem do niego na palcach i udawało mi się go tak nastraszyć, że musiał trzykrotnie splunąć, zanim mnie przywitał.

Okno od piwnicy było zamknięte, nagle i niespodziewanie, musiałem podejść do drzwi wejściowych, cierpliwie wyrzeźbionych, wszystko w kolorze wyblakłego błękitu; pukałem i waliłem, rzucałem małymi kamyczkami w okno strychu – wuj Adam otworzył mi dopiero wtedy, gdy nagląco zawołałem jego imię.

Słusznie, opętany kret, badacz naszej przeszłości...

Tym razem też był poruszony; zaledwie otrzymałem od niego mokry, źle wycelowany pocałunek i gdy tylko zaryglował drzwi, pociągnął mnie przez sień, przez liczne pokoje, zapchane świadectwami naszej historii,

wszystkimi nagromadzonymi i zrekonstruowanymi dokumentami mazurskich obrzędów; tak, zaciągnął mnie do swojej sypialni, gdzie najwidoczniej przeszła jakaś nawałnica: ogromne łoże stało krzywo, szmaciane chodniki leżały jak śmiecie pod ścianami, rzeźbione krzesła poprzewracano, nawet malowana skrzynia, wiecznie zamknięty kufer, nie była na dawnym miejscu, lecz stała na sztorc przy ścianie. Dwuskrzydłowe drzwi zapadkowe, które trzymał w tajemnicy nawet przede mną, były otwarte, a wokół nich, rozsiana po całej podłodze, leżała zawartość jego prywatnego muzeum ziemi ojczystej: krzemienne narzędzia, broń z żelaza i brązu, mapy i ryciny, monety, wytarte przez niecierpliwe palce, prastare sprzęty domowe, ozdobne klamry, kołowrotek, pięknie wybielone szkielety zwierząt, szklana gablotka z nadpalonymi dokumentami – wszystko, co wyżebrał, wykopał, kupił lub przywiózł ze swoich sentymentalnych podróży i co połączył w zbiorach swego prywatnego muzeum.

Niemal zapomniałem o wiadomości, którą przyniosłem. Opowiedziałem mu, co się stało. Gniewnie kiwnął głową, zdawał się oczekiwać tego lub czegoś w tym rodzaju: – No i masz – powiedział – no i masz, chłopcze. – Potem naradził się krótko sam ze sobą i zdecydował: najpierw najważniejsze, potem mniej ważne. Wcisnął się do swojej tajnej piwniczki, gdzie zaczął działać przy blasku stajennej latarni, lekko pochylony; układał i spiętrzał w stosy wszystko, co mu podawałem na dół przez zapadkowe drzwi. Przyjmował przedmioty z czułością, nazywał je po imieniu, mówił: no, ty krzywy mieczu, albo: popatrz, popatrz, stare lustro, a podczas, gdy je tak układał, mówił dalej: tu będziesz bezpieczny, na razie, póki wszystko nie minie. Czasem musiał mnie upominać, popędzać, gdyż ciągle przerywałem pracę, by go słuchać, by nasłuchiwać głosu, który tam w dole mówił do wybranych przedmiotów, umieszczanych w bezpiecznym miejscu. W jego głosie było coś radosnego, niekiedy tajemny tryumf: najwidoczniej sądził, że spletał figla przemocy i zniweczył wszystkie jej wysiłki – po prostu dzięki temu, że na razie ukrył świadków naszej przeszłości, którym przypisywał wszelką moc dowodową.

Mówi pan, by w odpowiednim czasie mogły przemówić, tak...

W każdym razie harowaliśmy, aż tajna piwniczka pochłonęła najcenniejszy inwentarz, po czym zamknęliśmy zapadkowe drzwi, rozłożyliśmy maskujące chodniki, postawiliśmy na nich łóżko i z trudem przysunęliśmy doń skrzynię: dowody naszej mazurskiej przeszłości, „żywi świadkowie”, jak nazywał je wuj Adam, były zabezpieczone przed splądrowaniem i zniszczeniem. Wuj zamknął dom, schował klucz pod beczkę z deszczówką, przybrał uroczystą minę, objął mnie ramieniem i tak wyruszyliśmy do kwatery sztabowej, do „Luisenhof”.

Po drodze, jeszcze gdy szliśmy, wyczułem, że coś się zmieniło w mieście, poznałem to na widok licznych grup, które, po dwóch ludzi każda, oblepiały drzewa i ściany plakatami, odezwaniami, obwieszczeniami i ostrzeżeniami, po niemiecku i rosyjsku. Jaśniały one, były w oczy, zmuszały do ciągłego zatrzymywania się i czytania, wuj Adam nie przepuścił żadnego plakatu i czytał mi, co miał do powiedzenia Vitinghoff, rosyjski komendant miasta.

Nie wolno więc było dawać żadnych sygnałów świetlnych, flagowych ani żadnych innych. Czternastu ochotników, przytajonych w Łukowcu, zostało wezwanych do oddania broni, ostrzegano pod karą, by nie dawać rosyjskim żołnierzom alkoholu. Na mocy jednego z zarządzeń komendantura przyznawała sobie prawo do rekwizycji koni i rowerów. Ustalono kurs rubla. Jedna z nalepionych kartek wzywała naszych od stu pięćdziesięciu lat „uciemężonych” Polaków, by czuli się swobodni i pewni siebie.

Wuj Adam odczytywał mi te teksty z goryczą, zdawało mi się, że powiedział: Boże! nadeszła nasza godzina, teraz oni nam pokażą – ale cała ta gorycz nie przeszkodziła mu w zerwaniu kilku plakatów i schowaniu ich pod koszulę – dla swojego prywatnego muzeum ziemi ojczystej.

Mówił dobrze po polsku i trochę po rosyjsku, wartownik przed kwaterą sztabową pozwolił nam przejść i po raz pierwszy wuj Adam i ja ujrzeliśmy „Luisenhof” od wewnątrz, najwspanialszy i najdroższy hotel Łukowca, przeznaczony dla przejezdnych wyższych urzędników, dla handlarzy zbożem i właścicieli tartaków; pewnego razu o mało nie zanocował tu

cesarz. Może pan sobie wyobrazić, mój drogi, co to były za kontrasty: czerwony chodnik i wojskowe buty, ciężkie fotele i sofy obok map sztabowych i skrzynek z dokumentami, fortepian i stojący na nim telefon polowy, ogromna donica na ziemi i kozackie lance z proporczykami, wytorny zmrok i krzyżujące się w powietrzu rozkazy.

Staliśmy w samym centrum: za drzwiami z wiśniowego drzewa wymyślano odezwy i zarządzenia, tam, gdzie znikali żołnierze z meldunkami i tłoczyli się ordynansi, opracowywano plany wzięcia Łukowca w całkowite posiadanie.

Jeden z wartowników zwrócił się do nas: wuj Adam zażądał, i to od razu w imieniu obywateli, rozmowy z komendantem Vitinghoffem w pilnej sprawie, dotyczącej samowoli okupantów. Słowa te spłynęły po wartowniku jak woda po gęsi, skłonił się niewzruszony, po czym kazał nam iść piętro wyżej do pokoju o nazwie „Johannesburg” – zamiast numerów pokoje w „Luisenhof” nosiły nazwy miast.

Tak, choć trudno w to panu uwierzyć: wartownik zostawił nas samych z komendantem miasta, poprawnym, zrezygnowanym mężczyzną, który jak na swój wiek miał o wiele za niską rangę wojskową. Siedział na zielonej sofie, a nam wolno było na stojąco przedstawić mu naszą troskę, słuchał nie bez zainteresowania, bawiąc się przy tym sznurami spuszczonech żaluzji.

Wuj Adam żądał więc natychmiastowego uwolnienia Jana Rogalli, uzasadniając swoje żądanie. Aby nie upierać się jedynie przy prawie, zaapelował zręcznie do wielkoduszności komendanta, przedstawiając mu, że jednym jedynym aktem mógłby pozyskać sobie obywateli: niech pan wypuści tego fantastę – gdyż Jan Rogalla nie jest sabotażystą, lecz tylko fantastą, który ma powodzenie – a będzie pan miał wielu z nas po swojej stronie. Komendant wstał, zapalił papierosa, pokazał gestem, że jest w rozterce...

Nie, nie, to nie miało być dla przykładu, komendant działał na rozkaz swojej kwatery głównej: ponieważ niemieckie oddziały w Kaliszu nie zachowały się *fair*, więc car i wuj cara zarządzili w zajętych miastach

kontrybucje, tak, również w Łukowcu. W ciągu dwudziestu czterech godzin należało zgromadzić trzydzieści tysięcy rubli. Aby obywatele potraktowali to żądanie dostatecznie poważnie, osadzono kilku z nich w komendanturze: na przykład burmistrza Lischkohla, sierżanta policji Milewskiego, nadleśniczego Blaska, Heyducka z tartaku, ojca Conny'ego, dyrektora więzienia, Tuchlińskiego, kasjera miejskiego, a wreszcie mojego ojca, Jana Rogallę, ponieważ akurat wpadł im w ręce. Jak już wspomniano, miasto miało dwadzieścia cztery godziny czasu, by wykupić swoich obywateli.

Stary komendant wzruszył ramionami, zdawał się nie pochwalać tego rozkazu i przykro mu było, że musi odmówić naszej prośbie o rozmowę z Janem Rogallą. Komendant podciągnął w górę żaluzję. Poprosił nas, byśmy podeszli do niego do okna i spojrzeli na rynek, gdzie nasi ludzie tłoczyli się wokół ostatniego obwieszczenia, trącali się łokciami i prawdopodobnie zwracali w zdumieniu uwagę na wysokość sumy kontrybucji – a z pewnością także na konsekwencje, które groziły w wypadku, gdyby pieniądze nie zostały na czas dostarczone. Wydawało mi się, że rozchodzą się zakłopotani, śpiesząc coraz szybszym krokiem do domu i rozważając jakieś liczby, możliwości i konieczność.

Ach, gdyby pan widział to pożegnanie: wuj Adam wyszedł na środek pokoju, wyprostował się, zachwiał się lekko, podczas gdy komendant przecierał obwisłe worki pod oczami, i nagle powiedział: – Teraz będzie pan miał okazję poznać Łukowiec. – Bardzo oszczędny ukłon i już byliśmy na dworze, przeszliśmy nie zwracając uwagi na wartę ani na posterunek przed wejściem.

Tego nie mogę potwierdzić, drogi Martinie: żądana suma z pewnością nie była drobnostką dla Łukowca, po prostu dlatego, że główna kasa miejska i miejska kasa oszczędności zabezpieczyły pieniądze bezpośrednio przed zajęciem miasta, z owym nieomylnym wyczuciem niebezpieczeństwa, jakie zawsze wykazują te instytucje. Mieszkańcy Łukowca wiedzieli o tym, prawdopodobnie przeczuwali również, że żądana suma będzie musiała być, że tak powiem, wyciągnięta z pończochy, z ukrytego schowka. Dlatego wuj Adam sądził, że powinien upominać każdego, kogo tylko znał,

i nakłaniać do wielkoduszności. Postępował tak, jakby czuł się osobiście odpowiedzialny za zgromadzenie pieniędzy na wykup: nabył kilka arkuszy liniowanego papieru, wypisał na nich kolejne numery, przeciągnął kreskę przez środek – po lewej stronie miało być nazwisko, po prawej dobrze widoczna suma – nie uczynił tego z pedanterii czy poczucia odpowiedzialności, lecz z przekonania, że ofiarodawcy trzeba dać ponagląjący przykład: Ponaglenie, mówił, wzmaga wielkoduszność.

Wyruszyliśmy więc, by przymuszać Łukowczan. Musieliśmy zebrać trzydzieści tysięcy rubli, a to oznaczało wówczas siedemdziesiąt tysięcy marek, aby wykupić zakładników, i pukaliśmy do wszystkich napotkanych drzwi. Obchodziliśmy prywatne domy, sklepy, warsztaty i karczmy, nie oszczędziliśmy wizyty plebanowi, ściągnęliśmy z łóżka chorego młynarza, podaliśmy listę rybakowi do motorówki, pamiętam jeszcze, że wuj Adam nie cofnął się przed puszczeniem listy w kurs w więzieniu – i to z powodzeniem. Wiadomość o naszej kweście wyprzedzała nas, niektórzy, nie mogąc się doczekać spełnienia patriotycznego obowiązku, wychodzili nam naprzeciw albo oczekiwali gotowi do podpisu przed drzwiami; inni wprowadzali nas do mieszkań i oferowali zamiast pieniędzy wartościowe przedmioty – pierścienie, zegarki, srebrne sztuce, prosząc nas o wycenę, ale niekiedy zdarzało się też, że gdy się zbliżaliśmy, szczękały klucze w zamkach albo wpuszczano nas tylko po to, by z przymrużeniem oka złożyć deklarację o swoim stanie majątkowym.

Na przerwy pozwalaliśmy sobie tylko dla zrobienia bilansu; siadaliśmy na jakimś pomoście dla łodzi, na ławce na skwerze, ołówek wędrował po listach, które trzymaliśmy na kolanach, ale zera rozmnażały się bardzo powoli, nawet trzykrotne dodawanie nie zapobiegało rozczarowaniom; pod koniec tego suchego, pulsującego dnia ludzie z Łukowca wpisali się na szesnaście tysięcy rubli. Nie pozostało nam nic innego, jak upominać i zebrać również po zmierzchu, przy czym niektóre odwiedziny dawały okazję do pomyłek: podczas gdy na przykład znany w całym mieście przeciwnik burmistrza ofiarował cały miesięczny zarobek, aby wykupić więźniów, to mój dziadek, który miał przecież uwolnić syna, wzruszając

ramionami podpisał się na tyle, ile miał przy sobie w chudej portmonetce, więcej miedzi niż srebra.

Tak, to było przeżycie samo w sobie, owe odwiedziny w majątku, gdy siedzieliśmy w mroku naprzeciwko siebie, dziadek ze strzelbą śrutówką na kolanach, patrząc cały czas nie na nas, lecz w okno i na rozpościerający się za nim ogród owocowy; nawet gdy odpowiadał, nie patrzył na nas, mówił do szyby, ignorując nasze osoby, przez co zwiększało się jeszcze wrażenie nieuwagi i obojętności.

Wuj Adam położył listę ofiarodawców na stole, znaczniejszymi sumami na wierzch, ale dziadek w ogóle tego nie zauważył, a gdy wuj zaczął mu czytać listę, z naciskiem i wyważonymi przerwami, Alfons Rogalla zrobił minę, jakby musiał ścierpieć tekst w nieznanym języku. Jak on potrafił siedzieć! Jak umiał pomijać i odsuwać od siebie, co mu nie pasowało i nie odpowiadało! I jak później, rozdrażniony uparcie cytowanymi przykładami, wyciągnął portmonetkę, wytrząsnął na stół deszcz monet – zupełnie jakby chciał nam dać do zrozumienia, że to na nim wymusiliśmy. Dwie srebrne monety, które potoczyły się na bok, chwycił zręcznie, resztę oddał nam do dyspozycji z niechętnym gestem: na, weźcie sobie, wy chytrusy.

Wuj Adam nie schował pieniędzy, przesunął je tylko, aby policzyć, po czym wyprostował się z niedowierzaniem, z oburzeniem i niewiarą, i rzucił dziadkowi monety pod nogi. Obserwowałem te wszystkie rozsypujące się groszaki, gdy nagle lufa strzelby podniosła się nad nasze głowy. Schyliliśmy się przyciskając policzki do stołu; na ile to było możliwe, obserwowałem dziadka kątem oka i widziałem, że siedząc trzymał broń gotową do strzału, że przesuwiał lufę za jakimś wolno poruszającym się celem, obracając się lekko w biodrach.

Strzelił ponad nami przez okno, eksplozja wywołała ból w policzku, błysk ognia oślepił. Dziadek podszedł na krótko do okna i odwrócił się znowu bez słowa, gdy wstaliśmy, powtórnie ładując strzelbę opuścił pokój, przeszedł wyprzedzając nas przez sień do drzwi wiodących do ogrodu. Szliśmy za nim pod gruszami, przyglądając się, jak rozgarniał krzaki

porzeczek, kolbą fuzji uderzał w żywopłot bzu, jak nasłuchiwał, szukał śladów, rekonstruował linię strzału i ucieczki, a wszystko dlatego, że nie mógł się pogodzić, iż chybił.

– Rosjanin? – zapytał wuj Adam – przygrzałeś jakiemuś Rosjaninowi? – a dziadek patrząc przez połę żyta: – Tu jeden chce wymierzyć sprawiedliwość i dlatego skrada się wokół człowieka, grozi mu, a nawet kazał mi przekazać, że nadszedł czas wyrównania starego rachunku. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko można wyrównać śrutem.

Wuj Adam zrezygnował z dalszych pytań, a ja strzegłem się, by nie powiedzieć, co wiedziałem; uslinie myślałem o Eugenie Lawrenzu, cierpiałem razem z nim i wzywałem go w myślach, by spokojnie leżał w polu, nie poruszał źdźbłami słomy, a on jakby mnie zrozumiał, gdyż nic się zdradziecko nie zachwiało ani nie szeleściło. A gdy usiedliśmy na spaczonej ławce ogrodowej, nie uczyniliśmy tego po to, aby czekać na Eugena Lawrenza. Usiedliśmy, gdyż na zachodzie, w kierunku na Skomack Wielki i Orzysz, horyzont zaczął płonąć, jakby urządzono tam wielki fajerwerk.

Za półwyspem, jeszcze dalej niż czarny państwowy las, błyskało się czerwono i żółto, światło drgało rozbłyskując, ogniste iskry leciały do nieba niby bryzgi płynnego słońca, a nad ścianą płomieni wylatywały w górę białe gwiazdy, zataczały się i rozrywały. Horyzont chwiał się i falował pod ciężkimi uderzeniami, pod wystrzelającymi pionowo albo płasko odskakującymi eksplozjami. Siedzieliśmy długo wśród huku i łoskotu; czuliśmy, jak ławka drży i jak przechodzą pod nami fale gorąca, ale to pewnie było złudzenie. W każdym razie mój dziadek, kiedy już się napatrzył do syta na ogniste kule i łuki, powiedział: – I to wszystko, mój Boże, właśnie w żniwa, jakby nie było innych pór roku na wojnę. A nasi dadzą sobie radę, mają przewagę, ponieważ chodzi im o ojczyznę, tak, właśnie o ojczyznę...

Słucham? Złe określenie? Słowo z obciążeniem?... Tak mówił też Bernhard, mój syn, nie wiedział, co począć z tym słowem, nic ono dla

niego nie znaczyło, nic dla niego samego, a gdy inni go używali, wówczas słyszał w nim samo zło...

Rozumiem, mój drogi, rozumiem pana: chciałby pan, jak Bernhard, uczynić ojczyznę odpowiedzialną za pewien rodzaj zarozumiałego ograniczenia, przypisać jej nienawiść do obcych, ciasną dumę zasiedziałości, chciałby pan ją rozumieć jako uświęcone zawężenie, w którym człowiek musi koniecznie potwierdzać swoją wyższość, z końskimi okularami na oczach.

Wiem, wiem: ojczyzną jest miejsce, gdzie wzrok sam wilgotnieje, w duszy poczyna wrzeć, gdzie mowę można zastąpić nieokreślonym uczuciem...

Niech pan mnie źle nie zrozumie, drogi Martinie, przyznaję, że to słowo ma złą opinię, że używano go do niegodnych celów, że nie można dziś niemal posługiwać się nim bez ryzyka. Rozumiem również, że nie ma ono żadnego znaczenia w cementowym krajobrazie, w betonowych bunkrach, w zimnych norach z prefabrykatów, wszystko to przyznaję; ale skoro już tak jest – co przemawia przeciw próbie, by uwolnić to słowo od obciążeń? Przywrócić mu jego nieskazitelność?

Jak to rozumiem? Pewnie się pan uśmiechnie, ale wypowiem swoją myśl wbrew pańskiemu uśmiechowi: dla mnie ojczyzną jest nie tylko miejsce, gdzie leżą nasi zmarli, jest to zakątek wszelakiego bezpieczeństwa, miejsce, gdzie możemy się schronić, w mowie, w uczuciach, ba, nawet w milczeniu, skrawek ziemi, gdzie nas poznają, a przecież każdy z nas pragnąłby pewnego dnia zostać rozpoznany, to znaczy przyjętym za swego...

Czuję jednak, że pan jest innego zdania...

Co takiego? Musi pan mówić trochę głośniej!...

Drobne ogłoszenia? A więc dla pana strony rodzinne składają się z drobnych ogłoszeń w dodatku lokalnym. Z czego jeszcze?

Nie, nie, nie uraził mnie pan...

Rozumiem, żart, szyty grubymi nićmi dowcip pełen samozadowolenia... Widzi pan, mnie to wcale nie zaskakuje, gdyż wszystko to już słyszałem, dawno i aż do znudzenia, od Conny'ego Karrascha, który zawsze próbował mi udowodnić, że ojczyzna jest tam, gdzie panuje najbardziej przytulna ślepotą, bezkrytyczne zaślepienie...

Ale co to ja chciałem panu opowiedzieć? Wojna, słusznie, wojna naraz nabrała rozpędu i toczyła się w kierunku Łukowca, jednak ledwo zdołaliśmy obliczyć, kiedy do nas dojdzie, a już rozprysła się na południe i wschód, co wywołało bezradność nie tylko naszą, ale i sił okupacyjnych. Wojna niespodzianek. Po prostu nie można było polegać na określonym przebiegu frontu, na przemian zaciętego i ustępującego, chwiejnego i stale zmieniającego miejsce; dopiero co z wielkim wysiłkiem wstrzelano się w przeciwnika, a już dawał się we znaki na tyłach. W każdym razie komendantura straciła zaufanie do horyzontu i pewnego ranka zostawiła pusty, ogołocony ze wszystkich sprzętów hotel „Luisenhof”. Zabrali ze sobą nawet jeńców.

Może pan sobie wyobrazić, że miałem pełne ręce roboty. Musiałem zbierać naboje, odłamki granatów i guziki od mundurów, przede wszystkim jednak byłem zajęty wzbogacaniem swojego prywatnego cmentarza na górze zamkowej pod siedmioma sosnami.

Wymykałem się często z domu, prawie nie zważając na huk polowej artylerii, nie szedłem też za rozbłyskującym ogniem karabinów; wydobywałem łopatkę ze skrytki w jałowcach, skradałem się na górę zamkową i klęcząc porównywałem najpierw nasze cmentarze, obramowane krzemieniem. Leżały obok siebie, były jednakowej wielkości, ale na cmentarzu Conny'ego tkwiło więcej patyczków z kawałkami tektury, szyldzików objaśniających, kto lub co było tu pochowane: gołąb, żaba, ślimak czy kot. Używaliśmy tego samego ołówka, wycinaliśmy tabliczki z tej samej tektury, którą przechowywaliśmy w jaskini obok parowu; umówiliśmy się, że przy wszystkich pochowanych nie będziemy podawać miejsca znalezienia ani rodzaju śmierci, lecz tylko drukowanymi literami nazwę gatunku.

Conny znowu mnie prześcignął, od razu to zauważyłem, spory tekturowy szyldzik obwieszczał, że pochował w ziemi nurka, jednego z owych smukłych, groźnych ptaków z ostrym dziobem Rozdrapałem miążki piasek ledwie na głębokość palca, a już natrafiłem na czarne lotki, odkryłem perłową szyję, ujrzałem promieniście rozłożoną koronę z piór: nie miałem czym przelicytować nurka. Nawet martwy młody indyk, którego przywlokłem tu z majątku i pochowałem, nie był tyle wart co on.

Przykryłem trupa piaskiem, położyłem się z podbródkiem na skrzyżowanych ramionach, w dole na równinie kipiało oparzelisko, nade mną przelatywał w sosnach ciepły wiatr, a ja czytałem napisy na tekturowych tabliczkach i porównywałem ze sobą martwe zwierzęta. Raz tylko wyprzedziłem Conny'ego, gdy zdechła Ella, nasza żmija; niedługo jednak Conny dogonił mnie dzięki martwej łasicy, rozdeptanej kopytami końskimi, tak, kopytami patrolu kozackiego.

Czy wie pan, co dawało najmniej punktów, jeśli tak można powiedzieć? Koty. Znajdowaliśmy je wszędzie, utopione, zabite, naszpikowane śrutem; ptaki zdecydowanie liczyły się bardziej, nawet szczury przyczyniały się do gwałtownego wzrostu konta, nie mówiąc już o tchórze czy wiewiórce. Wszystko było punktowane, zarówno czapla, jak i jamnik krótkowłosa, kret i dzięcioł pstry, i to bez względu na to, czy udało się już cenny egzemplarz pochować w piasku góry zamkowej.

Największa liczba punktów? Przyznaliśmy ją płochliwemu, rzadkiemu, na dodatek podlegającemu ochronie czarnemu bocianowi, który siedział na jajach nad Jeziorem Tatarskim.

W każdym razie leżałem na górze zamkowej, licząc punkty; nad jeziorem Selmęt, niezbyt wysoko, zawisł pojedynczy samolot, mogłem rozpoznać sylwetki obydwu pilotów, ale znaków już nie widziałem; prawdopodobnie obserwowali maszerujące kolumny po drugiej stronie jeziora albo oceniali skutki działania haubic polowych, osnuwających las państwowy pasmami dymu. Z dna wąwozu unosiła się ostrzegawczo w moim kierunku sójka, wydając chropawe dźwięki; chciała zapewne wylądować na jednej z sosen, machając skrzydłami zmieniała jednak kierunek, gdy

mnie zobaczyła. Podczołgałem się ku kamiennemu murowi, gdzie góra zamkowa opadała stromo w dół, nie miałem wątpliwości, że w wąwozie, pośród splątanej zieleni, wśród wszystkich tych połamanych i rozszczepionych pni odnajdę Conny'ego, jednak to nie on spłoszył sójkę.

Między kosmatymi świerkami, zamaskowana przez bezładnie zwalone drzewa, znajdowała się grupa żołnierzy, siedzieli razem w ciasnym kręgu i jedli wytrwale, choć bez apetytu, jak to się zwykle je twarde suchary. Tylko piloci i ja mogliśmy zajrzeć do ich kryjówki. Czuli się tam w dole bezpiecznie, pięciu rosyjskich żołnierzy, ze zrolowanymi kocami na ramionach, z zesnurowanym bagażem przed sobą na ziemi.

Jeden z nich stał, był to korpulentny mężczyzna w zapiętej na guziki kurtce od munduru, z szablą u boku i lornetką na piersiach; po naramiennikach rozpoznałem oficera. Żołnierze wielokrotnie i z respektem proponowali mu suchary, ale oficer machał tylko ręką albo wychodził z kryjówki między świerkami i wpatrywał się w zamyśleniu w potrzaskane, dziwacznie powykręcane drzewa.

Za każdym razem, gdy ich na chwilę opuszczał, jeden z żołnierzy skradał się za nim, najwidoczniej zaniepokojony, po to tylko, aby się upewnić, że nic mu się nie stało, a gdy samolot po zrobieniu sporej pętli przeleciał rzucając cień na górę zamkową, otoczyli go zwartym kręgiem, jakby musieli go chronić. Żołnierze byli bez broni, nie mieli żadnych karabinów. Byli to dezenterzy.

Wahałem się i zastanawiałem, czy mam biec do majątku, czy na szosę w kierunku Orzysza, którą nasi ochotnicy wracali do Łukowca. Z jednej strony chciałem zameldować o swoim odkryciu, z drugiej zaś pragnąłem obserwować obcych żołnierzy, którzy najadłszy się, legli pod świerkami – z wyjątkiem oficera. Ów palił papierosa, opierając się na pochyłym pnium, wysypał zawartość swojego mapnika i dał wszystko bez wyjątku, co tylko przeczytał, po czym wyciągnął wojskowy pistolet dużego kalibru, podniósł go bez chwili wahania do góry i strzelił sobie w głowę. Strzelił pospiesznie, po strzale ugiął się w kolanach, ciało przesunęło się na bok, okręcił się wokół osi i runął z półobrotu na leśne poszycie.

Nie, mój drogi, nie przestraszyłem się i nie uciekłem: jeszcze zanim żołnierze porwali się na nogi, rzucili ku niemu i pochyłili nad ciałem, powzięłem postanowienie, błyskawiczną decyzję, podjętą w chwili jego śmierci: miałem zamiar pochować rosyjskiego oficera. Chciałem zabrać go na górę zamkową – nie zastanowiłem się jeszcze, w jaki sposób – wykopać mu grób, wetknąć w piasek palik z tekturową tabliczką, na której miało być napisane tylko: rosyjski kapitan czy major albo zgoła pułkownik; wówczas Conny, gdy już odzyska mowę, będzie mógł sam rozstrzygnąć, ile punktów będzie mi się należało. Gdyby nawet powierzył ziemi całą rodzinę czarnych bocianów, w porównaniu z moim pogrzebanym oficerem odpadłby w przedbiegach, było to dla mnie jasne.

Na razie żołnierze przykucnęli wokół martwego dowódcy, dotykali go, czyścili mu delikatnie twarz z ziemi i mchu, porozumiewali się nad nim urywanymi zdaniem, widać było między nimi niezgodę, przygnębienie, brodaty żołnierz pocałował oficera w czoło. Następnie zanieśli go, choć już należał do mnie, do swojej kryjówki; liczyłem się z tym, że go tam pochowają pośród świerków, i byłem zdecydowany go wygrzebać, gdy tylko pociągną dalej – ale oni nie pogrzebali go, nie, podali sobie ręce nad zmarłym, przyrzekali sobie coś, umacniając się nawzajem, po czym zrabali dwa świerki grubości ramienia, obrabali bagnetami gałązki blisko pnia, położyli pnie na ziemi, pocięli płachtę namiotową w pasy, naciągali, przeplatali i wiązali pasy tak, że powstały nosze. Ułożyli na nich oficera, podnieśli na próbę do góry i znów opuścili na ziemię, przekonawszy się, że pasma materiału uginają się wprawdzie, ale trzymają, i że drągi są dostatecznie długie, by ułożyć je na ramionach. Jeden z nich, ów brodaty żołnierz, przejął dowództwo, jakby to było oczywiste, a inni słuchali go, respektowali jego gesty i nie sprzeciwiali mu się, gdy wezwał ich do drogi. Obwiesili się pakunkami, wzięli nosze na ramiona, przecisnęli się między świerkami i zaraz ukazali na skraju bagna, obok wygrzebanych przez wuja Adama tarasów.

Właśnie, też to sobie mówiłem. Jak bardzo musieli kochać oficera, a co najmniej poważać, że gotowi byli zabrać go ze sobą, najwidoczniej nie tylko na jakieś ładniej położone miejsce pogrzebu, lecz od razu do granicy i do domu, pięciu żołnierzy, którzy nie chcieli czekać zmroku i wyruszyli

ze swym brzemieniem w jasny dzień, bez osłony, w pełnym, wrogim oświetleniu. Kołysali się, jak już mówiłem, na skraju bagna, brodaty żołnierz szedł na przedzie, wskazywał niosącym doły w bagnie, przegniłe pniaki i rowy pełne szlamu, puszczającego bąbelki; na tym nierównym gruncie ciało zmarłego oficera chwiało się na noszach, ramiona opadły mu w dół, kołyszając się w rytm kroków żołnierzy. Domyśliłem się, że chcąc przejść przez bagno, dojść do jeziora Selmęt, aby powierzyć swoje losy leśnej gęstwinie, odnodze Borku, który wysyłał ku jezioru nie tyle jodły i sosny, ile raczej brzozy i olchy. Ponieważ nie zrezygnowałem jeszcze ze swego planu, postępowałem za nimi pod osłoną krzaków jałowca, chroniąc się za ostrymi trawami bagiennymi, nie musiałem postępować tuż za nimi, po prostu dlatego, że szli wyprostowani i widać ich było z daleka w tej migotliwej pustce. Jakże uroczysty wydawał się ich pochód z oddali!

Zatrzymali się przy sadzawkach po torfie, brodaty żołnierz szukał przejścia, znalazł tylko dwa krzywe pnie, chwiejny mostek, który musieli przebyć, jeśli chcieli dotrzeć na brzeg jeziora. Pamiętam jeszcze, że gdy dwóch z nich balansowało z noszami na uginających się pniach, zbliżył się do nich wprost spod słońca samolot, lekki, żebrowany, latający pajak, jego cień wędrował po jeziorze i paśmie szuwarów, zdawał się rosnać, nadlatując nad sadzawki, a gdy się nad nimi prześliznął, jeden z niosących zachwiał się i upadł, pociągając za sobą przekrzywione nosze i postępującego za nim człowieka. Bryzgi wody zaświeciły rudo. Samolot zakręcił nad górą zamkową i zawisł znowu nad jeziorem Selmęt.

Teraz, pomyślałem, teraz zmarły oficer należy wreszcie do mnie, ale myliłem się: mężczyźni wynurzyli się, dopłynęli do bali i kazali sobie tylko odzepić bagaż, a gdy nosze były już bezpieczne, nurkowali tak wytrwale, aż znaleźli ciało dowódcy pod wodą; na skrzyżowanych ramionach donieśli go do brzegu.

Wylali mu wodę z butów, osuszyli twarz i palcami zaczesali włosy do tyłu, po czym umieścili go znów na noszach i pociągnęli dalej, wzdłuż pasa trzciny, do Borku, ciągle z brodatym żołnierzem na przedzie. Nie oglądając się ani razu na zachód – tam, gdzie las zaczynał się palić – wdzierali się do

Borku, w jego chłód i cień, szli równolegle do krętej drogi, ubezpieczani tylko od przodu; mimo to nie pozwalałem sobie na żadną lekkomyślność przy śledzeniu ich, skakałem od krzewu do krzewu, od pnia do pnia, wykorzystywałem każdą kryjówkę. Zatrzymywały ich gęste krzaki jagód, nogi plątały się w obumarłych gałęziach, coraz częściej przekładali nosze z jednego ramienia na drugie; gdy doszli do Francuskiego Wzgórza, zdjęli ciężar z barków i sami padli w trawę, z wyjątkiem jednego, bardzo młodego żołnierza. Ów stał dalej przy noszach, długo patrzył na martwego oficera, po czym zwrócił się do pozostałych z jakimś wyjaśnieniem czy propozycją – przypuszczam, że proponował, by zmarłego pochować tutaj, u stóp pagórka; po sporze, w którym najwidoczniej przegrał, położył się również w trawie.

Czy zna pan to uczucie, że jest się obserwowanym, choć nie wiadomo skąd? Reaguje skóra, puls ulega przyspieszeniu, oddech staje się nieregularny, a pan wypatruje i nasłuchuje bez rezultatu i wie tylko tyle, że pana niepokój jest uzasadniony. Ja w każdym razie wiedziałem, że zostałem odkryty, jeszcze zanim poznałem, kto mnie obserwuje i gdzie jest. Mówił mi to dreszcz, przebiegający po skórze, wzrastający ucisk w gardle i nagłe uczucie niepokoju. Nim wykryłem obserwatora, minęło sporo czasu, po prostu dlatego, że Conny wdrapał się wysoko na jedną ze starych jodeł i przywarł do pnia; wspiał się na naszą jodłę obserwacyjną, z której wzrok sięgał aż do Małego Grajewa, a ponad jeziorem Łukowiec aż do więzienia. Dawał jednoznaczne sygnały: pokazywał na siebie, potem na mnie, w końcu na poukładane sągi drewna, obrzeżające drogę do Małego Grajewa. Wysunąłem się tyłem ze swej kryjówki, okrążyłem Francuskie Wzgórze i przekradłem się do stosów drewna, gdzie przykucnąłem w oczekiwaniu.

No pewnie, że przyszedł: chociaż musiał zejść z jodły i przemknąć się niezauważony obok wypoczywających żołnierzy, nie czekałem nań długo; ściągnął mnie nisko w poszycie, a ponieważ zdawał się wiedzieć, dlaczego śledziłem żołnierzy, zdecydował: nikt o nich nie zamelduje, ty również nie. Nie mają broni, idą do domu z martwym oficerem: biada ci, gdybyś o nich doniósł.

Jak zwykle on przejął komendę, wezwał mnie, bym mu towarzyszył; zeszliśmy w dół ku chatom Małego Grajewa, pokrytych mchem, z małymi brzoźkami i młodymi czubatymi sosenkami na dachach. Nie powiedziałem mu nic o swoich planach, pozostawiłem go w przekonaniu, że szedłem za żołnierzami, by przy najbliższej okazji zameldować o nich wojskowemu patrolowi; jeszcze wśród chat myślałem o martwym oficerze i o tym, że należał do mnie i że byłbym go pochował na górze zamkowej pod siedmioma sosnami.

Małe Grajewo wyglądało na opuszczone; wiadra nie stały przy studniach, nikt nie rąbał drzew, w wysmołowanych czółnach nie huśtały się jak zwykle bosonogie dzieci. Wszystko pozostawiono samemu sobie, gęsi wśród sitowia, dwa prosiaki, ryjące pod korzeniami sosny i ogryzające je; na opuszczone wyglądały także umocowane na palach kosze na ryby, w których kłębiły się liny, węgorze i ościste karasie. Conny zawołał, ale nikt nie odpowiedział.

Słucham? Nie, nie mieliśmy zamiaru ukryć rosyjskich żołnierzy aż do zmroku w Małym Grajewie. Conny miał nadzieję, że wśród polskich robotników leśnych znajdzie przewodnika, który przeprowadziłby uciekających i ich zmarłego aż do Jeziora Tatarskiego, a może jeszcze dalej, aż do skraju lasów, które ciągnęły się do samej granicy. Conny zapukał do chaty, w której niegdyś mieszkał Johannes Hauser, jego tajemniczy przyjaciel, a ponieważ nikt się nie odezwał, otworzył drzwi i przestraszył się, jak byłby się przestraszył każdy na widok nieoczekiwanego obrazu: w dusznym pomieszczeniu, w którym gotowano, spano i przebywano, siedziały dzieci, dziadkowie i żona Johannesha Hausera, w swoim niedzielnym przyodziewku, cicho i ulegle, pośród spakowanych toreb i pudeł; w swojej pokornej gotowości nie zdawali się nawet dziwić, że przyszliśmy.

Widać było po nich, że już od dawna tak czekają, zastygli i opanowani, gotowi poddać się wszystkiemu, co przyniesie im wojna. Conny podał rękę tylko Annie – tej samej, którą widywałem zawsze na bosaka, wesołej i w brudnym ubraniu, a która dziś nosiła za ciepłe podkolanówki, ubielone buty i naszyjnik z bursztynu – po czym zwrócił się do jej brata i

dziadka, mówiąc, że jest kilku rozproszonych rosyjskich żołnierzy, bez broni, z martwym oficerem; chcą przedostać się do granicy, potrzebują przewodnika, teraz rozłożyli się koło Francuskiego Wzgórza. Nikt się nie zgłosił.

Czułem, że im goręcej wzywał ich Conny, by podjęli się przeprowadzenia żołnierzy, tym bardziej się bali; brali swoje rzeczy i przyciskali do siebie, zsuwali się na stołkach w jeszcze ciaśniejszy krąg, jakby w ten sposób łatwiej było im odmówić.

Conny nie rezygnował. Wyciągnął mnie na dwór, wybrał inną chatę, w której zobaczyliśmy znowu zgromadzoną rodzinę z wieloma dziećmi, Gutkelchów, Niedermüllerów i Pausewangów, wszystkich odświętnie ubranych, w pełnej poddania gotowości, wszystkich pogodzonych z tym, że wojna ich uprowadzi. Conny przemawiał do nich błagalnie, ale nikt nie słuchał jego słów, wszędzie spotykaliśmy się z milczącym sprzeciwem, widziałem, że się odprężali, gdy wychodziliśmy z ich chaty. Podeszliśmy do pompy. Pompowaliśmy sobie nawzajem wodę, trzymając usta w zimnym strumieniu. Tu właśnie przy pompie Conny powiedział nagle: – Skoro nikt nie chce, to ja zaprowadzę ich do Tatarskiego Jeziora.

Musi pan sobie wyobrazić, co to oznaczało w owym czasie dla takiego chłopca jak on: podejmował się przeprowadzić rozbity oddział wrogich żołnierzy, drogami, które tylko on znał, między licznymi własnymi posterunkami; podejmował się po prostu dlatego, że nikt inny się nie znalazł. Prawdopodobnie nie byłby nawet w stanie podać przyczyn tego, co robi. Nawet jeśli cieszyłby się, gdybym mu towarzyszył, to nie upierał się przy tym; sam wrócił do Francuskiego Wzgórza, długo podsłuchiwał żołnierzy, zanim do nich podszedł i zaofiarował się im jako przewodnik.

Możliwe, że zostawiliby martwego oficera, który tak bardzo przeszkadzał im w ucieczce, gdyby Conny zdecydowanie tego zażądał, na przykład zwracając uwagę na bagniste drogi, ale prędko wyczuł, jak wiele znaczył dla nich zmarły, i dlatego pozwalał, żeby niosący mary wyznaczali tempo ucieczki. Z kryjówki za sągiem drewna obserwowałem ich ociężały start:

nie mogę powiedzieć, że dałbym cokolwiek za możliwość towarzyszenia im.

Niech pan nie sądzi, mój drogi, że zarzuciłem już swój plan, chociaż nie udało mi się pochować martwego oficera na moim prywatnym cmentarzu: miejsce na ludzkie ciało było wymierzone, wprawdzie tylko w przybliżeniu, tekturowa tabliczka wycięta i umocowana na patyku, potrzebowałem tylko poległego – w miarę możliwości wyższego rangą albo z rzadko spotykanego oddziału, po prostu dlatego, że przysporzyłby mi więcej punktów.

Będąc pewnym, że przegonię Conny'ego i wszystko, co dotąd pochował w ziemi, uwolniłem najpierw rozklekotany drewniany wózek z bujnych pokrzyw, przy pomocy kowala poprawiłem dyszel i felgi, nasyciłem piasty smarem, po czym powlokłem się wzdłuż zakurzonej szosy, drogami spękany od suszy, w kierunku wojny, jeśli tak można powiedzieć. Ranni, wie pan, lekko ranni, opowiadali mi, gdzie właśnie odbyła się jedna z tych krótkich gwałtownych potyczek, które były częścią bitwy o Mazury; szedłem za ich wyciągniętą ręką, znajdowałem przeważnie położone na wzgórzach malownicze laski, które można było tylko wziąć szturmem; albo znajdowałem się naraz koło tuneli lub cegielni, które zdumiewająco często bywały miejscem potyczki. Czego tam nie było; ładownice, koce, bagnety, uszkodzone telefony polowe; tego każdy się mógł spodziewać. Ale tam prosiły się wprost o zabranie kuchni polowe, sztabowe namioty mieszkalne, zenitówki i ruchome piekarnie, stały nawet wozy pełne paradnych mundurów i konie z torbami u siodeł, pełnymi srebrnych sztuców. Tylko poległych nie znajdowałem, zawsze już byli pochowani, na pagórkach, pod brzoźami, ku przestrodze na otwartym polu. Wyciągałem swój wózek z krzaków i zwoziłem przypadkowy łup, poczynając od podków końskich aż do sucharów.

Mimo to, gdy już prawie nie liczyłem, że prześcignę Conny'ego w punktacji, pewnego jesiennego łukowieckiego popołudnia odważył się dotrzeć nad nasze miasto pojedynczy, lekki rosyjski samolot, lecąc równoległe do brzegu jeziora i najwidoczniej chcąc przelecieć nad mostem. Staliśmy na tamie poniżej majątku, Simon Gayko i ja, i

obserwowaliśmy z zachwytem, jak maszyna obniżyła się i przemknęła między latarniami na moście, zakręciła nad jeziorem i zawróciła, wznosząc się ku górze. Był to samolot zrobiony ze sklejki, kłajstru i kilku drutów, z przyjaźnie mruczącym silnikiem, napędzającym jasnobrązowe drewniane śmigło. Samolot prześliznął się nad więzieniem, przesunął swój cień nad jeziorem, skrzydlaty cień, łatwy do rozpoznania, po czym zakręcił i jeszcze raz przeleciał nad mostem. Tym razem rozległa się kanonada strzałów, najpierw pojedynczych, suchych, jakby łamano chrust, jednak w miarę jego ślizgowego lotu ogień zaczął przybierać na sile, rozrósł się w orkan wściekłych, drobnych eksplozji, można było pomyśleć, że nie tylko karabiny i broń maszynowa, ale i wszystkie trzciny znad jeziora Łukowiec biorą udział w konkursie strzelniczym. Strzały siekły lekki samolot, oderwały kawałek skrzydła, powyrywały drewniane części z ogona, podarły na strzępy płótno. Maszyna wpadła w korkociąg jednak dopiero wówczas, gdy od kadłuba oderwał się ster; zryty strzałami po prostu odpadł, samolot położył się na skrzydło, obrócił się i runął w wodę.

Powstały wielkie organy świetlne, jak może pan sobie wyobrazić. Niesłychana fontanna z sięgającymi czubków drzew bryzgami piany i wody, które błyszcząc jak rtęć uniosły się nad zatopionym wrakiem. Kadłub samolotu wypłynął i kołysał się na powierzchni; przypominał mi ogromny pływak, olbrzymi spławik wędk. Miejsce pilota było puste.

Ponieważ moja tratwa mogła unieść tylko mnie, musiałem zostawić Simona Gayko na naszym pomoście; była to szybka tratwa, jeśli można tak powiedzieć, składała się z drzwi kurnika, pod którymi umocowałem rzemieniem kilka blaszanych kanistrów; jako wiosło służył podwójny, bardzo szeroki kawał sklejki. Od pomostu wypożyczalni łodzi, od klubu wioślarskiego, od żeberkowej klatki rybackiej płynęły łódki do miejsca upadku samolotu, aby przewieźć w bezpieczne miejsce pilota albo wrak, który wciąż jeszcze pływał, choć nie tak skośnie w górę jak spławik, lecz płasko po powierzchni wody.

Byłem pierwszy na miejscu, napędzając tratwę niedbałymi, ale silnymi uderzeniami wiosła opłynąłem wrak dookoła. Nie było co zbierać, chronić

w bezpieczne miejsce czy odciągać na stronę, wyłowilem tylko kilka skrawków poszycia kadłuba, chciałem je wysuszyć i podarować wujowi Adamowi na urodziny jako materiał do jego muzeum ziemi ojczystej. Pomógłszy ludziom w łodziach opleść wrak konopną liną, powiosłowałem w pas sitowia, pozwoliłem tratwie dryfować i obijać się, przyglądając się tylko, jak odciągali powoli tonący wrak, wśród okrzyków zachęty i bardzo krótkich uderzeń wiosła.

Nie, Martinie, poradzili sobie, zawlekli wrak na płytką wodę.

A teraz niech pan sobie wyobrazi: słoneczne refleksy pomiędzy kołyszącymi się trzciniami, woda chlupocze i mlaska pod tratwą, i nagle pojawia się tam okrągła głowa foki, o charakterystycznych, wielkich, zdumionych oczach, podnosi się z niewinnego jeziora Łukowiec – tak, musiałem sądzić, że to foka, gdyż nigdy przedtem nie widziałem lotnika w jednoczęściowym kombinezonie, w ciasno przylegającej do głowy pilotce i w dziwacznych okularach. Małe, załamujące się fale nie zdołały wynieść bezwładnego ciała na brzeg. Przywiązałem je do tratwy, przewlokłem przez pas sitowia i wtaszczyłem w trzciny. Ześliznąłem się w wodę i pociągnąłem martwego pilota aż do powalonych olch, prawie do brzegu. Nie wątpiłem, że należy do mnie i że zajmie miejsce, które już wymierzyłem.

Jego personalia? Znaczek rozpoznawczy? Nie, mnie to nie interesowało; gdy się przekonałem, że nie ma przy sobie broni, wetknąłem mu z powrotem do kieszeni papiery, listy, a nawet pieniądze, zostawiłem mu poręczne etui z pilnikiem do paznokci i nożyczkami. Nie przy dziennym świetle, lecz o zmierzchu chciałem zawieźć go pod górę zamkową na ręcznym wózku, z obręczami owiniętymi resztkami materiału. Może pan sobie wyobrazić dlaczego, a także jak prędko przemknąłem się obok kuźni w majątku i ukryłem pośród zardzewiałych rupieci, między wysłużonym żelastwem, lemieszami od pługów i oponami, nastawiwszy się na czekanie, stale mając na oku swój wózek. Dziwne, zasnąłem wśród tego całego napięcia, może właśnie podniecenie tak mnie wyczerpało, może też jednostajny dźwięk młotka z kuźni i zapach spalonego rogu, w

każdym razie śniło mi się, że dziadek pozwolił mi wymienić najwartościowszy przedmiot w majątku i uważać go za swoją własność.

Może pan zaspokoić swoją ciekawość, mój drogi, najwartościowszym przedmiotem w majątku była dla mnie kamizelka dziadka, którą kazał sobie uszyć ze skóry swego pierwszego psa myśliwskiego, Hoggo. Dlaczego? Opowiadano sobie, że kto posiadał ową kamizelkę, mógł w porę zwietrzyć każde niebezpieczeństwo, gdyż również po spreparowaniu jeżyły się włosy na skórze, skoro tylko zbliżało się coś niemiłego.

Ale co to ja chciałem powiedzieć? Słusznie: obudził mnie jakiś dźwięczny odgłos w pobliżu, żelazo uderzało o żelazo, obok mej kryjówki przemknął ktoś przez pokrzywy, sięgające bioder, przywarł do drewnianej ściany szopy i stał tam jak przyklejony; był to Eugen Lawrenz. Zagwizdałem na niego, podciągając się w górę na żelastwie, ale gwizdnąłem za wcześnie, gdyż kiedy na mnie spojrział, Alfons Rogalla wyszedł z przejścia między kuźnią a szopą, ubrany tylko w spodnie do konnej jazdy i zgrzebną lnianą koszulę, przepasaną sznurem, ze śrutówką gotową do strzału. Prawdopodobnie Lawrenz byłby uciekł, gdyby od razu zauważył dziadka, ale gdy przeniósł wzrok ze mnie na niego, wydało mu się za późno: podniósł tylko ręce, powiódł je łukiem wzdłuż ściany szopy i patrzył zmrużonymi oczyma na człowieka, który go wreszcie dopadł i utykając, z ociąganiem zbliżał się ku niemu. Czekałem na strzał. Dziadek zatrzymał się obok ręcznego wózecka, uśmiechnął lekceważąco, nie spieszył się; doskonale rozumiał Eugena Lawrenza, który nagle opuścił ręce, wyprostował się i rzekł: – No, strzelaj, będzie po wszystkim.

Zbliżając się powoli, na przestrzeni tych kilku metrów dziadek zdawał się korygować swój zamiar, znajdował upodobanie w jakiejś nowej myśli, gdyż obszedł dookoła wózek, poklepał szczeble, nie tracąc przy tym z oczu Eugena Lawrenza, popchnął uniesiony w górę dyszel do przodu, postawił stopę na małej platformie, jakby obejmował wózek w posiadanie. – Dlaczego nie, powiedział bardziej do siebie niż do zagrożonego człowieka, dlaczego nie sprawiedliwość? U mnie każda kapuściana głowa znajdzie coś dla siebie. Dlaczego, chłopcze, nie miałbyś dojąć swojej sprawiedliwości?

Co pan mówi?

Nie, mój drogi, odwrotnie: dziadek usiadł na platformie małego ręcznego wózczka, skinieniem przywołał do siebie Lawrenza, rozkazał mu podnieść dyszel, na wszelki wypadek wparł mu łufę śrutówki w plecy i po dwukrotnym – Wio! – wyruszyli w drogę.

Bez wózka nie mogłem przewieźć martwego pilota na górę zamkową. Odłożyłem swoje plany, z trudem wydostałem się z kryjówki, utorowałem sobie drogę wśród pokrzyw świszczącymi uderzeniami patyka i podążyłem za turkoczącym pojazdem, który skręcił wokół zagrody, potoczył się podskakując ku piaszczystej drodze i z trudem zjechał w dół, mieląc piasek i skrzypiąc, ciągniony przez zgrzytającego z wściekłości zębami Lawrenza. Jechali wokół majątku, do głównej drogi, a potem – dwunogi koń mógł sobie odpocząć – w dół na tamę, gdzie wózek podskakiwał i turkotał na kocich łbach. Ani okrzyku, w ciągu całej tej drogi nie słyszałem nawet jednego okrzyku, co traktowałem jako dowód, że Eugen Lawrenz wiedział, gdzie nie tyle mój dziadek, co on sam miał dotrzeć, on sam ze swoim pechem i wszystkimi historiami o jeziorach, które znał.

Ani razu nie obejrzał się na swego pasażera, był to prawdopodobnie jedyny sposób, w jaki mógł mu okazać pogardę; nawet gdy trącała go lufa strzelby, nie odwracał się i zdawał się jedynie starać o to, by utrzymać tempo marszu. Ktoś nieświadomy zrozumiałby zapewne inaczej wzajemny stosunek obu mężczyzn, niewtajemniczony mógłby z powodzeniem sądzić na widok wózka, że człowiek u dyszla działał z własnej woli, a ów na platformie potrzebował pomocy. W każdym razie przetoczyli się z turkotem przez tamę, nie wzbudzając zainteresowania – tylko kilka starych plotkarek, dźwigających kosze i dzbanki pełne jagód, zatrzymało się i opowiadało sobie, co widziały.

Tak właśnie było, jechali w kierunku więzienia, białego łukowieckiego więzienia miejskiego, najpiękniejszego na Mazurach.

Mną powodowała gorycz i rozczarowanie, po prostu nie chciałem patrzeć, jak Eugen Lawrenz będzie przekraczał bramę więzienia, gdzie przyjmą go

może z obelgami, ironicznym powitaniem: na wysokości naszego domu zaprzestałem pościgu, odłączyłem się, z hałasem przejechałem kijkiem po sztachetach płotu...

Czy mogę pana o coś poprosić? Chciałbym leżeć nieco wyżej, górną połową ciała, najwidoczniej zsuwam się ciągle w dół...

Ostrożnie, najlepiej niech pan mnie chwyci od wezłowania pod pachy, tak właśnie, a teraz w górę, oprę się na łokciach...

Dziękuję, tak jest lepiej...

Nawiasem mówiąc, musi pan wiedzieć, że mój ojciec nie zaniedbał sporządzenia cudownej maści przeciw oparzeniom, i pan chyba się zdziwi, mój drogi, że za podstawę tej maści używał świeżego oleju lnianego. Gdyby dodał odpowiednią ilość wody wapiennej i roztworu opium, byłby został wynalazcą klasycznej maści na oparzenia...

A więc rezygnacja, zrezygnowałem ze swojej obecności przy tym, jak Eugen Lawrenz będzie wracał do więzienia, tak, skręciłem w kierunku domu, wściekłość szukała sobie ujęcia, przeciągałem z hałasem patykiem po sztachetach, ostrym, taksującym spojrzeniem mierzyłem ciężkie tarcze słoneczników – gdzie był mój stołeczek? Aby dokonać na nich egzekucji, musiałem wejść na stołek, tak wysoko wyrosły na kurzym nawozie, a największe z nich przy oknie służyły mojej matce za rodzaj barometru: jeśli tarcza zwisała grzecznie, spokojnie i smutno w dół, wówczas pogoda była ładna; jeśli z trzaskiem ocierała się o szybę, wówczas w powietrzu wisiała zmiana; gdy tłukła tępo, by nie powiedzieć złowroźnie o okna, nastawialiśmy się na niepogodę lub właśnie ją przeżywaliśmy.

Wszedłem na stołeczek, przymierzyłem się wzrokiem do zielonej szyjki, gdy za szybą w tak zwanym laboratorium ojca zaświecił umiarkowany, to znaczy kontrolowany, wysoki płomień, błądy błękit w środku, biskupia purpura na poszarpanych brzegach płomieni, a zaraz potem po stole wytwórcy cudownych środków przemknął pryskający iskrami kłębek żaru, torując sobie niepewnie drogę jak mysz zapędzona w kąt; nawet nie musiały pojawić się barwne opary, ze szpar nie potrzebował się

wydostawać zapach siarki, już sam swoisty czar ognia mówił mi, że ojciec wrócił do domu. Wpadłem do mieszkania i nie pukając wtargnąłem do laboratorium: stał tam, wymizerowany, oświetlony sztucznym, rozproszonym światłem, o głęboko osadzonych, błyszczących tryumfującą pewnością oczach.

Niech pan nie sądzi, że jego wrząca i smrodliwa dziedzina wiedzy pozostawiła mu dość czasu, by objąć mnie po ojcowsku lub chociaż tylko przelotnie pogłaskać po głowie. Ledwie powrócił z rosyjskiego aresztu, był znów tak opętany formułą szybko działającego płynu, że miał dla mnie tylko słowa: „Popatrzcie no, Zygmuncik”, po czym tak silnie potrząsnął probówką, że niewinnie wyglądająca ciecz pieniać się wykipiiała. W każdym razie mnie nie wyrzucił. Zatopiony w pracy, upojony zapałem badawczym, na tropie prawdy, zawartej w substancjach, zobowiązał mnie do asystowania sobie, kazał mi ubijać suszony dziurawiec, zerwany o trzeciej nad ranem, polecił ucierać małe, brązowe zarodniki widłaka, sproszkować dużą sasankę – ledwo nadązałem z dostatecznie szybkim spełnianiem jego życzeń...

Co pan powiedział?

Zgadł pan. W czasie swego krótkiego uwięzienia odkrył, jak mu się zdawało, powód, który zmuszał wciąż armię rosyjską do przykrych odwrotów: była to uprzejmość rosyjskiego żołnierza, jego niezdolność do wrogiego zachowania nawet wobec zdeklarowanego wroga. Sam Samsonow, ów skromny generał, dawał tego przykład, a naśladowali go wszyscy aż do ostatniego strzelca. Ojciec był na tyle dobrym kupcem, by w raz poznanej słabości odkryć korzyści dla siebie; pracował nad lekarstwem, które zażyte przy porannej kawie, gwarantowało co najmniej dwanaście godzin ślepego gniewu.

Powiedział pan: Rogalli krople na gniew? Przypuszczam, że ojciec zgodziłby się na tę nazwę...

W każdym razie nigdy nie widziałem u niego takiego pośpiechu przy pracy, nie pozwolił sobie nawet na spróbowanie świeżego drożdżowego placka, na wypicie zsiadłego mleka, które matka z cichą radością

postawiła mu na biurku. Ona również nie знаła jeszcze jego przeżyć w rosyjskiej komendanturze i okoliczności uwolnienia; w oficjalny sposób poprosił nas, by mógł jeszcze trochę odłożyć opowiadanie o swoich przygodach. Fakt, że owa przymusowa nieobecność go zmieniła; poznaliśmy to nie tylko po tym, że wolno nam było bez narażania się na upomnienia wchodzić do laboratorium, lecz również dlatego, iż tolerował nas obok siebie przy swych tajemniczych badaniach, okazując przy tym potrzebę monologu, wtajemniczającego nas w ukryte własności substancji. Tym razem zamiast do Basiliusa Valentinusa zwrócił się do starego lekarza Izaaka Hollandusa; warzył, chłodził, mieszał według jego wskazówek, kazał cieczy bulgotać i pienieć się, i w ten sposób sporządzał miksturę, której przypisywał zdolność wzbudzania wszechpotężnego gniewu, a co najmniej przyczyniającego się do zwycięstwa. Płyn był nieprzezroczystie ciemny, a trzymany pod światło pobłyskiwał słabym fioletem.

Królik doświadczalny, teraz potrzebował królika doświadczalnego, a ponieważ musiał sam obserwować działanie mikstury, zaś matka wydawała mu się nieodpowiednia, ponieważ była kobietą, więc wybór jego bez zastanowienia padł na mnie. Nie uczyniło na nim wrażenia protestujące westchnienie matki ani straszliwa wizja, że uczyni ze mnie „szalejącego Zygmunta”, biegającego jak furia po domu; upierał się przy swym wyborze, uważając, że jestem godny służenia mu za ofiarę jego wiedzy. Musiałem ułożyć się na sofie, na owej nagiej, medytacyjnej sofie o wypłowiałych obiciach, zamknąć oczy, otworzyć nabożnie usta, gotów do połknięcia płynnej hostii jego tajemnej wiedzy. Owe pospiesznie przyrządzone krople na pobudzenie gniewu smakowały wcale nieźle, z początku przypominały lekko zupę szczawiową, pozostawiając smak królewieckiego klopsa. Matka splotła niespokojne dłonie pod fartuchem, władca substancji liczył, sprawdzając mi puls, nasłuchiwał serca, przy pomocy latarki wywoływał reakcje tęczówki; od czasu do czasu w oczekiwaniu na wybuch gniewu obstawiał mnie poręcznymi przedmiotami, na których mógłbym się wyładować do woli: małymi móżdżkami, rozbitymi próbkami, miseczką do golenia.

Co czułem? Apatię, błogą apatię, połączoną z ociężałością języka i brakiem czucia w nogach; zabawki, które oferował w razie wybuchu gniewu, w niczym nie ucierpiały, na razie nie udawało mi się wpaść w furię...

Rozumiem, drogi Martinie, musi pan iść na swój kurs w instytucie. Nie chcę dziś pana dłużej zatrzymywać... Niech pan mówi nieco głośniej...

Musi pan iść do swojej hodowli alg, tak, rozumiem, do owych niepozornych alg, od których pewnego dnia przypuszczalnie będzie dużo zależało. Henrike opowiadała mi – teraz już wiem, skąd to wzięła – że algi z powierzchni, na której mogłaby się wyżywić jedna krowa, mogą wyprodukować tyle białka co sześćdziesiąt krów...

Ale to jeszcze musi pan usłyszeć: w samym środku eksperymentu zapukano najpierw do okna, potem do drzwi, a ponieważ nie otwieraliśmy, gość po prostu wszedł: nasza dzielna Edith, która czuła się u nas swojsko, razem ze swoją bezradnie wyglądającą matką, już od progu wyciągającą do nas wiotką, pulchną rękę. Powitanie odbywało się w taki sposób, że nawet ja, pogrążony w apatii, nastawiłem uszu: żona naczelnika więzienia nigdy jeszcze tak ciepło i serdecznie nie witała mego ojca, jak równego sobie; matce wmusiła bukietek lawendy; mnie przekazała przez Edith używanego, ale kompletnego „Chińczyka”. Dorośli usiedli na stołkach, Edith przyszła do mnie na medytacyjną sofę, od razu pytając, czy jestem zaczadzony, i błagając: – Ja też, ja też chcę zaczadzić. – Uspokoiło ją zaskakująco ostre upomnienie matki.

Ponieważ pogłoski o powrocie mojego ojca szybko się rozeszły, przyszły do nas, aby dowiedzieć się o los naczelnika więzienia; obiecały z góry wdzięczność za każdą wiadomość. Uprzejmie podziękowały za kawałek placka drożdżowego, nie chciały też herbaty z rumianku ani zsiadłego mleka i wobec ich westchnień i jawnego oczekiwania ojciec ustąpił, choć, jak powiedział, był to moment „bardziej niż niedogodny”. Pomijając zasnurowane ciało matki Edith, mówił w moim kierunku, jakbym to ja potrzebował jego informacji, i zdał związane sprawozdanie z pobytu w rosyjskiej komendanturze.

Jedzenie było tam bardzo dobre, używano tylko za dużo kminku; łóżkom nie można było nic zarzucić, choć nocne telefony często przerywały im sen; rosyjski lekarz wojskowy sprawował opiekę medyczną nie tylko nad burmistrzem Lischkohlem, ale również kasjerem Tuchlińskim i naczelnikiem więzienia; komendant Vitinghoff nie zaniedbywał tego, by powiedzieć im zarówno „dzień dobry”, jak i „dobrej nocy”.

Jeśli dobrze zrozumiałem mojego ojca, na dwie godziny przed upływem terminu przed komendanturę zajechała dwukółka, zeskoczył z niej wuj Adam, zarzucił sobie plecak na ramiona i wezwał dwóch beczynnie stojących ordynansów, by ściągnęli ogromny kosz na bieliznę i zawlekli go do hallu hotelu „Luisenhof”. Tam kazał posłać po komendanta, a gdy ukazał się Vitinghoff w rozpiętym mundurze, wuj Adam siedział na koszu do bielizny napuszony jak kwoka i odezwał się językiem, który wydał mu się stosowny: – Łukowiec posyła mnie, by panu dowieść, ile warci są dla nas nasi współobywatele. – Po czym podał komendantowi plecak pełen pieniędzy i z pogardliwym ruchem ręki przekazał kosz do bielizny, pełen biżuterii, nakryć stołowych, zegarków, było tam nawet kilka sztab srebra. Wartość przewyższała żadaną sumę kontrybucji, wynoszącą trzydzieści tysięcy rubli, wykazywało to już pobieżne obliczenie, mimo to trzeba było wszystko dokładnie porachować, oszacować i przeliczyć. Obudzono zakładników, zawołano ich do hallu, przy winie i piwie mieli być świadkami liczenia, powinni się sami przekonać, ile znaczyli dla swoich współobywateli, a gdy obydwaj rachmistrze, którzy mieli określić wartość przedmiotów, zajęli miejsca, jeńcy ustawili się za nimi jak kibice przy grze w karty.

Nie, nie, bardzo się pan myli, to wcale nie był problem na kilka godzin, wręcz przeciwnie; już gdy obydwaj równi stopniem rachmistrze weszli do pomieszczenia, mojemu ojcu wydało się, że odkrywa między nimi z trudem tajone napięcie, zastarzałą rywalizację, spotęgowaną jeszcze przez słodko-kwaśną poprawność, z którą się do siebie odnosili. Później wydało mu się, jakby obydwu oficerów-urzędników od dawna łączyła pogarda, którą jednak starali się obaj ukryć przy pomocy możliwie rzeczowej dyskusji. W każdym razie usiedli nad kontrybucyjnym skarbem, wyliczali sobie nawzajem banknoty i monety, wszystko szło

gładko, nie było żadnych nieporozumień, ponieważ kurs rubla był stały. Wrażliwi świadkowie mogli jednak poznać, co do siebie czuli, gdy doszło do wyceny wartościowych przedmiotów: Paweł Siergiejewicz – tak nazywał się jeden z nich – oceniał każdy przedmiot z zasady niżej od swego kolegi, Aleksandra Fiodorowicza; ten ostatni znał się na szlachetnych metalach i stopach, zdawało się, że potrafił ocenić wartość oprawnych kamieni na pierwszy rzut oka, a gdy chodziło o określenie historycznej wartości, okazał się zdumiewająco biegły nawet w stylach. Skromny łańcuszek, kuty medalion, zegarek ze złotym wieczkiem czy ozdobna łyżka z wprawionym rubinem, każdy z tych przedmiotów nadawał się według Pawła Siergiejewicza do zasadniczej dyskusji, a ta znowu dawała okazję do delikatnych przytyków i złośliwego pouczenia, na co Aleksander Fiodorowicz nie reagował bynajmniej niecierpliwie czy szorstko, lecz odpalając papierosa od papierosa tak długo nie dawał zgody na ustalenie wartości, aż zgodzono się na kompromis.

Może pan sobie wyobrazić, jak daleko zaszli przy owym wlokącym się obliczaniu około czwartej rano; nie oszacowano nawet jednej piątej wartości przedmiotów, a właśnie około czwartej rano komendantura otrzymała rozkaz natychmiastowego wyruszenia, cofnięcia się do granicy i przekroczenia jej. Komendant Vitinghoff, jak opowiadał ojciec, bardzo uprzejmie poprosił jeńców o wyrozumiałość, że nie może ich wypuścić, póki nie znana jest suma kontrybucji – w końcu sam musiał się usprawiedliwiać wobec najwyższej władzy, a ponieważ resztę uważał za formalność, zaprosił jeńców do wzięcia udziału w planowym odwozie komendantury na wygodnym wozie, zaprzężonym w cztery konie. Rzeczywiście otrzymali wygodny pojazd, poduszki do siedzenia, podwójną rację żywności; towarzyszący im strażnicy szli pieszo: wśród ich chwiejących się, nasadzonych na sztorc bagnetów rozpoznał ojciec na sąsiednim pojeździe obu zwaśnionych rachmistrzów, którzy również w odwozie kultywowali swoją wrogość, wyjmując sztukę za sztuką z kosza i spierając się o jej wartość...

Słucham?

Cóż miałbym mieć przeciwko temu, drogi Martinie, dobry słuchacz jest słuchaczem niecierpliwym, który za każdym razem wyprzedza akcję...

Tak, ma pan rację: obaj rachmistrze nie mogli się zgodzić ani przed, ani za granicą, co miało ten skutek, że jeńcy musieli trzymać stronę rozmiłowanej w podróży komendantury; rozpieszczani przez komendanta brali początkowo udział w taktycznych posunięciach w Polsce, przedostali się do Rosji, po czym wysłano ich w głąb kraju – pierwszy znak życia, który nadszedł po dwóch i pół roku, pochodził od burmistrza Lischkohla i został nadany z jakiegoś nieciekawego miasta na Uralu. Ale w ten sposób uprzedzam wypadki, gdyż tego ojciec mój nie mógł oczywiście opowiedzieć.

W każdym razie uspokoił matkę Edith, zapewniał ją wiarygodnie, że jej mężowi niemalże nic nie brakuje, nawet lekarstwa na wątrobę, ponieważ opieka komendanta obejmowała wszystko – opiekę, której sam zawdzięczał w końcu swoje uwolnienie. Mianowicie w Prostkach, a więc już nad granicą, komendant Vitinghoff stwierdził, że jeńcy mieliby jeszcze większą wygodę, gdyby na czterokonnym wozie siedziało o jednego człowieka mniej, dlatego też poprosił Jana Rogallę, by został, życząc mu szczęśliwego powrotu do Łukowca.

Tego wszystkiego dowiedziałem się w mojej apatii, przyjąłem to do wiadomości mimo usiłowań Edith, która, siedząc obok mnie, próbowała najwyraźniej przeprowadzać na mnie własne eksperymenty: oślepiła mnie latarką, świeciła mi w uszy i dziurki od nosa, przeciągała lśniąca od potu dłonią po moich pozbawionych czucia nogach, obmacywała mnie, szczypała, rozpięła mi koszulę i liczyła zębra; przez chwilę bawiłem się myślą, by cisnąć jej na głowę już i tak pękniętą filizankę, co mistrza nauk tajemnych doprowadziłoby na pewno do wybuchu radości, ale zaniechałem tego. Bałem się, że nie będę mógł podnieść ręki. Czułem się, jak to się u nas mówiło, jak prawdziwy jołop...

Tak, przyjacielu, rozumiem, musi pan odejść do swojej hodowli alg... Ale chciałbym panu jeszcze coś poradzić: niech pan zapyta Henrike o jej strony ojczyste, a przeżyje pan zaskoczenie – ze zdumieniem dowie się

pan od niej, że ojczyzna może być również tam, gdzie się nigdy samemu nie było. Brak wspomnień zastąpiła wyobraźnią, wyobraźnią i zdobytymi wiadomościami. Możliwe, że zachowała czystszy obraz niż my, starzy, którzyśmy się tam urodzili.

Co pan mówi? Że taka czystość jest niewiarygodna?

Ależ nie, przecież pan wie, jak bardzo czekam na pana wizyty.

IV

...Więc jeśli pan myśli, że ojczyzna jest wymysłem butnego ograniczenia, to chciałbym panu powiedzieć opierając się na własnych przeżyciach, iż znacznie bardziej jest ona wymysłem melancholii: podjąwszy wyzwanie przemijalności, próbujemy świadectwom własnego istnienia nadać określoną trwałość, a to może nastąpić jedynie na ograniczonej przestrzeni, na „ziemi ojczystej”...

Ale niech pan spróbuje szpitalnego ciasta, zachowałem je specjalnie dla pana, mój drogi, to tak zwany murzynek, który pieką tu w szpitalu.

Kwiaty? Zdziwi się pan, ale te astry przysłał mój syn Bernhard – znalazł nawet czas na jeden ze swoich listów *staccato*, są to wynurzenia pisane w niemal kunsztownym pośpiechu. W każdym razie przesyła mi życzenia zdrowia i gratuluje równocześnie zniszczenia szopy do nabożeństwa – tak nazywał nasze Mazurskie Muzeum Ziemi Ojczystej, gratuluje mi mojego czynu, tak, nazywa go spóźnionym aktem rozsądku, a ponieważ oczywiście zakłada, że również jego argumenty odegrały pewną rolę, gratuluje sobie samemu: synowie są po to, pisze rzeczywiście, żeby swoich ojców uczynić znowu synami. Boję się, że pan by się świetnie rozumiał z Bernhardem... Szopy do nabożeństwa, powiedział kiedyś, w których zaduch historycznego marzycielstwa jest tak intensywny, że zastępuje ogrzewanie... On też nie urodził się w Łukowcu, podobnie jak Henrike. Czy może pan sobie wyobrazić, że historia interesuje go dokładnie tyle samo, co przeszłoroczny śnieg? Wielokrotnie używał tego porównania. A gdy tylko na przykład padało nazwisko Hindenburga, wstawał i milcząc wychodził z pokoju; najwyżej mówił:

- Chyba nie muszę wypijać waszego piwa, co? Hindenburg...

W kilka dni później, po tym, jak generał w zwycięskim pochodzie przez uwolnione miejscowości zawadził również o Łukowiec – tak chyba trzeba to nazwać – miałem dostać nowe marynarskie ubranie; wymyłem się więc, nałożyłem czystą bieliznę i podreptałem razem z matką do sklepu „Struppek & Sausmikat”, największego łukowieckiego magazynu odzieży w rynku. Przed pomnikiem uczestników wojny francusko-pruskiej, na samym środku rynku, matka znacznie zwolniła kroku, szła, że tak powiem, połową pary naprzód, gdyż tutaj stał jeszcze niedawno nasz wyzwoliciel, podczas ostatniego topnienia lodów na jeziorze Łukowiec jeszcze nie znany, a który teraz zaczął się już stawać ociężałą legendą. Stał tam, ostrzyżony na jeża, z opadającą powieką, oparłszy grubawe dłonie na bagnecie, dosyć spokojny, podczas gdy świątecznie odziani cywile przemawiali doń, a dwa chóry – męski i żeński – śpiewały dla niego, gdy obywatele na dany znak występowali naprzód, by wręczyć mu prezenty: między innymi białobłękitny, mazurski kobierzec, pleciony kosz z łyka z suszoną kiełbasą, ale przede wszystkim zwitek pergaminu, przewiązany wstążką, zawierający nadanie honorowego obywatelstwa miasta Łukowca, który to zwitek, podobnie jak inne dary, przyjął z wyraźną obojętnością i podał dalej swoim adiutantom, ci zaś wykazali się niezłą umiejętnością pakowania, gdy układali wszystkie te rzeczy na tylnym siedzeniu otwartego samochodu.

Co śpiewali? Naprawdę to pana interesuje? Więc na pewno: „*Niebiosa chwałq...*”, zapewne też „*Zawsze wierny i uczciwy...*”, mam wątpliwości co do „*Przystąpmy do modlitwy*”, co rymowaliśmy: „dość z Bogiem już gonitwy”. Muszę jednak wspomnieć, że ojciec nie pozwolił sobie odebrać przywileju ukazania się na tej zaimprovizowanej uroczystości na cześć zwycięstwa. Jako kupiec wiedział, że należy utrzymywać dobre stosunki ze zwycięzcami, dlatego też zignorował program i nie czekając na jakiś znak, po prostu wystąpił naprzód i podał bynajmniej nie zdziwionemu dowódcy wyczyszczoną do połysku buteleczkę z cudownym środkiem, pobudzającym krążenie, a równocześnie rozwijającym szczodrość. Uścisk dłoni dowódcy i flaszeczka zniknęła w samochodzie, z którego nasz wyzwoliciel, po przyjęciu hołdów i odebraniu darów, wygłosił krótkie

przemówienie, które brzmiało mniej więcej tak, jakby czytał szyldy nad sklepami w rynku.

Nie, nie tak wyobrażałem sobie zwycięzcę-wyzwolicieła...

Ale jesteśmy w drodze do magazynu „Struppek & Sausmikat”, gdzie mają mi sprawić nowe marynarskie ubranko; wobec upartej skłonności szczurów lądowych do morskich podróży było niemalże nieuniknione, że błękitne sukno stało się ulubionym strojem łukowieckiej młodzieży. Obsługiwał nas osobiście pan Struppek, sprzedawca wcale nie uniżony, lecz raczej despotyczny, pogardzający niezdecydowanymi klientami, zaś klientów o dokładnie sprecyzowanych gustach traktujący jak wyzwanie, po prostu dlatego, że chciał zachować dla siebie ostateczny sąd o tym, co komu pasuje, w czym można by, jak mawiał, „z powodzeniem się zalecać”. Kiedy tak kazał nam podejść do siebie przez cały sklep, spościłem się ze strachu, a zasób słów matki znacznie się skurczył. Nie przesadzę, jeśli powiem, że pan Struppek patrzył na mnie pożądliwie, cmokając językiem, najwidoczniej brakowało mu tego dnia gliny, którą mógłby uformować zgodnie ze swą wolą, stąd to długie, taksujące spojrzenie, gdy zbliżałem się zlany potem, stąd owo twórcze szacowanie, w każdym razie nie ulegało wątpliwości, że już w czasie naszej wędrówki przez sklep kompletnie mnie ubrał.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności on również obmyślił dla mnie błękitny mundurek i nawet nie zapytał matki: – Cóż, paniusiu, chcielibyście ładnego – lecz po prostu zadecydował: – Nie ma co, tylko z naszego zucha trza zrobić marynarza. – Ponieważ odpowiadało to również naszym zamiarom, skinęliśmy posłusznie głowami i pozwoliliśmy zaprowadzić się do działu dla młodzieży, gdzie na drewnianym, wypolerowanym drążku wisiąco tyle granatowego sukna, że spokojnie można by w nie odziać załogę jeśli nie krążownika z serii wielkich miast, to na pewno niszczyciela.

Nie, mój drogi, już panu mówiłem w czasie pierwszej wizyty, że palenie mi nie przeszkadza...

A zatem ów Struppek kazał mi wejść na krzesło, otoczone trzema lustrami wysokości człowieka, ściągnął ze mnie, nie bez lekkiej pogardy, cywilne rzeczy, po czym wtłoczył mnie w parę marynarskich spodni, które przy pierwszym przysiadzie groziły pęknięciem, zawiązał krawat, przystroił szczególnie szerokim kołnierzem, naciągnął podkolanówki, wszystko to jedną ręką, podczas gdy druga, owłosiona, wędrowała po mnie, sprawdzając, jak leży ubranie, zwłaszcza w kroku, po czym, ku niemałej radości matki, zamustrował mnie na jednostkę pływającą, a uczynił to przy pomocy trzech wstążek przy czapce, które nosiły wyszyte złotymi literami nazwy: krążownik „Goeben”, torpedowiec „Iltis”, łódź podwodna 9. Gdy tak na mnie patrzył, zdawał się rzeczywiście rozważać, który okręt najbardziej mnie potrzebuje, i pamiętam jeszcze, że gdy właśnie oceniał wrażenie, jakie robiłem jako załogant łodzi podwodnej, na łukowieckim rynku eksplodował pierwszy pocisk z moździerza.

W żadnym wypadku, dobrze mnie pan zrozumiał. W Łukowcu eksplodował pierwszy pocisk rosyjskiej zenitówki, na północnym wschodzie przystąpił do ataku cały korpus, wypoczęte i na wszystko zdecydowane oddziały, które, nie natrafiając niemal na opór, pociągnęły spieszny marszem, zostawiając daleko za sobą skromne doraźne cele. Po ostrych, krótkich atakach zajmowali nasze wsie i miasta – prawdopodobnie dlatego, że dręczony skrupułami, pełen wahań Samsonow pozwolił komendantowi działać na własną rękę – i naraz stanęli pod Łukowcem, zarówno ku naszemu, jak i zapewne ku swemu własnemu zaskoczeniu.

Proszę nie myśleć, że pan Struppek podczas eksplozji pocisku, który mierzył zwłaszcza w pomnik, od razu przerwał sprzedaż marynarskiego stroju; podszedł jedynie do okna i spojrzął na słup pyłu, odwrócił się nieco i popatrzył w dół poprzez taras kawiarni Kucharzika na jezioro Łukowiec, gdzie równocześnie uniosły się w powietrze cztery fontanny, w samym środku nurkującej flotylli łabędzi – druga salwa zwykle przenosi. Po czym sprzedawca wrócił do nas, powiedział tylko: – Wygląda to na drugie zajęcie miasta – przemustrował mnie na torpedowiec „Iltis”, nakładając na czapkę odpowiednią wstążkę, i spokojnie wypisał rachunek; jednak do drzwi towarzyszył nam tylko po to, by je zaraz za

nami zamknąć. Pozwolono mi wyjść w mundurku, moim drugim marynarskim ubraniu, w którym o mało nie zostałem stracony po gwałtownej walce przy dużym moście na rzece Łukowiec.

I to jak jeszcze zostaliśmy zajęci po raz drugi: nic nie mogło nas od tego uchronić, nawet bateria ciężkich polowych haubic, które zajęły pozycję nad brzegiem jeziora, zamaskowanych gęstwiną wierzb i gałęziami srebrnych topól. Ponieważ Conny siedział już na pustej skrzynce po amunicji, nie pozostało mi nic innego, jak wysłać matkę do domu – poszła dopiero wówczas, gdy obiecałem jej po wielokroć nie szaleć, nie bić się i nikogo nie zaczepiać w nowym ubraniu. Conny nudził się już, ponieważ nie padł jeszcze ani jeden strzał, a załoga, z wyjątkiem posterunku przy telefonie polowym, rozłożyła się i jadła łyżkami kruszącą się kaszankę z puszki. Conny mrugnął do mnie. Nieznacznie wskazał na kabel, który biegł od telefonu przez zarośla, skośnie w górę ku lipom, a potem wierzchołkami drzew ku miastu, ważną nitkę łączącą z jakimś centralnym miejscem, szczególnie chronionym ukryciem, w którym podejmowano ważne decyzje. Nie potrzebował zachęcać mnie po raz drugi, staliśmy w milczącym porozumieniu, z tym samym zamiarem; opuściliśmy pozycję z twarzami uniesionymi skośnie w górę, za słabo napiętym, od czasu do czasu zwijającym się w girlandy przewodem, a żołnierze, którzy widzieli nas tak odchodzących, mieli powód przypuszczać, że szliśmy w ślad za jakimś nagłym zjawiskiem.

A więc z uniesionymi twarzami, pełnymi napięcia, wciąż idąc za przewodem, który wkrótce oddalił się od brzegu jeziora, sztywno naciągnięty przebiegł nad piaszczystą drogą, zniknął w żywopłocie z tui, wijąc się wzdłuż drewnianego parkanu browaru „Masovia”, po czym na dłuższym odcinku spoufalił się z drutem kolczastym, chroniącym opadające w dół ogrody; od budek kąpielowych Jakubzika przewód biegł znowu w górę przez korony drzew, a gdy wynurzył się zwisając swobodnie, pojawiła się przed nami potężna sylwetka łukowieckiej wieży ciśnień.

– Tam – powiedział Conny – tam się wszystko zbiega. Przemknęliśmy się do wieży, obstawionej zakazującymi tablicami; wysoko nad nami,

przyciśnięty żelaznym obramowaniem okna, przewód wiódł do środka; nie było żadnego wartownika, który by nas przegonił. Wśliznęliśmy się do chłodnej wieży, nasłuchując, wspięliśmy się wyślizganymi krętymi schodami na górę, gdzie powitał nas kabel; doprowadził nas do niezbyt wysokiego, ale szerokiego zbiornika na wodę. Wzajemnie zwracaliśmy sobie uwagę na kapanie wody. Nawzajem dodawaliśmy sobie odwagi, by wspiąć się po żelaznych drabinkach i zbadać, co pływa po łukowieckim rezerwarze. Specjalnymi podestami do chodzenia okrążyliśmy zbiornik, odnaleźliśmy przewód, który nad rurą wyprowadzającą prowadził dalej i w górę, do kopuły wieży o licznych oknach...

Ma pan rację, panie Witt, to był punkt obserwacyjny artylerii. Obaj żołnierze nie słyszeli nas, gdy nadchodziliśmy; jeden obserwował przez nożycową lornetkę nasyp kolejowy w kierunku Miłuków, polne drogi i wysepki lasu po obu stronach, drugi kuczał przy swojej skrzynce z korbką, z przygotowanym papierem i ołówkiem. Żołnierz przy lornecie przeraził się nie na żarty, gdy Conny skubnął go za rękaw i by na wszelki wypadek wkraść się w ich łaski, powiedział: – Przyszliśmy z dołu; tamci jedzą właśnie kaszankę. – Tej uwadze zawdzięczaliśmy, że nie musieliśmy od razu uciekać; obaj obserwatorzy wymienili spojrzenia, po czym ten przy skrzynce otworzył chlebak i obydwaj zaczęli jeść. Pozwolili nam zostać; podczas gdy tamci wbijali zęby w chleb ze słoniną, mogliśmy z Connym popatrzeć przez lornetę i pamiętam jeszcze nasze niesłychane zdumienie: bez lornetki nie było nic widać, ale silne szkła z krzyżami podziałowymi przenikały zamgloną dal i przybliżały wszystko: nieprzebrane kolumny maszerujących, zbliżające się do Łukowca, karabiny maszynowe na rozklekotanych wózkach, działa zaprzężone w konie, lekką kawalerię, kłusującą przez pola pod ochroną leśnych wysepek – ruchomy horyzont barwy kurzu. Pamiętam jeszcze, że przesunąłem lornetę od sadów majątku Romanki – który tak przycupnął, iż widać było tylko białe ściany szczytowe – a więc przesunąłem ją od majątku wzdłuż rzeczki Maruny ku zadymionej szosie, gdy przy nasypie uniosły się cztery jednakowe, białe obłoczki, które rozwiały się, zanim jeszcze dosięgły nas fale detonacji. Tam stały ich moździerz, strzelające na chybił trafił w kierunku

Łukowca. Zameldowałem żołnierzom swoje spostrzeżenia, skinęli od niechcenia głowami, już dawno to wiedzieli.

Zupełnie słusznie, tak zaczęła się nasza druga okupacja, już o tym wspominałem, a musi pan wiedzieć, że druga okupacja jest z zasady mniej przyjemna niż pierwsza, w każdym razie tak się potem myśli, gdy wspomina się własne doświadczenia...

Ale co to ja chciałem powiedzieć? Żołnierze przepędzili nas z kopuły; gdy zadzwiczał telefon polowy, dali nam swoje nadgryzione kanapki i pokazali palcem na dół, w odpowiedzi na co zeszliliśmy tylko o jedno piętro i mając zbiornik na wodę za plecami, obiegliśmy maleńkie okienka, może osiem metrów niżej od żołnierzy. W porę zajęliśmy miejsca w naszych łóżach, gdyż zaraz potem ciężkie haubice polowe znad jeziora otworzyły ogień, kierowany przez obydwu obserwatorów, którzy sprawiali, że wybuchy wędrowały naprzeciw maszerującym kolumnom, w sam środek kolumn i pojazdów. Ziemia rozrywała się, przesłaniając horyzont, pojazdy wylatywały w powietrze, a ludzi odrzucało na bok przy tych bezlitosnych porządkach. Szeregi karabinów maszynowych, kawaleria, kolumny: wszystko rozproszyło się, uciekało w poszukiwaniu schronienia, żeby tylko wydostać się z zawieruchy, którą obydwaj obserwatorzy rozpętali nad nimi z zażartą dokładnością. Wielu uciekało do wzorowo utrzymanych sadów w Romankach albo na wysepki lasów, położone na pagórkach; nic nie uchodziło uwagi obserwatorów, raz za razem kierowali strzały ku kryjóvkom, a potem wstrzeliwali się, nakrywając je ogniem. Muszę wyznać, że było mi wówczas żal drzew, które dziesiątkami padały na kolana albo od jednego uderzenia traciły korony, drzewa ciężkie od owoców i legendarne mazurskie dęby. Jak je tam golono, łamano, skręcano i rozrywano!

Moździerze odpowiadały ogniem z za nasypu kolejowego, nad ich stanowiskiem wznosiły się teraz regularnie białe obłoki; słyszeliśmy gwizd i granie pocisków, a jeden z nich postarał się o to, by hotel „Luisenhof” nie mógł na razie oferować pokojów z widokiem na jezioro.

A potem, drogi Martinie, Conny podszedł do mojego okna, patrzyłem ponad jego wyciągniętym ramieniem, którym bez słowa i prawie bez drżenia wskazywał szybki pojazd, uciekający stromą polną drogą w dół ku rzece Marunie, na drewniany most, szybką dwukonkę, której koła zdawały się migać i obracać w przeciwną stronę do kierunku jazdy jak w starych filmach, ledwo dostrzegalnie stykając się z ziemią.

Szaleńczo odważny człowiek na koźle trzymał lejce nie inaczej niż stojąc, amortyzował wszystkie wstrząsy i podskoki, poganiając wciąż konie, nasze siwki, i namierzał się już na most bez poręczy, gdy w skarpę rzeki uderzył pocisk, nawet niezbyt dużego kalibru, rozpryskując pylistą ziemię i rozrywając ją deszczem grudek po moście; widziałem, jak konie się spłoszyły, stanęły dęba w uprzęży, ale woźnica zaraz je okiełznał, nie próbując wcale powrócić wypadłym z kolein pojazdem na drogę, lecz jechał teraz równolegle do ciemnej rzeczki.

Poznałem, jaki miał zamiar, przedłużyłem po prostu linię ucieczki i wiedziałem, że chciał się przebić do położonej wyżej szosy, łączącej Łukowiec z Magrabową, do mocno ubitego gościńca, gdzie w rowach leżeli mężczyźni-ochotnicy i wobec zbliżającej się armii nie mieli innych zamiarów jak tylko oszczędzać amunicję. Woźnica szukał jakiegoś innego przejścia, przesuwał się wzdłuż rzeczki, a tym samym w kierunku sadów owocowych, w których wciąż jeszcze wystrzelały w górę fontanny błota, a szlachetne drzewa goliło jak brzytwą, ale jeden zbyt blisko wycelowany strzał – być może oddany celowo do niego – zmusił go ponownie do zmiany kursu. Najwidoczniej spostrzegła go także obsługa karabinu maszynowego, gdyż przy skręcie na zabronowanym polu pociski smugowe nakreśliły krętą linię wokół wozu...

Może mi pan wierzyć, że wiedziałem o tym od pierwszej sekundy, ale nie ważyłem się tego wypowiedzieć, nie mówiłem nic, aż Conny wreszcie powiedział: – To on, Zygmunt, poznając go, to musi być on. – Wskazał w dal na mężczyznę, który dostał się pomiędzy fronty, między wystrzały, który gnał swoją elegancką dwukonką przez teren, gdzie toczyła się bitwa, poszukując jakiegoś przejścia, wciąż na nowo zawracany przez grzechoczące wybuchy i płonące wysepki lasu, kreśląc splątany wzór na

lekkich, piaszczystych gruntach. Widziałem, jak sfrunął po raz drugi stromą polną drogą ku rzeczce Marunie, tym razem zdecydowanie, trzymając konie krótko w lejcach, most, ach, co ja mówię: pięciocalowe deski, które tam położono, były jeszcze nie uszkodzone, w każdym razie wystarczające dla szerokości jego osi, zmierzał w ich kierunku, wśród ćwierkających, gwizdzących wystrzałów, dotarł do nich, zdawało mi się, że słyszę już głuchy huk, powstający przy przejeżdżaniu przez most, gdy pojazd eksplodował. Trafiony granatem, wybuchnął na prowizorycznym mostku.

Najpierw pojawił się tylko wielobarwny błysk płomienia, jaki często obserwowałem w laboratorium ojca; potem wzniosł się w górę słup dymu, także różnokolorowy, w kształcie korkociągu, który – choć pan może będzie w to wątpił – mimo odczuwalnego wiatru zatrzymał się nad Maruną jak zakotwiczony; następnie, co Conny później często potwierdzał, uformowała się siedmiobarwna chmura, która wznosiła się w górę tak szybko, jak balon uwolniony z uwięzi, powiedziałbym, jak sofa z obłoków, którą mistrz substancji i roztworów, pan kwasów i gazów sporządził dla siebie. Gdy to dzisiaj wspominam, w moim położeniu, wydaje mi się, że ten koniec do niego pasował, ojciec zginął własną oryginalną śmiercią.

Nie wątpię, że nie tylko nieliczni obrońcy Łukowca, ale i rosyjscy żołnierze w swoich kryjówkach długo jeszcze głowili się nad przyczyną tych bengalskich ogni i z pewnością niektórzy z nich zachowali w pamięci, że po jaskrawej eksplozji pojazdu rozeszły się opary i zapachy, powodujące bardzo różne reakcje, u jednego wywołując chęć wymiotów, u innego podrażnienie gardła.

Co pan mówi? Czy wszystko wybuchło? Czy wszystko wyleciało w powietrze siedmiobarwną chmurą? Z pańskiego pytania wnioskuję, że się pan uśmiecha. Mogę panu powiedzieć tylko tyle: Conny objął mnie ramieniem i odciągnął od okna, popchnął krętymi schodami w górę, do kopuły, gdzie żołnierze tak dalekowzrocznie siali zniszczenie, nie pozostawił obserwatorom czasu na zarzucenie nas wymówkami, gdyż

Pospiesznie odmieniał tylko jedno zdanie: – Trafiony, jego ojciec został trafiony.

Zażądał, abym mógł spojrzeć przez lornetę, już przysuwał skrzynkę, na którą miałem wejść, pozwolono mi spojrzeć przez lornetkę: powiodłem wzrokiem wzdłuż rzeki aż do miejsca, gdzie najślawniejszy mazurski producent cudownych środków znalazł swój koniec: leżały tam oba konie, dwa siwki, przybrane sztucznymi kwiatami, które tak wesoło skłaniały się w kłusie, była też rozbita przednia oś, pozostałe przy niej koło kręciło się łagodnie i tajemniczo, poza tym nic: ojciec i cudowny ładunek, wszystkie te dzbany, dzbanuszki, butelki, słoiki i tygle zniknęły i nie zostały już odnalezione, również później, uleciały na zawsze w żarze eksplozji, w nagłym wybuchu substancji z ich rozsadzonych więzień.

Wie pan, co powiedział za mną jeden z żołnierzy do Conny'ego, gdy wpatrywałem się jeszcze w miejsce wypadku? Powiedział: – Myśmy zaraz zauważyli, że było w nim coś dziwnego: przy tej jeździe po wybojach nawet mu nie spadł cylinder – czego my wcale nie zauważyliśmy.

W każdym razie Conny zbadał po mnie lornetą miejsce wypadku, bardzo pobieżnie, gdyż żołnierz odsunął go, wypychając nas jednocześnie z kopuły i wykrzykując za nami groźby, którymi się jednak nie przejęliśmy.

To nagłe kołysanie; chociaż obserwowałem śmierć ojca, żal nie pojawił się od razu, a ból kazał na siebie czekać; nie zrodziło się nawet zwątpienie, jedynym uczuciem był rodzaj trwożnego oczekiwania. To rodzaj jego śmierci, owo chemicznie rozświetlone pożegnanie musiało spowodować, że nie owładnęło mną żadne inne uczucie. Nie tylko ja się tak czułem: Conny przekonał mnie, że musimy natychmiast wracać do domu, matka powinna się dowiedzieć, co się stało nad rzeczką, obok sadów w majątku Romanki, pognaliśmy więc przez ogród, nie pozwalając się zatrzymać nawet przez zmianę pozycji ciężkich haubic polowych. Tylko przed więzieniem zatrzymaliśmy się nagle i spojrzeli w tył: równomierny, okrągły brzuch wieży ciśnień pękł i rozleciał się, a podnóże wieży przekrzywiło się, z prowokującym opóźnieniem przewróciło na bok, wznecając swym upadkiem lawinę kurzu, spływającą do jeziora...

Zgadzam się z panem, mój drogi, jednym z najcięższych, najmniej przyjemnych zadań było i jest przekazywanie wiadomości, brzemiennych w skutki, a teraz niech pan sobie wyobrazi moją matkę – właśnie kroiała strąki fasoli o długich włóknach, z emaliowaną miską na kolanach, pilnie migając nożykiem tuż obok kciuka; ujrzawszy mnie, zaraz zatroszczyła się o mój nowy błękitny mundurek, który przeszedł błotny chrzest. Tak właśnie było: matka podniosła wzrok znad fasoli, obrzuciła mnie szybkim, krytycznym spojrzeniem, po czym zwała się na nią lawina nowin, podawanych w takim skrócie, że nie można było zrozumieć sensu: wypadek – trafili w sam środek – tylko wysoki płomień – w pełnym biegu – cudowne lekarstwa też wybuchły – potem taki słup dymu – jak korkociąg – siedmiobarwna chmura – wybuchło i rozwiało się – wzniosł się w górę – po prostu uniósł się w niebo...

Im bardziej zasypywaliśmy ją słowami, tym bezradniej słuchała, nie prosiła o przerwę, by posortować wiadomości, a gdy Conny, podsumowując swe przeżycie, tłumaczył: – To było, prosz’pani, na moich oczach, coś w rodzaju wniebowzięcia – wówczas na jej twarz wstąpiła jakaś żarliwa ufność; odpowiedziała mu: – Tak, chłopcze, tak, na pewno tak było: coś w rodzaju wniebowzięcia. – Po prostu broniła się przed uwierzeniem w naszą opowieść. Moja matka również tak się czuła, ona również nie mogła i nie chciała uznać jego śmierci, uważała jego koniec za swawolną sztuczkę, oślepiający eksperyment w plenerze, w każdym razie nie wtrąciliśmy jej w nagłą żalobę ani ból. Ochłodziła nasze podniecenie maślanką, nie, orzeźwiający napojem z japońskiego grzybka, który zaczerpnęła z kamiennej stągiewki, gdzie nad dnem pływał brązowy, strzępiasty grzyb, wydzielający kwas.

Jak bardzo wierzyła w powrót ojca, może pan poznać po tym, że gotowała i nakrywała również dla niego, że prała, prasowała i układała jego rzeczy, a gdy w kilka dni po ponownym zajęciu Łukowca zjawiła się nieliczna komisja, rejestrująca wszystkich mężczyzn, podała, że mąż znajduje się w podróży za interesami, w celu zwalczania wyszukanych chorób, tak, w końcu często bywał wiele dni w podróży...

Co najmniej tydzień obnosiła się z ową głęboką ufnością po domu, dowodziła mu swego przywiązania, myjąc w gorących mydlinach wszystkie moździerze, tygle i próbówki w laboratorium, ale później – gdy znowu nie zawił się na swój ulubiony posiłek: pyzy z jajkiem i skwarkami – ogarnął ją niepokój, który stopniowo przyspieszał jej oddech, malował czerwone plamy na szyi. Naczynia wielokrotnie wypadały jej z zazwyczaj tak pewnych rąk. Często obserwowałem ją, w zamyśleniu, zaczynającym się w niedostrzegalny sposób, ze złożonymi rękami, kiwając głową wynajdywała możliwości, sprawdzała je, kołysząc się w niezdecydowaniu, za każdym razem jednak zdawała się dochodzić do tego samego niepomysłnego wyniku, co kwitowała mimowolnym potrząsaniem głową, wstawała, podchodziła do okna i głęboko oddychała. A potem wynik jej rozmyślań stawał się nie do zniesienia: potrzebowała pewności, musiała działać.

Wyruszyliśmy do majątku, gdzie okupanci właśnie znów rekwirowali, co jeszcze nie zostało zarekwirowane, sieczkę, buraki i ziemniaki, ale również wielkie jak koła u wozu kręgi sera, wędzone mięso i krowy, które po prostu przywiązywali do swoich pudełkowatych wozów. Oficer przechodził od wozu do wozu, liczył i szacował ładunek, notował poszczególne pozycje, obliczał ich wartość w rublach i podawał papier za papierem starszemu szwajcarowi, upominając: – Tylko starannie przechować. Dokumenty tyle warte co i gotówka – jeden z tych dokumentów, podstemplowany i podpisany, mieliśmy zresztą w naszym muzeum.

Dziadka nie było widać, nigdy nie był obecny przy rekwirowaniu, wyjeżdżał gdzieś konno albo wyszukiwał sobie jakąś pracę w mrocznych stajniach, ponieważ nie czuł się na siłach patrzeć na „patroszenie” i nie mógł ręczyć za siebie, to znaczy za swoje opanowanie. Znaleźliśmy go w drewnitni, gdzie stał samotnie przy chwiejnym koziołku, przyciskając jedną ręką pień, a drugą prowadząc piłę, sapiąc, z pełnym oburzenia zacięciem, jakby kazano mu pracować na akord. Nie podniósł wzroku, zdawał się nie słyszeć naszego powitania; gdy ostrze piły zaklinowało się i nie chciało ruszyć z miejsca, pokuśtykał bez słowa między nami, by przynieść żelazny klin, który wbijał młotkiem w wypiłowaną szparę, po

czym z goryczą pracował dalej. Zjawiskiem samym w sobie było to, jak potrafił nie zwracać na kogoś uwagi; niejeden wzruszyłby ramionami i poczułby się odtrącony, nawet nie myśląc o powrocie. Ale matka zawsze sama decydowała, kiedy ma się poczuć obrażona, szczególnie przez dziadka, tak, zwłaszcza przez niego, przeciwstawialiśmy więc jego wytrwałości naszą wytrwałość, staliśmy tam, zasłaniając mu wejście.

Gdy oddział rekwirujący wśród okrzyków i trzasków z bata opuszczał podwórze majątku, dziadek podniósł wzrok i musiał nas oficjalnie przyjąć do wiadomości, nie znalazł jednak dla nas nic oprócz nieufnego spojrzenia; uwaga jego zwrócona była na skrzypiący szereg wozów, zabierających mu to, co zgromadził swoją chytrą i uporem.

– Jeśli chcecie żebrać – zamruczał – poszukajcie sobie innych domów albo idźcie do tych, którzy zabierają nam ostatnią koszulę: właśnie tam je wywożą. – Matka samym sposobem stania i ruchem głowy dała do zrozumienia, że tym razem nie przyszliśmy żebrać, nie chodziło o ziemniaki ani mąkę, a tym bardziej o wędzone mięso – gdyby tak było, mielibyśmy przy sobie torby i lniane woreczki – tym razem szło o coś ważniejszego. Dziadek dźwignął pień na kozioł, z wściekłością podjął znowu piłowanie, rzucił jakieś przekleństwo, ponieważ piła zbaczała z toru z powodu sęka, i tak oczekiwał naszej prośby.

Od razu panu powiem, drogi Martinie, że starannie przygotowaliśmy pytania. Najpierw chcieliśmy się dowiedzieć, czy jeszcze przez krótki czas moglibyśmy zostać dłużni z czynszem za mały, pobielony wapnem domek nad jeziorem, należący do majątku, w którym przed nami mieszkali szwajcarowie, kowale albo oborowi, w każdym razie ludzie, pracujący dla dziadka. To pytanie wystarczyło, zaskoczyło go tak bardzo, że piłował już nie z wściekłością, lecz w zamyśleniu, jakby nasłuchiwał śpiewu piły, i jękając się zapytał, skąd wiemy, że do majątku przybywa nowy oborowy, że zaproponował mu bielony domek i że my musimy się wynieść w ciągu czternastu dni, teraz, kiedy Jan rozwiął się w powietrzu – powiedział: rozwiął się w nic.

Dowiedzieliśmy się więc już dosyć. Matka poprosiła go, by przedłużyć termin do trzech miesięcy, dziadek odmówił. Oborowy jest w majątku pilnie potrzebny, ma pięcioro dzieci, dom mu przysługuje i basta. Matka prosiła, by wskazał nam jakieś schronienie, może pokoiki obu dojarzy, którzy byli w Giżycku w saperach – odrzucił to również. Liczył na bliskie zwycięstwo i szybki powrót obu dojarzy, z których nie może zrezygnować przy próbie ponownego podniesienia majątku z upadku. Piłując z tłumioną energią, poradził nam, by zapytać w łukowieckim urzędzie meldunkowym; przecież wielu mieszkańców uciekło w ostatniej chwili, z meblami albo bez, ci, którzy mieli powód do ucieczki; mieszkaniom dobrze by zrobiło, gdyby znowu ktoś się do nich wprowadził. Muszę powiedzieć, że gdy dawał nam tę radę, był pod wrażeniem rekwizycji. Piła tak energicznie wgryzała się w drzewo, że świecące żółtawo trociny pryskały mi na nogi. Okopał się za swoją robotą. Mogliśmy odejść.

Opór, mówi pan? Protest? Jak pan to mówi, tak jakby to było oczywiste, jakbyśmy mogli sobie pozwolić na skuteczny opór, wówczas, gdy pytanie nie miało żadnego sensu, przynajmniej dla większości. Trzeba było panu widzieć, jak pośpiesznie i trwożliwie wyruszyliśmy, by wypróbować mieszkania, piękne, częściowo umeblowane, komfortowe mieszkania z widokiem na las i jezioro, należące do kupców i wyższych urzędników, którzy opuścili miasto. To zdumienie za każdym razem, ten smak kwaśnej gliny, gdy ogarnialiśmy wzrokiem mieszkanie, gdy siadaliśmy na próbę, na próbę wyglądaliśmy oknem albo otwieraliśmy drzwi pozostawionych szaf – nic dziwnego, że nie znaleźliśmy ani jednego mieszkania, w którym czulibyśmy się dobrze. Już wchodząc poznawaliśmy, że nie dla nas je wybudowano, owe dziś opuszczone mieszkania, rozpoznawaliśmy to po podłodze, po tapetach, a przede wszystkim po pozostawionych meblach.

– Jak pożyczone – wołała matka, wydaje jej się, że wszystko jest pożyczone, i stroskana oddawała każdy nakaz, otrzymany w urzędzie meldunkowym. Myślę, że od początku naszego myszkowania wiedziała, że nie wprowadzimy się do żadnego z opuszczonych mieszkań, po prostu dlatego, że nie mogliśmy żyć z uczuciem tymczasowości, a gdy mimo to wyruszała w drogę na inspekcję lokali, które nam nie odpowiadały, to

tylko dlatego, by nie czekać beczynninie w ciągu tych czternastu dni, które nam pozostawił Alfons Rogalla...

Naturalnie, że musieliśmy się wyprowadzić! Pan na majątku nigdy by nie odwołał danego słowa. Mówiłem już panu, że przynajmniej raz dziennie musiał uzyskać potwierdzenie, ile znaczy jego słowo. Oczywiście, że nas wypędził! Tylko to jedno miało dla niego znaczenie: konsekwencja. Dla nas, a przede wszystkim dla mnie, skutki tego wszystkiego były nieprzewidziane, a może i pan dojdzie do przekonania, że nie zniszczyłbym naszego mazurskiego muzeum ziemi ojczystej, gdyby mały bielony domek nad jeziorem pozostał naszym mieszkaniem.

Ale przyszli, następnego ranka po wyznaczonym terminie, pewnego niezwykłego dnia zjawili się: dziadek, oborowy z rodziną, dwóch parobków i wóz z mocno związanymi łózkami, krzesłami i stołami. Przybyli w dniu, gdy było już wiadomo, że dywizje Samsonowa zostały pobite, a pierwsza armia Rennenkampfa przystąpiła do odwrotu, by uniknąć okrążenia; otoczeni po bokach częściami korpusu kawalerii, dowodzonymi przez chana z Nachiczewanu, napływali od strony majątku, wypadali z pochodu cofających się żołnierzy, przetoczyli się z hałasem pod oknami, za którymi leżeliśmy i czekaliśmy na nich. Ponieważ dom należał do dziadka, nie musiał pukać, otworzył drzwi kopnięciem, zbliżył się do nas groźnie, zupełnie jakby chciał się wyładować, ale oszczędzał energię, skinął na obu parobków i obaj zgarbieni mężczyźni, którzy stali jak podczas wichury, siekającej ich w twarz, wynieśli nasze rzeczy na dwór, wywlekli wszystko, co nie było przybite gwoździami, na skraj drogi i zostawili je tam. Oborowy im nie pomagał; siedział na wozie i wpatrzony towarzyszył opróżnianiu domu bez szyderstwa czy współczucia, podczas gdy jego dzieci kłótniwie przywłaszczały sobie wszystko, co się dało unieść, nawet mój stołeczek.

Nie mogłem im go wydrzeć. Usiadłem na naszych rzeczach rosnących w pagórek i broniłem ich przeciw powracającym żołnierzom, którzy zagrozili już Olsztynowi, a teraz wracali rozczarowani na dalekie tyły, posłuszni fantastycznemu rozkazowi swego sztabu frontowego. Nie zatrzymując się chwytali a to obraz, a to poduszkę z sofy; podczas gdy

jeden odwracał moją uwagę, inni łapali słoiki z przetworami; dragoni elegancko chwyтали na ostrze lancy ręczniki, nauszники i buty z cholewami; ich zainteresowania były, jak by to powiedzieć, bardzo szerokie, nie kończyły się bynajmniej na skrzyniach, w których leżało jedno na drugim wyposażenie laboratorium, rynienki, foliały, moździerz i tygle, jak najbardziej nadające się na pamiątki.

Pamiętam jeszcze, że podczas gdy pagórek naszych rzeczy topniał, gdy moja matka siedziała na ławce wśród słoneczników i wiązała supły na chusteczce, a dziadek popędzał obu parobków i dodawał odwagi zapatrzonemu oborowemu, nagle w pochodzie powracających żołnierzy powstał jakiś niepokój, jakiś zator, tak że wielu z nich wychyliło się na bok i patrzyło do przodu, nie zauważając początkowo nic oprócz krótkiego wozu drabiniastego, który próbował posuwać się przeciw napierającej fali żołnierzy, koni i wozów, jak łamacz fal, tak, który nie tylko pozwalał napierać na siebie, lecz rzucał się naprzeciw fali i rozrywał ją na boki.

Był to wuj Adam, który na pożyczonym wozie drabiniastym rozpruwał formacje pierwszej armii, wśród ostrych gwizdów, które wydawał przy pomocy zwiniętego języka; kiedy zatrzymał się przed nami, sphywał potem, nie mógł wymówić ani jednego słowa.

Podawałem mu rzeczy, a on został na wozie i układał. Najpierw ułożyliśmy duże, nieporęczne sztuki, po czym wypełnialiśmy szafy i kosze do bielizny zwykłymi przedmiotami, nie wspomagani przez nikogo, nawet przez moją matkę, która jak ogłuszona siedziała wśród słoneczników, wiązała supły na chusteczce i szarpiąc rozwiązywała je z powrotem.

Skrzynie, kryjące wyposażenie laboratorium, dźwigaliśmy razem w górę, razem też wciągnęliśmy wreszcie na wóz moją matkę – co okazało się najtrudniejsze, ponieważ najwidoczniej straciła czucie w nogach i poruszała się mniej więcej tak, jak dwa cetnary kartofli w mokrym worku. A potem wuj Adam podszedł do dziadka, wybierając chwilę, gdy oborowy i obu pachółków mogło go słyszeć, i nie podnosząc głosu powiedział: – Łachudra, świński ryj!

Ciekaw jestem, co się tu panu rzuciło w oczy. Wyzwiska? Przekleństwa? A więc zastanawia pana bogactwo naszych wyzwisk i przekleństw? Nawet jeśli to pana zdziwi, mój drogi, pewne słowa, brzmiące u nas jak obelgi, mogą w szczególnym przypadku wyrażać czułość, jakkolwiek muszę dodać, że czułość właściwą tym okolicom. U nas tak wiele rzeczy leży tuż obok siebie...

Co pan powiedział? Trudno w to uwierzyć. Podejrzewa pan, że Henrike siedzi nad swoim zbiorem słów i wyrażeń? Nad rekonstrukcją tego zbioru? Zanim w to uwierzę, musiałbym to zobaczyć...

Jeśli pan będzie miał pewność: czy mógłbym pana prosić, aby opowiedział mi pan szczegóły, gdy będzie miał pan pewność?

Dla mnie jest to coś więcej niż przypadkowa wiadomość, jest to początek czegoś albo odpowiedź na coś, dowiemy się tego.

Ale co to ja chciałem panu powiedzieć? Przeprowadzka, słusznie: jak wuj Adam zajechał drabiniastym wozem, prac naprzeciw fali wycofującej się armii, aby załadować nasz dobytek i zabrać nas do swego domu, do pokrytego trzcina domku w dużym zakolu Łukowca. I to nie tylko na pewien czas, lecz, jak się wyraził przy wzruszającym powitaniu, dopóki pozostanie tu jeszcze kamień na kamieniu i nikt nam nie będzie gapił się przez płot.

Wprowadziliśmy się więc do naszych izb, obydwu z widokiem na rzekę, nie na tyle dużych, by pomieścić cały nasz sprzęt domowy, gdyż wszystkie pomieszczenia w domu służyły muzeum ziemi ojczystej, były tym muzeum z niezliczonymi świadkami i świadectwami, które wuj Adam z pasją naznosił. Ułożyliśmy więc rzeczy, dla których nie było miejsca, częściowo w szopie, a częściowo na strychu i podczas gdy matka musiała pogodzić się z tym, że jej łóżko obstawione było diabelskimi skrzypcami, bębnami i oplecionymi obręczami, które czyniły taniec z obręczami tak popularnym, to ja musiałem się pogodzić przede wszystkim z sąsiedztwem starych mazurskich strojów weselnych, wiotkich, spłowiałych, zabezpieczonych przeciw molom, które wisały wszędzie z lekko uniesionymi rękawami, dlatego pewnej nocy wydało mi się, że chcą

po mnie sięgnąć. Nie mogę zapomnieć też łóżka na krągłych, toczonych nogach, a także malowanej skrzyni, ani tym bardziej ozdobnych drewnianych cebrażyków i maglownic, a musi pan też sobie wyobrazić, że nad moim łóżkiem biegła półka, na której kołysały się starodawne sprzęty kuchenne, tłuczek do kapusty, tłuczek do korzeni, formy do ciasta z gruszkowego drzewa w kształcie kwiatów albo sześcioramiennej gwiazdy...

Czy spał albo mieszkał pan kiedyś w muzeum?

Widzi pan!

Ale przyzwyczałem się do łyżników i półek z talerzami, zaprzyjaźniłem się nawet z przybranymi skórą drewnianymi trepami, które jak nieforemne modele łodzi zajmowały regał, siadywałem również wytrwale na historycznym zydlu z rzeźbionym oparciem. Tylko starych żelazek do prasowania nie mogłem znieść: ze swoimi ząbkowanymi żelaznymi wieczkami przypominały mi wąskie pyski psów, szczerzących zęby.

To, co mnie w mojej izdebce otaczało, napominało, zachwycało i dziwiło, było oczywiście tylko skromną częścią przedmiotów, które wuj Adam uważał za warte tego, by świadczyły w jego muzeum o sięgającej daleko w przeszłość historii Mazur; wspaniałe okazy, cenne znaleziska i dowody, smakowite prehistoryczne kąski stały i wisiały w sieni i w szerokim, niestety mrocznym korytarzu, zapełniały dużą bawialnię, warsztaty, kuchnię, a wreszcie tajną piwniczkę. Może pan przyjąć, mój drogi, że każdy zakątek domu zamieszkiwali świadkowie; tłoczyło się to po kątach, zajmowało stoły, wspinało po ścianach, a jeśli miałyby pan ochotę na łyk maślanki, to musiałyby pan liczyć się z tym, że dzban, który pan weźmie z półki w spiżarni, okaże się jaćwieską urną grobową.

Wprowadziliśmy się więc tutaj i rozgościliśmy się, nigdy nie dowiedziawszy się, skąd wuj Adam wiedział, że musieliśmy opuścić mały bielony domek nad jeziorem...

Co pana tak ciekawi? Jak spędziliśmy pierwszy dzień w tym pełnym tajemnej władzy domu?

A więc jeśli to pana tak interesuje: matka rozpakowywała rzeczy, układała je, zapoznawała się z kuchnią, długo siedziała sama nad pętlą rzeki i patrzyła na przepływające wiry; ja od razu znalazłem drogę do warsztatu, w którym wuj Adam królował przy oknie, w brudnym, niegdyś błękitnym fartuchu, w niklowych okularach na ciągle zdumionych oczach, prowadząc nieustanne rozmowy z samym sobą i porządkując skorupy, pieczołowicie restaurując drewniane i skórzane przedmioty. Wuj kleił, szlifował i polerował; nikt nie mógłby skrobać delikatniej niż on, łagodniej uderzać młotkiem, a gdy nie czyścił, naprawiał i leczył, wówczas wypisywał etykiety. Nazwa przedmiotu, gdzie i kiedy znaleziony, przypuszczalny wiek. Chociaż nic nie mówił do mnie – nie, jednak raz się odezwał, wskazując na swój stół do pracy powiedział: dawne czasy, hojne czasy – a więc choć prawie się do mnie nie odzywał, miałem wrażenie, że wuj nie tylko mnie toleruje w pobliżu, lecz że jestem mile widziany.

Raz jednak upomniał mnie, gdy zacząłem klaskać z zachwytu: wuj tak zręcznie dopasował i skleił szczątki ogromnego malowanego talerza, z którego z powodzeniem mogłaby się najeść cała rodzina, że kiedy jeszcze pomalował go na granatowo, nie udało mi się zauważyć pęknięć; gdy klaskałem z radości, upomniał mnie spojrzeniem i potrząsnął głową, niczego nie wyjaśniając.

Podczas gdy dawniej, ryjąc wspólnie z nim w bagiennych tarasach pod górą zamkową, szybko się męczyłem i niechętnie używałem swojej błękitno-żółtej łopatkii, to tu, w warsztacie, trzymało mnie nieoczekiwane napięcie, łaskocząca ciekawość. Może już wówczas przeczuwałem, że działa się tam coś, co mnie obchodzi, a będzie obchodzić jeszcze bardziej; może instynktownie wyczuwałem, że wuj Adam prowadził wówczas spór, przeciwstawiał się czasowi, spokojnej negacji i bezgłośnemu rozpadowi, występował przeciwko bezimiennemu końcowi; możliwe jednak również, że wzbudzało we mnie zachwyty to, w jaki sposób, naprawiając uszkodzenia, przywracał przedmiotom wcześniejszą ich moc dowodową. Oczekiwałem od nich bowiem świadczenia – „czystego świadkowania”, jak mówił, o tym, co kazało nam wytrwać w zmieniających się sytuacjach, co budziło pragnienie trwałości. Ale to nie było wszystko; przede wszystkim miał nadzieję, że obserwator nabierze osobistego stosunku do tych

przedmiotów, uczucia współposiadania, które skłoniłoby go do stwierdzenia: – Tak żyliśmy. Tak odpowiadaliśmy na katastrofy i nieszczęścia, tak się radowaliśmy, tak powalała nas śmierć, a tak doprowadzaliśmy dawne legendy do rozkwitu.

Rozumie pan, że pierwszego wieczoru nie mogłem spać z podniecenia? Siedziałem w ciemności na historycznym zydłu z desek, okno było otwarte i umocowane na haczyk, a ja patrzyłem nasłuchując na drugi brzeg rzeki Łukowiec, na otwarte pole, gdzie biwakował oddział konnicy chana z Nachiczewanu. Warta chodziła wśród słabo podsycanych ognisk, zataczała kręgi aż do przybrzeżnych drzew, ku olszynom, gdzie stały zwierzęta. W kierunku Orzysza i Skomacka Wielkiego – tam ciągle się coś działo – wystrzeliwali rakiety świetlne, nie budzące jednak artylerii, jak się to często zdarzało. Na wypadek nocnego głodu przechowywałem pod łóżkiem brukiew wraz z nożem, który dostałem od Conny'ego; odkroilem plaster i pamiętam jeszcze, że gdy wróciłem chrupiąc do okna, odkryłem na dole w ogrodzie dwóch żołnierzy. Jeden z nich pukał do okna, bębnił do furtki; ponieważ nikt nie otwierał i nie zapalało się światło, wrócił do swego kolegi, który posłał go na zwiady wokół domu, do głównego wejścia, gdzie zaraz zaczął wołać, bębnić w zaryglowane drzwi i kopać je czubkiem buta. Przemknąłem się ciemną sienią do warsztatu, macając wokół siebie dotarłem obok stołów i kantów mebli do obszernej niszy, gdzie wuj Adam spał na czymś w rodzaju ławy, na podobnym do ławy wysuwany łóżku. Obudził się już, ponieważ hałas u drzwi nie ustawał, wskakiwał już w swoje spodnie-rury. – Rosjanie? – Rosjanie – odparłem. Być może wiadomość ta skłoniła go do założenia wysokiego kołnierzyka, wślizgnięcia się w kamizelkę i narzucenia czarnej marynarki; dopiero gdy był już całkowicie ubrany, wyszedł do sieni i najpierw rozwarł tylko okno nad drzwiami...

Nie, nie żadna rewizja; czekało nas dokwaterowanie, przymusowe dokwaterowanie na jedną noc; dowiedzieliśmy się tego od rozwścieczonego żołnierza, który poszukiwał dachu nad głową dla swego chorowitego kapitana i pogłaskał nas radośnie po ramieniu, gdy wuj Adam otworzył drzwi i zaprosił do wejścia jego i oficera, który nieco przybity chodził wokół domu. Zapalono światło, w sieni, korytarzu, w

dużej bawialni. Jako pierwszy wszedł z bardzo uprzejmym ukłonem, skierowanym do wuja Adama, ów kapitan sztabowy, smutny, wyglądający na wyczerpanego, zziębnięty mimo ciepłej nocy – przechodząc obok mnie, wcisnął mi w dłoń monetę; uśmiechając się zza wielu tobołków i drewnianego kufra, wkroczył jego ordynans, zdumiewająco stary żołnierz. Choć kapitan miał już z natury niewojskowy, spokojny krok, to w obliczu zbiorów naszego muzeum jego krok stał się jeszcze bardziej niepewny. Zatrzymał się przy dawnej broni, schylił nad szklaną gablotką z historycznymi monetami, czytał etykiety na słomianych, drewnianych i szmacianych lalkach, wszystko z powagą i nieprzeniknionym zainteresowaniem. Zabębnił palcami po kolczudze Krzyżaka. Przy dwu najstarszych kołowrotekach Mazur potrząsnął wyrozumiale głową, a pięknie porozwieszane historyczne narzędzia musnął niechętnym spojrzeniem...

Co pan mówi?

O tak, zrobił to jego ordynans, jeszcze zanim weszli; zaledwie podał przyczynę późnej wizyty, a już zapytał, ile osób jest w domu; zdawało się ich uspokajać, że była tam również kobieta.

A więc w dużej bawialni, wśród ozdobnych szaf narożnych i chłopskich, zasiedli w milczeniu wuj Adam i kapitan, podczas gdy ordynans i ja, stojąc za krzesłami głównych osób, mrugaliśmy już do siebie, dodając sobie odwagi. Na dany znak ordynans położył serwetkę na okrągłym stole, wy dostał z kufra kieliszki i butelkę czerwonego wina, rozlał i obaj wypili. Oficer zapalił fajkę z morskiej pianki, odchylił się ze zmęczenia do tyłu, popatrzył na dym, który otoczył historyczny piec kaflowy.

Milczeli wytrwale, a w ich milczeniu najwidoczniej rosło zainteresowanie dla siebie nawzajem. Później nieraz wspominaliśmy chwilę, kiedy kapitan zapytał, co może skłaniać człowieka do zbierania dowodów minionych klęsk i krótkich momentów samopotwierdzenia oraz umieszczanie ich w takim muzeum ziemi ojczystej. Wówczas po raz pierwszy dowiedziałem się, dlaczego wuj Adam przekopuje się przez warstwy naszej przeszłości: otrzymał, jak mówił, takie zadanie. We śnie dostał polecenie wypytania

pagórkowatego świata Mazur, zbierania świadectw, resztek i dowodów naszych obyczajów, które uświadamiałyby każdemu, że jest ogniwem łańcucha, spływającego daleko w głąb czasu. Aby nie pozostawić kapitana w nieświadomości, wuj Adam podał w szczerym zapale również imię zleceniodawcy; był to legendarny Pruteno – brat Wajdewuta, który początkowo był, zdaje się, dość skutecznym pośrednikiem między bogami a zwykłymi ludźmi, przy czym uznawał siebie za Krywego, najwyższego kapłana, który większą część dnia spędzał na słuchaniu, po prostu dlatego, że wszystko, co niezbędne, objawiało mu się w kwiatach, błyskawicach, w dryfującej krze. O jego popularności świadczył fakt, że nasi ludzie nazywali się od niego Prusowie, czyli synowie Prutena...

Zmyślane, powiada pan? Czy wuj Adam zmyślił sobie ten sen? Ależ nie, drogi Martinie, on śnił go rzeczywiście, mogłem się tego po nim spodziewać – a musi pan wiedzieć, że w swoich snach miewał on długotrwały, niemal regularny kontakt z Prutenem, który go chwalił i oskarżał, udzielał rad i ganił, podobno nawet niekiedy sprzeczał się ze sobą.

A ten kapitan – trzeba było panu widzieć, jak rozweselony wychylił swój kieliszek i natychmiast poprosił o drugi. Trzeba było widzieć jego pobłażliwą ironię, z jaką kwitował informacje wuja Adama – ów w widoczny sposób cierpiący mężczyzna, który zresztą nosił wysokie odznaczenie za odwagę – Krzyż św. Jerzego.

– Fikcja – powiedział z lekceważącym gestem – prostoduszne, zarozumiałe wymysły. Po co? Każdy dzień przynosi doświadczenie, że wszystko kończy się pożegnaniem, ale tu, w tym muzeum, fikcja podsycana jest złudzeniem trwałości i powrotu.

Teraz musi pan, że tak powiem, przenieść wzrok na wuja Adama, który najpierw odsunął od siebie kieliszek, spojrzawszy prowokująco na zegar, po czym założył nogę na nogę i uśmiechnął się do siebie z niesłychaną pewnością swojej wiedzy. Oświadczył, że nie ma gościowi wiele do powiedzenia, ale po prostu musi stwierdzić, że od Pól Katalanńskich aż po Borodino zawsze w wątpliwych przypadkach zwyciężała ojczyzna,

płomienna, zawzięta, a nawet bezwzględna miłość do ojczyzny, i ona zwycięży z pewnością również tutaj, na Mazurach, nie byle jak, lecz wspaniale, i kapitan dobrze by zrobił, gdyby się już na to nastawił. Wówczas to właśnie udało się wujowi to zdanie: – Przegracie wkrótce, najpóźniej za rok, gdyż ten kraj, gdyż Mazury są przeciwko wam; przeciwko wam jest nasz piasek, sosny, jeziora, studnie i zalesione pagórki, przeciw wam są bagna, pola i moczary.

Nie uwierzy pan, ale po tych słowach kapitan przypił do wuja, podał swoje nazwisko – zrozumiałem „Plechanow” – i wspomniął, że urodził się na Łotwie. Tak, przypił do wuja, z naciskiem, zwolnionymi ruchami, tak jak przypija się do kogoś za szybą, i powiedział z ubolewaniem: – Pomożemy wam rozstać się z waszymi zarozumiałymi nadziejami. Pokażemy wam, ile warta jest ta cała wiara w ojczyznę. Otworzymy wam oczy na to, że piasek nie należy do was, że równie obojętnie znosi każdego. I to wszystko stanie się dla waszego dobra. Jeśli zależy nam na braterstwie, na internacjonalistycznym sąsiedztwie – dodał – to musimy skończyć z małostkową religią idylli i posiadania, której twórcami są apostołowie ojczyzny...

Przewidziałem to, mój drogi; kapitan wyjął te słowa z ust również mojemu synowi Bernhardowi...

W każdym razie ostatni kieliszek wypili na stojąco i sądziłem już, że będzie to koniec wieczoru, gdy oficer odpiął broń i położył na stole, nieforemny pistolet, na który spoglądał bez ruchu, prosząc wuja Adama, by pokazał mu najwartościowszy dokument zbioru. Wuj zawahał się; wszystkie przedmioty są na swój sposób wartościowe, powiedział, każdy daje czemuś świadectwo, nie można ustalić żadnej kolejności. – No to najstarszy eksponat – powiedział kapitan, a wuj po krótkim namyśle przyniósł kawałek sklejki, na której pod szkłem leżał najstarszy dokument, jaki posiadał: nadanie dóbr według „należytego prawa magdeburgskiego”, wystawione przez wielkiego mistrza Heinricha von Plauen. Kapitan pochylił się nad dokumentem, przyjrzał mu się i kazał sobie odczytać kilka zdań: „Niniejszym nadajemy, po wieki wieków...” i

tak dalej, po czym chwycił pistolet, rozbił kolbą szkło, odlepił dokument z płytki i podał ordynansowi ze słowami: – Piotrze, moja fajka źle ciągnie.

Obu rękami objąłem poręcz krzesła i obserwowałem wuja Adama. Nie poruszył się, nie zadrżał, przyglądał się tylko uważnie, jak ordynans kapitana drżącymi palcami składał i gniótł dokument, tak, robił z niego fidybus, a wuj Adam nie protestował i nie przeszkadzał, gdy tamten ową prymitywną zapalniczką podpalał nadanie Wielkiego Mistrza i trzymał równomiernie płonący dokument nad główką fajki. Kapitan pociągnął silnie i gwałtownie, słychać było tylko cmokanie jego ssących warg, po czym wyjął ordynansowi z ręki resztę fidybusa i opuścił go na popielniczkę, gdzie się dopalił. Jakby żałując, że taka demonstracja była konieczna, zapytał wuja spokojnie: – Widział pan, do czego w końcu nadają się pańskie świadectwa? – Tak – odparł wuj Adam z równym spokojem – zauważyłem, że taki stary papier wciąż jeszcze może wzbudzać strach; kiedy się zapalił, pańska dłoń zadrżała...

Słucham?

Myli się pan; to zajście nie było wszak powodem, by się u nas nic zakwaterować. Poszliśmy razem do mojej izby, ordynans zebrał moją pościel i przygotował posłanie dla swojego pana na moim sienniku, a dla siebie rozłożył na podłodze swój wojskowy płaszcz i wybrał jeden z tobołków jako poduszkę. Życzyliśmy sobie nawzajem dobrej nocy, tak, zrobiliśmy to, a potem nasłuchiwałem za drzwiami i zaglądałem przez dziurkę od klucza, dopóki nie zawiesili czymś drzwi.

Wuj Adam poszedł przodem, szedłem za nim, macając w ciemnej sieni, nasłuchiwałem pod drzwiami izby mojej matki, ale ponieważ słyszałem stamtąd tylko suchy, mechaniczny szloch, poszedłem dalej do warsztatu i zapytałem w ciemnościach:

– Wuju Adamie, gdzie mam spać?

– U mnie – odpowiedział.

Dobrnąłem po omacku do wnęki, wśliznąłem się pod nakrycie, ułożyłem się wygodnie i poczułem jego twarde kolano na mojej łydce i jego zdumiewająco spokojny oddech przy uchu. Raz wyciągnął rękę nade mną, aby się przekonać, że jestem też dobrze przykryty; podbródkiem dotknął mojego policzka, usłyszałem szept: – No i widziałeś, chłopcze: to, co najcenniejsze, jest zawsze dobre tylko dla ciebie, nie wolno ci tego nikomu pokazywać; dla innych wystarczy zawsze kopia. Rzuciłem się na posłaniu, wuj domyślił się, o co chcę spytać, i szepnął: – Wszystko jeszcze zobaczysz, śpij teraz – przytuliłem się zachwycony do jego chudych pleców, pragnąc tylko, by przyśnił mi się Pruteno i ten człowiek, z którym leżałem pod jedną kołdrą.

Dobrze pan mówi, mój drogi; oryginały dokumentów leżały wszystkie bez wyjątku w żelaznej skrzyni w piwnicy, leżały tam zawsze, również w spokojnych czasach, gdy na pozór nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, a wuj Adam uzasadniał to na swój sposób: – Jak rozsypie się oryginał – tłumaczył – zniknie również to, co było.

Ów nieustannie przejęty badacz ciągnął mnie wciąż na nowo do swojej tajnej piwniczki, szczególnie wtedy, gdy nasza i rosyjska artyleria rozgrywały nad Łukowcem swoje pojedynki, kiedy ciężkie kufry świstały w powietrzu, a ziemia kołysała się jak poruszona odległą falą, i podczas gdy inni nasłuchiwali wybuchów, ja słuchałem jego wyjaśnień i zwierzeń, patrzyłem, jak przy świetle lampy naftowej podnosił zasłonę, ukazując widok znękanego, lecz cierpliwego życia, które uczył mnie uważać za swoje. Tłumaczył i wyjaśniał mi dokumenty. Pozwalał brać do ręki narzędzia, ozdoby i broń, aby je po prostu zważyć w dłoni. Zmuszał mnie, bym wyjaśniał pochodzenie kamiennych znalezisk – więcej jeszcze: wuj Adam chciał, by wszystko było wiadome, gdyż, jak mówił, od wyjaśnienia zależy dosłownie wszystko. Nie mogłem się dość nasłuchać historii, które opowiadał o każdym przedmiocie, o jego pochodzeniu, znaczeniu i losie, tak jak Eugen Lawrenz znał historię każdego z naszych dziewięćdziesięciu dwu jezior wokół Łukowca, tak i wuj Adam umiał o wszystkim coś opowiedzieć, legendy i anegdoty albo „historie z morałem”, po których można było zauważyć, że, jakby to powiedzieć, przy nieskończonych

powtórzeniach przyrastały im nowe warstwy. Jeśli dany przedmiot można było wziąć do ręki, musiałem go trzymać podczas opowiadania.

Przykład? Cóż mógłbym panu wymienić jako przykład? Niech pan sobie wyobrazi wuja Adama, pochylonego nad żelazną skrzynią i grzebiącego w niej, przemawiającego urywanie do siebie i zagrażającego gwałtownymi ruchami naftowej lampie, a mnie naszpikowanego prehistoryczną wiedzą, siedzącego na zamkniętej skrzyni skośnie za nim. Jak zwykle szeptał najpierw z przedmiotami, mruzczał i odnawiał w ten sposób wewnętrzny kontakt; nie wystarczało mu bowiem połączenie świadectw w jeden zbiór, od czasu do czasu trzeba się było z nimi naradzić, mrużąc, należało je skłonić do świadczenia. Nagle więc zastygał, odwracał się jednym ruchem i podawał mi coś oburącz, coś połyskliwego, obręcz na szyję z kutego białego srebra, obrozę ze spiłowanymi zębami po wewnętrznej stronie, by temu, kto ją nosił, ułatwić posłuszeństwo. Przez chwilę przyglądał się, jak dotykam palcami obroży, badał również wyraz mojej twarzy, i nieoczekiwanie atakował mnie opowiadaniem; tak zaczynały się wszystkie jego historie...

Mostołty; to w Mostołtach, dawno temu, chłop Jacob Łopian, gdy jesień szalała, zrywając w gniewie czupryny jodłom, a więc ów chłop przeliczył, co zrodziły piaszczyste pola, i rozczarowany wyszedł na dwór, usłyszał szczekanie psów i zaszczekał wraz z nimi. Żaden nie szczekał tak dobrze, z takim urozmaiceniem i wyrazem jak młody Jacobus Łopian, dopiął on tego, że wszystkie psy mu odpowiadały, że szczekał cały horyzont – żałośnie, gdy tego chciał, z szaleńczą agresją, gdy tego zapragnął.

Tej jesieni Dzik Myśliwy⁴ przeczesywał ze swymi ludźmi lasy koło Mostołtów, także rozczarowany, gdyż zwierzyna trwała w głębi lasów, szukając osłony przed tymi wydętymi spódnicami w powietrzu, przed biczącymi włosami, czarnymi strzelającymi żaglami; żadna nagonka nie mogła wypędzić zwierzyny na otwarte pole. Dzik Myśliwy naradzał się właśnie ze swymi ludźmi, gdy z poszycia usłyszano szczekanie, które

⁴ Postać z mitologii germańskiej, Wotan (przyp. tłum.).

wyprowadziło sforę z równowagi: bez rozkazu wtargnęła do lasu, uformowała się w łańcuch, szczekając przy tym nie jedno przez drugie, lecz w sposób ściśle zorganizowany i posłuszny, a choć Dziki Myśliwy zapomniał, co to zdumienie, tym razem jednak musiał się zdziwić, a jego ludzie tak osłupieli, że nie przygotowali strzał, gdy rozciągnięte stado saren wyleciało z lasu, a po nich z gęstwiny runęły jelenie, łosie i niedźwiedzie, uciekając przed szczekaniem, zagłuszającym i podniecającym szczekaniem sfory. Potem jednak świsnęły strzały, a gdy Dziki Myśliwy przyjął łup, obfity jak nigdy dotąd, kazał szukać sprawcy szczekania, które przyniosło mu takie szczęście.

Z krzaków wyciągnięto wieśniaka, Jacobusa Łopiana. Kazano mu zaszczekać. Sfora otoczyła go i słuchała uważnie, jak uczniowie swego mistrza, przy czym wzrosła znowu ich nadwerężona pewność siebie. Szczekanie Łopiana zrobiło na Dzikim Myśliwym takie wrażenie, że zaproponował mu przyjęcie na służbę, za dwa mięsne posiłki dziennie i picie. Chłop wyprosił sobie dodatkowo „kości z dużą ilością mięsa” do ogryzania, a ponieważ mu to obiecano, wyruszył z Dzikim Myśliwym i jego ludźmi, wędrował wiele lat przez nasz kraj i czekał na wielu udanych polowaniach, na przykład w Żelazkach i Kiermuszynach, Olecku i Tomowiskach, ale również w Chełchach i Wilpiskach, wreszcie w Pupinach i Juchach.

W domu, w Mostołtach, po pewnym czasie większość o nim zapomniała, pamiętała o nim tylko żona, utrzymująca się z darcia pierza i przędzenia, oraz człowiek imieniem Naporra, przyjaciel z lat młodości, żyjący jako rakarz w zdziczałym ogrodzie, otoczonym palisadą. W ogrodzie tym, gdzie wszystko bujnie kwitło jedno przez drugie, rakarz znalazł pewnego ranka ogromnego łaciatego psa myśliwskiego, starego psa z poranionymi łapami, który ułożył się między łopianami, by umrzeć. Naporra zabił go i oblepionego owocami łopucha zaciągnął do szopy, gdzie pracował; oczyścił go tam, zebrał z sierści wszystko, co przyczepiło się w długiej wędrowce, po czym przestraszył się, gdy ujrzał ciężką obrożę z kutego srebra i odkrył, że kolce na jej wewnętrznej stronie były z półszlachetnych kamieni. Podniósł głowę psa, ułożył ją na swoim skórzanym fartuchu i wpatrywał się w nią uważnie, po czym zaprzął do

wozu i zabrał Idę Łopian od jej kołowrotka, zaprowadził do martwego psa i zażądał, by bez skrupułów i dokładnie przypomniała sobie wszystko i spokojnie porównała. Po długim badaniu ustalili oboje, że Jacobus Łopian wrócił do domu i należy go teraz uczciwie pogrzebać.

Nie musieli chować go potajemnie; mieszkańcy Mostołtów mieli do nich takie bezwzględne zaufanie, że z przyjemnością postępowali za orszakem żałobnym, a towarzyszyły im na krótkich smyczach wszystkie psy, myśliwskie i podwórzowe; gdy wielkiego szczekacza opuszczano do grobu, słycać było powstrzymywane skomlenie. Ida Łopian zastawiła obrożę, wykupiła się przy jej pomocy od darcia pierza i przędzenia, zapewniła sobie dożywanie, wprowadzając się do domku z okrągłych bali, i żyła względnie dostatnio, póki nie umarła i nie została pochowana obok łaciatego myśliwskiego psa.

Obroża? Na jakiś czas słyca o niej zaginał; niespodziewanie pojawiła się w pewnym łukowieckim lombardzie, przejściowo zdobyła wystawy jubilera Schmoldta, pewnego dnia została, odnaleziona w bardziej niż miernej spuściznie jakiegoś włóczęgi, po czym długo była własnością leśniczego rewirowego w Mostołtach, którego wnuk, lejtnant kawalerii, podarował najpierw obrożę psu swojej ukochanej, później jednak zażądał jej z powrotem i sprzedał po cenie kruszca.

- Mnie - dodał wuj Adam uśmiechając się.

Nie muszę panu mówić, mój drogi, że z każdym eksponatem wiązała się podwójna opowieść, a mianowicie historia jego pochodzenia i druga - jego zdobycia przez badacza ziemi ojczystej, i nie myli się pan, przypuszczając, że niektóre dokumenty, niektóre dowody zostały przezornie zorganizowane, tak, po prostu zwędzone, jednak wuja nie tyle to obciążało, co napełniało satysfakcją, ponieważ uparcie wyznawał zasadę, że „wszystko, co ma dużą siłę świadczenia, powinno ulec wywłaszczeniu, bo należy do ogółu”.

W każdym razie w owych dniach kazał przemawiać swoim świadkom tylko do mnie, zabierał mnie ze sobą w przeszłość, rozpraszał mgłę nad tego skromnego, niewymagającego kraju, tak długo wprowadzał mnie

przy pomocy zebranych dowodów i świadectw w zamierzone czasie Mazur, aż się w nich zadomowiłem i muszę przyznać, że poczułem się wówczas na swoim miejscu, właśnie tak. Ze zdumieniem zacząłem spostrzegać, że mnie to obchodzi: dokumenty, którym kazał przemawiać, cenne znaleziska, którym kazał mówić nie tylko do siebie, lecz zawsze do nas wszystkich. Tak, właśnie tak było: gdy prowadził mnie z wolna wzwyż, widziałem na dostrzegalnym końcu stojącego mężczyznę i chłopca, ręka w rękę; czekali na nas, stali tam tylko oczekując nas, a choć nie rozpoznawałem ich dostatecznie, wiedziałem, że to my, że trwamy tam w oczekiwaniu. W owym czasie, gdy mróz zaskoczył kaczki krzyżówki tak, że przymarzły do lodu w jeziorze, gdy długotrwałe opady śniegu zasypały drogowskazy, w owych tygodniach, gdy zimowa bitwa o Mazury zarabiała na tę nazwę, stałem się zaufanym wuja Adama, jego pomocnikiem w muzeum ziemi ojczyściej.

Owszem, drogi Martinie, mogę to stwierdzić z całą pewnością: nagle poczułem jakąś przynależność do naszego muzeum, niektórymi przedmiotami opiekowałem się szczególnie, przede wszystkim jednak pragnąłem sam coś wnieść, coś dołożyć, co również dla wuja miałyby wartość „świadkowania”.

Słucham? Jakie znalezisko przyniosłem pierwsze? W każdym razie pamiętam, co chciałem przynieść jako pierwsze: były to guziki, guziki od mundurów wszystkich jednostek, które owej zimy okupowały Łukowiec, a więc landwery z Pskowa, syberyjskich strzelców, poza tym dragonów i oddziału Tatarów.

I jeszcze pamiętam, że był to dzień, gdy stary Piwko podczas zamieci przyszedł z majątku obładowany, nie słoniną czy mąką – na co liczyliśmy – lecz śrutą, dwoma workami śruty, które dziadek zrzedząc wy dostał ze spichrza. Wzięliśmy worki i zaholowaliśmy starego niezdarę do kuchni, gdzie ze skrzywioną twarzą wychylił kieliszek nalewki, zanim zdjął białawe, przemakające buty z cholewami, odwinął i wykręcił mokre onuce. Powiesił je na sznurze nad żelaznym piecem i oparł zsiniałe stopy na skrzyni z drewnem; przyszedł po lodzie, przy ujściu jeziora Łukowiec lód się pod nim załamał, na szczęście na mieliźnie, gdzie woda sięgała

tylko do kolan. Musiał wybrać tę drogę po lodzie, bo w mieście, jak mówił, „czort siedzi na dachu” i szpikuje kulami każdego, kto się tylko poruszy; nawet na lodzie „pogoniło go” kilka kulek.

Zjedliśmy wspólnie wodziankę z zacierką ze śruty, jedliśmy milcząco, podczas gdy zamieć na dworze uspokajała się, a obszerna pętla rzeki wyłaniała się z mroku, czarna i lśniąca. Słysząc było strzały z karabinów, a w oddali wybuchy szrapneli. Matka i wuj Adam opuścili nas, stary Piwko i ja przykleiliśmy się do okien, szybko chuchając na szyby utrzymywaliśmy dziurki do wyglądania w lodowych kwiatach, obserwując drugi brzeg rzeki, gdzie zaśnieżona okolica wznosiła się łagodnie, ograniczona murem łukowieckiego cmentarza. Tam, za sięgającym do pasa ogrodzeniem, coś się poruszało, coś się szykowało. Budowano szańce, ustawiano granatniki, w murze wybijano regularne otwory, by zapewnić idealne pole ostrzału dwóm ciężkim karabinom maszynowym. Każdy by poznał, że to, co dzieje się przed i za murem cmentarza, dotyczy dużego mostu, wiodącego przez rzekę Łukowiec – potężnego mostu, którego główne filary chronione były przez wysunięte, łamiące lód ostrogi...

Nie rozumiem...

Ach, tak, oczywiście, że Rosjanie, to rosyjska załoga przyjmowała tu, przynajmniej częściowo, „pozycję obronną”, korzystnie położoną na wzgórzu cmentarnym, skąd panowało się nad rzeką i doliną, a przede wszystkim nad przejściem przez most.

Śnieg był ziarnisty, droga wylotowa oblodzona, migocąca rozedrganym odbłaskiem rakiet świetlnych. Wciąż nie ściemniało się, lekkie wzniesienie w kierunku cmentarza nadal nie rzucało cienia. Odkąd tylko znałem starego Piwkę, zawsze po jedzeniu musiał zgrzytnąć zębami, zgrzytał również i wówczas, gdy, przykucnięci blisko siebie, czekaliśmy na meklemburczyków i hanzeatycką landwerę, które, jak już słyszeliśmy, tak wytrwale szturmowały w pobliżu Talusów i Woszczeli, że Rosjanom nie pozostało nic innego jak się wycofać.

Ale nadeszli. Najpierw przybył konny patrol zwiadowczy, trzech jeźdźców, którzy wjechali kłusem na most i niemal już go przebyli, gdy zza muru błysnął urywany ogień z luf, strzelanina poderwała żołnierzy z siodeł, konie runęły na ziemię z wyjątkiem jednego: ów przesadził niską poręcz mostu i skoczył do rzeki. Potem zapadła cisza. Za murem nikt się nie przemykał. Nie było rakiet. Stary Piwko zazgrzytał. Powiedział cicho: – Zara zawrócą i dadzą wszystkim do wiwatu.

Obaj nie wiedzieliśmy, gdzie odpalono pierwsze granaty, widzieliśmy tylko nagłe wybuchy na cmentarzu, fontanny śniegu, błota i gałęzi; prawdopodobnie strzelano z ogrodniczego gospodarstwa nad rzeką, wprost, na krótką odległość, a z otworów w murze odpowiadały im ciężkie karabiny maszynowe, pociski pękały z pomarańczowym błyskiem i ujadaniem, zbaczając nad brzeg rzeki.

Jeden z granatów obalił kawałek muru cmentarnego, a gdy rozproszył się obłok kurzu, mogliśmy rozpoznać ogromny nagrobek Segatza, handlarza bydłem: chyba trzymetrowego gniewnego anioła, przyciskającego do siebie amforę jak przestraszony kasjer kasę. Przemykali się skuleni przez most, podczas gdy granaty orały stanowisko obronne na cmentarzu, rzucali się na ziemię, biegli dalej, choć kilku zostawało; i zaraz za mostem staczali się w dół, zsuwali za zbawczy brzeg rzeki. Widzieliśmy, jak jeden za drugim, meklemburczycy i hanzeatycka landwera, docierali pod osłoną brzegu i zaraz popychano ich dalej, rozciągali się, formowali w szereg, niektórzy padali w niosącą krę rzekę, z pomocą karabinu wyciągano ich na ląd, po czym natychmiast rzucali się na ziemię, by znaleźć się poniżej linii ognia. Opanowali brzeg aż do wielkiego zakola, wielu z nich z nogami w lodowych odłamkach; kryli się również za olszynami albo wtulali w podmyty brzeg przy starym wodopoju.

Ich trębacz nie leżał bez ruchu na moście, wśród ciemnych grud, lecz pod osłoną olch, rozpoznałem jego szturmową trąbkę, a gdy się podniósł, stary Piwko chwycił mnie za ramiona i potrzęsnął z radością.

Co trąbił? Zwykły sygnał: Tra ta ta ta, tra ta ta ta... Już przy pierwszym dźwięku podnieśli się i biegli, strzelając w kierunku muru cmentarnego,

to znaczy biegiem przekroczyli zaledwie ścieżkę, na której śnieg się nie trzymał, po czym wpadali w zaspy, krępowani przez długie płaszcze, przygniatani przez plecaki, karabiny i pełne ładownice. Brodząc w śniegu atakowali, napierając i depcząc, wymachując bronią, a im wyżej wspinali się na wzgórek, tym bardziej przerzedzały się ich szeregi, choć strzelał już tylko jeden karabin maszynowy, a i ogień z broni ręcznej osłabł. Początkowo nie można było rozpoznać, która z tych krępych, okutanych postaci tylko się potknęła i upadła, a którą dosięgła kula, zawsze był to niewielki upadek, do wysokości kolan, gdyż dotąd sięgał śnieg, jednak stopniowo zauważyłem różnicę, wiedziałem, co to znaczy, gdy ktoś stał sztywno, zanim upadł twarzą w śnieg albo rzucał obiema rękami karabin przed siebie.

Śnieg pokrywały duże plamy, wybrzuszał się ciemno jak nierówne pole w czasie odwilży, gdy druga fala dołączyła do pierwszej i ruszyła z nią w kierunku muru, prowadzona przez żołnierza bez bagażu, z łopatką saperską w jednej ręce, a z pistoletem w drugiej. Na jego komendę odbezpieczono granaty ręczne, eksplodowały w śniegu pod murem, głucho, niegroźnie jak petardy – przynajmniej tak się nam zdawało – i nasadzono bagnety, nie zatrzymując się nawet wtedy, gdy przywódca wyrzucił w górę łopatkę, upadł i pozostał bez ruchu. Wspięli się na pagórek, przełaząc przez otwory w murze, albo też koledzy podnosili ich do góry i stojąc ostrzeliwali pozycję, zanim z krzykiem zeskoczyli na drugą stronę muru. Zwyciężali; meklemburczycy i hanzeatycka landwera zwyciężała przed i za cmentarzem.

Z pewnością było to lekkomyślne, owa obserwacja ataku przez okno, ale zauważyliśmy to dopiero później, gdy liczyliśmy rysy i szramy na drzwiach i zaznaczaliśmy kule, które utkwily w futrynie; dopiero wtedy dotarło do nas, ile odłamków i zabłąkanych pocisków przelatywało w powietrzu. W każdym razie hałas ostatniej na razie bitwy w Łukowcu oddalił się, ucichł w kierunku południa, gdzie droga wylotowa wiodła w przygraniczne lasy, tak, w zimowe lasy nad granicą...

Dziękuję, ale nie musi mi pan o tym przypominać; pragnienie, by wnieść coś do muzeum, coś własnego, pojawiło się, gdy stary Piwko kunsztownie

owijał kostki wysuszonymi onucami i zakładał buty z cholewami, których noski oderwały się od podeszew i rozdziawiały jak głodne paszce. Tupnął mocno kilka razy, by zmusić oporną skórę do ustąpienia, patrząc przy tym w okno, na poplamione śnieżne pole, opuszczone pole bitwy, i bardziej do siebie samego niż do mnie powiedział: – Tamój, gdzie już nie potraza im butów, to mogą je zatrzymać; a człowiek, ponieważ żyje, musi patrzeć swojego. – Był gotów do wymarszu z powrotem do majątku. Z wysiłkiem wpatrując się w okno, szeptał: – Tylko trochę zejść z drogi i człek mógłby sobie dopasować jeszcze jakie fajne buty; leżą w śniegu nikomu niepotrzebne. – Dlaczego nie pójdziesz? – zapytałem, a on po krótkim namyśle dodał: – We dwóch to bym się lepiej czuł.

Wymknąłem się i poczekałem na niego przy beczce z deszczówką, podczas gdy żegnał się z wujem Adamem. Na marynarski mundur narzuciłem zieloną kurtkę, w prawej rękawicze miałem nóż, otrzymany w prezencie od Conny'ego, ścisnąłem go i obmacywałem, a zastanawiając się, co chciałbym obcinać i zabrać ze sobą do domu, same nasuwały mi się guziki, guziki od mundurów, które kiedyś – wypolerowane, pięknie umieszczone pod szkłem – miały dowodzić, jakie jednostki, przybyłe z daleka, okupowały przejściowo Łukowiec. – Guziki – powiedziałem staremu Pivce, kiedy wreszcie przyszedł – jak ty sobie zabierzesz buty, to ja wezmę guziki – na co uśmiechnął się i nie miał nic innego do powiedzenia jak: – One tak ładnie dzwonią w skarbonce, no nie?

Nie przez most, nie poszliśmy przez most, gdzie zaczęto już układać skurczone ciała na saniach wymoszczonych słomą. Przeprawiliśmy się na drugi brzeg czółnem wuja Adama, odpychając się tyką, i skuleni jak szturmujące oddziały, przebyliśmy nadrzeczną drogę, wspięliśmy się po śnieżnym zboczu; tam leżeli pierwsi: małe szare wzgórki. Przeskakiwaliśmy od jednego do drugiego, większość leżała twarzą w śniegu, z podkulonymi kolanami, z ramionami przyciśniętymi do ciała, jakby zawzięcie ćwiczili pompki; niektórzy leżeli na plecach, ze smużką krwi w kącikach ust, z zastygłymi palcami orzającymi ziemię; jeden z nich klęczał, wcisnąwszy głowę w śnieg, inny leżał z rozrzuconymi kończynami, jakby zastygł podczas pływania.

Widziałem, jak stary Piwko ocenia ich buty, obmacuje cholewy, bada obcasy i podeszwy, zupełnie jak przy kupnie. Ależ wybredzał! Przeskakując od jednego do drugiego, wydawał jedynie syknięcia rozczarowania, jedne buty wydawały mu się zbyt zniszczone, inne za ciasne, raz cholewy były zbyt pomarszczone, innym razem podeszwa „wyszczerzyła się” do niego – po prostu wcześniej nie liczył się z tym, że będzie wybierał spośród butów, które wszystkie co do jednego miały za sobą kilkaset kilometrów spieszego marszu po mazurskich piaskach i lodzie, przez śniegi i zamrożone bagna, marszu, który po pierwsze miał wprowadzić w błąd przeciwnika co do liczebności oddziałów, a następnie zaskoczyć go w nieoczekiwanym miejscu i przerwać jego obronę zdecydowanym manewrem oskrzydającym.

Szukając zbliżyliśmy się do muru, wokół unosił się zapach spalenizny, usłyszeliśmy cichy jęk wśród śniegu, słabe wołanie o pomoc, ale nie zatrzymywaliśmy się, popędzaliśmy się nawzajem, aż Piwko przykucnął naraz przy żołnierzu, obok którego leżała łopatką połowa. Stary pochylił się nad nim; podczas gdy przeciskałem się przez dziurę, usłyszałem ostre gwizdnięcie – zagwizdał z zaskoczenia: najwidoczniej martwy oficer mógł zaoferować mu buty takiej jakości, jakiej sobie życzył. Przedemną leżała załoga ciężkiego karabinu maszynowego, ciała splątały się ze sobą wskutek eksplozji granatu, jeden miał rozbite czoło; jemu pierwszemu odciąłem metalowy guzik od munduru, tak, odciąłem i oparłszy się o niego musiałem spojrzeć w dół, na śnieżne pole, gdzie stary Piwko kłął bez żenady ze złości, że nie może ściągnąć buta z nogi oficera. Zupełnie jakby oficer był mu je winien, jakby walczył o swoją własność, Piwko prostował nogę, szarpał, szturchał, ciągnął ciało po śniegu, obracał je nawet w półkole – wspaniałe buty siedziały jak przymarznięte. Wreszcie zaklinował je między udami, ciągnął martwego oficera jak sanki, teraz buty zdawały się ustępować, jeszcze jedno pociągnięcie i stary człowiek podniósł z tryumfem pierwszy but w kierunku dziury: było to jego pierwsze zwycięstwo.

Co wówczas myślałem?

Rzeczywiście nie może pan sobie wyobrazić, co myślałem, gdy schylony przemykałem się od jednego do drugiego i odcinałem guziki od płaszczy i kurtek? Chciałem zabezpieczyć ślady, tak właśnie, zebrać niepozorne świadectwa wydarzeń, uratować coś, co kiedyś miało świadczyć o prawdzie, prawdzie historycznej. Potyczka przy dużym moście miała z moją pomocą pozostać niezapomniana: o tym właśnie myślałem i nie dostrzegałem zmiążdżonych twarzy, skręconych ciał, przekraczałem to, co pozostawiły po sobie granaty, i odcinałem guziki. Po pewnym czasie przy schylaniu się i prostowaniu słyszałem brzęk w kieszeni i wyobraziłem sobie wuja Adama, który po stosownych wymówkach wynagrodzi mnie, mrugając porozumiewawczo.

Pod aniołem Segatza, właśnie przykucnąłem pod aniołem ze stromą zmarszczką na czole, gdy dwóch mężczyzn chwyciło mnie od tyłu i wytrąciło nóż z ręki; było to dwóch olbrzymów z bronią w ręku, nie pomagało wyślizgiwanie się i stawianie oporu. Jeden uderzył mnie kolbą w plecy, poleciałem do przodu, zatoczyłem się na mur i upadłem u jego podnóża, tuż przy otworze, przez który kilku ludzi przepychało starego Piwkę, należałoby raczej powiedzieć, że przepychało uderzeniami, słyszałem ciosy i jego przygłuszone okrzyki protestu, widziałem, że rękami chronił z tyłu kark. Nie miałem pojęcia, co chcą z nami zrobić, nie rozumiałem starego Piwki, który nagle schwycił mnie za rękę, uściśnął ją i ponadplanowo zgrzytnął zębami; pamiętam jeszcze – właśnie podniosłem na niego wzrok – że przed nami zapłonęły ogniki ich pocisków; poczułem wówczas uderzenie w czoło, jak kamieniem, tak, i to było wszystko...

Gdybym nie miał opatrunków, mój drogi, mógłbym pokazać panu gładką, pulsującą skórę, pamiątkę po nieudanej egzekucji; prawie w to samo miejsce trafił mnie kawałek płonącej poręczy, gdy nasze muzeum zostało ostatecznie zniszczone, a ja chciałem zabezpieczyć legat Sonji Turk...

Stary Piwko? Podobno pociągnął mnie ku sobie, a padając przykrył swoim ciałem; opowiadano również, że rzucił się na mnie; nie mogę o tym zaświadczyć, podobnie jak i o kłótwach i złorzeczeniach, którymi miał obrzucać niemy patrol egzekucyjny.

W każdym razie gdy się obudziłem, gdy przyszedłem do siebie – wie pan, czemu się ocknąłem? Klasa, moja klasa stała wokół mego łóżka w starym lazarecie garnizonowym i pod kierunkiem nauczyciela Henseleita śpiewała „Dumnie powiewa czarno-biało-czerwona na maszcie statku naszego” – każdy mrugając otworzyłyby oczy, nawet gdyby jego omdlenie trwało nie cztery – jak w moim wypadku – lecz czterdzieści dni. Ledwo otworzyłem oczy, ledwo przebrzmiały oklaski rannych żołnierzy, z którymi dzieliłem pokój, klasa odśpiewała: „Trzymamy straż przy kodach i maszynach”, a ja ujrzałem wynurzającą się z podwodnego mroku twarz Henseleita w peruce z morszczyń, z rzadką murawą włosów na piersiach, twarz łagodnego Neptuna, który położył mi na kołdrze maleńki bukiet kwiatów, zrobił krok do tyłu i nadał sygnał WP, czyli „witamy na pokładzie”. Poznałem twarz Conny’ego i Simona Gayko, zauważyłem Lojewskiego i niepozornego Masucha, gdy defilowali przede mną, szybko ujmowali moją dłoń i kładli na szafce nocnej drobne upominki, Simon skrzyńceczkę od cygar z dziurami do wietrzenia, Conny’emu udało się podarować mi po raz drugi swój nóż, znalazł go przy nagrobku Segatza i niespodziewanie wsunął mi pod kołdrę. Na pożegnanie klasa odśpiewała oczywiście pieśń Mazurów „Wielka fala na jeziorze”, wszystkie trzy zwrotki.

Guziki, mówi pan? Tych guzików od mundurów, które już odprułem, nigdy więcej nie znalazłem; ani w kieszeni kurtki, ani pod murem cementarnym, tam gdzie się przewróciłem, ani jednego. Zachowałem to w tajemnicy, wuj Adam również się nie dowiedział, dlaczego wyszedłem po bitwie z domu, a ponieważ stary Piwko nie mógł już nic dodać, nazywało się, że obaj „padliśmy ofiarami pomyłki”.

Czyjąkolwiek ofiarą padłem, to muszę panu powiedzieć, że świetnie się czułem w ciągu pierwszych sześciu tygodni w naszym garnizonowym lazarecie. Landwerzyści rozpieszczali mnie przy pomocy marmolady i wojennych opowieści, siostry – słodyczami i pieszczotami; krzesło dla gości nie stygło, bo oprócz matki przesiadywała przy mnie również matka Edith i, prawdopodobnie w umówionej sztafecie, po kolei koledzy z klasy, którym wciąż musiałem opowiadać o przeżyciu pod murem; przyszła również Edith, Heinrich Henseleit i wstrząśnięty wuj Adam, a ja byłem

świadkiem, jak obaj mężczyźni, którzy chyba trochę patrzyli na siebie wilkiem, umawiali się nad moim łóżkiem; po moim wyjściu ze szpitala klasa Henseleita miała odwiedzić muzeum ziemi ojczystej, i to koniecznie w ramach lekcji.

Moje poczucie własnej wartości rośnie jednak również na widok prezentów, które, jak już wspomniałem, piętrzyły się na nocnej szafce; dziwiły się siostry, zdumiewali lekarze i landwerzyści, a najbardziej dziwiła ich kamizelka, którą wraz z najlepszymi życzeniami zdrowia kazał mi przysłać dziadek: ta wyprawiona, uszyta na miarę ze skóry jego ulubionego psa Hoggo, która miała się jeżyć w razie poważnego niebezpieczeństwa. Że też mógł się rozstać, że potrafił się z nią rozstać! Jeden z jego przygarbionych pacholków przekazał mi kamizelkę, która była na mnie jeszcze trochę za luźna, ale miałem nadzieję z czasem ją wypełnić, a więc jeden z jego ludzi oddał mi ją, a gdy jej rzadka właściwość stała się znana w naszej sali, pewien sceptyczny landwerzysta z Altony tak długo szydził, aż pożyczyłem mu ten wrażliwy przedmiot na próbę.

Widzi pan, wiedziałem, że pan o to zapyta, i mogę pana zapewnić, że kamizelka nie opuściła sceptyka w potrzebie: ile razy zamknął się z którąś siostrą w gabinecie zabiegowym, nigdy nie został zaskoczony przez lekarza czy wojskowego sanitariusza. Nie dziwiło mnie więc, że niezwykle uzdolnioną skórę Hogga chciał najpierw wymienić na zegarek kieszonkowy, a w dniu mego wyjścia ze szpitala ofiarowywał za nią najwyższą cenę; machnąłem tylko ręką, zwinąłem skórę i położyłem na pudle z prezentami: to nie do sprzedania, żadnego handlu nie będzie.

Chociaż, jak już powiedziałem, rozkoszowałem się sześcioma tygodniami w lazarecie, to ledwo mogłem się doczekać dnia mego powrotu do domu, przechodziły mnie ciarki z radości, przedtem nie znanej, która – jak odkryłem, stojąc w warsztacie wuja Adama – dotyczyła wszystkich tych rzeczy, wśród których żyliśmy. Zanim zasiedliśmy wokół drożdżowego placka, przypominającego wieżę, musiałem zbiec sienią w dół i przemknąć przez izby i nisze, po prostu, by się upewnić, że stare instrumenty muzyczne, wystrzępione zabawki, półki z sędziwymi

naczyniami kuchennymi, a nawet nie lubiane żelazka do prasowania ze spiczastymi nosami są na swoim miejscu. Zależało mi na tym, by się dowiedzieć, że wszystkie są na miejscu, z ich spokojem, w wymownym milczeniu, miałem wrażenie, że muszę się im pokazać, czułem się szczęśliwy, wymierzyłem spłowiętym mazurskim strojom ślubnym dobrze obliczony sierpowy. Jak mam to nazwać, co nagle odczułem po powrocie do domu? Dobrowolną przynależność: to było to, związanie z wyboru. Należałem do tego. Tutaj było moje miejsce.

Jeśli ocenia pan przeżycia, wylicza powody, które w końcu zmusiły mnie do zniszczenia naszego muzeum w Egenlund, to musi pan też wiedzieć, drogi Martinie, że wcześniej odkryłem satysfakcję z przynależności, wszystko było swojskie, nie tracąc tajemniczości. A gdy przyniosłem do naszego muzeum pierwszy eksponat, pierwsze własne znalezisko, które tak zachwyciło wuja Adama, że oddał mu honorowe miejsce, czułem się jak po zdany egzaminie.

Co to było?

Korona ze słomy, którą znalazłem w izbie starego Piwki. Najwidoczniej upłócił ją sam z niewymłóconych ździebeł różnej długości, nawleczonych na sznurek; korona, którą musi pan sobie wyobrazić jako czworoboczną, podwójną piramidę, przeznaczoną na to, by wisieć w izbie jakiejś dziewczyny, obracać się przy najmniejszym przeciągu i dzięki ledwo zauważalnemu ruchowi odwracać od niej „złe”. Jak mówiłem, korona ze słomy wisiała jeszcze u niego, widocznie nie znalazł żadnej dziewczyny, od której trzeba byłoby to złe pilnie odwrócić. W każdym razie ja czułem się przyjęty, utwierdzony i wtajemniczony.

Oczywiście nie mogło to pozostać bez skutków, mam tu na myśli owo zachwycające związanie, tę przynależność, którą wtedy pojąłem. Okazało się to już wówczas, gdy nadciągnął Henseleit z całą klasą na umówione zwiedzanie muzeum. Premiera, była to premiera w tym sensie, że wuj Adam nigdy przedtem nie pokazywał tak wielogłowej publiczności swojego prywatnego zbioru.

Z niecierpliwością stałem przy oknie, gdy moi koledzy z Henseleitem na czele przybyli pod nasz dom, popychając się i poszturchując; zdawało się, że niczego nie oczekują, zajęci byli tylko sobą; jednemu wykręcili rękę na plecy, drugiego łaskotali i jak zawsze niczyje plecy nie były bezpieczne przed wyszydającą kredą Lojewskiego. Przy powitaniu klasy wuj Adam stał, skinął głową w odpowiedzi na ich pozdrowienie, w rozmarzeniu uniósł wzrok ku sufitowi, gdy mówił o „studni przeszłości”, która w swych głębinach przechowuje świadectwa dawnego życia – nie wymieniałem żadnych znaków z klasą, a już na pewno nie odpowiadałem na ich prześmieszki, ale gdy po powitaniu droga do domu stała otworem, kopnąłem na wszelki wypadek Lojewskiego w kostkę i wyrwałem chudemu Masuchowi z ręki jego ulubioną zabawkę – pudełko zapalek. Nauczyciel Henseleit okazywał przy wejściu do sieni zamyślane zainteresowanie; znałem ten wyraz twarzy, oznaczał on u niego, że z góry podsumował zwiedzanie naszego muzeum: korzyści żadnej, zaszkodzić nie może. Mimo to nie uszło mojej uwagi, że w stosunku do wuja Adama zachowywał się nieco zbyt oficjalnie.

Trafny portret moich kolegów szkolnych otrzyma pan, mój drogi, gdy pomyśli pan o swoich własnych kolegach, gdyż uczniowie są jednakowi na całym świecie, mają te same pomysły, identyczną zawartość kieszeni, zapach nie do odróżnienia i wspólną skłonność do odwracania uwagi, kiedy ktoś stoi przed nimi i mówi dłużej niż dziesięć sekund. Może pan sobie wyobrazić, co za ciasnota panowała w naszej sieni, wysypanej drobnym piaskiem, w której dwudziestu dwu uczniów tłoczyło się wokół wuja Adama, który, nie bardziej poruszony niż zwykle, wygłosił wprowadzenie, starając się wyciągnąć ze „studni mazurskiej przeszłości” przeróżne fakty godne uwagi.

Jak już powiedziałem, nie był bardziej poruszony niż zwykle, głos nie załamał mu się ani razu, choć drżał nieco, ten jego lekko zachrypnięty głos podczas nie kończących się rozmów z samym sobą, który po prostu zmuszał do słuchania. Bynajmniej nie skrzepowany, przeniósł nas wuj najpierw w szarą, niegościnną prehistorię, aby każdemu dać pojęcie o powstaniu naszych „Mazur w blasku i cieniu”, kazał zbliżyć się do Wisły pękającym lodowcom, skradającym się wolniutko, aż padło im na łeb

światło słoneczne i zaczął się wielki zator lodowy, wielkie roztopy, gdy woda zabierała ze sobą całą glinę i ił, a nam Mazurom zostawiła nad warstwą marglu „nic, ino piasek”, piasek pod sosnowymi lasami i zroszonymi potem placami ćwiczeń. Następnie kazał powstać jeziorom, około trzem tysiącom trzystu jeziorom, wszystko to płynęło, pieniało się, zlewało się razem, a ponieważ dowodził, iż nasze jeziora są niepowtarzalne, my z kolei uważaliśmy za oczywiste, że wkrótce osiedliły się tu żurawie, kanie, czarne bociany i rybitwy, by wysiadywać jaja.

Znałem jego zwięzłą historię stworzenia, ów szereg skropionych rosą obrazów, w który w widoczny sposób wtapiała się mazurska przeszłość, więc gdy wuj przy pomocy dźwięków wyczarował epokę lodowcową, czekałem jak zwykle na pojawienie się pierwszego staropruskiego myśliwego, który, wprowadzie słabo uzbrojony, ale z bogami w odwodzie, miał objąć panowanie nad krajem.

Wtem zadźwięczał dzwonek. Rzeczywiście zaterkotał budzik, nie jasnym brzękiem, lecz głuchym i stłumionym, jak przez drzwi szafy, co wystarczyło, by wśród uczniów wybuchł entuzjazm. A ponieważ hałas budzika zdawał się rozchodzić wzdłuż i wszerz sieni, ów entuzjazm nie słabnął, śmiechy i podskoki nie ustawały. Przestraszony spojrzałem na wuja Adama; zmrużył oczy, ciężko oddychając, oburzenie wywołało niepokój na jego twarzy, co wyglądało tak, jakby wypróbowywał słabe grymasy. Zawsze gdy robił taką minę, istniał powód do lęku. Henseleit wiedział w każdym razie, co jest winien wujowi Adamowi; machaniem ręki, a także krótkimi uderzeniami rozdzielił stłoczoną klasę, utworował sobie przejście, i szybko pochwycił wędrujące z ręki do ręki pudełko od butów, w którym dzwonił stary kuchenny budzik. Potrząsając głową zaniósł pudełko wujowi Adamowi, który go nie przyjął, nie chciał nawet rzucić okiem do środka otwartego pudła; drżąc stał jak pomnik oburzenia, najwidoczniej w oczekiwaniu na zadośćuczynienie. Tak czułem, a Heinrich Henseleit nagle widocznie też to poczuł, gdyż zupełnie jakby z opóźnieniem dotarło do niego polecenie z zewnątrz, ruszył między uczniów, rozdając na chybił trafił szcutki, kuksańce i policzki, uprawiając się w coraz większy gniew, a na koniec – upewniwszy się, że

wuj Adam obserwuje wymierzanie kary – energicznie zderzył dwie uczniowskie głowy...

Czy panu mówiłem, że już na wiele dni przedtem cieszyłem się na odwiedzinę swojej klasy u nas? Tak było; długo się cieszyłem na to, że przy boku wuja będę oprowadzał swoich kolegów po muzeum, tu i ówdzie udzielając wyjaśnień, uzupełniając opowiadanie i na przykład osobiście podkreślając znaczenie słomianej korony.

W każdym razie były jeszcze na to widoki, gdy wuj Adam wreszcie znowu zabrał głos, by wydobyć blaski i cienie naszych Mazur z mroku stworzenia, nieco się jednak jękając i trochę ciszej niż na początku; dobitnymi słowami zaludnił naszą ziemię, kazał galindzkim zbieraczom miodu i jaćwieskim rybakom żyć we względnym dostatku, korzystając z darów dzikiej natury i żyjąc pod jej ochroną. Nikt poza mną nie zauważył, że wuj jeszcze bardziej ograniczył swoje i bez tego związane wprowadzenie: zbyt szybko kazał Zakonowi zwyciężać i przegrywać; polscy koloniści z Mazowsza zbyt nagle przystosowywali się do nowego otoczenia, za gwałtownie udało mu się wywieść nasze miano od Mazowsza poprzez Mazonów do Mazur – młodej zresztą nazwy, która w sprawozdaniach władz administracyjnych ukazała się dopiero na początku minionego stulecia. Wuj był rozczarowany, rozgoryczony i urażony, a ja żałowałem, że opuszczał jowialne żarty, którymi ozdabiał zwykle swój zarys historii Mazur, i że nie użył ani jednego przysłowia, którymi zazwyczaj dobitnie podsumowywał naszą odrębność.

Wuj Adam zaprosił moich dwudziestu dwu kolegów do obejścia naszego muzeum ziemi ojczystej, gromadził ich przed wyrobami z drzewa, ciągnął do ściany z bronią, kazał podziwiać narzędzia pracy i prastare ozdoby, a podczas gdy on objaśniał i ze wzrastającym zadowoleniem kazał świadczyć znaleziskom o swoich czasach, ja wmieszałem się między niezainteresowanych nicponi z brzegu, upominałem ich, kuksałem, konfiskowałem karty do gry, groszowe zeszyty, gumki do strzelania, dbałem o to, by przynajmniej przyjęli do wiadomości, gdzie się znajdują. Musiałem przy tym działać zarówno energicznie, jak bezgłośnie; każdy kopniak, każde uderzenie musiało wprawdzie działać dotkliwie, ale nie

mogło być tak niekontrolowane, by wywołać mimowolny okrzyk bólu albo wybuch wściekłości, gdyż skutki nowego zakłócenia trudno byłoby przewidzieć.

Słucham?

Tak, tak można by to nazwać: dozowane oświecenie, nawet jeśli uważa pan to za niemożliwe: miałem pełne ręce roboty, by poskromić przeszkadzających, by wzbudzić uwagę, wprowadzić tylko udawaną, a najwięcej zajęcia przysparzał mi mój wróg, Albin Jakubzik, diabeł nie uczeń, u którego prawie wszyscy byliśmy zadłużeni, tak, staliśmy pod kreską. Kilkakrotnie kopnąłem go już w kolano, co nie powstrzymało go jednak od chowania eksponatów ani przekształcania wiszących naczyń kuchennych przy pomocy kredy Lojewskiego w wielkookie albo krzywo uśmiechnięte istoty; w ten sam sposób zbecześcił świńskim rysunkiem solidną narożną szafkę. On, ten Jakubzik, wywoływał chichoty i skrytą uciechę i kazał się za to podziwiać, podczas gdy ja tylko cierpiałem, rozpaczliwie próbując utrzymać pełną zainteresowania ciszę. Cierpiałem nie tylko dlatego, że odmawiali wujowi Adamowi zainteresowania albo przestawali uważać, lecz również dlatego, że wyglądali na kompletnie niewzruszonych tymi przedmiotami, że nic ich nie obchodziło i nic do nich nie docierało. Na nic wszystko, co wuj opowiadał przy lśniących kaflach o cudownych mazurskich piecach kaflowych; na nic historie, które snuł o pięknych, kościanych kręglach, czułem dławienie w gardle, gdy patrzyłem, jak przy przedstawianiu wiejskich obyczajów wiosennych – pierwszy wypas bydła, środki przeciw burzom i kradzieżom – jak przy jego zabawnej demonstracji moi koledzy zbliżali do siebie głowy, zakładali się, łaskotali ieden drugiego albo znudzeni dawali dowody swojej siły.

Wydawało się, że wuj Adam przełknął pierwsze zakłócenie, mówił do nas, jak już wspominałem, z rosnącą ochotą, jego opowiadania wydawały mi się natchnione potrzebą wzbudzenia zainteresowania dla tej dziarsko prezentowanej wiedzy; pozyskiwał sobie też ich zainteresowanie i powierzchowną uwagę, gdy szarpał splecione włosie końskie na becze i uderzał diabelskimi skrzącymi o ziemię, aż grzmiało i turkotało. Hałas –

tym można ich było pozyskać; ostrym, długotrwałym, siebie jedynie zachwalającym hałasem; dostatecznie znaczącym, by wszyscy stłoczyli się, aby wydobyć jak najwięcej z prostych instrumentów muzycznych, ale nie wystarczającym, by usłyszeli, co wuj Adam miał im do powiedzenia o naszej muzyce zapustowej.

Nagle zrobiło mi się niedobrze, gdyż z jednego z kątów, w którym królował Conny, w takt wyzywającej muzyki diabelskich skrzypiec ruszyła uroczysta para: mazurscy państwo młodzi, mój wróg Jakubzik jako wysoko wybujała narzeczona i chudy Masuch, który sięgał temu drabowi zaledwie do piersi, jako oryginalnie wystrojony pan młody, sprawiający wrażenie nieco cierpiącego. Niepostrzeżenie, bez pozwolenia ubrali się w owe stroje, koledzy z okrzykami podziwu zrobili im przejście i na oczach wuja Adama rozpoczęli krakowiaka albo taniec, który uważali za krakowiaka. Instrumenty grzmiały. Drewniana podłoga trzeszczała. Ze szpar i dziur unosił się zatechły kurz. Z uczuciem w żołądku, jakby Jan Rogalla napił mnie swoim nasennym mleczkiem, śledziłem tańczących i przyznaję, że ich nienawidziłem...

Dlaczego? Pyta pan dlaczego?

Odpowiem panu, mój drogi: nawet jeśli były to tylko zblakłe stroje, wydały mi się zdewaluowane, odczarowane, zdegradowane do boleśnie komicznego przebrania, a równocześnie ludzie, którzy nigdy oszczędzali na te stroje, zdali mi się wystawieni na pośmiewisko. Musi pan wiedzieć, że wytrzymałem ten widok tylko dlatego, iż ku memu zdumieniu wuja Adama to bawiło; początkowo stał bezradnie i wcale nie było pewne, jak przyjmie ten uczniowski wybryk, ale wbrew memu oczekiwaniu zaczął się śmiać i prowokować mojego wroga i szczuplutkiego Masuszka do jeszcze szybszego tańca. Henseleit podszedł do wuja Adama i zaproponował mu cygaro; nierówna para młodych rozbawiła i jego.

Mnie jednak nie sprawiło to żadnej przyjemności; pogardzałem hultajami z mojej klasy, którzy, zaznajamiani ze „zwierzętami naszego kraju”, wyciągali wypchanemu bobrowi już i tak nadłamane siekacze, obcięli

rysiowi koniec ogona i podpalili, a na sierści żubra interesowały ich tylko wyłożone dla ochrony kulki na mole, którymi się obrzucali.

Dałem im jeszcze szansę przy półce z jaćwieskimi urnami grobowymi, okazję do pokazania, że przynajmniej coś ich obchodzi, onieśmiela i zastanawia. Przyglądałem się z bliska, jak zbliżali się popychając, jak odkryli urny i dla żartu zdjęli dwie czy trzy po to tylko, by zaryczeć w nie głęboko i pełną piersią albo zagwizdać przeraźliwie. To były numery, ci moi koledzy, wówczas, w czasie pierwszych odwiedzin w muzeum; pamiętam jeszcze, że drżałem z rozdrażnienia i potępienia i marzyłem tylko o chwili, by zamknąć za nimi drzwi...

Właśnie, Martinie, mnie to również dziwiło, że wuj Adam w końcu tolerował ten hałas i ową pożałowania godną wesołość, że nie sprzeciwiał się dotykaniu przedmiotów, ale tak było i z ulgą wypatrywałem końca zwiedzania; staliśmy już po raz drugi przed warsztatem, niektórzy z moich kolegów tręcali mnie z rozbawieniem i proponowali, by mnie wypchać i umieścić w dziale „Zwierzęta naszego kraju”, gdzie stałbym jako mazurski półgłówek, tak, byłem już całkowicie nastawiony na pożegnanie, gdy okrzyk wuja nakazał ciszę. Okrzyk był ostry, nie zwrócony do nikogo określonego, ale wszyscy spojrzeli na niego, a kto mógł, skierował wzrok za jego wyciągniętą ręką i obwiniającym palcem wskazującym, skierowany na półkę z kruchymi naczyniami. Stały tam ozdobne butle do gorącej wody, talerze i wazy z gliny, ale także pierwsze u nas wydmuchane butelki, chwiejne, z krzywymi szyjkami, iskrzące się niezliczonymi, uwięzionymi w szkle pęcherzykami powietrza. Palec wskazujący nie celował w dowolną butelkę, lecz oskarżycielsko mierzył w jedyną pełną, zawierającą mętną, bursztynową ciecz; świeży korek z piany właśnie zniknął w widoczny sposób. Oryginalny tekst na etykiecie głosił: mazurska flaszka do lekarstw, połowa XVIII wieku, miejsce znalezienia: w pobliżu Gorła; nad tym ołówkiem napisano: I polowanie na niedźwiedzia.

- Kto? - zawołał wuj Adam, nie cofając wskazującego palca - kto to zrobił?

Z pewnością nie zaskoczę pana, gdy powiem, że nikt się nie zgłosił, mimo kilkakrotnych wezwań. Bałem się o wuja, nienawidziłem klasy, bałem się o niego i nagle usłyszałem swój własny spokojny głos: – Jakubzik, to był Jakubzik, sam widziałem, choć wiedziałem, że nie mógł to być on, gdyż wytrwale grzebał w zbiorze monet, oskarżyłem go, a wuj Adam przywołał do siebie łobuza, który wyglądał na zdumionego, potrząsał głową i mimo woli westchnął, kazał mu podejść blisko, całkiem blisko, po czym uderzył go, z całą siłą wściekłości, uderzył tak, że uczniowi Jakubzikowi głowa odskoczyła do tyłu, a wciąż pochylone do przodu ciało błyskawicznie wyprostowało się i opadło do tyłu. Nauczyciel Henseleit schwycił go i zapobiegł upadkowi. Dźwignął swojego ucznia, którego nogi nie mogły znaleźć pewnego oparcia, i patrzył osłupiały na wuja Adama, który gwałtownie przetykał ślinę i krzywił twarz. Cała banda stała również zdumiona, zastanawiając się pewnie, co się tu stało. Nauczyciel Henseleit czuł się w obowiązku stwierdzić dwie rzeczy: po pierwsze, że wuj Adam posunął się za daleko, a po drugie, że uderzenie to będzie miało następstwa, na co wuj z powiekami mrugającymi ze zdenerwowania wypmwił tylko jedno zdanie i powtórzył je kilkakroć: – Precz stąd, precz natychmiast.

Ponieważ Henseleit musiał wspierać długiego Jakubzika, nie mógł wydać komendy: W dwuszeregu zbiórka, odmaszerować! lecz wyszedł bez pożegnania jako pierwszy i pociągnął innych za sobą, tak, moich szkolnych kolegów, którzy wychodząc nie omieszkali pogrozić mi albo okazać swojej wrogości, na co w miarę możliwości odpowiadałem. Nigdy dotąd nie zamknąłem tak szybko drzwi, jak za moją klasą; następnie pobiegłem z powrotem, by wesprzeć wuja Adama, nie było go w bawialni, w żadnej z izb, przez które przemknąłem, znalazłem go w jego sypialnej niszy, na łóżku, odwróconego do ściany. Ramiona mu drżały, szlochał. Usiadłem na łóżku, wyciągnąłem rękę w jego kierunku i cofnąłem ją z powrotem; po chwili poszedłem do warsztatu, usiadłem przy powalonym roboczym stole i postanowiłem tam na niego zaczekać. Przedemną leżał...

Przepraszam, co pan powiedział?

Szkoda, ale jeśli pan musi wyjść, to trudno: nic się nie da zrobić...

Tak, drogi Martinie, widzi pan: nasza przeszłość rządzi każdym z nas... Mam nadzieję, że niedługo zdejmą mi opatrunek z głowy... Chciałbym sprawdzić obraz, który sobie o panu wytworzyłem, obraz w mojej chwilowej ciemności... Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście Henrike zabrała się od nowa do słownictwa...

Może będzie mi mógł pan następnym razem o, tym opowiedzieć.

Bardzo dziękuję, nie mam żadnych życzeń, to miło z pana strony... Chociaż może miałbym jedną prośbę, wielką prośbę: nie słyszałem jeszcze nic o Marianie Jerominie, mistrzu tkania dywanów, który kiedyś był moim ulubionym uczniem. Henrike, jeśli w ogóle ktoś wie, co się z nim stało, to Henrike. O Mariana trzeba się stale troszczyć, w każdej chwili, o to nasze leciwe już, cudowne dziecko.

Tak, tak, on też pochodzi z Łukowca, zaczął pracować u mnie od razu jako cudowne dziecko i pozostał nim przez te wszystkie lata.

Ironicznie, myśli pan? To brzmi ironicznie? Marian potwierdził jedynie obawy Sonji Turk, największej mazurskiej tkaczki dywanów, której niemal wszystko zawdzięczam. Po prostu było tak: kiedy pokazałem jej pierwszy projekt Mariana – siedziała już wówczas na pół sparaliżowana w swoim krześle i zrezygnowana zdała się na naszą pomoc – kiedy położyłem jej na kolanach kartkę z rysunkiem potrójnego pędu i z bliźniaczymi ptakami, bardzo długo ją oceniała, po czym zdecydowała: – Jak nic masz rację, Siechmuntje, ten mały Marian to cudowne dziecko; miejmy nadzieję, że wyrośnie z niego coś więcej, bo cudowne dziecko to dobre tylko na początek.

Tak, wiem, musi pan iść, a ja spróbuję trochę zasnąć...

Ależ to mnie interesuje, musi mi pan to jeszcze powiedzieć, zanim pan pójdzie...

Nie, nie musi mnie pan oszczędzać...

A więc znajomość świata zamiast znajomości rodzinnego kraju – znajomość świata, mówi pan, wszystkim by nam pomogła. Nie wiem, ile

dla pana znaczy doświadczenie, ale ja znałem już niejednego, który opierał swoją nadzieję na tej znajomości, po czym jakby samo przez się znajdował z powrotem drogę do wiedzy o rodzinnym kraju. Może musimy być przygotowani na to, że wiedza o świecie zawsze jest, zawsze może być tylko wiedzą o rodzinnych stronach. W każdym razie cieszę się na jutro, mój drogi.

V

Dziś na pewno pana zadziwię: choć nie opuściłem tego pokoju, wiem, że pański ojciec był weterynarzem i że pan często pomagał mu w pracy; wiem też, że ojciec pana miał podobno „przykuwające spojrzenie”, wobec którego łagodniało nawet najbardziej uparte zwierzę, że ma pan dwóch starszych braci i że obydwaj są aptekarzami – cóż jeszcze? Tak, wiem również, że tam w fiordzie wydarzył się ciężki wypadek, a potem...

Słucham?

Nie dowiedziałem się o tym bezpośrednio; wspomniano wprawdzie o zatopionej łódce, również o samobójstwie pańskiego ojca, ale nie wspomniano o oszustwie ubezpieczeniowym. Tutejszy lekarz naczelny znał najwidoczniej pańskiego ojca, widział pana wychodzącego po ostatnich odwiedzinach i zapytał mnie, czy pan nie jest „małym Wittem” – tak pana nazwał – w każdym razie od niego dowiedziałem się tego, co wiem.

Ależ niech mnie pan tak nie rozpieszcza, mój drogi, choć szczerze mówiąc mógłbym wypić morze herbaty i soków; niech mi pan od razu należy do filiżanki z dziobkiem. Tutaj są zadowoleni z mego stanu, kawałki skóry przyzwyczajają się chyba do swego nowego miejsca, tak, płaty skóry, które mi przeszczepili. Czy mógłbym pana znowu poprosić, żeby mnie pan trochę podniósł, uniósł wyżej; spróbuję się oprzeć – tak jest lepiej. Człowiek ześlizguje się z materaca na tym mizernym pościeliu, którym nikt by się na Mazurach nie zadowolił; nawet pana uśmiech nie zmieni faktu, że z mazurskimi łózkami mogą się mierzyć chyba tylko francuskie. Polegało to na tym, że u nas nie obcinało się puchu, lecz skubało palcami,

przy czym piórka oddzielały się wraz z błonką od szypułki i same skręcały, zastygając na zawsze w pięknych loczkach, każde piórko jak skończony pióropusz. Właśnie skubanie pierza zawiniło, że Edith, moja pierwsza żona, zyskała sobie opinię „opętanej”, co najmniej opętanej...

Jak do tego doszło? Pozostawiam panu wolną rękę, niech pan sam oceni.

Musiła to być jesień, gdy Conny zaprosił mnie na kontrolną przejażdżkę motorówką nadzorcy rybackiego Alberta Dudeja – tak, to była jesień, gdyż nad jeziorem Łukowiec unosiły się żółtozielone kłęby dymów z ognisk na kartofliskach; wielobarwny dym wyglądał na sztuczny, podobny udawało się tylko wywołać mojemu ojcu w laboratorium. Musi pan wiedzieć, że od śmierci matki – umarła na zakażenie krwi – Conny i Edith mieszkali w domu nadzorcy, kuzyna zaginionego dyrektora więzienia, który sam miał trzy niezamężne córki i najbardziej cierpiał wskutek cech, wyróżniających go spośród innych: był nie tylko sprawiedliwy, ale i dobroduszny. Jego kontroli podlegały jeziora Łukowiec, Selmęt i Sunowo oraz kilka kilometrów rzeki Łukowiec; ustalał dopuszczalną ilość odłowionych ryb, dawał zezwolenia na polowanie na ptaki wodne, troszczył się w razie letniego pomoru ryb o ponowne zarybienie i niechętnie konfiskował sznury na węgorze, ościenie, wężerze i wędki przyłapanych kłusowników. Skonfiskowane dobra składał w szopie na palach, którą chyba dlatego tak często zapominał zamknąć, że w cichości ducha miał nadzieję na włamanie się właścicieli.

Ale o czym to ja chciałem opowiedzieć? O przejażdżce inspekcyjnej, słusznie; miałem siedzieć w motorówce nadzorcy obok Conny'ego, który zgoła niepotrzebnie wbijał mi do głowy, bym na czas pojawił się na pomoście, gdyż z zasady przychodzę za wcześnie, zawsze. Aby dostać się do pomostu, obwieszzonego plecionymi objajaczami, by nie uszkodzić burt, a więc aby dojść do pomostu, sięgającego daleko w trzciny, musiałem przejść obok domu nadzorcy, wybielonego tak jak i nasz dom i z tak samo wysmołowaną podmurówką. Już zbliżając się słyszałem śpiew z narożnego pokoju, którego okno, wychodzące na jezioro, było otwarte. Musiałem się zatrzymać i posłuchać, gdyż były to pieśni kościelne. Zerknąłem przez okno: na przepiecku otoczonym beczułkami z różnymi

rodzajami pierza i z sitem na kolanach siedziały trzy siostry Dudej i śpiewały drąc pierze, a naprzeciwko nich podawała ton pani Dudej, siedząc na wysokim fotelu z poręczami i również drąc pierze, choć nieco mniej starannie. Gdyby dostał się tu wiatr, nagły podmuch z północnego wschodu, wówczas zrobiłaby się gorsza zadymka niż wszelkie prawdziwe zamiecie, a oprócz tego w ubranie wbiłyby się tysięczne szypułki, które leżały w blaszanej wannie...

Mówi pan, że za dużo pierza? Gdyby pan wiedział, mój drogi, co znaczyło wówczas łóżko, jak przewidująco darło się pierze i wypychało poduszki! Pierwsze, czego wymagano od mazurskiej dziewczyny, to było: „Gęsi pięćdziesiąt oskubiesz i łoża uścielisz po ślubie”. Gdy gotowe już były piernat pod spód, poduszki i pierzyny wysokości średniej góry do własnego użytku, wówczas trzeba było dalej skubać pierze na posłanie dla gościa, na którym mógłby słodko drzemać, dla dzieci, które pewnego dnia przyjdą na świat, może dla brata, a wreszcie na posłanie dla rodziców, które kiedyś będzie trzeba zmienić. W kraju, gdzie w razie pożaru pościel wynoszono w bezpieczne miejsce jeszcze przed kasetką z oszczędnościami, darcie pierza absolutnie nie było li tylko sposobem spędzania czasu.

W każdym razie córki Dudeja – Lisbeth, Elsbeth i Julie – śpiewały i darły pierze pod okiem matki o wąskich wargach i choć kilkakrotnie zerkałem przez okno, nie mogłem zobaczyć Edith, Edith, którą tu przecież przyjęto i która powinna okazywać wdzięczność mieszkańcom domu. Nie siedziała na przypiecku, nie skubała pierza ani dla siebie, ani dla nadzorcy. Przez chwilę nasłuchiwałem jeszcze ich śpiewu, zdziwiony, gdyż siostry nagle zaczęły się polecać z całej duszy wybrańcowi serca, po czym przemknąłem się skulony i pobiegłem dróżką wśród trzciny, prowadzącą do szopy i na pomost. W trzcinach ptactwo wodne jak zwykle wiodło swoje krzykliwe kłótnie; aby szorstko przekonać przeciwnika, wypychano go często dziobiąc i bijąc skrzydłami pod wodę. Trzciniaki rzucały pociskami wymysłów. Z przodu przy pomoście, przycumowany przesadnie grubymi linami, kołysał się na ciemnej wodzie „Albatros II”, służbowa łódź nadzorcy, z trzema rozporami i obudowanym deskami silnikiem pośrodku. Dwie małe mewy zerwały się z drewnianej skrzynki i

opryskwały rozpory wapiennymi odchodami. Szopa na palach była zamknięta, widziałem, że duża jak pięść kłódka ukośnie odstawała, zupełnie jakby ktoś wziął ją na koniec w rękę, aby się upewnić, czy zamek zaskoczył i trzyma. Obok szopy leżały uginające się deski, przy każdym kroku zanurzając się w wodzie, i właśnie na nich balansowałem, gdy mnie zawołano, nie, nie po imieniu, ale takim stłumionym i tajemniczym głosem, że zatrzymałem się na drgającej desce i przyłożyłem ucho do ściany szopy.

Wołała Edith, przestała na chwilę jęczeć i zapytała z wahaniem w głosie, czy jest tam ktoś, a ponieważ nie odpowiedziałem od razu, przybliżyła twarz do ściany szopy i zapytała cicho: – Conny, czy to ty, Conny? Dlaczego nic nie mówisz? – Rozejrzałem się na wszystkie strony, zanim dałem się poznać, a gdy dowiedziała się, kto jest koło szopy, jej głos stał się zaraz bardziej zdecydowany i rozkazujący: nie prosiła, lecz żądała, bym wyjął jedną z desek w podłodze szopy, tak, deskę, którą mi wskazała. – Szybko – powiedziała – wyjmij ją, muszę się stąd wydostać. Wcisnąłem do środka sęk po gałęzi, przywołałem Edith do dziury, ujrzałem, jak w dziurze szybko ukazują się po sobie jej oko, usta i ucho, a spojrzenie i wargi powtórzyły z tą samą niecierpliwością żądanie: – No już, na co czekasz?

Na pytanie, dlaczego ją zamknięto w szopie, odpowiedziała groźnie: – Nic ci do tego! – Jak zwykle, tak i tym razem spełniłbym jej życzenie, ale gdy schyliłem się, by wejść pod szopę, Conny pociągnął mnie w tył, położył palec na ustach, skinął głową ku pomostowi i w milczeniu oddaliliśmy się od więzienia Edith, niewrażliwi na jej błagania i groźby, nieugięci wobec jej lamentu. Wdrapaliśmy się do łódki, gdzie przycupnęliśmy na czystych deskach podłogi, i Conny, zapytawszy mnie najpierw, czy towarzyszyłbym mu do Haparandy, gdyby on tam jechał, opowiedział mi, dlaczego nadzorca zamknął Edith...

Za karę, ma pan rację, i to nie pierwszy raz: Edith nie chciała drzeć pierza. Skoro tylko wniesiono do izby beczułka z pierzem, gdy rozdano sita i blachy, Edith zaczynała drzeć i przesuwać się w stronę drzwi; po długich namowach siadała wprawdzie na brzegu przypiecka, ale wcale nie

zanurzała ręki w beczułkach; gdy jedna z sióstr Dudej ze śmiechem opuściła jej na dłoń kilka piór, cofnęła rękę z przestachem, a gdy próbowano wcisnąć jej sito z pierzem między uda, zrywała się i traciła oddech. Zdecydowanie chowała ręce za plecami. Zamykała oczy przed delikatnymi puszkami. Nie, nawet nie dotknęła pierza.

I tak jak żadna namowa nie okazywała się dość słodka, a żaden przymus wystarczająco skuteczny, by skłonić ją do darcia pierza, tak też nic nie mogło jej skłonić do tego, by zawtórować pochwalnym pieśniom pań Dudej, choć inne pieśni, ludowe i żołnierskie, opanowywała chętnie i w zdumiewającej ilości, i chętnie śpiewała. Żonie nadzorcy jezior z jej gorliwą pobożnością wydawało się, że szybko poznała, jak się rzeczy mają i jaki środek mógłby tu pomóc. Ponieważ opętaniu można zaradzić tylko przy pomocy różnorodnych kar, więc najpierw pozbawiono Edith jedzenia, a gdy to nie pomogło, przestano się do niej odzywać; ponieważ moja pierwsza żona nadal nie była skłonna do oddzierania puchu od nasady pióra, musiała w obecności sióstr Dudej pochylić się przed nadzorcą, który nie mógł być jednocześnie sprawiedliwy i dobroduszny, więc dopuścił do głosu swoją trzcinę; kiedy nawet pręgi na tyłku nie przywiodły jej do opamiętania, stosowano kilka kar naraz i zamykano Edith bez jedzenia w szopie, pachnącej smołą i suchymi wodorostami.

Dlaczego Conny jej nie uwolnił? Nie wiem, nie potrafię panu tego powiedzieć, może już wówczas marzył o radykalnym rozwiązaniu; żegnał się z Łukowcem, a wszystkie swoje nadzieje wiązał z Haparandą, którą pewnie zobaczył na jakimś zdjęciu, tak, ze szwedzką Haparandą, gdzie w zasięgu wzroku znajdowała się wysunięta najbardziej na północ latarnia morska tego kraju. Ja w każdym razie postanowiłem uwolnić Edith z szopy, oderwać deskę, którą mi wskazała; obiecałem to sobie, gdy nadzorca, zanim wszedł do łodzi, łypnął okiem przez zrobioną przeze mnie dziurę po sęku i zawołał do Edith coś pocieszającego. Zapuścił silnik, niedbale ujął rumpel i wyruszyliśmy pykając motorkiem na inspekcję jeziora Łukowiec.

Normalnie należałem do tych, którzy na widok „Albatrosa II” błyskawicznie ściągali wędkę, zawiązywali worek ze zdobyczą i uciekali –

teraz patrzyłem, jak inni przed nami uciekali, zaraz pod mostem dwóch bosonogich chłopaków i dziewczyna, którzy w cieniu filara łowili okonie bez wędziska, tylko przy pomocy sznurka i haczyka. Nadzorca pogroził im, mrugając jednocześnie do nas, groził im w zwolnionym tempie, a oni byli gotowi zrezygnować z wędkarskich przyborów, ale nie z dużego wiadra po marmoladzie, pełnego ryb. Uciekali przed nami wąskimi przesmykami wśród trzciny, ku naszej radości umykali brzegiem przystani i pomostem dla łodzi łukowieckiego klubu wioślarskiego – nadzorca nigdy nie próbował ścigać uciekających ani ich chwytać, nawet na strzeżonej plaży, gdy kłusownik, wychylony z toalety, łowił w rzece kiełbie i ukleje, i łatwo byłoby go zaskoczyć.

Nad jeziorem unosiła się jaśniejsza ruchoma poświata; była to lekko kołysząca się kopuła świetlna, pod którą płynęliśmy, dając wszędzie wokół znać o sobie stłumionym, ale regularnym turkotaniem silnika, oznajmiając się zarówno dzikim kaczkom i ociężałym łyskom, jak i rybakom z Baranów i potajemnym wędkarzom u ujścia rzeki Łukowiec, których czółna zdawały się unosić w powoli rozchodzących się dymach z kartoflisk, utrzymywane w powietrzu jedynie przez dwie tyczki, wbite w płytkie dno. Z turkotem zmierzaliśmy ku nim. Cumowaliśmy przy czólnach własnej produkcji i kazaliśmy starszym przeważnie mężczyznom pokazywać sobie żyłki wędek, licząc wyłożone kije i oceniając łup. Dwóch spośród wędkarzy miało na pokładzie koty, podobne do tygrysów, obserwujące błyszczącymi szparkami oczu tańczące na wodzie kawałki korka. Z jednej łodzi wybiegał cienki sznur do spokojnie płynącej wody; nadzorca upierał się, by zobaczyć, co wisi na sznurze i utrzymuje jej sztywność; po chwili wahania starzec wyciągnął sznur pokazał sztuczną szczękę, tak, lekko wykrzywioną w uśmiechu ludzką szczękę. Należała ona do jego żony i miała zostać „naturalnie oczyszczona” w prądzie rzeki.

Przepyrkotaliśmy obok półwyspu, wyłowiliśmy martwą dziką kaczkę, pomachaliśmy flisakom po drugiej stronie rzeki, bosym akrobatom w spodniach trzy czwarte, uzbrojonym w tyki; niektórzy zaprezentowali je przed nami jak broń. Fala, którą zostawialiśmy za sobą, wprawiała pnie w ruch. Znad najgłębszego miejsca jeziora Łukowiec – nadzorca sam

zmierzył siedemdziesiąt cztery metry – zawróciliśmy ku placowi ćwiczeń, gdzie w rozkołysanym sitowiu barańskiej zatoki rybacy zarzucili łukiem sieć, długą, gęstą sieć z sakiem, której końce wywlekali na brzeg, podczas gdy w środku rybacy grzmocili w wodę drągami, drewnianymi młotami, a także wiosłami; samo przyglądanie się temu chlapaniu, pryskaniu i grmiącym uderzeniom sprawiało radość. A jak potem śmigwały przestraszone ryby, próbując ucieczki na głębiny; płetwy grzbietowe dużych karp i szczupaków cięły powierzchnię wody, wygięte w łuk leszcze wyskakiwały w powietrze, a płotki, owe wróble naszych jezior, połykiwały mrowiąc się, jedna przez drugą. Skrzydła sieci zapędzwały je do saka, ścigało się go przy pomocy dwu ręcznych kołowrotków: rybacy po kolana brodzili w żywych rybach. Nadzorca jezior wymienił z najstarszym rybakim doświadczenia i tytoń do żucia, a następnie, gdy daliśmy sobie wmusić kilka linów, objechaliśmy brzeg przy majątku i skierowaliśmy się ku zatoce w Małym Grajewie.

Kiedy to było? Musiało się to dziać w trzecim albo ostatnim roku wojny; nasz jądłospis opanowała już brukiew w dwudziestu czterech odmianach, a krowy nie chciały dawać mleka, jak mówił mój dziadek – w każdym razie trzeba było być sprytnym, a jeszcze do tego mieć szczęście, jeśli chciało się nie tylko jeść, ale i mieć urozmaicenie.

Wtedy mnie to nie zajmowało, ale dziś zadaję sobie pytanie, jak przeżyli te czasy ludzie z Małego Grajewa, Gutkelchowcie i Hauserowie, którzy żyli coraz bardziej na uboczu, im dłużej trwała wojna.

Zawinęliśmy więc do zarosłej zielskiej zatoki koło Małego Grajewa, prześliznęliśmy się obok zakotwiczonych tratw, gotowi przycumować przy długim pomoście, tak, obok głównego mostu, który zostawiał daleko za sobą pół tuzina chwiejnych prywatnych pomostów. Na brzegu znajdowała się tylko ogromna chusta na głowę z rękami, wygniatająca, trąca, a potem energicznie płuczająca bieliznę. Krzyk w odległym Borku wyjaśniał, dlaczego nie witały nas dzieci: były na jagodach. Psy nie szczekały. W spokojnej wodzie nie odbijały się jak zwykle flotylle kaczek i gęsi. Kobieta, zajęta bielizną, nawet nie podniosła głowy, gdy wygramoliliśmy się z łódki, przeskoczyliśmy liny, rozciągające się

gwiaździcie od pomostu, i ściągnęliśmy pierwszą z nich, na której wisiła drewniana skrzynka na ryby.

Nadzorca sam wyciągnął śliską, pokrytą wodorostami skrzynkę, wysunął zawleczkę z zamka i uniósł pokrywę do połowy: udało mu się w ten sposób uwolnić tylko jednego jedyne go marnego karpia. Pomagaliśmy mu wyciągać skrzynkę za skrzynką, pozostawiając jednak nadzorcę otwieranie dziurkowanych pojemników i zwracanie jezioru, co mu się prawnie należało: było to tylko trochę ościstych leszczy i karasi, żadnych szczupaków, nie mówiąc już o węgorzach czy sandaczach, a skrzynki na głębokiej wodzie były puste.

Nadzorcę ogarnęło szczególne rozczarowanie, zdawał się nie móc pogodzić z faktem, że skrzynki zawierały tak mało ryb; zamyślony wpuszczał je z powrotem do wody, zamyślony wsiadł do łódki i poprosił Conny'ego, by zapuścił silnik, ale niezawodny dotąd diesel nie chciał tym razem zaskoczyć, nie słuchał również samego nadzorcę, prychał tylko sucho i nie zapalał. Musieliśmy pójść do miasta. Obaj z Connym otrzymaliśmy polecenie przyrowadzenia z miasta mechanika Buttksusa.

Ma pan rację: nie byliśmy szczególnie zachwyceni, ale ponieważ nie mieliśmy innego wyjścia, ruszyliśmy brzegiem – gdzie kobieta podciągnęła chustkę do góry i ze szczególną uprzejmością pozdrowiła Conny'ego – nierównym stokiem w górę w kierunku Małego Grajewa, gdzie coraz to uchylały się drzwi i przywoływano nas przytakując palcami. Tu i ówdzie Conny chwycił jakąś rękę, szeptał coś, z ubolewaniem potrząsał głową i ciągnął mnie dalej; niewiele z tego rozumiałem, jednak gdzie tylko otworzyły się drzwi, czułem od razu intensywny zapach ryb, suchego, pieczonego szczupaka i okonia smażonego ze skwarkami, leszcza marynowanego z ćwiartkami cebuli, gotowanego sandacza, karpia nadziewanego słodkimi suszonymi owocami, duszonego na blasze, a także węgorza, pokrytego drzącą galaretą. Stopniowo zrozumiałem, że nas zapraszają, proponując spróbowanie tego wszystkiego, co się tam dusiło, gotowało i smażyło, w każdym razie co przygotowywano w tajemnym porozumieniu, tak że należało przypuszczać, iż w Małym Grajewie jest rybny dzień.

Nie, nie mogliśmy się zatrzymywać, musieliśmy wspiąć się na zbocze ku odnogom Borku, wzdłuż piaszczystej drogi, ograniczonej pojedynczymi sosnami, ogromnymi drzewami, których korzenie przerastały ścieżkę. Objęliśmy się ramionami, jak to często robiliśmy, krępowało to trochę ruchy, ale czyniło nas szczęśliwymi; szliśmy w ten sposób, póki nie dotarliśmy do dużych szkółek leśnych w Borku: tam wydobyliśmy nasze piłeczki własnej roboty – po prostu podwójnie zeszyte szmatki, wypełnione piaskiem, i idąc, rzucaliśmy do celu albo ćwiczyliśmy rzuty na odległość, bombardując pnie sosen i ostrzeliwując korzenie i pocięte drewno.

Pamiętam jeszcze, jak używszy wszystkich sił rzuciłem piłkę tak daleko, że przybrała niepożądaną, ukośny kierunek, dostała się nad gęsty zagajnik i bezgłośnie upadła na leśne podłoże. Gdyby Gonny nie powiedział: – Idź, przynieś ją, poczekam – nie wtargnąłbym wcale do zagajnika, by odzyskać piłkę; ostre trawy kłuły, żywiczne gałązki biły po twarzy, a dzikie krzaki kreśliły rysy na skórze – lecz ponieważ Conny wezwał mnie tak niecierpliwie, zastroniłem jedną ręką oczy, wbiłem sobie w pamięć kierunek i zacząłem się przeciskać między gęstymi świerkami. Wkrótce piaszczyste podłoże ustąpiło miejsca zieleni. Nie było tu wiatru. Trudno było ustalić źródło szelestów i trzasków, chociaż stukał tylko jeden dzięcioł, cała szkółka zdawała się być otoczona bębniącymi dzięciołami. Pod obumarłym pnem, który nie upadł, leżała zygzakowata żmija, o podobnym wzorze jak nasza Ella; obszedłem ją łukiem i zacząłem systematyczne poszukiwania.

Mniej więcej tak samo, mój drogi: jakby chciało się odnaleźć klucze, które podczas żeglugi wypadły za burtę; przypuszczam, że pan by ich nie odnalazł, podobnie jak ja nie odnalazłem swojej piłki...

W każdym razie podczas poszukiwań usłyszałem nagle stłumiony odgłos braw, w niezbyt dużej odległości ludzie klaskali w ręce i wyraźnie słyszałem odgłosy entuzjazmu.

Ukląkłem, pełzałem na czworakach w koło, zataczając coraz większe kręgi, gdy wtem zobaczyłem ich na polanie, którą najwyraźniej sami

wykarczowali: Hugona Bandillę, króla mazurskich przemytników, a wokół niego siedzących, opartych o plecaki doborowych przemytników.

Ale co to ja chciałem powiedzieć: ich entuzjazm, właśnie, powodem tego entuzjazmu był Hugo Bandilla, który rozebrał się aż do workowatych kalesonów, a teraz otworzył tekturowe pudło, wyjął oryginalną czapkę żandarma ze służby nadgranicznej, pozdrowił ją z ironicznym oddaniem i niespodziewanie wsadził sobie na głowę. Szmuglerzy klaskali, chcieli zobaczyć coś więcej, a Hugo Bandilla wyjął z pudła porządnie złożoną kurtkę od munduru, którą najpierw pokazał w krąg, potem, wspinając się na palce, przycisnął mocno do siebie i tanecznym krokiem przemierzył polanę. Przemycnicy uderzali dłońią na płask w leśne poszycie; im bardziej byli rozbawieni, tym mroczniej wyglądał Hugo Bandilla, tym bardziej szorstko, bez słowa demonstrował, jak może rosnąć w człowieku niezadowolenie ze świata, wywołane nawet błahymi przyczynami. Spodnie leżały dobrze, pas był jak na niego robiony, a gdy przypiął szablę i założył lewą rękę za plecy, a palce prawej wsunął pod zapięcie nad piersią, kilku szmuglerów zerwało się na równe nogi, z czystego podziwu, że jednemu z nich udało się odstawić strażnika granicznego tak, iż usuwał w cień wszystkich znanych im strażników, robiąc większe wrażenie i przewyższając ich siłą oddziaływania i naturalnym autorytetem.

Niespodziewanie obok mnie znalazł się Conny, mrugając porozumiewawczo, i właśnie zaczął podziwiać zimną krew i przebiegłość Hugona Bandilli, gdy wokół mojej szyi zacisnął się jakiś pierścień, a dwoje ud ścisnęło mnie, dosiadając jak konia i przytłaczając do ziemi; nic nie pomogło, że Conny skoczył na tamtego mężczyznę i chciał go ze mnie zepchnąć, nie mogłem się wyswobodzić, ucisk nie zelżał nawet wtedy, gdy Conny zaatakował napastnika od tyłu i nie myśląc o własnym bezpieczeństwie próbował powalić go na ziemię. Potem jednak musiał uciekać; na polanie usłyszano odgłosy naszej walki, przemytnicy zbliżyli się i pomogli swemu kompanowi, który mnie napadł; musiałem pozostać twarzą do ziemi, aż Hugo Bandilla po krótkiej naradzie podejmie decyzję. Wciągnęli mnie do swego koła, a Bandilla z daleka wypytywał mnie, chciał wiedzieć wszystko, a zwłaszcza, z których jestem Rogallów; imię mojego

ojca zdawało się napełniać ich zaufaniem, władca tajemniczych substancji zdawał się być im bliski.

Cierpliwości: właśnie chcę to panu powiedzieć: Hugo Bandilla odebrał jednemu ze szmuglerów flaszkę od ust, oszacował w przybliżeniu ilość nalewki, która się w niej przelewała, ocenił spojrzeniem, na co mnie stać, po czym podał mi w niespełna jednej czwartej wypełnioną butelkę i rozkazał wypić do dna, łyżek za łyżkiem, jak powiedział, a nie naraz. Nie miałem wyboru, ostro dopingowany przez Bandillę piłem żółtą, pachnącą miodem gorzałkę, podczas gdy przemytnicy najwidoczniej przygotowywali się do wyruszenia: jeden z pasją wygrzebywał z ziemi, co przed chwilą zagrzebał, drugi zaszywał sobie monety w podszewkę kurtki, rolowali płaszcze, przepasywali się, na nowo rozdzielali zawartość plecaków...

Co przemycali? Sukna, tytoń, przyprawy, ale także mydło i lekarstwa, a gdy tak otwierali plecaki, wymieniali i kompletowali towary, może pan sobie wyobrazić, ile zapachów rywalizowało ze sobą na polanie.

Ta gorzałka; najpierw nogi zrobiły mi się jak z gumy, potem czupryny świerków zaczęły się nieznacznie obracać, następnie polana stanęła dęba, skronie ścisnęło mi jak drutem, przygięło mnie do ziemi, szmuglerzy zdawali się unosić w powietrzu, a zagajnik falować jak na morzu. Mężczyźni zarzucali sobie na ramiona plecaki tak lekko, jakby były balonami, napompowanymi powietrzem, po czym rozwinęli linę, służącą im jako ruchoma poręcz, i na rozkaz Bandilli żywa girlanda przesunęła się obok mnie i zniknęła w gąszczu.

Nie, niezupełnie: nie opróżniłem całkiem butelki, ale wypłem dosyć, by po raz pierwszy doświadczyć mocy naszej nalewki, która jednocześnie zaostrzała słuch i tępiła wrażliwość, rzeczywiście dawała zdolność dosłyszenia każdego błędu w śpiewie ptaków, a z drugiej strony pozwalała niemal nie zauważyć amputacji palca. W każdym razie do dziś wierzę, że nad jezioro Łukowiec doprowadziły mnie dwie wrony, które niezbyt zręcznie wtargnęły na polanę, początkowo przyglądając mi się tylko i okrążając mnie wronim chodem, z charakterystycznymi,

niespodziewanymi podskokami, przy czym podeszły tak blisko, że miałem pokusę, by je schwytać; poszedłem za nimi przez polanę, przedzierałem się przez młodniak, podczas gdy one przelatywały przede mną ze świerku na świerk, a gdy rozgarniałem ostatnie gałęzie, widziałem je już na piaszczystej drodze, podskakujące z jednym opuszczonym skrzydłem. Nalewka huczała w tyle głowy i sprawiała, że czułem cebulki wszystkich włosów. Nie zrezygnowałem ze schwytania jednej z wron, wciąż się przymierzałem, próbowałem dosięgnąć ją skokiem albo, na ile pozwalała na to nalewka, dogonić pędem: za każdym razem mi umykały. Pilotowały mnie koło Małego Grajewa aż do dzikiej gruszy, a w gąszczu gałęzi, który straszył mnie niegdyś swoją gruzłowatą nieprzeniknioną płataniną, opuściły się i usiadły blisko siebie, przyglądając się, jak pokonuję gliniastą skarpe, nie przewracając się, jak potem brnę przez jezioro, myję płonącą twarz i kark, po czym brodzę w płytkiej wodzie w kierunku majątku...

Nadzorca, mówi pan? Czy „Albatros II” cumował znowu przy pomoście?

Właśnie dlatego, że jeszcze nie wrócili, z dzikiej gruszki miałem widok na ścieżkę wśród sitowia – postanowiłem dotrzeć do szopy od strony jeziora, tak, do pozbawionego okien więzienia Edith, gdzie moja pierwsza żona pokutowała za „chorobliwą odmowę” darcia pierza. Nie zapukałem nieśmiało w ścianę szopy, lecz zabębniłem w drzewo tak zdecydowanie, że oko Edith natychmiast wypełniło dziurę po sęku; nie czekając tym razem na zachętę z jej strony, podczołgałem się pod szopę, odszukałem i znalazłem deskę, która dała się oderwać, po czym wcisnąłem się przez szparę i stanąłem przed pagórkiem ze skonfiskowanych sieci i więcierzy. – Chodź – powiedziałem – chodź prędko. – Patrzyła na mnie przestraszona, opuściła się z powrotem w zagłębienie, które wysiedziała, obiema rękami objęła szeleszczące sieci, jakby chciała się przytrzymać. Obiecałem jej to, co mogłem: że najpierw wydostanę ją stąd, a potem zaprowadzę do Borku albo do dużej szopy w majątku, ale Edith nie chciała już uciekać, przynajmniej ze mną, chciała poczekać na Conny’ego, który dał jej do zrozumienia, że nie wyruszy bez niej do Haparandy, do najdalej na północ leżącej latarni morskiej.

Nalewka sprawiała, że szopa kołysała się i zataczała jak przybrzeżny frachtowiec na długich falach, musiałem opuścić się na czworaki, chwytając się nóg Edith podciągnąłem się na pagórek z sieci, ułożyłem obok niej i przez chwilę kołysałem się w głębokich dolinach fal, po czym zapytałem, czy w ogóle wie, gdzie leży Haparanda, jak chcą się tam dostać i z czego będą żyć na początku; zamiast mi odpowiedzieć, uniosła się i wsparła na zwoju drutu, sięgnęła do kryjówki między belkami i wydostała zawiniątko, które otworzyła tuż przed moimi oczyma.

Nie żadne tam szklane kulki, myli się pan, mój drogi: zawiniątko wypełniały srebrne talary i złote monety dziesięcio- i dwudziestomarkowe, z których Edith czerpała z poważną miną i z brzękiem wpuszczała z powrotem do zawiniątka, powoli, abym mógł pojąć, że bez trudu będzie mogła zapłacić za swoje marzenie o Haparandzie; były to pieniądze, które niepostrzeżenie wyciągnęła ze spadku po matce, ani rodzina nadzorcy, ani Conny nic o tym nie wiedzieli. Tak, nie wiedział nawet Conny. Ponieważ obawiała się, że mógłbym przekonać jej brata, by wyruszyć bez niej, pokazała mi swoje niepokojące bogactwo, dając mi do zrozumienia, że Haparanda będzie „naprawdę” do nas należała dopiero wtedy, gdy weźmiemy ją ze sobą. Cofnęła się w półmrok szopy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęło jej zawiniątko, po czym położyła się obok mnie, chcąc pewnie usłyszeć obietnice, może czekała na słowo honoru i tak dalej, aleja pod wpływem nalewki miałem teraz tylko jedno pragnienie: umrzeć jak najprędzej i zostać pogrzebanym w chwiejnej fali. Podczas gdy czekałem tylko na to, by uwolnić się od skręcającego się żołądka, słyszałem z oddali, jak marzy o Haparandzie, o tym, co tam jest, a czego nie ma; nieustannie przywoływała mi obrazy przed oczy: białą latarnię morską, ciemnoczerwone drewniane domy, odbijające się w spokojnej wodzie, oswojone mewy i żaglówki, same znajdujące drogę do domu; zdawało mi się też, że w Haparandzie nie było zupy zacierkowej, do szkoły chodziło się dobrowolnie, ale przede wszystkim dziewczęta z Haparandy sortowały ryby, a nie skubały pierza. Nie chciałem i nie mogłem jej się sprzeciwić; zasnąłem przytuliwszy twarz do sieci.

Słucham? W żadnym wypadku; pan jeszcze nie poznał dobrze Edith. Zbudziłem się nie tylko pod krępującymi ruchy sieciami, lecz zauważyłem, że przeguby przewiązano mi linami jednej z sieci i leżałem tak, uwikłany w sieci i związany, gdy Conny wśliznął się do nas. Podczas gdy rozplątywał podwójne, na krzyż wiązane węzły, Edith kucnęła przy nim i opanowana jedną jedyną troską, kazała się wciąż na nowo zapewnić, że nie wyruszamy sami do Haparandy, a jeśli w ogóle wyruszamy, to tylko z nią. Zadowolona się dopiero wtedy, gdy Conny obiecał jej, dając na to swoją rękę, z ceremonialnym podnoszeniem i opuszczaniem splecionych dłoni, po czym siedzieliśmy, próbując szeptem uzgodnić najkorzystniejszy termin wyruszenia w drogę. Ponieważ nalewka sprawiała, że w tyle mojej głowy pracował mały kołowrotek, zgadzałem się na każdą propozycję, również na jakiś dzień przyszłej wiosny, zaraz po confirmacji, po zakończeniu szkoły.

Dziękuję, teraz chętnie zjem jabłko... Jakie soczyste, aromatyczne, inne niż te owoce, które hoduje się dziś tylko dla oka, to prawdopodobnie jakiś dawny gatunek, wygląda skromnie, wręcz niepozornie, możliwe, że rośnie na pokręconym drzewie...

W starym szkolnym ogrodzie, widzi pan... A więc w ogrodzie opuszczonej wiejskiej szkoły w Pudby, i sam pan je zrywał, razem z Henrike?

Marian Jeromin? Popatrz, popatrz; a więc Marian otworzył własną szkołę tkactwa, nasze leciwe cudowne dziecko wykorzystało okazję, by wreszcie stanąć na własnych nogach, tak, mój najlepszy uczeń, który mi kiedyś zarzucił, że sparaliżowałem, zdusiłem jego talent wskutek nieubłaganej interpretacji reguł rzemiosła. Zakneblowany geniusz uwolnił się zatem od swego patrona; przypuszczam, że przejął moje ostatnie uczennice, nie po to, by wtajemniczyć je w uciążliwą dokładność rzemiosła, lecz by zbudzić drzemiący w każdej z nich oryginalny talent...

Pięć spośród nich... A nie mówiłem? Niech mi pan wierzy: dawna wiejska szkoła w Pudby, którą teraz wynajął, będzie ostatnią przystanią mistrza tkackiego Jeromina, tu będzie musiał uznać, że „cudowne dziecko to dobre tylko na początek”, jak stwierdziła Sonja Turk, i że w końcu liczy się

jeszcze coś innego, mianowicie wytrwałość, drobiazgowość i akuratność. W każdym razie wiem teraz, gdzie są moi ludzie, nawet jeśli się mnie wyrzekli, lepszy brak jakichkolwiek mostów niż ta ciągła niepewność...

Haparanda? Czy rzeczywiście uciekliśmy do Haparandy? Przecież pan wie, że im bardziej zdecydowanie ustala się przyszłość, tym pewniej się ją traci, a my w wyobraźni byliśmy już tak zadomowieni w Haparandzie, że nie potrzebowaliśmy już tam wyruszać – ale nie to było powodem, dlatego nigdy nie powitała nas najbardziej na północ wysunięta latarnia morska.

Na krótko po moim ukończeniu szkoły, wiosną, chodziliśmy już boso, moja matka siedziała w warsztacie wuja Adama i podczas gdy on naprawiał łubiankę – koszyk upleciony z wiórów, rozmawiali o mnie, cierpliwie roztrząsali moje zamiłowania i zdolności, przymierzając do mnie różne zawody, rozważając jedne i odrzucając drugie. Stałem za uchylonymi drzwiami, przysłuchiwałem się rozmowie pełnej przerw, po raz pierwszy słysząc, za co mnie uważali i co mi przypisywali; dowiadywałem się również, na które piętro życia chcieli mnie katapultować ku swojej własnej satysfakcji: matka wyszukiwała mi zawody „o dużym wpływie”, natomiast wuj Adam widział mnie pochłoniętego „zawodem służebnym”. Czegóż oni dla mnie nie wymyślali! Jak bardzo chcieli zaspokoić swoje różne ambicje. – Najlepiej – mówiła matka – żeby nasz Siechmunt wyuczył się na żandarma, zawsze miałyby na wszystko oko. – Wuj Adam posmakował propozycję i oświadczył: – Wolałbym go za kuśnierza; ma dobre oko do materiałów i futer, mógłby robić futrzane boa, muffki i okrycia, którym żaden mróz nie dałby rady. Lękając się, że może to być zawód sezonowy, matka proponowała, bym poszedł do terminu do Struppka – firmy Struppek & Sausmikat – jako sprzedawca płaszczy, spodni i marynarskich mundurów, gdyż tam „Siechmunt mógłby galanto wysztafirować każdego łachudrę”. – To już lepsza stolarka artystyczna – powiedział wuj Adam – zapach kłajstru i drzewa są w każdym razie zdrowsze niż zapach sukna, a poza tym nie będzie musiał oglądać połowy Łukowca bez przyodziewku. – Kiedy wspólnie rozważali posłanie mnie do obróbki drewna do fabryki sklejk, nie wytrzymałem, prześliznąłem się obok drzwi, podreptałem na dół i

pobiegłem przez ogród nad rzekę Łukowiec, nie chcąc przyjąć tego, co przesiewali dla mnie w rozważnym dialogu.

Rzeka płynęła wezbrana, szarpiąc zwieszające się nad nią wierzby, aż drżały całe korony. Ciemna woda unosiła starannie ociosane pnie drzew; przybywały z Polski, obracając się w wodzie, zatrzymywane w zamkniętych zatokach; spływały ku ujściu rzeki, gdzie wychwytywała je i spiętrzała stalowa lina, setki nierównych pni, przeznaczonych do fabryki sklejki. Simon już tam był, zgarbiony, niski Simon Gayko czekał już na mnie i po krótkim powitaniu wyruszyliśmy ku innym, którzy balansowali na pniach daleko na rzece, rozhuśtując je i obracając; niczego nie oczekiwaliśmy wiosną tak niecierpliwie jak ściętych lasów z Polski, spływających w dół rzeki i spiętrzających się u jej ujścia, póki staromodny holownik nie zawlókł ich z nużącą powolnością do fabryki sklejki.

Niech pan spróbuje przenieść się tam, drogi Martinie, niech pan wejdzie na jeden z tych pokrytych łuskowatą korą, płynących leśnych olbrzymów, które z powodzeniem unoszą pięciu mężczyzn, nie zanurzając się w widoczny sposób, i niech pan oceni nasze usiłowania, by młode pnie, zaledwie wytrzymujące wagę dziecka, wprowadzić w ruch obrotowy, w szaleńcze wirowanie, z którego w końcu można się było uratować tylko skacząc. Robiliśmy to tak: na komendę wprawialiśmy pnie pod nogami w obroty, tak szybkie, że ostre bryzgi wody wytryskiwały spod brzegów, był to jakby wyścig na beczkach, bez nagród, bez posuwania się naprzód, a bale chwiały się i chlapały, podczas gdy my usiłowaliśmy zachować równowagę, wymachując rękami, gwałtownie powykręceni. Simon Gayko, o, ten to trwał najdłużej, utrzymywał się jeszcze na wirującym pniu, gdy inni dawno już zeskoczyli albo siedzieli okrakiem na pniach, po uda w wodzie. Ów mały Bośniak, któremu „nogi na beczce prostowali”, znudził nas swoimi zwyczajami, dlatego jeden z nas – był to Conny – zaproponował bieg po pniach, wyścig po zdradzieckiej powierzchni płynącego drzewa, od mostu do dawnego wodopoju. Te pnie nie leżały porządnie, równomiernie jak zapalki; w zależności od tego, jak prąd je ułożył, skupiały się w luźną tratwę, jedne ułożone skośnie i pozakleszezane, inne równoległe, niektóre podobne do wsporników w

kształcie litery T, powodujące, że bale spiętrzały się jeszcze dodatkowo, a między pniami pozostawały wolne przestrzenie wody.

Trzeba było panu widzieć, jak śmigaliśmy i przelatywaliśmy, wszyscy boso, nad płynącym lasem; stopa ledwo dotykała cienkich pni, potężne atakowaliśmy z głośnym plaskaniem, a błyskawicznie wyliczone skoki przenosiły nas nad otwartą wodą.

Przy jednym ze skoków przeliczyłem się, opadając w dół nie wyczułem potrzebnego oporu: to było to. Już w powietrzu wiedziałem, że nie dam rady; rozpostarłem ramiona, by nie zanurzyć się zbyt głęboko. Prąd, prąd i wiry porwały mnie, silniej odczułem ich nacisk niż zimno, tak, tę napierającą siłę, która nie pozwalała wystrzelić w górę, lecz znosiła mnie pod pnie, w przegowaną ciemność...

Nie można było; to, co pan proponuje, nie dało się zrobić dlatego, że prąd przyciskał również pnie do siebie; nie, nie udało mi się rozszerzyć jakiejś szczeliny i wynurzyć się. Dryfowałem pod pniami, zerkając w górę, o ile się dało, oczekując na większą połąć odkrytej wody, która pozwoliłaby mi się wynurzyć. Ogniste pierścienie. Ogłuszający trzask. Jak w imadle. Huk ryb pod lodem. Tak, ogłuszone dźwięcznymi uderzeniami kłonic i drewnianych młotów, wielkie ryby wypływały brzuchem do góry pod lodową pokrywę. Myślałem o tym, zbierając wszystkie siły i prac w górę, po prostu w górę, popędzany brakiem powietrza i ogłuszony hukiem w głowie, i w tym ruchu w górę trzasnąłem o pień. Pamiętam, że był to krótki ból, zanurzając się odczułem łagodną ulgę, wyzwolenie z cielesności; jak w zwolnionym filmie obracał mnie jakiś wir, unosił jak wodną roślinę, pozbawioną korzenia, i przekazał prądowi, który zniósł mnie w kierunku dawnego wodopaju.

Byłem zupełnie wyczerpany, wszystko wirowało; nie zauważyłem rozwidlonej gałęzi, która się do mnie wyciągnęła, schwyciłem ją nieświadomie, a gdy łagodnie pociągnęła mnie na brzeg, bardziej pod wodą niż nad wodą, nie usłyszałem głosu mojej wybawicielki ani Conny'ego.

Gdzie byli inni? Przerwali wyścig, zauważyli, że prąd wcisnął mnie pod pnie, i po krótkim gwałtownym szukaniu uciekli, wszyscy z wyjątkiem Conny'ego. Na jego krzyk Sonja Turk weszła do wody, zeszła w podkasanej spódnicy z łąki, gdzie odwracała na drugą stronę jaśniejące pasma wełny, jej ciężka, bogato marszczona spódnica nasiąkała wodą; zrozumiała, że musi użyć obu rąk, by wyciągnąć mnie na ląd.

Sonja Turk: to na jej łące doszedłem do siebie, wśród świeżo farbowanej, suszącej się wełny; spod sklejonych powiek zobaczyłem najpierw jej ruchliwą twarz pod równym przedziałkiem przez środek głowy, jej tajemnicze spojrzenie, skłaniające do wyznań, wargi wygięte wiedzą i uporem. Jej wieku nie można było określić. Nie uśmiechała się, nie okazywała żadnego zadowolenia z faktu, że przyszedłem do siebie; zrzędliwym głosem poleciła Conny'emu pójść do moich bliskich, podciągnęła mnie w górę i zaprowadziła do domu z grubo ciosanych bali powyżej ujścia rzeki, gdzie samotnie mieszkała. Gdy szła, nie można było rozpoznać źródła jej ruchów ani odgłosu kroków; jej krępe ciało zdawało się raczej zegłować przy stałym wietrze, jak przeładowana szalupa.

W kuchni chwyciła długi ręcznik z szorstkiego lnu, z wyrzutem spojrzała na moje mokre ślady i małe kałuże, które powstawały wokół mnie na podłodze, po czym surowo kazała mi zdjąć mokre rzeczy i powiesić je nad żelaznym piecem. Natarła mnie ręcznikiem. Ostra tkanina zaróżowiła mi skórę, wzbudziła uczucie swędzącego gorąca. Milczałem przestraszony, a gdy już plecy zapłonęły żywym ogniem, po prostu mnie odwróciła i nacierała piersi, brzuch i wszystko inne, wraz z palcami u nóg, które z rozbawieniem oglądała i obmacywała. Potem zapakowała mnie w ogrzane bambosze, narzuciła o wiele za dużą koszulę, owinęła w koc z koziej wełny, a wreszcie wynagrodziła mi to całe nacieranie, pozwalając mi się przyglądać, jak bez skrupowania zmienia spódnicę, halkę i czarne podkolanówki. Herbatę z kwiatem lipy, którą nam zaparzyła, piliśmy w obszernej izbie-pracowni.

Co pan mówi? W świątyni? Powiedzmy raczej: w pracowni największej mazurskiej mistrzyni tkackiej, między dwoma staromodnymi krosnami. Na ścianach wisiały kobierce, nie przeznaczone na sprzedaż, poważny,

pełen znaczenia kilim, utkany z jak najtwardszej wełny, i miękki, świąteczny koc, ponadto podwójnie tkany pogański kobierzec, jaki rzekomo przekazała jej czarownica Bianka, a który powstrzymywał choroby. Co za kolory! Ile wymownych postaci, scen i symboli! Gdy Sonja Turk zabrała się nagle do pracy, jakby musiała nadgonić stracony czas – obszywała i umacniała, zdaje się, ostatni wątek ślubnego kobierca – ciągnęło mnie, ciepło opatulonego, wzdłuż ścian, całkiem oczarowanego znakami i odbiciami, wplecionymi nadziejami i barwnymi zakłęciami, nie mogłem oderwać oczu od tkanych kilimów i wiązanych koców, których wzory i motywy wprawiały mnie w olśnione podniecenie, tak, w zachwyt poznania. Chociaż niektóre symbole znałem ze zbiorów wuja Adama, to dopiero tu, w ostatecznym błękitcie, brązie i czerwieni, zakłęte w wątku i osnowie, odkrywały swoje znaczenie. Nagle pojąłem, że obchodzi mnie potrójny pęd i krzyż mnożenia o dziewięciu punktach; wierzyłem, że ośmioramienna gwiazda chroni domy, a czarodziejski węzeł oddala nieszczęście; nieruchome oko świadczy o nieustannej obecności towarzysza, a romboidalny znak runiczny o pragnieniu, by ujść mrocznych głębi. Przemawiał do mnie również słoneczny krzyż, biały jeleni i płonące romby, już nie wspominając o siwku Wotana i obojętnym ptasim towarzyszu duszy.

Ma pan rację: pogańskie symbole, od których zależało życie, które nasze życie określały...

Kobierce jaśniały na ścianach z surowego drewna, wydawało mi się, że przeczuwam wszystkie owe węzły doświadczeń, które wpleciono w dywany, zdawałem się rozpoznawać lęk, który miały powstrzymać wplecione w tkaninę czarodziejskie zakłęcia. Przede wszystkim jednak pojąłem, że póki jelenie o dwunastu nogach stoją pod sześcioramiennej gwiazdą i drzewem życia, możemy nie tracić nadziei. Nie wytrzymałem, nie mogłem już dłużej znieść beczynnego przyglądania się: mając w polu widzenia umięśnione plecy Sonji Turk, opuściłem się na podłogę, w sam środek kwiecistych odpadków, wielobarwnych łat i resztek wełny, i wyłowiwszy sobie nożyce i arkusz sztywnego papieru zacząłem wycinać ornamenty i zwierzęta, od razu, bez rysowania. Pobrzękiwanie stalowych szczęk, wyzwalających z niewinnego kartonu promieniste słońca, krowy i

liściastą rutę, nie zwróciło uwagi Sonji Turk, ani razu nie odwróciła się do mnie – przypuszczalnie dlatego, że sama pracowała w wielkim napięciu, mrużąc i pojękując, osłaniając się parasolem dźwięków. W każdym razie, siedząc pośród barwnych odpadków, rozplomieniony, wycinając w całkowitym skupieniu wyobraźni motywy i wzory z naszego życia odkryłem, że nic mi nie brakuje, że jestem szczęśliwy i pragnę tylko, by Sonja Turk odwróciła się do mnie i pochwaliła mnie.

Nie traciła na to czasu, nie przerwała pracy nawet wtedy, gdy wszedł jakiś śniady mężczyzna w skórzanej kurtce, z biczem w ręku, bogaty wieśniak ze Stradunów, który wyciągnął w jej kierunku banknot, podobny do szmatki, i zażądał, by zrobiła kobierzec o szczególnym działaniu, „ale chybko”. Podniosła przelotnie wzrok i kazała sobie podać nazwisko wieśniaka – nazywał się Franz Narutsch – oraz wyjaśnić jego stan rodzinny: dwanaście lat po ślubie, bezdzietny, 280 mórg gruntu, po czym, pochylając się znowu nad robotą, przyjęła do wiadomości, czego zleceniodawca oczekiwał od kobierca. Miał on przedstawiać błękitny krzyż płodności na białym tle, na takim samym tle dwie brązowe gałązki ruty i cztery pary czerwonych ptaków na czarnym tle. Właśnie, mój drogi, to wszystko tłumaczy. Jeśli chodzi o wymiary, to kobierzec miał dokładnie przykrywać łóżko, nie zwisając zeń. Sonja Turk słuchała uważnie, zda się oceniając własne artystyczne możliwości, kiedy on wygłaszał swoje życzenia, i gdy już liczyłem się z tym, że wreszcie weźmie od niego pomięty banknot, potrząsnęła głową i powiedziała: – Franz Narutsch ze Stradunów, bierz swoje pieniądze i odejdz; dla ciebie nie uda mi się żaden kobierzec, bo nic mi od siebie nie dajesz. – Bogaty chłop spojrzał na nią zdumiony, widocznie najmniej się spodziewał takiej odpowiedzi i by się upewnić, zapytał: – Co ci, do diaska, trzeba dać, żeby taki kobierzec się udał? – Jakieś uczucie – powiedziała Sonja Turk – takie, że robię ten kilim też dla siebie, że ja go też potrzebuję. – Gdy Franz Narutsch chciał się dowiedzieć, dla kogo w ogóle robi kobierce – wie pan, co odpowiedziała? Sonja Turk wyjaśniła spokojnie: – Nie robię moich kobierców dla kogoś, robię je przeciwko czemuś, a jeśli chcesz wiedzieć, co to jest, to ci powiem: przemijanie. Tak, robię wszystkie kobierce przeciw przemijaniu.

– Wieśniak zapytał, czy może przyjść za rok, na co mistrzyni wzruszyła ledwo dostrzegalnie ramionami.

Ale co to ja chciałem panu opowiedzieć? Moje wycinanki, słusznie; te wszystkie motywy i ornamenty, które wystrygłem z papieru, położyłem na chwiejnym stole z orzechowego drzewa, ułożyłem je po porządku, zaznaczyłem powiązania, a nawet coś w rodzaju procesu rozwoju, od pogańskiego słońca do chrześcijańskiego drzewa wiadomości, ale i wtedy, mimo tego całego przesuwania, przekładania i szelestu Sonja Turk nie zwróciła na mnie uwagi. Potrzebowałem farby. Zapytałem Sonję, gdzie mogę ją znaleźć w domu, a ona odparła: – No gdzieżby? Przecie w pokoju z farbami. – Opatulony wymknąłem się do sieni, nasłuchując, przemknąłem obok siedmiu zamkniętych drzwi, nie otwierając ich, wszedłem po schodach i przestraszyłem się; znalazłem się w sypialni mistrzyni tkackiej, w zacienionym pomieszczeniu, wypełnionym ogromnym łóżem, na które zaraz rzucą się sowy, siedzące na sękatych prętach na ścianach: sowa śnieżna, wielka sowa uszata, puszczyk, wszystkie z czerwono połyskującymi oczami; a ja naprawdę uniosłem łokieć, chroniąc twarz. Później nadałem wypchanym ptakom imiona i nigdy nie zanieczyliłem pogłaskania ich suchych piór... Obok sypialni mieściły się dwie bokówki, jedna z nich ukrywała niedbale rozrzuconą bibliotekę, osnutą pajęczyną, w drugiej odkryłem zbiór zblakłych, wystrojonych lalek bez oczu, z powykręcanyimi i splecionymi ze sobą członkami zdawały się czekać swojej pory.

Nie było rady, musiałem zejść na dół i otwierać po kolei drzwi od korytarza, ciężkie drzwi, przy których wszystkie bez wyjątku klamki zdawały się zacinać i trzeba było je naciskać mocno i stanowczo. Może pan sobie wyobrazić, że spodziewałem się różnych odkryć. Najpierw wszedłem do pomieszczenia, gdzie Sonja Turk przechowywała surowce, z których uzyskiwała wszystkie pożądane kolory: na rozpiętych sznurach, blachach i grubych arkuszach papieru wisiały i leżały tam porosty, rumianek i wydajna marzanna, oprócz tego piętrzyła się kora drzewna i pasma jasnego łyka. Dziś jeszcze pamiętam wrażenie, jakie wywierały te surowce, ich szum, szelest i trzeszczenie, które rozpoczęło się, gdy wyszedłem na środek pokoju, przypominam sobie też niepokój, który

mnie ogarnął. Przy następnych drzwiach chwilę nasłuchiwałem, zanim je otwarłem: był to wąski pokój, w którym znajdowały się tylko stół, krzesło i żelazny piec. Na stole leżała księga, większa i bardziej tajemnicza niż najstarsze foliały w laboratorium ojca; była otwarta, zbliżyłem się ostrożnie i na jednej ze środkowych stronicy znalazłem kombinację kolorowych symboli i ornamentów; pismem, którego później nikt oprócz piszącej nie umiał tak płynnie czytać jak ja, podano wypróbowane czarodziejskie działanie.

Pyta pan, w jaki sposób? Na przykład tak: Złote kręgi słoneczko / tańcuj wkoło dzieweczko / szukasz szczęścia w polu w lesie / serce ci je wnet przyniesie, albo: Rycerzu, rycerzu modry / w czas burzy bądźże dobry / i zamrugaj do prymulki / choć ja lubię też kukułki / a zaś tuje i jodełki / precz przepędzą piorun wszelki.

Nie odważyłem się dotknąć księgi, ręcznie zrobionego i spisanego kompendium mazurskiej sztuki tkackiej, najcenniejszej rzeczy, jaką posiadała Sonja Turk; pyszniła się nią jeszcze bardziej niż pogańskim kobiercem, którego nawet mnie nie pozwalała dotykać – mam na myśli późniejszy okres. Z pieca zrywały się muchy, okrążały mnie, z wściekłością bębniły w okno. Musiałem znaleźć izbę z farbami; po inspekcji dwóch dalszych pomieszczeń – w jednym z nich stał stół, nakryty na trzy osoby, każdy talerz otaczał półksiężyc słomianych kwiatów – odkryłem ją tuż obok tkalni, był to pokój, gdzie nie można już było wejść, gdyż całą podłogę zajmowały poplamione dzbanki i garnki, puszki i butelki. Przebijałem zeschniętą górną warstwę farb, ściągałem pomarszczony kozuch, by poznać prawdziwy odcień, i z brązem, czerwienią i błękitem wróciłem do izby tkackiej, do stołu z orzechowego drzewa, gdzie czekały na mnie białe wzory i motywy, którym dodałem to, czego potrzebowały, by się ożywić i wyglądać oryginalnie. Nie zauważany przez Sonję Turk kolorowałem swoje krowy i romby, ryby, znaki runiczne i długoszyje gęsi; barwa nadawała im pożądane własności. Sprawiała ona, że wszystko się potęgowało, że wzorom tym można było przypisać na przykład siłę oddziaływania, ulepszania, alternatywność, tak, dzięki tym farbom domowej produkcji, powstałym z rozpadu substancji. Nie czułem

nic oprócz zachwytu. Zrozumiałem, że odnalazłem swoje miejsce. Więcej: nagle wiedziałem, kim chcę zostać.

Słusznie pan mówi, drogi Martinie: ja też zostałem znaleziony, odkryty, ale moje terminowanie nie zaczęło się tak prosto i bez oporów...

Już gdy nadszedł wuj Adam, aby mnie zabrać – przyszedł sam, bo matka leżała w łóżku z wiosenną grypą – gdy formalnie i od progu podziękował Sonji Turk, wyczułem, że jego sztywność ma źródło w dawnych zastrzeżeniach, a może nawet uprzedzeniach i że okazuje je nie po raz pierwszy. Na polecenie matki przyniósł trzy słoiki miodu, w podzięk za uratowanie mi życia postawił je na ławeczce pod oknem, natychmiast cofnął się do drzwi i stąd zadał kilka nieodzownych pytań o zdrowie, interesy i tak dalej, nie będąc wcale ciekawym odpowiedzi. Tkaczka uśmiechnęła się na widok jego demonstracyjnie chłodnej uprzejmości i nie przestała się uśmiechać, gdy z kolei na jej pytania odpowiedział zdawkowo, że jego muzeum ziemi ojczystej niedługo będzie w takim stanie, iż można je będzie otworzyć dla łukowieckiej publiczności, z regularnym czasem otwarcia i dobrowolnymi opłatami za wejście. Można było wyczuć jego niechęć do rozmowy.

Polecił mi zdjąć swoje rzeczy ze sznura. Nie pomogło moje marudzenie ani dąsy; upomniął mnie, bym się szybko ubierał. Na zaproszenie Sonji Turk, by jednak wszedł dalej do pokoju i obejrzał najnowsze kobierce, odpowiedział wytwornym, ba, nawet sztucznym stylem: nie jest w odpowiednim nastroju, strach spowodowany moim wypadkiem siedzi mu jeszcze za mocno w kościach. Zatoczył ręką łuk na wysokości brzucha: – Ruszamy, Zygmunt, nie ma czasu. – Tam, gdzie używano tyłu zabiegów i okazywano tyle formalizmu, z pewnością coś ukrywano – wyczuwałem to, choć nie rozumiałem.

W każdym razie gdy już naciągnąłem ubranie, wciąż jeszcze wilgotne, podszedłem do krosna Sonji Turk, podałem jej rękę na podziękowanie, pociągnąłem ją z taboretu, zawlokłem do stołu i skinąłem głową w kierunku mojego dzieła: – No, popatrz, co na to powiesz? – Obejrzała moje postacie i symbole, najwidoczniej oceniając ich ułożenie względem siebie,

sprawdziła działanie koloru i z uznaniem, o wiele mniejszym, niż oczekiwałem, wymruczała: – Popatrz, popatrz; jak na początek nie można więcej chcieć. – Przesunęła mi swymi twardymi palcami po głowie. Zaproponowała, bym odebrał wycinanki przy innej okazji – ale przyjdź na piechty, a nie pod wodą, ty łobuzie. – Po czym zaprosiła wuja Adama, by podszedł do orzechowego stołu i poddał się wrażeniu moich barwnych projektów; wuj jednakże odmówił, jedną rękę trzymał już na klamce, mlaskając językiem z niecierpliwości, a mnie nie pozostało nic innego, jak go posłuchać. Najważniejsze, że wolno mi było przyjść tu znowu, że mogłem wejść do warsztatu, kiedy tylko chciałem; Sonja Turk obiecała mi to na pożegnanie i więcej nie potrzebowałem wówczas do szczęścia.

Kara. mówi pan? Czy wuj Adam ukarał mnie za wypadek na balach? Oczywiście, ale ze szczególnym opóźnieniem – może już wówczas zaczął się ten jego tragiczny zanik pamięci, który później doprowadził do dziwnych zwyczajów w domu – gdyż przeszliśmy już kawałek wzdłuż rzeki Łukowiec, przekroczyliśmy także drewniany most, gdy wuj zatrzymał się nagle, odchrząknął i wymierzył mi umiarkowanie piekące uderzenie otwartą dłońią w policzek i usta, po czym kontynuował marsz, z ulgą, jakby załatwił nielubianą część urzędową.

Szliśmy milcząc przez nadrzeczne ogrody, byliśmy już prawie w domu, gdy zszedł ku wodzie, polecił mi wdrapać się do jego wysmołowanego czółna, po czym sam w nie wszedł, niezgrabnie, bardzo niezgrabnie. Siedząc naprzeciw mnie na zmurszałej rozporze, zwlekał przez chwilę, mierząc wzrokiem zwisające gałęzie wierzb, płynące bale, z czystego zmieszania wydobyl z kieszeni swój nóż do rzeźbienia, z soczystego pręta wyciął fujarkę, delikatnie podważając przedtem korę. Uderzając w drzewo nożem, zaczął mówić. Prawie się tego domyślałem; wuj był przeciwny temu, bym odwiedzał Sonję Turk, tę „wiedźmę od kobierców”, jak ją nazwał, nie chciałby mi zabraniać, bym do niej chodził, ale powinienem wiedzieć, że nie pochwała moich odwiedzin w domu obok dawnego wodopoju. – Ona nie jest dla ciebie – powiedział. – Mogłoby ci to źle zrobić. Gdy jej się dokładnie przyjrzeć – dodał – ma takie rozdwojone kocznie spojrzenie...

Może pan sobie wyobrazić, jak się czułem po tym wyznaniu, ale nie spuściłem z tonu, przecież nie mogłem pozwolić ulotnić się temu, co wywoływało tak wielki zachwyt, więc odezwałem się, nie tylko by wybadać, jak poważnie to traktuje, lecz także dlatego, że w pełni odpowiadało to moim życzeniom: – Nie chcę zostać kuźnikiem, a już broń Boże żandarmem, jeśli w ogóle mam kimś być, to tylko tkaczem dywanów, i tylko u niej chciałbym się uczyć, u Sonji Turk.

Wuj Adam spojrzał na mnie ze smutkiem, tak, nieufnie i ze smutkiem, może dlatego, iż przypuszczał, że znajduję się już pod zgubnym wpływem tkaczki. Trzonkiem noża uderzył w drewno fujarki. Mocno potrząsnął głową. Mój stan wydał mu się najwidoczniej podejrzany – owa stanowczość i fakt, że nie dawałem się zbić z tropu w swoich życzeniach – i postanowił mnie „wyratować” z mrocznego kręgu jej czarów.

Jak? Bardzo prosto, mój drogi: przedstawił mi moją przyszłą mistrzynię, malując ciemnymi barwami jej życie, wydobywając na światło dzienne sprawy niewytłumaczalne, napomykając o mrocznych paktach, działających cuda, podkreślając zagadki, a na koniec grożąc i wskazując na niebezpieczeństwo. W jego zgrzybiałej ze starości łódce, wśród bulgotu spiętrzanej wody, dowiedziałem się, że tam, gdzie stoi teraz dom Sonji Turk, stał niegdyś znany ze złej sławy dom Bianki, która bardziej niż z tkactwa utrzymywała się z zamawiania, zamawiania chorych zwierząt, którym już żaden weterynarz nie mógł pomóc.

Raz do roku dom Bianki stawał się miejscem spotkania Cyganów, którzy ustawiali swoje rozklekotane wozy na łące do suszenia wełny i przez trzy dni odprawiali święto, którego przyczynę znali tylko oni, uroczystość z siedmioma ogniskami, muzyką i niezliczonymi jeżami pieczonymi w glinie. Sonja Turk przybyła podobno pewnej jesieni z Cyganami, siedząc jak w transie na jednym z wozów; trzynastoletnia dziewczynka, sama nie będąca Cyganką. Jak w transie siedziała koło ogniska, tańczyła, podobno nie wyrzekła ani słowa, nawet wtedy, gdy Bianka podarowała jej naszyjnik, bursztynowe korale. Tylko Bianka wiedziała, dlaczego Sonji nie było, gdy Cyganie znowu ruszali w drogę; siedziała przed swoim domem i obserwowała poszukiwania, w których oprócz lubiącego muzykę

wicekróla brała udział połowa cygańskiego rodu. Żałosne okrzyki młodego wicekróla wzbudzały w niej wahanie, dlatego weszła do domu, zamknęła podwójne okna i rozkazała Sonji, ukrytej głęboko w trzcinie, by nałożyła sobie na głowę gniazdo jakiegoś wodnego ptaka: dzięki temu dziewczynki nie odnaleziono.

Gdy Cyganie pociągnęli dalej, do Narbony i Andaluzji, Bianka z czystej sympatii wzięła Sonję Turk do domu, podarowała jej poduszkę wypchaną puchem młodych dzikich gęsi i niezwykłą sukienkę, haftowaną rybią łuską – roślinny motyw na czarnym aksamicie – i tak długo kazała jej pić wywar z wnętrzości zwierząt, aż dziewczyna ocknęła się z apatii, wywołanej przez trans. Od Bianki nauczyła się Sonja Turk tkania i wiązania kobierców, od niej też przejęła sztukę haftowania krzyżykami i wyszywania perłami. Gdy wzywano kobietę do odległych gospodarstw, by zamawiała chore konie i krowy, brała ze sobą do pomocy dziewczynkę, która wkrótce zapoznała się z układami kart i sposobem czytania pilnie potrzebnych informacji z popiołu i uryny. Razem zbierały pióra ptasie i owoce wilczej jagody; widywano je zawsze, trzymające się pod rękę i wyzywająco wesołe; ludzie mówili, że Sonja Turk traktowała Biankę jak matkę.

Gdy jesienią przybyli Cyganie, Sonja zniknęła na czas obchodów; Bianka pocieszała młodego wicekróla i robiła mu napary przeciw bezsenności, a zanim policzek przy policzku pochylili się nad rozgrzaną szklaną kulą, pomagającą odszukać zgubę, Bianka potajemnie ustawiała dwa lustra, odbierające kuli moc. Za ledwie wozy cygańskie zniknęły w przygranicznych lasach, Sonja pojawiała się znowu, z wiankami suszonych grzybów na obu ramionach; jej ubranie słabo pachniało zbutwiałym, wydrążonym pniem drzewa. Jej kryjówka znajdowała się podobno w sąsiedztwie dzikiego roju pszczół; nigdy żadna jej nie ugryzła. Sonja zniknęła nawet wtedy, gdy Cyganom chwilowo zabroniono zatrzymywać się w Łukowcu; po prostu słuchała swego punktualnie pojawiającego się niepokoju i ukrywała się przez pięć dni. Podobno pewnej jesieni przyniosła ze swej kryjówki mały kobierczyk, piękny wiązany dywanik o tak ciepłym blasku, że zdumiała się nawet Bianka, a właściciel ziemski z Pupin zapłacił za niego amatorską cenę i wyłożył

jeszcze raz tę samą sumę, gdy jego żona, która utraciła mowę, przemówiła na widok kobierca.

Tak, Martinie, dowiedziałem się tego wszystkiego, a ponadto jeszcze, że był taki okres, gdy obcy tkacze przyjeżdżali z daleka, pod jakimś pretekstem wchodzili do domu koło wodopoju i oszołomieni tym, co widzieli, czynili Sonji niesłychanie korzystne propozycje. Ponieważ Sonja wszystkie odrzucała, rozzarowani oferenci uważali, że muszą się zemścić, a może puszczali tylko w obieg to, co rzeczywiście przeżyli w zatęchłym uroku tego domu; w każdym razie mówiono o zdarzeniach, które wielu mieszkańców Łukowca wprawiały w zdumienie. Jeden na przykład twierdził, że był przy tym, gdy Bianka bez użycia zapałki, bez drewna ani torfu, jednym tylko zdaniem rozpałała ogień w żelaznym piecu, który już po kilku sekundach płonął czerwienią i gulgotał jak indyk. Inny przysięgał, że kobiety topiły sztuki złota i wylewały płynny metal na blachę, z czego powstawały rozedrgane złote rybki. Mówiono o nich, że chodziły w futrach z lisa i słuchały walców; opowiadano, że wazon sam wędrował po stole i nie dotknięty spadał; słyszało się nawet, że zainstalowano w tym domu ukryte magnesy, wyciągające ludziom monety z kieszeni, a jeden był gotów przysiąc, że widział rękawiczki, które się same robiły na drutach.

Wuj Adam przedstawiał mi drżącym głosem zastrzeżenia co do tego domu, ale wspomniał również, że pewnego dnia, gdy Sonja Turk była już pełnoletnia, złożyła egzamin na mistrzynię tkactwa przed komisją, która bezradnie i niechętnie dała jej najwyższą notę, bez głosowania, z największym zdumieniem. Tej samej nocy, gdy Bianka umarła bez oznak żadnej choroby, wyrósł podobno przed domem krzak wilczego łyka, wysoki do bioder, który Sonja Turk przystrajała barwnymi wstążkami, a w zimie otulała firanką.

O zbyt swoich prac nie potrzebowała się troszczyć, gdyż przyjeżdżali do niej klienci z Kowna i Królewca, zleceniodawcy, gotowi czekać na kobierzec rok i dłużej, niektórzy musieli nawet odjeżdżać bez nadziei na zakup, gdyż nie mogli mistrzyni „nic poddać”, tak, nie mogli jej zainspirować. Sonja Turk odżywiła się podobno kozim mlekiem, miodem

i rybami, które dwa razy w tygodniu przywoził jej pewien rybak z Baranów – dopóki nie zaczął cierpieć na bezsenność i nie musiał zarzucić rybaczenia. Uważano, że jest zaręczona z Konradem Segatzem; syn najbogatszego łukowieckiego hodowcy bydła, który wrócił z Chicago, by po śmierci ojca przejąć nieprzejrzany majątek, nie tylko zamówił u niej sześć kobierców, lecz podarował jej także warsztat tkacki; jednak nie temu podarkowi zawdzięczał, że mógł się jej przyglądać przy pracy, zdobył sobie to prawo raczej dlatego, że podczas najsroźszych styczniowych mrozów tak długo chodził wokół jej domu, aż zawołała go do środka. Przestał ją odwiedzać, gdy zaczął cierpieć na besenność...

Co jeszcze opowiadał? Słusznie: że piorun kulisty trafił w dom i ten spłonął, zanim jeszcze zjawiła się łukowiecka straż pożarna; Sonję Turk znalezione siedzącą spokojnie pod krzakiem wilczego łyka, z pogańskim kobiercem Bianki naciągniętym na ramiona i z księgą o mazurskim tkactwie na kolanach, którą już wówczas zaczęła pisać. Ziemia była jeszcze ciepła po pożarze, gdy nadciągnęli nieznajomi Cyganie i wyładowali bale i deski na nowy dom, który zbudowano w tym samym miejscu, większy dom, z pokojem bez okien, od wschodniej strony; gęsiarkowie, przechodzący tamtędy mglistym zmierzchem, słyszeli podobno stamtąd wołanie o pomoc. Odmalowawszy życie Sonji w dostatecznie ciemnych barwach, wuj Adam podkreślił, że mistrzyni nigdy dotąd nie przyjęła żadnego ucznia; ani jednej ze zdolnych dziewcząt, które przyprowadzały jej ambitne matki, żadnego spośród dwóch braci, którzy chcieli pracować dla niej bezpłatnie przez pięć lat, byle tylko mogli się u niej uczyć...

Przepowiednia? Jaką przepowiednię chciałby pan zaryzykować? Ciekaw jestem...

Doskonale, mój drogi, widzę, że się pan w nas wsłuchuje. Gdyż tak właśnie było: po swojej ostrzegawczej opowieści przyjął on za oczywiste, że zarzuciłem, a co najmniej skorygowałem swój plan; wypróbował wierzbową fujarkę; wydała jeden jedyny ton, podobny do gwizdu gila; podał mi ją i zadowolony wygramolił się z czółna. Gdy zbliżyliśmy się do

domu, wuj Adam objął mnie ramieniem, zupełnie jakby chciał mi tym gestem wynagrodzić, że wyperswadował mi moje najgorętsze życzenie.

W cztery tygodnie później, po ukończeniu szkoły, punktualnie o siódmej rano, ostrzyżony i z umyтыми rękami, rozpocząłem mój pierwszy dzień nauki tkactwa w domu obok wodopoju, jako pierwszy i jedyny uczeń Sonji Turk.

Nie, nie, może mi pan spokojnie przerywać, niech pan pyta, ma pan po temu wszelkie prawo, gdyż opowiadam jedynie na podstawie swego doświadczenia, powołuję wszystko do życia z własnego punktu widzenia...

A więc co się tyczy księgi: język, w jakim spisano kompendium mazurskiej sztuki tkania kobierców...

Owszem, już pana zrozumiałem... Oczekiwał pan więc obcego, mazurskiego języka. Muszę panu powiedzieć, że osobnego mazurskiego języka nie ma i nigdy nie było... Słowa tak, hermetyczne, wiele znaczące, należące tylko do nas, niektóre zapożyczone z polskiego, pogańskie i germańskie wyrażenia, które się utrzymały, a nawet zniekształcone zwroty francuskie – językowy wkład hugenotów, zbiegłych przed prześladowaniami religijnymi, ale, jak już powiedziałem, czystego języka mazurskiego nigdy nie było... Henrike – jeśli to prawda, że próbuje odtworzyć swój zbiór słów, potwierdzi panu, że nie mieliśmy samodzielnego języka.

Prawdopodobnie wciąż jeszcze nie wie, kogo pan ostatnio odwiedza popołudniami, a może jednak? To mnie najbardziej boli, że Henrike nie rozumie powodów, które zmusiły mnie do tego czynu, że nie pozostało mi nic innego jak tylko zniszczenie naszego muzeum; może pogodziłaby się z tą stratą, gdyby więcej wiedziała, tak, gdybym ją wtajemniczył w swój dylemat...

Poza tym poznała Conny'ego Karrascha i rozmawiała z nim w czasie jego odwiedzin w Egenlund; ostatnim razem nie mogła podać mu ręki, bo właśnie naciągała naoliwiony łańcuch roweru; śmiała się później z

„wypiełgnowanego starego chłopca we flanelowym ubraniu”. Tak, z Conny’ego...

Co wówczas robił? Po skończeniu szkoły? W tym samym tygodniu, w którym Sonja przyjęła mnie do terminu, Conny dostał posadę w łukowieckiej gazecie jako terminator w drukarni u mistrza Weinknechta. Musi pan wiedzieć, że nie był to jego ostateczny zawód, jednak ta praca przyczyniła się do tego, że się rozeszliśmy, że nas rozdzielono. Nie wiem, może z bezradnością podobną do mojej stwierdził moją przemianę, podobnie jak ja obserwowałem jego, a może przyczyną naszego rozstania nie była żadna przemiana, lecz po prostu fakt, że stawaliśmy się coraz podobniejsi do siebie samych, a dorastając spostrzeżyliśmy dzielące nas różnice.

Jak daleko odeszliśmy od siebie, pokazało się w każdym razie w lecie wielkiego plebiscytu, w lipcu dwudziestego roku, gdy machający na powitanie bersalierzy zajęli w marszu Łukowiec, by na polecenie zwycięskich mocarstw czuwać nad tym, aby każdy Mazur bezpiecznie mógł się zdecydować, czy ma przynależeć do Polski, czy do Niemiec.

U nas, w dużym domu nad zakolem rzeki, przesiadywała połowa łukowieckiego Heimatvereinu, szykując tak zwane bramy tryumfalne, malując ojczyźniane hasła na plakatach, splatając wieńce z listowia, by obwiesić nimi wszystkich ludzi na dworcu, którzy przyjeżdżali z daleka po to tylko, by jako rdzenni Mazurzy oddać swój głos. Cóż to był za nastrój! Czy ktoś był muzykalny, czy nie, czuł się zobowiązany do śpiewu. Trzymając się pod rękę w dwunastoosobowych szeregach, łukowieccy mężczyźni z wypiętą piersią przeciągali po bruku naszego spadzistego rynku. W dole nad jeziorem układano stopy drewna na tryumfalne ogniska. Nasze pomniki, czy to z lanego żelaza, brązu czy kamienia, obwieszano wieńcami.

Najskuteczniej działał chyba wuj Adam, ruchliwy kret, grzebiący w naszej przeszłości: sięgał głęboko do muzeum ziemi ojczystej, wyciągał dokumenty, powoływał się na niepowtarzalne świadectwa historyczne; co drugi dzień na dwóch szpaltach przedstawiał w łukowieckiej gazecie

jakieś świadectwo wraz z wiarygodną fotografią. Służył najstarszymi świadectwami lennymi, cytował przywileje, nadawane przez królów pruskich, próbował przeciwstawić niemieckie obyczaje polskim. Wszyscy, którzy czytali rubrykę wuja Adama, mogli się dowiedzieć, że nawet ozdobna stolnica świadczy za Niemcami. Wszędzie ufnąć w swoje siły, demonstracyjna pewność zwycięstwa: Już my im pokażemy. Panowało niemalże współczucie wobec polskich haseł, nawołujących do zjednoczenia z Warszawą, na biało-czerwonych plakatach, zadrukowanych maczkiem, o wiele za małymi literami, obiecujących w nader niejasnych słowach powrót do ojczyzny, zjednoczenie z gotową przebaczyć słowiańską rodziną narodów.

Jednak niektórzy z Heimatvereinu zaniemówili, gdy na krótko przed plebiscytem pojawiły się plakaty, nie tylko czytelne, lecz i wzbudzające niepożądaną uwagę odważnymi hasłami, jasnością sformułowań i siłą argumentów. Nauczyciel Henseleit był zaskoczony, nadzorca Dudej rozdrażniony, wuj Adam posmutniał, gdy rozwinięto na stole zerwany plakat i odczytano tekst, który różnił się od wszystkich pozostałych, jakie strona polska dotąd produkowała; nawiązywano w nim do chronicznej wojowniczości Niemców, do niemieckiego kaca po klęskach; Przypominano Wersal i jego skutki, a tym samym nieocenione korzyści gospodarcze, które mógł zaofiarować tak chronicznie pokojowy kraj jak Polska – teraz, po przegranej znowu wojnie.

Jeszcze drażliwiej reagowano na argumenty historyczne, które zwięźle i treściwie przytaczał plakat, na przykład na fakt, że po roku 1410, po bitwie pod Grunwaldem, cały kraj poddał się Władysławowi Jagielle, polskiemu królowi, który prawdopodobnie sam był zaskoczony szybkością, z jaką złożyli mu hołd biskupi, miasta i szlachta. Wspomniano o przezornym hołdzie pomorskiego księcia Bogusława Ósmego i tak zwanej wojnie głodowej, w której siedmiu niemieckich książąt walczyło po polskiej stronie przeciwko Zakonowi. Wreszcie plakat zapytywał, dlaczego na uczonym soborze w Konstancji skargi Zakonu przeciwko Polsce pozostały bez echa.

Może pan sobie wyobrazić, że niektórzy członkowie łukowieckiego Heimatvereinu byli rozgoryczeni, a przede wszystkim zaniepokojeni. Choć nie aż tak, by poddawać w wątpliwość własne zwycięstwo. Dwu byłych kanonierów zaproponowało, by najpierw odnaleźć tę kuźnię, w której wykuwano polskie hasła; gdyby nie wystarczyły słowa, skłaniające do rezygnacji z tego rodzaju plakatów, wówczas mógłby przemówić większy kaliber. Jak szybko gniew przerodził się w zapał! Plakat ceremonialnie spalono, popiół rozkruszono. Wuj Adam odczytał nowy artykuł, który napisał do swojej rubryki w łukowieckiej gazecie: cytaty z historycznego rozporządzenia dowodzące, że w miastach państwa zakonnego Polacy nie mogli mieszkać już choćby dlatego, że władze uniemożliwiały im osadnictwo. Puścił w obieg oryginał rozporządzenia, który wędrował z rąk do rąk; widziałem, jak mocno drżał gruby, brązowy papier w dłoniach, pamiętam jeszcze, że zadrżał również w moich rękach, tak, z mimowolnego respektu i dlatego że czułem, iż jest to stary, choć wciąż jeszcze ważny dowód, potwierdzający naszą rację.

Wuj Adam; nigdy dotąd nie widziałem go tak wzburzonego jak w dniach poprzedzających plebiscyt; ten zapał, przedstawianie atutów, ta czerpana z przeszłości i wszechogarniająca pewność siebie; sam zaskoczony nieprzewidzianym znaczeniem, którego nagle nabrało jego muzeum, otwierał szuflady, oszklone gablotki i skrzynie, wzywając swych zgromadzonych „świadków”, aby usprawiedliwiać własne roszczenia i odrzucać „niestosowne” żądania.

Słucham? Koniunktura? Tak, mój drogi: wszystko może przeżyć okresy koniunktury, nawet muzeum ziemi ojczystej, gdy złożą się na to określone warunki, a panujące układy odpowiednio się przetasują.

Ale muszę opowiedzieć o plebiscycie, wielkim narodowym plebiscycie w Łukowcu.

Zawsze najpierw przypominają mi się włoscy żołnierze, bersalierzy, którzy zajęli nas w marszu, w marszu kontrolowali nasze namiętności polityczne, dudniącym krokiem dowodzili swojej wszechobecności, a nawet potrafili, groźnie tupiąc, porozumieć się z naszymi powolnymi, acz

nie niechętnymi dziewczętami o ciężkich warkoczach. Podziwiałem żylastych, niewysokich żołnierzy. Przyłączyłem się do ich grupy, biegłem z nimi, a gdy oni machali czapkami, ja powiewałem szczotkowymi odbitkami, z którymi wuj posyłał mnie co drugi dzień do łukowieckiej gazety. O tym, że bersalierzy nie spędzali całego życia w marszu, świadczyła czujka przed brudnoszarym budynkiem redakcji: żołnierz stał na rozstawionych nogach, prawie bez ruchu, trzymając dość lekką broń tak dziwnie, jakby trzymał królika za uszy. Pozdrawiając ich i wymachując odbitkami, przemknąłem między nimi i nie nagabywany podążyłem na pierwsze piętro pełnego załomów budynku, gdzie między działem ogłoszeń a archiwum mieścił się pokój redaktora Kukiełki – co ja mówię pokój; raczej kąt utworzony ze stosów gazet i szaf żaluzjowych, w którym przy wiecznie zamkniętych podwójnych oknach pracował nie tylko najstarszy, ale i najuprzejmiejszy w świecie redaktor – tak mi się przynajmniej wówczas wydawało.

Ledwie wypatrzył jakiegoś gościa, od razu proponował mu swoje własne wiklinowe krzesło, wyciągał ku niemu tabakierkę, zapraszał na łycełki maślanki z poplamionego porcelanowego kubeczka, podczas gdy sam opierał się skromnie o żaluzjową szafę i zawsze tak samo sztywny z podziwu przebiegał wzrokiem przyniesiony manuskrypt. Czy wręczono mu sprawozdanie z kradzieży drobiu, opis wypadku kolejowego czy nastrojowy artykuł o Świącie Zmarłych – wszystkiemu przypisywał to samo znaczenie i każdą zapisaną kartkę trzymał w pozbawionych pigmentu dłoniach tak, jakby chodziło o Depeszę Emską.

Nie wychodząc z podziwu, zabierał się następnie do redagowania, z wysiłkiem pochylając się nad stołem, z wahaniem proponując to skreślenie, to znów nieśmiało podsuwając jeden przymiotnik zamiast trzech, wciąż trwając w podziwie przerabiał cały artykuł, a wreszcie cmokając z podziwu, dawał nową postać zakończeniu. Ernst Kukiełka, najstarszy redaktor naszej łukowieckiej gazety...

To prawda: przynosiłem mu jedynie szpalty, które wuj Adam już przeczytał i które Kukiełka ze swej strony, nadal pełen podziwu, zaczynał korygować; sznurek od cwikiera chybotął się, zarękawki niespokojnie

wycierały stół: ze smakiem powtarzał niektóre sformułowania, zanim je skreślił. Następnie skromnie pisał na szpaltach swoje inicjały, czyli przyzwolenie na druk, a choć wiedział, że znam drogę do drukarni, nie odmawiał sobie tej przyjemności, by za każdym razem towarzyszyć mi na korytarz i odprowadzać aż do krętych schodów.

Ześliznąłem się w dół do drukarni, ale zanim odniosłem odbitki do mistrza Weinknechta, który przy złym świetle składał nagłówki, przemknąłem się niezauważony do toalety na dole. Jak zwykle była zatkana; aby przepchnąć mokry papierowy korek przez zgiętą rurę odpływową, chwyciłem przygotowany druciak, zakończony rodzajem haka, i zacząłem ostrożnie wiercić, przepychać i przeciągać, ale hak wciąż wyciągał z powrotem namokły papier. Już miałem zrezygnować, gdy wypłynęło coś biało-czerwonego, wybrzuszyło się, pozwalając rozpoznać polskie i niemieckie litery. Dla zamaskowania przyrzuciłem plakat skrawkami łukowieckiej gazety, gwizdząc pomaszerowałem do drukarni i oddałem szpalty mistrzowi Weinknechtowi, który bez słowa nadziei je na jeden z rzeźniczych haków, po czym dał znak Conny'emu, porządkującemu kaszty, wyciągając ku niemu do połowy napełnioną butelkę piwa.

Znak ten nie był Conny'emu obcy; wiedział, że wprawdzie nie zaraz, ale w ciągu następnej godziny będzie musiał przynieść następną butelkę piwa „Masovia”. Podobnie jak inni zecerzy i drukarze nosił roboczy kitel; był on jeszcze trochę sztywny i błyszczał nowością, ale miał już mnóstwo solidnych plam. Skinieniem przywołał mnie do siebie, ukryliśmy się za wysokim stołem; z ironicznym uśmiechem przekazał mi paczkę ogłoszeń, które wydrukował sam za plecami zwierzchników, obwieszczeń o narodzinach, zaręczynach i zgonach, pierwsze potajemne ćwiczenia, złożone półtłustym albo tłustym drukiem; we wszystkich ogłoszeniach widniało moje nazwisko. Może pan sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy przebiegłem je wzrokiem. „Dziś po cierpliwie znoszonym świerzbie zmarł tkacz Zygmunt Rogalla” albo: „Zguby. W jednej z kabin na plaży znaleziono dwoje szklanych oczu. Do odebrania u Zygmunta Rogalli”. Niedbale rzucał nazwy czcionek, tłumaczył mi różnice między gotykiem Weissa, starą szwabachą i frakturą Ungera; większość zapomniałem, z

wyjątkiem uncjały Hammera, gdyż tą ostatnią Conny wydrukował ogłoszenie o zaręczynach: „Pozdrowienia z Haparandy przesyłają zaręczeni: Edith Karrasch i Zygmunt Rogalla. Pościg bezcelowy”. Jeszcze zanim majster go zawołał, zleciłem mu pierwsze prywatne zadanie: wydrukowanie etykiet dla inwentarza naszego muzeum ziemi ojczyściej; listę miałem mu dostarczyć, honorarium wynosiłoby dwie marki, płatne w ratach...

Siostra idzie? Nie musi się pan żegnać, mój drogi, niech par jeszcze chwilę zostanie, siostra Margaret przyniesie chyba tylko lekarstwo.

Dziękuję, siostrze, poznała już pani Martina Witta, mojego najcierpliwszego gościa. Póki jest przy mnie – tak, póki tu jest, wydaje mi się, że czuję się lepiej...

Czy opatrunek uciska? Wcale nie, siostrze, ani trochę, nie czuję go bardziej, niż czuje się na sobie sweter. Kiedy pani przyniesie mi herbatę, będzie pani pamiętała o drugiej filiżance dla mojego gościa?

No, już poszła. Widzi pan, po jej pośpiechu może pan poznać, jak jest życzliwa dla swego trudnego pacjenta.

Nie, nie pochwała tego, co zrobiłem. Wczoraj wieczorem zarzuciła mi, że odebrałem wielu ludziom możliwość tego szczególnego powrotu do ojczyzny; powiedziała, że dopóki istniało nasze muzeum, nasi ludzie mogli, choćby tylko we własnej wyobraźni, wrócić do domu; teraz ta możliwość zniknęła... Ale o czym to mówiliśmy?

Racja, o wielkim plebiscycie, wydarzeniu, które wykorzystaliśmy w Łukowcu, by dać wyraz swoim uczuciom i życzeniom, poczuciu wspólnoty, pragnieniu przynależności; nie było chyba nikogo, kto nie witałby plebiscytu z radością. Na pewno zrozumie pan, że musiałem opowiedzieć wujowi Adamowi o odkryciu w toalecie drukarni. Przyjął to z niedowierzaniem, przekazał jednak bez wahania ludziom z Heimatverein. Było to na dzień przed plebiscytem. Naradzali się niestrudzenie, nie wszystko rozumiałem, lecz z min, gestów i pojedynczych słów mogłem sobie odtworzyć ich zamiary, a gdy

nauczyciel Henseleit i dawny kanonier wyruszyli w drogę, wymknąłem się i ja, a znając ich cel, pokłusowałem wzdłuż jeziora Łukowiec i dużo wcześniej niż oni znalazłem się pod budynkiem redakcji, to znacząco skuliłem się za stojakami do suszenia garnków na wyboistym, odśnieżonym podwórku garncarza, zaglądając przez parterowe okna do drukarni, gdzie poruszali się teraz w świetle elektrycznym, rzucając cienie. Tak, musiałem się zwierzyć wujowi ze swojego odkrycia, w końcu podzielałem jego ufność i pewność zwycięstwa, a sposób, w jaki mnie oświecał, już dawno nawrócił mnie na jego wiarę.

Również obydwoj obserwatorzy, których śledziłem, przyszedli po pewnym czasie na podwórze garncarza; poruszali się ostrożnie, w końcu ustawili się za mizerną osłoną sita do piasku o wysokości człowieka, jeden z nich zapalił papierosa. Gdy zmieniono podwójny posterunek bersalierów, usłyszałem parę lekceważących uwag; wydawało mi się, że kanonier zrobił kilka próbnych kroków w miejscu. Był to, jak już wspominałem, dzień przed plebiscytem, suchy, łatwopalny lipiec, od rynku dolatywał śpiew mężczyzn, powolne łodzie wiosłowe rozwoziły lampiony po jeziorze, z wielu okien zwisały oklapłe flagi, niektóre uszyte w pośpiechu. Z drugiej strony zarośniętej zatoki obok Małego Grajewa prawie wszystkie drewniane chaty były ciemne, tylko jedna jedyna pochodnia przeszukiwała zbocze wzdłuż i wszerz. To napięcie, ten uroczysty nastrój: wydawało się, że całe miasto żyje jakby przed ogromną kurtyną, gorączkowo oczekując na jej podniesienie i początek sztuki, która potwierdziłaby oczekiwania wszystkich. Tak, tego przede wszystkim pragnęliśmy, potwierdzenia.

Gdy za sitem upadł w piasek mały żarzący się ogarek papierosa, spojrzałem ku bocznemu wyjściu z budynku redakcji, w kierunku wybrukowanej bramy wjazdowej, gdzie stało dwóch mężczyzn z rowerem między sobą, niezdecydowanych, jakby chcieli opóźnić pożegnanie: Conny i mistrz Weinknecht. Jeden z wartowników coś do nich zawołał, podeszli pod latarnię uliczną, zielonkawy blask oświetlił ich twarze, odkrzyknęli coś, po czym wsiedli obaj na rower i pokolebali się w kierunku rynku, obok męskich chórów i gmachów publicznych, oświetlonych i ubranych jedliną. Mistrz Weinknecht naciskał pedały, Conny siedział skulony na

ramie. Dopóki przeciskali się przez ożywione tłumy na rynku, ich prześladowcy mogli łatwo za nimi nadążyć, a z kolei ja – za prześladowcami; nagle jednak skręcili ku jezioru, na starej Tischlerstrasse nabierali coraz większego rozpędu, wpadli między zieleń nad brzegiem – prześladowcy i ja zaczęliśmy biec, przeciskaliśmy się przez ten sam żywopłót z tui i wpadliśmy na podobny do pagody, oparty na palach dom łukowieckiego klubu wioślarskiego...

A teraz niech się pan ustawi po prostu za nami i przygląda, jak krążek światła latarki wędruje po drewnianej ścianie budynku klubu koloru czerwonego wina, jak skacząc i podnosząc się w górę bada ścianę, prześlizguje się przez coś biało-czerwonego, wraca doń i wreszcie zatrzymuje się na nim dłużej. Obok wejścia, na wysokości oczu wisiał pierwszy plakat, przyklejony grudkowatym kłajstrem; mężczyźni zdarli go, jak zdziera się naskórek, oparzony słońcem, po czym usunęli wszystkie plakaty, którymi wyklejony był budynek klubu, tak, cały krąg plakatów, które wykrzykiwały polskie hasła aż ku pomostowi. Prześladowcy nie musieli się naradzać, zdawali się wiedzieć, jaką drogę obrali ci, którzy nakleili plakaty: znając cel podążyli pewnie do browaru „Masovia”, ku ogrodzeniu z desek, chroniącemu bloki lodu, spoczywające pod trzcunami.

Wisiały tam następne, biało-czerwone, lśniący klej spływał w dół, tuzin plakatów: Uwaga, uwaga, drodzy obywatele, decyzja jeszcze nie zapadła, dziś, w dniu plebiscytu, powinniśmy się jeszcze raz wspólnie zastanowić, pomijając przesady i pozbywając się nacjonalistycznych końskich okularów, pamiętając o lekcji, jakiej udzieliła nam historia, zachowując uczciwość wobec swego pochodzenia, i tak dalej...

Rozklejający plakaty sądzili najwidoczniej, że jeszcze w dniu plebiscytu wywrą wpływ na rannych spacerowiczów, może nawet w drodze do lokalu wyborczego. Nie chcę zatrzymywać się przy opisie prześladowców, usiłujących zerwać wszystkie zauważone przez siebie plakaty, odrywać lepkie strzępki, odklejać je od palców; rozgorączkonych, przeklinających, gdyż nasiąknięte klejem kawałki papieru nie dawały odlepić się od rąk – muszę wrócić do łukowieckiego kąpieliska, gdyż tam się spotkali i starli.

Właśnie oklejali hasłami budki kąpielowe i szemrzące nawet w bezwietrzne dni srebrne topole – Conny trzymał rower, na którego kierownicy huśtał się garnek z klejem – byli więc w wirze pracy, gdy nauczyciel Henseleit i dawny kanonier wśliznęli się przez furtkę kąpieliska i po krótkiej chwili lęklivego bezruchu niemal jednocześnie wyrosli za mistrzem Weinknechtem. Uderzyli go również niemal jednocześnie. Nie podtrzymali go, gdy ugięły mu się kolana i osunął się bezwładnie w ciepły piasek koło pnia topoli. Najwidoczniej niczego więcej od niego nie chcieli, ruszyli z hałasem w bok i pochwycili Conny'ego, który próbował uciec na rowerze, chwycili go, gdyż nie uciekał dostatecznie szybko w głębokim, sypkim piasku, i jeden z nich wsadził mu na głowę garnek, chyba do połowy wypełniony klejem, od tyłu, podrzucając go do góry, po czym okręcali go wokół jego własnej osi jak dziecinnego bąka, tak długo, aż się potknął i upadł...

Niech mnie pan lepiej nie pyta, jak Conny wyglądał z bliska – później nad rzeką, gdzie po udanej ucieczce pomagałem mu zmyć klej z włosów i skóry: posklejane rzęsy, matowy połysk pleców niczym u foki, brwi perlące się żywicą, ba, nawet między palcami u nóg tkwił klej i podsuszony napinał się jak błona pławna...

Oczy Conny'ego płonęły, jeszcze prawie nie słyszał, myślał, że stracił poczucie równowagi. Nie wymiotował, ale wciąż wypluwał ślinę, która zbierała mu się w ustach. Milcząc praliśmy i płukali jego ubranie, po czym prześliznęliśmy się przez przybrzeżne ogrody – Conny tylko w mokrych spodenkach gimnastycznych – i dotarliśmy do domu, gdzie wuj Adam siedział wciąż jeszcze z członkami Heimatvereinu, przed barwną mapą ścienną Mazur, pokrytą tajemniczymi kółkami, kropkami i krzyżykami. Po pozbawionym okien węgle wdrapaliśmy się do domu, dostali do mojego pokoju i rozwiesili rzeczy Conny'ego do suszenia na parapecie. Pchnąłem go na moje łóżko i położyłem się obok. – Możesz u mnie zostać, Conny – powiedziałem – możesz zostać do jutra rana. – Przeciągnął mokrym ręcznikiem po twarzy i mówiąc przez tkaninę, zaczął sobie robić wyrzuty, że nie został przy mistrzu, zostawił go leżącego na piasku pod srebrnymi topolami kąpieliska.

Co pan mówi? Ależ oczywiście, bardzo mi zależało, by się tego dowiedzieć, i nawet nie musiałem niczego z niego wyciągać. Sam zaczął o tym mówić w nocy, gdy zwilżałem ręcznik w dzbanku z wodą. Nigdy jeszcze nie słyszałem, by tak mówił, z taką goryczą i taką świadomością, świadomością zapożyczoną, tak właśnie, już wtedy miałem wrażenie, że jego wyznania i uczucia były dla niego o numer za duże, że dopiero musiał do nich dorosnąć, by mu „pasowały” i stały się własnymi. Pogardzał mianowicie cielęcym nabożeństwem członków łukowieckiego Heimatvereinu, widocznym z ich spojrzeń, gdy spoglądali choćby tylko na mazurską brzozę; ponieważ z idei ojczyzny uczynili religię, obawiał się, że pewnego dnia potraktują innych jak niewiernych. Ale najbardziej śmierzącą sprawą, jak się wyraził, była idea kraju na rubieżach: gdzie niewyżyci narodowi kucharze dodają do własnych obyczajów narodowego sosu, tam mniejszościom narodowym nie jest do śmiechu. Zapytałem go, w czym interesie rozklejał te plakaty, a Conny powiedział dosłownie: w imię rozsądku; miały one wyjaśniać, że nasza straszliwa historia daje każdemu prawo do życia w tym kraju. Nagle zerwał się, chciał wracać po ciemku do kąpieliska, by pomóc mistrzowi, tak, mistrzowi Weinknechtowi, do którego przystał od pierwszego dnia swojego terminu, którego podziwiał i naśladował włącznie z gestami; z trudem przekonałem go, by został. Znowu położyłem mu wilgotny ręcznik na twarzy i nie widząc jego oczu mówiłem do niego z góry to, co, jak sądziłem, należało powiedzieć: że w ojczyźnie pokładam wiele ufności, że w niej nasza obrona i energia do stawiania oporu. Wówczas ściągnął ręcznik, spojrział na mnie ze współczuciem i powiedział: – Zapomniałeś o jednym, Zygmunt: o nienawiści, biorącej się z tego wszystkiego, co nazywasz ojczyzną, nienawiści do innych: mistrz Weinknecht padł właśnie jej ofiarą. On nie jest Polakiem – ciągnął – nie chce też, by Łukowiec stał się polski, chciał tylko pokazać, że nikt nie ma większego prawa do tych lasów i jezior niż inni. Każdy powinien móc wybierać, gdzie będzie jego ojczyzna, a inni nie powinni mieć prawa mu tego odmówić.

Ależ proszę, Martinie, niech pan pyta...

Podejrzenia? Czy Conny nigdy nic nie wspominał o swoich podejrzeniach? Owszem, następnego ranka, po powrocie z kąpieliska; dokonaliśmy

inspekcji miejsca, gdzie powalono mistrza, śledziliśmy ślad roweru aż do mostu, a pod mostem, gdzie zwiesiliśmy nogi do wody i żuli powoli mój chleb ze smalcem i skwarkami, wyraził podejrzenie, że ktoś musiał ich zdradzić; sądził również, że wie, kto to był. Ograniczył się do tej aluzji, jadł ze smakiem, pił wodę z rzeki, nie odrywając wzroku od belek mostu, gdyż nad nami skakano, deptano i szurano, aż piasek sypał się w dół. Śmigały tam dzieci, dudniły ociężałe rodzinne pochody, z porannym śpiewem ciągnęła do Łukowca szkoła gospodyń domowych. Ach, to uniesienie, ten świąteczny nastrój: czy może pan sobie wyobrazić, że idzie się głosować jak na uroczystość? Nasi ludzie byli w niedzielnych ubraniach, dzieci nie poszły do szkoły, zamknięto wszystkie warsztaty. Szło zdumiewająco dużo inwalidów, prawie wszyscy przypięli swoje odznaczenia. Koło browaru przygadywano dobrodusznym Belgom o szerokich zadach. Na skwerze hałasowali bosonodzy marynarze słodkich wód. Muszę przyznać, że najchętniej byłbym w kilku miejscach naraz.

Ponieważ Conny wciąż jeszcze skarżył się na zaburzenia równowagi, zawlokłem go rankiem w dniu plebiscytu do Sonji Turk, do domu z grubo ciosanych bali nad wodopojem. Moja mistrzyni wyszła nam naprzeciw, w sukience z rzadko spotykanym haftem z rybich łusek, przerobionym prezencie od Bianki, włosy zebrała w kok, a ten z kolei umocowała tuzinem różnych szpilek, były w nich nawet krótkie druty do wełny. Wypchana torebka, przygotowany czarny szydełkowy szal wskazywały na to, że Sonja chciała wyjść z domu. Zapytała, czy przysłał mnie „Wole Oko”, jak z dobroduszną kpinią nazywała wuja Adama z powodu wybałuszonego lewego oka. Spieszyła się, chciała iść do Łukowca, by „wrzucić głos do puszek”, mimo to była gotowa udzielić najpierw pomocy Conny’emu, który musiał oprzeć się na moim ramieniu, podziwiając małe ściennie kobierce. Sonja Turk kazała mi opowiedzieć o wypadku Conny’ego, nie była zdumiona ani oburzona, tylko cierpliwie kiwała głową, po czym założyła roboczy fartuch, wlała letnią wodę do miski i zeskrobała z czarnego mydła delikatne wiórki, które po lekkim rozmieszaniu rozpuściły się w wodzie. Conny musiał usiąść na krześle, z rękami do tyłu, mnie kazano go przywiązać. W czasie sumiennego badania pacjenta nie mówiła o wynikach badania, lecz obszernie

uzasadniała swoją decyzję o wzięciu udziału w plebiscycie. Ach, szkoda, że pan nie słyszał, z jakimi myślami szła do urny znakomita mistrzyni tkacka...

Jednoznacznymi? To się pan myli! Po pierwsze Sonja Turk jeszcze raz potwierdziła, że jest wiercipiętą, niespokojnym duchem: – Mieliby z moim głosem zwyciężyć Polacy – zaczęła – to w Łukowcu byłoby galanto, ale za niechlujnie. A jak my będziemy górą, to znaczy zostaniemy przy Rzeszy, to znowu będzie oszczędność i brunatny sos. Żdziebko polskiej lekkomyślności wcale by nam nie zaszkodziło, jeśli tylko Rzesza zatroszczy się o kartofle i kapustę.

Spokojnie badając gardło, oczy i uszy Conny'ego, mówiła dalej, chwalać szczególną zdolność Polaków do słyszenia niebiańskiej muzyki wszędzie, gdzie się tylko dało, zadając sobie jednak pytanie, co będzie z kapelą łukowieckiego garnizonu, która potrafiła tak galanto paradować w białych portkach. Powiedziała też: – Nikt nie potrafi tak czytać między wierszami życia jak Polak, ale co się stanie z naszym Łukowcem, kiedy będą w nim sami artyści? – Sonja Turk porównywała obie możliwości, celnie formułowała różnice, dawała przykłady, przemawiające za jednymi i drugimi, a na moje pytanie, czy w takiej rozterce będzie w ogóle mogła głosować, wyznała: – Obie, obie strony dostaną mój głos – jedni z przekonania, drudzy z uprzejmości.

Powiedziała to mimochodem, wymachując trzymanym w ręce drutem do wełny, który wyciągnęła z koka, owinęła kłębkim waty i delikatnie okręcając, wsunęła Conny'emu do ucha, nasłuchując, po czym wprowadziła go jeszcze głębiej, tak głęboko, że bałem się, iż drut wyłoni się zaraz z drugiego ucha. Okręciła drut, wyciągnęła zwitek waty, powąchała go, co najwidoczniej potwierdziło jej podejrzenie; następnie przycięła cienką, długą na mniej więcej dwa palce rurkę bambusową, wciągnęła ustami roztwór mydlany i z siłą potężnego szkwału wdmuchnęła go Conny'emu do ucha. Powtórzyła to sześć albo siedem razy. Conny zachwiał się, pociekło mu z ust i uszu, szarpnął się w więzach, ale uwolniłem go dopiero na znak Sonji.

Nie przesadzę, jeśli panu powiem, że Conny rzadko był w takiej formie jak po owym zabiegu; nie tylko zniknęły zakłócenia równowagi, czuł się lekki, zdawał się niemal fruwać, a przede wszystkim miał apetyt na przygody. Sonja Turk zabezpieczyła dom, rozpryskując czystą wodę łukiem przed drzwiami – żaden zamek, rygiel czy łańcuch nie dawały według niej pewniejszej ochrony – po czym stanęliśmy z obu jej boków i wyruszyliśmy razem do Łukowca, prosto w wir plebiscytu.

Każdy dorosły Mazur mógł oddać swój głos w męskiej albo żeńskiej szkole, w obydwu urządono lokale wyborcze, strzeżone przez oddziały bersalierów, przed obydwoma zieleniły się uplecione z jodły i gałęzi brzozowych, umocnione jedynie palikami, tak zwane bramy tryumfalne, przez które wchodził każdy, kto chciał oddać głos za Niemcami i od razu okazać to publicznie. Wielu spośród tych, którzy mieli to już za sobą, trwali jak uwięzani na boiskach obu szkół, stali grupkami, paląc i plotkując, jednocześnie jednak zerkając nieufnie, bez słowa, na uprawnionych do głosowania, zbliżających się właśnie do ceglanego budynku.

Sonja Turk, która wybrała szkołę męską, podeszła do bramy tryumfalnej, urwała gałązkę brzozy, wykonała ostry zwrot obok bramy i doszła już prawie do drzwi, gdy ku naszemu zdumieniu zastąpił jej drogę wuj Adam. Skłoniwszy się lekko, zapytał, czy zdaje sobie sprawę z tego, co zademonstrowała. Chciał wiedzieć, czy może dlatego nie przeszła przez bramę, że zdecydowała się oddać głos na Polaków. Wreszcie zapytał, co zrozumieli jednak tylko wtajemniczeni, czy swoją prywatną dwuznaczność chce rozszerzyć również na sprawy polityczne.

Moja mistrzyni spojrzała nań zaskoczona, uśmiechnęła się smutnie, manifestując w ten sposób wiedzę, która pozwalała domyślać się wspólnego doświadczenia, po czym ku zachwytowi Conny'ego zawróciła ten niewielki kawałek drogi, przeszła przez bramę tryumfalną, oddając głos po raz drugi, i bez przeszkód weszła do budynku szkoły.

Nie, nie pozwolono nam wejść z nią razem, wałęsaliśmy się po podwórzu szkolnym i nadrzecznej łące, ku której opadało boisko, koło bud, w

których sprzedawano pączki i zachęcano do udziału w loteriach, obok niedbale rozbitych namiotów, w których gimnazjaliści z wytrzeszczonymi oczami pili piwo na stojąco, śpiewali i znowu pili. Z kuchni polowej rozdawano za darmo pyzy ze skwarkami, ładnie zaciągnięte jajkiem, zjedliśmy po kilka porcji i powlekliśmy się w dół ku nadrzecznej łące, gdzie wśród trawy stał fortepian: chłopcy i dziewczęta z łukowieckiego zespołu ludowego przedstawiali „Wiosenne wypędzanie bydła na Mazurach” pod kierunkiem muzycznym Hedwig Neiss-Walendy, którą wszyscy u nas znali. Na znak dany zgrabnym strzałem z bicia grupa dzieci rzuciła się przez wyimaginowany próg obory, ze rżeniem i porykiwaniem, roztrzaskując się w biegu, a gdy odkryły lemiesz pługą i siekierę – oklejone srebrnym papierem – zaczęły tańczyć, naśladując cielęta, owce i kozły, szczęśliwe, że błyszczące symbole oddalą od nich pioruny i choroby, a prócz tego przeszkodzą, by jakiś obcy, może włóczęga, odebrał im mleko.

Conny, uparcie milczący i często spoglądający na mnie kątem oka, nie czekał do końca, pociągnął mnie dalej ku ciężkim wozom z browaru, na których mężczyźni w skórzanych fartuchach odcinali kawały mięsa z pieczonego wołu i otwierając usta z przejęcia, podawali grupie ludzi, którzy najwidoczniej brali udział w zawodach w jedzeniu – był tam nadzorca Dudej, dwóch zsiniałych żarłoków i niepozorna kobieta, sprawiająca wrażenie wdowy, która nie tylko dotrzymywała im kroku, ale, co można było wyczytać ze spojrzeń konkurentów, była bliska zwycięstwa. Właśnie powiększyliśmy grono podziwiałych, gdy przez namioty, budy i grupy przeleciała jak hasło alarmująca wiadomość: idą Polacy, Polaczki z Małego Grajewa.

Tak, można by przypuszczać, Martinie, że ludzie z Małego Grajewa będą próbowali szybko i niepostrzeżenie dotrzeć do lokalu wyborczego, pamiętając przeżyte upokorzenia i beznadziejny opór; ja również oczekiwałem, że przemkną się z opuszczonymi głowami. Ale oni nadeszli w dwuszeregu, wyprostowani, na czele z dziećmi trzymającymi się za ręce; niektóre dziewczynki ubrane były w zachowane sukienki od pierwszej komunii i miały polne kwiaty we włosach, niektórzy chłopcy – białe koszule i wytworne chusteczki w kieszonce na piersi. Dorośli byli również w odświętnych ubraniach, kroczyli nie tyle uroczyście, co w

skupieniu, z podniesionym czołem i najwidoczniej zdecydowani nie dać się zawrócić ani sprowokować. Gdy luźna procesja Polaków pojawiła się na boisku, nasi ludzie, zaskoczeni, powychodzili z bud i namiotów; stłoczyliśmy się, mimo woli utworzyliśmy szpaler, sztydzącą ulicę, przez którą musieli przejść, liczba naszych niebezpiecznie rosła, ale Polacy nie zawrócili. Widzowie opuścili zespół taneczny. Ociekający tłuszczem zawodnicy przerwali zawody w jedzeniu. Bersalierzy przypomnieli sobie o swoich obowiązkach i oderwali wzrok od mlecznobłękitnych oczu łukowieckich dziewcząt. Może sobie pan wyobrazić napięcie, które wszystkich ogarnęło... W jaki sposób się rozładowało?

Nagle jeden z gimnazjalistów zaczął śpiewać, był to śpiew protestu i tryumfu; ze szklanicą piwa w ręce zaintonował „Oddałem się...” i prawie wszyscy, stłoczeni w szpalerze, zaczęli śpiewać razem z nim. Był to chorał, z którym kiedyś studenci ruszyli przeciwko karabinom maszynowym pod Langemarck – teraz kierowaliśmy nasz śpiew przeciw roszczeniom Polaków, coś sobie wzajemnie obiecywaliśmy, przyrzekaliśmy, licząc na to, że ludzie z Małego Grajewa zawrócą i zrezygnują z oddania głosu.

Jednak nie dali się zatrzymać ani zastraszyć; jak gdyby również coś sobie obiecali, kroczyli przez szpaler w kierunku szkoły, wymijając wśród narastającego śpiewu bramę tryumfalną, zbudowaną nie dla nich. Ponieważ śpiewałem razem z innymi, więc tylko kątem oka widziałem, co kilku starszych gimnazjalistów robiło z Conny’ym, który nie otwierał ust, nie chciał śpiewać, choć sykali na niego i grozili. Kopali go pod kolana, szturchali łokciami. Nagle jęknął, skulił się i umknął, ścigany ich przekleństwami. Nie chciałem i nie mogłem biec za nim, musiałem obserwować ludzi z Małego Grajewa, zdecydowanych oddać Polakom Łukowiec; poczekałem, dopóki po oddaniu głosu nie wrócili do czekających dzieci i nie oddalili się przez milczący, nieruchomy szpaler. Ich twarze – nie widziałem na nich nadziei ani zadowolenia, lecz co najwyżej ulgę, to tak; do dziś nie wiem, dlaczego zaczęliśmy klaskać, gdy Polacy byli już poza zasięgiem głosu.

Tak, tak, mój drogi: potem można było dalej świętować, obchodzić uroczystość wyborów, gdyż nikt z nas nie wątpił, że zwycięży strona

niemiecka, interesowały nas tylko procenty. Szukałem Conny'ego, najpierw nad rzeką, pomiędzy karuzelami, wśród strzelców przy strzelnicach i słuchaczy, dopingujących pijanego harmonistę. Nie było go ani na placu przed dworcem, gdzie wyraźnie znudzony niedźwiedź kazał tańczyć swojemu przewodnikowi, ani przed hotelem „Luisenhof”, gdzie w kilku grupach grano w salonowca. Obok obwieszonych proporczykami, przypominającego łódź wózka z lodami natknąłem się na Edith. Chłopcy, stojący obok niej, zebrali o porcję lodów, mali smarkacze, ale i koledzy w jej wieku, którzy zresztą dostawali to, o co ją męczyli, po wypełnieniu warunków Edith. Jednemu kazała wdrapać się na lipę, drugi musiał wyglansować jej pantofle z klamerkami, po czym postawiła im trzy kulki lodów do wyboru.

Nie widziała Conny'ego, też biegła i szukała, by go sprowadzić do domu, gdzie przez całą noc obawiano się o niego; teraz przyłączyła się do mnie i wspólnie przeczesywaliśmy rozgorączkowany Łukowiec aż do nowej wieży ciśnień, bez skutku, bez skutku wędrowaliśmy brzegiem jeziora, w końcu zaciągnęła mnie na półwysep, pod pomnik bośniackiego wodza von Günthera, w którego cokole nie chowałem się od czasu, gdy złapali tam Eugena Lawrenza. – Tutaj? – spytałem, a Edith zwierzyła mi się, że kilka tygodni temu Conny obrał sobie pomnik za główną kryjówkę i nawet urządził go sobie, gromadząc wszystko, co potrzeba, gdyby musiał zniknąć na pewien czas.

Rozejrzeliśmy się, po czym wdrapaliśmy się po żelaznych zaostrzonych prętach. Najpierw stukaliśmy w płyty, wołaliśmy go po imieniu, potem podnieśliśmy jedną z płyt i wcisnęliśmy się głową naprzód do wnętrza cokołu, wkładając płytę znowu na miejsce. Obmacywałem wnętrze rękami i wciąż natrafiałem tylko na nią. Gdy nadśluchiwałem, słyszałem tylko jej przyspieszony oddech. Tylko jej palce dotykały mnie i sprawiały, że kuliłem się gwałtownie. – Pomacaj – mówiła, biorąc moją rękę i opukując ją podłóże; moja dłoń, kierowana przez Edith, wędrowała badawczo po podłożu, aż coś zatrzeszczało, odkryłem coś suchego i miękkiego: było to legowisko Conny'ego. Edith wciąż trzymała mnie za rękę, chyba klęczała, pomagając mi widzieć w ciemności. – Tutaj, w tym blaszanym kanistrze, jest chleb świętojański, tylko nie bierz. Teraz, w tej

torebce, czujesz suszone jabłka? A teraz wyciągnij rękę trochę dalej: w tej butelce jest nafta, nie ma jeszcze lampy.

Prowadzony przez nią, wymacałem linę, zapas gwoździ i zapalek, drewniane pudło z narzędziami. Może pan sobie wyobrazić, że nie czułem się dobrze. Przypuszczałem, że Conny wcale nie byłby uradowany, gdyby odkrył nas w swojej dobrze zaopatrzonej kryjówce, i coraz natarczywiej namawiałem Edith, że jeśli już w ogóle mamy czekać na jej brata, to na dworze. Moje wezwania pomijała milczeniem. Zdawała się w ogóle nie obawiać Conny'ego. Cierpliwie, chwilami niechętnie, kierowała moją dłońią, skłaniając mnie do macania i zgadywania i zmuszając do wytworzenia sobie obrazu wszystkiego, czego dotykałem.

Proszę wybaczyć, że przerwę: zastrzyk przestaje działać, znowu zaczyna boleć. Czy mogę pana prosić, żeby podał mi pan te dwie tabletki, te małe żółte, i do tego łyk z filiżanki z dziobkiem... Dziękuję, to pomoże... Ten ból, wie pan, czasem mam uczucie, że przypomina mi o tym, skąd się wziął: liże płonącym płomieniem całe ciało, rozsiewa na plecach kuleczki żaru...

Nie, nie, powiem panu, kiedy ma pan odejść: musi się pan jeszcze dowiedzieć o pewnej drobnostce.

W tym cokole: ciągle jeszcze tkwiliśmy tam w cokole pomnika, Edith i ja, zajęci poznawaniem i macaniem, wcale nie zdziwieni faktem, że również w ciemności można się dobrze orientować – i nagle głosy. Naraz usłyszeliśmy głosy, tak, obce i donośne; wpełziliśmy w kąt i przytuliliśmy się do ściany cokołu, ukryliśmy twarze, by nagle nie oślepiło nas światło, kiedy zdejmą płyty.

Początkowo mogłem rozróżnić trzy głosy, potem, po przerwie, mówił tylko jeden; próbowaliśmy go zrozumieć i przerażaliśmy się, zląkliśmy się, gdyż głosy ryczały, groziły, zaklinały się, a gdy Edith chwyciła mnie kurczowo i szepnęła przestraszona: – Oni nas zmiażdżą, Zygmunt, może wysadzą w powietrze – nie wytrzymałem dłużej: wdrapałem się do środka generała, przecisnąłem przez uda, odsapnąłem w brzuchu, podwójnie oparty wciągałem się coraz wyżej, aż moja głowa utkwiała w jego głowie, a moje oczy użyczyły migocącego blasku jego martwemu,

zamyślonego wzrokowi. Trzymając się kurczowo na poziomie maleńkich szpareczek, które zostawiono w jego oczach, patrzyłem poprzez starego dowódcę Bośniaków w dół, na półwysep; pod nami, obok żelaznego ogrodzenia, odkryłem pięciu czarno ubranych członków łukowieckiego Heimatvereinu, z goździkami w klapie i cylindrami na głowie. Jeden z mężczyzn trzymał wieniec z dębowych liści, który po przemówieniu zawiesił na parkanie, pieczołowicie rozpostarł wstążki, aż zaczęły powiewać na wietrze. Gdy cofnął się do znieruchomiałego szeregu swoich towarzyszy, wykrzyknęli razem, choć nierówno, ale przenikliwie: – Niech żyje! – aż kilka wron poderwało się do lotu. Poczekąłem, aż odeszli, w dziwnej zresztą, pojedynczej kolumnie, prawie jak dzikie gęsi, po czym spuściłem się w dół, do Edith, i zacząłem ją uspokajać, głaskać, rozplotłem obwisłe precle z warkoczy, pchnąłem ją na legowisko Conny'ego, by się odprężyła, i tak dalej, aż rozgniewała się i oświadczyła, że nie chce, bym ją obmacywał...

Myli się pan, to bynajmniej nie był szczyt uroczystości plebiscytowych ani ich zakończenie. Conny wciąż nie nadchodził, i choć ciemność we wnętrzu cokołu okazała się wręcz przyjemna, to jednak mieliśmy uczucie, że zbyt wiele tracimy z wydarzeń w mieście, opuściliśmy więc kryjówkę. Nie pytając, gdzie zdążają rozbawione grupy, przyłączaliśmy się to do jednej, to do drugiej, pozwalaliśmy się unosić tłumowi, wzmacniając natężenie entuzjastycznych okrzyków, przeważnie z rozkiem lodów w rękę, owocowych i waniliowych. Pod wieczór poszczególne grupy zaczęły stopniowo się zlewać, kierowane niecierpliwością, ogarnięte oczekiwaniem, które je łączyło, wspólnie ruszyły przez rynek i stłoczyły się przed hotelem „Luisenhof”, gdzie obliczano wyniki plebiscytu. Tutaj też miały być podane do wiadomości. Kiedy wspominam to wieczorne zgromadzenie, przychodzi mi najpierw na myśl opadanie radosnego nastroju, zamieranie entuzjazmu, powoli uspokajało się falowanie tłumy, bez rozkazu czy hasła; w powszechnej ciszy, która zapanowała, zapłonęły pochodnie. Wciąż jeszcze widzę mieszkańców Łukowca, czekających w świetle pochodni, słyszę tylko pomruki i stłumione słowa; tu i ówdzie ludzie trzymali się pod ręce. Pamiętam jeszcze, że nieustannie badałem twarze osób stojących w pobliżu, po prostu dlatego, iż przypuszczałem, że

przyjdą i ci z Małego Grajewa, by dowiedzieć się oficjalnych wyników, ale nie rozpoznałem żadnego z nich, także i później.

Wreszcie otwały się drzwi jednego z balkonów hotelu „Luisenhof”, wyszedł tak zwany komisarz plebiscytu, z odkrytą głową, za nim postępowało pół tuzina pomocników i świadków – wśród nich Alfons Rogalla, mój dziadek; niezależnie od innych, już po jego wyrazie twarzy, po tryumfalnym uśmiechu, który demonstrował, można było odgadnąć wynik plebiscytu: musiało to być jednoznaczne zwycięstwo. Mimo to chyba nikt spośród cierpliwie czekających nie liczył na wielkości, które oznajmiono nam z balkonu: dziewięć tysięcy osiemset trzynaście głosów za Niemcami, siedemnaście głosów za Polską.

Komisarz plebiscytu, niejaki Snopiński, powstrzymał oklaski, to znaczy przyjął je odpowiednim gestem i podarował nam z powrotem: to wasz sukces, klaszczcie sobie samym. Potem trzykrotnie wykrzyknęto: „Niech żyje ojczyzna” – jak pan wie, gwałtowny entuzjazm znajdował sobie wówczas ujście w wiwatach. Z hotelu „Luisenhof” wyniesiono skrzynki z pochodniami, chwyciłem dwie, a z tłumu uformował się pochód, marsz z pochodniami, który najwyraźniej tylko dlatego posuwał się tak niepewnie, że nie znał celu, ku któremu zmierzał w swej entuzjastycznej radości. Chwiejnie, opornie przesuwiał się nasz pochód wzdłuż oficjalnych budynków, w roztargnieniu minął oba kościoły, okrążył nowoczesny szalet publiczny na rynku, bynajmniej nie butnie, jak mówiłem, lecz powściągliwie i z jednym tylko celem, by komuś podziękować, złożyć hołd z wdzięczności. Późno już było, gdy z ust do ust zaczęto sobie podawać nazwisko łukowieckiego generała von Zenker, pochód ożywił się, znalazł cel i z wysoko uniesionymi pochodniami skierował się ku słabo oświetlonemu domowi generała, niedaleko koszar.

Przekroczyliśmy grube łańcuchy z kowanego żelaza, wtargnęliśmy do mizernego ogródka, dzieląc się na grupy, czekaliśmy i przyglądaliśmy się, jak w skromnym domu pojawia się coraz więcej światła. Kto stał dostatecznie blisko, mógł obserwować przez okna starego generała von Zenker, ubieranego, okręcane i przygotowywanego przez atletycznego ordynansa, zreumatyzowanego wodza o dawnych zasługach, który zdobył

sławę nie w walkach z Samsonowem czy Rennenkampferem, a więc nie na własnym podwórku, lecz podczas powstania Bokserów w Chinach. Ujęty przez chłopca pod pachy, ostrożnie prowadzony generał podreptał na werandę, na widok pochodni zaszalutował, przykładając dłoń do czapki i zapominając o tym. Gwałtowne przełykanie można było uznać za szczególną formę zaangażowania. Kilku mężczyzn z naszego pochodu podeszło doń z respektem, meldując wynik plebiscytu, na co generał z wdzięcznością skinął głową, wyprostował się, jakby chciał rozpocząć przemowę, nagle jednak oparł się na swym pomocniku, uchwyciwszy go za ramię. Śpiewaliśmy „Dziękujemy wszyscy Bogu”, generał słucał, pieśń chyba mu się podobała, poruszał wargami i uradowany spoglądał ponad naszymi głowami. W środku drugiej zwrotki spostrzegłem Conny'ego; wraz z innymi siedział na posągu jeźdźca, nie śpiewał ze wszystkimi, przyglądał się tylko mnie, surowo i pytająco, a gdy dałem mu znak, ześliznął się z konia z brązu i zniknął.

Tak, mój drogi, to tyle, tyle na dziś, na pewno pan widzi, z jakim trudem mi to przychodzi...

Pytania? Odpowiem na nie następnym razem, nie pozostanę panu w niczym dłużny...

Nie, nie mam specjalnych życzeń, chyba to, żeby pan wkrótce znów przyszedł, tak, wkrótce...

VI

Wiem, kryzys, lekarze o tym wspominali; moja zwykle tak niezawodna pamięć nie zachowała niczego z owych krytycznych dni; tylko szum narad przy moim łóżku i ludzie w bieli, unoszący się w powietrzu; podobno majaczyłem w gorączce.

Słucham? Nie wpuszczano pana do mnie? Szkoda, nie miałbym nic przeciw temu. Panu pozwoliłbym nawet przysłuchiwać się moim gorączkowym fantazjom...

Prawdopodobnie niektóre rzeczy by ci się wówczas potwierdziły... Przepraszam pana, ale to „ty” przyszło samo z siebie po tych wszystkich dniach, po wszystkim, co już nas łączy, prawda?

To ja, ja się cieszę... Będę ci teraz mówił „ty”, w końcu przez ten czas wiele nas połączyło, mamy wystarczającą ilość wiedzy o sobie nawzajem. Zgoda?

Pozwól mi powiedzieć jeszcze raz – nie mogłeś przynieść mi lepszej wiadomości; a więc moja Henrike siedzi rzeczywiście znowu nad swoim zbiorem mazurskiego słownictwa – to przywraca mi nadzieję. Sam zobaczysz: im więcej odzyska, tym pewniej się poczuje wobec mnie, a może pewnego dnia zrozumie, że nie miałem innego wyjścia jak tylko zniszczyć nasze muzeum. Nawet jeśli cię to dziwi, to ja się cieszę, że Henrike podjęła taką decyzję, i nie mam wcale wrażenia, że skierowana jest ona przeciwko mnie.

Co przyniosłeś? Mów trochę głośniej...

Rozumiem, kilka próbek ze zbioru Henrike... Zgadza się, oczywiście, pytaj więc, mój drogi, przeegzaminuj mnie...

„Bicak”? Tak nazywaliśmy trzcinę. „Ślepsie” – to oczy. „Szycher” i „fladrusz” – tak nazywaliśmy kapelusz i woalkę. Ależ oczywiście, wiem, co znaczyło „szurgać” lub „szturgać” – to wszystko dzieje się w kuchni, przy piecu. „Lugać” – to „chować”.

Tak, zgadza się, na nóż mówiliśmy „pogenrycer”, czyli „nóż do krajania żab”. Nie sądz, broń Boże, że dotyczyło to jakiegoś mazurskiego zwyczaju.

„Zygier” – to był zegar, a „dups” – tyłek. Nazwa „brumajza” dla harmonijki ustnej wydaje mi się nawet trafna. Małe dziecko granuje albo gnanuje.

Durchkalkować? Na przykład nowości się durchkalkuje. „Prykiel” może oznaczać trzy rzeczy: wykałaczkę, zarozumialca albo lokówkę.

„Sowia godzina” to oczywiście zmierzch. Widzisz, mój drogi, wszystko się daje przywołać z pamięci, w każdym razie jeszcze się nie „zglupiało z

powrotem”; zamiast słowa „zapomnieć” używaliśmy mianowicie zwrotu „zgłupieć z powrotem”.

Tak, wiele można przywołać z pamięci, jakby było tam przygotowane do wymaganego usprawiedliwienia, jak zauważyłeś, trwałego usprawiedliwienia. O ile znośniejsze byłoby wszystko, gdyby pamięć się wyłączyła, gdybyśmy mogli „zgłupieć z powrotem” jak wuj Adam, który nagle zaczął cierpieć na zanik pamięci – tak niepowstrzymany, że nie pomagało żadne lekarstwo. Mówię: nagle, ale kiedy przypominam to sobie dokładnie, muszę powiedzieć, że owo tragiczne zapominanie poprzedziły pewne wydarzenia: pewne odwiedziny, pewne odkrycie i pewien spór, tak, w domu Sonji Turk nad starym wodopojem.

Tak, pamiętam jeszcze, że siedziałem przy krosnach, przy moim warsztacie i wciąż nie mogłem sobie poradzić z kawałkiem podwójnej tkaniny, którą miałem zrobić na próbę przy pomocy grzebienia z ośmioma zębami, podczas gdy Sonja Turk krzątała się w farbiarni, nad kotłem z parującą farbą, w której należało gotować wełnę, aż przybierze zadowalający kolor. Jakże łatwo mógłbym wypełnić polecenie mistrzyni, gdyby podzieliła się ze mną swoją wiedzą, ale Sonja Turk niczego mi nie ułatwiała, z zasady odmawiała pomocy, sądząc, że w ten sposób budzi się duch wynalazczy, drzemący w każdym człowieku. Z całym spokojem przyglądałaby się, jak ktoś wśród mąk wynajdywałby po raz drugi druty do wełny albo rower, gdyż jej dewizą było: samodzielne odkrycie zostaje na całe życie.

W każdym razie wplotłem barwne nici w osnowę, przy czym nie udało mi się przepłatać na przemian parzystych i nieparzystych nitek osnowy. Zbadałem krosno, które mi przydzieliła, i stwierdziłem, że czegoś brakuje, mianowicie wałka i dźwigni, po prostu odśrubowanych, a teraz nie do odnalezienia.

Wiesz, tkanie jest, mówiąc po prostu, przeplataniem nitek na krzyż i dlatego ich oba rodzaje mają to samo znaczenie: poprzeczna osnowa i podłużny wątek. Musiałem więc starać się rozdzielić nitki osnowy; wiedziałem już, co do tego potrzeba. W szopie znalazłem okrągłaki i deski,

wymierzyłem, odpowiednio opiłowałem i dopasowałem, co mi się po kilku próbach udało, i z błękitnego tła zaczął się wyłaniać biały jeleń na sztywnych nogach, ale wyraźnie nad słuchujący. Nie myśl, że Sonja zdumiała się, gdy w poplamionym kitlu i z włosami w strąkach weszła do pokoju; stanęła za mną, zmrużyła oczy i zdecydowała: – Troszki za ciężki łeb ma ten twój jeleń, wygląda na ździebko zawianego – po czym zniosła, przypuszczalnie ze swojej sypialni, wałek i dźwignię, w milczeniu wmontowała je z powrotem; ważąc w rękę moje zastępcze urządzenie, zaznaczyła, że bym sobie nie myślał, że odkryłem coś szczególnego; w dokładnie ten sam sposób, tylko przy pomocy kołków i desek, tkano arcydzieła już przed pięcioma wiekami; co raz się stworzy, pozostaje, choćby ino jako możliwość.

Nakazała mi spojrzeniem, bym poszedł z nią do farbiarni, gdzie najpierw wrzuciła moje prymitywne narzędzie pod kocioł, po czym ściągnęła z jednej z półek blaszaną puszkę, wypełnioną surową masą marcepanową. Długimi palcami oderwała grudkę marcepanu i podała mi ją w milczeniu – był to u Sonji Turk wyraz najwyższego uznania.

Tak, właśnie staliśmy naprzeciw siebie w farbiarni, jedząc marcepan, i patrzyliśmy na roztwór farby, w której niepozorne warstwy wełny nabierały nowej osobowości, gdy do domu wkroczył gość; był to wuj Adam, nie tylko podniecony, ale zmieszany i u kresu sił. Wszedł bez powitania, nie pukając, okryty potem, z wykrzywioną twarzą. W jednej ręce niósł paczkę w szarym papierze pakowym, wielokrotnie przewiązaną sznurkiem; obszedł kilka razy kocioł, wyglądało nawet na to, że chce znowu zniknąć, gdy wtem zatrzymał się przed Sonją, położył paczkę u jej stóp i wpatrzył się w nią bezradnie, tak, stał tylko i patrzył na nią. Mistrzynie skinęła na mnie, rozwiązałem sznur i rozwinąłem z papieru podwójnie tkany, niezwyklej urody kilim koloru indygo, którym u nas przykrywało się na dzień łóżka i który natychmiast – tak bardzo już byłem zaawansowany – rozpoznałem jako pracę Sonji Turk. W rogach, łagodnie zielony na szarobiałym tle, widniał motyw potrójnego pędu, środek był koloru indygo, podpalany czerwonymi pasmami, w samym centrum – nigdy tego więcej nie widziałem – tkwiło migdałowego kształtu oko, poważne, o wyrazie nieubłaganego spokoju. Miałem wrażenie, że oko

to mnie poznaje, o coś pyta, oko, które wszystko widziało i ze wszystkim się liczyło. Spoczywało na mnie z chłodną żądzą wiedzy, nie wypuszczając ze swej władzy; gdy się cofnąłem i odsunąłem na bok, zdawało się obejmować wszystko w pomieszczeniu, to różowe oko z czarną tęczęwką...

Cierpliwości, właśnie chcę ci o tym opowiedzieć; Sonja rzuciła tylko okiem na kilim, który umieściłem na ścianie, na wiszącej listwie, podczas gdy wuj Adam bełkocząc usiłował coś wytłumaczyć, jakąś długą sprawę, niepojętą trudność; pamiętam, że podczas tej wypowiedzi unikał patrzenia na kilim. Przyniósł go więc, musiał go przynieść po wielu latach, gdyż, jak mówił, nie mógł go już znieść. Aby ujść owemu oku, wyniósł kobierzec na strych, do szafy, a wreszcie do piwnicy; nic nie pomagało! Uczucie czyjeś obecności nie dawało się stłumić.

Zrozumiałem go w ten sposób, że ów kilim – sam nigdy go w domu nad zakolem rzeki nie widziałem – wisiał w pierwszych latach w alkwie; wówczas podobno nawet mrugał na dobranoc do oka i nie skarżył się bynajmniej na bezsenność. Zmieniło się to wraz z naszym wprowadzeniem się do jego domu: pewnej nocy odkrył, że daremnie czeka na sen. Nie mógł spać pod kilimem i odtąd przechowywał go w warsztacie. Jednak tam czuł się prześladowany przez nieubłaganą żądzę wiedzy i przydzielił tkaninie miejsce w bawialni, dobrze ukryte między dwiema monstrualnymi szafami. Ale i to nie wystarczyło; oko pamiętało o nim i pojawiała się, nawet gdy tylko przechodził obok drzwi bawialni; trwało to nadal nawet wtedy, gdy ukrył kilim w szafie, a w końcu w piwnicy – ba, niepokój rósł, gdyż czuł się teraz obserwowany z ukrycia. Coś go drażniło, kłuło i dławiło, człowiek tak przecież nie może żyć na dłuższą metę.

Tak właśnie, a potem wuj Adam poprosił słuchającą bez ruchu mistrzynię, by przyjęła prezent z powrotem, po tych wszystkich latach, prezent, który najwidoczniej był zrobiony specjalnie dla niego, z ukrytymi życzeniami i szczególnymi oczekiwaniami. Sonja Turk zwróciła się ku niemu. Jak powoli unosiła wzrok! Może się mylę, lecz zdawało mi się, że rozpoznaję wyraz dawnego ubolewania. Uśmiechając się, skinęła wyrozumiale głową.

Lekko musnęła kilim luźno opadającą dłonią, jakby coś strzepywała. Wiedziałem, co oznaczały zwolnione ruchy, gdy chwyciła drewniane mieszadło i obiema rękami zamieszała farbę, przyciskając do dna kotła wełnę, która jeszcze nie miała dość. Również wąskie płomienne smugi na jej szyi dawały się wytłumaczyć tylko w jeden jedyny sposób. Nie zdziwiłem się więc, gdy nagle upuściła mieszadło, zrzuciła poplamiony kitel i szybko przeciągnęła palcami przez sklezione włosy: podjęła decyzję. Wyszła z farbiarni i podążyła na pierwsze piętro. Wuj Adam całkowicie ignorował moją obecność, oddychał głośno, cały oddany swemu wzburzeniu, nie widząc wyjścia....

Dobrze odgadłeś, mój drogi. Wówczas i ja zacząłem coś pojmywać, a rozumiałem jeszcze więcej, gdy Sonja Turk po chwili wróciła, rozwijając czarną szmatkę, zdjęła pokrywkę maleńkiego tekturowego pudełeczka i wyciągnęła na dłoni ku wujowi skromną obrączkę: coś za coś. Ponieważ odniósł kilim, prosiła go, by zabrał pierścionek. Prezenty były ze sobą związane, połączone pragnieniami. Oba nie mogły pozostać u jednej osoby. – No, co jest? – Spojrzenie wuja wędrowało od pierścienia do kilimu i z powrotem, czułem, jak bardzo go ta propozycja zabolęła, byłem pewien, iż zastanawia się, czy nie cofnąć wszystkiego, ale oko w środku kilimu czy też wspomnienie o nim zmusiło go do pozostania przy swojej decyzji. Bynajmniej nie ceremonialnie ani zręcznie odebrał pierścień, chwycił go szybko i obojętnie wyszedł przesadnie uroczystym krokiem z pokoju; tym razem udało mu się jednak powiedzieć do widzenia.

Musiałem podbiec do okna, po prostu musiałem zobaczyć, jak się oddala, przez łąkę do suszenia wełny, prąc przed siebie wzdłuż rzeki Łukowiec, po owym buchalteryjnym zakończeniu sprawy, która nigdy z pewnością nie przyniosła wiele pożytku.

Sonja Turk? Czule ściągnęła kilim ze ściany, poniosła go ku światłu, oceniała go i zdawała się wciąż, po tylu latach, zgadzać z tą swoją wczesną pracą. Ale nie dane mu było zawisnąć w warsztacie, obok dywanów nie przeznaczonych na sprzedaż; pochowano go w wymoszczonym kartonowym pudle, a grobowiec znalazł się w jednej z mrocznych bokówek obok sypialni.

To wszystko, jak już powiedziałem, zdarzyło się wcześniej, w okresie, gdy w powietrzu brzęczały zataczające się chrabąszcze, a u ujścia rzeki wrzało od uwijających się uklei. Wkrótce potem, gdy w więcierzach i koszach wyciągano z jeziora trzeszczące raki – w płytkiej wodzie łowiliśmy je rękami – tak, w czasie wielkich połowów raków przeżyliśmy po raz pierwszy wypadek tragicznego zaniku pamięci u wuja Adama, w domu na jednym z wieczornych posiedzeń łukowieckiego Heimatvereinu. Posiedzenie zaczęło się od cierpliwego jedzenia raków, przy którym wszystko było dozwolone: łamanie pancerzy rękami, siorbanie, wysysanie i wygryzanie, skubanie palcami i cmokanie. Okna stały otworem, chłód od rzeki łagodził skutki gorzałki, którą podlewaliśmy każdego zjedzonego raka. Na stołach, taboretach, parapetach okien, wszędzie piętrzyły się skorupy zjedzonych raków, połamane pancerze, szczypce i ogony. Obok każdego miejsca połyskujące kałuże, zmoczone ręczniki. Dodaj sobie jeszcze do tego pokruszony chleb i kilka przewróconych kieliszków. Miano tu wybrać nowego przewodniczącego Heimatvereinu i jego zastępcę, nie w tajnych wyborach, lecz po prostu przez podniesienie ręki. Wybory odbyły się błyskawicznie: wuj Adam został nowym przewodniczącym, a dawnego oberfeldfebla Bilitzę, który najkrótszą drogą przeniósł się ze swej wieży strzelniczej do urzędu ziemskiego, wybrano jego zastępcą. Wszyscy członkowie gratulowali sobie wyboru, przypijali do wybranych, po czym usadowili się możliwie najwygodniej, by jak najuważniej wysłuchać zwyczajowej mowy dziękczynnej.

Wuj Adam podniósł się z wolna, odchylił głowę do tyłu, zdawał się czerpać natchnienie skądś z daleka – jego poczucie godności było zgoła czymś odmiennym niż zwykle. Nie tylko ja, ale większość obecnych oczekiwała wycieczki w przeszłość, w mistyczne dziedziny, dokąd badacz narodowy zawsze się udawał, ilekroć trzeba było zaprezentować zalety swojskiej, upraszczającej życie ciasnoty. Ale najwidoczniej tym razem zamierzył sobie coś innego. Najpierw podziękował za zaufanie, które okazano mu poprzez wybór na przewodniczącego, następnie wyraził uznanie ustępującemu przewodniczącemu i zanim jeszcze ucichły oklaski, które zerwały się na cześć zasłużonego Artura Ruchartza, zaczął

dziękować za „srebrzyste błogosławieństwo” ojczystych wód i za niezrównaną sieję, którą wspólnie spożyto. Wesoły okrzyk: – Od kiedy to siejka ma szczypcę? – naprawił pomyłkę; wuj Adam potrząsnął głową, ubolewając nad sobą samym, przestąpił z nogi na nogę i kontynuował przemówienie. Przelotnie wspomniął o tradycji i sytuacji kasowej Heimatvereinu, obszernie rozwodził się nad obecnymi zadaniami, z czego wynikało, że tak wiele się dzieje w niesłychanie bliskim powiązaniu z ziemią, iż musiał przyznać związkowi rolę jej strażnika i obrońcy.

Uważał, że ojczyzna jest zagrożona, poczucie patriotyzmu usycha, zanika patriotyczna duma, gdzie się zwrócić, zewsząd niebezpieczeństwo, a jak jest poważne, zademonstrował na przykładzie szerokiej szosy granicznej, która miała prowadzić z Giżycka przez Łukowiec do Polski, „owa trująca, zabijająca korzenie wstęga asfaltu”. Uchwalony projekt potraktował jak przeciwnika religijnego, malując straszliwe obrazy które miały natychmiast przemówić do wyobraźni każdego słuchacza wymierające lasy, bezdomna zwierzyna, niejadalne grzyby i jagody. Największy grzech upatrywał w tym, że szosa graniczna miała prowadzić przez pożyteczne bagno obok zamku, a więc tam, gdzie wspólnie ryliśmy ziemię w poszukiwaniu świadków mazurskiej przeszłości i gdzie wysiadywały jaja płochliwa kania i rzadki czarny bocian. Tego ostatniego jednak już nie wymienił; nazwał tylko kanię i najwidoczniej chciał podać również nazwę czarnego bociana, jednak zanim mu się to udało, wzdrygnął się nagle, spojrzął zmieszany, szukając pomocy, skręcał się wprost z wysiłku, by zapanować nad słowem, które zawsze znał, a które mu się teraz wymknęło. Małe pęcherzyki śliny pękały mu na wargach. Błagalnie uniósł prawą dłoń. Nazwa nie przychodziła mu na myśl i wuj Adam skinął w podzięcie swemu poprzednikowi, który rzeczowo stwierdził: – Nic, tylko myślisz o czarnym bocianie.

Reszta przemówienia przebiegła gładko, wuj zaklinał, apelował, protestował, pamięć go nie zawodziła, jak zwykle podsuwała mu nawet najstarsze daty i po hucznych brawach dla przewodniczącego można było sądzić, że tylko gorzałka spowodowała lukę w pamięci.

Ale już następnego ranka, przy śniadaniu, owa początkowo niewinnie wyglądająca luka okazała się zaczątkiem brzemiennej w skutki plagi, która wymagała od nas więcej, niż mogliśmy niekiedy unieść. Wyobraź sobie: zasiedliśmy do śniadania, a gdy już matka chlapnęła sobie na talerz zsiadłego mleka, w który wsypywała szare okruszki chleba, wuj Adam poprosił o misę z mlekiem, to znaczy, najwidoczniej chciał poprosić i był gotów ją odebrać, lecz w środku gestu przebiegło go drżenie, otworzył usta, lecz słowo się nie pojawiło. Zmieszany, w milczeniu wziął misę i nalał sobie, podczas gdy my wymieniliśmy zatroskane spojrzenia; skrycie mierzyliśmy go wzrokiem, ale nie mogliśmy stwierdzić nic poza jego powściągliwym apetytem. Jeszcze podczas tego samego posiłku przekonaliśmy się, że ktoś może zapomnieć słowa „widelec” i że nazwa „sól” może komuś wylecieć z pamięci tak dokładnie, że żadna koncentracja jej nie przywoła; pamiętam jeszcze, że gdy podpowiadaliśmy mu owe wyrazy, powtarzał je sceptycznie, tak właśnie, jakby ich nigdy przedtem sam nie używał.

A więc mieliśmy, jak już powiedziałem, powód do troski, ale powód ten rósł i czynił nas bezradnymi, gdy zaczął zapominać nazw przedmiotów, otaczających go w jego warsztacie: koło garncarskie, szydło, przybory do szycia i klej; drżąc siedział przy warsztacie, wpatrując się w mały młotek, i dopiero gdy ktoś z nas podpowiedział mu nazwę narzędzia, brał je do ręki. Z pamięci ulatywały mu zresztą nie tylko nazwy bliskich mu przedmiotów. Gdy chciałem się z nim pożegnać jak co dzień, gdy szedłem do pracy, nieoczekiwanie z zamyśloną czułością położył mi rękę na ramieniu, przycisnął mnie mocno do siebie, spojrzał na mnie błagalnie, tak zapamiętałe szperając w pamięci, aż oczy zaszczyły mu łzami; przerażony pojąłem nagle, czego szuka, i powiedziałem: – Zygmun, wuju, ja jestem Zygmun – na co z ulgą skinął głową i szepnął: – Tak, Siechmun, chłopcze, uważaj na siebie.

Imienia matki zapomniał tylko dwukrotnie, po czym ta przypięła sobie karteczkę, tak jak to robią dziś uczestnicy kongresów, i gdy wuj spoglądał na nią ze zmieszaniem i przykrością, wskazywała palcem na szyldzik, na którym wyraźnie wypisałem Skribtolem IDA. Wuj zapominał o umówionych spotkaniach, planach, zamiarach; jakże często widziałem go,

zdecydowanie wyruszającego w drogę albo zasiadającego przy warsztacie, i jakże często byłem świadkiem chwili, gdy cel mu się rozptywał, a on siedział nasłuchując, w beznadziejnym wysiłku przypomnienia. Obaj łukowiecy lekarze, których wuj odwiedził, nie mogli mu pomóc, zanik pamięci pogłębiał się, świat wokół niego stracił stopniowo imiona – biały, obcy świat, który przestał doń należeć, gdyż nie mógł go nazwać. Gdy sąsiedzi kilkakrotnie przyprowadzili go do domu – rzeczywiście zapomniał, gdzie mieszka – wetknęliśmy mu do każdej kieszeni po karteczke z nazwiskiem i adresem, a w domu czyniliśmy to, co w naszym nieszczęściu przyszło nam do głowy: tak jak w muzeum opisywaliśmy przy pomocy Conny'ego cały inwentarz, tak samo w domu przyczepialiśmy do wszystkich przedmiotów własnoręcznie wycięte kartki z nazwami, które miały dopomóc pamięci: nazywam się szafa, krzesło, jestem łóżko, termofor. W naszym domu przedstawiał się stół, piec, a nawet postrzępiona słomianka, wszystko miało paszport z nazwiskiem, a czasem zdawało mi się, że żyjemy w świecie, który każdego dnia trzeba na nowo sylabizować, w świecie z elementarza.

Co mówisz? Czy zapominał te nazwy bezpowrotnie? Właśnie że nie; czasem mu się przypominały, niespodziewanie wynurzały się z pamięci, zatopione wysepki, unoszące się wraz z wybuchem wulkanu – a wuj był wówczas tak szczęśliwy, że po wiele razy powtarzał nazwy, jakby chciał je sobie przyswoić na zawsze...

Ale co to ja ci chciałem opowiedzieć? Aha: podobnie jak zapominał nazw rzeczy, najwidoczniej uciekało mu także ich znaczenie; przestawał z nimi cokolwiek wiązać, nic go nie obchodziły, a w jakie konflikty wpędzał nas w ten sposób...

Przenieś się na przykład do naszego muzeum, które przecież tymczasem poznałeś. Przyłącz się po prostu do osiemnastu uczennic łukowieckiej szkoły gospodarstwa domowego, niemal bez wyjątku okrągłogłowych chichotek, które w planie lekcji miały właśnie przewidziane zwiedzanie łukowieckiego muzeum ziemi ojczystej. Trzymając się za ręce, przytulone do siebie przeciskały się przez nasze izdebki, ześlizgiwały korytarzami w dół, postępując za wujem Adamem i za mną, gdyż to ja je oprowadzałem,

pomagając im widzieć i objaśniając, co właśnie widzą. Wuj Adam nie miał nic przeciwko temu, że przejąłem oprowadzanie po muzeum, pozostawił mi tę rolę jak samo przez się zrozumiałe dziedzictwo, a towarzyszył mi bynajmniej nie na złość, lecz by wciąż na nowo odczytywać szyldy z nazwami eksponatów.

Myślę, że mówiłem z oddaniem, z autentycznym zaangażowaniem, podobnie jak on – gdyż tak jak on odbyłem przedtem dialog ze „świadcami” – nie mogłem jednak zapobiec temu, że odziane w błękitny len dziewczęta przyjmowały wszystko z chichotem; chichotały patrząc na zbiór monet i stare skrzynie, na leciwe sprzęty kuchenne i żelazka z wyszczerzonymi psimi zębami, chichotem reagowały także na wyjaśnienia związane ze zniszczonym przez komiki kołowrotkiem. Nic sobie z tego nie robiłem, gdyż czułem się wyższy ponad wszystkich, bezpieczny w przymierzu z przedmiotami, które odsłoniły mi swój posępny czar i nienazwaną siłę, które nauczyły mnie już, że nieomyślność jest podstawą trwałości, byłem więc gotów na to, by wiele znieść.

Nie przywoływałem nikogo do porządku, nie upominałem, nie spoglądałem karcąco: mówiłem, co było do powiedzenia, pokazywałem, jak umiejętnie sklejo no każdy przedmiot, i dowodziłem, że wszystkie znaczące wydarzenia wyrastają ze zwykłego, prywatnego życia, ukazywałem też, że znajomość ziemi ojczystej nie przeszkadza oświeceniu, lecz być może nadaje „sens” – wszystko w sposób przystępny, na miarę moich ówczesnych możliwości.

Jednakże po skończonym zwiedzaniu szybko zniknąłem, poszedłem do mojego pokoju i siedząc tam zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczennice wykazywały większe zainteresowanie dla moich krótkich spodenek niż dla jaćwieskiej biżuterii, i próbowałem zrozumieć, dlaczego zaczynały chichotać już przy imionach naszych starodawnych bogów, Perkuna, Potrimpa i Pikolla. Siedziałem tak bezwolny, gdy wpadła moja matka, niezdolna wymówić słowa; poderwała mnie w górę, wypchnęła na korytarz i skierowała spojrzenie na sień, gdzie wuj Adam z godnością, jakby rozdawał order y, obdarowywał teraz już mające powód do śmiechu uczennice pożegnalnymi upominkami: wręczał im ubijak do kapusty,

tłuczki do przypraw, jedną z dziewcząt uszczęśliwił ozdobnym drewnianym chodakiem, innej wcisnął urnę grobową – stałem jak ogłuszony, póki nie spróbował wmusić w jedną z uczennic dwustuletniego stroju ślubnego: wówczas wiedziałem już, co należy zrobić.

Wymijając wszystkich popędziłem przed dom, dopadłem nauczycielki i rozmówiłem się z nią; wspólnie ulżyliśmy uczennicom, odbierając im prezenty, zbierając skrzętnie wszystkie dary, przy czym większość chichotała i naśladowała moją minę, pełną panicznej troski, i mój ważny chód. Wuj Adam nie był zdumiony ani zmartwiony, gdy odnosiłem eksponaty do muzeum, dobrodusznie zaproponował mi pomoc, rozdzielał przedmioty według moich wskazówek, po czym usiadł, przeczytał na jednym z szyldzików: „filiżanka do kawy”, zastanowił się i powiedział przyjaźnie: – Nie ma nic lepszego od kawy, no nie?

Ryzyko, masz rację; wuj Adam stał się takim ryzykiem dla zbiorów, że w godzinach otwarcia muzeum musieliśmy zamykać go w warsztacie, co zresztą przyjmował bez protestu. Matka nie musiała zwracać mi uwagi na to, jaka ciąży na mnie odpowiedzialność, teraz, gdy na wuja nie można już było liczyć; czułem to sam. Rozumiałem, czego się ode mnie oczekuje, co na mnie spada; zbędne były umowy i uroczyste oświadczenia czy wynegocjowana sukcesja z określonymi prawami i obowiązkami.

Wyglądając w nocy z łóżka – wszyscy w domu spali – odkryłem nagle najliczniejszy pochód mrówek, jaki kiedykolwiek widziałem. Były to czarne owady, które wyszły ze swych kryjówek w starym murze i podążały spod obluźowanej listwy do mojego pokoju, pewne siebie w lodowatym blasku księżyca. Pośpiesznie uzgodniły punkty węzłowe, miejsca przeładunków i drogi rozdzielcze; szybki pochód rozłączył się, każdy pospieszył do swoich zadań: tu atakowały historyczne sito do mąki, ówdzie mrowiły się nad stolnicą; rzuciły się na derki końskie, obsiadły maglownicę, opanowały słomianą koronę, bez trudu wspięły się na wiszące stroje ślubne – czarne oddziały zdyscyplinowanych mrówek. Zdobywały łup, wszędzie zdobywały łup; widziałem, jak unosiły w szczypcach nitki, grudki i okruszyny, zmierzając dokładnie wytyczoną

drogą, nie napotykając przeszkód od strony strumienia spieszącego w przeciwną stronę, by osiągnąć płańdrowane cele. Obserwowałem je długo i wyobraziłem sobie, ile śladów mogłyby z czasem zatrzeć, ile dowodów istnienia – a wraz z dowodami i sens. W tym punkcie zresztą Conny zawsze się później ze mną sprzeczał: że musimy nadawać „sens” naszej egzystencji; dla niego istnienie miało znaczenie naczelne, a każdą próbę nadawania sensu rzeczom odczuwał jako zaściankową pychę.

Owej nocy pojąłem jednak, że te wszystkie zagrożone przedmioty tworzyły sens minionego życia, umożliwiały wytrwanie, łagodziły nieszczęście, pozwalały na radość, że nie mogą przepaść, rozpuścić się bez śladu w kwasie, gdyż owo przeszłe życie ma prawo do uchronienia przed całkowitym zapomnieniem.

Dlaczego? Ponieważ przygotowało ono nasze życie obecne. Gdyż zawdzięczamy mu wszystkie potrzebne doświadczenia, również to najbardziej oszałamiające: przemijanie. Przeciw tęsknocie za utraconym czasem istnieje tylko jeden środek: przypisać mu jakiś sens.

W tej kwestii też pewnie jesteś innego zdania. Ale żebyś wiedział: wstałem wtedy z łóżka, przekroczyłem rozszalałe armie mrówek, podreptałem na dwór do szopy, napełniłem wodą wysłużoną bańkę na mleko i wsypałem do niej niegaszone wapno. Zaniósłem wrzące, zbąblone mleko wapienne do mojej izdebki i zapaliłem lampę. Jak one uciekały, jak ta rojąca się armia podawała tyły, wzdłuż swojej ścieżki zapachowej, a potem bez ścisku i tłoku, z powrotem do zamaskowanych dziur, wiodących głęboko do wnętrza murów! Listwa dała się odczepić, znalazłem dziury, wstawiłem cienki lejek i wlałem wrzące mleko wapienne w ukryty system mieszkalny, gotowało się i syczało, gdy gorące strugi ciekły po spękany tynku, a z wnętrza muru słyszałem jakieś mlaskania. Mrówki już się nie pojawiły...

No, a teraz popraw mi poduszkę i podciągnij mnie trochę wyżej, ciągle się zsuwam w dół...

Tak lepiej, będzie mi się lepiej mówiło...

Na przykładzie wuja Adama doświadczyliśmy, przed czym można się samemu uchronić, gdy pamięć człowieka zawodzi, tak, na przykładzie przewodniczącego naszego Heimatvereinu, gdyż na razie nim pozostał, mimo owego tragicznego zaniku pamięci. Musiał podpisywać wpływy, podejmować decyzje, wzywać do akcji. Musiał przyjmować członków związku, stawiać czoła ich niezadowoleniu, odpowiadać na wyrazy oburzenia. Matka mnóstwo zapisywała albo zachęcała go do zapisywania; widzisz więc, że usiłowaliśmy ukryć jego chorobę, gdyż dla nas była to choroba.

Udawało się nam to do owej niedzieli, kiedy to kilku członków Heimatvereinu spotkało się na górze zamkowej, o zmierzchu, pod siedmioma sosnami: niektórzy wynurzyli się z wąwozu, inni wyplątali się z surowego, dającego schronienie kadyku albo ukazali na bagnach, wyłącznie mężczyźni i młodzi chłopcy, pozdrawiający się w pośpiechu; najwidoczniej nie musieli się już porozumiewać. Wszyscy byli uzbrojeni. Nieśli ukryte stalowe pręty, lekkie kłonicy, poręczne sztachety; widziałem to wszystko, zauważyłem też, jak wielkie było ich zainteresowanie postacią w czarnym płaszczu, tak, Edith, która sztywno wyprostowana trzymała się blisko nadzorcy jezior, pewna siebie, odpychająca. Nie odpowiadając na żadne znaki i nie słysząc współczujących pozdrowień, nie zdradzała lęku ani niecierpliwości, choć większą część przedsięwzięcia miała jeszcze przed sobą. Wuj Adam podchodził do niej kilkakrotnie, coś jej szeptem przedkładał i jakby ją pocieszał, ale nawet jemu nie odpowiadała.

Siedziałem za nią z tyłu na krótkim kamiennym murku, który sam wzniosłem – wtedy, kiedy to bawiliśmy się w pogrzeby; byłem nie uzbrojony, siedziałem tylko wpatrzony w nią, usiłując sobie wyobrazić, co się stało Edith poprzedniego wieczora, w Małym Grajewie, gdy przechodziła obok „Borowika” – tak nazywali swoją karczmę, otwartą tylko w soboty i niedziele. Wyobraziłem sobie, jak przechodziła tamtędy w drodze do domu i nagle usłyszała muzykę z płyt, mimo woli zatrzymała się i zerknęła przez okno „Borowika”, tak zaabsorbowana, że nie zauważyła, kiedy podeszło tych dwóch chłopców i wzięło ją między siebie. Wyobrażałem sobie dalej, jak towarzyszyli Edith wbrew jej woli aż

na plażę, do łukowieckiego teatru pod gołym niebem, po czym wepchnęli ją w trzciny. I tam – tak sobie wyobrażałem – gdzie przebierali się aktorzy ze sztuki „Dziki miód”, na porośniętym sitowiem półwyspie – tam właśnie się to stało.

Tak, próbowałem to sobie odmalować, podczas gdy czekaliśmy na zapadnięcie zmroku, może z tuzin milczących chłopców i mężczyzn, którzy nie mieli sobie nic do powiedzenia, tylko siedzieli zamyśleni albo wsłuchiwali się w odgłosy wiatru. To nie wuj Adam, lecz strażnik Dudej dał znak do wymarszu; najpierw ruszyliśmy wszyscy w kierunku Borku, szliśmy skrajem lasu między rzadko rosnącymi drzewami; teraz i ja miałem kij. W miejscu, gdzie las opadał ku zatoce koło Małego Grajewa, rozdzieliliśmy się. Pozostałem w grupie, gdzie szła również Edith, eskortowana przez wuja Adama i strażnika Dudeja, którzy nie zachowywali ostrożności ani się nie kryli, lecz dążyli naprzód, parci myślą o prawie do odwetu; kroczyli wyprostowani piaszczystą drogą, prowadzącą do „Borowika”.

Wyobraź sobie karcznię z ociosanych pni, budowlę zajmującą więcej miejsca niż domy mieszkalne, gdyż kiedyś służyła jako stajnia, z dachem porośniętym mchem, kępami trawy i małymi brzoźkami, z ciężkimi skrzynkami na kwiaty pod oknami. Na podwórku studnia obita drewnem, obok pogięte konwie do mleka. Nie zatrzymując się ani razu, nie ubezpieczając się, przekroczyliśmy podwórze, ufni, że druga grupa obsadziła obie drogi ucieczki, po czym wtargnęliśmy gwałtownie przez drzwi i natychmiast zastygliśmy ramię przy ramieniu jak do fotografii.

Chociaż nie pokazaliśmy broni, wyglądaliśmy dostatecznie groźnie – groźba ta wzmagająca się, w miarę jak staliśmy nieporuszeni, a siedmiu czy ośmiu ludzi, siedzących w niskim zadymionym pomieszczeniu przy piwie „Masovia”, podniosło się z ław, cofnęło i szukało obrony w grupie. Znałem tylko Annę Hauser, była to jedyna dziewczyna pośród gości. Przestraszona patrzyła tylko na mnie, tak właśnie, jakby ode mnie oczekiwała wyjaśnienia, ale nie miałem tu nic do gadania, słowo należało wyłącznie do wuja Adama i strażnika, tak, szczególnie do tego ostatniego, który zdawał się akceptować strach, jaki wywołaliśmy, i pozwalał mu

trwać. Kiedy w końcu wyszedł na środek sali, sądziłem, że najpierw odeśle Annę, ale on polecił, by wszyscy stanęli pod ścianą, dziewczyna również. Posłuchali. Rozciągnęli się szeregiem i ustawili wzdłuż ściany, pod obrazem, przedstawiającym pusty most na Wiśle. Nieznaczne skinienie i Edith stanęła obok strażnika, teraz zmieszana, z opuszczonymi oczami. Zmusił ją do podniesienia wzroku, końcem sztachety uniósł jej podbródek i rozkazał przyjrzeć się wszystkim twarzom, dokładnie, po kolei, a gdy Edith wpatrywała się kolejno we wszystkich, robiłem to samo. Dla mnie każdy był podejrzany.

Edith wędrowała oczyma po twarzach, jej spojrzenie prześlizgiwało się od jednego do drugiego, nawet Annę Hauser poddała niememu badaniu – ba, miałem wrażenie, że obie dziewczyny mierzyły się wzrokiem szczególnie długo i bezlitośnie, po czym odwróciła się i wzruszyła niezdecydowanie ramionami. – Kto – zapytał strażnik – no kto? – Nie wiem – powiedziała Edith i chciała do nas wrócić, ale strażnik nie dopuścił do tego, kazał jeszcze raz przyjrzeć się twarzom i przypomnieć sobie – czegoś takiego się przecież nie zapomina, coś takiego pamięta się przez całe życie – a Edith, zupełnie jakby raziło ją światło albo jakby chciała wypatrzeć coś w oddali, Edith podniosła rękę do czoła, ocieniając oczy, spojrzała zamyślona i powiedziała nagle: – Ten, może to ten. – Wskazała na Heiniego Hausera, stojącego obok siostry, zamkniętego w sobie chłopca, odpowiadającego ironicznym spojrzeniem na badawczy wzrok Edith. – Jesteś pewna? – zapytał strażnik – czy jesteś całkiem pewna? – a Edith na to: – To mógł być on; jeśli to w ogóle ktoś z nich, to ten. – Trzeba ci było widzieć, jak Heini Hauser się sprężył, zebrał wszystkie siły i potracając Dzietkę, gospodarza, stojącego w tylnych drzwiach, wypadł na dwór; rozwarł drzwi kopniakiem i wypadł na ciemne podwórze; Heini Hauser, który tak nas zaskoczył swoją ucieczką, że nie zdołalibyśmy mu przeszkodzić, nawet gdyby wyleciało za nim jeszcze ze dwóch albo trzech następnych, ale inni zostali, nauczeni strachem i doświadczeniem, pozostali i zbili się w gromadę, na wszelki wypadek wysuwając łokcie.

Po tym wszystkim, cośmy usłyszeli i przeżyli, nie mogliśmy już ustać spokojnie; nie wiem, kto zamierzył się do pierwszego uderzenia, gdyż ruszyliśmy wszyscy razem, ale gdy już padło, wywołując jęk w

odpowiedzi, wszyscy bez wyjątku wyzwoliliśmy się z bezruchu i biliśmy, by sobie ulżyć. To nie był moment, by się sobie przyglądać albo się zastanawiać, za wiele się nazbierało, a jeśli chodzi o zadośćuczynienie, to każdy z nich był dobry. Biliśmy na oślep.

Stłukliśmy ich w jeden kłęb; nie wystarczyło nam, że leżeli skurczeni na ziemi, po dwóch wywlekaliśmy ich na podwórze, pod studnię, wyciągaliśmy wodę, polewaliśmy ich całymi wiadrami, nie oszczędzając nawet Anny. Potem zostawiliśmy ich własnemu losowi, wróciliśmy do izby i usiedliśmy na wygrzanych ławach i krzesłach.

Edith, powiadasz? Już wcześniej usiadła, siedząc przyglądała się, jak robiliśmy porządek, ale bez oznak satysfakcji, raczej z bezlitosnym zainteresowaniem. Zdawała się nic nie czuć i nie komentowała tego, co się działo; również wtedy, gdy strażnik przysiadł się do jej stołu i zapytał, czy to dla niej nie za wiele, wzruszyła tylko ramionami. Pytanie to nie było zresztą podyktowane troską; już wcześniej rzuciło mi się w oczy, że strażnik zwracał się do Edith ze źle skrywaną goryczą, i słyszałem, jak powiedział do wuja: – Ten, komu się coś takiego przydarzyło, nie może być całkiem bez winy.

W każdym razie zajęliśmy gospodę dla siebie, kazaliśmy Dziecku podać napoje i we wzburzeniu przysłuchiwaliśmy się byłemu kwatermistrzowi Bilitzy, wyrzucającemu z siebie to, co każdy chciał usłyszeć: – Od czasu do czasu trzeba przypominać o różnicach narodowościowych... Lekcje, nawet bolesne, jeszcze nikomu nie zaszkodziły... Nawet jeśli się do nich przyzwyczailiśmy, to wcale to jeszcze nie oznacza, że ich tu chętnie widzimy, tych Polaczków. Kto chce zostać panem na swoich śmieciach, musi to często dawać do zrozumienia... – Takie wypowiedzi mogły wywołać tylko potakujące skinienie głową.

Musisz wiedzieć, że Bilitza roztaczał właśnie przed nami plan odszukania Heiniego Hausera i pociągnięcia go jeszcze tego wieczora do odpowiedzialności, gdy z przyległego pokoju wyszedł wuj Adam, balansując stosem plansz do halmy w rękach, które najwidoczniej właśnie odkrył. Z zadowoleniem pozbywał się ich, idąc od stołu do stołu i

rozdzielając plansze, tak, rzucał je nam na stół, i wcale mu nie przeszkadzało, że sykano na niego i okazywano mu niezadowolenie. Oprócz niechęci, z którą śledzono jego poczynania, zauważyłem jednak również troskę i zaskoczenie, zwłaszcza Bilitza siedział zeszywniały, obserwując go, podczas gdy wuj nie zmieszany realizował swój pomysł, a wreszcie poprosił o uwagę.

Wyobraź sobie: stanął na środku pokoju i zwrócił się do nas jako do członków łukowieckiego Klubu Gry w Halmę, pozwalając sobie nas powitać. Chciałby nas powitać przed pierwszą serią eliminacji, na które się tu zebraliśmy. Później rozwodził się na temat gry, wspominał o jej popularności w czasach starożytnych; wskazał na symboliczne znaczenie słów „skakać” i „przeskakiwać”. Wreszcie życzył każdemu jak najszybszego opanowania pola przeciwnika. W tym momencie nie mogłem już mu dłużej pozwolić stać i mówić, choć on czekał jeszcze na odpowiedź albo owację: przemocą pociągnąłem go do mego stołu i usadziłem na ławce, przemawiając doń i odwracając jego uwagę. Początkowo nastąpiła konsternacja, nagłe podejrzenie, szept i ukradkowe spojrzenia. Wtem do naszego stołu podszedł Bilitza, zastępca wuja Adama w Heimatvereinie; z wahaniem zajął miejsce i bez skrępowania przyglądał się twarzy wuja, zanim zapytał, kiedy to dziwne przedstawienie przyszło mu do głowy. Wuj Adam nie zrozumiał pytania, tak, po prostu do niego nie dotarło, zaczął mówić o greckim pochodzeniu gry w halmę, a zwracając się do Bilitzy nazywał go „mój drogi Waschulzik”. W każdym razie sam nie pojmował swego losu. Domagał się czystej gorzałki, wędzonej słoniny, a potem jeszcze kwaśnej zupy z soczewicy... Niektórzy z obecnych poszli jego śladem.

Conny zjawił się w momencie, gdy Dziecko zbierał naczynia; z początku zatrzymał się w drzwiach i najwidoczniej oceniał stan, w jakim się znajdowaliśmy; stał tam w lekceważącej pozie, oddychając szybko, nie chcąc zauważyć moich znaków, po czym podszedł do Edith, mijając po drodze stoły, i tak długo patrzył na nią, aż podniosła się z jakimś potulnym posłuszeństwem i zapytała: – No co? Czego chcesz? – Chodź ze mną – odparł. Podążyła za bratem, podobnie jak on nie zwracając uwagi na żadne okrzyki, spokojnie odsunęła czyjąś rękę zagrażającą jej drogę i

opuściła z nim karczmę. Nie musiałem się zbyt spieszyć, by ich dogonić, zatrzymali się na podwórzu obok studni, z drewnianym korytem do wody między sobą, długo stali tak w milczeniu naprzeciwko siebie, ktoś niewtajemniczony mógłby wziąć ich za parę zakochanych, którzy nie mogą się rozstać. Może oczekujesz teraz tego, czego ja wówczas oczekiwałem: gwałtownego starcia, oskarżeń i usprawiedliwień – przynajmniej, że w tej sytuacji wyglądało to na nieuniknione – ale nic nie wybuchło, nic nie wykypiało, po chwili podali sobie nawet ręce i równocześnie usiedli na korycie; Conny przemawiał cicho i cierpliwie do siostry, chyba się powtarzał, gdyż ona wciąż tak samo potrząsała głową, wzbraniając się przed przyjęciem albo przyznaniem czegoś. Obserwowałem ich wtulony w mech na dachu karczmy; widziałem Edith, nie wymawiając ani słowa, kiwając tylko albo potrząsając głową, aż wreszcie zaczęła beczeć, gdy Conny ją widocznie przekonał. O czym?

Zaraz, mój drogi, za chwilę...

Conny pogłaskał ją po ramieniu. Połaskotał w policzek. Przemawiając do niej wprowadził ją z powrotem do karczmy.

Och, natychmiast przerwali rozmowy, poprawili się na siedzeniach i porozumieli spojrzeniami, gdy Conny zaprowadził siostrę z powrotem na miejsce; każdy widział, że coś się wydarzyło, i pewnie przeczuwał, że czeka go coś niespodziewanego. Nadzorca Dudej i Bilitza rozsunęli się już, ale Conny nie chciał, żeby Edith usiadła, lecz na stojąco oznajmiła, co mu przyrzekła. Conny przewidział jej wahanie i trudną sytuację, położył jej rękę na ramieniu, przyciągnął do siebie i łagodnie przypomniał o umowie – nie zwracając uwagi na nieufność i otwartą wrogość nadzorcy.

Pierwsze zdanie musiała powtórzyć. Powtórzyła, że musi przyznać się do pomyłki. A więc to nie był Heini Hauser, to w ogóle nie był żaden chłopak z Małego Grajewa, jak początkowo sądziła w swoim pomieszczeniu, teraz, kiedy zniknęła mgła i ustało migotanie w oczach, zaczynała powoli widzieć jaśniej: udało jej się rozróżnić twarze. Wspierana przez Conny'ego wyznała zacinając się, że to Hugo Bandilla przyuważył ją koło dużego zagajnika w Borku i zaprosił do zwiedzenia swojej podziemnej

kryjówki; ponieważ się wzbraniała, poparł swoje zaproszenie „aż do skutku”. Edith zaszlochała sucho, niemal mechanicznie; widziałem, jak podnosi wzrok, by ocenić wrażenie, jakie zrobiło na nas jej wyznanie; jeszcze gdy to sprawdzała, nadzorca wstał z miejsca, przekroczył ławkę, przemocą obrócił Edith ku sobie i uderzył w twarz. Popchnął ją do drzwi, zawrócił jeszcze raz i wyciągnąwszy rękę w kierunku Conny’ego powiedział: – Z tobą – z tobą policzymy się później.

Co mówisz? Zmieszanie? Mylisz się: mogę cię zapewnić, że nawet przez chwilę nie zapanowało. Pragnienie, większość z nas odczuła gwałtowne pragnienie, uruchomiono Dzietkę, popędzano go zamówieniami, a gospodarz, który umiał słuchać jak skamieniały, gawędząc przynosił na stoły coraz to nowe kolejki. O Edith nikt już nie mówił, w każdym razie nie bezpośrednio, ale każdy o niej myślał, gdy Bilitza prezentował plan, jaki Heimatverein miał zamiar przedstawić łukowieckiemu zarządowi miasta, plan śmiały i bez zarzutu, pozwalający raz na zawsze rozwiązać problem mniejszości.

– Jeśli by się nam udało – mówił Bilitza – ogłosić północną część Borku z zatoką koło Małego Grajewa parkiem narodowym, to pozostalibyśmy sami wśród swoich, gdyż w parku narodowym nikt z zasady nie otrzymuje pozwolenia na osiedlenie. – Konieczność stworzenia w Łukowcu parku narodowego uzasadniał projektem budowy szosy granicznej, która przekształciłaby żyzne bagno pod górą zamkową w „pustynię cywilizacyjną”. Chciał wiedzieć, co o tym sądzimy. Pytał, czy nie mamy prawa żądać, jeśli nam się coś odbiera. Domagał się odpowiedzi, co też pomyśla o nas nasze wnuki i prawnuki, o nas, którzy dopuściliśmy, by całe piękno Łukowca „poszło w drzazgi”, jak się wyraził. Pytanie wymagające potwierdzenia; wszyscy byli po jego stronie, kiedy je stawiał – wszyscy prócz Conny’ego. Ów wiercił się na ławce, wzdychał, przewracał oczami – ale nie zabierał głosu. A gdy wreszcie mu się udało wydobyć ze swojego kufła utopioną muchę, wypił jednym haustem resztę piwa, trącił mnie w bok i zaproponował, bym poszedł z nim do domu.

Wyszedłem z nim, z nieczystym sumieniem, dręczony nieznanym dreszczem, który się pojawił, gdy pod potępiającymi spojrzeniami

członków związku opuszczaliśmy „Borowika”. Ale tak to już było: nigdy nie mogłem się oprzeć wezwaniu Conny’ego, chociaż – jak się powoli przekonywałem – nie miał najczęściej nic do zaoferowania oprócz sprzeciwu.

Pod starą gruszą, w białawej ciemności owego czasu, spuściliśmy nogi do wody, chlapaliśmy i robiliśmy fale; po drugiej stronie jeziora widniał Łukowiec ze swoimi wieżami, prezentujący masywną obronną sylwetkę. Nad nami armada nietoperzy, zataczających się jak postrzelone, a mimo to krętym lotem zmierzających do celu. Wtedy właśnie Conny powiedział: – Zobaczysz, pewnego dnia nazwą Małe Grajewo hańbą, a każdego osiadłego tu cudzoziemca mącicielem spokoju. Zazdrośni o swoją przeszłość, będą walczyć o czystość, a to najgorsze: gdzie kilku chce wymusić czystość, inni muszą w to wierzyć. – Wiedziałem, kto przez niego przemawia albo kto razem z nim mówi, gdy dodał: – W imię czystości działają zawsze tylko niezaspokojeni...

Kto, mówisz, kto jeszcze?

Jasnowidzący? Jasnowidze z drugiej strony góry? Nie bardzo cię rozumiem...

No, tego chyba nie muszę sobie przypisywać...

Mów wolniej, mój drogi...

Widzisz, podobnie mówił Conny, on też był zdania, że żądanie czystości – w myślach, uczuciach, mowie czy bo ja wiem w czym jeszcze – nie może zrodzić się tylko z ograniczenia, gotowego do wszelkiej przemocy.

Ledwo go słuchałem, musiałem myśleć o Edith, o spokoju, z jakim obwiniła Heiniego Hausera, o gotowości, z jaką przyznała się do „pomyłki” na żądanie Conny’ego; wyobrażałem sobie, jak przychodzą do domu ona i nadzorca, i jak się z nią rozprawiają, podczas gdy siostry Dudej nasłuchują zza drzwi.

– Co z nią zrobią, jak myślisz? – Conny wzruszył ramionami, może poślą ją do Nidzicy, ciągle grożą jej cegielnią w pobliżu Nidzicy, należąca do

jednego z braci nadzorcy; tam ma się nauczyć pracować, na kole garncarskim, gdyż oprócz cegieł robią tam także gliniane naczynia. Gdy Conny to powiedział, po raz pierwszy pomyślałem o zabraniu Edith do nas, do dużego domu nad zakolem rzeki, do pilnowania wuja Adama i pomocy mojej matce; pomyślałem o tym, jak już wspomniałem, ale tego nie wypowiedziałem. Choć życzyłem sobie jej poskromienia, było mi jej żal.

Wstaliśmy w milczeniu i bez pośpiechu poszliśmy w kierunku naszego domu. Obydwu nam zależało na tym, by odwlec pożegnanie, a gdy mu zaproponowałem, by wstąpił na chwilę do mojego pokoju, zgodził się z taką radością, jakby sam tego chciał, a tylko nie miał odwagi powiedzieć ze względu na późną porę. Możesz się uśmiechać, ale ulegaliśmy wtedy jeszcze nastrojom i uczuciom, a gdy staliśmy w moim pokoju w otwartym oknie, mimo woli podaliśmy sobie ręce, po to tylko, by wyrazić coś, czego nie dało się wypowiedzieć słowami.

Ale co ci to miałem opowiedzieć? O zwierzeniu, słusznie, o zwierzeniu Conny'ego w moim pokoju. A więc Conny powiedział mi w sekrecie, że chce wziąć udział w wielkim konkursie łukowieckiej gazety. Zachęcony przez mistrza Weinknechta, wykonał już swoją pracę, artykuł na zadany temat: „Oblicza ojczyzny”. Musiałem dwukrotnie dać słowo honoru, że co do mnie może być zupełnie spokojny; pamiętam jeszcze, jak zza wycięcia koszuli wyciągnął poliniowany zeszyt, spojrzął na mnie, wygładził zeszyt na kolanach, skierował na tekst owalne światełko latarki i szeptem przeczytał mi swój artykuł...

Słucham?

Oczywiście, jeszcze jak pamiętam tę historię – jeśli w ogóle można to nazwać historią...

Jeżeli naprawdę chcesz...

„Dary dnia”, tak nazwał swój artykuł, tak właśnie...

A więc wyobraź sobie: W Łukowcu rozreklamowano pewien odczyt; naukowiec nazwiskiem Doliass, który przez pół roku przemierzał wzdłuż i wszerz nasz kraj, by zbadać pojęcie szczęścia u Mazurów, miał pewnego wieczora zaprezentować wyniki swojej podróży i nie tylko: jak głosiły zapowiedzi, udało mu się odnaleźć niewątpliwie najszczęśliwszego Mazura; ów był gotów wystąpić i podać warunki, które umożliwiły jego wzorcowe szczęście. Na długo przed imprezą musiano zamknąć drzwi sali z powodu przepełnienia.

Najpierw mówił Doliass, trochę zbyt marzycielsko wyjaśnił postawione sobie zadanie, stwierdził ogólnie wieloznaczność pojęcia szczęścia, ilustrując je świeżo zdobytymi doświadczeniami; najsolidniejsze szczęście znalazł u robotników folwarcznych, miotlarzy i flisaków. Spokojnie ignorował niecierpliwość publiki, czekającej na pojawienie się jakoby najszczęśliwszego Mazura; aby niczego nie opuścić, wymienił etapy swojej krętej podróży, zdradził tajniki swojej metody badawczej, po czym obszernie przedstawił, jak w pobliżu Kierwiku natknął się na Paula Plagę, który nie tylko według jego własnych słów, lecz i zgodnie z informacjami wszystkich krewnych i sąsiadów był szczęśliwy każdego dnia swego życia.

Wreszcie wezwał Paula Plagę; w pierwszym rzędzie krzesel podniósł się bardzo stary mężczyzna w spłóviałym niedzielnym ubraniu; lekko pochylony wszedł na podium i z poważną twarzą przyglądał się naukowcowi, który wymienił kilka dat z jego życia i przedstawił warunki, w jakich szczęśliwy człowiek pędził swoje dni.

Był biednym chłopem, siedemdziesiąt osiem lat, sześcioro dzieci. Naukowiec zapytał podniesionym głosem, czy to prawda, że on, Paul Plaga, przez całe życie – to znaczy codziennie – był szczęśliwy, a stary mężczyzna skinął twierdząco: tak, codziennie. Naukowiec pytał dalej, czy owo trwałe szczęście zostało osiągnięte jakąś specjalną metodą, a stary znowu skinął głową i powiedział: Nic nie idzie bez metody. Wówczas badacz zapytał, czy on, Paul Plaga, jest gotów podać tę metodę do publicznej wiadomości, na co starzec sięgnął do kieszeni na piersiach i wyciągnął jakiś papier, rozkładając go uroczyście.

Papier wyglądał jak plan lekcji: u góry siedmioma kolorami wypisano obok siebie dni tygodnia, a pod nimi biegł tekst, wielokrotnie przerywany i z licznymi akapitami, tak że przypominał jakiś kodeks. Był to brązowy, włóknisty, bardzo stary papier, ze śladami zardzewiałych gwoździ na brzegach. Naukowiec zapytał o pochodzenie arkusza, a Paul Plaga opowiedział, że dziadek jego dziadka, kopacz torfu, otrzymał ów papier na pożegnanie od mazurskich mieszkańców bagien z wdzięczności za wynalezienie drewnianego szpadla do torfu.

Wówczas naukowiec poprosił starca, by wyjaśnił znaczenie owego zapisu. Paul Plaga opowiedział, że zawiera on sumę doświadczeń z siedmiu dni tygodnia; jego liczni poprzednicy, którzy zbierali i popularyzowali te doświadczenia, byli zmuszeni przyznać, że każdy dzień ma swój odrębny sens, tak, własny charakter; byli przekonani, że owe siedem dni próbowało wywrzeć na każdego swoisty wpływ, a ponieważ nie można im było sprostać, chodziło o to, by być z nimi w dobrych stosunkach, to znaczy robić to, co wyraźnie zalecały, a zaniechać wszystkiego, czego by nie mogły pochwalić. Według niego wszystkie te doświadczenia pozwalały przypuszczać, że między poszczególnymi dniami istnieje bliżej nieokreślona mroczna rywalizacja i że wiodą ze sobą spór, gdyż ich zalecenia i zakazy wzajemnie się wykluczają; dobrze więc było uwzględnić wszystkie wymagania, które stawiał każdy dzień z osobna.

Paul Plaga opowiadał dalej, że – odkąd tylko pamięta – na wewnętrznej stronie drzwi ich domu w Kierwiku wisiała tablica z doświadczeniami, widoczna dla wszystkich, którzy chcieli opuścić dom, i że przyzwyczajeniem wszystkich mieszkańców stało się studiowanie właściwości poszczególnych dni, ich żądań i humorów, zanim podjęto się jakąkolwiek pracę. Dzięki temu, że tak pilnie zwracali uwagę na to, czego wymagały poszczególne dni, a co wykluczały, wszystkie siedem były im przychylnie, sprzyjały ich życiu i nie tylko umożliwiały dostęp szczęściu, lecz i pozwalały rozpoznać przyczynę tego szczęścia. Na dłuższą metę – powiedział Paul Plaga – na Mazurach tylko ten może być szczęśliwy, kto kieruje się darami dnia.

Nie zwracał uwagi na szept i uśmiešky publiczności; pewien swoich doświadczeń zszedł z podium i przytwierdził papier na jego przedniej ścianie, wygładził go i naciągnął, posyłając spojrzenie uczonemu, który otwarcie go zachęcał, i nie zmieniając głosu, Paul zademonstrował, od czego zależy szczęście.

Poniedziałek nie lubi, jeśli już od rana piłować albo rąbać drzewo, wówczas może wydarzyć się nieszczęście wśród znajomych. Kto podejmie nową pracę, temu rok się będzie dłużył. Kto zabija kurę, będzie musiał zabić trzy, gdyż zjawią się goście, którzy zostaną przez tydzień. Kto przyjmie prezent od kobiety, powinien wieczorem pościć. Kto w szewski poniedziałek wezwie rzemieślnika, musi się liczyć z kradzieżą. Kto darowuje miód albo syrop, temu przy okazji pomogą.

Wtorek (Dienstag) nie na próżno nazywa się również Flinsdach. Kto je mięso – pieczone lub gotowane – musi się liczyć w ciągu roku z bólem zębów trzonowych; kto wypędza bydło, będzie w końcu zadowolony, gdyż przybierze ono na wadze. Jeśli ktoś nie znajdzie innego dnia na wesele, temu w małżeństwie towarzyszyć będą kłótnie; dobrze też robi, jeśli przygotuje się na rozbój. Kto sadza kwokę na gnieździe, zwiększy liczbę swoich niosek. Jeśli w porze niesporów urodzi się chłopak, należy się obawiać, że wyrośnie z niego podpalacz. Kto pójdzie na targ, nie pożałuje. Kto rankiem bez ustanku kicha, musi się liczyć z ciężką chorobą. Jeśli nad domem przelecą czaple i nie wrócą przed nocą, zapowiada się pogrzeb. W piecu chleb się nie spali.

Środa to ani dzień, ani wieczór; kto się w środę przeprowadzi, nigdy już nie będzie musiał opuszczać nowego domu. Kto posieje buraki pastewne i pszenicę, wyjdzie na swoje. Kto da na zapowiedzi, nie będzie żałował. Przy przeliczaniu odłożonych pieniędzy może się zdarzyć, że się znajdzie więcej, niż się odłożyło. Przy cięciu skóry prawie nie będzie odpadków. Kto nie będzie dogadzał nieoczekiwanym gościom, pozbawi się spadku. Kto przy wymiataniu izby zniszczy wszystkie pajęczyny, powinien zanieść sąsiadowi drożdżowy placek do spróbowania. To, co się naprawi, więcej się nie popsuje. Kto się zarazi, będzie długo chorował.

Czwartek bierze i daje jak żaden inny dzień. Kto się wieczorem czesze, kto zmywa i wylewa wodę przed drzwi, tego nawiedzi zmora. Kto użyje kołowrotka, musi się liczyć z bezsennością. Kto przed wschodem słońca kopie grządki, będzie miał długo zmartwienie. Kto nie nakarmi koni przed kolacją, ryzykuje, że w nocy przyjdzie kolka. Komu urodzi się dziecko, powinien od razu włożyć je pod stół, tylko w ten sposób zapobiegnie, by w przyszłości nie widywało duchów. Kto ma chore zwierzę, powinien je dziś dać zamócić. Wszystkie okrągłe przedmioty trzeba zakryć chustką. Kto skarży się na bóle, powinien brać o zmierzchu kąpiele i powtórzyć je przez dwa następne czwartki. Kto spotka mężczyznę o grubych wargach, dobrze zrobi, jeśli zarzuci sieci i zastawi więcierze. Jeśli pies zaszczeka bez powodu, trzeba napić się lipowego kwiatu.

Piątek to dzień ślubów. Kto śpiewa przy wstawaniu, temu galareta nie stanie. Kogo mgła zaskoczy na torfowisku, powinien dodatkowo ułożyć siedem stosów z torfu. Jeśli ktoś obejdzie się bez soli, spotka go niespodziewany honor. Kto ma zmienić opatrunek, powinien najpierw rozdać suszone owoce. Kto jedzie karetą do ślubu, powinien niepostrzeżenie podłożyć lalkę ze słomy pod koziół; znalezione podkowy należy trzykrotnie opluć, zanim rzuci się je za siebie. Kto podejmuje nową pracę, temu rok się nie będzie dłużył. Kto plecie kosze, wiąże miotły, karczuje pnie, piłuje deski, znajdzie wieczorem zgubione narzędzia.

Sobota lubi pachnieć mydłem. Kto w sobotę przędzie, wkrótce znajdzie robaki w sadle; kto zaczyna coś nowego, będzie się musiał pogodzić ze stratą drobiu. Jeśli sień nie jest wysypana piaskiem, nie wolno otwierać okien. Kto w czerninie znajduje tylko szyjki, musi uważać na portmonetkę. Kto po południu strzyże owce, ten w zimie odmrozi sobie palce u nóg. Jeśli jakiejś kobiecie halka wygląda spod spódnicy, wówczas sobota będzie dłuższa od niedzieli. Kto do popołudnia niczego jeszcze nie uporządkował, temu będą łzawić oczy. Kto nie dostanie od kupca kawałka mydła jako dodatku do zakupów, tego wkrótce nawiedzi plaga myszy. Tylko przy płocie można spotkać miłe towarzystwo.

Niedziela nie lubi, żeby drzwi, szafy i groby stały otworem. Jeśli nie pochowano zmarłego, niedługo umrze ktoś z krewniaków. Kto dotknie

cepa, temu mleko skwasi się już przy dojeniu. Kto nakarmił zwierzęta, ma już tylko czekać na głos dzwonów. Goście sami przynoszą jedzenie, a gdy się ich poczęstuje sokiem z czarnego bzu, zostawią sporo dla domowników. Kogo ochrzczą w niedzielę, ten będzie miał później zdolność widzenia zmarłych. Kto zbiera grzyby, nie może mieć przy sobie noża; kto wybiera się na jagody, nie powinien iść za sroką. Kto roznieca torf na czczo, nic musi dmuchać.

Widać było wyraźnie, że im dłużej i skwapliwiej Paul Plaga czytał i omawiał zalecenia i zakazy poszczególnych dni, tym bardziej zdziwiona i speszona była publiczność; choć po zakończeniu spisu uczony wezwał do stawiania pytań, nie padły żadne. Publiczność siedziała w milczeniu, póki starzec nie zabrał znowu tabeli doświadczeń, nie złożył jej i nie schował, wówczas jeden ze słuchaczy poprosił o pozwolenie przepisania dokumentu, ale Paul Plaga potrząsnął głową i nie spełnił prośby nawet wtedy, gdy wielu spośród słuchaczy wstało i zaczęło go molestować, a z mrocznego kąta zaproponowano nawet zapłatę za odpis. Starzec zdawał się marznąć, najwidoczniej mu się spieszyło, a gdy naukowca zapytano, czy zamierza powtórzyć wykład, tu albo gdzie indziej, wówczas Paul Plaga odpowiedział za niego szybko i zdecydowanie: – Nie, żadnej powtórki nie będzie.

Muszę przyznać, Martinie, że ową historię czy też artykuł Conny'ego przekazałem w skrócie, ale chciałem jedynie, żebyś miał pojęcie o jego pracy, którą zgłosił na konkurs łukowieckiej gazety. W każdym razie posłał swój artykuł, zaopatrzony w numer i hasło, do redakcji specjalnej „Oblicza Ojczyzny” i sam najbardziej się zdziwił, gdy w rocznicę bitwy pod Grunwaldem opublikowano wyniki i przyznano mu drugą nagrodę – na ponad sześćdziesiąt zgłoszeń. Drugą nagrodą była dwutygodniowa podróż morska na statku handlowo-turystycznym; przewidziano zwiedzanie pięciu portów nadbałtyckich i sto marek kieszonkowego...

Co mówisz?

Tak, jak najbardziej, tak właśnie było: Haparanda była jednym z portów, do których zawijał statek, i w ten sposób Conny miał okazję zbadać, czy

nasze wspólne marzenie było uzasadnione. A później umiał nam tylko tyle opowiedzieć o „naszym mieście”, że przycumowali w zimnym deszczu i przemykali się wśród ulewy od domu do domu; przemoczeni do suchej nitki, schronili się u jakiegoś kolejarza, który zaprosił ich na śledzie, przyrządzone na dziewięć sposobów, i który później odprowadził ich pod brezentem na statek...

Haparanda...

Bardziej brzemienny w skutki niż owa podróż okazał się dla Conny'ego list od najstarszego redaktora łukowieckiej gazety. Tak, od Ernsta Kukiełki, który wezwał młodego drukarza do swojej ciasnej redakcji i słowo po słowie przeczytał z nim nagrodzony artykuł.

Padają przy tym liczne słowa podziwu, a równocześnie redaktor poprawiał bez litości. Praca Conny'ego uzyskała stempel „Gotowy do druku” i ukazała się w niedzielnym dodatku łukowieckiej gazety – w naszym muzeum w Egenlund przechowywaliśmy pół tuzina egzemplarzy, wymiętoszone gazetki, które zdumiewały naszych gości nie tyle z powodu tekstów, co ogłoszeń. Drukacza Conny'ego zaproszono do współpracy z redakcją, pamiętam, że pisał artykuły o wielkim jarmarku końskim, o bocianach na Mazurach i o naszym bożonarodzeniowym obyczaju budzenia drzew; jego artykuły się podobały. Podobały się tak bardzo, że Friedrich Maruhn, właściciel gazety, kazał wezwać go do swego kantoru i zaproponował mu, by rzucił terminowanie w drukarni na rzecz praktyki w redakcji, to znaczy pracy przy jednym stole z Ernstem Kukiełką.

Conny wahał się, poczekał, aż jego mistrz Weinknecht wrócił ze szpitala; po rozmowie z nim przyjął propozycję i przeprowadził się z piwnicy na pierwsze piętro łukowieckiej gazety; odtąd zamiast brudnego kitla nosił lnianą marynarkę z zarękwkami.

Ach, nigdy nie zapomnę dnia, kiedy to znaleźliśmy się obaj w „Luisenhof”, gdzie Conny chciał oblać ze mną swoją przeprowadzkę z drukarni do redakcji, tak, właśnie w „Luisenhof”, który był wszak przeznaczony dla właścicieli tartaku, przewodniczącego okręgu i oficjalnych gości, którym przyznano jelenia albo nawet łosia do odstrzału. Jak już mówiłem,

wkroczyliśmy tam z Connym, który miał przy sobie wypolerowaną sękatą laskę i okulary słoneczne, również w tym sztucznym zmroku. Palmy pokojowe, lipki w zielonych kubłach, kryształowe lustra, obok których stali wyfraczeni kelnerzy, lekko kołyszający się na czubkach palców. Jeden z nich powlókł się w naszym kierunku, trzymając serwetkę jak packę na muchy, i czuł się zmuszony powiadomić nas, że jest tu nakryte tylko do kolacji, na co Conny wetknął mu srebrną monetę i poprosił o miejsce przy oknie dla trzech osób. Dostaliśmy więc nasz stolik przy oknie, wskazano nam go pospiesznie, jeden z osiemdziesięciu ośmiu stolików w owej odświetnej sali gimnastycznej, w której oprócz nas, zagubionych na bordowym tle, siedziała tylko podstarzała para, niechętnie walcząc z porcją duszonej baraniny. Conny mrugnął, po czym zamówił u sennego kelnera trzy lampki czerwonego wina, a później trzy czerniny, trzy porcje faszerowanego szczupaka, dziką kaczkę, budyń waniliowy, precle i faworki, kawę i cygara dla trzech osób. Uszczęśliwieni zmiataliśmy z trzeciego talerza, zasłaniając się wzajemnie, wiosłowaliśmy łyżkami, wyławialiśmy, kopaliśmy i grzebali w talerzach, w wyniku czego kelner robił się coraz bardziej niespokojny i szeptał z kolegami...

Pozwolić sobie, mówisz? Czy mogliśmy sobie na to pozwolić? Posłuchaj: Conny ze skórzanej sakiewki, która wydała mi się znajoma, była to sakiewka Edith, w której przechowywała tajemny spadek po matce – teraz brat rzucił ją niedbale na stół, zapłacił rachunek i dołożył napiwek, który zakłopotał kelnera. W porządku powiedział, skinął na mnie i gawędząc, wolniutko przesunęliśmy się po czerwonych chodnikach do wyjścia, okazując umiarkowane zainteresowanie idącemu właśnie naprzeciw litewskiemu ministrowi, którego jego towarzysz wydobywał z płaszcza, pozwoliliśmy sobie otworzyć wielkie drzwi hotelu i uratowaliśmy się, wypadając jednym skokiem na dwór i wybuchając śmiechem. Objęliśmy się wzajemnie. Klepaliśmy się po plecach. Wystarczyło tylko rzucić hasło, związane z jakąś sceną, a zaśmiewaliśmy się z uczuciem, że daliśmy niezłe przedstawienie. Trzymając się pod ramię, z cygarem w ustach, kłaniając się na prawo i lewo, kroczyliśmy przez wieczorny rynek, rozkoszując się zdumieniem przechodniów, kiwających głowami.

Na pomoście wypożyczalni łódek Conny włożył mi w dłoń skórzaną sakiewkę, bym ocenił wagę monet – zamienił stare złote monety na srebrne – musiałem również odgadnąć wysokość rachunku, a gdy nie udało mi się to po raz trzeci, schwycił sakiewkę i wymienił sumę, w którą nie chciałem uwierzyć. Utrzymywał w każdym razie, że Edith dobrowolnie dała mu pieniądze, powierzyła mu je z prośbą, by zaniósł je Hauserom. Podobno sama bez powodzenia próbowała wetknąć sakiewkę Annie – Annie, która odwróciła się z lekceważeniem, gdy tylko się Edith zbliżyła – i w ten sposób Conny przejął owo zadanie, ale najpierw odciągnął procenty, to znaczy przyznał sobie nagrodę za dostarczenie pieniędzy, po tym jak Heini Hauser dał mu do zrozumienia, że nigdy ich nie przyjmie. Nie, nie chcieli ich, nie pozwalali okupić pamięci o tym, co im wyrządzono, ale Conny nie mógł się z tym pogodzić; był zdecydowany dostarczyć im pieniądze; razem rozważaliśmy i odrzucaliśmy podstępny, roztrząsaliśmy możliwości. Należało sprawić, by monety znalazły się w ich posiadaniu tak, żeby nie można było udowodnić ich pochodzenia, ale w jaki sposób? Wrzucić po prostu woreczek przez otwarte, a nawet zamknięte okno; przesłać jako anonimową paczkę wartościową, ale takich paczek bez podania nadawcy się nie przyjmuje; jako niespodziankę wyrosłą w ogrodzie: wcisnęlibyśmy potajemnie monety w ogórki w grządce Hauserów albo też jako srebrny deszcz przez komin – tego pomysłu trzymaliśmy się najdłużej. Nie zgadniesz, na co się w końcu zdecydowaliśmy...

Nie, nie wysilaj się, gdyż na taki pomysł mógł wpaść tylko Conny, a nas pomysł ten wprowadził w taki zachwyt, że przebyliśmy most nie normalnym krokiem, a galopem i pędziliśmy dalej aż do zatoki koło Małego Grajewa. Rozebraliśmy się do naga w przybrzeżnych wierzbach i tak przebyliśmy suchy, trzeszczący pas trzciny przy brzegu. Stromy brzeg był spokojny, nakrapiany świeżałkami, krzywe prywatne pomosty były puste. Wleźliśmy do wody, zanurzyliśmy się od razu, choć woda sięgała ud, i ostrożnie posuwaliśmy się po dnie, niby dwie skradające się jaszczurki, unikając najłżejszego plusku i od czasu do czasu kryjąc się z łagodnym bulgotem pod wodą. W ten sposób przybliżyliśmy się od strony jeziora do prywatnych pomostów, aż wymacaliśmy śliskie liny i podciągnęliśmy się

do filarów nośnych. Rozwiązaliśmy linę, na której wisała skrzynia na ryby Hauserów, zarzuciliśmy linę na plecy i szarpiąc podnieśliśmy więcierz z dna; szarpaliśmy i ciągnęliśmy, póki nie wypłynął i nie mogliśmy zataszczyć go w gęstwę wierzb. No, teraz już pewnie wiesz, co było dalej.

W skrzyni tkwiły karpie, liny i leszcze, a także kilka sandaczy; wyciągnąłem zawleczkę, podniosłem pokrywę i użyłem jej natychmiast jako ścianki działowej na dnie skrzyni. Ryby wysuwały wargi, otwierały pokrywy skrzel. Wyjmowałem je pojedynczo, głową do góry, wsuwając dwa zgięte palce jak nurek pod pokrywę skrzel, tak że w odruchu warunkowym rozwierały pyszczki na całą szerokość. Conny stał w pełnej gotowości. Monetę po monecie wpuszczał rybom głęboko do gardła, przeciskał je przez pierścień zwięzający przełyk. Ryby wiły się, skręcały i biły ogonem, ale nic im nie pomagało: musiały połknąć monetę. Dopiero nafaszerowane srebrem mogły wrócić do skrzyni, gdzie przez chwilę leżały jak ogluszone, wybałuszając oczy i rozdziawiając pyszczki. Niektórym obmacywałem miękkie lśniące brzuchy, innym wmasowywałem monetę głębiej do środka. Po bezgłośnym nafaszerowaniu ryb wyciągnęliśmy skrzynkę znowu na głęboką wodę; pamiętam jeszcze, jak grzbiety karpi i linów kołysały się lekko i sprężynowały, zupełnie jakby ryby szukały nowego środka ciężkości, jakby musiały wrócić do chwilowo zakłóconej równowagi. Żadna z ryb nie pływała białawym brzuchem do góry; gdy nasadzałem przykrywkę, zdawały się ożywiać i tłoczyły jedna przez drugą, gdy wlekiśmy pływaką skarbonkę do pomostu Hauserów, gdzie przymocowaliśmy linę ich charakterystycznym węzłem.

Jeśli mieliśmy tego wieczora jeszcze jakieś życzenie, to tylko jedno: być przy tym, jak niosą karpie, leszcze i liny do domu, jak rozcinają rybom brzuchy i wyjmują perłowe wnętrzości i jak przy tym moneta wpada do wiadra albo z brzękiem toczy się po podłodze. Wyobrażaliśmy sobie, jak wycierają monetę, glansują ją, jak badają jej twardości jak sobie winszują, opowiadając, w którym miejscu na jeziorze ryba mogła połknąć monetę i dłaczego. Opisywaliśmy sobie też ich zaskoczenie w wypadku, gdyby wypatroszyli więcej niż jedną rybę i odkryli w ich wymoszczonym algami

brzuchu monety, tak iż z powodzeniem mogliby przypuszczać, że karpie i sandacze wyjadły całą kasę łukowieckiego Towarzystwa Wioślarskiego, którą lekkomyślny kasjer upuścił do wody.

W każdym razie Conny chciał wy badać, jak zareagują na tajemniczy przypływ gotówki, na owe trzepoczące przekazy pieniężne, a gdy się rozstaliśmy, postanowiłem zrobić moją pierwszą tkaninę dla Conny'ego, właśnie tylko dla niego: kwitnący kobierzec przyjaźni, z czerwienią zapewniającą stałość w uczuciu i błękitem, niweczącym nieporozumienia; pod tujami mieli stać dwaj wysłańcy, Jozue i Kaleb.

Co mówisz?

Właśnie, my też się zastanawialiśmy, czy nasz żart był najpewniejszą metodą dostarczenia pieniędzy Hauserom, gdyż choć Conny wielokrotnie próbował czegoś się dowiedzieć przy pomocy starannie dobranych, określonych metod, nie pojawił się żaden znak, nie padła żadna aluzja. Nigdy nie otrzymał dowodu na to, że monety zostały przez nich w ogóle znalezione, choć skrzynka z rybami została opróżniona już po trzech dniach, a to znaczyło, że zabili znacznie więcej ryb, niż mogli usmażyć, ugotować czy upiec. Ani Anna, ani Heini nie demonstrowali na spacerach nowych butów, o dom nie opierał się chromowany rower z gumowymi oponami, nawet gęsto popstrzone przez muchy świece pod obrazem Matki Boskiej nie zostały zastąpione przez reprezentacyjne woskowe oświetlenie, co kazało nam przypuszczać, że albo z ostrożności przechowywali monety w pończosze, albo przeoczyli je przy wyjmowaniu rybich wnętrzności. Dopiero w zimie dowiedzieliśmy się, co się stało z pieniędzmi, w dniu Nowego Roku, kiedy to jak zawsze odbywały się wyciągi bojerów na całej długości jeziora Łukowiec.

Kiedy od strony Małego Grajewa pospieszył na linię startu nowy, nie połatany czerwony żagiel, gdy ocenialiśmy smukły, lakierowany kadłub łodzi, podziwiali specjalnie wykute płozy i pozdrawiali Heiniego Hausera przy sterze, w czapce pilota i ochronnych okularach, wówczas Conny i ja nabraliśmy pewności, że pieniądze dotarły do odbiorcy. Drgająca dwuosobowa łódź nazywała się nie inaczej tylko „Burzyk”, przed Heiniem

siedziała Anna, także w ochronnych okularach i najdłuższym wełnianym szaliku, jaki dotąd widziałem...

To dopiero zrobił się ruch, gdy ów wyścigowy pojazd dołączył do nas, do owej rozczulającej armady sanek własnej roboty, prostych kadłubów, zbitych na krzyż desek, podbitych gwoździami płóz i rozprutych worków na kartofle; większość musiała się tym zadowolić; ale również w porównaniu z nielicznymi, obudowanymi kadłubami łodzi z fokiem i grotem wyścigówka Heiniego Hausera wyglądała jak przerasowany arab wśród ciężkich pociągowych perszeronów z browaru „Masovia”. Podobnie jak wszyscy, Conny i ja staliśmy nabożnie przed bojerem, w zamyśleniu przeciągając dłonią po drogiej sklejce, oceniając wartość płóz, taksując maszt, bom i czerwony żagiel. Nikt chyba nie liczył na własną szansę, nawet Simon Gayko, który zjawił się z najbardziej skomplikowaną samoróbką i naszył na żaglu trupa główkę. Conny zapytał, jak długo Heini pracował nad swoim pojazdem, i otrzymał nieokreśloną odpowiedź: fszistko jedno, tyle, ile było trzeba.

Na linii startu – w końcu zwołaliśmy z Connym wszystkie bojery na linię startu, byliśmy pomocnikami komisji sędziowskiej i mieliśmy za zadanie jechać za zawodnikami naszą samoróbką i uważać, czy wszyscy okrążają wmarzniętą w lód boję. Starter uderzył dwiema deszczułkami o siebie, brzmiało to jak strzał z pistoletu, opatuleni kapitanowie podeszli do linii startu i popchnęli swe pojazdy, by nabrały rozpędu, podkute buty uderzały w gładką powierzchnię lodu, bojery nabrały wiatru w żagle, trzeba było uważać przy skoku na sanki. Trzeba to było widzieć, jak owa armada leciała po szarobłękitnym zwierciadle jeziora, płozy trzeszczały, gwizdały i zawodziły, po czym kapitanowie wybrali szoty, a wiatr pochylił łódki tak głęboko, że ślizgały się tylko na jednej płozie, skośnie nad lodem, utrzymywane w równowadze przez ciężar ciała żeglarzy, zapierających się nogami albo wysuwających się poziomo za burzę. Patrząc poprzez smugi drobnych grudek śniegu, które wiatr pędził przez zamrznięte jezioro, miałeś chwilami wrażenie, że poruszają się nie lekkie pojazdy, lecz że zaśnieżone brzegi prześlizgują się obok nieruchomych żagli, tak, brzegi i pasma lasu.

Nie trwało długo, gdy armada rozciągnęła się wzdłuż, z przodu wyścigowce ze sklejki, potem wypełnione wiatrem szmaciane żagle nad zbitymi na krzyż deskami, a na koniec rozprute worki od kartofli, umocowane nie na maszcie, lecz na linach. Nie zaskoczyło nas, że na czoło wysunął się czerwony żagiel, z wyższością wyprzedzał swoich prześladowców, sztywny i drżący z napięcia, ale bezpośrednio za Heinim Hauserem trzymał się szary żagiel, skomplikowana samoróbka Simona Gayko nie dawała za wygraną i celowała prosto we wmarzniętą boję, jakby chciała ją staranować, podczas gdy Heini najwidoczniej był zdecydowany na obszerny zwrot. Pędzili na boję, jakby wcześniej uzgodnili pozycje między sobą, tylko w środku i na końcu następowały jakieś nieznaczne przesunięcia, słychać było ostrzegawcze i tryumfalne okrzyki, nie panowała tam taka zacięta powaga jak na początku, gdzie myślano o zwycięstwie.

A potem Conny nie musiał mi wcale pokazywać, co szykuje się przy znaku kontrolnym, co tam się już chyba nawet zdecydowało, ja również nie mogłem uwolnić się od Simona Gayko, który trwał na swojej łódce jak przyrośnięty i nagle zluzował linę i z łopotem żagla wykonał zwrot na wiatr, okrążając boję tak ciasnym manewrem, jak to tylko było możliwe, a gdy obrał nowy kurs, natychmiast wybrał szot, poryw wiatru postawił bojer i pchnął go do przodu. Zdawało się, że jednym jedynym manewrem wyprzedził Heiniego, gdyż ten podszedł do boi ze zbyt dużą szybkością i wyniosło go za daleko – choć zahamował tak ostro, że za jego sankami ukazała się chmura lodowych odłamków – ale Heini umiejętnie przyjął podmuch, nabrał szybkości i skinieniem nakazał siostrze, by jak on wywiesiła się za burtę. Gonili Simona. Nie rezygnowali...

Owszem, Martinie, to mogę powiedzieć; jeśli cię to interesuje, było to chyba sto kilometrów na godzinę, tak szybkie były ich pojazdy na wietrze...

Szal Anny zamiatał tafle lodu. Przy pomocy swoich zuchwale wychylonych ciał przywrócili równowagę pojazdowi i metr po metrze zdobywali odległość, zagrzewani przez resztę flotylli, zdążającej jeszcze w tamtą stronę. Zauważyli, że Simon Gayko coraz częściej spogląda na nich

w tył, by ocenić pozostały dystans. On również wisiał za burtą, choć nie całym ciałem, lecz tylko jego górną połową, z nogami w osłoniętej budce dla sternika. Daleko w przodzie, na linii mety przycupnęli sędziowie, najwidoczniej liczyli się z prędkim zakończeniem regat; flaga, która miała oznajmić zwycięzcę, była już rozwinięta. Choć człowiek miał wrażenie, że Simon zatrzymał się na ostatniej prostej, jakby przyhamowany tęnym, topniejącym lodem, to jednak jego pojazd pierwszy przejechał linię mety, można by powiedzieć, że uratował się, przejeżdżając linię mety i natychmiast wykręcając na wiatr, podczas gdy czerwony żagiel, uwolniony z wszelkich więzów i obciążeń, nie tylko przeleciał metę, ale z nie zmniejszoną prędkością mknął ku masywnym filarom mostu. Teraz powinien zrobić zwrot, myśleliśmy, teraz Heini powinien przyhamować i skierować bojer na wiatr, jeśli nie chce zaprezentować nam halsu, przy którym ryzykowałby wyrzucenie na ląd; ale pojazd pędził wciąż na most, na jeden z jego łuków; oczywiście Heini i jego siostra nie wisieli już za burtą.

Z daleka, z naszego spokojnie ślizgającego się bojera wszystko wyglądało mniej groźnie, można było sądzić, że przed nami roztacza się świat zabawek, w którym zaraz nastąpi zabawkowa katastrofa, a potem wszystko wydarzyło się tak nagle i z taką łatwością, jakby to były zapałki: maszt złamał się o łuk mostu, rozleciał na kawałki i opadł na pojazd, tak jeszcze rozpędzony, że przemknął pod mostem i wpadł w ruch wirowy, jak owad, który stracił poczucie równowagi. To, co się tam działo: łamiący się maszt, ślizgający kadłub i czerwony żagiel powiewający na wietrze, dotarło do nas jakby przytłumione.

Nie byliśmy pierwsi przy uszkodzonym „Burzyku”. Przed nami zjawiono się kilku ludzi z jury, mężczyzn na łyżwach, którzy odkręcili złamany maszt, podnieśli żagiel, wyciągnęli Annę z jej miejsca i bardzo ostrożnie ułożyli ją na lodzie. Jeszcze w biegu obserwowaliśmy, jak pomagano wydostać się Heiniemu – trzymał się za goleń, ale mógł chodzić; utykając, oszołomiony z bólu, podszedł najpierw do Anny i przyklęknął przy niej...

Tak właśnie było, Martinie, nie, nie masz racji: do ostatniej chwili Heini ufał w możliwość zahamowania, ale najwidoczniej przy zwrocie koło boi

pękła linka hamulcowa – Conny odkrył to później – a ponieważ Heini tego nie zauważył, przejechał z pełną prędkością linię mety i nie mógł zatrzymać przechylającego się bojera przed mostem.

W każdym razie Anna leżała na lodzie, nieprzytomna, krwawiąc z ciężkiej rany u nasady włosów; leżała wprost na lodzie, nie podłożyli jej nawet szala pod głowę. Gdy Conny ją zobaczył, pozostawił mi opanowanie łodzi, a sam po prostu zeskoczył i pobiegł ślizgając się ku niej, a ponieważ nie mógł zahamować, musiał ją przeskoczyć. Zapoznał się ze sprawą, zamieniając kilka słów z Heinim, po czym pochylił się nad Anną, nie dotykając jej; oczy mu się zwęziły, wargi zaczęły drżeć, nie reagował na wołanie, przez chwilę trwał w bezruchu i jeszcze prostując się powiedział do mnie: – Zrzuć foka, Zygmunt. – Razem zrzuciliśmy czerwonego foka „Burzyka”, położyliśmy Annę na mocnym płótnie i umieściliśmy ją na naszej łodzi, której kokpit był równy i szeroki, lepiej nadający się do transportu niż „Burzyk”, a gdy ściągnęliśmy już nasz żagiel, Conny umocował powróż do przednich płóz, przełożył sobie przez ramię i pociągnął. Heini Hauser i ja postępowaliśmy za ślizgiem, który póki jechał po lodzie, musiał być raczej sterowany niż ciągnięty, nie pytaliśmy, dokąd jedziemy, z góry zgodzaliśmy się na cel, który wybrał Conny. Szliśmy obok białego więzienia, potem kawałek drogi równoległe do tamy, Heini trzymał się za obojczyk i pojękiwał, ale gdy niedaleko brodu musieliśmy wspiąć się na tamę, zaprzągnął się razem z nami i w trójkę wyciągnęliśmy bojer na szosę, na ubity, gładki trakt.

A więc do majątku, Conny zdecydował się zawieźć Annę do majątku, nie tylko dlatego, że Anna pracowała tam od ukończenia szkoły i miała nawet swoją izdebkę, ale ponieważ mój dziadek, Alfons Rogalla, miał telefon. Gdy tylko wpełchnęliśmy pojazd na podwórze, psy zaczęły szczekać, wszystkie trzy rwały się na łańcuchach i ujadły, nie znały mnie i nie słuchały – od tak dawna nie byłem w majątku; zanosily się szczekaniem, gdy przemykaliśmy się obok zamrożonego stawu i kuźni do budynku mieszkalnego. Regine Ziemek, która od dawna nazywała się już Regine Prawdzik, wypadła z kurnika z drucianym koszem na biodrze, zbliżyła się do nas, zaciekawiona i przerażona, i sztywno wskazując na Annę, zapytała: – Utonęła, tak? Utopiła się? – Heini Hauser powstrzymał ją od

dotknięcia Anny; wytłumaczył jej, co się stało, kucając obok sanek, kiedy dziadek ukazał się w oknie i z rozdrażnieniem wyrzał ku nam.

Kto wie, jaka byłaby jego decyzja, gdyby Conny nie rozwarł gwałtownie drzwi, tak, to Conny nie pozostawił mu innego wyboru, jak tylko ukazać się w progu; oparty na kuli własnej roboty, miękko wymoszczonej od góry, zapytał: – No i co? Co to ma znaczyć, to całe zgromadzenie? – Gdy Conny referował mu wszystko, co powinien wiedzieć, spoglądał ku mnie obojętnie, badawczo i z wysiłkiem, a gdy Conny zamilkł, zwrócił się nie do niego, lecz do mnie: – Ty jesteś Siechmunt, no nie? – Skinąłem tylko głową, a on powiedział: – Popatrz no, nieźle się upasteś na moich deputatach – po czym chwiejnie zszedł dwa schodki niżej, wskazał kulą na Annę i stwierdził, że w tym stanie nie można jej zanieść do jej pokoju, tu nikt nie ma czasu, żeby ją pielęgnować, powinniśmy ją zawieźć do domu, do Małego Grajewa. Brzmiało to jak ostateczna decyzja, a ja, ponieważ lepiej niż inni wiedziałem, że nie warto z nim dyskutować, zapytałem, czy Conny nie mógłby przynajmniej skorzystać z telefonu, by wezwać lekarza do Małego Grajewa; zezwolił na to, ale czuwał osobiście, żebyśmy wrzucili opłatę do blaszanej puszki...

No, teraz mógłbyś mi znowu dać pić, tak, z filiżanki z dziobkiem... Jeśli już nic nie ma, siostra Margaret przyniesie świeżej herbaty, trzeba tylko zadzwonić... Poza tym zrobiła się trochę uprzejmiejsza, pewnie dlatego, że przyniosła jej kwiaty w moim imieniu...

Nawet z nią rozmawiałeś? Popatrz, popatrz, czułem, że zmiana w jej zachowaniu jest nie bez powodu... Dzięki, dzięki, mój drogi...

Na czym to stanęliśmy? Anna, słusznie, zawieźliśmy więc Annę na bojerze do domu, do drewnianej chatki na zboczu, w pokoju nie było nikogo, w kuchni też nie, ale w żelaznym piecyku słabo migotały żarzące się okruchy torfu. Wnieśliśmy Annę do domu i położyliśmy na łóżku polowym pod małym okienkiem. Heini wiedział, gdzie jest matka, zostawił nas samych z dziewczyną, a my tylko staliśmy z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała i spoglądali na nią z góry, na szeroką, odprężoną twarz i zaschnięty ślad krwi za uchem. Raz, gdy Conny podszedł do pieca i dołożył torfu,

podniosłem wzrok i rozejrzałem się wokół; pamiętam, że zdziwiła mnie ilość kartonowych pudeł, ponumerowanych i opisanych, leżących pod łóżkiem i spiętrzonych w kątach; na jednym z nich przeczytałem: Anielskie włosy, na innym: Zioła lecznicze. W momencie gdy Conny zamknął drzwi pieca, Anna westchnęła i otworzyła oczy, zaraz je zamknęła i znowu otworzyła. Conny wsunął się w jej pole widzenia, okazał swoją radość, ale ona zdawała się go nie poznawać.

Heini Hauser przyprowadził nie tylko matkę, przed nimi weszła do izby starsza, energiczna kobieta, nieforemna, zawinięta w czarną szydełkową chustę, przeszła obok, nie zwracając na nas uwagi, wyciągnęła drewnianą skrzynkę, usiadła przy łóżku i zatopiła wzrok w dziewczynie; nic nie zakłócało jej koncentracji, nawet skargi matki i jej urywany szloch. Stara kobieta zdobyła konieczne informacje o stanie zdrowia dziewczynki, kładąc jej dłoń na czole, oczach i ustach, po czym skinęła głową, jakby oczekiwała takiego rezultatu, i krzyknęła coś w kierunku stołu, a Heini przyniósł beczkę z solą, podchodził do każdego z nas, wysypując mu łyżkę soli do kieszeni albo w dłoń – fachowo, z wielką wprawą. Widziałem, jak bardzo matka pragnęła dotknąć Anny; wciąż zbliżała się do połowego łóżka, za każdym razem powstrzymywała ją nieśmiałość, a gdy stara kobieta, nawykła do rozkazywania, wyraziła znowu jakieś życzenie, matka poszła sama do kuchni i przyniosła stolnicę, sito i puszkę z mąką. Torfowy ogień dymił, piecyk wydmuchiwiał na nas jasne chmurki dymu, powietrze w drewnianej chacie zrobiło się słodkie i ciężkie. Wydawało się, że Anna i stara kobieta porozumiewają się wzrokiem, od łóżka szedł pełen napięcia spokój, tak, nie sposób było zrozumieć, jak powstało to powiązanie, ta wymiana; nigdy nie zapomnę, jak staruszka skinieniem przywołała do siebie Heiniego Hausera i coś z nim poszeptęła, a chłopak podszedł do mnie i nagląco, nie okazując ubolewania, zażądał, bym opuścił dom. Sam otworzył mi drzwi i czekał ze spuszczoneymi oczami, póki nie znalazłem się na dworze.

Nie pytaj mnie, Martinie, bo nie wiem; nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego mnie wtedy odesłali, a Conny nie chciał czy nie mógł mi tego wytłumaczyć, rozmawialiśmy o tym później, o zmierzchu, gdy ciągnęliśmy pusty bojer przez jezioro; szukanie przyczyny pozostawił mnie. Gdy

pozbyli się mnie z domu, byłem tak bezradny, że natychmiast postanowiłem poczekać na Conny'ego, nawet gdyby to miało trwać do wieczora – a gdy przyszedł, jego milczenie wpędziło mnie w jeszcze większą bezradność. Ale zanim rozstaliśmy się na moście, pod gazową latarnią, nagle wyciągnął do mnie kawałek papieru: – Masz, czytaj – i przeczytałem pierwszy anonimowy list z pogrózkami, napisany drukowanymi literami, nie do Hauserów, tylko do Gutkelchów z Małego Grajewa, tylko trzy lub cztery zdania, w których przypominane robotnikowi leśnemu i jego rodzinie kraj, skąd pochodzą, i radzono im, by jak najszybciej tam wrócili, w przeciwnym razie nic nie uchroni ich przed bolesnymi niespodziankami. Przeczytałem list wielokrotnie, nie wiedziałem, czego Conny ode mnie oczekuje, po czym oddałem mu świstek, a gdy składał go ostrożnie, samymi końcami palców, powiedział: – Zobaczysz, teraz się zacznie, przyjdą narodowi higieniści i przyniosą nam czystość i higienę, i to już niedługo. – Na krótką chwilę podał mi dłoń, odwrócił się i wolno odszedł z bojerem, który ciągle się przechylał, jakby chciał wyskoczyć z kolein, ku skąpo oświetlonemu domkowi nadzorcy.

Co mówisz?

Nie, nie, nie musisz niczego odwoływać, to, co mówisz, jest jak najbardziej prawdziwe: Conny był wówczas bystrzejszy, wrażliwszy, a przede wszystkim lepiej poinformowany, choć często nietrudno mi było wyczuć, kto go wtajemniczył i kto przez niego przemawiał; ale to już mówiłem.

Wpływ, pod który się dostał, zdawał mi się tak nieograniczony, że niekiedy – szczególnie wówczas, gdy cierpiał – sądziłem, że to nie jego własny, pierwotny ból, lecz przejęty od kogoś – nie zapożyczony, lecz właśnie przejęty; dotyczyło to również jego poglądów i ocen oraz tego, co określał jako swoją nadzieję. Nawet jeśli owe poglądy zdawały mu się nie pasować, wrósł w nie i przyswoił je sobie tak całkowicie, że stopniowo zapominało się o ich pochodzeniu...

Ale możesz się dowiedzieć, co mnie czekało w domu, w naszym muzeum nad zakolem rzeki...

Nie, mylisz się, nie kradzież; zniknął wuj Adam, w każdym razie nie wrócił od czternastu godzin z podróży do miasta, dłużej niż kiedykolwiek pozostawał poza domem i matka przestała już wierzyć, że przyprowadzą go do domu jacyś obcy ludzie na podstawie własnoręcznie napisanych karteczek identyfikujących, których kilka powtykała mu w kieszenie. Na łukowieckim jeziorze lód pękał z hukiem, świszczący północno-wschodni wiatr zaganiał wszystkich do domów, mała gospoda „Pod Kamiennym Dzbanem”, gdzie podawano grog, była od dawna zamknięta. – Czy aby tylko nie leży gdzie w śniegu z tą swoją durną głową – powiedziała matka – wcale nie jest ciepło ubrany.

Nic nie pomagało: gdy nie udało się przywołać go światłem latami, którą długo machaliśmy we wszystkich oknach, opatuliliśmy się ciepło i szukaliśmy w ciemnościach nad rzeką, na brzegu jeziora i na opustoszałych drogach. Tam, gdzie nie odważyliśmy się wejść, wołaliśmy go po imieniu. Tu i ówdzie wtykaliśmy gałęzie w stwardniały śnieg.

Choć kładłem się płasko na lodzie i przepatrywałem jezioro, nie udawało mi się dostrzec nieruchomego wzgórka. Zjawiliśmy się na dworcu w momencie, gdy właśnie opuszczono szlaban; przez tę zaporę prowadziliśmy pertraktacje z jakimś kolejarzem, który po południu sprzedał bilet nie jednemu mężczyźnie w kapeluszu o szerokim rondzie i w czerwonych nausznikach, lecz trzem o podobnym wyglądzie, którzy, jak sobie dokładnie przypominał, chcieli jechać do Olecka, Giżycka i Mikołajek, miejscowości, o których wuj raczej nie wspominał. W końcu nie pozostało nam nic innego, jak zakłócić spokój dyżurującemu policjantowi w łukowieckim rewirze; zanim się wypowiedział, nalegał, by dowiedzieć się wszystkiego o zaginionym, o jego zawodzie, skłonnościach, szczegółów jego amnezji, a gdy wyłuszczyliśmy mu już wszystkie wiadomości, warte wzmianki, przesunął palcem, poplamionym tytoniem, po linijkach książki z meldunkami i stwierdził, że o takiej osobie nic mu nie wiadomo.

Wyobrażasz sobie chyba, że nie mogliśmy spać owej pierwszej nocy, którą spędzaliśmy bez niego w jego domu. Usiedliśmy w warsztacie, nakryliśmy się kocami i nasłuchiwaliliśmy, a wśród tego nasłuchiwania wymyślaliśmy

nieszczęśliwe przypadki, które według nas mogły go spotkać, nieuniknione wypadki losowe, które każdej chwili mogły przydarzyć się komuś dotkniętemu tragiczną amnezją. Widziałem go na chłopskich sankach, jadących do Miłuków albo Kalinowa, niezdolnego do podania swego celu i pochodzenia; wyobrażałem sobie wuja Adama w pociągu, akceptującego każdą nazwę podawaną mu przez kontrolera biletów i gotowego do wysiadania wszędzie, gdzie by go namówiono; widziałem go wśród rybaków, łowiących pod lodem, wśród leśnych robotników w państwowym nadleśnictwie, ba, nawet wśród ludzi Hugona Bandilli, przekraczającego granicę polską na plecionych raketach śnieżnych; tyle możliwości, zbyt wiele. Wydawało nam się wykluczone, że mógłby nas celowo opuścić; mimo to o szarym świcie zaczęliśmy szukać listu pożegnального, ostatej woli, ale znaleźliśmy tylko, jeśli chodzi o rzeczy nas dotyczące, stare oświadczenie, napisane w dniu naszego wprowadzenia się do domu wuja, głoszące, że bierze nas do siebie na czas nieograniczony i przeznacza mi miejsce pomocnika w muzeum.

Wuj Adam nie pojawił się następnego dnia ani tygodnia ani też miesiąca, nasze poszukiwania nie dały rezultatu, informacje wróża z Dobrej Woli były niejasne, na łukowieckim posterunku policji wzruszano ramionami, gdy tylko przestąpiliśmy próg – nie mogliśmy więc zrobić nic poza tym, by zgłosić zaginięcie wuja. Cóż, zameldowaliśmy o jego zaginięciu i odtąd męczyło nas uczucie tymczasowości, żyliśmy na walizkach, codziennie oczekując wiadomości, że mamy opuścić dom nad zakolem rzeki, gdyż po wnikliwych badaniach trzeba go będzie przekazać prawnym spadkobiercom albo postąpić zgodnie z wolą wuja; pamiętam, jak w owym czasie unikaliśmy wchodzenia do bawialni i warsztatu i zamykaliśmy się w swoich izdebkach. Matka przezornie spakowała nasz dobytek; nawet słoiki z przetworami, do których mieliśmy prawo, stały osobno, oklejone karteczkami, i choć unikaliśmy mówienia o spodziewanym pożegnaniu, to jednak przygotowywaliśmy się do niego. Myślałem o tym każdego ranka, gdy szedłem wzdłuż rzeki do pracowni Sonji Turk, a wracając szybszym krokiem do domu przygotowywałem się, że jeszcze tego wieczoru trzeba będzie zacząć pakowanie; ale na razie pozostawiono nas w niepewności...

Nie, nie, nie bez śladu; poczekaj trochę. To było już na wiosnę, w każdym razie lody stopniały, gdy dowiedziałem się od Sonji, że ukradziono słynnego króla ryb z Mikołajek, długą na trzy czy cztery metry drewnianą rybę, przymocowaną pod mostem, tak, króla ryb, pół jesiotra, pół jaszczka, z koroną o ośmiu ząbkach na grzbiecie przed tylną płetwą. Według legendy wpadł on rybakom do sieci, a gdy go chcieli rozpłatać, obiecał im same dobre połowy, jeśli tylko zostawią go w wodzie. Po zasięgnięciu opinii rady miejskiej rybacy się zgodzili, uważali jednak za wskazane, by przywiązać go łańcuchem do jednego z filarów mostu nad zwężeniem jeziora. Nikt nigdy nie przypuszczał, że ciężka ryba z koroną na grzbiecie mogłaby zostać ukradziona, teraz jednak się to stało, a Sonja Turk od razu dała do zrozumienia, kogo podejrzewa: – Gdzie ktosik potrafi wziąć króla ryb za kołnierz, to już tam Adam musi być niedaleczko, zawsze go chciał podwędzić do swojego muzeum, tę rybę i co tam jeszcze z nadętych świadków...

Przygotowaliśmy się do podróży do Mikołajek, ubranie i prowiant, i z pewnością byśmy pojechali, gdyby Sonja Turk nagle nam nie odradziła: króla ryb tymczasem odnaleziono. Sonja opowiadała, że mieszkańcy Mikołajek odkryli ślad wleczenia ryby i wystarczyło tylko pójść za nim, wiodącym przez pola i piaszczyste drogi do jodłowego lasu, by znaleźć tam rybę, wydzwigniętą do góry i przymocowaną do dwu potężnych jodeł, kołyszącą się metr nad ziemią, z dwoma włóczęgami śpiącymi na jej grzbiecie. Mogli sobie po trzykroć zapewniać, że użyli króla ryb tylko jako miejsce spoczynku – nikt im nie wierzył, musieli odpokutować za to, co wuj Adam zaczął, ale nie doprowadził do końca, gdyż nie tylko dla mnie było jasne, że to właśnie on uwolnił z łańcucha stary mazurski symbol rybnego bogactwa.

Wkrótce potem dał nam jeszcze raz wskazówkę, znaczącą jego trop: było to wówczas, gdy kolejowe przedsiębiorstwo przewozowe dostarczyło nam drewnianą skrzynię, zabitą gwoździami, ach, żeby tam dostarczyło: musieli tę masywną przesyłkę spuszczać centymetr po centymetrze z platformy, a gdy wreszcie dotknęła ziemi, osiadła ciężko, jakby zdecydowała się tu pozostać. Mężczyźni nie spieszyli się z odejściem, usiedli w cieniu domu i osuszali spocone twarze, nieustannie zerkając ku

mnie, w nadziei, że na ich oczach otworzę skrzynię, a oni dowiedzą się, nad czym się tak namordowali. Ale ja już poznałem na przekazie i na skrzyni pismo wuja Adama – przesyłka była adresowana do niego – i poczekałem z otwarciem aż do ich odjazdu...

Nie wysilaj się, Martinie, nigdy nie wpadniesz na to, co zaślepiiony badacz ziemi ojczystej w napadzie szaleńczej pasji zbierackiej umieścił w skrzyni, zabił gwoździami i nadał do samego siebie – to ostatnie zapewne dlatego, że własny adres zapamiętał lepiej od innych i spłynął mu z pióra bez zastanowienia.

W każdym razie, gdy otworzyłem skrzynię przy pomocy dłuta, od razu spostrzegłem, że jego droga musiała wieść z Mikołajek do Nidzicy, gdyż zbite listewki ochraniały granitową kulę z nidzickiego tatarskiego kamienia, tak, pamiątkowego kamienia, który postawiono w miejscu widocznym z twierdzy, gdzie podczas najazdu w roku 1656 padł dowódca Tatarów. Nie mogłem wtoczyć kuli do muzeum, zbyt wielu ją znało – zakopałem ją wieczorem w skarpie nad rzeką, zasadziłem wierzbę...

Co mówisz?

Nie, już nie, dziś spoczywa na dnie Bałtyku, na dnie jednego z bałtyckich zalewów, zapadła w piasek, nie do odnalezienia po wsze czasy; dowiesz się jeszcze, co do tego doprowadziło. Na razie chciałem ci opowiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach zaginął ślad po wuju Adamie, przynajmniej na kilka lat, gdyż po tej przygniatającej przesyłce rzeczywiście przez kilka lat nic o nim nie słyszeliśmy; stopniowo przyzwyczailiśmy się do jego zaginięcia, starając się nie wyobrazać sobie, pod jakim nazwiskiem i w jakich warunkach może żyć, i właśnie wtedy przybył ów kartograf. Przysłała go do nas Sonja Turk, rozbawnego, pełnego rezerwy pana, który zamówił kilim na ścianę, a następnie zwiedził nasze muzeum, bez jednego dostrzegalnego wyrazu poruszenia; pamiętam jeszcze, jak zapłacił trzykrotną cenę wstępu i machnął ręką, kiedy podałem mu resztę. Gdy skończył zwiedzanie, chciał się dowiedzieć, czy założycielem tego muzeum był Aleksander Helenden i czy istnieje jego fotografia, na co zaprowadziliśmy go do niszy, gdzie wisiał portret wuja

Adama, na wpół zakryty przez nieśmiertelniki. Kartograf skinął głową: znalazł potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Spotkał on wuja Adama, gdy ten zwał się Aleksander Helenden i zaofiarował swoje usługi grupie kartografów, nad Niemnem, w jego bagnistych dolinach. Kartografowie zauważyli wkrótce, w jak niewielkim stopniu mogli na nim polegać, gdyż zapominał ich życzenia i polecenia, albo też wypełniał je tylko w połowie, mimo to tolerowali go dzięki jego hojności; swoim pracodawcom ofiarowywał miejscowe kroniki i barwne, rzeźbione kurlandzkie wimpelki, pochodzące z masztów łodzi rybackich. Podobno przebywał u kartografów przez tydzień, aż do dnia, w którym wydarzyło się nieszczęście.

Opowiem ci o jego wypadku tak, jak mnie to opowiedziano. Wyobraź sobie nadniemeńską dolinkę, zieloną deltę, trzciny, bagienną trawę i martwe odnogi rzeki; wszędzie, gdzie tylko się chciałeś dostać, potrzebowałeś łodzi. Ponieważ wodorosty utrudniały wiosłowanie, przepychali się naprzód przy pomocy drągów albo po prostu stawiali żagiel. Owego nieszczęsnego dnia wuj Adam przybył od strony zalewu i żeglował w kierunku martwej odnogi rzeki, gdzie oczekiwali go kartografowie; od czasu do czasu podnosili do oczu lornetkę i obserwowali go. Nie zauważyli, kiedy kurs łodzi skrzyżował się z kursem płynącego łosia, widzieli tylko, jak poroże zwierzęcia znalazło się nagle obok łodzi, kołysząc się spokojnie i uroczyście, i jak wuj Adam, podjąwszy najwidoczniej spontaniczną decyzję, zarzucił linę na rogi łosia i przyciągnął ku sobie, tak że zwierzę wypadł z rytmu i skierował się ku łodzi, nie dotykając jej jednak, lecz prześlizgując się obok i wpływając w kilwater, gdzie prychnął, potrząsnął głową i natychmiast zanurzył się w wodzie aż po oczy, podczas gdy lina wyprężyła się z drzeniem. Zrobiło się zamieszanie, kopyta łosia młóciły wodę, podczas gdy lina zmusiła zwierzę do obrotu, tak, prawie w miejscu, a poroże skierowane było teraz w kierunku zalewu, tak mocno łos odrzucił głowę do tyłu. Wuj Adam holował go za łodzią, zwierzę na pozór podążało za nim obojętnie, czasem nawet lina zwisała luźno...

Ależ tak, to świetni pływacy, niektóre przepływały całą szerokość zalewu...

W każdym razie wuj oplótł biodra końcem liny i żeglował ze swoją zdobyczą w kierunku martwej odnogi, gdy łoś nagle poczuł grunt pod nogami, wyprostował się na płyciźnie, ociekając wodą, uwieńczony połyskliwymi, wijącymi się roślinami – jak zjawą, powiedział kartograf, jak jakieś przedpotopowe zjawisko – a gdy już pewnie stanął na dnie, wystarczył jeden podrzut głową, by wyszarpnąć wuja z łodzi. Łoś nie pozostał na płyciźnie, nie zmienił też kierunku, w jakim płynął, spokojnie przeciął płytką wodę i zapadł się głębiej, najwidoczniej nie zauważając ciężaru ciała, które włókł za sobą; płynął tak, dopóki kartografowie nie wskoczyli do łodzi i nie popłynęli mu na spotkanie, wówczas zakręcił, tak, i skierował się ku pasmu trzciny, wdzierając się pomiędzy nie, zanim zdążyli przeciąć mu drogę.

Lina wytrzymała: widzieli, jak wyprężona biegła w tył od rogów łośia, gdy ten uciekał przez trzciny, nie tyle ze strachu przed nimi, co w rosnącej panice z powodu ciężaru, którego nie mógł się pozbyć; postępowali za nim śladem, który zostawiał za sobą, aż do olszyn. Tam się zatrzymał, stał jakby się poddając, z opuszczonymi rogami, grzebiąc przednią nogą w ziemi. Nie mógł iść dalej, gdyż ciało wuja Adama zaklinowało się między olchami, a dokładniej biorąc stanowiło zapórę, leżąc przed dwoma pniami, tak że łoś, aby się przedostać, musiałby zawrócić i przeciągnąć ciało wokół pni. Kartograf przeciął linę i odpędził łośia tyką, którą się odpychał, po czym zanieśli wuja do łodzi. Zmarł w drodze do Tylży.

Tyle opowiedział nam kartograf; nie chciał żadnej wdzięczności za wiadomość, odmówił nawet wypicia kawy, którą matka chciała mu zaparzyć; pożegnał się z powagą i nie dał poznać po sobie, czy jeszcze nas kiedyś odwiedzi, choć go zapraszaliśmy.

Choć, jak już mówiłem, przyzwyczailiśmy się do zaginięcia wuja, to jednak nie byliśmy przygotowani na taki jego koniec, poza tym okazało się, że jeszcze nie pod każdym względem pogodziliśmy się z jego nieobecnością. Podczas gdy matka poszła do swego pokoju i oplakiwała go

zdumiewająco długo, ja odsunąłem szmaciane dywaniki, podniosłem klapę w podłodze i po raz pierwszy od jego zniknięcia zszedłem do sekretnej piwnicy. Mimo iż tymczasem przypadł nam w udziale dom z całym inwentarzem i każdą sztukę objąłem w posiadanie, to jednak nie wchodziłem jeszcze sam do tajnej piwniczki, która skrywała wartościowe dokumenty i znaleziska; z pewnością możesz to sobie wytłumaczyć.

Spuściłem się więc w dół, zapaliłem naftową latarnię i po chwili zamknąłem za sobą klapę. Nie sądzę, że doszło tam w dole do mistycznego zjednoczenia, do duchowego dialogu z zamierzchłą przeszłością; po prostu przejąłem ostatecznie to, co przypadło mi w udziale już wcześniej. Przejrzałem wszystko: dokumenty, narzędzia i broń, zapoznałem się ze wszystkimi przedmiotami, układając je w nowym porządku, moim własnym. Odcyfrowałem dokumenty, wypróbowałem narzędzia, obmacywałem broń, aż mogłem je wszystkie rozróżnić nawet po ciemku.

Czy przekazały mi jakąś informację? Z pewnością, ale informacja ta pozostała na razie wrażeniem: nic nie jest tu odłożone *ad acta*, ważne tylko samo w sobie; wszystko istnieje jako porównanie, poprzez które poznajesz własne możliwości. Czułem, Martinie, że wszystko, co człowiek wie o innych, dotyczy jego samego...

Ale o czym to ja ci chciałem opowiedzieć? Słusznie, o zamianie; a więc gdy już skrycie obiecałem wujowi Adamowi, że będę odtąd traktował jego muzeum jako swój obowiązek, dokonałem pewnej znaczącej zamiany, czego nie zauważyła ani matka, ani nasi stali bywalcy. Potajemnie wyniosłem kopie i imitacje do piwnicy i zastąpiłem je oryginałami, tak, zastąpiłem je rzeczami niezastąpionymi, przy czym zdawałem sobie sprawę, że postępuję wbrew zasadom wuja Adama, by nie prezentować publiczności żadnych oryginałów, a tym samym nie narażać ich na niebezpieczeństwo. Uczyniłem to z przekonania, że rzeczy niezastąpione również muszą podlegać ryzyku, poza tym oczekiwałem od oryginałów silniejszego oddziaływania. Byłem teraz, by tak rzec, w zgodzie z samym sobą, podczas moich niedzielnych oprowadzań po muzeum mogłem obserwować, jakie wrażenie wywoływała moja uwaga, że mają tu do czynienia wyłącznie z oryginałami.

Moje oprowadzania! Trzeba ci było je widzieć: naszpikowane opowieściami – tak, bardziej ufałem legendom niż wszystkim danym – pogodnie przy całym przejęciu, rozmarzone, a jednocześnie entuzjastyczne, stale zabiegające o to, by nie ukazywać minionych czasów jako czegoś należącego wyłącznie do przeszłości. Aby znieść dystans, mówiłem na przykład o Jadźwingach jak o członkach rodziny, nie wahałem się też na czas trwania wycieczki obwiesić pań naszą najstarszą biżuterią. Nie obowiązywał u mnie, jak u wuja Adama, surowy zakaz dotykania eksponatów. Dzieci szkolne mogły używać diabelskich skrzypiec i bębna; kto chciał, mógł wypróbować stare miary i odważniki; pozwalałem każdemu zakładać drucianą kolczugę jednego z rycerzy Zakonu, uszkodzoną cięciem miecza, uruchamiać kołowrotek, dotykać szkieletu mazurskiego niedźwiedzia, chłęptać wodę z drewnianej łyżki do picia – tylko pieniądze, starodawne monety, pozostawały pod szkłem. Nie wiem tego na pewno, ale może na skutek mojego sposobu oprowadzania pewnego dnia łukowiecki Heimatverein przysłał do nas mojego byłego nauczyciela Henseleita, po to tylko, by nam powiedzieć, że uznano nasze muzeum za godne rocznej dotacji w wysokości stu siedemdziesięciu pięciu marek. Stwierdzono, uznano za stosowne...

Co mówisz? Naprawdę jest tak późno? Nie, nie, Martinie, rozumiem, że musisz iść, czekają na ciebie obowiązki, podczas gdy ja muszę tylko leżeć spokojnie, aby przyjęły się wysepki skóry...

Masz rację, będziemy jeszcze często mieli okazję; jeśli chodzi o długość mojego pobytu tutaj, to nikt nie chce na razie powiedzieć nic wiążącego. Widzisz, jak bardzo chcę się usprawiedliwić, ale kto chce się dowiedzieć, dlaczego zniszczyłem muzeum, musi się dużo nasłuchać – tak jak ty, właśnie... A Henrike – co stoi na przeszkodzie, byś jej dziś powiedział, że byłeś u mnie...

Przeprowadziła się do matki? Matka ją dziś zabrała? Widzisz, tego właśnie się obawiałem – gdyż teraz zawrą przymierze przeciwko mnie... Schył głowę, gdy będziesz wchodził do domu organisty, tam wszystko już się wali; i przygotuj się na to, że spotkasz tam Mariana Jeromina, zanim dowiesz się wszystkiego, co potrzeba, Mariana, mojego tak zwanego

ulubionego ucznia. On i Carola wcześniej odkryli, że – jak by to powiedzieć? – że rozumieją się ponad powszedniością, podobno coś takiego istnieje...

Jaką masz twardą dłoń, jakbyś używał narzędzi...

Już jutro? Tym lepiej; a więc jutro o tej samej porze...

VII

Naraz zaczęły przychodzić listy; najpierw krótki, nic nie mówiący, po którym jednak właśnie dlatego można było poznać, jak ciężko było go napisać, a potem, kiedy już odpisałem, kiedy odbiłem piłeczkę, po trzech dniach nadszedł nowy list, tym razem obszerniejszy, bardziej rozwlekły; właśnie potwierdzałem jego przyjęcie, kiedy Karpowicz, nasz listonosz, już znowu machał do mnie z drogi nad rzeką bładoniebieską kopertą, zawierającą tyle słów, że musiałem jeszcze uiścić dopłatę. Jeśli dotąd prawie nie otrzymywałem korespondencji, któż miałby zresztą do mnie pisać, to obecnie wokół mnie po prostu wirowało od listów, zupełnie tak, jak gdyby trzeba to było nadrobić.

Pisała Edith; pisała z warsztatu garncarskiego w pobliżu Nidzicy, dokąd wysłał ją nadzorca, żeby nauczyła się „pracować”. A ona pisała, jakbym był jedyną osobą, której mogłaby się zwierzyć, a także jedynym, który interesował się wszystkim, co jej dotyczyło, łącznie z jej osobliwą żądzą wiedzy i zmiennymi nastrojami. To, na co nigdy byśmy nie wpadli, gdyby Edith mogła pozostać w Łukowcu, wynikło jako skutek rozstania: korespondując ze sobą odkrywaliśmy się z oddali, stawaliśmy się coraz rozmowniejsi, okazywaliśmy gotowość do wyznań, których bliskość nigdy by nie dopuściła; i im szerzej i ufniej wymienialiśmy nasze wyznania, z tym większym zdumieniem stwierdzaliśmy, że brakuje nam siebie. To z pewnością się zgadza: pisząc zbliżaliśmy się do siebie, udało się nam osiągnąć w naszych listach taką zażyłość, jaka nie byłaby możliwa w rozmowie.

Co mówisz?

Nie, Martin, właśnie że nie; nasza korespondencja nie stała się z czasem skromniejsza, ale raczej jeszcze się rozrosła i stała się bardziej nagła, po prostu dlatego, że im więcej wiedzieliśmy o sobie, tym więcej pragnęliśmy się dowiedzieć, i ponieważ zakładaliśmy, że wszystko, co się kóremuś z nas przydarzyło lub co wspominał albo odczuwał, jest warte zakomunikowania...

Jeśli tak mówisz, to nie doceniasz Edith i mnie jako korespondujących. Pamiętam, jak kiedyś napisała mi, że rozstała się ostatecznie ze swymi zwisającymi preclami z warkoczy w kolorze kukurydzy, a ja potrzebowałem całego listu, aby omówić i odrzucić wszelkie możliwe fryzury i w końcu polecić jej najbardziej twarzową. A kiedyś napisałem jej, że na jednym z pól w majątku znaleziono kamienną siekierę, na co ona odpisała mi, że Hugo Bandilla zakopywał łup ze swych przemytniczych wypraw w glinianych dzbanach w lasach i pagórkach wokół Łukowca, a potem z wyczuciem opisywała wszystkie miejsca, nadające się do zakopywania srebrnych monet. A kiedyś napisała mi, że skoro nauczyła się już formować z gliny talerze i garnki, to chciałaby utoczyć dla mnie specjalną butelkę do ogrzewania łóżka, ale ponieważ chciała ją pomalować, poprosiła mnie, bym wymienił swoje ulubione kolory, a ja musiałem napisać cały list, aby uzasadnić, dlaczego moimi ulubionymi kolorami są błękit, biel i zieleń, i dlaczego czerwień była nim tylko chwilowo. A raz napisałem jej, że razem z Sonją Turk byłem na grzybach, na co ona odpowiedziała wykładem, jak rozpoznawać tutejsze grzyby, dołączając przepisy na przyrządzanie gąsek, kurek, borowików. Taka była nasza korespondencja, tak, ale serwowaliśmy sobie także opisy naszych uczuć i nastrojów, nieśmiało dawaliśmy wyraz naszym zbieżnym nadziejom, wymienialiśmy nader intymne oceny naszego otoczenia. Coś powstawało, coś się rodziło, czułem to wieczorami, kiedy wymykałem się do mojego pokoiku, sortowałem wydarzenia i wyszukiwałem metafory dla uczuć.

Działo się to wówczas, gdy pracowałem nad kobiercem przyjaźni dla Conny'ego, po kryjomu i systematycznie, nad egzemplarzem, co do którego pragnąłem jedynie, by mógł być pokazany na pierwszej wystawie kilimów, mającej się odbyć w naszym muzeum z inicjatywy łukowieckiego

Heimatverein i bez zbytniego entuzjazmu popieranej przez Sonję Turk. Sonja trzymała mnie do końca w niepewności; niekiedy stawiała nad moim warsztatem, rzucała okiem na powstające dzieło, natychmiast się jednak odwracała, skoro tylko zaczynałem jej coś wyjaśniać, a na moje pytanie, czy może sobie wyobrazić, co chciałem przez to wyrazić, odpowiadała przeważnie: – Jak jest dobre, to nic nie trza gadać; znaczenie to już sama znajdę.

Pracowałem także po fajrancie, co uważała za oczywiste; w białe, obramowane czerwienią i błękitem tło wplatałem grupę surowych drzew życia, drzew, które wyglądały tak poważnie jak mężczyźni po złożeniu uroczystej przysięgi, jakby skamieniali wobec doniosłości danego słowa, i jak już mówiłem albo jak postanowiłem w drodze do domu, spod osłony drzew mieli wyłaniać się obaj prorocy, Jozue i Kaleb z winnym gronem. Nie ukończyłem jeszcze całkiem pracy, gdy Sonja nagle podała mi pacynę surowej masy marcepanowej, a kiedy zerwałem się na nogi, aby mogła mi również ustnie potwierdzić swą decyzję, udzieliła mi niespodziewanie kilku rad: – Pamiętaj, Zygmunt, musisz zostawić materiałowi to, co wnosi on sam; nic nie zastąpi miękkości i ciepła wełny. Dlatego pozwól oddziaływać materiałowi, zanim wesprzesz go działaniem koloru, pozwól wełnie chłonąć i oddawać światło, i już masz przestrzeń. Nie próbuj naśladować malarstwa, i nie kryj tego, co wydobywają z siebie wątek i osnowa.

Tak to jest, mój kochany, obydwie systemy nitek, biegnących pod kątem prostym w stosunku do siebie, które już przez samo połączenie tworzą tło...

W każdym razie Sonja Turk zgodziła się, żeby mój kilim wisiał na wystawie, i aczkolwiek ona sama nader niechętnie oddawała swoje prace na wystawę, molestowana ciągle przez Bilitzę i Henseleita, dla mnie nie miało to żadnego znaczenia, gdyż nie powiedziała mi nic o przyczynach swego wahania, a ja opanowany byłem tylko pragnieniem, by u boku mojej mistrzyni pokazać się publiczności. Edith dowiedziała się o tym jako pierwsza, a kiedy już wrzuciłem list do niej, wyciąłem z białej tektury

tabliczkę i starannie wypisałem tuszem drukowany szyld: „Nie na sprzedaż, dar przyjaźni dla Konrada Karrascha z Łukowca”.

Przy wieszaniu eksponatów okazało się, że z dwudziestu dwóch wystawionych prac dziewiętnaście było nie na sprzedaż, gdyż zostały wypożyczone przez właścicieli lub też Sonja Turk nie chciała się z nimi rozstać – w sumie dwadzieścia dwa okazy, tak, nie możesz sobie wyobrazić, jak konkurowały tam ze sobą kształty i kolory i jak treści – nasze kilimy posiadały bowiem treść – wyjawiały wszystko o nas; nawet w ornamentach odbijało się coś z naszej odrębności. Nie muszę ci mówić, jak męcząco płynął czas aż do dnia otwarcia. Pierwsza wystawa, a ja już brałem w niej udział. Naprawdę chcesz to wiedzieć? A więc dobrze, wobec tego spróbuję określić porę roku: ponieważ moja matka cierpiała na gorączkę sienną, a psy myśliwych polujących na kaczki ujadają w łądziach; skoro pierwsze krążki jabłek były już nawleczone na sznurek i zawieszane do suszenia, a zatoczkę przy półwyspie opuściły tratwy; skoro nasi włóczędzy stawali się coraz bardziej niespokojni, skoro przed domami rosły ułożone starannie stosy drewna, więc musiało to być we wrześniu, w końcu września, jakiejś niedzieli. Heimatverein stawiał się niemal w komplecie, pojawił się zastępca burmistrza i żona starosty, przybył superintendent, katolicki ksiądz, właściciel hotelu „Luisenhof”, dwóch ponurych artystów z Łukowca, dobrze ubrani właściciele depozytów i, co mnie zdumiało, pan Struppek z firmy Struppek i Sausmikat, który przyprowadził ze sobą nieśmiałe grono klientów. Kto jeszcze? Oczywiście Conny, w towarzystwie redaktora Kukiełki, z notesem widocznym w kieszeni marynarki, a zatem służbowo. Sonja Turk i ja chcieliśmy już odejść od okna, z którego obserwowaliśmy przybycie gości, kiedy przy parkanie zatrzymał się czterokonny powóz, wysoki, odznaczający się staromodną elegancją; stangret zeskoczył z kozła, okrążył powóz i pomógł wysiąść mężczyźnie, który musiał pomylić jeśli nie adres, to co najmniej porę roku: masywne ciało, które wytoczyło się postępując, tkwiło w rozpiętym futrze z lisich skór, krótkie, lecz żwawe nóżki chronione były drogimi sznurowanymi trzewikami, sięgającymi kolan. Zaczekał, aż woźnica przy wiąże koniom worki z owsem i znieśie z wozu wiklinowy kuferek, po czym podciągnął na brzuchu zsuwające się

uparcie spodnie, zapiął koszulę pod podwójnym podbródkiem, mlasnął wyzywająco i podpłynął ku nam, uginając kolana, tylko wtedy pozwalał zapomnieć o swym chodzie zapaśnika, kiedy kłaniał się poszczególnym grupom, lustrującym go ze zdumieniem, kłaniał się z oszczędną gracją tłuściocha. – Znasz go? – spytałem Sonję Turk, a ona odparła poruszona: – Niby skąd? Ale szczęśliwy to on nie jest, co to, to nie.

Poproszono ludzi do sieni. Bilitza, przewodniczący Heimatvereinu, zatrzymał się na drugim stopniu schodów, Sonja i ja staliśmy za nim na trzecim stopniu i spoglądaliśmy na jego błyszczącą, jakby wypolerowaną skórę na głowie; mrugnęliśmy z Connym do siebie. Bilitza zapewnił sobie ciszę przy pomocy kilku uspokajających ruchów i syczącego dźwięku, który z powodu luki między przednimi zębami zabrzmiał prawie jak gwizd. A potem powitał gości z okazji otwarcia wystawy, pierwszej łukowieckiej wystawy tkackiej.

Powiedział, że uważa tę wystawę za tak znaczącą, iż daruje sobie rozwodzenie się nad trudnościami, będącymi zarówno nieodłączną częścią przedsięwzięcia, jak i pozaplanowymi, odczuwa jedynie konieczność publicznego oświadczenia, że bez pomocy wielkiej mistrzyni tkactwa, Sonji Turk, wystawa nie doszłaby do skutku. Lekkim obrotem ciała skierował oklaski ku Sonji Turk.

Potem rozwinął swój rękopis i pozwolił sobie przypomnieć kilka „niezbędnych wiadomości o mazurskiej sztuce tkackiej”, której nie mógł nazwać inaczej jak tylko „sztuką narodową”: tak zwanym „wglądem w istotę dawnych symboli, które prowadzą ku źródłom wszelkiej wspólnoty” – powiedział „wszelakiej”. Spór o początki tej sztuki rozstrzygnął, uśmiechając się z wyższością: Jeśli chodzi o niego, mówił, to mogą sobie jedni utrzymywać, że porwani Mazurzy nauczyli się jakoby sztuki tkackiej od Tatarów w południowej Rosji, po tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym; i jeśli o niego chodzi, mówił, to inni mogą sobie nadal twierdzić, że wszystko podpatrzyliśmy u Tatarów, którzy pozostali u nas po napadzie; pewne jest – a wiemy to z archiwów Zakonu – że już przed stuleciami wiązano i tkano. Wręcz obrażony, wykluczył Bilitza związek między mazurską i orientalną sztuką tkacką, przy czym w

widoczny sposób ożywił się dowodząc, że nasze kilimy w swej technice i ornamentyce są blisko spokrewnione ze szwedzkimi chłopskimi kilimami, tak zwanymi „ryen”. Uznał za stosowne wskazać na fakt, że dywany na podłogę tylko w germańskim domu uważano za świętość i czczono je...

Głośniej, Martinie, mów trochę głośniej...

Komu trzeba odebrać głos?

Każdemu, kto używa słowa „źródło”? Boję się, że będziesz musiał wydać wiele zakazów mówienia, przypuszczalnie także mnie. Wierz mi, doświadczyłem jej, tej arogancji, wywodzącej się ze źródeł, tej pychy, która szuka potwierdzenia siebie u prapoczątków, musiałem zrozumieć, że droga do źródeł zasnuta jest dymem i mgłą, mimo to nie możesz wszak wyeliminować tego, co zostało sfalszowane i nadużyte, raczej chodzi o to, by przyznać temu należne prawa. Ale zostawmy to...

W każdym razie Bilitzy, o którym dowiesz się jeszcze niejednego, nie można odprawić. Wyobraź sobie, że ustalił dwa okresy rozkwitu mazurskiej sztuki tkackiej: pierwszy na początku osiemnastego wieku i drugi, być może jeszcze bardziej znaczący, którego uosobieniem było nazwisko Sonji Turk, po czym znów wykonał obrót, z rękopisem w zębach klaskał, wskazując moją mistrzynię, zmuszając w ten sposób gości, by również klaskali. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie udostępnią nam sale wystawowe, ale rękopis nie został jeszcze wykorzystany do końca; najpierw Bilitza zatrzymał się przy powstawaniu kobierca, i to, jak mówił, od pierwszego wewnętrznego odczucia motywu, aż do ukończenia tego cudu z nitek i barw, potem uznał, że musi nam opowiedzieć o interpretacji motywów; i czego nie oszczędził! jeszcze żadnemu słuchaczowi, tego nie oszczędził na koniec i nam: swojego traktatu o ludowych obyczajach, tak jak on je rozumiał.

Nie pamiętam, jak często musiałem wysłuchiwać jego gadaniny; za każdym razem jednakże czułem, jak wzbiera we mnie przygnębienie, gdy sławił folklor jako „doświadczenie krwi”, jako „prawo duszy”. Czy było to wiosenne wypędzanie bydła na paszę, czy darcie pierza, czy też zwyczaje wielkanocne: dla Bilitzy we wszystkim „mieszkała” czarodziejska siła, po

prostu dlatego, że za pośrednictwem obyczajów wytwarza się łączność z przodkami, której bezkrytycznie przypisywał ogromne znaczenie. Według niego przodkowie sprawdzili się pośród „burz dziejowych” i zachowali zdolność przetrwania dzięki rezygnacji ze „zbędnych rozmyślań”. Dawali przykład tego, jak korzystać z tak zwanych sił duszy, by nie dać się zdeformować przez to, co obce. Bilitza zanurzał się jak nurek w głąb duszy, chcąc poprzez pielęgnowanie obyczajów położyć kres „wrzodom” czasów nowożytnych.

Rozległy się skąpe oklaski, kiedy wreszcie otworzył wystawę – przyjaciele Struppka wydali mi się zalęknieni – a ja zbiegłem po schodach i czekałem na Conny’ego, który wchodził bez pośpiechu z Kukiełką, starając się nie uронić niczego, co stary redaktor mówił do niego z bolesnym wyrazem twarzy. Conny przywitał się ze mną przyjaźnie, choć krótko; zapewne chciał mi dać do zrozumienia, że jest tu służbowo i dlatego musi się odpowiednio zachowywać; ograniczyłem się więc do tego, by podążyć za nim i innymi, którzy nie rozpierzchli się po różnych salach, lecz w uparcie rosnącym orszaku przesuwali się przed eksponatami.

Nie muszę ci mówić, że śledziłem wzrokiem tylko Conny’ego; uwięziony w potoku zwiedzających – albo raczej w tłumie, który robił na mnie wrażenie płynącej leniwie rzeki – podążałem za nim, obserwowałem, jak oglądał kobierce, nigdy nie porównując, raczej mierząc wzrokiem i oceniając każdy z osobna, od czego dla nas wszak zaczyna się znajomość rzeczy, i widziałem, że to on był tym, który szeptem zwracał Kukiełce uwagę na odkryte przez siebie szczegóły. Od czasu do czasu notował coś w punktach, nie opuszczając wzroku na papier. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak zagłębianego w pracę, swoją pracę, patrzącego i oceniającego, a im dalej się posuwał i im bardziej zbliżał do dzieła, pod którym wypisano jego nazwisko, tym bardziej stawałem się niespokojny i zatroskany. Tak bezpośrednio obok niego łatwiej byłoby mi znieść to napięcie, albo na dworze czy w innej sali, ale w ten sposób, w umiarkowanej odległości, oddzielony od niego tylko sześcioma czy ośmioma zwiedzającymi, nagle zapragnąłem, by akt wręczenia kobierca przyjaźni odbył się już dawno, bez wtajemniczenia w to innych.

A potem stanął przed dwoma wysłańcami i wędrował wzrokiem po całym kobiercu, nie pobieżnie, ale i nie uważnie, niż kiedy zagłębiał się w oglądanie innych prac; ołówki jego rzucał coś niedbale na papier, gotów już był iść dalej, kiedy Kukiełka dotknął swym zeszywniałym palcem wskazującym tabliczki z dedykacją. Conny przeczytał ją kilkakrotnie, uniósł wzrok ku wysłańcom i spuścił go znowu na tabliczkę, potrząsnął głową – ze zdumieniem, bynajmniej nie z zachwytem czy zaskoczeniem – rozejrzał się z zakłopotaniem i upłynęła dłuższa chwila, zanim dostrzegł mój znak i odpowiedział nań zmieszany.

Przecisnąłem się przez zwiedzających, stanąłem przy nim pełen oczekiwania, a ponieważ nie przestawał patrzeć na mnie ze zdziwieniem, powiedziałem: – Dla ciebie, Conny, zrobiłem go dla ciebie, podoba ci się? – Unikał mego wzroku, widocznie musiał się namyślić, zanim mi odpowie, ale zamiast tego spytał: – Sam go zrobiłeś? – Siedem miesięcy, powiedziałem, siedziałem nad tą pracą siedem miesięcy...

Tak, masz rację: niepożądany podarunek, dar przyjaźni, który bardziej go zmieszał niż ucieszył, a ja poczułem, jak w żołądku osadza mi się ciężar bezradności i rozczarowania, a także goryczy, uczucia dotąd nieznanego, i to z taką siłą, aż myślałem, że zwymiotuję. Widząc jego niezdecydowanie, spytałem: – Przyjmiesz go chyba, co? – na co on odparł: – Jeszcze o tym pomówimy.

Obydwaj skinęli mi głową i zostawili mnie samego. Wymknąłem się do pracowni, otworzyłem okno, przysunąłem do niego skrzynkę i usiadłem. Z zamkniętymi oczami nasłuchiwałem kroków i głosów, słuchałem szeptanych komentarzy, sądów, które nie były przeznaczone dla mnie: na ścianie to jeszcze, jeszcze, nad łóżkiem też, ale na podłodze – na to jest za drogi; nie, i na odwrót: przy kilimie wełna jest twarda, przy kobiercu musi być miękka, jakby do pujkania⁵; co to za symbol mają być te wskazówki, ostrzegają, zwłaszcza jak tak stoją na dwunastej; ten z gołąbkami to jeszcze, ale tego z trzema wilkami to bym nie chciał mieć w sypialni; mam

⁵ Pujkać (mazur.) – głaśkać (przyp. tłum.).

nadzieję, że nie sprzedadzą przez nieuwagę twego ślubnego kobierca; dlaczego te motywy nie miałyby pasować do naszego kościoła – w końcu u nas od stu lat obok Anioła Chrzyciela stoi drewniana rzeźba głowy jeleniej z prawdziwym porożem. Możesz sobie chyba wyobrazić, co można usłyszeć, jak się tak siedzi niezauważony.

W każdym razie tam, na tej skrzyni pod oknem, odnalazła mnie Sonja Turk; zagniewana kiwnęła na mnie głową, no chodź już, pszakref, chodź już; stwierdziła z wyrzutem, że w takim dniu mam być przy dywanach, a potem przez sień popchnęła mnie do sali, gdzie wisiał mój kobierzec przyjaźni. Stał przed nim zwalisty mężczyzna w futrze z lisich skór, gładził wełnę, kreślił nie istniejące linie między postaciami i symbolami, widocznie przeczuwał powiązania, więc szukał i wyliczał coś, co miało mu dać pewność, a wokół niego pod różnymi przejrzystymi pretekstami stali zwiedzający, ciekawi, rozbawieni, co kolosa o przebiegłych, a zarazem rozmarzonych oczach zdawało się nie obchodzić. Sonja Turk zaprowadziła mnie do niego wymieniając moje nazwisko i wspomniała, że mój kobierzec jest pod każdym względem pracą samodzielną, a kolos ujął moją rękę i pogratulował mi – o wiele za poważnie, żebym mógł to uznać jedynie za uprzejme zainteresowanie. Przytknął palcami, na co z tłumy wynurzył się jego woźnica z gorliwą usłużnością, dźwigając ciężki wiklinowy kuferek, którego nie śmiał odstawić, woźnica stanął w taki sposób, że mogli porozumieć się wzrokiem, bez odwracania głowy – było to jakby ustawienie się do jakiejś gry, którą obaj często próbowali, a która i teraz miała zakończyć się sukcesem.

Nie bądź taki niecierpliwy, Martinie, poczekaj trochę.

A więc kolos zatknął oba kciuki w rozcięcie kamizelki i swym wysokim głosem oświadczył, że ma zamiar kupić kobierzec przyjaźni, nie przeszkadza mu, że jest zadedykowany komu innemu, to, co przedstawia, zawsze będzie czytelne, po czym spojrział nagłaco na woźnicę – to znaczy, nie zauważyłem nic oprócz wymiany spojrzeń, chociaż ponad wszelką wątpliwość radzili się nawzajem i porozumiewali, na co stangret otworzył wiklinowy kuferek i odliczył mi trzysta osiemdziesiąt marek – wiesz, tak beznamyślnie, po kupiecku, ale zamiast wręczyć mi pieniądze, położył je

pod wiszącym kobiercem, na dolnej listewce. Zmieszałem się, gdyż była to dokładnie suma, którą wymieniła Sonja Turk, kiedy dla żartu zapytałem, ile mógłbym zażądać za moje dzieło, gdybym musiał je sprzedać, tak, trzysta osiemdziesiąt marek. Potrząsnąłem głową, stuknąłem knykciem w tabliczkę i potrząsnąłem głową. Sonja Turk nagle znikła, a może była tam, zasłonięta jedynie zwiedzającymi, którzy stali teraz już nie tylko ciekawi i rozbawieni, ale pełni napięcia; jak gdyby to, co zaszło w naszej sali, błyskawicznie się rozeszło, zaczęli jeszcze napływać i inni, nawet superintendent i katolicki ksiądz, również Conny pojawił się za woźnicą.

Ta cisza, ta nienaturalna cisza, kiedy po ponownej wymianie spojrzeń woźnica otworzył kuferek i odliczył mi dwadzieścia marek w srebrze. Monety spadły na siebie z brzękiem, układając się w wieżyczkę. Jeszcze dziś słyszę pomruk, który rozszedł się wśród stojących, kiedy dotarliśmy do pięciuset; ludzie utworzyli wokół nas ciasny krąg, wyciągali szyje i obserwowali w milczeniu, jak woźnica układał obok siebie stopy monet, niezrażony moimi odmownymi gestami i potrząśnięciem głową, z niezachwianą pewnością.

Tak, Martinie, musisz wiedzieć, że Sonja Turk przyznała mi wtedy dwieście dwadzieścia marek miesięcznie, ale też dostawałem od niej obiad i kolację.

Jakkolwiek śledziłem kolejne podbijanie ceny, to jednak nie byłem w stanie oszacować sumy, którą zaoferował mi człowiek w futrze z lisich skór – bardzo się tym różniąc od niektórych zwiedzających, którzy dawno pojęli, że idzie tu o coś więcej niż nawet o cenę amatorską.

Nie wiem, co się ze mną działo, po prostu nie potrafiłem bronić się wystarczająco zdecydowanie, nie mogłem już stawić czoła ich metodzie, a tym samym całej tej grze, która na niektórych – zresztą niesłusznie – sprawiała wrażenie pojedynku, i ci byli chyba najbardziej zawiedzeni, kiedy nagle wyslizgnąłem się z kręgu i zacząłem sobie torować drogę do drzwi. Stamtąd, jak sądzę, spod drzwi, oświadczyłem jeszcze raz, że kobierzec nie należy już do mnie i dlatego nie mogę przyjąć żadnej oferty. Poszedłem do mojej izdebki, zamknąłem drzwi na klucz i nie mogłem

uwolnić się od obrazu, który pozostawiłem za sobą: krąg pożądlivych gości, kolosa i jego woźnicę, chwytającego wszystkie rozkazy wzrokiem, kupki srebrnych monet, ułożonych w szereg obok listwy na podłodze.

Jak już mówiłem, nie wiem, co się ze mną działo, dlaczego nie wytrzymałem tej gry; położyłem się na łóżku i postanowiłem nie wpuszczać nikogo, nawet Sonji Turk; zaledwie jednak za drzwiami zameldował się Conny, natychmiast wstałem i otworzyłem mu. Nie miałem żadnego powodu, by powitać go z radością, nie zaproponowałem, by usiadł lub wziął sobie jabłko spośród dojrzewających na parapecie, teraz, kiedy powinienem oczekiwać czegoś od niego, wróciłem na łóżko i kazałem mu po prostu podejść.

Powoli podszedł do okna. Popatrzył w dół na pętlę rzeki. Podniósł jedno jabłko, powąchał je i odłożył z powrotem. Ile uwagi poświęca zawsze ubraniui, pomyślałem, porównując ze sobą obydwie kokardy przy jego pumpach, jednakowej długości, kunsztownie zawiązane. Zmienacka odwrócił się, chciał wyglądać chłodno i spokojnie, a przede wszystkim na zatroskanego, i taki podszedł do łóżka, spoglądając na mnie z góry, jak gdyby chciał najpierw wy badać, czy nie powinien mi raczej oszczędzić tego, co zamierzał. – No gadaj, Conny, o co chodzi?

Niepewnym głosem zażądał: – Pokaż mi swój stalowy pręt. – Moje co? – spytałem, a on: – Twój stalowy pręt, nie wygłupiaj się, gdzie on jest? – Odrzekłem: – Jeśli mi powiesz, co to jest ten stalowy pręt, to może ci go pokażę. – Zygmunt, powiedział poważnie, ktoś widział cię ze stalowym prętem, poza tym widział, że go używałeś. – To go tu przyprowadź – odparłem – przyprowadź tego, co widział mnie ze stalowym prętem. Niech mi to powtórzy. – Teraz pojąłem, co miał na myśli, i zerwałem się na równe nogi.

Nie, nie, Martinie, ale przypominasz sobie bójkę wtedy, w „Borowiku”, kiedy nie potrafiliśmy zrobić nic innego jak dać nauczkę chłopakom z Małego Grajewa w ich gospodzie, która otwarta była tylko w końcu tygodnia. Anna była tam jedyną dziewczyną. Przyznaję, że ciosy padały bezładnie, w zamieszaniu, w żądzy odwetu, nie wiedzieliśmy jeszcze

przecież, że Edith „pomyliła się”. No i teraz dowiadywałem się, że tego wieczoru ja się niby szczególnie odznaczyłem, więcej jeszcze: ktoś widział w mojej ręce stalowy pręt i podobno posmakowała go także Anna.

Conny zakomunikował mi to nie oskarżycielsko, lecz raczej z zatroskaniem i niepewnością; on sam widział przypadkowo bliznę po stłuczeniu na ramieniu Anny, a na jego pytanie, dlaczego nie przyszła z tym od razu, wtedy, miała odpowiedzieć: ze strachu. Cóż innego mogłem zaproponować Conny’emu, jak pójść jeszcze tego samego dnia do Małego Grajewa, ale Conny uważał, że to nic nie da, przewidywał, że Anna będzie obstawać przy swym oskarżeniu, a ja nie będę miał żadnej możliwości obalenia go. A potem podszedł do mnie tak blisko, że czułem rytm jego oddechu. Przypomniał mi siedem sosen, a ja zobaczyłem nas stojących tam pod ożywczym wiatrem, z obnażonymi ramionami. Później jeszcze spytał mnie o nóż, a ja mogłem pokazać mu kozik, który tamtego dnia przeniknął naszą skórę i który już raz zgubiłem, po czym zadał mi pytanie, czy kiedykolwiek posiadałem albo czy używałem stalowego pręta, a ja odpowiedziałem: – Nigdy, Conny.

Podał mi rękę, z radości musiał coś zrobić, tak, z radości, i mam jeszcze w pamięci obraz, jak chwycił jabłko, ugryzł je, z przerażenia i kwasu nie mógł zamknąć ust, udawał, że ma zdrętwiałe wargi – nadgryzionym jabłkiem cisnął, wychylony głęboko z okna, w czterokonny zaprzęg...

Czy przyjął kobierzec przyjaźni? Nie tylko go przyjął, dał mi też do zrozumienia, że gdyby mógł sobie z całej wystawy wybrać trzy rzeczy, to wśród wybranych przez niego kobierców byłaby i moja praca. Ale zafrasowany dał mi do zrozumienia jeszcze coś; było to podejrzenie, domniemanie, coś, co go uderzyło w przemówieniu Bilitzy i potem podczas zwiedzania wystawy: wrogość narodowego obyczaju wobec myślenia. Powiedział to inaczej, nazwał folklor światopoglądową robótką szydełkową dla ludzi, którzy wierzą, że muszą sobie sprawić jakąś szczególną wartość; robią to w ten sposób, że uważają się za wtajemniczonych. Ale wtajemniczeni porozumiewają się najbardziej aroganckim ze wszystkich języków: językiem symboli albo podobnych im znaków; myślenie uważają za coś zbędnego. Jego wątpliwości kierowały

się jednak nie przeciwko mazurskiej sztuce tkackiej, ale raczej przeciwko temu, do czego wykorzystywali ją tak zwani wtajemniczeni.

Później wróciliśmy razem do sal wystawowych i tam dowiedzieliśmy się, że kolos w futrze z lisów zasłabł i że dzieła przeznaczone do wolnej sprzedaży przeszły na jego własność. Byłem szczęśliwy, kiedy odkryłem, że Conny do końca pozostał na sali, w której wisiał jego kobierzec przyjaźni, a kiedy w pewnej chwili pogładził opuszkami palców wełnę, drgnąłem jak pod dotknięciem.

Ale czy wiesz, jak zatytułował swoją relację, która następnego dnia ukazała się w „Gazecie Łukowieckiej”, a którą Sonja Turk wycięła i położyła mi na krosnach? Nie dowierzałem własnym oczom, kiedy przeczytałem tytuł, który, jeśli nawet nie ułożył go sam, to przecież zaakceptował: „Sztuka i czernina”, tak, tak nazwał swoją relację; przypominasz sobie chyba, że czernina była ulubioną potrawą na Mazurach, czarna, zawieszista zupa z krwi, w której pływały kluski i kacze żołądki, śliwki, szyjki i owinięte jelitami płetwiaste łapki. Sonja Turk stała obok mnie, chciała, żebym od razu przeczytał, co napisał ten chuderlak, chciała wiedzieć, co o tym sądzę – co ona myślała, było po niej widać, nie umknęło bowiem mojej uwagi ani udawane oburzenie, ani skryta radosna aprobata.

– No, czytaj już. – Na początku wymieniono z imienia i nazwiska wszystkich, którzy przybyli na otwarcie wystawy, potem opisano miejsce i na koniec omówiono każdy kobierzec z osobna, z podziwem, rozumnie i tak plastycznie, że nie tylko sam kilim stawał wyraźnie przed oczami, ale i jego treść stawała się zrozumiała. Conny tkął je na swój sposób jeszcze raz, w całej ich wielowarstwowości, dostrzegając ich odmienne sposoby powstawania i pełne fantazji przekazywanie własnych przygód; do tego miejsca nikt nie miałby żadnego powodu do oburzenia.

Powód pojawił się dopiero wówczas, gdy Conny relacjonował mowę Bilitzy, którą nazwał „głęboką”, „świadomą praźródła” i „pełną wtajemniczenia” – i z której obszernie cytował, jednakowoż tylko zdania, w których występowało słowo „krew” albo „dusza”. Tak sobie

koncentrował te dusze, kanalizował naszą krew we wszelkich możliwych kontekstach, promieniało to i zobowiązywało, torowało sobie drogę – tak, to też: torowało sobie drogę. Z tą samą bezlitosną konsekwencją, z jaką mnożył zdania Bilitzy, opisywał posiłek, na który zaprosił obecnych łukowiecki Heimatverein. Nie podano flaków wołowych, ale była czernina, i Conny wychwalał tę potrawę i opisywał z naiwną radością odkrywcy, zupełnie jak gdyby jadł ją po raz pierwszy: rozwodził się nad gatunkami krwi i nad kaczymi wnętrznościami, pisał o przyprawach i wreszcie wyznał, że ostatecznie wszystko zależy od krwi. Nawet jeżeli Kukiełka miałaby mu pomagać – a chyba mu pomagał – nawet wtedy relacja Conny’ego była zasługującym na uwagę przykładem krytyki pośredniej. Ja w każdym razie z moją natychmiastową gotowością do podziwu – i to nie tylko dlatego, że chodziło tu o dzieło przyjaciela – w pierwszej chwili nie znalazłem niczego, co mógłbym mu zarzucić.

Natomiast Sonja Turk wydawała się oburzona, ruchy jej hamował gniew, szeptała: – Dla tej ropuchy kułak to za mało (kułak, trzeba ci wiedzieć, to silny cios w kark). Dla tego potwora, mówiła, trza by się zastanowić, czyby go nie zastrugać jak kołek, a potem wbić drewnianym młotkiem w ziemię na łące do suszenia wełny, gdzie by musiał sterczeć tak za karę. – Gdy spróbowałem wziąć Conny’ego w obronę, okazała mi jedynie współczucie, popatrzyła jak na niedorozwiniętego, potrząsnęła łagodnie głową i spytała: – Nic nie zauważyłeś, zupełnie nic? – Ona wiedziała, co ma Conny’emu za złe: zarzucała mu, że unikał wszelkiego rozróżniania, a więc: tu kilimy, tu mowa Bilitzy – obwiniała go, że zrównał wszystko i tak przemieszał ze sobą, iż musiało powstać wrażenie, że my, tkacze kilimów, trzymamy z tak zwanymi „doświadczeniami krwi” i tkamy na chwałę niemieckiej duszy. Nie zapominaj, że oceniają nas także podług tego, do czego dajemy okazję, a kto uwierzy tej relacji, ten powie sobie, że także w nas należy szukać powodu do takiej przemowy...

Marian? Cóż on takiego oświadczył?

Widzisz, przepowiadałem ci, że spotkasz go u mojej żony, u Caroli...

O tak, nie musisz mi nic więcej mówić, wiem, jakie poglądy reprezentuje mój dawny ulubiony uczeń; nigdy nie chciał pogodzić się z chłopską tradycją tkactwa, gdyż po prostu obciążała ona jego „sztukę” albo raczej degradowała ją do poziomu sztuki ludowej, i nie wolno mu było przypominać o tym, że nasze pierwsze mazurskie kilimy były jedynie zgrzebnymi derkami – do spania – wartość ozdobną, dekoracyjną zyskały dopiero później. Zgodnie ze swoimi poglądami Marian uważał się za coś lepszego od rzemieślnika, tkacza...

Nawiasem mówiąc, była u mnie moja żona, dziś przed południem, rozmawiała z towarzystwem ubezpieczeniowym w sprawie ubezpieczeń od pożaru; zdaje się, że ten przypadek traktują jak nieumyślne podpalenie, gdyż niszcząc muzeum powinienem był przewidzieć zagrożenie dla budynku mieszkalnego. W ten sposób również ta sprawa nabiera cech niepewności, jak wiele innych moich spraw, jak prawie wszystko. Jedno w każdym razie wydaje się pewne: jutro chcą zdjąć mi opatrunek z głowy, po raz pierwszy zobaczę moje otoczenie, ludzi, którzy mi pomagali, no i ciebie, Martinie, zobaczę na nowo, świadomie.

Henrike, powiadasz? Jakie mógłbym snuć dla niej plany, skoro nawet dla siebie nie mam żadnych? Wszystko, co wiem, to to, że muszę zaczynać po raz trzeci, kiedy już wypuszczą mnie jako wyleczonego, i może być, że będę zdany bardziej na nią, niż ona na mnie. Mam nadzieję, że uda jej się znaleźć swoje miejsce, okrzepnąć, w ogóle opuścić tę swoją wyspę, którą stworzyła sobie w wyobraźni – bez wątpienia ma to po Caroli: tę pogardę dla codziennych konieczności, brak zrozumienia wobec prozaicznych obowiązków, przypominających się każdego ranka. Spróbuj kiedyś porozmawiać z nią o pieniądzach! Kiedy cieszyłem się z honorarium, spoglądała na mnie niekiedy zaskoczona, niekiedy też z niesmakiem; kiedy zastanawialiśmy się z Carolą, jak mamy zapłacić konieczne rachunki, przysłuchiwała się tylko potrząsając głową, wyrażona z równowagi, iż można to brać poważnie. Moja Henrike: jak długo to było możliwe, zapewniałem jej tę cieplarnię...

Słucham?

Tak, też tak sędzę, nie jest to dla mnie niespodzianką: tych dwoje zawsze dobrze się rozumiało i muszę przyznać, że w tamtym pierwszym okresie Marian bardziej się troszczył o Henrike niż ja sam, niż mogłem się troszczyć; do niego przywiązała się bardziej niż do Bernharda, był dla niej kilkoma osobami naraz: towarzyszem zabaw, opiekunem i powiernikiem i w wieku sześciu, ośmiu lat Henrike była pewna, że kiedyś poślubi Mariana. Ale do niego wrócimy jeszcze, do mego ulubionego ucznia niewiadomego pochodzenia, musi jeszcze posiedzieć na ławce w poczekalni, gdyż najpierw chcę ci opowiedzieć, jak to zdobyliśmy lokatora, który okazał się przydatny jako sługa w muzeum – mówię „sługa”, gdyż op sam rozumiał swoją pracę jako służbę i nieustannie zadziwiał nas swoją nieśmiałością i bezinteresownością.

Odkryłem go, czy raczej odkryłem go ponownie, na drugim brzegu rzeki, koło strzelnicy, na wąskim, wydeptanym placu, który dwa razy w roku stawał się wesołym miasteczkiem z budami strzelniczymi, kołami fortuny, karuzelą na łańcuchach i małymi, spłowiałymi namiotami, w których pokazywano tresowane zwierzęta domowe, głównie gęsi i świnie. Stał przed budą, gdzie rzucano do celu, i wyglądało na to, że właśnie został zatrudniony, gdyż właściciel zabrał mu jego tobołek i naoliwioną łopatkę połową i zaprowadził go za sięgającą ramion zasłonę, gdzie wyszykowano go do występu – wymalowano mu szerokie, cynobrowe brwi, niebieskie zmarszczki śmiechu, ogromne usta do całowania, i tak się pojawił, to znaczy tylko jego głowa wysunęła się zza zasłony, a na niej balansował trzema wgniecionymi blaszanymi puszkami.

W budzie rzucano lekkimi szmacianymi piłkami. Przy pierwszym trafieniu prawie za każdym razem przewracały się dwie górne puszki, podczas gdy trzecia spoczywała pewnie i nieruchomo jakby przyklejona do skóry na głowie, co wymagało następnego rzutu lub całej ich serii. Nieuniknione było, że przy próbie zestrzelenia trzeciej puszki trafiano człowieka w twarz, ku wielkiej ucieście rzucających i ku jeszcze większej ucieście dzieci, piłka uderzała w kość jarzmową, nos, szczękę, podbródek, a mężczyzna po każdym trafieniu krzywił się i szczyrzył zęby, nie starał się jednak unikać miękkich ciosów.

Rozpoznałem go nawet pod szminką: był to Eugen Lawrenz, wędrowny zdun, człowiek, który znał dziewięćdziesiąt dwie opowieści o jeziorach; dzień wcześniej wypuszczono go z więzienia za dobre sprawowanie.

Kiedy się już umył i zainkasował pieniądze, zagadnąłem go, a on popatrzył życzliwie, zdziwiony, nie udawało mu się umieścić mnie w swym życiu; wprawdzie kiwał głową, kiedy przywodziłem mu na pamięć niektóre spotkania, jednakże wyraz jego twarzy utwierdzał mnie w przekonaniu, że on sam nie mógł się odnaleźć w tamtej przeszłości. Wyraz ten zmienił się; już nie surowość, zamknięcie, ani śladu nieprzeniknienia z czasów pierwszego spotkania; teraz na jego twarzy malował się pewnego rodzaju przebiegły spokój, promieniowało zeń jakieś zadowolenie i obojętność; można było sądzić, że zabezpieczył się przed wszystkim, nawet przed obrazą.

W każdym razie wysłuchał uprzejmie, co miałem mu do powiedzenia, potem przytroczył sobie do pasa połową łopatkę o krótkim trzonku, swoją saperkę, podziękował i ruszył z wolna ze swoim tobołkiem po wesołym miasteczku, bez pośpiechu, jak wytrwały widz. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, szedłem za nim i obserwowałem go koło bud strzelniczych i kół fortuny. W błyskach kolorowych żarówek szedłem za nim, dopóki nie straciłem go z oczu między małymi namiotami.

Ale odnalazłem go znowu, wracając późno do domu, kiedy deszcz przepędził ostatnich widzów; szedłem drogą przez nadbrzeżne ogrody, gdyż chciałem jeszcze raz sprawdzić sznury od sieci, które rozpiąłem od drzewa do drzewa przez całą rzekę, a w środku obciążyłem ołowiem, tak że sznur leżał na dnie i nie mogły go zerwać dryfujące pnie drzew, niesione przez prąd. Leżał w łodzi, skulony, z głową pod szeroką środkową rozporą, przykryty skąpo chustą, w której zwykle nosił swoje manatki. Eugen Lawrenz spał tak mocno, że nie obudził się nawet wtedy, gdy przesuwałem po nim światłem latarki; dopiero kiedy zaświeciłem mu w twarz, zamrugał i niechętnie się podniósł. Nie sądzę, że od razu się zgodził na moją propozycję; zanim wszedł za mną do domu, musiałem mu rzeczywiście udowodnić, że nasza łódź powoli, ale nieprzerwanie nabiera wody; w końcu jednak poszedł za mną, a ja zaprowadziłem go do

pracowni, gdzie rozłożyliśmy na podłodze materac, na którym się wyciągnął, podczas gdy ja szukałem jeszcze poduszki i koca. Nie wiem, czy naprawdę od razu usnął, czy też tylko udawał śpiącego, w każdym razie dał mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany rozmową i że materac wystarczy mu za całe posłanie. Wsunął rękę w skórzaną pętlę przy swej saperce. Z węzełka, który leżał na stołeczku, w głowach materaca, kapąło na podłogę.

Przeciwnie, Martinie, następnego ranka obudziły nas już odgłosy pracy. Eugen Lawrenz restaurował cennego olbrzyma – kaflowy piec, stojący w naszym muzeum. Wymontował z niego ruszty, klapy i szybry i zmniejszał wewnątrz pieca, korzystając z materiału znalezionego w pracowni; brzuch okrywał mu stary fartuch roboczy wuja Adama. Nawet jeśli kaflowy piec był tylko eksponatem muzealnym, Eugen Lawrenz uparł się, by był on sprawny i bez skazy, by świadczył o ostatnich zdobyczach techniki ogrzewania. Powodem, dla którego zabrał się za restaurowanie pieca, było to, że chciał „odpracować” nocleg, powiedział: – Takiego piknego spania nie można przyjąć za darmo jak prezent. – Nie pozostało mi nic innego, tylko zawołać go do stołu na śniadanie; z tą samą szczerą pożydliwością, z jaką niegdyś pochłaniał w cokole pomnika mój chleb ze smalcem, wpatrywał się teraz w zupę zacierkową, omaszczoną gorącymi skwarkami.

Cóż to była za rozmowa! Ku swemu zaskoczeniu moja matka i Eugen Lawrenz stwierdzili, że chodzili do tej samej wiejskiej szkoły; najpierw w Rożyńsku, a potem w Oraczach, i po tym odkryciu nieustannie wypytywali się: – Znasz tego? – Zaraz, jak nazywał się tamten. – Tego też na pewno znałeś. – Wspólnie przypominali sobie tych, którzy już nie żyli albo w każdym razie uchodzili za zmarłych, przepowiadali sobie nazwiska, przypominali słabostki i kaprysy albo osobliwego pecha ich dawno zaginionych znajomych i śmiali się porozumiewawczo; przy każdym wymienionym nazwisku mieli powód do śmiechu. Przypuszczalnie siedzieli jeszcze razem, kiedy ja już wyruszyłem w drogę do pracy, siedzieli i wspominali, tak, i tak jakoś wyszło, że pozostał również na obiedzie, potem restaurował piec, a my nie zdobyliśmy się na to, by wysłać go wieczorem na deszcz: u Eugena Lawrenza wszystko tak jakoś

wynikało samo z siebie, bez konieczności ustalania czegokolwiek czy umawiania się.

I tak to tymczasem zostało, między innymi dlatego, że niektóre przedmioty pilnie wymagały reperacji – również i to wynikało samo z siebie – a on sam także nie był jeszcze zdecydowany, gdzie ma się udać po zwolnieniu z więzienia.

Jeśli zagadnąłeś go w salach muzeum, gdzie często sam przesiadywał i badał eksponaty pod kątem tego, jak zostały zrobione, to wypowiadał się tylko szeptem i wyciągał cię na korytarz, nigdy nie wyzbył się swej nieśmiałości, nie wyrzekł się swego podziwu dla starych narzędzi i broni. Pracując w warsztacie, nie pytany objaśniał swoją czynność i uzasadniał każdy krok, nawet kiedy ostrzył pilnikiem swoją połowę łopatkę, uważał, że musi wyliczyć mi zalety i wielostronną użyteczność naostrzonego narzędzia.

Zaczęliśmy się już do niego przyzwyczajając, kiedy okazało się, że jego przeszłość ciągle jeszcze się nie zakończyła, że nie mógł się odciąć od tego wszystkiego, co zaszło, ale muszę powiedzieć, że jego samego mniej to dziwiło, mniej bolało niż nas.

Owego wieczoru, gdy siedzieliśmy wszyscy troje w pracowni, sprawiał wrażenie, jakby liczył się z tym, że kiedyś dosięgnie go znowu cień, ciągnący się za nim od czasu domniemanej zbrodni. Siedział po prostu dalej przy warsztacie, podczas gdy my nasłuchiwalismy kroków z sieni, nie podniósł się również, kiedy w otwartych drzwiach ukazał się Alfons Rogalla, z gołą głową i ociekającymi wodą włosami; gumowa nasadka jego kuli znajdowała się już w pracowni. Eugen Lawrenz nawet nie przerwał swej czynności, polerował dalej połowę łopatkę, którą uprzednio natarł olejem słonecznikowym, i spoglądał spokojnie na mojego dziadka, który ze swej strony zdawał się go nie dostrzegać, przebiegł tylko oczyma sprzęty w izbie, a potem zwrócił się do nas z zimną groźbą. Nie wszedł do pracowni, wszystko, co miał nam do powiedzenia, powiedział stojąc przed progiem, swym zrzędliwym, krzykliwym głosem, który nie znosił żadnego sprzeciwu, a nawet pytania.

Wyobraź sobie, przyszedł, aby nam przypomnieć, że nie uczynił jeszcze użytku ze swej części spadku, kiedy to przypadł nam w udziale dom wuja Adama ze zbiorami i ogrodem, opadającym ku rzece, wyjaśnił, że zrezygnował wtedy ze swych roszczeń przez wspaniałomyślność. Teraz jednak zdecydował się rościć pretensje do części spadku, a to z tego powodu, że zgodziliśmy się dać schronienie zwolnionemu przedwcześnie więźniowi, włóczędze, zabójcy, który powinien na zawsze siedzieć w mamrze, tak właśnie, za grubymi murami. Chociaż mówił o Eugenie Lawrenzu, konsekwentnie omijał go wzrokiem, a swe groźby kierował wyłącznie do nas i nas jedynie czynił odpowiedzialnymi za następstwa, które wynikną, gdybyśmy nie postąpili po jego myśli. Nawet kiedy powiedział już wszystko, nie musnął Eugena Lawrenza spojrzeniem, obracając kulę uderzył we framugę drzwi i z ostrym szuraniem przesunął się przez sień: Alfons Rogalla, mój dziadek, który nigdy nie próbował ukryć żadnego uczucia.

Ciągle jeszcze nie mogliśmy ochłonać, kiedy Eugen Lawrenz podniósł się spokojnie, przypasał sobie saperkę, a potem rozpostarł swoją nieprzemakalną płachtę, do której zebrał wszystko, co do niego należało: nóż do mioteł i cienkie pędzelki do malowania kafli, emaliowane miski i ciepłą bieliznę, i blaszaną puszkę z przyborami do szycia, pozbiierał to wszystko obojętnie, związał swój tłumoczek i powiedział: – No, to trza się znowu zbierać.

Tak, mój kochany, myślę, że ja pozwoliłbym mu odejść, ale kiedy zaczął dziękować, moja matka wstała, nie mniej stanowcza niż on, wzięła jego manatki, wyniosła je bez słowa do alkowy i dopiero po powrocie zdecydowała: – Zostajesz, jego władza tutaj nie sięga. – Eugen Lawrenz musiał usiąść, musiał spróbować wina porzeczkowego, którego matka mu naląła, nie przez współczucie czy na pociechę, ale na znak protestu przeciw temu, czego żądał od nas czort z majątku, a kiedy zachęcała nas, byśmy wypili, brzmiało to jak zapowiedź walki. Nie ustaliliśmy żadnego planu, nie omówiliśmy żadnej, nawet najprostszej strategii, utwierdziliśmy się jedynie w decyzji, by odpowiadać „nie” na jego żądania, zawsze i tylko „nie”.

Eugen Lawrenz pozostał; jedyna rzecz, o jaką nas poprosił, to koc, który z nadejściem ciemności zawieszał w oknie na haku, który sam wbił; za każdym razem, kiedy zapalał światło, wychodził na dwór, ze swą łopatką na krótkim trzonku za pasem, i powoli obchodził dom, żeby sprawdzić, czy można stamtąd widzieć wewnątrz warsztatu. Nie pozostawało nam nic innego jak czekać; a im dłużej dziadek trzymał nas w niepewności, tym bardziej się baliśmy, że jego sprawy stoją dobrze albo przynajmniej idą w dobrym kierunku, tak że mógł zrezygnować z ponowienia groźby.

Podaj mi brzoskwinie, Martinie, nie ściągaj skórki, opłucz tylko, o tak. Co mówisz?

Tak właśnie było; nie przyszedł już więcej ani po to, by powtórnie nam grozić, ani też by zaszachować nas orzeczeniem sądowym, ale wtedy nie wiedzieliśmy, w jakim położeniu sam się znalazł.

Nie, w jego przypadku zaczęło się od tego, że na dworzec łukowiecki przybył jakiś rosły mężczyzna; swój okazały bagaż, wyklejony nalepkami zagranicznych hoteli, oddał do przechowalni i z naszkicowanym odręcznie planem ruszył niespiesznie przez miasto, przez most i groblę w stronę majątku, milczący, pewny siebie mężczyzna około trzydziestu pięciu lat, noszący to samo nazwisko, co chora kobieta z Królewca, która raz do roku żądała od mego dziadka sprawozdania i której on nienawdził i obrzucał złorzeczeniami, ilekroć z oddali przedstawiała mu własne, odmienne, kompetentne rachunki, z mnóstwem ironicznych uwag.

Lettkow nazywał się ten człowiek, Toni Lettkow. Wkroczył na teren majątku jak do miejsca dobrze sobie znanego, rzucił powitanie w głąb kuźni, ocenił pobieżnie stodoły i stajnie, zanim poszedł do budynku mieszkalnego, gdzie zatrzymał go mruklawie Alfons Rogalla, ale natychmiast poprosił do domu, skoro tylko rozpoznał charakter pisma na liście, który wręczył mu Toni Lettkow. Od tej chwili traktował go z niechętną uprzejmością, a ludzie w majątku nie mogli wprost uwierzyć, że Alfons Rogalla w ogóle zdolny jest do takiej uprzejmości, jaką okazywał człowiekowi młodszemu od siebie. Sam zatroszczył się o bagaż, sam popędzał dziewczęta, by posprzątały duży, stojący pustką pokój

wychodzący na ogród, by pościeliły łóżko, przyniosły na stół powitalne śniadanie ze szczupakiem na zimno i kaczką, kręcił się, starał i zrzedził, podczas gdy obcy obojętnie przyjmował całe to poruszenie, wywołane jego przybyciem.

Ludzie w majątku początkowo nie wiedzieli, jak daleko sięgają jego prawa, ale myśleli swoje, kiedy mój dziadek wydawał polecenia, by dla gościa trzymać w pogotowiu konia, chodzącą również po wodzie kasztankę, i wykładali sobie po swojemu, kiedy widzieli Toniego Lettkowa w spichrzu, w składzie maszyn albo w żwirowniach, prawie zawsze w towarzystwie Alfonsa Rogalli, który, jak sądzili, mówił więcej, niż było trzeba w danych warunkach. Uwagi obserwatorów nie umknęło, że milczący, pewny siebie mężczyzna nigdy nie zadawał pytań; widocznie nie musiał tego czynić, gdyż Alfons Rogalla zaczynał mówić, skoro tylko spojrzenie gościa zatrzymało się odrobinę dłużej niż zwykle na czymś określonym. Już pierwszego dnia dowiódł, że posiada wiedzę fachową, a to, że w razie potrzeby nie wahał się pomagać, zyskało mu wprawdzie nie od razu sympatię, ale przynajmniej szacunek. Ani jednego wieczoru nie spędził razem z moim dziadkiem; jadali jedynie razem, a potem młodszy odchodził do swego pokoju i wytrwale przeglądał księgi z ubiegłych lat, w świetle lampy, nie troszcząc się o to, że ludzie widzą go przy tej czynności i, co było nieuniknione, wyciągają wnioski.

Chociaż dziadek przepędzał niektórych obserwatorów, to ich podniecenie, a jeszcze bardziej podejrzliwość skłaniała ich wciąż na nowo do powrotu pod okna, gdzie stali i czekali na jakieś ruchy czytającego mężczyzny, z których mogliby coś wynioskować. Lepiej poinformowani twierdzili, że wszystkie odkrycia powierzał beznamiętnie brązowemu notesowi; utrzymywali nawet, że widzieli, iż w ciągu jednej tylko nocy zapisał ćwierć notesu – tak, Toni Lettkow, który swoim pojawieniem się i swym nieustannym rejestrowaniem wywołał wśród ludzi w majątku jakieś nowe uczucie, nie znaną do tej pory niepewność: to, co wydawało się dotąd trwałe, ustalone i nieograniczone, zaczęło się chwiać; odtąd możliwe były zmiany dotyczące nie tylko stosunków w majątku, ale obejmujące także ich własne życie. Nie wiem, Martinie, nie potrafię rozstrzygnąć, czy bardziej się tego lękali, czy oczekiwali.

W każdym razie wszyscy czuli, że wiadomości, które tak niecierpliwie zbierał, stopniowo nabierały groźnego znaczenia; rozumiesz chyba, że wielu pracowało zawięcie, byle tylko uniknąć udzielania informacji; ale na to tamten był przygotowany.

Nie minął tydzień, a już pojawił się bez dziadka – w rewirze żmygulskim, tam, gdzie Borek stykał się z lasem państwowym; Toni stał i obserwował mężczyzn przy ścinaniu sosen, żmygulskich sosen, muszę dodać, gdyż cieszyły się one wielką sławą z powodu wysokości i dobrej jakości drewna. Mężczyźni ledwo odpowiadali na jego powitania, ledwo unosili głowy, nadpiłowując drzewa, wysokie na trzydzieści metrów, i wbijając żelazne kliny w wąską jak liść szparę, określwszy przedtem kierunek padania pni. Drzewa padając wydawały syk, ostry, świszczący odgłos, zupełnie jakby wyładowywały złość, a potem następował trzask i łoskot, pień sprężynując odskakiwał do góry, gdy korony waliły się na ziemię. Zasadą było, że dwa pnie nie powinny padać jednocześnie, ale kiedy Toni Lettkow tam się znalazł, padł podobno tylko jeden ostrzegawczy okrzyk, a jeśli były nawet dwa, to tak się zlały ze sobą, że można je było wziąć za jeden; w każdym razie Toni uskoczył na bok przed walącą się sosną, ale jednocześnie znalazł się w polu padania drugiego drzewa. Rozwichrzony czub spadł na niego, igły smagnęły go po twarzy, gałęzie podrapały go w kilku miejscach, a wokół niego łamało się drzewo i przyskały odłamki, lecz Toni nie upadł na ziemię, chwycił się tylko za szyję i otrzepując się wygrzebał z zieleni. Nie żądał dochodzenia, wsiadł na kasztankę i odjechał – przypuszczalnie nigdy się nie dowiedział, że to, co się wydarzyło, ludzie nazwali „przypadkiem ostrzegawczym”.

Jak już powiedziałem, zdawał się być na wszystko przygotowany, jednakże nie udało mu się trzymać od rzeczy i wydarzeń na tyle z daleka, by za każdym razem obeszło się to bez następstw. Przy sieczkarni doznał szwanku, gdyż założył, że jest zabezpieczona: ledwie włożył pierwszy snopek owsa, a już bęben z nożami zawirował, i to nie powoli, ochryple, jak na początku, lecz od razu ostro i niecierpliwie. Mógł uważać za szczęście, że noże obcięły mu tylko koniuszek palca wskazującego, a nie rozharatały mu ręki jak staremu oborowemu, kiedy pierwszy raz obsługiwał maszynę. Alfons Rogalla sam odwiózł Toniego Lettkowa do

lekarza myśliwską bryczką, a kiedy przywiózł go z powrotem do majątku, zarządził drobiazgowo dochodzenie, rzeczywiście próbował wykryć, kto zostawił sieczkarnię nie zabezpieczoną – ale nie mógł podać Toniemu Lettkowowi żadnych wyników.

Nie, nie myśl, że ten wypadek zahamował dociekliwość przybysza; jeszcze tego samego wieczora widziano go siedzącego nad księgami, używającego zabandażowanej ręki zamiast przycisku do papierów, z brązowym notesem obok lampy; ból ani zmęczenie nie zdołały osłabić uporu, z jakim wykonywał swe zadanie.

W końcu nagrodzeni zostali ci, którzy wytrwali w podejrzeniu, że działalność Toniego Lettkowa skierowana była przeciwko człowiekowi, rządzącemu nimi jak osobistą własnością; ich cierpliwe nasłuchiwanie opłaciło się. Stali się mianowicie świadkami spotkania, podczas którego po raz pierwszy spostrzegli, że człowiek, od którego sami tak dalece byli zależni, zależał ze swej strony od kogoś innego, i w tym celu nie musieli nawet słyszeć, o czym rozprawiano w pokoju.

Aby pojąć tę jego zależność, wystarczyło widzieć, w jaki sposób Toni Lettkow wezwał dziadka do pokoju, kazał mu podejść do stołu, sam usiadł i siedząc wskazał wiecznym piórem na jakiś wpis, po czym nieporuszenie, nakazującym wzrokiem patrzył na siedzącego obok siebie mężczyznę, który mógłby być jego ojcem. Dzierżawca majątku zerknął przelotnie do księgi, potrząsnął głową, próbował uchylić się od milczącego pytania bagatelizującym ruchem ręki, lecz Toni Lettkow przerzucił spokojnie kilka stron i zmusił Alfonsa Rogallę do przeczytania innego wpisu – ciągle jeszcze nieporuszony, zimny i rozkazujący – a gdy stary człowiek odpowiedział jedynie niechętnym wzruszeniem ramion, młodszy władczo przywołał go do stołu, otworzył notes i czytał, nie podnosząc oczu. Obserwatorzy czekali na jakiś sprzeciw dzierżawcy, na zaprzeczenia lub sprostowanie, i dziwili się spokojowi, z jakim wysłuchiwał zarzutów, nikt bowiem nie miał wątpliwości, że czyniono mu zarzuty. Podczas gdy dziadek tylko patrzył, wokół jego ust pojawił się wyraz szyderczej goryczy, jego dłonie zbliżyły się do siebie, wykonując ruch, jakby coś

wyżymał, ktoś podobno widział, że obracał w rękach swoją fajkę z krótkim cybuchem, dopóki nagle nie odłamał się ustnik.

Młodszy z nich zakończył wreszcie swoje czytanie i wręczył notes mojemu dziadkowi. Alfons Rogalla zważył notesik w dłoni i nie otwierając go nawet, nie mówiąc już o czytaniu, rzucił lekceważącym ruchem na stół. Odwrócił się do drzwi i zatrzymał się, kiedy klamka ustąpiła. Następnie zawrócił do stołu, widocznie tknięty nagłą myślą, przyciągnął wyslizgane od częstego użytku krzesło z poręczami i usiadł bez zezwolenia, samą tylko postawą dając do poznania, jak nisko ocenia to, co mu przed chwilą zaserwowano.

Zrozumieć, myślisz? Czy kiedykolwiek próbowałem zrozumieć Alfonsa Rogallę...? Nie, Martinie, w odniesieniu do niego nigdy takiej próby nie podjąłem, po prostu w jego przypadku nieistotne wydawało mi się pytanie o powody jego arogancji i okrucieństwa; przypuszczalnie nie chciałem też już nic o nich wiedzieć – o ile one w ogóle istniały – ponieważ fakt, iż być może musiałbym go usprawiedliwić, byłby dla mnie kłopotliwy. Ale zostawmy to.

Ci mężczyźni, słusznie, dwaj mężczyźni, siedzący w napięciu naprzeciwko siebie; podsłuchujący dowiedzieli się teraz więcej niż obserwatorzy w ciemnym ogrodzie, gdyż dzierżawca majątku nie wahał się wystawić własnego rachunku albo wykorzystać jako atut tego, co mogło mu przynieść jeszcze jakąś korzyść, a gdy tak dziś o tym myślę, wcale się nie dziwię, że wyjawiał, co łączyło go z chorą, chciwą kobietą w Królewcu, która przysłała mu swego syna, aby skontrolował rządy dziadka w majątku.

Dziadek zaczął od tego, że Toni nie wie jeszcze, w jaki sposób kopalnie żwiru i gliny wraz z należącymi do nich stawami weszły w skład majątku, i nie oszczędzając ani siebie, ani chorej kobiety opowiedział o przypadku wyjątkowej podłości; jak zawarli z właścicielem Połączonych Cegielni i Garncami w Łukowcu potajemną umowę, jak wspólnie wywierali nacisk na starego, upartego właściciela kopalni żwiru, aż musiał je sprzedać, jak ustalili nowy, siedmioletni układ, korzystny dla obu stron.

Nie muszę ci mówić, z jakimi ukrytymi zamiarami dziadek przyznał się do tej akcji i jak próbował to zdyskontować, a poufałość współspiskowca, z jaką relacjonował wydarzenia, mówiła sama za siebie, podobnie jak nieustająca satysfakcja i przyjemność, z którą wydobywał na światło dzienne owoce wspólnego, udanego przedsięwzięcia, i dlatego mogę zrozumieć jego rozczarowanie czy wręcz rozpacz, kiedy w odpowiedzi na jego wyznanie Toni Lettkow odparł krótko: Została ubezwłasnowolniona, musieliśmy matkę ubezwłasnowolnić a potem młodszy z nich wstał i omijając dziadka wzrokiem poprosił go, by opuścił pokój. A ponieważ cały czas stał, nie można było mieć wątpliwości co do tego, czego sobie życzył; stał i czekał, aż Alfons Rogalla wyjdzie, a potem ludzie podglądający z ogrodu widzieli, jak Toni usiadł i nie namyślając się ani chwili, zaczął coś pisać na osobnej kartce, którą wydobył z walizki. Więcej nie musieli widzieć. Ich podejrzenie potwierdziło się: następnego dnia dziadkowi wręczono list, który powiadamiał go, że kontrakt o dzierżawę wygasa, kontrakt, który miał dwadzieścia osiem lat i który stale odnawiano za milczącą zgodą obu stron i zawsze na tych samych warunkach, w sposób tak oczywisty, że przynajmniej jeśli chodzi o dziadka, to z czasem zapomniał o istnieniu tej umowy...

Co mówisz?

Właśnie tak, Martinie, sam to powiedziałaś, jak gdyby Bogu odebrano świat, jak gdyby jakaś jeszcze wyższa instancja w jednej chwili wyzuła go z wszelkich praw i roszczeń. Szkoda, że nie widziałem, jak się wściekał, jak oniemiał i z oburzeniem wymachiwał rękami. Tego dnia w majątku nikt nie musiał pytać, gdzie jest dziadek, gdyż wszędzie było go słychać, jak zrzędzi i pomstuje, głosem, który załamywał się z gniewu. Wielokrotnie czytał list, oburzony, nie troszcząc się o przypadkowych świadków; z pasją odczytywał ustęp, w którym odmawiano mu umiejętności zarządzania majątkiem – uzasadnienie pomijał. Tak często gniótł i znowu wyglądał list, że stał się prawie nieczytelny. Kto tylko mógł, schodził mu z drogi.

W żarze południa kazał sobie nagle osiodłać konia i pojechał w Kierunku Borku; powrócił dopiero wtedy, gdy uderzeniem w żelazny pierścień

ogłoszono koniec pracy, i ludzie zebrali się na dużym, nierównym placu w majątku, jak zarządził Toni Lettkow. Wyglądało na to, że również on wezwany został donośnym dźwiękiem zwiastującym koniec dnia; wystraszony chłopiec stajenny pomógł mu zsiąść z konia i odprowadził zwierzę, którego boki były czarne od potu, do stajni, a wracając podał dziadkowi kulę i pospiesznie dołączył do swoich.

Ileż to razy odmalowywałem sobie tę scenę; wieczór w majątku, cichy i bezwietrzny, zapach przypalonego rogu, z jednej strony stojący w luźnych grupkach kowale i szwajcarzy, zwołane dziewczęta i robotnicy rolni, oborowi i chłopcy stajenni; z drugiej dwaj mężczyźni, z których każdy żądał dla siebie tego, co mógł posiadać tylko jeden z nich. Wszyscy wiedzieli, że nie da się tu powiedzieć nic nowego, gdyż po prostu zmiana tej miary nie mogła pozostać w ukryciu. Dwaj mężczyźni, stojący naprzeciw zebranych, dostrzegali się tylko kątem oka; nie prześcigali się wprawdzie w niezwracaniu na siebie uwagi, jednakże zachowywali się tak, jak gdyby obecność drugiego nie obchodziła ich zbyt. Podczas gdy Toni Lettkow stojąc bez ruchu taksował nadchodzących, dziadek uderzał kulą o ziemię, mruczając coś przy tym, a od czasu do czasu wybuchał szyderczym śmiechem.

Kiedy już wszyscy się zeszli, Toni Lettkow założył ręce z tyłu i spokojnym głosem, acz zacinając się nieco, oznajmił, że został zmuszony rozwiązać z Alfonsem Rogallą umowę dzierżawną; on sam, jako właściciel majątku, pozostawia wszystkim swobodę decyzji co do tego, czy chcą nadal tu pracować, chwilowo nie zamierza dokonywać jakichś istotnych zmian; ma nadzieję, że współpraca ze wszystkimi ułoży się dobrze; brygadzystów, starszych szwajcarów i oborowych prosi, by po kolacji przyszli do jego pokoju. I na tym się skończyło: nie było żadnych szczególnych podziękowań dla dziadka ani pożegnania z pochwałą i zwykłymi w takim wypadku obietnicami, ale także żadnego uzasadnienia, dlaczego po dwudziestu ośmiu latach musieli się rozstać.

Ludzie byli zaskoczeni, ociągali się z odejściem, widocznie spodziewali się dłuższych wyjaśnień, i to wahanie dostrzegł Alfons Rogalla i wyzyskał je, by ściągnąć uwagę na siebie, tak, by inni skierowali wzrok na niego. –

Słuchajcie, ludzie, wszyscy słuchajcie – wołał do nich. Wyciągnął kulę w kierunku jeziora, ku pastwisku nad brzegiem, gdzie rysowały się sylwetki starych koni dożywających tu swoich dni na łaskawym chlebie. – Popatrzcie tam – wołał – przez wszystkie te lata był u nas taki zwyczaj: kto sobie zasłużył, tego nie zostawialiśmy w potrzebie. – Przerwał na chwilę, zrozumiał chyba, że porównanie było niestosowne, w każdym razie nie prowadziło go najkrótszą drogą do celu, do którego zmierzał, więc rozdrażniony wbił kulę w ziemię i zaczął od nowa: – Słuchaliście mnie długo, a niektórzy z was bardzo długo, wspólnie dbaliśmy o to, co zostało nam powierzone, ponosiłem odpowiedzialność za wasze błędy i pomyłki – przez dwadzieścia osiem lat, a teraz okazuje się, że niektórych błędów i pomyłek nie można wybaczyć, i aby uporządkować to wszystko, czego nie da się usprawiedliwić, ktoś musi wziąć czapkę i odejść. Mam się spakować i wynosić po dwudziestu ośmiu latach. Ja, wynosić się, po tylu latach! Znaie mnie, tak jak ja was znam. Ja oceniałem waszą pracę, wy ocenialiście moją. Dwadzieścia osiem lat. A teraz pokazują mi drzwi: nie możecie przecież tak stać i gapić się, musicie coś wymyślić, musicie wymyślić jakąś odpowiedź!

Ludzie mierzyli go pytającym wzrokiem, przeczuwali może, do czego zmierza, czego od nich w tym momencie żąda, jednak gnuśność czy też przywoływane wspomnienia powstrzymywały ich od zrobienia tego, czego się spodziewał. Nie, nikt nie zawołał, nikt nie stanął po jego stronie i nie ujął się za nim w milczeniu, nawet gdy rozeźlony spytał wprost, czy według nich zasłużył sobie na takie pożegnanie, nie uczynili nic w jego obronie, nie okazali mu nawet ubolewania. W końcu pozostało mu już tylko zwrócić się do Toniego Lettkowa; wzięwszy wszystkich na świadków wezwał go, by potwierdził ustnie wymówienie i przy wszystkich go wygnał. Ale Toni Lettkow patrzył tylko twardo na dziadka, nie spuszczać z niego wzroku tak długo, aż ten poddał się i odszedł bez słowa do nieprzytulnego domu, gdzie natychmiast zaczął się pakować, co trwało aż do wieczora, po czym opuścił majątek z nikiem się nie pożegnawszy.

Nie, poczekaj tylko, właśnie chcę ci to opowiedzieć. Więc z początku próbował zatrzymać się u kogoś ze swoich przyjaciół, to znaczy u ludzi,

których uważał za przyjaciół – był wśród nich nadzorca Dudej, Hajduk z tartaku, stary towarzysz z polowań, ale także Bilitza z Heimatvereinu, lecz wszyscy oni gościli już przyjezdnych albo sami mieszkali w ciasnocie, a jeśli już gdzieś go przyjęto, to tylko na dwie, trzy noce. Ze wzruszeniem ramion odsyłało go gdzie indziej; przekonawszy się, ile mogą dla niego uczynić przyjaciele, dziadek kazał się zameldować u właściciela „Luisenhofu”, chwilę pertraktował z nim, po czym w najdroższym i najwytworniejszym hotelu Łukowca wynajął sobie dwuosobowy pokój na czas nieokreślony, dzięki czemu wolno mu było zabrać ze sobą własny fotel i stołeczek pod nogi. W restauracji kazał sobie zarezerwować stałe miejsce przy oknie, wychodzącym na ulicę. Ledwie siadał, stawiano na jego stole pudełko cygar. Wkrótce cały Łukowiec wiedział, że dziadka stać było na opłacenie hotelu nie tylko na jeden miesiąc, ale od razu za pół roku z góry. Rozniosło się jednak także, że chwilowo tylko dlatego nie opuszczał hotelu, gdyż postanowił „odmieszkać” wysoki rachunek przez zasiedzenie i częste użytkowanie wszystkich hotelowych urządzeń, tak właśnie...

Przepraszam, Martinie, co powiedziałaś?

Fotografie? Czy w naszym muzeum wisały jakieś fotografie? Nie, nigdy; ani w Łukowcu, ani w Egenlundzie nie mieliśmy żadnych portretów, żadnych zdjęć budynków i placów, nawet fotografii krajobrazów: miały one dla mnie zbyt małą wymowę. Był u nas wędrowny fotograf, Bandulewitz, dla którego majątek i mój dziadek stały się przez pewien czas ulubionym motywem. Alfons Rogalla podczas polowania na kaczki, odpoczywający na leśnej polanie, jako jeździec na tle wieczornej zorzy w Łukowcu, następnie pory roku w majątku, które znajdowały swe odzwierciedlenie w charakterystycznych zajęciach; oracz, nieodzowny siewca, kowal, kosiarz, pasterz – wszystkie zdjęcia bez zarzutu, ale chociaż Bandulewitz podarował mi je, nie mogłem się zdecydować na wzięcie ich do muzeum, wydawało mi się po prostu, że zbyt dosłownie ujmują, a przez to zubożają przeżycie krajobrazu lub czyjejś twarzy. Wuj Adam powiedziałby: fotografie – cóż one mają wspólnego ze świadectwem, z owym świadczeniem, którą to zdolność posiadały dla niego narzędzia, broń czy zabawki. Myślę, że miał rację, gdyż w tych

przedmiotach coś było zawarte – zamknięte głęboko jak w bursztynie – coś, co nie dawało się jednoznacznie określić – jakieś prawo, jakaś tajemnica, jak niegdyś wierzone, zanim człowiek zaczął powątpiewać, czy to, co w końcu przekazywano przy pomocy przedmiotów, nie było poczuciem daremności.

Z drugiej strony, kiedy myślę o żonie starego zabawkarza – leżał na marach w izbie, a obok w kuchni ja i Edith jedliśmy zupę mleczną z chlebem na zakwasie – wtedy musiałem zgodzić się z na wpół niewidomą kobietą, która powiedziała: – Co człowiek we świecie zrobił, to zostaje we świecie, choćby żył tak niefrasobliwie jak on, Wilhelm...

Musisz to usłyszeć, Martinie, o mojej pierwszej podróży z Edith, podróży w interesach, do Sokółek, tak, do domu starego zabawkarza, gdzie miałem nadzieję nabyć przedmioty do naszego muzeum, rzadkie mazurskie zabawki. Poradziła mi to Sonja Turk, która zawsze pierwsza wiedziała o wszystkim, co dzieje się w Łukowcu i w okolicy; teraz także pierwsza dowiedziała się o śmierci zabawkarza Wilhelma Rattaya w Sokółkach i powierzyła mi tę wiadomość jak cenną wskazówkę. Więcej jeszcze: natychmiast dała mi wolne i pożyczyła swój plecak, poleciwszy mi jak najszybciej pojechać do Sokółek; sama poprosiła o kołowrotek-zabawkę z drzewa różanego, z rozetkami z kości – jeżeli by to było możliwe. W ten sposób zostałem prawie zmuszony do podróży, do mojej pierwszej wyprawy, prowadzącej od razu do miejscowości, o którą nie otarł się nawet Eugen Lawrenz podczas swych dalekich wędrówek. Według mapy Sokółki leżały u ujścia rzeki, nad wąskim jeziorem, mającym naturalne połączenie z kilkoma innymi jeziorami, usytuowanymi wśród lasów; nie miały stacji kolejowej, był tam za to prom oraz motorówka, przewożąca ludzi z jednego brzegu na drugi. Eugen Lawrenz ustalił etapy mej podróży, przesiadki, odcinki, które musiałem przebyć pieszo, przeprawę promem, a gdy raz bezwiednie przedłużyłem linię, którą Eugen wyrysował na mapie, odkryłem, że Sokółki leżą w połowie drogi do Nidzicy.

Słusznie, mój drogi, to była połowa drogi do Edith, odkryłem ten fakt ze zdumieniem i natychmiast zacząłem rozważać możliwość spotkania,

zarażony niecierpliwością, towarzyszącą potokowi jej listów, niecierpliwością, która narastała w miarę trwania naszej korespondencji, i zanim uporządkowałem inne sprawy, napisałem do niej list ekspresowy: w piątek jadę do Sokółek w pilnej sprawie służbowej; czekam po południu przy promie; resztę opowiem; z góry się cieszę. Potem spakowałem rzeczy, które wydały mi się potrzebne w podróży – głównie chleb i suszone owoce, a z sumy, jaką wspierał nasze muzeum Heimatverein, uszczknąłem niecałe trzydzieści marek, które przeznaczone były na zakup zabawek oraz innych przedmiotów, i już w czwartek wyruszyłem w drogę, pierwszym pociągiem w czwartek.

Możesz chyba sobie wyobrazić, że nie mogłem długo usiedzieć w pociągu? Sam z jakimś inwalidą w przedziale, który zasnął, kiedy już wyjawiał mi powód swej podróży, siedziałem bez ruchu przy oknie i patrzyłem na ten cichy, zamknięty w sobie kraj, przez łagodny kontur mego odbicia w szybie spoglądałem na piaszczyste pola i ledwie zmarszczone jeziora; krzywe piaszczyste drogi biegły ku przycupniętym zagrodom, bociany opuszczały się na grząskie łąki i wszędzie ciągnęły się lasy, tu otaczały wzgórze z jakimś pomnikiem, ówdzie polanę z drewnianą leśniczówką, na brzegach jezior kołysały się rozwieszane na krzywych palach sieci; krowy stały zanurzone po wymiona w gliniastej wodzie, w dół długiej rzeki płynęły tratwy – dziewiczy kraj, łagodny i tajemniczy. Przed przystrojonym w proporczyki taborem siedzieli Cyganie, pasterz owiec stał niby czarne nadpalone drzewo, na wzniesieniu wlokła się jakaś furmanka, której woźnica zasnął; wszystko, co tu widziałeś, wskazywało na zapas czasu i cierpliwości, bez którego nie można tu było żyć – nie, nie było to możliwe.

Wysiadłem na drugiej stacji, zwróciłem bilet do kasy i odebrałem pieniądze za resztę drogi, a potem ruszyłem w kierunku Sokółek, najpierw po rozgrzanym żwirze, później zarośniętymi polnymi drogami, których nie zaznaczono na mojej mapie. Byłem szczęśliwy, nie czułem ciężaru plecaka. Oczywiście wyciąłem sobie kij z kadyka, nie po to wprawdzie, by przy każdym kroku wbijać go w ziemię, ale raczej, żeby bębnić nim po spróchniałych sztachetach i ścinać zakurzone pokrzywy.

W drodze towarzyszył mi obraz Edith; idąc czytałem wielokrotnie te jej listy, które mi się najbardziej podobały; wkrótce znałem na pamięć całe fragmenty. Po tym wszystkim, co powiedzieliśmy i co odkryliśmy sobie w listach, próbowałem wciąż na nowo wyobrazić sobie nasze spotkanie na promie, od sztucznie opóźnianego zbliżenia aż po niepohamowane powitalne zapasy, nie mogąc się w końcu zdecydować na żadną konkretną formę. Nawiasem mówiąc Conny wiedział, że jechałem do Sokótek, nie powiedziałem mu jednak, że umówiłem się z jego siostrą.

Wędrując tak po tym skromnym kraju, obserwując przesuwające się z wolna obrazy i dziwiąc się zagadkowym śladom kopyt, całkiem odurzony w stojącym, ciepłym powietrzu, zacząłem rozumieć Eugena Lawrenza, który nigdy nie chciał mieć stałego warsztatu, gdyż po prostu nie mógłby sobie wtedy pozwolić na te wędrowki. Związałem razem buty i brodziłem w płytkiej wodzie jakiegoś jeziora, tak jak pewnie on chodził, szedłem boso wąskimi nadbrzeżnymi ścieżkami i piaszczystymi drogami leśnymi; gdy po raz pierwszy poczułem pragnienie, wstąpiłem do jakiejś zagrody i poprosiłem o wodę, na co gospodyni bez słowa postawiła przede mną dzbanek z maślanką, a kiedy znowu zachciało mi się pić, po południu zaszedłem do innej zagrody, a tam mężczyzna posadził mnie przy zbitym własnoręcznie stole i podzielił się ze mną kawą zbożową i drożdżowym plackiem; nie chciał nic przyjąć, pragnął tylko usłyszeć coś o Łukowcu, o naszych aptekach.

Koło Jetosów zatrzymała się koło mnie furmanka. Woźnica wskazał batem na wóz w kształcie skrzyni, wsiadłem i znalazłem się pomiędzy tuzinem gęsi ze związanymi nogami i podciętymi skrzydłami; mężczyzna nie zadał mi żadnego pytania, dojechał do Miłuków, przy drogowskazie zatrzymał się, trącił mnie lekko batem i wskazał na szosę.

Noc, pytasz? Jak spędziłem noc? Wyobraź sobie zalesiony pagórek, a w jego cieniu przytuloną do zbocza zagrodę na ażurowej podmurówce, z dobudowaną obórką, wychodzącą na las, obok rząd uli: tam właśnie poszedłem. Mężczyzna był przy pszczołach, nie podkurzał ich ani nie miał ochronnej maski, pracował przy jednym ulu, podczas gdy pszczoły roiły się wokół jego twarzy i nagich ramion. Spytałem go, czy mógłbym

przenocować, a on posłał mnie do domu, gdzie mała dziewczynka i niewiele większy chłopiec piskliwie kłócili się, do kogo należy oswojona kura, którą sobie co chwila na zmianę odbierali i przyciskając do piersi nosili po kuchni, chodząc cały czas wokół stołu, dopóki mnie nie spostrzegli, a wtedy chcieli mi podarować swą żywą zabawkę.

Potem z obórki przyszła kobieta, to znaczy przyszła z sypialni, z której można było wejść do obórki: drzwi były wyjęte i przez chwilę mogłem oglądać czarno-białe grzbiety zwierząt i jarzące się kocie oczy w ciemności stryszku na siano. Kiedy kobieta usłyszała, że przysłał mnie tu mąż, postawiła na stole biały ser z kminkiem i chleb, a do tego dzban pełen napoju z japońskiego grzybka; nie zacząłem jeszcze jeść, kiedy kura pofrunęła na parapet i stamtąd łapała na mój talerz, koza wsparła przednie nogi o podłogę sypialni i mierzyła mnie wzrokiem, a z ciemności stryszku spłynęło kilka ognistorudych kotów, które skoczyły na przypiecek i śledziły uważnie każdy mój ruch, no i dzieci, z obu stron naprzykrzały mi się dzieci, łapały mnie za ręce, rozbawione kierowały łyżkę i kęsy chleba do swych rozdziawionych buź, klaskały przy tym w rączki i wydawały radosne okrzyki, pilnując, żeby każdy został sprawiedliwie obdzielony.

Zaraz po kolacji poszliśmy spać. Mężczyzna spytał, jak się nazywam i dokąd idę, skwitował moją odpowiedź kiwnięciem głowy, po czym rozwinął w sypialni rzadko używany dywanik ze szmat, dołożył derkę i podał mi rękę na dobranoc. On i jego żona założyli nocne koszule, żółtawoszare monstra z szerokimi rękawami, które wydawały się tak sztywne, że w dzień mogłyby stać w kącie. Pod ścianą, na drewnianych pryzkach, wyścielonych czymś miękkim, spały dzieci, a raczej miały tam spać: nie poruszyłem się, gdy jedno po drugim wśliznęły się pod moje przykrycie i przytuliły się do mnie. Ze stajni dochodziło pobrękiwanie łańcucha, kiedy któreś zwierzę szarpnęło głową, coś szeleściło i szemrało, szurała podkova, prosiak ocierał się o ścianę. Kiedy się obudziłem, dzieci stały nade mną i podskakując śmiały się ze mnie – one już dawno zjadły śniadanie. Wypiłem słodową kawę, którą mi podali, potem mężczyzna odwiózł mnie siedem kilometrów przez wzgórze i wzdłuż rzeki do drogowskazu, na którym było napisane „Sokółki”; Sokółki przez

Ogronowo, a na pożegnanie powiedział mi tylko „Trza jechać”, po czym zawrócił.

Nie umiem ci powiedzieć, ile razy odwracaliśmy się i machaliśmy sobie, coraz mniejsi i mniejsi, dopóki nie zniknął za wzgórzami, za równymi, jakby papierem ściernym wypolerowanymi pagórkami.

Przyspieszyłem nieco kroku i zrezygnowałem z przerw na odpoczynek, nie zwolniłem nawet przy wędzarniach nad Jeziorem Ogronowskim, gdzie rybacy wędzili sieje, to znaczy, za Ogronowem, koło jakiejś zagrody, gdzie wszystko było krzywe: furtka do ogrodu, okna, komin, nawet bocianie gniazdo – tam więc potknąłem się prawie o najpiękniejsze drewniaki, jakie kiedykolwiek miałem w ręku, ozdobione nacięciami, z błyszczącymi klamerkami i paskami kolorowej skóry. Stały tak, że trudno było ich nie zauważyć, na drodze przed furtką; ledwie je podniosłem, gdy z krzaków jeżyn za mną ktoś wyskoczył, usłyszałem zduszone przekleństwo, jakiś mężczyzna z okrągłą głową i czupryną na jeża rzucił się na mnie, wyrwał mi drewniaki, położył je, gotowe do włożenia, przed furtką i przegonił mnie.

Och, te drewniaki; tak chętnie kupiłbym je do naszego muzeum.

Ale na czym to ja stanąłem? Sokółki, prawda, wędrowałem tak szparko, że już w południe byłem w Sokółkach; domy rozdzielone sprawiedliwie po dwóch stronach rzeki, na obu brzegach mniej więcej tyle samo pomostów do bielizny, przy samym ujściu prom, poruszający się na linie, z przewoźnikiem, odpychającym się żerdzią, flotylle kaczek, żeglujących nieustannie z jednej strony rzeki na drugą.

Gdy spytałem przewoźnika, czy nie ma dla mnie przypadkiem jakiejś wiadomości, ten chciał najpierw wiedzieć, jak się nazywam, potem kazał sobie wymienić miejsce urodzenia, ostatnie miejsce pobytu i cel mojej podróży, tylko po to, by w końcu obojętnie stwierdzić, że nie ma żadnej wiadomości. Wiedział, gdzie stoi dom zabawkarza Wilhelma Rattaya – pokazał ręką gdzieś po drugiej stronie jeziora; w każdym razie radził mi się zastanowić, czy warto ryzykować pieniądze za przewóz, gdyż stary przygłupek, jak się wyraził, dawno już powinien być u tych pod ziemią.

Postanowiłem poczekać na Edith; musiałem na nią poczekać, zjąłem więc plecak, wygrzebałem sobie dołek w łagodnie opadającej skarpie i obserwowałem początkowo ospały ruch promu, później zacząłem czytać jeszcze raz listy Edith. Ona ciągle nie nadchodziła. Wkrótce umiałem na pamięć całe listy. Chociaż z mojego miejsca mogłem dojrzeć, kto wchodził po drugiej stronie rzeki na wyglądający jak ponton prom, to jednak za każdym razem schodziłem na pomost i lustrowałem pasażerów, oglądałem ich z bliska, zupełnie tak, jakbym musiał rozpoznać Edith w jakimś przebraniu. Kiedy parę razy pomogłem przewoźnikowi odbijać, pozwolił mi przejechać za darmo na drugi brzeg. Odpychałem się zapasową żerdzią, zabijałem w ten sposób czas, ale chociaż wierzby z rozszczępionymi głowami rzucały już cienie na rzekę, Edith nie ukazała się ani na leśnej drodze, ani na skarpie. Z zapadnięciem zmroku przewoźnik przycumował swój bezimienny wehikuł przy pomocy stalowej liny do wkopanej w ziemię kotwicy. Na pożegnanie powiedział mi jedynie: – Niejeden już, bracie, miał przyjść, a potem nie przyszedł...

Nie, nie, zaraz się dowiesz: nie zrezygnowałem, nie odważyłem się oddalić, nawet kiedy zapadły ciemności, leżałem obok mojego plecaka w drobnym piasku, który zachował ciepło dnia; księżyc świecił dość jasno. Możliwe, że zasnąłem, może śniło mi się właśnie, że ktoś zagwizdał, aż kaczki zamrugały oczami – w każdym razie poderwałem się, kiedy z drugiego brzegu rozległ się przeraźliwy świst i oto stała tam Edith w swej kusej sukience, z tekturową walizeczką w dłoni, i pokazywała na dzielącą nas rzekę, szeroką na dobre dwadzieścia metrów, choć niezbyt głęboką. Wydawało mi się, że nie ma innej rady: rozebrałem się, wepchnąłem ubranie, buty i skórzany portfel do plecaka, przesunąłem paski tak, że mogłem plecak podciągnąć do góry – chwilami trzymałem go na głowie – a potem wśliznąłem się do wody, bliżej ujścia, chwytając się rękami tataraku; zanurzyłem się nago do rzeki i tylko kilka razy musiałem kawałeczek podpłynąć, gdyż prawie cały czas czułem grunt pod nogami, a leniwy prąd ani razu mnie nie przewrócił...

Jesteś uważnym słuchaczem, Martinie, jeszcze to pamiętasz; tak, już raz tak kiedyś brodziłem po wodzie, przez bagnisty, zarośnięty staw, i na chwilę przypomniał mi się ten moment, gdy teraz, sunąc, okręcając się i

obracając miarowo biodrami, przebywałem rzekę, kierując się w stronę żółtej sukienki, która podskakiwała na brzegu, za łopuchami. Edith chciała mi pomóc wyjść z wody, rozglądała się jeszcze szukając miejsca, gdzie można by prześliznąć się przez trzcinę, tatarak i płaczące wierzby, ale ja byłem już na brzegu, a zamiast powitania poprosiłem ją, żeby się na chwilę odwróciła i zaczekała. Przy ubieraniu dostałem czkawki, najpierw były to lekkie, dokuczliwe wstrząsy, od których kiwałem raptownie głową, a zęby uderzały twardo o siebie, ale to było jeszcze znośne, właściwie komiczne, również Edith wyglądała na rozbawioną, kiedy wreszcie podaliśmy sobie ręce, przygotowani na coś, co obydwójce sobie wyobrażaliśmy, ale co nie nastąpiło, gdyż czkawka rwała słowa i sprawiała, że mój podbródek uderzał o szyję.

Nic nie pomagało: pospieszne badanie, porównywanie, skryte wywiadywanie się o drugą osobę – wszystko na nic – czkawka zdeterminowała nasze spotkanie, określiła kształt powitania.

Weszliśmy do Sokótek, zaanonsowani szczekaniem psów; idąc trzymaliśmy się za ręce, milczeliśmy. Myślałem tylko o tym, jak pozbyć się czkawki, próbowałem wstrzymać oddech lub zaklinać ją odliczaniem, ale ona stawała się coraz bardziej dławiąca i gwałtowniejsza, targała mną tak silnie, że i ręka Edith drgała, jakby wstrząsana prądem. Musiałem puścić jej dłoń. Nie śmiałem już nic powiedzieć. Obserwowałem ją i zauważyłem, że z początku przy każdym czknięciu uśmiechała się, potem tylko lekko wzdychała i kilka razy z niechęcią zatrzymała się. Usłyszałem od niej tylko, że jest zmęczona i głodna.

Nie spędziliśmy nocy nad jeziorem, pod jedną z łodzi, ustawionych kilem do góry na podpórkach wzdłuż nadbrzeżnego pasa trzcin; zanim zdążyliśmy tam dojść, zawołał nas przewoźnik, siedzący na ławeczce przed swoją chatą, wołał do nas i radził, by o tej porze nie wędrować naokoło jeziora do domu zabawkarza – w trzcinie poniewiera się pełno rozbitych naczyń – a kiedy Edith spytała, czy można dostać coś do jedzenia, przewoźnik podgrzał zupę z jazgarzy, do której wkroił buraki, tak ostrą, że wyciskała łzy z oczu. Trącałem Edith pod stołem, przypominając jej, że pora iść; rozumiała dobrze moje sygnały, ale

ignorowała je. Patrząc na mnie bez wyrazu spytała przewoźnika, czy moglibyśmy pozostać u niego na noc, a kiedy mężczyzna skinął głową, od razu wyszła ze swą tekturową walizeczką do sieni, i dalej do pokoiku, gdzie miała spać; ze ściany szklanym wzrokiem spoglądał na nabity siennik generał Ludendorff. Ja spałem na stryszku, pośród lin i wysłużonych wiosel; za prześcieradło posłużył mi wypłowiały żagiel; czułem tak głębokie rozczarowanie, że nawet nie zauważyłem, kiedy przeszła mi czkawka. W każdym razie nasze spotkanie przebiegło inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

Nie pytaj mnie, jak wyglądał ranek następnego dnia: dawno już pożegnałem się z przewoźnikiem, siedziałem na przewróconej łodzi i czekałem na Edith, niekiedy przechodziłem pogwizdując obok okna sypialni, bębniłem palcami w belki werandy – ale Edith nie spieszyła się, Edith spała niewzruszona całe przedpołudnie, a kiedy wreszcie wyszła mrugając i wygładzając sobie w słońcu sukienkę, zdobyłem się ledwie na milczące powitanie. Aby ukryć rozdrażnienie – byłem naprawdę rozdrażniony, że strwoniliśmy tyle czasu – szedłem przodem po wilgotnej ścieżce, nie zważając na to, czy może za mną nadążyć, czy nie uderzają jej cofające się raptownie trzciny; zachowywałem się tak, jakbyśmy musieli nadrobić godziny, które ona przespała.

Że też potrafiliśmy tak długo milczeć! Że też żadne z nas nie zaczęło po drodze rozmowy, chociaż było tyle rzeczy, które musieliśmy sobie powiedzieć! To bolało. Czułem, jak ona tam z tyłu wysiła się, by dotrzymać mi kroku, i czułem także, jak trudno przychodziło jej zdusić w sobie te wszystkie pytania, które chciała zadać!

Doszliśmy do domu zabawkarza, nie zamieniwszy ani słowa. Była to omszała, drewniana chata, położona pod sosnami i otoczona płotem z trzeszczącego chrustu; leciwy pies o sztywnych nogach oczekiwał nas przy furtce i warcząc towarzyszył nam do kuchni. Edith poszukała mojej ręki, a ja pod byle pretekstem zabrałem ją; zdjąłem plecak i zapukałem do drzwi największej izby; po kilkakrotnym pukaniu kobiecy głos zawołał: – Jest tam kto? – Otworzyłem drzwi i zobaczyłem żonę zabawkarza; siedziała przy swym złożonym na marach mężu i suszonymi płatkami

róży napełniała małą powłoczkę na poduszkę, taką małą poduszczkę, którą zaczęła zaszywać ciasnym ścięciem na okrętkę. Kiwnęła nam głową, byśmy weszli. Wskazała na męża i zaczęła od razu opowiadać o swym skromnym życiu, które dzieliła z nim czterdzieści czy więcej lat; jak długo miała dobry wzrok, jeździła za niego, by dostarczać towar do klientów. Zdawała się wszystko rozumieć i na wszystko godzić: że ktoś musi się tak przedzierać przez życie jak Wilhelm Rattay, i to, że nie pragnął żadnych zmian, zdawała się nawet akceptować fakt, że teraz umarł. Źle by było, gdyby człowiek nic po sobie nie zostawił, powiedziała, żadnego śladu, żadnego karbu czy znaku. Ale czego człek w życiu dokonał, to zostanie na świecie, choćby żył tak niefrasobliwie, jak on, Wilhelm.

To ostatnie powiedziała później, kiedy w kuchni obok jedliśmy zupę mleczną; drzwi do pokoju, gdzie leżał zmarły, były cały czas otwarte.

Opowiadała, że zabawkarz często rozważał, czyby nie przetrząsnąć strychów w Sokółkach i okolicy, po to tylko, żeby ocalić od zapomnienia wykonane przez siebie zabawki – zapomniane zabawki, które znikają z pola widzenia, skoro tylko dzieci z nich wyrosną. Zabawkami Wilhelma, leżącymi po strychach, schowanymi tam na wieczność, można by zapełnić całe muzea, twierdziła kobieta. Potem zaprowadziła nas do warsztatu, w którym mąż pracował do ostatnich dni swego życia; na stole stał kaczor na kółkach, na którego dziobie wisiały okulary w drucianej oprawce, należące do zabawkarza. Sięgające aż do sufitu regały zapełnione były starymi lalkami, pawiami roztaczającymi ogon, leśnymi zwierzętami na kółkach, pokoje dla lalek prezentowały znieruchomiałą czułość, zatrzymane życie. Maleńki warsztat, gdzie wszystko leżało w artystycznym nieładzie, nazywał się „Pracownia zabawkarska”. Stał tam też kołowrotek z różanego drzewa, który pragnęła mieć Sonja Turk, a na składanym stole pod oknem dwa egzemplarze bezcennej „puszki z Sokółek”, której cała zawartość wytoczona była z drzewa bukszpanowego i kości: krzeselka, moździerzki, żłobione naczynia i szpuleczki, koszyki, talerze, faski na masło – wszystko, co człowiek chciałby lub też – jak sądził – musi mieć w życiu.

Atmosfera tego domu, gdzie leżał zmarły, powodowała, że chodziłem i mówiłem ciszej, a wszystko, czego dotykałem lub co brałem do ręki, głaskałem jeszcze raz, jak gdyby usprawiedliwiając się – w przeciwieństwie do na pół niewidomej kobiety, która zdawała się wszystko rozumieć, a więc także to, że w domu zmarłego mówiło się o cenach. Zgadzała się na każdy mój wybór; zdejmowała rzeczy z półek i zносиła je do kuchni, bez zastrzeżeń wieszając mi zakupów. Już wtedy, wyszukując misterne kręgle, lalki, motowidła i rzeźbione zwierzęta, postanowiłem urządzić w naszym muzeum osobny dział, sam zdecydowałem przenieść się do alkowy wuja Adama, a w mojej izbie chciałem zebrać wyłącznie rodzime zabawki.

Podczas gdy kobieta wystawiała mi rachunek, Edith zaczęła nagle płakać. Siedziała przy składanym stole, otworzyła jedną z „puszek z Sokótek” i rozłożyła miniaturowy inwentarz na blacie stołu, w taki sposób, jak gdyby jakieś maleńkie istoty miały go za chwilę użyć, i siedząc tak, zafascynowana widokiem tych powabnych kruchych drobin, rozpłakała się. Nie umiała podać przyczyny płaczu – również później nie znajdowała żadnego wytłumaczenia na to, dlaczego na widok naczyń, filiżaneczek i maleńkich szpułek zalała się łzami; dopiero gdy kobieta spokojnie, ale stanowczo włożyła misternie toczony przedmiot z powrotem do puszki, Edith uspokoiła się...

Co mówisz, Martinie?

Poczekaj tylko, jeszcze się zdziwisz.

Skłoniliśmy się przed martwym zabawkarzem i wyszliśmy, ale nie doszliśmy nawet do płotu, gdy kobieta zawołała Edith, wyjęła jej z ręki tekturową walizeczkę i włożyła do środka jedną „puszkę z Sokótek”. Nie pamiętam dokładnie, co mówiła, kiedy zamykała walizkę, ale sens był taki: Każdy tkwi w swojej przeszłości. Teraz dopiero odkryłem, że walizka, z którą Edith przyjechała z Nidzicy, była prawie pusta. Edith podziękowała jej tylko bezradnym spojrzeniem i dwoma urywanymi zdaniem, więcej jej się nie udało; dygnęła przed kobietą i spieszenie ruszyła w moim kierunku, precyzyjnie się przez furtkę.

Nie, nie odpowiadała wyobrażeniu, jakie o niej miałem, może jednak powinienem od razu dodać, że Edith nie przyczyniła się do powstania moich złudzeń, tych iluzji, bez których nie mógłbym chyba prowadzić naszej wybujałej korespondencji. Zmieniała się, to wszystko, ja jednak nie potrafiłem pogodzić się z tym, że oddaliła się zbyt od wizerunku, jaki sobie stworzyłem, a obraz ten pochodził nie tyle ze wspomnień, co z jej listów. W swym rozczarowaniu zauważałem szczegóły, które normalnie z pewnością bym przeoczył: na przykład, że jedno ramiączko jej żółtej sukienki trzymało się na agrafce lub że jej półbuty zdarte były aż do spodu podeszwy; były to odkrycia, które w tym momencie potwierdzały słuszność mego rozczarowania.

W każdym razie wypełniłem swoje zadanie, a ponieważ mieliśmy jeszcze sporo czasu, poszliśmy gęsiego, jedno za drugim, brzegiem jeziora, do pomostu, do którego kilka razy dziennie przybijał stary parowiec z kołem, przewożący przez jezioro nie tylko pasażerów, ale i towary – bańki z mlekiem, skrzynie z owocami i wędzoną rybą oraz pocztę. Nie umawiając się wcale, weszliśmy na przedni pokład, tam gdzie byliśmy sami. Usiedliśmy koło nigdy nie używanego łańcucha kotwicznego, ujęliśmy się za ręce i wystawiliśmy twarze na łagodny wiatr. Rozmowa w dalszym ciągu nam nie szła, przynajmniej żadne z nas nie próbowało rozsunąć całkowicie kurtyny i wypowiedzieć się tak otwarcie, jak czyniliśmy to w naszych listach. Każde zdanie brzmiało jak wyuczone. Poprosiłem Edith, by opisała mi, skąd pochodzi niepozorna blizna na kości jarzmowej; nie uszło mojej uwagi, jak bardzo się starała, by „wydobyć” jak najwięcej ze swego wypadku rowerowego – wiesz, jak to bywa. Wysiedliśmy w Sokółkach; przewoźnik, który przeprowadził nas przez rzekę, obdarował nas na drogę jednym ze swych przysłów własnego chowu – pochwałą wytrwałości, o której wszystko już zostało powiedziane, a którą mimo to długo jeszcze omawialiśmy idąc leśną drogą, prowadzącą do Spunek, do najbliższej stacji kolejowej. Zapytałem Edith, czy ciemna plama na jej sukience – prawdopodobnie od smaru – mogła pochodzić z wypadku rowerowego: odparła, że to możliwe.

Po drodze spotkaliśmy robotników leśnych, którzy widocznie coś świętowali; zaprosili nas na piwo i kiełbaski, a kiedy spytali, czy jesteśmy

rodzeństwem, pozostawiłem odpowiedź Edith; podała nas za rodzeństwo podróżujące do Nidzicy, by objąć tam spadek, ogromną cegielnię z warsztatem garncarskim. Gdy to wygłaszała, poczułem lekki ból, jej odpowiedź zabrzmiała zresztą tak pewnie i naturalnie, że robotnicy uwierzyli jej; nie interesowali się zawartością mojego plecaka.

W pewnej chwili, kiedy zniknęła na moment w zagajniku, otworzyłem szybko jej walizkę. Wydawało mi się po prostu, że muszę wiedzieć, co taszczyła ze sobą: a więc obcięte precele z warkoczy barwy kukurydzy, zawinięte pospiesznie, niedbale w gazetę. Później – byliśmy już wtedy wiele lat po ślubie – opowiadała, że chciała mi podarować jeden z tych warkoczy i że tylko dlatego nie uczyniła tego, iż nie nadarzyła się „stosowna okazja” i w ogóle „wszystko ułożyło się nie tak”. Byliśmy chyba wtedy zarozumiali, obydwójce: zakładaliśmy, że drugi człowiek nie może się zmienić; ale zostawmy to.

Spunki – miejscowość leżała za porośniętą lasem górą, na stacji nie zastaliśmy nikogo z personelu, gdy o zmierzchu wspięliśmy się na tory i zwiedzaliśmy wydzielając zapach li zolu pomieszczenia; również w kasie nie było nikogo, tak że spokojnie mogliśmy zafundować sobie bilety do Królewca albo Tylży czy Elbląga, jednakże zadowoliliśmy się pójściem do poczekalni, gdzie, jak chyba na każdej mazurskiej stacji, siedziała przysadzista, ubrana na czarno kobieta, z dwoma przykrytymi koszami, w których kwiliły świeżo wyklute gąsienki. Kobieta upewniła się, że ze Spunek kursują pociągi w kierunku Nidzicy, po czym w widoczny sposób rozluźniła się i całkowicie odprężona pogrążyła w błogich rozmyślaniach. W Spunkach nie było bufetu, wcisnęliśmy się więc za drugi stół, podzieliliśmy na pół ostatnie jabłko, gdy raptem Edith spytała, czy nie mógłbym jej pożyczyć pieniędzy na bilet – splukwała się bowiem do reszty. To pytanie nie przyczyniło się bynajmniej do tego, bym mógł ocenić korzystnie nasze spotkanie, dałem jej pieniądze, ale odliczone – dwie marki czterdzieści pięć. Nawet nie odczuła potępienia, zawartego w odliczonej sumie, z wdzięczności przysunęła się do mnie bliżej i oparłszy głowę na moim ramieniu szepnęła: – Posłuchaj tylko, człowieku, jak te gąsienki słodko gęgają.

W tym momencie poczułem, że nie mogę się już doczekać, kiedy się pożegnamy, i pod byle pretekstem parę razy wyszedłem sam na peron, nasłuchując w kierunku, z którego miał nadjechać pociąg, albo podchodziłem do skromnej ekspedycji towarów, gdzie dwóch mężczyzn ustawiało skrzynki z wędzoną sieją, towar ekspresowy – przyglądałem im się, żeby tylko nie spędzać czasu pozostałego do odjazdu w towarzystwie Edith. Zdumiony byłem, że ona sama, w przeciwieństwie do mnie, nie wyglądała na rozczarowaną, ostatnie przeżycia nie wydawały się jej martwić; tak, podchodziła do wszystkiego z większą beztróską, sprawiała wrażenie, że nawet po tym nieudanym spotkaniu między nami nie trzeba niczego naprawiać.

Nie mów mi teraz nic na mój temat, wiem już dosyć, w międzyczasie zrozumiałem, że mój błąd polegał często na tym, iż wszystko, co miało się dopiero zdarzyć, chciałem z góry ustalić, układając starannie, a przynajmniej jednoznacznie plany. Mój pociąg nadjechał pierwszy;

Edith wzięła mnie za rękę, kiedy wybiegaliśmy na peron, pogodna i najwidoczniej zadowolona z siebie i ze spotkania, i chociaż nie reagowałem, zapewniała mnie nieustannie, że napisze od razu po powrocie i bardzo obszernie. Wepchnąłem plecak do przedziału, na peron już nie zeskoczyłem, zostałem na stopniu, gdyż kierownik pociągu przyłożył już gwizdek do ust, i nic nie można było poradzić na to, że nasze pożegnanie wypadło tak formalnie – winna temu była różnica poziomów. Z jakim przerażeniem spojrzała ku mnie w górę, gdy pociąg ruszył, z przerażeniem i usilną prośbą o jakiś znak; szła, a potem biegła obok pociągu, ze wzrokiem podniesionym ku oknu mojego przedziału, biegła aż do końca peronu, nie machając, czekając ciągle na jakiś gest potwierdzenia. I ten obraz uniosłem ze sobą, nie opuszczał mnie podczas całej jazdy do domu: Edith na końcu peronu, z wyciągniętymi ramionami w mlecznym świetle, w nieruchomym oczekiwaniu.

Napisałem do niej od razu po powrocie, musiałem jej napisać, między innymi z powodu niespodzianki, jaką przeżyłem przy rozpakowywaniu: na wierzchu plecaka leżała „puszka z Sokółek” z kompletną, wytoczoną z

bukszpanu i kostek zawartością: najcenniejszy eksponat w dziale, który urządziłem specjalnie dla mazurskich zabawek dziecięcych...

Żalu, mówisz? Czy nie odczuwam żalu z powodu tego wszystkiego, co bezpowrotnie przepadło w ogniu? Owszem, Martinie. Kiedy myślę dziś o tym, przyznaję, że było to może zbyt gwałtowne porządkowanie, zbyt daleko posunięta amputacja, lecz w momencie niszczenia muzeum nie miałem wyboru. Jakiejże to selekcji miałem dokonać wtedy, zanim wszystko stanęło w płomieniach? Z jakim uzasadnieniem miałem odłożyć na bok niektóre przedmioty? Wszystko albo nic – innej możliwości nie widziałem; może potrafisz to zrozumieć, jeśli wiesz już dostatecznie dużo, jeśli w tym opowiadaniu zaszliśmy już dostatecznie daleko. Wiem, jak wiele obróciło się w popiół, wiem, że spłonęły wszystkie katalogi, w których wyszczególniony był i opisany każdy eksponat z osobna. Myślenie o tym z każdym dniem przychodzi mi trudniej, ale póki co, jeszcze sobie radzę ze wszystkimi wątpliwościami...

Słucham? Już znowu zrobiło się tak późno? Nie pozostaje mi nic innego: muszę się z tym pogodzić. Zabierz tylko jabłka, Martinie, dostaję tu bardzo dużo owoców.

Ależ oczywiście, powiedz, co cię uderzyło...

A więc nastroje, ta mnogość zmiennych nastrojów, które zachowały się w pamięci. Jeszcze o tym usłyszysz... Nastroje... w końcu są one naszą najpewniejszą własnością...

Wziąłeś jabłka? To dobrze... Nastroje pomagają mi odnaleźć się we wspomnieniach... Mam nadzieję, że jutro! Aha, i przyślij mi jeszcze siostrę.

VIII

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem po zdjęciu opatrunku był – wiesz kto? – mój syn Bernhard. Jak zwykle się spieszył, jak zwykle zabrakło mu okazji, żeby zapowiedzieć swoją wizytę; niespodziewanie stał w nogach łóżka i wytrwałą grą palców usiłował zwrócić na siebie moją uwagę – Bernhard, w przerwie między dwoma pociągami, w drodze do Kopenhagi,

gdzie na jakimś międzynarodowym kongresie wymieniano opinie na temat współczesnego wykonywania wyroków. Potrzebował mniej więcej pół minuty, aby uzyskać całkowitą pewność, że nie daje już powodów do troski – wyglądasz nieprzyzwoicie dobrze, staruszk, wkrótce znowu będzie z ciebie dawny rydz, wprawdzie może nieco nadwerężony, ale stawiający jeszcze czoła każdemu nożykowi; przez pozostałych dziewiętnaście minut swoich odwiedzin wałkował główny problem współczesnego świata: resocjalizację więźniów. Bezbronny w tym potoku słów miałem uczucie, że naszemu społeczeństwu pozostała jeszcze jedna szansa uratowania się przed zagładą, a mianowicie, jeśli wspaniałomyślnie zatroszczy się o to, aby więźniowie mieli możliwość zabawiać się w teatr, regularnie brać udział w imprezach sportowych i uczestniczyć w wieczorach poezji. Jego szef ma zresztą wygłosić w Kopenhadze referat, który, jak opowiadał Bernhard, nigdy by nie powstał bez wykorzystania jego doświadczeń. Zanim w pośpiechu wyszedł, chciał się jeszcze szybko dowiedzieć, co pozostało z naszej mazurskiej „budy do nabożeństwa”, a kiedy pokazałem mu swoje puste ręce, pogłaskał mnie po ramieniu i poczuł się zobowiązany do wygłoszenia pociechy. – Nie tylko przeszłość, staruszk, również teraźniejszość może nabrać blasku; może być kiedy dla odmiany spróbował...

Tak, takie były odwiedziny Bernharda...

Słucham? Ja także, mój drogi, ja również ubolewałem nad tym, że się obydwaj nie spotkaliście. Wasz sceptycyzm od razu by was złączył, być może przypadlibyście sobie do gustu już przy pierwszym uścisku dłoni. Obydwaj nosicie te same sprane dzinsy, do tego takie same buty z krótką cholewką, choć wiem, że nie musi to nic znaczyć.

Conny i ja – również my nosiliśmy przez jakiś czas takie same wiatrówki i ciesielskie spodnie z grubo prążkowanego welwetu, przypominam sobie, że byliśmy w Łukowcu pierwszymi, którzy zastąpili krawat wyjątkowo długim sznurowadłem, zawiązanym fantazyjnie na kokardę; ale jakkolwiek na zewnątrz demonstrowaliśmy wzajemną przynależność, to w naszych przekonaniach coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie, tak; przypominam sobie, że nagle przestaliśmy być zgodni w używaniu

pewnych słów, w interpretacji naszych doświadczeń. Wystarczy tylko przypomnieć wydarzenia z pory roztopów...

Chętnie, Martinie...

A więc wielka odwilż jeszcze się nie skończyła, kiedy przybyli ci ludzie z koparkami, walcami i budami mieszkalnymi na kółkach; przybyli z północy i osiedli na cyplu między jeziorami – z góry zamkowej wyglądało to tak, jak gdyby zakorkowali cypel niby szyjkę butelki, i już pierwszego dnia ścięli srebrne topole, aby nakarmić nimi swe żelazne piecyki: było to wojsko, które miało budować wielką szosę graniczną do Polski, przez łukowieckie bagna.

Odwilż na Mazurach: kapało i ciekło tygodniami, lało się z dachów i gałęzi, wybijało ci wyliczankę przy budzeniu, uderzało chłodem w twarz, stukanie przenikało twoje myśli; na dworze, w resztkach śniegu, w rozmiękłej ziemi, tworzyły się wyraźne zagłębienia, podobne do lejów po wybuchach, a na pochyłościach terenu woda z topniejącego śniegu żłobiła sobie kanaliki i spływała w dół do jezior, na powierzchni których unosiły się już tylko szare, porowate kawałki kry. Niebo było o tej porze czyste, uprzątnięte z chmur, wschodni wiatr przeczesywał czuby sosen w poszukiwaniu ostatnich brązowych tonów.

Z góry zamkowej można już było dostrzec przesiekę, którą wycięły w lesie elektryczne piły tamtych, wyraźny dukt, przecinający wkrótce pasmem żółtego piasku niebieskawą zieleń... Nasze trzęsawisko nie zdołało ich zatrzymać: ciężarówki zwoziły maty i plecionki z gałęzi, kamienie i piasek, a przed pozbawionym okien wagonem mieszkalnym rosły góry materiałów, z których miał powstać nasyp, nasyp pod szosę. Dwie kuchnie polowe wystarczały akurat, żeby wyżywić wszystkich mężczyzn, pośród których znajdowali się także Polacy oraz Litwini i Cyganie. Cóż to była za krzątania na przesmyku! Jak tam dymiło z kominów i kotłów!

Kiedy Conny przyjechał po mnie, nie wiedziałem, że otrzymał zadanie, aby napisać dla „Gazety Łukowieckiej” artykuł, i to nie tylko o samej budowie, ale także o wysiłkach Heimatvereinu, by przechwycić albo skierować gdzie indziej tę potężną energię, emanującą z obcych

przybyszów i ich maszyn, by ratować nasze trzęsawisko, jeden z ostatnich zakątków, w których wszystko jeszcze pozostawione było samemu sobie. Wsiadłem na jego motor, raptowne szarpnięcie wyrwało mi ramiona do tyłu; gnaliśmy wzdłuż więzienia, obok majątku, aż przerażone ptactwo pierzchało wyciągając szyje. Conny rozkoszował się szybkością, po każdej jeździe wydawał się odświeżony. Dojechawszy na miejsce postawiliśmy motor między wozami mieszkalnymi i rozpytując ludzi dotarliśmy do inżyniera. Inżynier – w skórzanej czapce z daszkiem i takiej samej kurtce trzy czwarte – zaprosił nas do swej budy. Było to ciepłe, obszerne pomieszczenie ze stolikiem do kart i łóżkiem polowym, przez podłużne okno mogliśmy widzieć trzęsawisko i koniec wzniesionego do tej pory nasypu.

Inżynier objaśniał nam poważnie i fachowo przebieg projektu; Conny kwitował te informacje kiwając potakująco głową; a więc szczególnie trudności przy kładzeniu fundamentów, zużycie materiałów, prowizoryczny kosztorys; do dziś pamiętam pewność siebie, z jaką Conny wysłuchiwał wywodów inżyniera, zdumiewała mnie ona nie mniej niż skwapliwość, z jaką inżynier odpowiadał na uwagi czynione przez Conny'ego, tonem, jakby się usprawiedliwiał. Wydawało się, że zobowiązany jest do udzielenia Conny'emu informacji. Zaproponował nam kawę w blaszanych kubkach i pociągnąwszy nas do okna, skinął głową w stronę końca nasypu, gdzie na rozjeżdżonym piachu stał namiot, dwuosobowy namiot oliwkowego koloru, ustawiony w poprzek do kierunku, w jakim przebiegać miała szosa. Jeszcze nie zrezygnowali, powiedział inżynier, Heimatverein wciąż jeszcze wierzy, iż zdoła nas powstrzymać.

Tak to jest, Martinie: już wtedy mieli dla wszystkich, którzy brali ten kraj w obronę, jedynie lekceważący uśmiech albo wzruszenie ramionami; a ci, którzy mówili nie, to były tylko nieszkodliwe zrzedy, dziwaczni święci, ludzie w gorącej wodzie kąpani, i należało ich traktować pobłaźliwie.

Również inżynier uśmiechał się spoglądając na namiot, na tę raczej wzruszającą przeszkodę, którą łukowiecki Heimatverein przeciwstawiał projektowi: wskazał na robotników z łopatomy i kilofami, pracujących tuż

obok namiotu; trzymając się ściśle zaleceń inżyniera, pracowali gorliwie tak blisko niego, jak gdyby nie mogli brać tej przeszkody poważnie.

Conny zaproponował, żebyśmy tam poszli, inżynier poprowadził nas więc skrajem nasypu do namiotu i przez płachtę pozdrowił jego mieszkańców. Po chwili materiał wzdał się i opadł, po czym z namiotu wyszedł nauczyciel Henseleit, nasz wiceprzewodniczący; mrugając oczami na nasz widok i masując sobie jednocześnie kark, odpowiedział krótko na nasze powitanie; sprawiał wrażenie, że wizyta Conny'ego była mu na rękę. Muszę przyznać, że to, co nie pytany opowiadał nam o celach swego oporu, brzmiało dość oklepane: wierzył, że uda mu się cofnąć pracę pił, koparek i walców, był przekonany, że do naszych zadań należy również obrona pierwotnych terenów. Zabójczy porządek – zauważył – tylko on pozostaje, kiedy na swój sposób obejmiemy coś w posiadanie. Gdy w swej pysze wszystko już zdobędziemy, wtedy zauważymy, jak bardzo zdani jesteśmy na to, co jeszcze niedostępne. Pożyczył od inżyniera zapalki, zapalił sobie fajkę i w milczeniu zwrócił naszą uwagę na dwie kanie, które nie poruszając skrzydłami krążyły nad górą zamkową, a potem odleciały nagle w kierunku jeziora.

Conny z równym spokojem wysłuchał oświadczenia Henseleita jak przedtem relacji inżyniera; nie notował sobie niczego, kwitując to, co usłyszał, lekkim skinieniem głowy, a wyraz nieobecności, malujący się niekiedy w jego oczach, kazał mi się domyślać, że porównywał i rozważał oba poglądy... Inżynier stwierdził, że jest potrzebny w biurze budowy, i pożegnał się; spodziewałem się, że po jego odejściu Henseleit zacznie mówić swobodnie, ale wymiana argumentów widocznie wyczerpała go i ograniczył się do tego, by z zimnym oburzeniem spoglądać na piaskowoszare pasmo, na którym krzyżowały się i przecinały sylwetki poruszających się robotników.

W tym momencie nadjechała ciężarówka, z łomotem i o wiele za szybko. Był to samochód, który przywiózł piasek; przednia szyba była prawie czarna od kurzu i wyschniętych bryzgów błota. Nikt z nas nie mógł zrozumieć, dlaczego kierowca zatrąbił – może zależało mu, żeby zwrócić uwagę na swoją pracę. Trochę prowokacyjnie zatrzymał się tuż przed

nami, sprawiało mu widocznie przyjemność, że nas przestraszył i że musieliśmy uskoczyć na bok; wykonując manewr, który bynajmniej nie oszczędzał zderzaków, podjechał tyłem do namiotu, po czym wesoło machając ręką wysiadł z szoferki; był to młody Litwin w obcisłej skórzanej kurtce; szczerząc zęby podszedł do platformy, wybił dwa haki z uchwytów i spuścił deskę. Ładunek zwałił się na namiot, a zbite grudy piachu wgniotły jego dach. Z końca nasypu podeszli robotnicy i z rozbawieniem obserwowali Litwina, który wskoczył do szoferki i przy pomocy podnośnika hydraulicznego ustawił platformę ukośnie, po czym również reszta ładunku zsunęła się, spłaszczając i grzebiąc pod sobą połowę namiotu...

Nie, nie, to nie Henseleit, to ruszył się stary Blask, zeszytniały leśniczy, który leżał w namiocie i mógł się tylko uwolnić rozcinając jego ściankę – stary mężczyzna o zeszytniałych stawach, jak mówiłem, który przeciskał się teraz zagniewany przez otwór w namiocie i chwilę stał oszołomiony, zanim zbliżył się powolnym, sztywnym krokiem do chłodnicy ciężarówki. Chcąc pozbyć się także pozostałej niewielkiej resztki piasku, Litwin ustawił platformę niemal pionowo; i aby zwalić piach na oszczędzoną dotychczas ścianę namiotu, wolno ruszył, najeżdżając na starego Blaska, który stał bez ruchu i najwidoczniej nie miał zamiaru cofnąć się przed chłodnicą. Widzę jeszcze spoglądające posepnie i obojętnie oczy starego człowieka, jego zacięte usta, widzę go wciąż stojącego w postawie upartego sprzeciwu, nie zamierzającego dać się przekonać albo chociażby tylko ustąpić przed toczącą się na niego masą. Chwilę przedtem, zanim zderzak dotknął go i przewrócił, uniósł broń i strzelił w przednią szybę: śrut i szkło rozprysły się, od poszarpanej dziury rozbiegły się po szybie splątane, delikatne nitki, tak, nitki pęknięć. Drzwi od szoferki otworzyły się gwałtownie, Litwin próbował na czworakach wysiąść, ale nie mógł się utrzymać na nogach, przekoziółkował i upadł w piasek.

Możesz sobie wyobrazić, jak kilku robotników rzuciło się na starego Blaska, jak go rozbroili, wykręcili mu ręce do tyłu, jakby sądzili, że zdolny będzie zrobić jeszcze coś, ale stary leśniczy stęknął tylko, gdy zacieśnili chwyt, i patrzył obojętnie gdzieś ponad wszystkimi, nie odwrócił nawet

głowy, gdy Henseleit próbował pozyskać Conny'ego na świadka: – Pan widział, że to było w obronie własnej, musi pan to poświadczyć.

Kiedy Litwina odniesiono na zbitych z desek noszach, pojawił się znowu inżynier; nie wypytywał o szczegóły, wszedł specjalnie na wzgórek piachu, pokrywający część namiotu, i zadziwiająco spokojnym głosem obarczył Henseleita odpowiedzialnością za to, co zaszło. Zarzucił mu stawianie oporu przeciwko przedsięwzięciom, postanowionym przez rząd; oskarżył o stwarzanie klimatu wrogości, w którym przemoc rodzi się sama; w końcu polecił mu pozostać w pobliżu aż do przybycia policji i być obecnym przy przesłuchaniach.

Nie czekaliśmy na pojawienie się policji; wsiedliśmy na motocykl i wróciliśmy do Łukowca, do redakcji, gdzie Conny natychmiast usiadł do leciwego remingtona, podczas gdy Kukielka, w dobrym humorze, zaproponował, abym mu pomógł przy rejestrowaniu listów z pogrózkami, które gromadził w blaszanym pudełku po herbatnikach. Ten najuprzejmiejszy redaktor „Gazety Łukowieckiej” nie poprzestawał na lekturze i rejestrowaniu listów – od czasu do czasu dokonywał w nich nawet stylistycznych poprawek...

Ależ tak, Martinie, pamiętam, co spowodowało te pogróżki: pieśni żołnierskie, w dodatku tygodniowym poddał on krytycznej analizie treść pewnego zbioru pieśni żołnierskich.

Ale co to ja chciałem ci opowiedzieć? O artykule Conny'ego, oczywiście, który pisał od razu z dwiema kopiami, o moim wzburzeniu i jego pewności siebie, o różnicy w interpretacji wspólnych doświadczeń. Jak dalece musiało mu zależeć na tym, by utwierdzić się w swoich przekonaniach i poglądach, skoro przedstawił inżyniera jako człowieka doświadczonego, z życzliwą otwartością udzielającego informacji o łączącym narody projekcie, którego zaplanowanie i ukończenie leżało mu tak bardzo na sercu. Tak rozpoczynał się naprawdę artykuł Conny'ego: wizerunkiem człowieka, którego ja w każdym razie nie poznałem, trzeźwego marzyciela, budowniczego mostów o chłodnej namiętności, który swoimi dziełami połączył mazurski kraj ze światem i wybawił jego

mieszkańców od niezawinionego życia na uboczu – tak to mniej więcej brzmiało. Człowiek przyszłości, wytrwały i odważny: tak wyglądał inżynier w relacji Conny’ego, podczas gdy ja miałem w pamięci fachowca, przedsiębiorcę budowlanego, raczej przygnębionego niż ogarniętego pasją, i jeśli w ogóle myślącego dalekosiężnie, to co najwyżej w wyznaczonych terminami odcinkowych celach.

To, co napisał Conny o tej rozległej budowie, tak mnie zdumiało, że przeczytałem to kilka razy. Wierzył, że ponad całym tym zorganizowanym mrowiem odkrył pewien rodzaj radosnej stanowczości, ujrzał tam robotników, którzy traktowali budowę jako „pokojuwe wyzwanie”, tak, twierdził, że niektórzy, jak zauważył, odczuwali już satysfakcję z faktu współpracy przy udostępnianiu ludziom łukowieckiego bagna.

Nie muszę ci chyba mówić, jak wypadli w jego relacji mężczyźni z naszego Heimatverein, którzy sprzeciwili się niszczeniu przyrody, kompromitował ich ostrożnie jako samowystarczalnych marzycieli, jako staroświeckich rzeczników natury, którzy z czystej miłości do ograniczenia przeoczyli cel nadrzędny. Conny nie zawahał się sprowadzić konfliktu do przesadnych alternatyw: z jednej strony zachowanie miejsc lęgowych czarnego bociana, z drugiej odporna na zimę droga łącząca narody. To, co przyznawał im w dziedzinie woli zachowania przyrody, tego odmawiał w gotowości otwarcia się na świat – i tak dalej. Od kogoś, kto jest tak stronnicy, trudno oczekiwać, że pozostawi choćby jedno wydarzenie w neutralnym świetle. Litwin, który zrzucił ładunek piachu na namiot, jawił mu się jako człowiek, który w zapale pracy przeliczył się jedynie o parę metrów; oczywiście nie miał zamiaru przejechać starego leśniczego. Blask z kolei działał nie tylko niestosownie, ale także samowolnie i bez wyraźnej konieczności; Conny widział w nim ofiarę kampanii, która w ostatecznym rozrachunku prowadzona była wbrew rozsądkowi.

Jak już mówiłem, przeczytałem relację Conny’ego kilkakrotnie, zapytując sam siebie, czy naprawdę byłem z nim wtedy w lesie, gdy wydarzyło się to wszystko, co opisał. Spytałem go, czy artykuł ukaże się w takiej postaci, a Conny zdziwił się: – A w jakiej? Jeśli w ogóle ma być wydrukowany, to

tylko tak! – Ale przecież fakty – powiedziałem, a Conny na to – nigdy nie zapomnę jego słów: – Fakty! To przecież tylko magazyn części zamiennych dla naszej polityki...

Co takiego? Ależ nie, oczywiście, że możesz mi przerywać...

A więc, jeśli cię dobrze zrozumiałem: stoisz po stronie Conny'ego, ponieważ, jak sądzisz, rozwiązania w skali regionalnej nie wystarczają... Widzisz: a ja jestem zdania, że to wszystko, co czynimy dla naszych stron rodzinnych, wychodzi bezpośrednio na dobre całości, jedno wszak nie wyklucza drugiego. Ale powiedziałeś jeszcze coś innego: odrębność; w uczuciu do stron ojczystych zawiera się również prawo do odrębności. W tym miejscu chętnie bym spytał: czy mamy dążyć do tego, byśmy stali się bezimienni i wymienialni? Czy właśnie tego powinniśmy pragnąć, czy do tego mamy dążyć: do wymienialności? Naprawdę sądzisz, że szczęście nasze będzie trwalsze, jeśli dobrowolnie pogrążymy się w anonimowości?...

Zdziwisz się, do czego doprowadziło pewnego dnia marzenie Conny'ego; ale zostawmy to, jeszcze do tego dojdziemy; najpierw musisz się dowiedzieć, jak Conny i ja zostaliśmy powinowatymi, tak, powinowatymi...

Nie mylisz się, Martinie: nasze listy przygotowały to wszystko, owa burzliwa korespondencja, której z Edith nie zaprzestaliśmy i w której prześcigaliśmy się nawzajem w bezgranicznej ufności.

Ale posłuchaj sam: pół nocy siedziałem nad listem, w którym chciałem opowiedzieć Edith, jak doszło do mojego egzaminu mistrzowskiego i jak ten egzamin przebiegał. Ponieważ inaczej nie potrafię, więc cofnąłem się daleko wstecz: jak to po pracy, tak tylko dla siebie, zaprojektowałem biało-niebieski kobierzec weselny i jak zacząłem go tkać: kobierzec, którego punktem centralnym była czarna gwiazda, czarna jak noc, jak otchłań kosmiczna, i który jak przecucie, ledwo zaznaczone, pokazywał unoszące się w powietrzu kształty ryb i drzewa z głowami jeleni; pisałem, jak po upływie długich tygodni poprosiłem Sonję Turk, by wydała sąd o tej pracy, a moja nauczycielka z nieruchomą twarzą przebiegała kobierzec

oczami, coś tam do siebie mamrotała, pogwizdywała i posykiwała, a w końcu rzekła: – Masz wszystko, co potrzeba na mistrza, Siechmuntje, ale żebyś mi nie przestał się uczyć, bo co kto umie, ty narwany chłopaku, to się pokaże po egzaminach. – Opisałem Edith także, jak potem Sonja Turk bez słowa przyniosła puszkę z masą marcepanową, oderwała mi bryłkę i usiadłszy obok mnie zaczęła omawiać szczegóły mojego egzaminu mistrzowskiego, nieustannie przy tym lustrując mój kobierzec. Ledwie do mnie docierało, co mówiła.

Edith dowiedziała się też, jaka pogoda panowała w dniu egzaminu było upalnie i sucho – i że moja mistrzyni zaprosiła mnie na śniadanie, a także, co wbijała mi do głowy przed przybyciem komisji, składającej się z dwóch przemęczonych mężczyzn i wesołej, nieprzerwanie nucącej kobiety w samodzielnym kostiumie. Na egzaminie, mówiła Sonja, nie zaszkodzi, jak się czasem wydasz zestrachany, tylko głupi ludzie chcieliby wszystko wiedzieć. Powiedziała też: braki rozgrzewają serce.

Nie wiem, czy sobie to wtedy tylko wmówiłem: ale zupa rybna, którą Sonja Turk poczęstowała komisję na powitanie – był to sandacz z buraczkami i tymiankiem – ta zupa, chciałem rzec, spotęgowała moje podniecenie, tak, wzmogła wydzielanie potu i odebrała mi resztkę nadziei.

Naturalnie zdawałem sobie sprawę, jaką zaletę, ale również jakie dodatkowe brzemie stanowiła okoliczność, że byłem jedynym uczniem Sonji Turk, wielkiej mistrzyni tkactwa.

W każdym razie opisałem Edith niemal uroczyste wejście do pracowni, gdzie komisja zajęła miejsce na wyściełanych krzesłach; moja mistrzyni stanęła za nią, obok okna. Spojrzałem na moje krosna, które nagle wydały mi się obce, jakby nigdy nie używane; wszystko, co ważne, gdzieś mi umknęło, ledwie przypominałem sobie, co to jest osnowa i wątek. Miałem uczucie, że muszę zaprezentować coś, czego nigdy przedtem nie ćwiczyłem – przyciśnięty do muru, skazany na to, aby wznieść w powietrze samolot, choć nigdy przedtem nie siedziałem przy drążku sterowym. Jak zimne wydały mi się w dotyku krosna, jak nieprzyjemne i

jak niewiele prostych wiadomości udawało mi się przywołać z pamięci – nic nie przychodziło samo jak zwykle, ani jedno doświadczenie nie pospieszyło z pomocą, cała wiedza, która mi zwykle tak dobrze służyła, nagle zniknęła. I w tę pustkę komisja zaczęła zadawać pytania.

Edith poznała nie tylko dokładną kolejność pytań egzaminacyjnych, opisałem jej również moją bezradność, gdy przyszło mi objaśnić tak elementarne procesy jak zmiana nitek i tkanie lnu. Spojrzenie w stronę Sonji Turk, szukające pomocy, nic nie ułatwiło, stała obok okna i uśmiechała się. Kiedy spytali mnie, jak powstają wzory, nie przeczuwałem, jak prosta była odpowiedź, której ode mnie oczekiwali: podczas gdy zrozpaczony próbowałem im wyjaśniać właściwość wzoru kręconego, ażurowego i plastra miodu, wesoła kobieta przerwała mi i spytała, w jaki sposób powstaje na przykład tkanina rypsowa. Nie przypuszczałem nawet, że chce usłyszeć tylko to jedno zdanie: „Przede wszystkim przez zmianę uderzenia”, ale mimo wszystko powiedziałem jej i zdziwiłem się, że zadowolona odchyliła się do tyłu. Nie musiałem dodawać, że rodzaj materiału i kolor odgrywają znaczną rolę przy powstawaniu wzoru. Nigdy przedtem nie czułem się tak idiotycznie jak podczas mego egzaminu mistrzowskiego; chwilami wydawało mi się, że jakbym utracił pamięć, tak, jak po wypadku, co miało ten skutek, że wszystko, co kiedyś wiedziałem, musiałem sobie teraz cierpliwym wysiłkiem, niejako po kawałku, znów przyswoić. Sonja Turk nie przestawała się uśmiechać, nawet wtedy, gdy nie potrafiłem podać w procentach strat powstałych wskutek kurczenia się juty i konopi, uśmiechała się właśnie tak, jak gdyby mój egzamin przebiegał po jej myśli. Ale potem, gdy moje wywody o technikach tkackich wypadły tak skąpo, że komisja zatroskana wbiła wzrok w podłogę – w tym właśnie momencie moja mistrzyni zaproponowała przerwę. Podała herbatę. Ja również dostałem filiżankę, w której pływały ognistoczerwone jagody, pękające już przy najlżejszym zetknięciu z wargami i wydzielające sok o pobudzającym działaniu.

Tak, opisałem też Edith, jak to po przerwie na herbatę komisja przesłuchiwała mnie na temat historii gobelinów, niezdecydowanie, ostrożnie, zapewne by nie narazić Sonji Turk na zbyt duże rozczarowanie,

i o tym, jak naraz komisja zaczęła słuchać z uwagą, gdy opowiedziałem więcej, niż to było konieczne: rozpocząłem od cesarza Justyniana, który wprowadził w Bizancjum tkactwo jedwabiu, wspomniałem o wczesnych kobiercach nordyckich, wprawdzie tylko z wełny, naśladowujących motywy bizantyjskie; porównywałem wyroby warsztatów paryskich z wybitnymi dziełami tkalni holenderskich, które w szesnastym wieku usunęły wszystkie inne w cień; niczego chyba nie pominąłem: ani kobierców ze scenami z rajów, ani szwedzkich kilimów chłopskich; zsuwając się coraz niżej ze wzgórz historii, przedstawiłem tendencje i tradycje tkactwa gobelinowego aż do pierwszej wojny światowej.

Komisja odwróciła się do Sonji Turk i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Potem zaczęła sprawdzać moje wiadomości z zakresu farbiarstwa, poprosiła mnie o wyliczenie zużycia materiału, nadto na domiar wszystkiego chciała wiedzieć, jak się tka przy pomocy rozdzielających kołeczków – posługiwałem się nimi z taką zręcznością, że komisja, niemal jakby chcąc się usprawiedliwić, powstrzymała mnie i podniosła się z krzesła. Podeszli do ściany, gdzie jeszcze pod pokrowcem wisiał biało-niebieski kobierzec weselny; miał on być oceniony jako moja praca mistrzowska; nie ja, lecz Sonja Turk ściągnęła płótna. Ponieważ wszystkie nasze dywany coś opowiadają, więc z początku nie dziwiłem się, że komisja stała tylko, patrzyła i słuchała; zacząłem się jednak niepokoić, gdy ta wzrokowa ocena przedłużała się ponad zwykłą miarę, a moi egzaminatorzy trwali w pozycji, która mogła oznaczać wszystko: zakłopotanie zarówno z powodu sukcesu, jak i klęski.

Nie wahałem się zakomunikować tego wszystkiego Edith; jak to komisja poprosiła mnie, bym wyszedł – widocznie, aby się naradzić – jak siedziałem na ławce w ogrodzie i spoglądałem na ujście rzeki, oszołomiony zapachem mrocznie połyskujących krzewów i roślin, które Sonja Turk czasami ostrzegawczo zaklinała. Czułem ogarniającą mnie miłą, zagadkową obojętność; jaki by nie był wynik egzaminu, chciałem go zaakceptować, wysłuchać spokojnie, nie czyniąc sobie wyrzutów.

Kiedy dali mi z okna znak, wszedłem bez pośpiechu do domu; w pracowni oczekiwała mnie komisja z nic nie mówiącymi twarzami, zastygła pięknie

w pełnej godności pozycji, i po krótkiej przemowie, z której nie zapamiętałem ani słowa – słowa bowiem kapały mi gdzieś do środka i rozpryskiwały się – a więc po krótkiej przemowie wręczyli mi podpisany już patent mistrzowski i złożyli gratulacje. Z tyłu ktoś przesunął mi ręką po włosach: była to Sonja Turk; próba objęcia jej nie udała mi się, gdyż pochwyciła moje wyciągnięte ramię i pociągnęła do biało-niebieskiego kobierca weselnego. Wskazała na moje inicjały – Z.R. i rzekła: – Tak podpisywać, dzieciaku, to dobre dla tych, co tego potrzebują, ty nie potrzebujesz, nie wszyscy muszą wiedzieć, że to akurat ty.

W listach do Edith wspomniałem też o tym, że mój dyplom mistrzowski wypisany był złotymi literami, że oprawiłem go w ramkę z wiśniowego drzewa i powiesiłem w sieni naszego domu, na wysokości oczu.

Rozczarowanie? Mówisz, że jeśli pisze się tak wyczerpujące listy, to każde fizyczne spotkanie musi rozczarować. Sądzę, że niekoniecznie, nie w każdym przypadku.

Ale widzę już, czego się domyślasz, z czym się liczysz, nie będziesz więc chyba zaskoczony, jeśli ci powiem, że cztery dni po egzaminie Edith faktycznie zjawiała się u nas w Łukowcu, bez żadnej zapowiedzi. Ni stąd, ni zowąd stała ze swą tekturową walizką w sieni i w ostatnim świetle dnia czytała mój dyplom mistrzowski – Edith z płonąłą twarzą, spocona, ze sznurem bursztynów na szyi – nieforemnych, ale szczególnie cennych dzięki siedemnastu wtopionym w nie owadom. Nosiła kolczyki, szlifowane w kształcie kropli bursztyny, w których też można było dostrzec uwięzione na wieki owady.

Objęliśmy się w milczeniu, po czym Edith otworzyła walizkę, wyciągnęła z niej drewniany świecznik, wiszący świecznik w formie krzyża, ozdobiony kolorowymi drewnianymi kołeczkami, na których umieszczone były świece; z ramion świecznika zwisały spirale z drutu, a na nich kołysały się malowane fantastyczne ptaki, jakby chwytające dziobem metalowe płytki w kształcie rombów, które obracając się nieustannie, chwytają światło i odbijały je jako ustokrotnione drobne błyski. Dla mistrza, powiedziała, a potem schyliła się i ze starej gazety odwinęła precel z warkocza: – No, a to

ten dawno obiecany dodatek, i to już wszystko. – Podniosła walizkę, jak gdyby jej odwiedziny się na tym zakończyły, ale zauważyłem, jak się ucieszyła z mojej radości, spokojnie i niezachwianie.

Najpierw zawołałem Eugena Lawrenza, a potem moją matkę; obydwójce podziwiali świecznik, dotykali go, obydwójce chcieli go natychmiast powiesić w pokoju, razem więc weszliśmy na górę i znaleźliśmy dlań miejsce nad rzadko używanym stołem. Edith została na kolacji; zapaliliśmy świece, a romboidalne metalowe płytki wirowały nieustannie wokół siebie, tak że nie tylko kakao, ale i wilgotny ser zaczęły migotać.

Matka? Co powiedziała moja matka o Edith? Nie rzekła wiele: zdrowa jest, grzeczna, zręczna też pewnie jest, tylko jak siedzi, to nie musi każdemu pokazywać, że nosi czarne majtki gimnastyczne.

Ale co to ja chciałem ci opowiedzieć? Conny, prawda; zaraz po jedzeniu wyszliśmy, bo Conny podobno na nią czekał; wziąłem jej tekturową walizkę i trzymając się za ręce poszliśmy przez nadbrzeżne ogrody, ciągnąc za sobą wachlarz chrabąszczy. Był jasny wieczór, na jeziorze kołysały się łodzie nocnych wędkarzy, na przystani, w budce klubu wioślarskiego, grali bezlitośnie ciągle tę samą płytę, przy świetle lampionów rzępolili „Ging-gang-gingli znad jeziora Bodeńskiego”.

Wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, było za każdym razem tylko powtórzeniem tego, co powiedzieliśmy już sobie intensywniej i obszerniej w naszych listach. Gdyby Conny rzeczywiście tak pilnie oczekiwał Edith, to musielibyśmy przejść przez duży drewniany most, a potem przez zabudowania nadbrzeżne, my jednak minęliśmy wejście na most nie zatrzymując się i poszliśmy niespiesznie w kierunku półwyspu, jakby zgodnie z milczącą umową. W trzcinie trzeszczało coś i skrzypiało, mimo bezwietrznej pogody słychać było jakieś szelesty, gdzieś z oddali dochodził śpieszny odgłos potężnych skrzydeł. Ten wachlarz jakby pijanych chrabąszczy: spadały na kark, wplątywały się we włosy... Stanęliśmy przed pomnikiem dowódcy Bośniaków, von Günthera; po

cokole piął się bluszcz, a z żelaznych prętów pod dotknięciem osypywała się łuskami rdza.

Pamiętasz? Tak, pamiętam. Przelazłem przez płot, postukałem w płyty, aż natrafiłem na tę, która dawała się wyjąć, bluszcz tak się w nią wczepił, że musiałem go odrywać. Z ramionami wyciągniętymi w przód przecisnąłem się przez otwór; uderzył mnie zapach pleśni. Podparłszy się lekko, nasłuchiwałem, macając przed sobą, i gdy Edith spytała: – Mam wejść? – powiedziałem: – Tak, chodź – złapałem ją w ramiona i przyciągnąłem do siebie.

Nie, zapasów Conny'ego już nie było, za to legowisko czy raczej jego resztki trzeszczały i szeleściły, kiedy je obmacywałem, przy każdym ruchu coś się rozpadało. Edith chciała, żebym nasunął z powrotem płytę na otwór – tekturowa walizka musiała pozostać na zewnątrz, a my z początku siedzieliśmy milcząc naprzeciwko siebie w absolutnej ciemności, siedzieliśmy po prostu i nasłuchiwalismy nawzajem swoich oddechów, przez długi czas żadne z nas nie odważyło się wyciągnąć ręki. Wysoko nad nami, zapewne w klatce piersiowej odlanego z brązu komendanta Bośniaków, huczały chrabąszcze, które dostały się do środka przez otwory oczu; ich bezładny, wściekły lot wprawiał metal jakby w ciche brzęczenie. Spojrzałem w górę i wydało mi się, że dostrzegłem odbłask małych, czerwono-brązowych chitynowych pancerzy i jarzące się skrzydełka – ale to chyba było złudzenie. A potem nasze ręce jak na umówiony znak spotkały się w ciemności, osunęliśmy się na posłanie Conny'ego, wyciągnęliśmy się na nim i po niedługiej chwili przyzwyczailismy się do szelestów i trzasków.

Kiedy się obudziłem – a oboje zasypialismy i budziliśmy się kilkakrotnie tej nocy – a więc, kiedy się za którymś razem obudziłem, odbiłem się ostrożnie od ziemi i wspiąłem boso w górę posągu, przecisnąłem się, pewnie oparty, wyżej, przez brzuch i pierś, i przeraziłem się: przez oczy komendanta Bośniaków wpadał wąski promień światła. Przywarłem do szczelin w oczach: nad jeziorem, niby ruchome wyspy, leżała poranna mgła; za zatoką koło Małego Grajewa wschodziło słońce – zapalało się już

w oknach więzienia, a przy ujściu rzeki dwóch mężczyzn wyciągało sznury na węgorza.

Zsunąłem się spiesznie, obluzowałem płytę i wpuściłem do cokołu poranne światło, ale zaraz musiałem ją znowu zasunąć, gdyż Edith zerwała się i zaprotestowała; uparła się ubierać po ciemku, a nawet więcej, poprosiła mnie, żebym „nie słuchał”, kiedy naciągała majtki gimnastyczne i sukienkę w biało-czerwoną kratkę. A później, kiedy weszliśmy do jeziora, żeby się umyć, poleciła mi „nie patrzeć” – co miało ten skutek, że jej chlapanie i parskanie pozwoliło mi stworzyć sobie jedynie jej przybliżony obraz. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że Edith zawsze się tak myła: parskając, piszcząc, bulgocząc; na zakończenie nabierała pełne usta wody i wypluwała ją łukiem. Skoro więc tak chciała, unikaliliśmy się wzrokiem, ale nie przeszkodziło to nam wracać trzymając się za ręce; znający naszą tajemnicę kolos o pustych oczach stał już w czerwonym blasku słońca. Tym razem poszliśmy przez drewniany most – przy próbach trafienia w pływające deski i kawałki kory odzyskaliśmy dawną swobodę.

Conny mieszkał w Zaułku Garncarzy, w małym parterowym domku nad jeziorem, należącym do jego dawnego mistrza Weinknechta. Ponieważ Edith nie miała odwagi wywołać go pukaniem o tak wczesnej porze, otworzyłem okno, które było tylko przymknięte, i przytknąłem palcami, aż Conny, który we śnie wtulił się w róg poduszki, obudził się i gapił na nas zdumiony, z niedowierzaniem. Nie podobała mu się nasza wesołość, fakt, że o tej porze pojawiliśmy się razem u niego, wzbudził w nim w oczywisty sposób podejrzenie. – No to wchodźcie, ale cicho. – Otworzył nam drzwi wejściowe, a my wślizgnęliśmy się do jego pokoju, pomogliśmy mu pościelić łóżko i siedząc blisko siebie patrzyliśmy, jak się golił, palił przy tym, a papieros wędrował mu zgrabnie z jednego kącika ust do drugiego. Zauważyłem, że obserwował nas w lusterku.

– Zygmunt, powiedział, tylko żadnych nowin przed śniadaniem. – Rzucił mi ostatnie wydanie „Gazety Łukowieckiej”, w której zamieścił wzmiankę o moim zdany egzaminie mistrzowskim, a sam wymknął się do kuchni, nastawił wodę i przygotował śniadanie, podczas gdy my rozglądaliśmy się

po jego pokoju, to znaczy milcząc zwracaliśmy sobie nawzajem uwagę na skromne umeblowanie, na nielitościwy bałagan, panujący w bieliźniarce, na fotografię Henryka Manna, którą Conny przypiął na ścianie obok biurka. Na biurku stało oszklone pudełko, które podarowałem mu kiedyś na urodziny: rzadkie rośliny mazurskie – widłak, żabieniec, rosiczka – zasuszone i naklejone na różowy papier. Na ścianie za biurkiem kobierzec przyjaźni...

W każdym razie śniadanie zjedliśmy razem; Conny siedział rozbawiony między nami, nie potrzebował nawet szczególnego wyczucia, żeby się zorientować, iż w stosunkach między Edith a mną coś się zmieniło. Nagle usłyszałem siebie pytającego: – Co byś powiedział, Conny, gdybyśmy tak wzięli ślub, Edith i ja? – I jak gdyby pytanie to wydało mi się w tej samej chwili zbyt ostrożne, dodałem: – Wszystko w końcu za tym przemawia. – Edith nie wyglądała na zbyt zaskoczoną: skuliła tylko ramiona i obiema rękami objęła mocno filiżankę z kawą; obydwójce patrzyliśmy na Conny'ego, który nie zgasił papierosa tak jak zawsze, to znaczy ścierając po prostu mały, żarzący się koniuszek: tym razem rozgniół niedopałek bez mała nielitościwie, wytrwale i tak energicznie, aż papier pękł. Wtedy wstał i podszedł do biurka. Wyciągnął szufladę, sięgnął do środka i położył przed nami błyszczący, splątany kawałek lanego ołowiu, pochodzący z ostatniego sylwestra, jakby drewniak czy też poszarpany kadłub łodzi, z którego sterczały trzy nierównej wysokości pogięte maszty. Położył to przed nami i zniknął w kuchni, skąd po chwili doszło do nas, jak coś szeptał. Kiedy wrócił – wiesz, co zrobił, kiedy wrócił? Pociągnął nas z krzesel, łagodnie naciskając zmusił nas, byśmy przybliżyli do siebie twarze – przy czym on sam też się przysunął – i kiedyśmy tak stali razem w pozycji spiskowców, pocałował nas oboje i powiedział: – Cieszę się, jeszcze nigdy tak się nie cieszyłem.

Ołów, pytasz? Lany ołów? Lał go podczas ostatniego sylwestra i pokazał nam na dowód, że pragnął tego, co teraz nastąpiło.

Potem zapukali Weinknechtowie, wnosząc półmiski z piernikami i z ciasteczkami kokosowymi i jakiś napój, który nazywali swoją specjalnością – była to wódka rozcieńczona herbatą, a mistrz Weinknecht

wzniósł toast za nasze zdrowie i zaofiarował się wydrukować nam bezpłatnie najpiękniejsze zawiadomienia o ślubie. Zdziwiła mnie spokojna pewność, z jaką Edith ustalała kolejność wydarzeń, od razu też wyznaczyła świadków: Conny'ego i Sonję; w każdym razie, zanim jeszcze nasi gospodarze wyruszyli do pracy, wszystko już było zaplanowane. Nawet jeśli to już znasz ze zdjęć albo z opowiadań, nie mogę pominąć opisu przygotowań, które były u nas niemal równie ważne jak samo wydarzenie, a najważniejsze było ostateczne potwierdzenie ślubu, które otrzymywało się przy pomocy główki kapusty. Na łukowieckim rynku kupiłem kapustę, dałem ją koniowi do nadgryzienia i zleciłem Eugenowi Lawrenzowi, by poszedł do Edith i wręczył jej główkę, co uczynił ze słowami: – Bardzo proszę, w naszym ogródeczku ktoś nadgryzł tę kapustę, ślady prowadzą tutaj. – Jak należało oczekiwać, Edith przyjęła główkę w milczeniu i ze zmieszaniem: było to ostateczne potwierdzenie.

Teraz należało wysłać zapraszającego na wesele, tak, do tego zadania pozyskaliśmy Simona Gayko; przystroiliśmy go szarfami, wstążkami i sztucznymi kwiatami, przypudrowaliśmy bośniacki smutek, malujący się na jego twarzy, do wyłogów marynarki przyczepiliśmy bukiet z rozmarynu i wręczyliśmy mu skórzaną torbę z zaproszeniami. Zaproszenia pisemne wręczał dopiero po wygłoszeniu zaproszenia ustnego, wierszem, jak należy:

*W ogrodzie Zygmunta rośnie
Tymianek i stokrotka,
Zygmunt już nie chce czekać,
Bo Edith taka słodka*

i tak dalej.

Eugen Lawrenz przybrał drzwi zielenią, wysypał sień drobnym piaskiem i skropił ją wodą, zebrał wszystkie buty, jakie tylko znalazł, wrzucił je do worka i ukrył worek w tajnej piwniczce, kapelusze zaś, wszystkie czapki i kapelusze, które były w domu, zgarnął razem i obwiesił tymi nakryciami głowy wieloramienny stojący wieszak, który zbił własnoręcznie.

Przepraszam, Martinie, nie zrozumiałem...

Aha, buty, pytasz, dlaczego chowano buty, a kapelusze wydobywano i wystawiano na widok publiczny. Czysty przesąd. U nas uważano, że jeśli ktoś potknie się o buty, skończy się to rozstaniem. Kapelusze natomiast uważano za symbol długotrwałej wspólnoty.

Ale muszę ci opowiedzieć o tym dniu, dniu mojego ślubu, kiedy to obudziłem się przed świtem i zgodnie z radą mojej matki natychmiast namoczyłem w wódce chleb dla koni, które tego dnia nie powinny były spokojnie biec przed bryczką; lekki opar alkoholu miał je uczynić ognistymi, samowolnymi i tryskającymi energią, a ich sztucznie wywołana narowistość miała z kolei dać okazję do prezentacji mego kunsztu poskramiania. Oczekiwałem przy płocie na wypożyczony powóz; dostarczył mi go pewien inwalida, zarozumiały furman, umiejący mówić tylko w sposób uszczypliwy; kiedy wszedł do domu, by zabrać się do darmowego poczęstunku, podszedłem do obydwu koni, klepałem je i głaskałem, podając na wyciągniętej dłoni skórki chleba nasączone alkoholem; klaczki meły je w zębach, kiwając głowami z lubością. Tym toczącym oczami kasztankom tak to najwidoczniej zasmakowało, że intensywnie obwąchiwały się nawzajem, mnie również chwytaly za ubranie, rozrywając mi niemal kieszeń marynarki. Na wszelki wypadek zawiązałem lejce na płocie na podwójny węzeł.

Posilony drugim śniadaniem, z bagażem w postaci błękitno-białego ślubnego kobierca, żegnany przez dodającego mi otuchy Eugena Lawrenza i po raz nie wiem który oczyszczony przez matkę ostrą szczotką, wyruszyłem po Sonję Turk, mojego ślubnego świadka. Koniki biegły szybkim klusem; tylko raz, za kamiennym mostem, ruszyły galopem, ale bez trudu zmusiłem je do zwolnienia kroku. Gdy Sonja podniosła się z drewnianej ławki, w szafranowożółtej bluzce, w błyszczącej aksamitnej spódnicy, gdy z niedbale wyciągniętą ręką pozeglowała ku powozowi, konie zaczęły kiwać głowami, grzebać w ziemi, szarpać wędzidła. Pomogłem jej wsiąść na kozioł, z uśmiechem wetknęła mi do kieszeni woreczek suszonych ziół, mocniej ścisnęła pod brodą wstążki kapelusza z szerokim rondem i rzekła: – Już to pod takim kapeluszem nic się człękowi złego nie stanie; no to jedziem się weselić!

W mieście coś się stało, coś szykowało się w Łukowcu – zbyt wielu mężczyzn ciągnęło w kierunku śródmieścia, kolumny w czarnych mundurach, z błyskawicami na wyłogach kołnierzy, tchnące nieobliczalną energią. Na szerokiej głównej ulicy udało się nam ich wyprzedzić; aby ująć im zupełnie, skręciłem w przecznicę i zamierzałem zjechać ulicą Dworcową ku kościołowi. Nagle jednak znaleźliśmy się pośród utworzonego przez nich szpaleru, mężczyźni w koalicyjkach, z nieprzeniknionymi twarzami tworzyli szereg od rynku aż do dworca; przed nimi stali ich dowódcy. Kasztanki szły jeszcze spokojnie. Przejeżdżając spoglądałem w twarze stojących, a choć ocieniały je daszki czapek, rozpoznałem ku memu zdumieniu niektóre z nich, twarze dawnych kolegów z klasy, niepozornego Masucha, Albina Jakubzika, tego drągala, ale rozpoznałem kilku nieporuszonych dowódców – Bilitzę, Henseleita, a nawet Struppka z firmy Struppek & Sausmikat, ze złotym sznurem i niedużym pistoletem u pasa.

Jednemu z niższych dowódców widocznie nie spodobał się nasz przejazd; może uważał to za profanację śmiertelnie poważnego szpaleru i jego celów, w każdym razie wyskoczył nagle z rozpostartymi ramionami na jezdnię, zdecydowany nas powstrzymać i skłonić do objazdu. Kasztanki stanęły dęba, wzniosłszy kopyta do skoku, i z tej pozycji ruszyły galopem. Powóz zaczął zarzucać. Wparłem się nogami w pochyłe oparcie na stopy, owinałem lejce wokół przegubów, szarpałem ku sobie rozgrzaną skórę, aż konie sapiąc wyrzucały głowy w górę rozpryskując wokół gęstą ślinę. Okute koła grzmiały po bruku, stare przydrożne kasztany zdawały walić się na nas, widziałem szafranowo-żółtą błyskawicę w ciemnych oknach sklepów, ale przede wszystkim widziałem, jak rozstępowała się szpaler, jak najpierw rzucili się w tył osobno stojący dowódcy, jak mężczyźni z tylnych szeregów skoczyli na chodnik, w bezpieczne miejsce, chroniąc się na schody i pod drzewa. Przegrzmieliśmy ulicą Dworcową jak huragan, rozmiatający nieruchome postaci na boki, zniszczyliśmy szpaler, zagrażając ludziom i wystawom, a gdy tak wzniecaliśmy panikę, krzesząc iskry spod kopyt, myślałem o swoim ojcu, o jego ostatniej drodze wśród gejzerów ziemi, póki granat nie trafił jego cudownych leków, a on sam przy pomocy tych pożytecznych substancji nie rozpląnął się w

wielobarwnym obłoku. Wolę sobie nie wyobrazać, jak mogłaby się skończyć nasza jazda, gdyby... ale właśnie wtedy zobaczyliśmy ten samochód.

Ujrzałem nagle ciężkie auto, zbliżało się do nas, czarne, pełne ludzi, z sześcioma czy siedmioma reflektorami z przodu.

Takiemu pojazdowi ustępuje się z drogi, resztką sił szarpnąłem więc lejcami, ale kasztanki nie usłuchały; rozochoczone alkoholem zdawały się znajdować przyjemność w rozruszaniu kamiennego szpaleru.

Widzieliśmy już zbliżającą się nieuchronnie katastrofę, gdy nagle od skraju ulicy podbiegał jakiś człowiek, wysoki mężczyzna w czarnym uniformie; jeden skok i dosięgnął wędzideł, pochwycił konie w pełnym galopie, ciało jego miotano się i huśtało, wynurzało i nikło, lecz kasztanki w żaden sposób nie mogły go strząsnąć, położyły wściekle uszy po sobie i próbowały stanąć dęba – jedna chwyciła go nawet zębami – ale nic im to nie pomogło. Swoim ciężarem i nieustępliwym silnym szarpaniem zmusił je do opuszczenia łbów, w końcu poddały się i zatrzymały, bijąc ogonami, na pozór obojętne, z bokami ciemnymi od potu.

Był to Toni Lettkow; mężczyzna, który zatrzymał nas tuż przed samochodem, był właścicielem ziemskim Tonim Lettkowem; na wyłogach kołnierza miał cztery gwiazdki, dwa razy tyle co Struppek, który nie wystawiał już w oknach swojego sklepu ubranek marynarskich, tylko czarne i brunatne mundury.

Zaraz, Martinie, zaraz się dowiesz; moja mistrzyni siedziała obok mnie z zamkniętymi oczami, trzymając rękę na sercu. Zeskoczyłem z kozła. Podeszedłem do Toniego; stał przed końmi oddychając szybko i skrobiąc je po spuszczonej łbach. Podniósł wzrok tylko na wysokość bukiecika mirtowego na wyłogu mojej marynarki i powiedział, zanim zdążyłem podziękować: – No i widzicie, co się mogło stać, wy weselnicy, pogromcy rumaków, zwierzęta są szlachetniejsze od takich jak wy, nie znoszą gorzały. Ale my was tego jeszcze nauczymy.

Nawet wtedy nie zdążyłem podziękować, bo z tyłu za Lettkowem otwarły się drzwi samochodu i spoza jego ramienia zobaczyłem wysiadającego mężczyznę w mundurze, na wyłogach jego kołnierza oprócz czterech gwiazdek lśnił srebrny galon. Był to Reschat, namiestnik z Łukowca, który siedział dotąd sztywno na tylnym siedzeniu i sprawiał wrażenie rozgniewanego nauczyciela, z zaciśniętymi ustami, cienką szczotką wąsów nad górną wargą i mocno oszlifowanymi binoklami, kryjącymi kolor oczu. Później spotykaliśmy wiele jego fotografii, wiszących w koszarach, szkołach i biurach, na wyłogach miał tam tylko gęsto splecione liście dębu. Reschat, zadziwiająco młody jak na swoją wysoką rangę, poszeptał z Tonim Lettkowem, widzę jeszcze przed sobą podłużne, sinoczerwone blizny na jego twarzy. Podszedł do mnie. W jednej ręce trzymał parę zamszowych rękawic, bawił się nimi, uderzając o nogawki bryczesów. – Chodź, Zygmunt – zawołała Sonja Turk – czas na nas. – Podniosłem na nią wzrok i w tym momencie Reschat uderzył mnie skórzanymi rękawicami w twarz, dwa razy, raz po razie, po czym jak gdyby nigdy nic wrócił do samochodu i dotknął pleców szofera: samochód ruszył, przetoczył się środkiem szpaleru, którzy utworzył się na nowo.

– Łajdus – rzekła Sonja Turk z nigdy dotąd nie okazywanym oburzeniem – trzykroć przeklęty łajdus.

Toni Lettkow zatroszczył się, byśmy mogli przejechać, opuściliśmy ulicę Dworcową i pojechaliśmy stępą spokojną okrężną trasą, którą nam opisał i która doprowadziła nas do kościoła Świętej Elżbiety, najstarszego kościoła w Łukowcu, gdzie w zwietrzałych ceglanych ścianach tkwiły szwedzkie, polskie i tatarskie kule armatnie; równomierne wypukłości, odznaczające się wyraźnie i spojone prastarym tynkiem, stały się z czasem częścią ścian nośnych. Przywiązałem lejce do jednego z tych głęboko osadzonych żelaznych pierścieni, które niegdyś służyły wiernym przybywającym konno, i zszedłem Sonję Turk z kozła, która mrucząc coś pogłaskała mnie po piekącym policzku, kreśląc przy tym znaki w powietrzu, jakieś zaklęcia czy przekleństwa.

Po wejściu do kościoła zapomniałem o całym upokorzeniu i groźbach; organista, miłośnik średnich oktaw, zatopił nas w strumieniach wody,

szliśmy przez ciemną szumiącą rzekę, po której pływały kwiaty. Ogarnęła nas swojska, spokojna siła, wabiły piszczalki, nagły skok w dół, do basów, przyprowadził o dreszcz; pastor Naguschewski, który oczekiwał nas przed ołtarzem, wydał mi się przyjaznym czarnym ptakiem, czekającym na pomyślny wiatr, by wznieść się w górę. Pozwolił nam rozpostrzeć mój błękitno-biały dywan weselny przed ołtarzem i pomógł Edith wejść na czarną gwiazdę, stanowiącą jego środek – pastor Naguschewski, o którym opowiadano, że w swoim samotnym, pełnym przeciągów mieszkaniu najchętniej słuchał walców i popijał czerwone wino.

Miał nam dać ślub; chcąc Edith i mnie postawić jakieś zadanie, nałożył jakieś brzemie, wybrał list św. Jakuba, ten ustęp, który mówi o tym, że człowiek staje się sprawiedliwy przez swe czyny, a nie tylko przez wiarę. Właśnie zamierzał przedstawić nam kilka przykładów sprawiedliwych czynów – przywołał najpierw, dziś jeszcze pamiętam, obraz człowieka, który zawodzi nie w obliczu wroga, lecz przyjaciela; właśnie kartkował katalog czynów sprawiedliwych, gdy wtem wzniósł się – nie mogę tego inaczej nazwać: wzniósł się śpiew na rynku w Łukowcu, ponad sześcuset mężczyzn śpiewało z uczuciem, żarliwie i pewnie chorał bojowy „Oddałem się...”.

Pastor Naguschewski uniósł twarz zaskoczony, słuchał przez chwilę i poprosił o zamknięcie okien, na co Sonja Turk pierwsza zaszeleściła sukniami, przeciskając się przez rzędy ławek, i przy pomocy pręta zamknęła kilka okien, przez co nie zagłuszyła wprawdzie całkiem śpiewu mężczyzn, ale jednak przytłumiła go na tyle, że znowu można było słyszeć głosy w kościele.

Zaczął tak prosto, skromnie i przaśnie, jak z książeczki ze złoconymi brzegami. Dowiedzieliśmy się, dzięki jakim czynom może stać się sprawiedliwy handlarz węglem, „prawdziwy pan mazurskiej zimy”, jak może dojść do tego piekarz i nadzorca więzienny, lekarz i pożyczający pod zastaw. Odpowiedź pastora Naguschewskiego brzmiała za każdym razem: – Łaska, nic, tylko łaska, bo ona prowadzi do ofiary, ofiara czyni sprawiedliwym, a kto jest sprawiedliwy, ten będzie także usprawiedliwiony – tak to mniej więcej brzmiało.

Naraz wtrącił się w to jakiś głos, zduszony, agresywny głos zagrzmiął z tuzina głośników, zawieszonych na drzewach, odbity rozedrganym echem. Edith przytuliła się do mnie, spojrzała wystraszona i zaczęła drżeć. Choć okna były zamknięte, każdy z nas mógł zrozumieć, czego żądał zduszony głos; była tam mowa o honorze i wierności, wzywano do ślubowania, do bezwarunkowego posłuszeństwa. Pastor Naguschewski spróbował jeden jedyny raz zagłuszyć mówcę, ale tylko na próbę; zrezygnował, gdy wielokrotnie wzmocniony głos żądał gotowości do zaufania stojącemu na czele, pójścia za nim, a w razie konieczności ofiarowania mu z radosnym sercem tego, co najcenniejsze, i tak dalej.

Pastor zbliżył się do nas, połową stopy stanął na błękitno-białym ślubnym kobiercu. – Moje dzieci – rzekł uśmiechając się rozpaczliwie – moje drogie dzieci – poczułem teraz oddech pachnący czerwonym winem i rozpoznałem sprane płamy z wina na kołnierzyku. – Poruszał wargami bez nadziei, że zostanie zrozumiany, bezdźwięcznie wymawiał pytania i stare formuły i choć to może zabrzmiało dziwnie, to jednak my wsłuchaliśmy się w jego bezgłośną mowę, odczytywaliśmy słowa z warg nie słysząc i bez wielkiego trudu odgadywaliśmy sens towarzyszącym im gestów. Podczas gdy na dworze ponad sześciuset mężczyzn powtarzało tekst, który mówca podawał zdanie po zdaniu, pastor Naguschewski uśmiechając się do nas udzielił nam ślubu. Gdy wychodziliśmy, organista rozpuścił wszystkie rejestry, tak że na chwilę organy pokonały głośniki...

Proszę, siostró, proszę wejść, pani nigdy nie przeszkadza, pana Witta już pani zna... Jak to miło, że przyniosła pani drugą filiżankę.

Wyczerpanie? Że mówienie mnie męczy? Wręcz przeciwnie, siostró Margaret, im większego ciężaru się pozbywam, tym staje się on lżejszy do zniesienia; wydaje mi się, jakbym rozdzielał siebie, jakbym wszystkim, którzy zrobili ze mnie to, czym jestem, oddawał ich część, właśnie tak, przy czym sam mam wrażenie, że coraz lepiej poznaję siebie. Nasze cechy mianowicie dopiero wtedy występują jasno, gdy oddamy wszystko, w czym inni mają w nas swój udział...

Nie, okno z powodzeniem może pani zostawić otwarte – wiem już teraz zresztą, skąd pochodzi ten szmer, odgłos, który brzmi, jakby rozdzierano kawałek jedwabiu: to opony na mokrym asfalcie.

Na razie nic mi nie potrzeba, dziękuję, siostró...

Pij, Martinie, napij się najpierw herbaty.

Ale o czym to chciałem mówić? Ślub, słusznie, nasz bezgłośny ślub; wsiedliśmy potem do bryczek i pojechaliśmy do domu, gdzie moja matka i Eugen Lawrenz sprawili nam niespodziankę: w ogrodzie nad rzeką zastawili stół weselny. Nikt nie miał odwagi usiąść; dwudziestu dwóch naszych gości musiało najpierw otoczyć stół, przyjrzeć mu się, nadziwić, nachwalić, wszystko obliczyć, z pewnością robili też w duchu porównania, ci nasi goście, którym Eugen Lawrenz wspaniałomyślnie polecał poszczególne potrawy, galaretkę z nówek i marynaty...

Przyglądałem się im, opanowała mnie naraz spokojna siła, wszystko się uciszyło – podobnie było tego dnia, kiedy to wspólnie z Conny'm pod siedmioma sosnami na zamkowej górze nacinaliśmy sobie wzajemnie skórę końcem noża. Możesz to nazwać odurzeniem, radosnym oszołomieniem, zapierającym dech. Wcale nie zauważyłem, że Conny'ego brakowało przy stole, nie miałem też czasu się zdziwić, gdy nagle wyszedł z domu, podbiegł do mnie i pociągnął za sobą między olchy. – Mistrz Weinknecht – powiedział szybko – gestapo go aresztowało, zdołał uciec z jadącej ciężarówki. – Tą wiadomością przepraszał za nagłe odejście.

Zasiedliśmy bez niego przy zsuniętych stołach, jedliśmy trzy godziny, smakując wszystkie potrawy, aż wniesiono ogromną blachę makowca i placka z kruszonką, nalano kawę z pożyczonych dzbanków; potem siedzieliśmy znowu, jedząc i pijąc, aż do kolacji, z uwagą przyjmując półmiski ze szpikowanym słoniną szczupakiem i smażonym węgorem, których dostarczyli rybacy z Baranów, po specjalnej cenie. Na sznurach, rozpiętych w różnych kierunkach, zawieszono płonące lampiony, w świetle papierowych księżyców, kołyszących się w wieczornym wietrze, podchodzili do nas pojedynczy goście, by nas „wdzięcznie ucieszyć”, jeden zaśpiewał piosenkę, inny zadeklamował wiersz, mistrz rybacki Dudej

wyciągnął na swoich skrzypkach pieśń Mazurów, a Eugen Lawrenz, jak się pewnie domyślasz, zaprezentował jedną ze swoich dziewięćdziesięciu dwóch historii o jeziorach.

Edith... Edith w dniu naszego ślubu drżała przez cały czas z zimna, trzęsa się mimo ciepłego powietrza, nawet gdy rozpoczęliśmy pierwszy taniec, na trawie, w dole nad rzeką, blask lampionów odbijał się w głębokiej wodzie – nawet podczas pierwszego tańca czułem, jak drży i tuli się do mnie; nie zmieniło się to i wtedy, gdy późnym wieczorem wrócił Conny i okrył ją ciepłym żakietem. Okręcał ją potem w tańcu kilka razy z rzędu, przy muzyce z gramofonu, ale chłód nie ustępował, chłód i niepokój; gdy tylko znalazła się przy mnie, brała mnie za rękę i szeptała: – Zimno mi, czujesz, jak marznę? – W końcu nie pozostało mi nic innego, jak zaprowadzić ją po cichu do łóżka; nie żegnała się wcale z gośćmi, a potem, gdy leżała już pod przykryciem, pod zimowym przykryciem, które troskliwie uklepałem, zawołała mnie do siebie i poprosiła, żebym jej wytłumaczył, co się z nią dzieje, dlaczego tak się trzęsie. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, zapewniałem ją tylko w kółko: – Będziesz szczęśliwa, Edith, będziesz szczęśliwa...

Pamiętam jeszcze, mój drogi, to było następnego dnia po naszym ślubie, jedliśmy potrawy pozostałe po weselu i mówiliśmy o uroczystości, siedzieliśmy w dziewięcioro w kuchni, a każdy jeszcze raz przywoływał przeżycia ubiegłej nocy, wyjaśniał, obracał na wszystkie strony owe wrażenia i obserwacje, które mają wartość tylko dla tego, kto przy tym był.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Conny wstał wzdychając; myślał, że będzie musiał przyjąć tylko spóźniony bukiet kwiatów; nie nasłuchiwalismy, co on tam robi. Jedliśmy i rozmawialiśmy dalej z przyjemnym uczuciem zmęczenia i beztroskim śmiechem, który bezustannie wywoływał Simon Gayko naśladowując zabawnie gości. Śmiech urwał się nagle, gdy Conny znowu się pokazał, pochylony, gwizdząc przez zęby i kołysząc jedną dłońią, jakby sparzył sobie palce; nie musiał nic mówić, tak wyraźnie było widać, że ma coś niezwykłego do zakomunikowania. Cicho stanął pośród nas, cicho oznajmił, że przyszedł

Bilitza, a z nim jakiś dowódca wysokiej, nawet bardzo wysokiej rangi, w czarnym mundurze, z liśćmi dębu i gwiazdą na wyłogach kołnierza. Dowódca brygady, jak kazał się nazywać. Poprosiłem Conny'ego, by towarzyszył mi do sieni.

Stali tam, przywitali mnie swoim pozdrowieniem, Bilitza i chudy mężczyzna o kościstej twarzy, który przeprosił, że przeszkadzają, i złożył mi na wszelki wypadek spóźnione gratulacje. Bilitza wyjaśnił, że dowódca brygady, profesor Melzer-Tapiau, przyjechał do Łukowca ze stołecznego Królewca tylko na jeden dzień, że słyszał o rzadkich eksponatach tutejszego muzeum ziemi mazurskiej, że szacowny gość nie chciałby odjechać nie obejrzawszy tego, o czym świadczy ta ziemia – dosłownie wyraził się nawet: o czym mówi i świadczy ta ziemia. Myśląc o dotacjach, które przekazywał regularnie Heimatverein, byłem gotów go oprowadzić.

Choć zauważyłem, że Bilitzy nie w smak była obecność Conny'ego, specjalnie poprosiłem go, by przyłączył się do nas i razem wyruszyliśmy na zwiedzanie drugiej kategorii, czyli skróconą wycieczkę po lasach i łąkach, jaką zaplanowałem sobie na momenty zniechęcenia czy zmęczenia. Nie musiałem prawie nic objaśniać; Bilitza nie dał sobie odebrać okazji i nie pytany podpowiadał dowódcy brygady nazwy, hasła i daty; znał się na tym, bez wątpienia, kilka ustępów z akt darowizn wygłosił na pamięć. Dowódca brygady nie dawał z początku poznać po sobie, czy zrobiło to na nim wrażenie, mierzył wzrokiem wszystkie przedmioty z nie zmienionym wyrazem twarzy, jakby zestawiał je z ustalonymi wzorcami i normami; uśmiechnął się jednak na widok mazurskich instrumentów muzycznych, bębna i diabelskich skrzypiec, z lekkim uśmiezkiem zapoznał się ze „zwierzętami ojczystej ziemi”, z naczyniami kuchennymi wystruganymi z drewna i moim zbiorem zabawek, co do którego wielu gości zapewniało, że jest najbogatszy i najbardziej znaczący w tej części południowo-wschodniego regionu. Profesor pochwalił zawartość „puszki z Sokółek” i zdobył się na podziw dla haftu szklanymi paciorkami. Bilitza, ze swoimi dwiema gwiazdkami na wyłogach kołnierza, potakiwał mu skwapliwie, podając ogień do trzeciego już papierosa.

Kiwając głową, Melzer-Tapiau zwiedził pokój z wystawioną bronią, zdjął ze ściany tok do kopii i sztylet, obrócił je pod światło i zdecydował: broń żelazna z grobu wandalskiego wojownika, ostatnie stulecie przed naszą erą. W sali z narzędziami dowódca brygady określił wiek drewnianego pługa i bez jednego błędnego ruchu uruchomił kołowrotek, po czym zapragnął kieliszka wódki. Pił bez widocznej przyjemności; omijał mnie i Conny'ego wzrokiem, wszystko, co miał do powiedzenia, mówił w kierunku Bilitzy, który, kierując się niewiadomą nadzieją, zainicjował tę wizytę – było to dla nas jasne. Ten, kto słuchał dowódcy brygady, musiałby sądzić, że to Bilitza, a nie ja, jest właścicielem i zarządcą muzeum, gdyż nie przekazywał mi żadnych pytań, na wszystko odpowiadał sam i jak się okazało, zajmowała go nawet przyszłość naszego muzeum.

W każdym razie po oprowadzeniu profesor czuł się zmuszony do podsumowania swoich wrażeń i zwracając się znowu do Bilitzy, zawyrokował: – Niewarte poparcia. – Nasze muzeum nie wydawało mu się tego godne.

Bilitza zdawał się wiedzieć od razu, co ten wyrok oznacza; przyjął go z gestem ubolewania, widocznie godził się z nim, a my z początku nie domyślilibyśmy się wcale, o co chodzi, gdyby Conny nie spróbował dowiedzieć się tego na swój sposób.

Zapytał mianowicie ze zdumieniem, czy nasze muzeum i wszystko, co się w nim znajduje, stało się nagle bezwartościowe, na co dowódca brygady potrząsnął głową i rzekł: – Nie stało się bezwartościowe, tylko w naszym rozumieniu nie jest godne poparcia. – A gdy Conny z udanym zdziwieniem zapytał, czego potrzeba, by coś zostało uznane za godne poparcia, dowódca zwrócił uwagę na „wzruszającą przypadkowość” naszych zbiorów, „brak tendencji” w podejściu do historii.

Po wychyleniu drugiego kieliszka ciągnął dalej: – Co z tego za pożytek, gdy gromadzi się znalezisko po znalezisku – rzeczy zyskują dopiero swoje właściwe znaczenie przez organizację, to znaczy, gdy zaczynają służyć jakiejś idei, jakiejś wielkiej myśli. Każdy wie, że nasi przodkowie

pracowali, walczyli, że pielęgowali swoje obyczaje; dowodzenie tego jest niemal zbyt cenne; chodzi o to, by znaleziska mogły posłużyć jako dowód, że Mazurzy czuli się zawsze forpocztą niemieckiej na Wschodzie. Znaleziska te nie mogą jedynie o czymś świadczyć, muszą też coś demonstrować, muszą agitować. – Profesor dał tu przykład: jeśliby odpowiednio połączyć ze sobą broń i narzędzia rolnicze, wówczas gotowość do obrony i przywiązanie do ziemi same przez się wyglądać będą na zjawiska łączące się w przeznaczenie. Bilitza dopytywał się skwapliwie, czy może tę uwagę traktować jako zachętę; otrzymał pozwolenie, a mnie dał znak, znak, który mówił mniej więcej: rozmówimy się później, wrócimy jeszcze do tego tematu. Z ulgą zwrócił się do profesora i spytał, czy nie można sobie zasłużyć na poparcie; otrzymał odpowiedź twierdzącą, choć pozbawioną zbytniego entuzjazmu.

Odprowadziliśmy ich do sieni, Conny delikatnie muskał w przejściu lalki w mazurskich strojach, głaskał je po policzkach, szczypał w piersi i pośladki, połaskotał w podbródek pszczelarza w łańchmanach, pochylającego się nad pierwszym podobno w kraju słomianym ulem, i mruknął tak, że tylko ja mogłem go zrozumieć: – Trwaj dalej dzielnie na przyczółku niemieckiej. – Zanim pożegnali nas tym swoim pozdrowieniem, Bilitza zapowiedział wkrótce nową wizytę, by – jak to wyraził – nadać muzeum formę, odpowiadającą „nowym czasom”. Zapowiedź ta musiała uczynić odpowiednie wrażenie, bo kiedy tylko umundurowani goście odeszli, Conny stanął nagle przede mną i rzekł: – Szkoda, że nie możesz się teraz zobaczyć, Zygmunte.

I zamiast wrócić do kuchni, gdzie wczorajsza uroczystość dostarczała wciąż jeszcze tematu do rozmowy i śmiechu, poszliśmy obaj do warsztatu. Conny zamknął drzwi, poczęstował mnie ogarkiem papierosa marki Sportstudent, objął ramieniem przez plecy i dopiero po długim wahaniu zdecydował się mówić. Ostrzegając mnie, po raz pierwszy wyraźnie ostrzegając przed otwarciem muzeum tym, jak się wyraził, „nowym jeźdźcom Wschodu”, którzy samowolnie uczynili go „przyczółkiem” i których ideologia zobowiązywała do widzenia we wszystkim walki, a w walce – okazji do sprawdzenia się. Conny uważał, że Bilitza i jego klika zrobiliby z naszego muzeum heroiczny cyrk, świątynię ideologii,

przeznaczoną do opiewania stałości, dumy i gotowości do obrony. Wyjął z kieszeni broszurę „Heimat-Jahrbuch” z roku 1933, wydaną w Łukowcu, i zaczął mi pokazywać zdjęcia: roześmiani oracze, uśmiechnięci rybacy i robotnicy, zatrudnieni przy robotach publicznych; z pracy uczyniono religię, szło się do niej z radością, z dźwiękiem rogu w uszach, jakby celem było zwycięstwo w bitwie. „Heimat-Jahrbuch” donosił rzeczywiście o potężnej „batalii pracy”, przeprowadzanej „zjednoczonymi siłami”, a każde stanowisko – zagajnik sosnowy, cegielnia, piaszczyste pole ziemniaczane czy zamglone jezioro – było uważane za pole bitewne; miejsca te dostarczały zwycięstw, zwyciężano także na froncie badań dawnej historii, rozgrzebując kurhany sprzed tysiącleci i pod każdym pagórkiem znajdując przysypane ziemią dowody niemczyzny, niemieckiej odrębności.

Conny odczytywał mi deklaracje, w których „panowie nowych czasów” oznajmiali swoje zamiary i, według „Heimat-Jahrbuch”, chcieli się mężnie rzucić w bój, bić się o Wschód, o świat; pewni swej niezwyklej siły obiecywali w niedługim czasie stworzyć nadzwyczajne stosunki na świecie. Zamierzali wreszcie zakładać komórki, tak zwane „komórki przeznaczenia”, które miałyby się łączyć lub rozrastać w nową wspólnotę narodową. Conny przewidywał, że pewnego dnia odkryją we mnie cennego sprzymierzeńca, stwarzającego odpowiedni nastrój, przygotowującego grunt, przypomniał mi, jak Heimatverein w Łukowcu ulegał nowym ideom i wyszukiwał sobie nowe cele; w każdym razie jego ostrzeżenie było uzasadnione.

Ale zostawmy to, mój drogi, chcę ci bowiem opowiedzieć, jak wkrótce musieliśmy zakończyć naszą ucztę z weselnych resztek, gdyż Edith znowu zaczęła się skarżyć na „postępujące zimno”, na brak czucia, i zanim jeszcze zapalono światło, zaniósłem ją na górę do sypialni, gdzie nie przestawała dygotać i szcząkać zębami nawet wtedy, gdy już leżała przykryta zimową kołdrą – w długiej do kostek płóciennej koszuli, pod ciężką górą puchu. Jakże była zakłopotana i zatroskana! Bezradnie prosiła mnie o wybaczenie. W końcu zapytałem o radę Sonję Turk, a moja mistrzyni poradziła mi – z wyrzutem, jak gdybym już dawno powinien był sam na to wpaść – poradziła mi zatem, by poddać Edith działaniu biało-niebieskiego

kobierca. Narzuciłem jej więc kobierzec na ramiona, więcej: zawiąłem, zasznurowałem ją, zrobiłem z niej egipską królową, odbicie władczej sztywności, a ponieważ ramiona miała mocno skrępowane, sam wlewałem jej do ust herbatę, którą zaparzyła Sonja Turk, a potem siedziałem przy niej i czekałem na zapowiedziany efekt.

Znienacka spytała mnie: – Co to będzie, Zygmunt, co będzie? – Byłem tak zaskoczony jej powagą, że zdobyłem się tylko na jakąś nieokreśloną odpowiedź: – Myślę, że będziemy szczęśliwi. – Siedziała zatopiona w rozmyśleniach, moja odpowiedź jej nie zadowoliła. Edith sprawiała na mnie wrażenie, jakby czuła się skazana na coś, na jakieś uczucie, jakąś postawę, albo też skazana na to, by od tej pory przyjmować coś ode mnie – nie wiedziałem dokładnie co. Spragniona jedynie pewności, szukała jakiejś nitki, której mogłaby się uchwycić w życiu. Po chwili rzekła nagłoco: – Opowiedz, opowiedz mi, co będzie.

Nie ustępowała, zmusiła mnie, bym odmalował jej obrazy lata, zatrzymane w ruchu sceny skromnego życia rodzinnego; pewny siebie fotografowałem naszą przyszłość i przedstawiałem to, czego pragnęła, ale ona chciała wiedzieć wszystko dokładnie: – Powiedz mi, jak będziemy mieszkać. – Zawiesiłem więc pod oknami skrzynki na kwiaty, kazałem powiewać firankom, wyścielałem izby dywanami, które utkałem zgodnie z jej życzeniem. Ale to Edith nie zadowoliło. Wyczarowałem więc zimę, ułożyłem przed drzwiami porąbane drwa, przypiąłem nam obojgu łyżwy i w jasnoszarym zimowym powietrzu pomknęliśmy na śpiewających płozach po jeziorach Łukowieckim, Selmęt i Sunowo; okrzyki rybaków łowiących pod lodem przebrzmiały już, a mróz wywoływał trzask zamrożonej powierzchni jezior.

– Ale tu, w domu, powiedziała, jak będziemy żyć w tym domu – opowiedz mi, Zygmunt. – Nie było rady: musiałem wymyślić dzień od momentu przebudzenia aż do pójścia spać, dzień, w którym panowała nieustająca życzliwość i którego punktem szczytowym były godziny po zakończonej pracy; siedzieliśmy wtedy i mówiliśmy o tym, co działo się podczas naszego rozstania, ja opowiadałem o warsztacie, ona o Cyganach, którym ze strachu podarowała świeży chleb. – Ale dlaczego, pytała, opowiedz,

dlaczego podarowałam im ten chleb – a ja, bez chwili wahania: – Bo nie chciałaś, żeby wróżyli ci z ręki, chciałaś się ich pozbyć.

Jeśli tylko milkłem, zebrała: – Dalej, opowiadaj dalej, teraz o dzieciach. – Dobrze, powiedziałem, a zatem najpierw o Pawełku. Tak więc w mej opowieści Pawełek wzrastał w ogrodach nad rzeką – na bosaka, opalony, z bardzo jasnymi oczami – mały wywiadowca i tropiciel śladów, który znał każdy ptasi krzyk i umiał odczytywać, czy ślad jest świeży; kazałem mu przebyć nieuniknione choroby i uczyniłem z niego małomównego, ale chwalonego ucznia, a Edith, oddychając szybko, słuchała moich projektów, widocznie zadowolona z wymyślonych imion i losów. Tylko kiedy wziąłem Pawła na naukę do siebie i chciałem wyuczyć na tkacza, zgłosiła wątpliwość i powiedziała: – Chyba na garncarza, Paweł jest przecież przeznaczony na garncarza.

W głowie mi brzęczało, świszczało i ćwierkało, miałem uczucie, jakbym stał pod masztem telegraficznym albo sam był jednym z wyblakłych od deszczu słupów, nad którym biegły szepczące przewody, głosy z oddali, które przekazywałem w jeszcze dalszą dal. Edith nie darowała mi zakończenia, ale jeszcze zanim kazałem Pawłowi osiągnąć pełnoletność, sama, nie pytana, stwierdziła z zaskoczeniem, że zimno ustąpiło i że przestała dygotać.

Przepraszam cię, Martinie, ale skończmy na dziś, czuję taki ucisk z tyłu głowy, dają mi się też we znaki skutki bezsenności; poprzestańmy na tym, dobrze? Ponadto nasuwa mi się teraz pewne wspomnienie, z którym sobie tak łatwo nie poradzę – wiesz: do pewnych wspomnień trzeba być w formie...

Nie, nie, poczuje się lepiej, jeśli przyjdziesz, może mi to tylko pomóc...

IX

Ale zrobiłeś oczy, co? Otwórz parasol i wstaw go do umywalki, może tam schnąć. Tak, pomyślałem sobie, że zrobisz oczy, jak mnie zobaczysz, siedzącego w łóżku z przyborami do pisania; ale pomyślałem sobie, że pora już zacząć spisywać, no wiesz, kompendium mazurskiej sztuki

tkackiej Sonji Turk, które niegdyś znałem na pamięć, prawie na pamięć, i, jak widzisz, na mojej pamięci można wciąż jeszcze polegać. Pierwszy rozdział „Powstawanie kolorów” jest niemal gotów – ze wszelkimi osobliwymi błędami, jakie robiła moja dawna mistrzyni: *Szlub między żółtym a niebieskim / wiąże kobietę mocno z domem / zielona łąka, zielony las / szezeńście i mleko nadejdom wraz...*

Później, później będę pisał dalej, kiedy znów zostanę sam.

Powtórz, Martinie... Mrok? Prehistoryczny zabobon? Nie nazwałbym tego tak; jednakowoż tym, co z pomroki dziejów oddziaływało aż po teraźniejszość, był stary, jaćwieski kult bogów, powściągliwa cześć dla bohaterów, której jeźdźcy Wschodu w czarnych i brunatnych mundurach bynajmniej nie tępil, lecz popierali i planowo przejęli. Chcę ci opowiedzieć o uroczystości przy Krupiszkowym kamieniu ofiarnym, o starym święcie dziękczynienia, ale z pewnego powodu, który wkrótce sam pojmiesz, musisz się jednocześnie dowiedzieć o podróży Conny'ego – o jego podróży do Kopic, na sławny koński targ w Kopicach, dokąd wysłała go redakcja „Gazety Łukowieckiej”.

Kamień ofiarny: wyobraź sobie zwietrzały granitowy stół, cztery osiemdziesiąt na trzy dwadzieścia, potężny, nierówny, na środku szerniały od siedmiu ogni – kamienna, sięgająca kolan płyta wysoko na zboczu opadającym ku rzeczce Marunie i otoczona przez trzynaście skrzypiących dębów, tworzących półkole. Tam właśnie wspinamy się o zmierzchu, w porze sów, trzydziestu albo i trzydziestu pięciu mężczyzn – wszystko członkowie Heimatvereinu, nadto kilku gości o tych samych zapatrywaniach, zaproszonych wyłącznie przez Bilitzę, który nosił czarny mundur SS.

Wielu mężczyzn było w mundurach, brunatnych albo czarnych, a kto nie należał ani do SS, ani do SA, ten miał na sobie przynajmniej jakąś sztukę garderoby w kolorze niebieskim, ulubionym kolorze Kurha, szcudrośliwego boga jaćwieskiego, zsyłającego bartnikom miód, rybakom sieje i stynki, a myśliwym płochliwą zwierzynę. W podniosłym nastroju wkroczyliśmy między drzewa – nadszarpięte przez czas i

pioruny, ale wciąż jeszcze żywotne dęby; przechodząc kładliśmy przyniesione dary na granitowy stół; był tam woreczek ziarna i słoik miodu, był srebrny kiełb i zajęcza łapka. Mimo iż było bezwietrznie, korony dębów kołysały się łagodnie; miałeś wrażenie, że coś się tu budziło, przychodziło do siebie: jakby stulecia otrząsały się ze snu, nasza mazurska przeszłość wstawała z odrętwienia wieków, aby udzielić swych nauk zebranyemu ludzemu – dorosłym mężczyznom, bez wyjątku żonatym i doświadczonym w swoich zawodach.

A teraz zostawmy ich tak trwających w nabożnym skupieniu, w zgodzie z miejscowym obyczajem, i pojedźmy z Connym przez granicę do Polski, do Kopic, gdzie na uginających się pod stopą łąkach odbywał się koński targ – targ magnetyczny, na który przyjeżdżali Litwini i Cyganie, a niekiedy nawet Belgowie i Holendrzy. Ściągali tu chłopcy, wojskowi i wysłannicy wielkich kopalni, którzy tuzinami zakupywali owe małe, kudłate koniki, wytrzymałe konie robocze, nadające się i przeznaczone do tego, by pod powierzchnią ziemi ciągnąć odkryte wagoniki z węglem. Przychodzili hodowcy i ujeżdźacze, dający wiele za rodowód konia, przybywali też liczni właściciele, którzy oprócz swojej szkapy przyprawiali ze sobą najstarszą, niezamężną córkę – obydwie z tego samego powodu wyszykowane, wystrojone i odstawione. Conny przechadzał się wzdłuż bud i namiotów, wysłuchiwał informacji zarządu targu, że w tym roku mniej koni niż w zeszłym wystawiono na sprzedaż, mianowicie tylko trzy tysiące osiemset, a potem poszedł dalej do boksów i wybiegów, gdzie mężczyźni w kapotach, z czapką naciśniętą na czoło albo kapeluszem zsuniętym na kark, sprawdzali uzębienie i oceniali chód, a na pierwszą ofertę ceny prawie zawsze reagowali zdaniem: „O, kochaniutki, co to, to nie!” Szyderczy śmiech i wymyślne obelgi przyciągały ludzi do wybiegu, na którym dwóch mężczyzn dobijało targu i najwidoczniej jednocześnie zabawiało się; mieli już swoją widownię: zachęceni aplauzem i śmiechem, przeciągali i wydłużali transakcję: podczas gdy grymaśny kupiec obchodził w kółko dobrodusznego watacha, licząc mu żebra i wymieniając wszelkie możliwe wady, wyśmiewał go i obrażał, sprzedawca siedział na belce, bawił się batem i wymyślał wyzwiska, od pomuchli do dzwońca, używając ze swej strony rzadkich polskich wyzwisk, które Conny notował

sobie, zachwycony i coraz bardziej zainteresowany osobą sprzedającego, który natychmiast przywiódł mu na pamięć pewnego znajomego mężczyznę z Łukowca.

Podczas gdy Conny zbiera materiał do artykułu, my znowu możemy stanąć pod kołyszającymi się dębami, obok członków Heimatvereinu, którzy, choć może nie oczarowani, to jednak pełni szacunku, gapili się na pięknie postrzępioną zorzę wieczorną w Krupiszkach, która przynosi z zachodu czerwień, z czernią i złotem, i wszystkim, co trzeba. Może nie uwierzysz, ale już samo to wspólne nasłuchiwanie wystarczyło, żeby coś odczuć, coś przeczuć, aby dostrzec pewien ruch, jakiś ukryty prąd; przebiegł nas dreszcz niby przyjemne uczucie chłodu i człowiek przygotowywał się do wysłuchania wyroku.

A potem wystąpił Bilitza, scharführer Bilitza; z przesadnie szerokiego mankietu rękawa wyłowił jakąś kartkę, upewnił się jeszcze raz pobieżnie co do jej treści, spoglądając gdzieś ponad nami czy też poprzez nas, sięgając wzrokiem Białegostoku albo Smoleńska, wyrecytował wiersz, który nazywał się, gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, „Niemiecka wiara” i zawierał tyleż samo pogroźek, co inwokacji. Następnie odśpiewaliśmy kilka pieśni, a potem jeden z żonatych mężczyzn podszedł do kamienia ofiarnego, wyciągnął woreczek z węglem drzewnym i ułożył węgiel w ten sposób, że otaczał koliście dary. Potrząsając dłonią polał wszystko spirytusem i na znak Bilitzy podpalił stosik; zza wznoszących się języków ognia ofiary ożyły, zaczęły się zwijać, pękać, wyciekać i barwić ogień. Kurho był życzliwie usposobiony, staropruski bóg, zsyłający innym dary, przyjął ofiarę, złożoną mu przez łukowiecki Heimatverein – ludzie z dużym doświadczeniem zawodowym, jak już mówiłem, którzy wbili sobie do głowy, że zbudują pomost między epoką przedchrześcijańską i współczesnością, przy czym baranek, ukrzyżowany baranek rycerzy zakonnych, został po prostu pominięty. Mogliśmy obserwować z bliska leniwe stapanie się ofiarnych darów; nikt nie odważył się odezwać.

A teraz wyobraź sobie znowu Conny’ego obok wybiegu, zachwyconego radosnym tumultem, porwanego pojedyńkiem słownym, który zakończył się dopiero wtedy, gdy kupiec wyraził gotowość przyjęcia litkupu, tak,

darmowego napitku, bez którego żaden interes nie był ważny. Przy aplauzie zgromadzonych kupiec i sprzedający podali sobie ręce, nowy właściciel poklepywał i głaskał wałacha, zerwał mu z grzywy plombę celną, a potem pociągnął zwierzę z wybiegu, to znaczy, próbował je przeciągnąć obok stojących koni i mężczyzn, którzy zgodzili się asystować przy ich występie. Nagle wałach spłoszył się, zarżał gniewnie i chciał ugryźć stojącego obok jabłkowitego konia. Skoczył i tak wierzgnął, że najniższa belka boksu roztrzaskała się i wyleciała z zamocowania. Conny nigdy się nie dowiedział, czy kopyto, które trafiło go w udo, należało do wałacha, czy do jabłkowitego; wprawdzie dosięgło go nie po najkrótszej linii i nie z całą siłą, ale jednak na tyle boleśnie, że upadł na ziemię, przezoiołkował i przez chwilę się nie podnosił. Były właściciel konia, krępy mężczyzna o siwych włosach, pomógł mu wstać i jak gdyby czując się odpowiedzialnym za wypadek, zaprowadził Conny'ego do wozu na kółkach, w którym mieszkał – równie przestronnego, choć nie tak krzywego i przeciążonego z tyłu jak wozy Cyganów, które stały osobno w rogu łąki.

Było tam posłanie, własnoręcznie zbite przez właściciela; mężczyzna pchnął lekko Conny'ego, by na nim usiadł, po czym zbadał mu udo, uciskając je systematycznie swoimi twardymi, brązowymi palcami. Podczas gdy skóra na udzie powoli zmieniała kolor, Conny spoglądał ponad karkiem mężczyzny na półkę, na której stała fotografia w owalnej ramce. Kiedy ten przykładał mu zimny kompres, Conny spytał o chłopca z fotografii, a starzec odpowiedział skwapliwie, że jest to jego brat, który podążał zawsze z biegiem potoków, strumieni i rzek, dopóki pewnego dnia nie rozpułnął się w rozpryskującej się, migotliwej ścianie wody, przypuszczalnie zniosło go na północ razem z potokami i rzekami. Conny uznał, że musi powiedzieć swemu dobroczyńcy, iż przypomina mu on pewnego znajomego nazwiskiem Bilitza, na co kupiec z Inflant, wiążąc mu opatrunek na kokardkę, zdumiony podniósł wzrok i oznajmił, że po ojcu nazywa się Andrzej Bilitza.

Nie pytaj, co myślał sobie każdy z zebranych, gdy na rozgrzanym kamiennym stole ofiarne dary rozpryskiwały się i zlewały ze sobą w wielobarwną, kipiącą masę, migotliwą ambrozję dla Kurha, którą ten

łaskawie spożył. Mężczyźni patrzyli wytrwale w ogień. Większość stała nieruchomo w lekkim rozkroku, z rękami zaciśniętymi luźno w pięści.

A potem na wezwanie Bilitzy udaliśmy się pod dęby. Ściemniało się. Bilitza mówił z zimną pasją, często przerywając, mówił o niebezpieczeństwach, jakie wietrzył, posługując się metaforami, które przemawiały nawet do znużonego słuchacza.

Przywoływał więc wizję nadciągającej ze wschodu straszliwej nawały, rozszalałego, lodowatego żywiołu ludzkich ciał, rozbijającego się u naszej granicy; słyszał już grzmot fal w oddali i wzburzenie w przestworzach, i wzywał nas, abyśmy zwarli ramiona, by powstało z nich jedno wspólne osłaniające ramię niemieckie – i tak dalej w tym duchu. Każdy z nas miał być jak mały szaniec, mała graniczna twierdza – dokładnie tak, jak byli nimi nasi mazurscy przodkowie – Jadźwingowie – tak więc Bilitza wezwał nas, abyśmy odegrali rolę strażników, strzegących granic, nie cofających się nawet przed potopem. Nie wahał się mówić o „wiośnie narodu”, o „ożywym źródle” przodków, i swym obrazowym językiem przepowiedział nam, że „dobry niemiecki miecz” wytepi wszystko, co spróchniało i chore.

Po tej przemowie, ująwszy się za ręce, zaśpiewaliśmy pieśń i chwilą ciszy uczciliśmy bohaterów – mimo woli pomyślałem o starym Wadolesie, który mnie niegdyś z miłości przebił mieczem – a ukoronowaniem tej uroczystej nocy był tuzin ognistych kół, które spuściliśmy w dół, po zboczu. Były to wysłużone koła od wozu, owinęte chrustem lub szmatami nasączonymi spirytusem; zapaliliśmy je i nadaliśmy im rozpęd, a płonące kręgi, wlokąc za sobą dziki, poszarpany tren ognia, popędziły z szaloną prędkością w dół zbocza, podskoczyły na nadbrzeżnej skarpie i wleciały z sykiem do rzeczki Maruny, pozostawiwszy po sobie słup dymu.

Tak, a teraz Conny, podpierany przez życzliwego handlarza koni z Inflant, może podjąć próby chodzenia w wąskim korytarzyku; okazało się, że kiedy obciążał normalnie stłuczoną nogę, ból wzrastał się tylko nieznacznie. Mimo iż mężczyzna kilkakrotnie dopytywał się o mieszkańca Łukowca, noszącego to samo nazwisko, otrzymywał jedynie nieokreślone

odpowiedzi, po prostu dlatego, że Conny, przy całej budzącej się w nim już pewności, ciągle jeszcze wzbraniał się uznać istnienie jakichś powiązań między dwoma mężczyznami o tym samym nazwisku.

Handlarz koni nie chciał go wypuścić, nie poczęstował kawą, tak więc siedząc pod obrazem Czarnej Madonny Conny dowiedział się, że przed wielu laty niejaki Andrzej Bilitza był najlepszym handlarzem koni na bagnistym obszarze Narwi; był to mężczyzna, którego przyniosło tu z Inflant, a który w swym otoczeniu kazał się tytułować rotmistrzem i z upodobaniem wprowadzał w rodzinie zwyczaje wojskowe.

Pewnego dnia rotmistrz wysłał dwóch najmłodszych synów, ośmio- i dziesięcioletniego, do miasteczka Rudy, gdzie odebrać mieli od jakiegoś dłużnika ostatnią ratę za konia, dziesięć złotych. Chłopcy jechali we dwójkę na koniu, starszy otrzymał dowództwo; przeprawili się przez siedem brodów, dotarli do Rudy i odebrali od dłużnika sztukę złota, której starszy brat nie schował do kieszeni czy do woreczka, lecz na wszelki wypadek wsadził do ust. W drodze powrotnej, podczas burzy, kiedy korony drzew gnąc się odskakiwały od siebie, a więc w drodze powrotnej źle ocenili bród, koń wpadł w głęboką wodę i porwał chłopców za sobą; ostrzegawczy okrzyk, który wydał starszy, już im nie pomógł. Wczepieni palcami w grzywę konia dotarli na drugi brzeg, wypluli wodę, ale złota moneta przepadła. Ponieważ starszy z braci wiedział, co go czeka, jeśli wróci do domu bez pieniędzy, zaczął nurkować. Pod okiem brata, w ubraniu, nurkował raz za razem na dno rzeki, obmacywał żwir i okrągłe kamienie, sięgał do jam raków, badał szczeliny, ostukiwał piaszczyste cypelki, dopóki nie stracił tchu i ostatkiem sił musiał wrócić do brzegu. Nie dał się jednak przekonać, by zaprzestać poszukiwań. Chciał jeszcze ostatni raz zanurkować, bliżej wartkiego prądu, i drżąc z zimna i strachu puścił trzymany kurczowo kawałek drzewa z rzeki i rzucił się w nurt; od tej chwili Andrzej Bilitza nie widział już więcej swego brata, a choć kompania saperów, powróciwszy z manewrów, przy pomocy bosaków i drągów przeszukała rzekę na długości dwunastu kilometrów, nie odnaleziono go.

A teraz chodź ze mną znowu pod legendarne drzewo, drzewo-symbol, chodź pod dęby, do ofiarnego kamienia z Krupiszek, na którym ledwie się jeszcze tli wąty ogieniek i wokół którego na znak scharfuhrera Bilitzy rozsiedliśmy się, by nakarmiwszy Kurha, spałaszować przyniesione ze sobą kotlety, udka i smażone ryby, z nieukrywaną łapczywością, a więc zgodnie z obyczajem ojców. Wymienialiśmy między sobą potrawy. Piliśmy – wprawdzie nie sycony miód z rogów albo z czary z kości czołowej, lecz wódkę z miodu, którą siorbaliśmy z emaliowanych kubków, ale dało nam to pojęcie o pradawnym pijaństwie. Zgodnie z obyczajem powinniśmy kontynuować staropruski obrządek, na który zebrali się żonaci mężczyźni, opowiadając sobie po uczcie bohaterskie historie, ale odurzeni wódką zeszliliśmy w rozmowie na anegdoty, przypominaliśmy sobie pierwszą miłość, robiliśmy grymasy, by pokonać zmęczenie.

Wreszcie niebo na wschodzie rozjaśniło się, jutrzienka w Krupiszkach, której obowiązkowo musieliśmy doczekać, dała popis nad horyzontem; podnieśliśmy się i powitaliśmy ją pieśnią, po czym pozbieraliśmy odpadki i ruszyliśmy wesoło w powrotną drogę. W pewnym momencie pojawił się koło mnie Bilitza, zadowolony z siebie i z przebiegu nocy, i przedstawił mi plan, który przewyższał chyba jeszcze to, co wymyślił profesor Melzer-Tapiau: chciał on oto stworzyć i urządzić muzeum pogranicza, wielkie muzeum pogranicza, jak je nazywał, powołane do tego, aby między rzekami Pisą i Piskiem dawać świadectwo „nieugiętej woli walki” narodu. Zwiedzający powinien mieć uczucie, że zstępuje w czasy ojców, powinien wyjść pokrzepiony przykładem „upartego trwania”. Miały mu w tym pomóc liczne odtworzone sceny historyczne – na przykład długotrwałe rokowania graniczne pomiędzy księciem Albertem i królem polskim Zygmuntem Augustem, które zakończyły się wbiciem wysokiego na trzy metry, ozdobionego herbami państw słupa granicznego.

Przede wszystkim jednak sceny zdobywania ziemi, kolonizacji, wojennych potyczek; chciał wiedzieć, czy gotów jestem służyć temu wielkiemu projektowi i wspierać go materialnie – co było jednoznaczne z tym, jak się wyraził, że moja „beztroska zbieranina” została by wchłonięta przez projektowane Muzeum Pogranicza. Chwilowo nie przyszło mi do głowy nic lepszego, jak udać niezdecydowanie.

Dobrze, a teraz przenieś się do ciasnego pokoiku redakcyjnego, w którym Conny na wysłużonym remingtonie wystukiwał z pasją wrażenia z międzynarodowego targu końskiego w Kapicach, gdzie przebywał jako specjalny wysłannik redakcji – stronę po stronie, potem zrobił piórem korektę i podsunął redaktorowi Kukiełce z prośbą o drugie czytanie. Kukiełka wyglądała na poruszonego, zaskoczonego i rozbawionego, ale w pewnym momencie opuścił manuskrypt na blat stołu i z powątpiewaniem pokręcił głową. Conny, który obserwował swego starszego kolegę przy czytaniu, stanął obok niego, przebiegł kartkę wzrokiem i najwyraźniej nie mógł znaleźć niczego, co by uzasadniało wątpliwości Kukiełki. Nawet wtedy, gdy uprzejmy redaktor wskazał na akapit, w którym jakby mimochodem ujawnione zostało pochodzenie Bilitzy, Conny wzruszył tylko ramionami i nie chciał albo też nie mógł zrozumieć, dlaczego ta wiadomość wymagała tak poważnego zastanowienia.

Wspólnie przerabiali tekst, odbierali mu jego bezpośredniość, zadowolając się ukrytą, ale wciąż jeszcze czytelną aluzją; w końcu Kukiełka uznał, że trzeba zanieść manuskrypt do Friedricha Maruhna: niech właściciel „Gazety Łukowieckiej” da swoje błogosławieństwo.

Friedrich Maruhn znowu wyjechał do Królewca, więc kiedy Conny wyraził gotowość przyjęcia całkowitej odpowiedzialności za tekst, Kukiełka skierował go do druku i własnoręcznie zaniósł na maszynę.

Wiesz, jak mi poszło z Bilitzą? Musiałem po prostu zobaczyć, jak będzie się zbliżał, jak zmieni postawę i na ostatnich metrach będzie wypróbował dwa różne rodzaje uśmiechu, i dlatego na długo przed umówionym spotkaniem, to znaczy przed jego zapowiedzianą wizytą, obserwowałem przez lornetkę drogę w kierunku kamiennego mostu i ruch na samym moście. Zapowiedział tę wizytę, by razem ze mną dokonać przeglądu muzeum i obchodząc je z wolna wyznaczyć i wciągnąć na listę wszystkie te eksponaty, które w jego pojęciu miały dostateczną siłę świadczenia i godne były tego, by znaleźć miejsce w planowanym przez niego muzeum pogranicza. Tak, ostrość lornetki przybliżała przedmioty i twarze, i oto zamiast Bilitzy nagle rozpoznałem Edith, która z koszem na rękę wlokła się od drzewa do drzewa – Edith, z przekrzywioną chustką na

głowie, ciężko oddychająca; zanim odłożyłem lornetkę i wybiegłem na dwór, zobaczyłem jeszcze, jak obok niej przemknął motor, zahamował, zawrócił i powoli podjechał z powrotem: był to Conny, podwiózł ją do domu.

Przywiózł Edith do nas i kiwając głową obserwował troskliwość, z jaką moja matka, jeszcze zanim zorientowałem się, o co chodzi, pociągnęła Edith do swego pokoju. Ja z Connym poszliśmy do warsztatu, żeby poczekać tam na Bilitzę, który się spóźniał. Pamiętam jeszcze, że podczas gdy ja niecierpliwie wyglądałem na ulicę, Conny siedział na warsztacie i bujając w powietrzu nogami, mówił spokojnie i dobitnie, z tą pewnością, która zawsze go cechowała – słyszę jeszcze, jak powtarzał swe ostrzeżenia i zaklęcia: – Nie idź na to, Zygmunt, nie stań się ich dostawcą. Istnieją rzeczy, których niewinności nie możemy udowodnić, i do nich należy muzeum stron ojczystych: mimo woli budzi ono narodową pychę. A cóż dopiero muzeum pogranicza: to już coś więcej niż święta naiwność, więcej niż dylemat, gdyż urządzi je i umebluje szowinizm, a zarozumiałość napisze dzieje na nowo, zależnie od potrzeb. – Przemawiając tak Conny sam wpadał w coraz większe rozgoryczenie, bębnił obcasami o nogę stołu, zdania stawały się coraz krótsze, brzmiały coraz bardziej bezradnie, a chwilami coraz groźniej. Byłem zdumiony gwałtownością, z jaką odrzucał ideę muzeum pogranicza – dziwiłem się i przyznawałem mu rację, gdy oświadczał: – To będzie kapliczka przesądów, wojna wypowiedziana przy pomocy znalezisk, zgoda na przyklaskiwanie obłudowi obyczaju, który nigdy jeszcze nie zadowolił się tym, co już posiada, ale ciągle powołuje się na dawne roszczenia...

Wiedziałem o tym, Martinie, ten osąd zgodny jest z twoimi uczuciami, to twój własny język...

Ale chciałem ci jeszcze opowiedzieć, jak Conny ponownie mnie zaklinał, abym w żadnym wypadku nie poparł planu Bilitzy czy wręcz zezwolił na to, aby nasze zbiory zostały wchłonięte przez muzeum pogranicza. Póki co, jesteście jeszcze instytucją prywatną, powiedział, a wszystko, co prywatne, może liczyć na tolerancję; ale jeśli wasze eksponaty dostaną się raz pod dozór narodowych strażników, stracą cały swój prywatny

charakter i staną się bronią, tak, tu na granicy staną się narodowymi relikwiami.

Bilitza spóźnił się już ponad godzinę. Conny nie mógł dłużej czekać, gdyż musiał udać się do ratusza na otwarcie konkursu, który miał wyłonić „najpiękniejsze miasto niemieckiego Wschodu”. Na odchodnym wyliczył, czym jego zdaniem mógłby Łukowiec zasłużyć na nagrodę: nasze łabędzie powinny nosić Krzyż Żelazny jako insygnia, we wszystkich oknach powinny powiewać czarno-biało-czerwone firanki; wszystkie zwierzęta domowe musiałyby się nauczyć hitlerowskiego pozdrowienia, a z każdego pomnika w mieście powinno emanować wezwanie, aby kierować wzrok na wschód.

A teraz udaj się ze mną do łukowieckiego ratusza, gdzie w małej sali posiedzeń zebrało się grono zainteresowanych, przybyłych tu, by wysłuchać, jak Bilitza, w wesołym nastroju, ogłaszał warunki konkursu.

O wizycie u mnie zapomniał. Mówił z emfazą, obiecująco i pewny zwycięstwa; przed jego oczyma roztaczał się obraz radosnego współzawodnictwa, rozgrywanego ambitnie po pracy; w jego wizji obwieszano domy wstęgami i proporcami, przed melancholijnymi dworcami sadzono grządki tulipanów, miotły z chrustu biczowały wietrzne place targowe, drzwi domów i framugi okien mogły posmakować lakieru, miasta dodawały sobie niedzielnego blasku, a wszystkie te i inne zabiegi po to tylko, aby pokazać jednoznacznie, na czym polega różnica między nami i tymi z drugiej strony granicy. Udało mu się zarazić większość tą swoją ufnością, gdy do sali wszedł Conny; gestem przeprosił mówcę i zmierzał do wolnego krzesła; prawie już do niego dochodził, gdy nagle podniosło się dwóch mężczyzn, którzy zastąpili mu drogę i dali do zrozumienia, że jego obecność w tej sali jest niepożądana i dobrze by zrobił, gdyby natychmiast zniknął. Conny wyciągnął na to swoje zaproszenie, co nie zrobiło na tamtych żadnego wrażenia; pociągnęli go w kierunku drzwi, wypchnęli na korytarz, udzielając mu przedtem ostrzeżenia.

Bilitza przerwał swoją przemowę, wpatrywał się w powracających na miejsce mężczyzn z takim napięciem, że ci poczuli się zmuszeni udzielić mu wyjaśnień; przez chwilę naradzali się szeptem, w końcu jeden z nich wysunął się na przód sali i położył na mównicy egzemplarz „Gazety Łukowieckiej”, uderzywszy grzbietem dłoni w zakreślony akapit. Bilitza odsunął gazetę na bok, widocznie chciał odłożyć lekturę na później, lecz w tym momencie odkrył nagle swoje nazwisko i zaczął czytać; wczytywał się w artykuł, nie troszcząc się o zgromadzone towarzystwo, które czekało mierząc go wzrokiem z rozmaitymi uczuciami; niektórzy utrzymywali potem, że jego twarz zrobiła się biała jak ściana, a usta nie mogły się zamknąć.

Pewne jest, że przeczytawszy kilkakrotnie zakreślony tekst usiłował coś wyjaśnić, ale to mu się nie udało – do zgromadzonych dotarło tylko parę zduszonych dźwięków – a potem wszyscy byli świadkami, jak Bilitza, niby w transie, lunatycznymi ruchami nałożył czapkę i pożegnawszy się poszedł w kierunku drzwi, przez które niedawno przemocą wyprowadzono Conny'ego, co skłoniło niektórych do przypuszczeń, że chciał go zawołać z powrotem.

Bilitza bez pośpiechu opuścił ratusz, zszedł nad jezioro i siedział tam chwilę na ławce; później widziano go w mieście i na grobli, jeszcze później przy wodopoju dla koni, poniżej majątku. Pod wieczór pojawił się w lasku koło Borku, gdzie ludzie z Małego Grajewa karczowali pniaki; nie odpowiadał na powitanie, często się zatrzymywał, jakby studiował poszarpany splot korzeni; uderzająco długo wpatrywał się w kilka skupisk drzew, stojących poza obrębem lasu. Wspiął się na górę zamkową i usiadł na kamiennym murku, który wznieśliśmy kiedyś razem z Connym; dwie z siedmiu sosen, pod którymi znajdowały się niegdyś nasze prywatne cmentarze, zabrała burza.

Gdy tylko podjął decyzję, opuścił w ciemnościach górę zamkową, powrócił jednakże o świcie, w mundurze, niosąc na plecach worek z narzędziami: była tam piła, siekiera i drewniane kliny. Zabrał się do roboty; nadpiłował jedną z potężnych sosen, tak jak wymagał tego wyliczony kierunek padania; wpuściwszy w naciąg kliny, piłował dalej, z

rozważą i całkowicie opanowany przed tą niesamowitą decyzją, którą podjął w stosunku do siebie samego – możesz ją nazwać wyrokiem.

W każdym razie nigdy przedtem i nigdy potem nikt nie skazał się na to, na co uznał za konieczne skazać się Bilitza. Często próbowałem wyobrazić sobie, jak wyczerpany piłowaniem lustrował pochylony, spękany, cały w bliznach, ale w górze lśniący jedwabiście pień sosny; często myślałem, jak on tam pracował w świetle wschodzącego słońca, ponad jeziorem, masywem lasu i dalekimi, starannie uszeregowanymi poletkami. Jakże często stawiałem się na jego miejscu: po raz ostatni uderzałem w klin, czułem drzenie, przebiegające pień, skakałem możliwie szybko w kierunku jego padania, odwracałem się i spoglądałem na walące się drzewo: zieleń, świszczący pęd powietrza, uderzenie, ciemność.

Znaleźli go jeszcze tego samego dnia; podobno żył jeszcze kilka godzin po tym, jak sosna powaliła go i przygniotła...

Nie wiem, Martinie, ale są rodzaje śmierci, przed którymi czuję mimowolny respekt; ta śmierć do nich należy. Pasuje ona zresztą do Bilitzy, jeśli weźmiesz pod uwagę, kim był i o jakim głośnym ekscesie marzył w swej ograniczoności. Ale zostawmy to. Wspomnienie o nim napisał nie Conny, a nauczyciel Henseleit, następca Bilitzy na stanowisku przewodniczącego łukowieckiego Heimatvereinu.

Conny tymczasem nie pisywał już do naszej gazety; po pogrzebie, na który by poszedł, gdyby nie odradził mu tego Kukielka, został wezwany do biura Friedricha Maruhna. Właściciel gazety przyjął go kawą i koniakiem oraz nie szczędził wymruczanych raczej niż wypowiedzianych słów uznania; następnie z pełnym zaufaniem do Conny'ego rozwodził się nad położeniem gazety, a to znaczy: nad swoimi trudnościami w czasach, kiedy czynniki miarodajne życzyły sobie „ujednoliconych tekstów”. Friedrich Maruhn dał do zrozumienia, że nie miał zamiaru zwalniać Conny'ego z wszelkich obowiązków redakcyjnych, jednakże okazał się bezsilny wobec żądań, które mu postawiono. Ponieważ nauczył się osobiście cenić Conny'ego, zaproponował mu, by pozostał nadal w

gazecie, przechodząc tymczasowo do drukarni; podkreślił, że zajęcie to miało być tylko tymczasowe.

Conny zrezygnował z przysługującego mu czasu do namysłu i przyjął ofertę natychmiast, przybijając ręką na zgodę, pewny, że chodzi tylko o przejściowe zarządzenie, wymyślone specjalnie ze względu na niego, i kiedy oznajmił nam te zmiany, mieliśmy wszyscy wrażenie, że jest mu to nawet na rękę – może też dlatego, że w skrytości ducha żywił nadzieję, iż kiedy przepracuje jakiś czas w drukarni, przestaną go zagadywać o Bilitzę, które to nazwisko starał się w miarę możliwości zapomnieć.

Słucham? Nie, Martinie, pomysł muzeum pogranicza tym samym jeszcze nie upadł, nadal był aktualny, podejmował go co jakiś czas następca Bilitzy, jakkolwiek już nie z taką samą pasją, ale raczej automatycznie i regularnie jak nieunikniony obowiązek, niby dziedzictwo, które jak wszystko, co raz pomyślane i podjęte przez innych, trwało żywotnie, szczególnie u nas na granicy, w tej krainie cieni. W każdym razie nawet jeśli Henseleit przejął ideę muzeum i na każdym zebraniu łukowieckiego Heimatvereinu poddawał pod dyskusję, sam chwilowo się u nas nie pokazywał, aby wyznaczyć broń i narzędzia, które nadawały się, jak sądził, do tego, by je wystawić w wielkim muzeum pogranicza, gdzie by „dawały świadectwo”, jak to nazywał niegdyś wuj Adam.

Było mi na rękę, że plan Bilitzy został odroczonej albo przynajmniej nie był realizowany tak gorliwie. Z radością witałem w tamtym czasie wszystko, co pozostawało w zawieszeniu i nie musiało być od razu rozstrzygnięte, gdyż właśnie urodziło się nam dziecko, i przynajmniej jeśli o mnie chodzi, to czułem, jak ono nas odmieniło i na co musieliśmy się zdobyć, aby poradzić sobie z nieoczekiwanymi zmianami...

Nasze dziecko: jeszcze zanim się urodziło, ustaliliśmy, że będzie się nazywał Paul; Paweł, Maluch, Drobiazg, ale kiedy ujrzałem go po raz pierwszy – pomarszczonego, z grubymi udami, sinego od wściekłego krzyku – lekko się przeraziłem i mimo woli pomyślałem o innych imionach – Wolf albo Robert, nawet Wolfdietrich. Przyzwyczajaliśmy się nazywać go Pędrak, tak nazywaliśmy też wyrosnięte w swawolne kształty

faworki. Pędrak spał i krzyczał, rządził nami przy pomocy swych potrzeb, moje znaki i dotknięcia kwitował czasami pustym spojrzeniem, niekiedy wytrwale rzucał głową, jak gdyby tym gestem odmowy chciał zawczasu pokazać, że nie przyjmie niczego bez sprawdzenia.

Edith była oczarowana. Godzinami siedziała u jego kołyski, wymalowanej w róże i ptaki, będącej eksponatem muzealnym. Jeśli tylko podnosiłem Pawła, zaczynała drżeć, a potem cicho protestować; stawała się niespokojna, choćbym tylko wycierał mu niteczki mleka koło ust albo uwalniał od bąbelkowej śliny. W bezmyślnej, starczej twarzączce Pędraka odkrywała procesy, niedostępne dla innych. Swoje spostrzeżenia wpisywała do zeszytu, ozdobionego różową kokardą. W tym okresie Edith zaczęła się ode mnie oddalać: kiedy niespodziewanie wchodziłem do jej pokoju, przestawała coś szeptać, odrywała się od Pawełka, spoglądając na mnie niemile zdziwiona; zakłócałem tylko to czułe sprzysiężenie, skierowane najwidoczniej przeciwko mnie. Nowinki, które przynosiłem z pracowni Sonji Turk, zdawały się jej nie interesować, wręcz do niej nie docierać; często spokojnie się odwracała i zostawiała mnie, stojącego i mówiącego dalej.

Musisz wiedzieć, że razem z Sonją pracowaliśmy wówczas nad naszym największym zleceniem, naszym pierwszym wspólnym zadaniem. Miał to być reprezentacyjny kobierzec urodzinowy, niezwyklej rozmiarów, który zamówił osobiście Toni Lettkow; osobiście chciał go odebrać i wręczyć w prezencie tak zwanemu gauleiterowi Królewca; nasze dzieło miało dać jemu i jego gościom wyobrażenie o kolorach i formach mazurskiej sztuki tkackiej.

Było to zlecenie terminowe; na kobiercu musiały się znaleźć zamówione symbole – cztery wirujące tarcze słoneczne – a koniecznych uzupełnień mogliśmy dokonać sami z Sonją, i po niezliczonych próbach moja mistrzyni zdecydowała się na przepiórki i tancerki oraz stylizowaną grupę drzew, za którą można było rozpoznać ucho. Nie pracowaliśmy ze szczególnym entuzjazmem, ale skoro Sonja Turk raz przyjęła zlecenie, nie było już dla nas normalnego fajrantu; pracowaliśmy przy sztucznym świetle, niekiedy wracałem do domu dopiero przed północą.

Edith zdawała się nie odczuwać mojej nieobecności; kiedy wyjaśniałem jej powody mojego spóźnionego powrotu do domu, przeważnie patrzyła na mnie nie rozumiejąc i zwracała się znów ku dziecku. Była przekonana, że Paweł rozpoznaje ją i że swym skierowanym w przestrzeń uśmiechem odpowiada na jej czułości; niestrudzenie próbowała wymusić u niego jakieś reakcje, na przykład przesuwając mu przed jego szarymi oczami pluszowego misia, osiołka i kolorową celuloidową kaczkę.

Nie, nie, Martinie, zakończyliśmy naszą pierwszą wspólną pracę jak najbardziej w terminie, my sami byliśmy z niej całkiem zadowoleni; na wiadomość od Sonji, z majątku przyjechali bryczką jacyś ludzie i odebrali dzieło. Byli zachwyceni, porwani, sądziliśmy więc, że nasza praca znalazła ich uznanie i pojedzie do Królewca, aby zostać przekazana tak zwanemu gauleiterowi na urodziny.

W siedem dni później przez łąkę do suszenia wełny podjechało do domu dwóch jeźdźców; jechali nie zważając na leżące barwne zwoje, dwóch mężczyzn w czarnych mundurach, z brązowymi odznakami na piersiach, przedstawiającymi jeźdźców w obramowaniu liści dębowych. Wyszliśmy z pracowni i oczekiwaliśmy ich przed domem; oni tymczasem przesadzili żywopłot, jeden z nich przeciął sznur, i zwinięty kobierzec spadł w piasek. Nie mówili nic – chociaż nie, jeden z nich powiedział: cygańska hołota, cwaniaki, i to było wszystko, po czym obaj nieznanymi jeźdźcami odjechali w kierunku rzeki.

Zanieśliśmy dywan do domu i im dłużej go oglądaliśmy, tym trudniej przychodziło nam oddzielić pracę moją od Sonji, tym bardziej niezrozumiałe wydawało się nam też niezadowolenie zleceniodawcy i afront, jaki nam wyrządzili, rzucając naszą pracę w piach.

Dokładnych powodów zwrócenia kobierca – jeśli w ogóle można to nazwać zwróceniem – nigdy nie poznaliśmy; jednakże później doszły nas potwierdzone wieści, które uczyniły to odrzucenie zrozumiałym: zgodnie z nimi, tak zwany gauleiter w trakcie pewnego przyjemnego wieczoru, gdy nastrój osiągnął już dość wysoką temperaturę, odgryzł jakiemuś zaprzyjaźnionemu panu ucho...

Słusznie, Martinie, to ucho, wyłaniające się na naszym kobiercu z za stylizowanej grupy drzew, mogło być odczytane jako aluzja do owego wieczoru...

W każdym razie otrzymaliśmy nasze wspólne dzieło z powrotem, bez odszkodowania; w milczeniu siedzieliśmy przed nim, nie tyle zmartwieni, co zamyśleni, pamiętam jeszcze, jak nagle moja stara mistrzyni położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała: – Niczym, Zygmunt, jesteśmy niczym bez naszych powiązań z rzeczami, czy to będzie gwiazda, czy drzewo życia albo przepióreczka, nigdy nie jest za wcześnie, żeby to wiedzieć. Dlatego weź go i zanieś swojemu Pędrakowi; niech wypróbuje, mały łachudra, czego się może dla siebie z czasem nauczyć, niech dostrzeże różnice, niech się uczy widzieć i znosić to, co go otacza – może powoli pojmie, że nic nie staje się prostsze, nawet jeśli się bardzo oddali.

A potem Sonja Turk pomogła mi związać kobierzec i pożyczonym ręcznym wózcikiem zawiozłem do domu największy podarek, jaki Pawełek otrzymał kiedykolwiek w swoim życiu, i który, zmuszeni jego niezwyklejmi rozmiarami, musieliśmy powiesić w warsztacie, gdzie zajął niemalże całą ścianę.

Nie wiem, czy uwierzysz: już za pierwszym razem, kiedy Edith przeniosła powoli Pędraka przed jego kobiercem, zapiszczał z radości na widok przepiórek, przestraszył się natomiast trzech białych tancerek, kroczących po zielonej równinie, a kiedy wziąłem od niej dziecko i przechodziłem z nim wzdłuż utkanych obrazów w ten sposób, że musiał je odbierać jak film, zaskoczył nas swymi zawsze jednakowymi reakcjami: piszcząc sięgał do przepiórek, wymachiwał rączkami, chcąc objąć je za szyję; przed tancerkami chował twarz i sapał, jak gdyby na piersi kładł mu się jakiś ciężar. Raz, gdy stanąłem przed przepiórkami i przysunąłem Pawła blisko do nich, usiłował złapać ptaki za głowy i wpakować sobie do buzi; kolejne próby coraz bardziej go niecierpliwiły i nagle zaczął tak krzyczeć, że zrobił się siny na twarzy; Edith poprosiła mnie wtedy, bym na jakiś czas oszczędził mu widoku kobierca.

Edith, jak już mówiłem, protokołowała rozwój Pawła, interpretowała znaki, jakie dawał, jego uśmiech, jego „bogactwo reakcji”, jak to określała; mówiła także, że chwilami ma uczucie, jakby nie mogła porozumieć się z Pawłem przy pomocy słów, gdyż te ostatnie nie są dostatecznie subtelne, mają skłonność do upraszczania i przesady i nie oddają tego, co Edith chciała wyrazić. Wiele cech Pawła odkryła na długo przede mną, na przykład łagodność, zdolność przypominania sobie, ale także subtelną wrażliwość – wszystko, co Edith w nim zobaczyła i co tłumaczyła na jego korzyść, zostało później bez wyjątku potwierdzone przez niego samego.

W zimie, w cieplej izbie – poruszał się jeszcze na czworakach, z głową ciężącą ku dołowi – a więc w chwili naszej nieuwagi zbliżył się do blachy, na której suszył się torf, wsadził sobie parę okruchów do buzi i schylił się po pogrzebacz, który widział już w naszych rękach. Złapał go nie za rączkę, ale za zagięty, gorący koniec; gdy krzyknął z bólu, rzuciliśmy się ku niemu obydwójce, Edith i ja, ale zanim matka porwała Pawełka na ręce, zdążyłem uderzyć go po palcach, tak mocno, że Edith popatrzyła na mnie przerażona, a potem zaniósła chłopca do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Tak, Pawełek wcześniej zmanifestował swoje prawo do zdobywania własnych doświadczeń, z czasem dawał mi również do zrozumienia, jak niewiele zależało mu na tym, by ustrzec się doświadczeń, które miał przed sobą.

Co go najbardziej ciekawiło? Inne dzieci. Mógł siedzieć cierpliwie na moich ramionach i dawał się nosić po nadbrzeżnych ogrodach i parkach albo po całym półwyspie, nie wyrażając życzenia, by opuścić tę wysokość, ale skoro tylko zobaczył jakieś dziecko, jego zaduma pryskała i podskakując całym ciałem z niecierpliwości, walił mnie w pierś, przechylał się brawurowo głową do przodu, chciał, żeby go zdjęto i postawiono na ziemi, gdzie natychmiast ruszał w kierunku dziecka i sięgał mu ręką do twarzy. Często go przy tym nie tylko odpychano, ale i przewracano, ale ile razy by nie upadł – nawet na bruk – nigdy nie płakał, rozglądał się tylko bezradnie, Pędrak – mistrz upadków.

W dużej piaskownicy dawał się przewracać w ogóle nie stawiając oporu, tak że inne dzieci patrzyły na niego z niedowierzaniem, aż pewnego dnia on sam zaczął odczuwać radość z przewracania innych. Paweł, często sama delikatność i ciekawość, uczył się reguł gry, ale ich nie stosował, upierał się przy tym – tak mi się przynajmniej zdawało – by zbierać własne doświadczenia, jednakże nigdy ich nie wykorzystywał.

Ja w każdym razie nie sprzeciwiałem się, kiedy w naszym muzeum wybrał sobie rzeczy, które sam bym dla niego wybrał: nie interesowała go kusza, lanca ani ciężki dwuręczny miecz, lecz diabelskie skrzypce i wymowna zawartość „puszki z Sokółek”, wytoczona z drzewa bukszpanowego i kości. Czasami Eugen Lawrenz specjalnie dla niego uruchamiał kołowrotek; zamykał wtedy oczy, jakby coś słyszał, czyjeś głosy, jakąś nuconą melodię, a kiedy siedział w pokoju ze zwierzętami, to jego najpiękniejszym zajęciem było czesać „zwierzęta Mazur” lub pucować im zęby i szklane oczy. Istotom na swym kobiercu, tancerkom i przepiórkom, nadawał fantastyczne imiona, których nie mógł usłyszeć od nas: Olk albo Gigga czy Wanna.

Edith nie rezygnowała z zawarcia z dzieckiem czegoś w rodzaju paktu, ale przy tym wydawało jej się, że musi wiedzieć o wszystkim, co zajmowało Pawełka; musiała z niego wydusić nawet najbłahszą tajemnicę, badała i wypytywała go tak zachłannie, że nawet mnie złościło to i wprawiało w zakłopotanie. Paweł godził się na to, ale w skrytości ducha bronił się. Wyobraź sobie, że aby nie wzbudzić w nim nawet pokusy bawienia się nad brzegiem rzeki, Edith uwiązywała go na cienkiej linie, to znaczy jeden jej koniec supłała przy skórzanych szelkach, które wtedy nosił, a drugi zawiązywała wokół drzewa. Tak uwiązywała go jak kozę albo owcę do palika, a Pędrak nigdy nie przekraczał koła, którego promień wyznaczony był długością linki. Pewnego razu odkryłem, że nie ciągnie za sobą linki, podbiegłem do niego, chciałem zobaczyć węzeł, wtedy pokazał mi, że zwykłą sobie ufnością, rozprostowaną szpilkę do włosów, którą rozwiązał supeł; wtajemniczył mnie w swoją sztuczkę, równocześnie jednak wzbraniał się opuścić krąg, który zakreśliła mu Edith.

W pogodne wieczory brałem go ze sobą nad rzekę, siadaliśmy obok siebie na nadbrzeżnej trawie i obserwowaliśmy w milczeniu, jak na wodzie tworzyły się wiry i jak przepływały i rozchodziły się pod zwisającymi nisko gałęziami wierzb. Bezustannie coś mi pokazywał, drżąc cały z napięcia. Kiedy przepływali flisacy na swych małych tratwach, kulił się, żeby go nie zauważyli. Dobrze było tak z nim przesiadywać, dopóki w trzcinach nie uspokoił się wiatr. Niekiedy siedzieliśmy tak blisko siebie jak ptaki, pod drewnianym mostem albo na krańcu półwyspu, obserwując falki wywołane przez krzyżujące się prądy, ich migotliwe zderzenie. On sam kierował mnie do naszych miejsc, siedząc na moich ramionach i ciągnąc mnie za włosy.

Był to okres, w którym zaczęliśmy się martwić o Edith. Coraz rzadziej opuszczała swój pokój, przemykała się tylko po domu, zalękniona i niespokojna, tak że w końcu ledwie się wazyliśmy odezwać do niej. Każdą naszą prośbę spełniała gorliwie i z gorączkową usłużnością. Do mnie odnosiła się z wyrazem zagadkowej lęklivosti. Coś ją musiało zranić, wstrząsnąć, ale ilekroć próbowałem czegoś się od niej dowiedzieć, odpowiadała wymijająco albo przerażona wsłuchiwała się w moje pytanie, nie znajdując odpowiedzi.

Pawełka traktowała z roztargnioną, niekiedy bolesną tkliwością; potrafiła całymi kwadransami stać za żywoplotem albo przy oknie i przyglądać się jego zabawie, w swej sukni koloru gołębiej bieli, gotowa w każdej chwili do ucieczki. Nie przestawała pisać dziennika, zanotowała też, jak to wprawił ją raz w zdumienie swoją pamięcią do dźwięków i barw. Zapisywała jego wzrost i czynności i ciągle na nowo czuła się zmuszona stwierdzać jego wrażliwość i dowody „wczesnego rozumu”, odróżniające Pędraka od rówieśników. Edith zadziwiła mnie później mnogością swych spostrzeżeń, ale pokazała też, że samymi tylko spostrzeżeniami niczego jeszcze nie można osiągnąć.

Co mówisz? Mogę to potwierdzić, mój drogi, tak chyba rzeczywiście jest: z naszych spostrzeżeń nie wynika jeszcze żadna prawda; ale zostawmy to. Muszę myśleć o tym, że ogień strawił także fotografie pozostałe po Pawełku, nieostre zdjęcia, które jego przyrodnia siostra Henrike kazała

powiększyć i ustawiła na półce, poświęconej wyłącznie jego pamięci. Henrike do końca dbała o to, byśmy o nim pamiętali, nigdy nie zapomniała o urodzinach Pawełka, wstawiała maleńkie bukiety do dwu kieliszków od jajek po obu stronach jego fotografii. Wszystkie fotografie pokazywały go zresztą z konewką w ręce; nie powinno cię to dziwić: jego ulubionym zajęciem było sadzenie i przesadzanie, każdy kaczeniec u nas z jego pomocą zmieniał miejsce chyba z tuzin razy...

Tak, Martinie, słusznie, na tę wizytę coś sobie przygotowałem – ach, już wiem: podczas gdy sortowałem i sprawdzałem sam dla siebie różne wydarzenia, wydało mi się nieodzowne opowiedzieć ci o próbie – a to znaczy tutaj: również o metodzie – zlikwidowania czy też wymazania z mapy Małego Grajewa, tego skupiska pochylonych chałup, które już znasz, owej dzikiej osady, powstałej w czasach, kiedy nikt jeszcze nie wpadł na pomysł urządzenia konkursu na „najpiękniejsze miasto niemieckiego Wschodu”.

Uczestniczył w tej próbie Henseleit, następca Bilitzy na stanowisku przewodniczącego naszego Heimatvereinu; nie był jednak bardziej zaangażowany niż inni jemu podobni, którzy wykonywali ten plan i przekazali niższym instancjom, by się doń ustosunkowano, na płaszczyznę, na której to, co ktoś w górze pomyślał, traktowane już było jako rozkaz. W każdym razie któregoś deszczowego miesiąca w czasie zniw, w drodze z majątku do domu Heini Hauser znalazł niedaleko swej chaty jakiegoś obcego mężczyznę, leżącego twarzą w kałużę, mężczyznę w przemoczonym drelichowym ubraniu, który początkowo sprawiał wrażenie, jak gdyby tylko upadł, a w następnej chwili podniesie się i będzie kontynuował ucieczkę prosto do chaty Heiniego Hausera; ale on leżał bez ruchu i jakby ostatecznie, nie odpowiadając na wezwanie. Heini uczynił to, co uczyniłby chyba każdy w Małym Grajewie na jego miejscu: odwrócił się, przygnębiony zrobił kilka ostatnich kroków do domu i zdecydowanym ruchem zamknął drzwi. Wkrótce potem jego twarz i twarze jego rodziny ukazały się w wąskim okienku, i gdyby światło było lepsze, dostrzegliby, że wszystkie okna były wypełnione ludźmi. Tak samo jak oni, Hauserowie, również inni patrzyli w skupieniu, sami nie będąc widziani, wyczekująco, pogodzeni ze wszystkim, co miało się stać z obcym

mężczyzną. Mieli swój własny system błyskawicznego porozumiewania się między sobą, ostrzegania, nieomylny instynkt bliskości niebezpieczeństwa albo zmiany – obcy na dworze nie powinien ich obchodzić, więc zostawili go leżącego na drodze, w kałuży...

Jednakże później, w ciemności, było to niepojęte dla wszystkich, którzy to spostrzegli – Heini Hauser wyszedł nagle na drogę, podniósł obcego i wciągnął go po rozmiękłej ziemi i kilku drewnianych schodkach do chaty, gdzie wspólnym wysiłkiem położono go na łóżku polowym. Ściągnęli mu marynarkę. Mężczyzna miał dwa postrzały w plecy. Nie żył. Nad polowym łóżkiem i leżącym na nim mężczyzną Heini Hauser spierał się z matką; był gotów wynieść obcego, który już nie potrzebował żadnej pomocy, na deszcz, w miejsce, gdzie go znalazł, ale kobieta nie dopuściła do tego; zaczęła już wilgotną szmatką wycierać twarz obcego, nieczuła na wyrzuty, które jej czyniono. A kiedy już oczyściła jego twarz, kucnęła obok połówki i zaczęła mu się przyglądać, usilnie, dociekliwie, jak gdyby mogła z czasem dowiedzieć się przyczyny jego śmierci; jak opowiadał później Heini Hauser, spędziła w tej pozycji pół nocy, a o świcie znowu już tak siedziała i ledwie podniosła wzrok, kiedy wszedł Conny.

Heini Hauser posłał po niego, poprosił go, by przyszedł, gdyż w kołnierzu drelichowej kurtki odkrył wypisane wodoodporną farbą jakieś inicjały, i kiedy Conny wszedł, potwierdził już od progu podejrzenie Heiniego. Tak, był to mistrz Weinknecht.

Conny kazał sobie pokazać rany postrzałowe, później złożył swemu dawnemu mistrzowi ręce na piersiach i przykrył go kilimem z gałganków; odradził, aby postawić koło łóżka polowego zapalone świece. Conny zbadał miejsce, gdzie znaleziono Weinknechta, nisko pochylony wszedł na zbocze, opadające w kierunku Borku, zakreślił systematycznie kilka kół; nic się nie dało zrobić, deszcz zmył wszystkie ślady, ten nieustający deszcz, który rozmiękczał drogi i wełniane ubrania i zagrażał plonom. Nie było dla Conny'ego tajemnicą, że ludzie z Małego Grajewa – jeżeli tylko, przykryci workami, nie szli do pracy – stali za wąskimi oknami i tręcali się lub kiwali do siebie głowami, gdy się schylał, rozsuwał trawy i mech w nadziei znalezienia czegoś, co mogłoby przynieść jakieś wyjaśnienie. W

chałupie naradził się z Heinim Hauserem; zaproponował mu, by pójść jak zwykle do majątku i stamtąd zawiadomić policję.

A teraz wyobraź sobie, jak dwa samochody pełne ludzi przebijają się od strony Borku przez ścianę deszczu, na przedzie niepozorny samochód osobowy, widać go, jak podskakuje na korzeniach, słychać wycie motoru, podczas gdy koła obracają się w błocie, niebo wisi tak nisko, powietrze jest takie ciężkie, że odgłosy nie niosą się zbyt daleko, i zamknawszy oczy ledwie mógłbyś rozpoznać, z której strony dochodzą. Kto ujrzał ten konwój, ten nie mógł przypuszczać, że jedzie tylko w celach śledztwa, a kto był świadkiem, jak masywne wehikuły zatrzymały się powyżej osady, jak odrzucono pociemniałe od deszczu plandeki i jak z platformy zeskakiwali uzbrojeni mężczyźni w błyszczących pelerynach, kto to wszystko widział, a potem zdobył się jeszcze na tyle zimnej krwi, by się zatrzymać i przyglądać, jak mężczyźni rozciągnęli się w szereg, utworzyli krąg, ten wiedział, że nastąpi tu dobrze zaplanowana i ubezpieczona akcja. Tylko samochód osobowy podskakując zjechał niżej i stanął na pochyłej drodze między chałupami, niedaleko wspólnej pompy.

Wysiadło z niego czterech mężczyzn, a kto w Małym Grajewie wytrwał jeszcze przy oknie, ten mógł zobaczyć, że jednym z nich był Heini Hauser, Heini z mokrymi włosami na czole – pozostali, wszyscy bez wyjątku w cywilu, nosili kapelusze, których runda opuszczone były do dołu. Heini wprowadził ich do chałupy i na początku przedstawił mężczyzn, którzy się tam znajdowali, a więc także Conny'ego, który co najmniej jednemu z tajniaków był znany. Nie zdejmując kapeluszy pochylił się nad polowym łóżkiem, przyglądali się mężczyźni, potem, wymieniając ciągle spojrzenia, obejrzelili razy postrzałowe, w końcu kazali Heiniemu opowiedzieć, w jakich okolicznościach znalazł mężczyznę, ale mimo iż jeden z nich coś notował, nie uznali wyników przesłuchania za zadowalające i zakończone; jeden z nich, na którego najczęściej kierowały się spojrzenia, mógł więc uchodzić za szefa, rozkazał Heiniemu, by zaniósł mężczyznę tam, gdzie go znalazł, i to szybko i w taki sposób, by odpowiadało to prawdzie. Conny, który podał się za przyjaciela Weinknechta, pomógł Heiniemu przy wynoszeniu ciała; kobieta szlochła. Wyciągnęli mistrza Weinknechta na drogę, tam musieli go opuścić i

odwrócić plecami do góry, i ułożyć tak, że wyglądał jak biegacz, który upadł; Heini Hauser musiał odejść i na dany rozkaz zbliżyć się i zatrzymać w miejscu, z którego spostrzegł mężczyźną. Teraz notowano, oceniano, wymierzano, fotografowano; szef próbował ustalić kierunek strzału. Ich wspólne poszukiwania – ciągle po kolei, tak jak robił to Conny – nie dały żadnego rezultatu; szef kazał sobie jeszcze raz podać przypuszczalny czas i zaproponował, aby sprawdzenie danych pozostawić lekarzowi sądowemu.

Nie myśl, że śledztwo na tym się zakończyło; w każdej chałupie byli wszak ludzie; szef wchodził do nich, pytając każdego z osobna, czy nie słyszeli strzału, a ponieważ zaprzeczali, kazał im wyjść na drogę i przyjrzeć się dokładnie twarzy leżącego na ziemi mężczyzny. Nie, nie znali go, nie słyszeli także żadnego wystrzału. Szef nie zezwolił, by powrócili do chat, kazał im stać na deszczu i znowu pytał ich po kolei, czy widzieli kiedykolwiek Heiniego Hausera razem z leżącym u ich stóp mężczyzną, a jeśli nie, to czy obserwowali, jak Heini Hauser znalazł mężczyźną i przeniósł do swej chaty. Również tego żaden z mieszkańców Małego Grajewa nie mógł sobie przypomnieć. O niczym nie wiedzieli, byli ślepi i głusi, nie mieli nic do powiedzenia. Szef nie wyglądał na zaskoczonego czy rozgoryczonego; wydawał się przyzwyczajony do ich chronicznej niewiedzy. A potem obrócił się do otaczających go nieprzeniknionych twarzy: wyjaśnienie przestępstwa wymaga starannej, bezkompromisowej działalności, wszyscy mieszkańcy mają się przygotować do bezzwłocznego opuszczenia domów; wolno zabrać ze sobą tylko niewielki bagaż; ciężarówki muszą odjechać za kwadrans.

Pamiętasz chyba, w jakim poczuciu bezpieczeństwa tu żyli, a to oznacza, że w każdej chwili liczyli się z upływem jakiegoś terminu, który wyznaczono im na jakimś niedostępnym szczelbu. Jeśli szef zdumiony był już tym, że jego rozporządzenie przyjęte zostało bez pytań, nie mówiąc o sprzeczności, to jeszcze silniejsze wrażenie zrobił na nim sposób, w jaki większość udała się do domów, oraz fakt, że wykorzystali tylko część przyznanego im czasu, aby pojawić się znowu z tekturowymi pudłami i kuferkami, trzymając starsze dzieci za rękę, a młodsze na plecach, ze wzrokiem skierowanym na zakończone spiczastymi hełmami kominy, z

których unosiły się gęste, białe obłoczki – dym z wygaszonych pospiesznie palenisk. Nikt nie zamknął drzwi na klucz. Poszli w kierunku pompy, przy której oczekiwał ich szef, wydawało się, że starali się podejść do niego wszyscy jednocześnie. Wśród nich był Conny.

Niósł on związane sznurkiem pudło, należące do matki Heiniego Hausera i zawierające także najpotrzebniejszy dobytek Anny; z początku nie rzucał się w oczy pomiędzy ludźmi, w milczeniu czekał wraz z nimi, aż szef po pobieżnej inspekcji chat da znak, a potem i on poszedł w kierunku oddziałów czekających za osadą. Po składanej drabince wdrapali się na górę, jeden po drugim, jak gdyby to przeciwicyli; Conny pilnował bagażu. Kiedy w końcu sam postawił stopę na drabince, szef ściągnął go z powrotem; zapytał go, czy koniecznie musi mu zwrócić uwagę na to, że ma się trzymać od tej akcji z daleka, na co Conny odparł, że traktuje ją jedynie jako pomyłkę i że chciałby być przy tym, kiedy pomyłka ta zostanie oficjalnie wyjaśniona. Szef skinął na niego i obaj udali się za jedną z sosen. Tam powiedział: – Chce się pan wpakować w coś, czego mógłby pan długo żałować. Znikaj, człowieku...

Co? Nie, nie, Martinie, muszę tylko wypić łyk herbaty, przepraszam, za każdym razem jest to samo; to niechciane podniecenie, wpływające z przechowywanych chwil i obrazów; to tak, jakby zostały na nowo stworzone lub też jakbyś się budził i musiał zrozumieć, że nic się przez ten czas nie skończyło, tak właśnie. Możesz też stwierdzić: sen trwa.

Ale chciałem ci coś opowiedzieć: Conny ustąpił i bez żadnego konkretnego celu poszedł do chaty Hauserów, kiedy nagle usłyszał tętent podków, a zaraz potem między rosnącymi z rzadka sosnami rozpoznał araba Toniego Lettkowa, który ostrym kłusem podjechał do samochodów, zsiadł z konia, po czyni niedbale ucisnął szefowi dłoń. Po właścicielu majątku widać było irytację; można było po nim poznać, że ma prawo żądać wyjaśnień. Ich rozmowa była dość burzliwa, z początku nie mogli dojść do porozumienia, wola jednego nie zgadzała się najwidoczniej z wolą drugiego: Conny zauważył to z drzwi chaty Hauserów, do której wszedł, kiedy mężczyźni, podjąwszy nagłą decyzję, zaczęli schodzić drogą.

Mistrz Weinknecht znów leżał na polowym łożku, dwóch tajniaków wniosło go, niczym nie przykrywając.

Conny nie musiałyby się niczego obawiać, gdyby usiadł na skrzyni z drzewem obok łożka, ale kiedy usłyszał głosy zbliżających się mężczyzn, wśliznęła się za długą zasłonę, zakrywającą półki z blaszanymi puszkami: makaron, kasza, mąka. Zaraz potem weszli tamci, szef i Toni Lettkow, który chyba zażądał, by pokazano mu zabitego. Zdziwiająco długo stali przy łożku, Conny twierdził potem, że słyszał tykanie kieszonkowego zegarka jednego z nich. Toni Lettkow odezwał się pierwszy, mówił beznamyślnie, bardziej do siebie niż do tego drugiego. Skonstatował na przykład, że mężczyzna ma na sobie „ubranie obozowe”, na co szef zauważył, że chodzi tu o więźnia obozu Liekuk, nazwiskiem Weinknecht. Na nasuwające się pytanie, czy mężczyzna został zabity dwoma strzałami w plecy, szef odpowiedział: musiało się to stać podczas ucieczki. Pospieszył z informacją, że zastrzelony pochodził z Łukowca i że został zatrzymany z powodu działalności zagrażającej bezpieczeństwu państwa. Te wiadomości zdawały się wystarczać Toniemu, szelest jego gumowej peleryny zdradził, że idzie do drzwi, jednakże zanim opuścił chatę, odwrócił się jeszcze raz do szefa, żeby coś dokończyć.

Stwierdził, że respektuje fakt, iż szef również związany jest poleceniami; zarazem jednak czuje się zmuszony wyjaśnić, że akcja w Małym Grajewie zagraża zwiezieniu plonów, a nawet więcej: właściciel majątku widział poważne zagrożenie równowagi rynku siły roboczej oraz zapowiedział osobiste i natychmiastowe kroki u Reschata, namiestnika Łukowca.

Prawo? Rzeczywiście chcesz wiedzieć, skąd wzięli prawo do załadowania całej osady na ciężarówkę? To całkiem proste: mieli władzę, a czego i w czyim interesie by nie robili, czynili to w dobrej wierze, a to znaczy, że nigdy nie cierpieli z powodu wyrzutów sumienia. Wynieśli nieludzkość do rangi prawa, tym samym znikły wszystkie skrupuły.

W każdym razie Toni Lettkow nie przecenił swego wpływu. Wczesnym wieczorem ludziom z Małego Grajewa wolno było wrócić do wsi, odesłano ich do domu bez żadnych wyjaśnień czy przeprosin, nikt nie czuł się w

obowiązku przyznać się do pomyłki. Samochody, które ich zabrały, odwiozły ich z powrotem do domu, na to samo miejsce powyżej osady. Przestało padać, niebo było czysto wymiecione – idealne niebo na żniwa – żaden z nich nie przeoczył tego w drodze do swych chałup, a kiedy ich zagadnąłeś o przeżycia tego dnia, wzruszali ramionami, jak gdyby nic im nie przychodziło do głowy.

Nie, niczego nie przeżyli, niczego nie widzieli, a później, kiedy Conny znalazł dowód na to, że mistrz Weinknecht zginął tuż obok obozu Liekuk, oddalonym przecież o trzydzieści kilometrów, nawet wówczas ta wiadomość nie wydawała im się warta czegoś więcej niż wzruszenia ramionami.

Conny jednakże nie mógł się pogodzić z wynikami swych poszukiwań, nie mógł się nigdy pogodzić ze śmiercią swego dawnego mistrza, na którego zastawiono pułapkę, ułatwiając mu ucieczkę, tak, wręcz go do niej nakłaniając. Conny znalazł nagle cel, jasny i określony, naraz skończyły się pojedyncze sądy, od przypadku do przypadku, pozostał jeden jedyny, pozornie nieodwołalny sąd: Conny zrozumiał, że najważniejsze teraz jest działanie.

Tak, pamiętam jeszcze, jak po raz pierwszy wtajemniczył nas w swój plan; pamiętam, jak stał w pracowni i gwizdaniem dawał znak, podczas gdy ja starałem się wysłać do łóżka Sonję Turk, która cierpiała wtedy na zaburzenia równowagi i parę razy dziennie się przewracała. Nie chciała zostawić nas samych, upierała się, by dowiedzieć się wszystkiego, co omawiano w jej domu, tak więc zaprowadziłem go do jej sypialni, pod wypchane nocne ptaki, i nie uszło mojej uwagi, z jakim poruszeniem Conny witał się z kobietą, której przez dłuższy czas nie widział.

Włosy Sonji zrobiły się rzadkie, szare jak popiół, jeden kącik ust nabrzmiał jak od wewnętrznego guza, skóra miała żółtawy odcień, a niektóre palce wyglądały, jakby artretyzm zmienił ich kształt. Również jej uwagi nie uszło zaskoczenie Conny'ego; uśmiechnęła się kwaśno, poruszyła parę razy grdyką, jak gdyby coś przełykała, a w końcu powiedziała: – Jak kto jest stary grzyb, to już taki jest i basta, ni ma się co

gapić, i biadolić też ni ma co, bo teraz już za późno na biadolenie. – Pogłaskała Conny’ego po dłoni; wygłaszając te stwierdzenia, kiwała głową, widocznie chciała go powstrzymać od czynienia jej nadziei na wyzdrowienie.

Usiedliśmy tak, by mogła widzieć nas obu bez odwracania głowy, która wyglądała, jakby była o wiele za ciężka dla chudej szyi. – Jakbym jeszcze mogła, powiedziała Sonja Turk, to bym założyła szkołę, w której by uczyli, jak się pogodzić z końcem bez biadolenia i jęków. – Musiałem przynieść jej domowego wina z jagód, którym mnie zawsze częstowała, kiedy już ją umyłem i zaniósłem do łóżka, a potem zaprosiła nas, abyśmy wypili „za nic”. Kiedy wypiliśmy, popatrzyła na Conny’ego, sceptycznie i wyzywająco, a on siedział tylko ze spuszczonego wzrokiem i obracał w rękach szklanekę; jak zawsze, kiedy kierowała całą swoją uwagę na jakąś osobę, drżała ledwo dostrzegalnie, właśnie tak, jakby przepływały przez nią jakieś tajemne prądy, przy czym ten, ku któremu się tak intensywnie zwracała – a mówię to z własnego doświadczenia – nierzadko odczuwał to, co czuć musi człowiek na zaciemnionej scenie, kiedy oświetla go ruchomy promień reflektora. W każdym razie nagle uspokoiła się i powiedziała do Conny’ego: – Taki jak ty będzie wkrótce potrzebować więcej niż jednej kryjówki, tak sobie myślę; pukaj spokojnie, kiedy do tego dojdzie, mamy tu jeszcze jeden schowek z czasów Bianki.

Conny podziękował i obiecał, że tak zrobi; dawno już przestał się dziwić Sonji Turk.

Przyszedł, by mnie zwerbować. Chciał mi przekazać pozdrowienia od swych przyjaciół, którzy z kolei byli przyjaciółmi mistrza Weinknechta; zagadnęli go w dniu pogrzebu, kazali przyjść do małej opuszczonej cegielni za Zaułkiem Garnarczy, gdzie go wtajemniczyli w swe cele – sześciu czy siedmiu mężczyzn. Były to, jak już mówiłem, jasne i konkretne cele, które Conny bez wyjątku zaakceptował. Najważniejszy polegał na pomaganiu sobie nawzajem i im podobnym, którzy musieli uciekać, tak, początkowo poprzestali na zadaniu, by przetrwać czas, czas upiorów, który butni jeźdźcy Wschodu, decydujący teraz o wszystkim, chcieli rozciągnąć na tysiąclecie. Conny i jego przyjaciele wychodzili z założenia,

że epoka jeźdźców Wschodu pędzi w kierunku strasliwym dla wszystkich, przewidywali nieszczęście, wojnę, zmiany; wszędzie były tego oznaki, codziennie zgłaszano jakieś roszczenia, słyszało się stereotypowe pogroźki – oni, przyjaciele, uważali za swoją powinność ostrzegać...

Czy się do nich przyłączyłem? Nie, Martinie, nie poszedłem do Conny'ego i jego przyjaciół – całkowicie rozumiem twoje zaskoczenie – nie udzieliłem mu odpowiedzi, której się po mnie spodziewał, nie tyle z ostrożności i osobistej obawy, lecz po prostu dlatego, że wtedy sądziłem, iż moim jedynym obowiązkiem jest szczęśliwie przeprowadzić nasze muzeum przez te czasy, nasze muzeum stron ojczystych z jego niezastąpionymi świadectwami, z których wiele nie mówiło bynajmniej językiem oficjalnym, raczej prezentowały one coś, co można nazwać milczącą opozycją przedmiotów. Aby tego dokonać, chciałem pozostać niezależny. Tamci nie powinni znaleźć żadnego pretekstu, by rozwiązać muzeum albo też bez żadnego uzasadnienia zabrać sobie to, czego potrzebowali dla swych celów. Sądziłem, że nie mając wobec nikogo zobowiązań, łatwiej będę mógł bronić dzieła życia wuja Adama i jego niezafałszowanego posłannictwa. To, że z czasem nasze muzeum stało się najbardziej znaczącym muzeum regionalnym Południowego Wschodu, już ci chyba mówiłem; i cokolwiek byś sobie teraz myślał: dopiero wtedy, gdy Conny czekał na moją odpowiedź, zrozumiałem, jakie zadanie zostało mi powierzone, jak wiele ode mnie zależy.

On sam był przygotowany na to, że będę się wahać, więcej, przyznał nawet, iż może zrozumieć moją chwilową odmowę, tak jak rozumiała mnie też Sonja Turk, przysłuchująca się jak uważny sędzia. Neutralność, powiedziała, musi być dozwolona, tylko trzeba się spytać, jak długo można sobie na nią pozwolić, na tę neutralność. Sonja Turk: osłabiona, niepewna, ale pełna zaangażowania i nieustannie gotowa reagować. Była to nie kończąca się chwila: ja podjąłem decyzję, Conny przyjął ją do wiadomości, stara mistrzyni, nie nękana dręczącymi wątpliwościami, leżała na wysoko spiętrzonych poduszkach – obraz harmonii mimo różnych poglądów. Powtórzyłem Conny'emu, że to tylko tymczasowa odpowiedź, a on położył mi rękę na ramieniu i poczęstował tytoniem.

Na dworze stary holownik ciągnął potężną tratwę wokół półwyspu. Holownik miał znaczny przechył, jego komin wędrował bardzo powoli wzdłuż tamtego brzegu; łodzie wiosłowe okrążały tratwę, tak jak psy osaczają nieruchawą zdobycz. Niekiedy sternik dawał ostrzegawcze sygnały syreną, wtedy za każdym razem zza jego budki odrywał się biały obłoczek pary. Nie potrafiłem inaczej, uległem dawnemu natrętnemu wyobrażeniu, musiałem, jak to już nieraz czyniłem, wyobrazić sobie rzeczy martwe jako żywe, a więc również ten las, płynący tu po jeziorze Łukowiec, wyobraziłem sobie też skrawek ziemi na którym rósł, myślałem o żyjących w nim ptakach, dzikiej zwierzynie i o jego mrowiskach; teraz to miejsce zmieniło się w pokryte pniakami pustkowie.

Conny uśmiechnął się do mnie w przekonaniu, że wkrótce otrzyma ode mnie odpowiedź, na której mu zależy. Sonja Turk popatrzyła na niego z podziwem i aprobatą, gdy nieoczekiwanie powiedział: – Musisz się mieć na baczności przed fałszerzami, Zygmunt, fałszerzami historii – przyjdą i będą ci chcieli udowodnić, że historia może być doświadczona jedynie jako przypadek szczególny, jako historia bohatera albo jako dzieje narodowego samoutwierdzenia się. Masz wszystkie zmysłowe kontrargumenty: z ich pomocą możesz pokazać, że historia obejmuje wszystko, również to, co niepozorne, cudowną tandetę.

Nie zdążyłem na to odpowiedzieć, gdyż w farbiarni powstał jakiś tumult: kubły wywracały się i toczyły po podłodze, trzaskały jakieś drzwi, rozprysło się szkło – brzmiało to jak jakieś gniewne pożegnanie. Sonja wzdrygnęła się i opierając się o słupek łóżka dźwignęła w górę na tyle, że mogła usiąść na posłaniu i siedząc, spieszonym językiem znaków, wskazała nam drzwi. Wypadliśmy na zewnątrz, w sieni rozdzieliliśmy się, ja popędziłem do ogrodu, podczas gdy Conny na palcach podkradł się do farbiarni i rozwarł drzwi z głośnym okrzykiem, by zaskoczyć nieproszonego gościa. Wyszczrzyłem się do niego z ogrodu, zza rozbitej szyby. Na jego znak poszliśmy razem dalej i już w sąsiednim pomieszczeniu, tam gdzie przechowywana była księga, kompendium mazurskiej sztuki tkackiej, w tym nagim pokoju Conny nakrył intruza.

Dał mi znak, poczekał, aż się do niego zbliżyłem, i wskazał mi chłopca, przykucniętego pod parapetem, chłopczyńkę lat piętnastu najwyżej, o długich kończynach, czarnych, falujących włosach, odzianego tylko w koszulę i spodnie i wykonane domowym sposobem sandały. Chłopiec krwawił, zranił się w kostkę u ręki. Nie sądził, że spoglądał na nas trwożliwie, przestraszony lub skruszony, gotów do wyjaśnień; wyraz jego twarzy zdradzał przede wszystkim rozczarowanie i złość, że przez własną nieuwagę wpakował się w pułapkę. Jak on wzruszył ramionami, kiedy się podniósł!

Z wycięcia jego koszuli wystawały mu rogi sporych kartek papieru, spiętych spinaczami, a z kieszeni na piersi kredki. – No już, chłopcze, ruszaj się! – Popchnęliśmy go do łóżka Sonji Turk; również teraz okazywał raczej pewność siebie niż skruchę; na nasze pytanie, kim jest, z zasady nic mu nie przychodziło do głowy; milczał grzecznie, lecz konsekwentnie: nawet wówczas, gdy stara mistrzyni zwróciła się do niego sama, potrząsnęła z ubolewaniem głową. Sonja Turk przywołała go bliżej do siebie, chwyciła za rękę, zbadła kostkę, na której jakiś odłamek zadrasnęła skórę, a następnie kazała sobie przynieść apteczkę i nałożyła chłopcu opatrunek.

Nie mieliśmy wyboru, nie mogliśmy się zadowolić jego milczeniem; na mój znak Conny przytrzymał go, podczas gdy ja wypróżniałem i wywracałem jego kieszenie i zabierałem mu papier, który miał na piersi. Jak on wyglądał! Uniósłszy mu na moment koszulę zobaczyłem tylko pręgi i sińce, kwitnące w ciemnej zieleni, a powyżej pasa ziała głęboka jak krater otwarta rana, połyskująca, wilgotna jak skóra ślimaka.

Sonja Turk przerzucała mienie chłopca – łuski, suszone śliwki, jakieś obrazki dołączane do papierosów, jak również maleńkie próbki farbowanych wełnianych nitek – zebrała to wszystko przed sobą w zagłębieniu na kołdrze, po czym wyłowiła kartki papieru, obracając je w rękach i oceniając, a wtem w pewnej chwili uniosła głowę i powiedziała: – Ale zrobicie oczy jak te sowy. – Podsunęła nam różnobarwne kartki, na których można było rozpoznać fragmenty gobelinów Sonji, odrysowane pośpiesznie, a później pokolorowane, fragmenty przedstawiające zbiór

wszystkich używanych ornamentów i symboli; niektóre kartki były gęsto zapisane, wypełnione zdaniami, pochodzącymi z wielkiego kompendium sztuki tkackiej.

Możesz sobie wyobrazić niepokój, jaki nas ogarnął, kiedy chłopak wyznał, że już wcześniej często bywał w naszym domu i pracowni, odwiedzał nas o każdej porze dnia i nocy, niezauważony, pragnący tylko jednego, by skopiować stosowane przez nas ornamenty, symbole i obrazy i wypisać z księgi reguły, nie troszcząc się o to, czy rozumie ich sens. Obserwował nas w napięciu, usiłując zrozumieć i zinterpretować zarówno nasze słowa, jak i spojrzenia, ożywił go lęk, lęk o to, że moglibyśmy odebrać mu jego łup, który najwidoczniej znaczył dla niego bardzo wiele.

Pamiętam jeszcze, że kiedy stara mistrzyni niedbałym ruchem podsunęła mu z powrotem papiery, zdobył się tylko na spojrzenie pełne zakłopotanej wdzięczności, niezdecydowanie wyciągnął ręce ku niej i zarazem ku nam, a potem – wiesz, mieliśmy wrażenie, że chciał nam zrobić prezent – potem nie pytany powiedział swoje nazwisko: Marian Jeromin.

Tak jest, Martinie, mój późniejszy uczeń, mój ulubieniec; poznaliśmy się w tych właśnie cokolwiek niezwykłych okolicznościach.

Ale musimy pozostać jeszcze w sypialni Sonji Turk, gdzie Conny, gdy już poznaliśmy nazwisko chłopca, zaczął go wypytywać, i między innymi dowiedział się, że Marian pochodził z Rękowa – wprawdzie nie z majątku sadowniczego, lecz z zaniedbanej, nędznej osady – i że mieszkał tam u bezdzielnego małorolnego chłopca i jego żony, którzy nie byli jego rodzicami. Jeśli on, Marian, miałby wierzyć chłopcu, to ten znalazł go w sąsiedniej zagrodzie: zaniepokojony nieustannym płaczem dziecka i ryczeniem nie wydojonych krów, chłop udał się do zagrody, do której normalnie nigdy nie zachodził; zlustrował budynki i znalazł całą rodzinę w kuchni, nieżywą: zmarli wskutek zatrucia grzybami, na talerzach leżały jeszcze brązowe wzgórki słynnych, w tym wypadku jednak szkodliwych mazurskich grzybów. Z tego, co opowiadał Marian, wynikało, że chłop,

niechętnie wprawdzie, gdyż chłopiec pokryty był wysypką, zabrał go do domu i po jakimś czasie adoptował.

Razem z nimi żyła jednooka siostra chłopca, która wychowywała Mariana i wprowadziła wcześniej we wszystkie zajęcia, które trzeba było wykonywać w zaniedbanym gospodarstwie. Kobieta posiadała ręczne krosna, na których tkła chodniki i małe kilimy; zanosila je do Łukowca i potajemnie, dużo poniżej wartości sprzedawała, czasem też wymieniała na produkty. Nikt ich w domu nie odwiedzał, nie otrzymywali listów, nie posiadali nawet Kalendarza Mazurskiego; jedyne, co zachwycało i zajmowało chłopca i co pozwalało mu nawet zapominać o zmęczeniu, to były godziny wieczorne, kiedy siedział na podłodze i przyglądał się, jak pod palcami jednookiej kobiety powstawały tkaniny, na których widniały wyłącznie łosie – spotykające się, obwąchujące, stojące na drodze. Kiedy chłop – nader niechętnie – zapisał go do szkoły, chłopiec potrafił już tkąć – umiejętność ta w domu przynosiła mu w najlepszym razie szyderstwo, później wszelka praca przy krosnach została mu pod karą zabroniona. Chłop nienawidził swej jednookiej siostry, ale jeszcze bardziej nienawidził krosien, a zwłaszcza wtedy, gdy siedział przy nich chłopiec, tak, Marian musiał sobie wyszukiwać kryjówki dla swego ulubionego zajęcia albo pracował wtedy, gdy wszyscy już spali; mimo to przyłapywano go i karano. Często się zdarzało, że chłopiec tracił przytomność; po ocknięciu najskuteczniejszym środkiem na ból okazywało się tkanie. Nazwisko Sonji Turk usłyszał po raz pierwszy w szkole, na lekcji wiedzy o kraju ojczystym, mówiono o niej, że doprowadziła mazurską sztukę tkactwa do trzeciego rozkwitu.

Dowiedzieliśmy się również, że siostra chłopca na krótko przed śmiercią w jego obecności zapisała krosna chłopcu i przewidująco zagroziła nieszczęściem każdemu, kto by próbował je rozbić. Chłop respektował groźbę, oszczędził krosna, lecz tym bezlitośniej karał chłopca, ilekroć przyłapał go przy tkaniu. Marian wiedział, co go czeka, jeśli opuści gospodarstwo bez pozwolenia, mimo to oddalał się, a kiedy natrafił na nasz warsztat, odwiedzał nas niepostrzeżenie, nigdy niczego nie kradnąc.

Zapewniając Sonję Turk, że nigdy jeszcze niczego nie zwędził, położył prawą rękę w okolicy serca, uczynił to także, bożąc się, że chce zostać tylko tkaczem. Zanim go puściliśmy z powrotem, natarłem mu plecy kojącą maścią i opatrzyłem plastrem jątrzącą się ranę. Pozwoliliśmy mu przyjść tu znowu. Z jaką godnością pożegnał się! Na łące do suszenia wełny zaczął biec, ach, biec to za mało – zuchwale popędził w dół ku rzece, podskakując z radości. Tak znaleźliśmy nasze cudowne dziecko...

Nie, nie, Martinie, już ci raz mówiłem, że nie traktuję tego ironicznie, również Sonja Turk była tego samego zdania, naturalnie zastrzegła się, że „bycie cudownym dzieckiem” na dłuższą metę nie wystarcza: Cudowne dziecko, powiedziała, to dobre tylko na początek. – Chłopak zresztą nie mógł rozpocząć nauki od zaraz, przyjąłem go dopiero wtedy, gdy Sonja Turk musiała spędzać dni w fotelu, na wpół sparaliżowana, pochłonięta głównie uzupełnianiem swej książki i opisem w aneksie wszystkich dywanów, jakie kiedykolwiek sama utkała, także w dzieciństwie...

Słucham? Popatrz no, a więc znów go odwiedziliście, Henrike i ty, wiem, tam w Pudby, w dawnej szkole wiejskiej w Pudby, gdzie mistrz Jeromin kształci obecnie swych własnych uczniów. Mówiłem ci już, że różnimy się zasadniczo w naszych poglądach? Tak, mówiłem ci: Marian wierzy w uspioń, oryginalny talent, który wystarczy tylko obudzić, a ja w bezwzględne stosowanie reguł rzemiosła. Od razu zauważysz, ile nas dzieli, kiedy tylko usłyszysz go, jak mówi o sztuce tkackiej: opowiada ci więc o „swobodnej grze nośników kolorów jako środków wyrazu”, rozvodzi się nad „powabami aplikacji”, wydobywającymi „wibrujące półtony”, i serwuje nowicjuszowi „rytmiczną śmiałość łączenia barw, wspomagającą się świadomie załamaniem światła”. To wielki twórca kilimów, bez wątpienia, jednakże nigdy nie starałem się brać go dosłownie, ilekroć zaczynał mówić o przejrzystości, o „przejrzystości falującego wznoszenia się i opadania na podzielonych kontrpunktowo płaszczyznach”. Ale zostawmy to: w każdej teorii tkwi rozczarowanie jej twórcy, że życie nie chce się układać zgodnie z planami; zostawmy to, Martinie, lepiej opowiedz mi coś o Henrike, o tobie i o Henrike: co robicie, co postanowiliście?

Naprawdę? Na Mazury? Oszczędzacie na podróż na Mazury? Wobec tego muszę ci chyba powiedzieć, że nie możesz liczyć na odnalezienie tego wszystkiego, czego dowiedziałeś się o tym kraju ode mnie. Obczyznę – zastaniecie tam mniej lub bardziej swojską obczyznę; przypuszczam jednak, że trochę to potrwa, zanim się wybieriecie. Ja sam dlatego tam chyba jeszcze nie pojechałem: chciałem uniknąć zawodu albo niepewności, wolałem się chwilowo nie narażać na przymus korygowania obrazów, które przywiozłem tu jako niewidzialny bagaż. Ale także nimi, tymi wszystkimi obrazami nie możemy dowolnie rozporządzać, mają one swoje pory, nagle stają się jasne, a potem znowu ciemnieją, wyłaniają się z głębi, na moment są widoczne i znów się pogrążają – zupełnie jak owe niezmierzone wydmowe pola planktonu na Morzu Sargassowym, o których mi kiedyś opowiadałeś.

Przypomina mi się teraz zasypane śniegiem okno, zaparowane od wewnątrz, od zewnątrz zawiane, które czyjaś ręka przeciera szybkimi, kolistymi ruchami, coraz spieszniej, coraz gwałtowniej, tak że możesz obserwować, jak za szybą z wirujących płatów zawiei wyłania się stopniowo jakaś twarz. Ten ogólny obraz prowadzi mnie w nieunikniony sposób do jednego, konkretnego: twarz za szybą przy dobrej widoczności przybiera rysy mojego dziadka; można ją coraz lepiej rozpoznać, a kiedy to już ostatecznie jest on i kiedy widzę żebrzący wyraz jego twarzy – jak na niego zupełnie niezwykły – wtedy wiem, że jest to sylwester, podczas którego mieliśmy stać się świadkami brzemiennej w skutki kłęski.

To już tak na zawsze zostanie: skoro tylko czyjaś ręka kolistymi ruchami zaczyna wycierać zawiane okno, ogarnia mnie myśl, że zaraz ukaże się twarz mojego dziadka, że żebrzącym ruchem zastuka w szybę, a ja, posłuszny niememu poleceniu Edith, otworzę drzwi i zawołam, by wszedł...

Nie, nie, co to, to nie; były dzierżawca majątku nie mieszkał przez cały ten czas w feudalnym „Luisenhofie”. Spowodowane to było głównie tym, że nie mógł się przyzwyczać do rachunków, kłócił się codziennie z kelnerami, co dzień chodził na skargę do dyrekcji, a kiedy zaczął pielgrzymować od stolika do stolika i zalecał ludziom, by skrupulatnie

sprawdzali rachunki, poproszono go, by wyprowadził się z hotelu, więc wynajął sobie suterенę w pobliżu koszar, trzy izby, które zapchał resztkami konserw, mydła i świec oraz suchych makaronów. Ale tego wieczoru, w sylwestra – każdego byśmy się spodziewali, tylko nie jego, Alfonsa Rogalli – patrząc, jak jego ręka trze i czyści szybę, odczuwaliśmy jakieś radosne napięcie; Pawełek wszedł nawet na stołeczek i ze swojej strony zaczął wycierać okno od środka, próbując się przy tym dopasować do kolistych ruchów tej drugiej ręki. Siedzieliśmy wokół stołu, na którym stały małe blaszane miseczki, na ceracie leżały dziwaczne figurki ulane z ołowiu: srebrzyste języki, groty, krzaki o swawolnych kształtach – które sobie wyjaśnialiśmy. Kto wie, czy moja matka albo Eugen Lawrenz kiedykolwiek zgodziliby się go wpuścić; patrzyli z początku zaskoczeni, później spokojnie i pogardliwie na wyłaniającą się z mroku twarz, nie reagując na jej żebrzący wyraz.

Edith, to Edith nie mogła mu się oprzeć i po tych wszystkich pukaniach i skamleniach wysłała mnie do drzwi, ale i ona także powoli skurczyła się w sobie, jak ślimak, gdy nie witając się wkroczył do izby swym zamaszystym, aroganckim krokiem, w długim płaszczu, przyciskając do piersi jakiś przedmiot, który wyglądał na poduszkę i rzeczywiście okazał się później poduszką. Wszedł utkwIEWSZY wzrok w Eugenie Lawrenzu; nas nie dostrzegał, nikomu nie podał ręki. W świetle okazało się, że jego wykrzywiona twarz pokryta jest potem. Po omacku sięgnął po poręcz krzesła, potem upadł na pierwsze z brzegu siedzisko, jakby ściągnął go w dół ciężar mokrej wełny. Dygotał z gorączki, otworzył usta, by chciwie zaczerpnąć powietrza; od czasu do czasu rzucał się lekko do tyłu, tak iż można było sądzić, że jakiś wampir usiadł mu na piersi.

Edith postawiła przed nim kieliszek grzanego wina, czym naraziła się na potępiające spojrzenie mojej matki. Dziadek sięgnął po szklanę, chciał podnieść ją do ust, ale ręka tak mu drżała, że płyn się rozlał, musiał odstawić napój i pić w ten sposób, że pochylał się głęboko nad stołem, trzymając mocno szklanę obiema rękami. Po dziadku nie można się było spodziewać, że sam wyjawi powód swej wizyty, ale tym razem zdawało się nam, iż odgadujemy, po co przyszedł, kiedy naraz zsunął się z krzesła i padł na kolana przed Eugenem Lawrenzem, wstrząsany nagłym drżeniem

całego ciała. Wszyscy, pominąwszy Pawełka, mieliśmy uczucie, że przeżywamy jakiś ciężki, przykry sen; zauważyłem, jak zeszywniały mi ramiona i nogi, stałem jak urzeczony, nie mając siły, by się odwrócić lub wręcz opuścić izbę.

Dziadek objął Eugena Lawrenza lekko za kolana i uniósł wzrok ku górze, a potem szepnął coś, czego nikt z nas nie rozumiał, ale co każdy natychmiast odgadł. Prosił Eugena o przebaczenie. Przyznał, że swego czasu popełnił krzywoprzysięstwo, i obecnie prosi Eugena Lawrenza o wybaczenie straconych lat i wszystkich innych krzywd, które mu wyrządził rozmyślnie i bez wahania. A teraz po raz pierwszy dostrzegłem w jego spojrzeniu strach i troskę, głowa jego zaczęła się lekko kiwać, podczas gdy on przygotowywał się na jakąś odpowiedź.

Eugen Lawrenz nie rzekł nic, patrzył w milczeniu na dziadka i nic nie mówił; jego twarz nie wyrażała ani smutku, ani odrazy czy spóźnionej satysfakcji; wydawało się, że nie jest zdolny do żadnego uczucia. Dziadek z niedowierzaniem uniósł się z klęczek przed mężczyzną, który najwidoczniej nie chciał mu natychmiast przebaczyć, i kto go znał, ten usłyszał ukrytą przyganę w jego stwierdzeniu, że każdy, kto okazuje gotowość przyznania się, zadośćuczynienia, wyrównania krzywd, ma prawo do przebaczenia, a więc także on, Alfons Rogalla.

Tak jak zawsze domagał się prawa, o którym sądził, że jest jego prawem, i trzeba ci było widzieć rosnącą niecierpliwość, z jaką czekał na to, by go rozgrzeszono, by lekko i skutecznie amputowano to wszystko, co mu doskwierało – jakimś jednym słowem czy może nawet jednoznacznym gestem. Jednakże kto go znał wystarczająco dobrze, tego uwagi nie uszło, że troska go nie opuściła, strach trwał nadal; splekane wargi poruszały się, w zapadniętych oczach czaił się niespokojny błysk. Raz spojrzął na nas, nagląco, jak gdyby potrzebował naszego wsparcia, jakby domagał się od nas przerwania tego odpychającego bezruchu, w jakim ciągle jeszcze trwał Eugen Lawrenz, siedząc i patrząc na mężczyznę u swych stóp. Powtórzył swą prośbę. Potem chwycił Eugena za ręce, przechylił głowę na bok i zademonstrował coś w rodzaju dziwnej pokory, z której otrząsnął się z jękiem.

Nie pomogło mu to, nie skłoniło Eugena Lawrenza do mówienia; po chwili zaczął się uśmiechać pobłaźliwie, potrząsając głową nad sobą samym; z tym uśmiechem na twarzy chwycił poduszkę i szperając w kieszeniach, obwiniął się o ciężkie zaniedbania. Wyciągnął szczyryk, przyłożył go do górnego brzegu poduszki i jednym cięciem rozpruł ją. Naturalnie, mruczał przy tym, naturalnie, jak mogłem o tym zapomnieć: – Chociaż to muszę ci dać za wszystko, co ci zrobiłem. – Położył nóż na ziemi i sięgnął obiema rękami do środka poduszki, wymacał to, czego szukał, i wyciągnął z rozmachem dużą ilość pomiętych banknotów, które drżąc podniósł ku Eugenowi Lawrenzowi. – Widzisz, powiedział, widzisz, co przyniosłem: małe odszkodowanie, o wiele za małe, niż ci się należy po tym wszystkim, ale zawsze wystarczająco dosyć, żebyś dostrzegł moją dobrą wolę. Weź to, weź i powiedz, że mi przebaczyłeś.

Także teraz, Martinie, nawet wobec tej propozycji Eugen Lawrenz nie poruszył się, po prostu nic do niego nie docierało; oburzenie nie zwęziło mu oczu, pogarda nie wykrzywiła ust, miałaś wrażenie, że patrzył gdzieś poprzez pieniądze i gorliwego mężczyznę, obojętnie, jak kamienna figura. Dziadek opuścił bezradnie ręce, ale jeszcze nie zrezygnował; kilkakrotnie, ciągle tymi samymi słowami, próbował wmusić Eugenowi pieniądze: prosił go, kusił, namawiał, próbował ostrożnej pogroźki, a gdy nawet ta nie poskutkowała, krzyknął znienacka na nas, byśmy wsparli go w jego wysiłkach: – No zróbcie coś, żeby nabrał rozumu. – Siedzieliśmy tylko i wlepialiśmy w niego oczy. Siedzieliśmy spokojnie dalej, kiedy rozgoryczony cisnął banknoty w górę. Nie poruszyliśmy się, kiedy zbudziła się w nim nienawiść. Trzeba ci było widzieć, jak się zerwał z błyskiem w oczach i z kolei zaczął oskarżać i przeklinać Eugen Lawrenza, tak, obwiniął go o brak litości i – jeśli dobrze zrozumieliśmy – o podbijanie ceny; przypuszczał widocznie, iż Eugen Lawrenz żądał więcej za wybaczenie niż to, co oferował mu do tej pory Alfons Rogalla.

W pewnym momencie zaczął bełkotać, z trudem chwycił powietrze, wykrzywił twarz, a potem wskazał szyderczo na leżące na podłodze banknoty – nie, może nie tyle szyderczo, co oszołomiony wściekłością, a to, co powiedział teraz do Eugena Lawrenza, zrozumieliśmy jako ultimatum. Zdawał się wiedzieć, że to nic nie zmieni, nawet w swym

zaślepieniu pojął, że decyzja już dawno zapadła, i dlatego nie dbał o termin upływu ultimatum; bez uprzedzenia podniósł kilka banknotów, skręcił je w dosyć gruby zwitek, zanurzył koniec w okrągłym otworze kuchni, nad którym laliśmy ołów. Banknoty zapłonęły, rozgorzały, odbłask padł mu na twarz, rozjaśnił obłąkańczy triumf starego człowieka, jego okrutną radość. Triumfująco, całkiem zręcznie poniósł otwarty ogień ku Eugenowi. – Zwariował, szepnęła moja matka, całkiem zwariował.

Gdyby Eugen Lawrenz poruszył się, gdyby przerwał tę demonstrację obłąkańczej żądzy zemsty – być może wtedy my też zerwalibyśmy się z krzesel, ale znawca wszystkich opowieści o jeziorach postanowił przetrwać tę wizytę w milczeniu, nawet kiedy Alfons Rogalla płonącym zwitkiem urządził coś w rodzaju testu ślepoty – mianowicie przesuwając palące się banknoty kilkakrotnie przed oczyma Eugena, nawet wtedy obiekt tego badania zachował spokój, co z kolei kazało nam wytrwać w roli widzów. Nikt z nas nie próbował postawić choćby stopy na którymś z banknotów. Czuliśmy, że dzieje się tu coś, czego nie mogliśmy jeszcze wtedy ogarnąć w całej doniosłości; z pewnością był to jeden z powodów, dla których nie przeszkadziliśmy mu, gdy sięgnął jeszcze dwukrotnie po pomięte banknoty i zgniółszy je w szaleńczym uniesieniu zanurzył w ogniu, a potem, jakby chciał go ukarać, wyciągnął płonące pieniądze w kierunku Eugena Lawrenza.

A potem zachwiał się i upadł, upadł jednak z widocznym wyrachowaniem, gdyż natychmiast się podparł i jęcząc zaczął zbierać pozostałe banknoty i wpychać je w poduszkę, także te nadpalone, pozbierał nawet pokruszony popiół, a potem trwał chwilę w tej pozycji, przyciskając poduszkę do piersi, siedział tak, by zebrać siły...

Tak, Martinie, to prawda, jednakże nikt z nas by nie przypuścił, że to wszystko odbędzie się tak szybko. Wyszedł spieszenie i bez słowa w zawieję, nie zdążył nawet zapiąć palta. Był jeszcze w sieni, a mały już przykleił się do szyby, by zobaczyć, jak odchodzi, ale nie mógł go dojrzeć, gdyż Alfons Rogalla nie poczłapał przez ogród, lecz ze śpiewem ruszył w kierunku głównej ulicy Łukowca aż do „Luisenhofu”.

Nikt go nie zatrzymywał, ludzie uśmiechali się, kiedy ze śniegiem we włosach przeciskał się przez salę bankietową, wszedł na galerię i stamtąd strasznym krzykiem przerwał sylwestrowe tańce. Zanim dziadek otworzył swoją poduszkę i śmiejąc się dziko spuścił deszcz piór, banknotów i popiołu na zgromadzone towarzystwo, podobno zapowiedział nową epokę: epokę zawyżanych rachunków. W każdym razie kelnerzy przytrzymali go, a dwaj lekarze z Łukowca, którzy wraz ze swymi żonami zobaczyli jego występ, zadysponowali później skierowanie go do miejscowego domu wariatów, którego ogród oddzielony był płotem od koszar kawaleryjskich. Widywałem go niekiedy, jak stał tam wczepiony rękami w ten płot i z bezmyślną wytrwałością wpatrywał się w konie, które prowadzono w koło, by je rozgrzać.

To tyle na dzisiaj, mój drogi, już prawie wpół do szóstej, a nie wykluczam, że za kilka minut zjawi się tu jeszcze jeden gość – gość, któremu muszę stawić czoła: omal nie zapomniałem o tym. Nie musisz się tak spieszyć, Martinie, jeszcze czas...

Nie, nie siedziałeś wcale za długo, widzisz przecież, że czuję się lepiej, a takie deszczowe powietrze jak teraz odświeża mnie.

Parasol, nie zapomnij parasola. Czy mówiłem ci już, że kiedy przekazuję ci kawałek przeszłości, czuję niekiedy ulgę?

Tak? Tylko widzisz: na tym uczuciu ulgi nie można polegać, nie, nie można...

X

Wchodź śmiało, Martinie, wchodź i siadaj. Dziś obchodzimy wspólny jubileusz, dziś odwiedzasz mnie po raz dziesiąty i z tej okazji mogę cię podjąć domowym ciastem, oszczędną babką piaskową Caroli, majstersztykiem oszczędności, jeśli chodzi o składniki. Tak, moja żona była tu znów, musiała mi przynieść narosłą korespondencję – zawiadomienia i ankiety najróżniejszych instytucji ubezpieczających od ognia, które kolejny raz z rzędu dowodzą, jak rozsądny okaże się świat, jeśli będzie na nim panował prymat celów. Rzeczywiście, świat staje się

natychmiast niezwykłym zjawiskiem, jeśli żyje się dla jedyne go celu, jakim jest udaremnienie pożaru...

Chodź, spróbuj ciasta, a jeśli odgadniesz wszystkie składniki, dołożę ci później jeszcze jedną porcję.

Ogień może powstać na różne sposoby, a ileż jest materiałów łatwopalnych! – właściwie każdy dom powinien być wyposażony w urządzenie do sztucznego zraszania ścian, poza tym każdy obywatel powinien mieć przeszkolenie strażackie. Ankieta ubezpieczalni ukazała mi w każdym razie, że sens życia można widzieć i znaleźć również w zapobieganiu pożarom.

Ale zostawmy to, mój drogi, nie powinienem zapomnieć o podziękowaniu, chcę ci podziękować za chwilową rezygnację, co, jak się domyślam, uczyniłeś tylko ze względu na mnie. Nie patrz na mnie z takim zdumieniem, mam swoje tajne kanały, wiem więcej, niż sądzisz, a więc także i to, że wycofałeś podanie i przesunąłeś podróż na kutrze badawczym. Wiem nawet, że udajecie się w kierunku zachodniego wybrzeża Afryki, na Zachodni Szelf, gdzie na dużej głębokości macie nadzieję złowić mało znane ryby, błyszczące, smakowite potwory. My zawsze musimy coś wymyślić...

Wybacz mój uśmiech, ale wiesz, o czym teraz pomyślałem? O usiłowaniach butnych jeźdźców Wschodu, by nadać owym czasom własne piętno, a to znaczy: skorygować historię przez nadanie jej nowych imion; w pewnym momencie stało się to u nas modne; każdy, kto sądził, że w jakiejś nazwie jest za dużo spółgłosek – czy to było nazwisko, miejscowość czy rzeka – ten mógł ją przechrzcić, tak, nawet rzeczy można było przemianować, nowe nazwy miały ukryć niepewne lub niemiłe pochodzenie; swojskie nazwy, na których człowiek łamał sobie język, ale do których z dawien dawna przywykł, zostały usunięte z urzędowego obiegu i zastąpione gładko brzmiącymi słowami niemieckimi. Tak jest, nazwy miały być zastawem, przedmurzem i gwarancją, i czym tam jeszcze.

Doświadczył tego Eugen Lawrenz, przeżył to podczas swej ostatniej, najkrótszej wędrówki, na którą wyruszył nie dlatego, iż sądził, że stał się dla nas ciężarem, ile raczej ciągnęło go, by zatroszczyć się o wszystkie piece kaflowe w okolicy, które, jak twierdził, zbyt długo zaniedbywał. Wyruszył, jak zawsze, z przewieszonym przez ramię plecakiem i łopatką u boku; był początek czerwca, a powrócić chciał dopiero w porze ognisk na kartofliskach – Eugen Lawrenz, na ty z drogami i gospodami, a także z ludźmi, których kaflowymi piecami tak fachowo się zajmował. Po tygodniu już był z powrotem w domu, mrukliwy, zły, ale przede wszystkim zdecydowany nigdy więcej nie iść na zduńską włóczęgę. No i mamy, powiedział, zrobili z Mazur dom wariatów; i nie pytany, tak często opisywał nam przebieg swej wędrówki, że mogliśmy ją powtórzyć jego własnymi słowami.

A więc zdun Eugen Lawrenz opowiadał, że szedł długą drogą wysadzaną brzożami do Panistrugi, z niczym innym jeno życzliwością w sercu – szedł drogą, którą jego nogi znały, że tak powiem, na pamięć – kiedy w pewnej chwili stwierdził, że stare drogowskazy do Marcinowa i Maleczewa zostały zastąpione innymi: zamiast do znanych mu miejscowości, odgałęzienia drogi prowadziły teraz do Martinshöhe i Maleten. Sądził, że to pomyłka albo durny żart, i poszedł dalej w kierunku Panistrugi, bo po prostu stamtąd chciał powędrować dalej do Skrzypek i Krzyżewa, jak to zawsze robił. Młody przewoźnik, który miał go przeprowadzić przez rzeczkę Czerwonkę, udawał, że nie zrozumiał jego prośby, i z wyrzutem pokazał na tablicę, gdzie jako nazwa rzeczki figurowało Rotbach; pouczającym tonem miał on powiedzieć: – Stara Czerwonka wyschła, to i nie mogę nikogo przez nią przewieźć, a to, co teraz po wsze czasy tu płynie, to jest Rotbach; jak chcesz przez niego jechać, to włącz.

Eugen przeprowił się na drugi brzeg i – jak opowiadał – we wzburzeniu wydawało mu się, że brzegi starej Czerwonki rzeczywiście się zmieniły; nie mógł odnaleźć nagich, ognistobrazowych łąk, które przedtem przypominały mu zawsze przetarte miejsca jakiegoś futra. Gdy zbliżał się do miejscowości Panistruga, jak zawsze nadfrunęły stada czajek, które machając skrzydłami zbiły się w gromadę i atakowały go z obu stron drogi, dopóki nie dotarł do gospody Thurowa. Stała tu tablica z nazwą

miejsowości; była ona przemalowana i głosiła, że znajduje się w Herrenbach. Eugen Lawrenz poczuł się wtedy tak ogłupiały, że, jak twierdził, niczego nie potrzebował bardziej niż kieliszeczka nikolaszki; tak więc wkroczył do gospody, gdzie przy narożnym stole z nieruchomym wzrokiem siedział żandarm Iwaschkowski. Przepili do siebie, a potem zdun zapytał, czy w powiecie nie wybuchła przypadkiem jakaś nowa choroba, choroba zmieniania nazw, na co żandarm poradził pytającemu, aby na przyszłość nie zwracał się do niego per Iwaschkowski, ale Hausbruch, Waldemar Hausbruch.

Rozeźlony Lawrenz ruszył do Krzyżewa, minął Królową Wolę, która nazywała się teraz Königswald, i z zamkniętymi oczami przeszedł przez Kałęczyny, obecnie Lenzendorf, powlókł się przez zaciszne Skrzyпки, które przemieniły się w Geigenau; wierzyliśmy mu, gdy opowiadał, że kiedy w końcu próbowano go nakłonić, by mieszkańców Krzyżewa nazywał kreuzborniakami, jego rozdrażnienie musiało znaleźć sobie ujście. Zapytany w gospodzie w Kreuzbornie o nazwisko, zaproponował ich kilka do wyboru; między innymi Lanonowski; przywołany do porządku musiał wyznać, że nazwisko wyleciało mu z głowy. Ponieważ ludzie bez nazwiska nie mogli nocować w żadnej mazurskiej gospodzie, więc Eugen Lawrenz musiał spędzić pierwsze noce pod gołym niebem – raz pomiędzy pasącymi się końmi, które odgryzły mu podeszwy od butów.

W domu pewnego bogatego chłopca, któremu przed wielu laty zbudował piec z zielonych glazurowanych kafli, wytrzymał niedługo; mimo że musiał jeszcze umocnić kafle ozdobne i wymienić ogrzewcze, ulotnił się bez zapłaty, bo, jak mówił, kłótlivi małżonkowie za dużo od niego wymagali: chłop życzył sobie, by nazywano go wyłącznie jego nowym nazwiskiem Henneberg, żona natomiast obstawała przy starym – Kokostka; uprzykrzywszy sobie ciągłe wywody, których wysłuchiwać musiał po każdej pomyłce, wymknął się cichaczem i powędrował do Orzechowa, które przemianowało się pretensjonalnie na Nußberg, mimo iż nie było tam żadnej góry. Był tam sosnowy las znany od zawsze pod nazwą Ciemok, w którym Eugen Lawrenz jako młody zdun często znajdował schronienie przed jesiennymi wichurami; jak objaśnił go teraz

pewien urażony mieszkaniec Nußbergu, Ciemok to było dawno, a teraz jest Finsterwald. Na to Eugen Lawrenz po prostu pociągnął dalej przez Zawady i Brochów do Ławręcików, gdzie na stacji kolejki wąskotorowej przypomniał sobie własne nazwisko; natychmiast kupił bilet do Łukowca i, jak twierdził, podczas jazdy zaciągnął zasłonki, a na stacjach zatykał sobie uszy, żeby nie słyszeć wykrzykiwanych głośno nazw miejscowości, gdyż bardziej niż na czymkolwiek zależało mu, aby ocalić Mazury ze swoich wspomnień, gdzie wszystko znał i gdzie czuł się jak w domu. Na co to komu, jeśli wszystko brzmi pięknie po niemiecku, a przecie jest obce. Przepiórki zostaną na zawsze Przepiórkami, choćby się po stokroć nazywały Wachteldorf.

Co mówisz?

Tak, Martinie, tak, mogę to tylko potwierdzić: kto sądzi, że działa na rzecz nowych czasów, ten nie może pozostać przy starych nazwach, musi przemianowywać, zmieniać tablice, zawieszać nowe flagi, więcej jeszcze: kto rości sobie pretensje do przyszłości, tak jak czynili to jeźdźcy Wschodu, ten musi pilnować, by wszystkie zachowane świadectwa przemawiały na jego korzyść, i dlatego nie może uniknąć sortowania świadków i świadectw, tak, musi oddzielać, trzebić, czyścić; jego jedyne chyba zadanie to oddzielanie ziarna od plew wśród dowodów historii: przydatne tu, nieprzydatne tam, no, sam już wiesz. Nam też nie zostało to oszczędzone: po przemianowaniach przyszło usuwanie.

Nie, najpierw przysłano pocztą rozporządzenie z Królewca, listem poleconym z urzędu profesora Melzera-Tapiaua; polecono nam skatalogować od nowa inwentarz naszego muzeum, do tego miał być dołączony szczegółowy opis, dalej oczekiwano od nas danych na temat miejsca i czasu znalezienia oraz okoliczności zabezpieczenia eksponatów. Przynajmniej przede wszystkim jednak żądali „oddzielenia” wszelkich przedmiotów pochodzenia słowiańskiego albo których rodowód nie dawał się dokładnie ustalić. W przypadku wątpliwości doradzano nam, abyśmy decydowali się dany przedmiot „wciągnąć”.

Edith chciała mi pomóc, chciała zestawiać listy i na moją prośbę porównywać ze starymi, sporządzonymi przez nas samych katalogami. Trzeba ją było widzieć pierwszego wieczoru, kiedy razem wykonywaliśmy żadaną pracę, a przynajmniej staraliśmy się ją wykonać. Conny z pewnością zareagowałby podobnie, Edith prześcignęła go jeszcze w szyderstwie, gdy tak szła obok mnie z przygotowaną listą, wyrażając ironiczne współczucie, szydercze zdumienie i usłużność, z jaką oddała się do mojej dyspozycji, czekając, bym ogłosił pierwszą banicję, zdecydował o pierwszym wyrzuceniu. Jak myślisz, pytałem na przykład, te białe rękawiczki z mazurskim haftem? – noszono je nad Wisłą, u nas prawie nie. Co sądzisz o tym? Zabierała się gorliwie do pisania, nie uchodziło mojej uwagi, że wzruszała przy tym ramionami, tak że zaraz prosiłem ją, by się wstrzymała, by zaczekała. Nie, zostaw rękawiczki, pochodzą z Mrozów, obecnie Schönhorst, mogą zostać.

Wytrwale, w milczeniu przesuwaliśmy się wzdłuż półek, w pewnym momencie moje spojrzenie padło na grupę rzeźbionych figurek: wystrugane z drzewa, malowane kobiety niosące wodę patrzyły w ślad za grupą jeźdźców, z których jeden trzymał lancę z biało-czerwonym proporczykiem. Czy miałem wygnać całą grupę, czy też może wystarczyłoby tylko zerwać proporczyk z polskimi barwami? Jak myślisz, Edith? Ołówek już się pochylił, gotów notować każdy wyrok, który wydaję, ale nawet gdy tak udawała gorliwość i brak własnego zdania, czułem coraz wyraźniej, jak w skrytości ducha dziwiła się moim poczynaniom. Chwilami odnosiłem wrażenie, że postanowiła ani razu mi nie pomóc w podejmowaniu decyzji; rozkoszowała się moją niepewnością, moim zagubieniem, a co najmniej odczuwała złośliwą satysfakcję, obserwując moje kłopoty z ferowaniem wyroków. Myślałem wtedy o wuju Adamie...

A potem stanęliśmy przed pomalowanym na różne kolory chłopskim krzesłem; jego nieudolnie wyrzeźbione słupki, oparcie w kształcie trapezu nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, że pochodzi z południowej strony granicy – domowa robota jakiegoś biednego człowieka, którego nie stać było na opłacenie rzemieślnika:

przypuszczalnie przyniósł krzesło do nas, gdy zaoferowano mu pracę tu, na wsi, w lasach.

Nic więcej się nie zdarzyło: dotknąłem krzesła, przesunąłem ręką po oparciu, w dół słupków, być może wyobraziłem sobie właściciela – w każdym razie w tym momencie wiedziałem już, że tego, czego od nas żądają, nie może zrobić nikt, kto tu kiedyś żył... Nie miałem wątpliwości, że nie można wydać żadnego wyroku, nie raniąc przy tym i nie obrażając tych, którzy na tej ziemi trwali na jej piaszczystych polach, na skraju połyskujących bagien, o które się spierali, które sobie odbierali, których bronili i w których w końcu przepadli. Z jakim zdumieniem spojrzała na mnie Edith, gdy wyciągnąłem rękę po listę, złożyłem ją, a potem starannie podarłem, i z jaką ulgą, niemal dziękczynnie uśmiechnęła się do mnie, kiedy wziąłem ją po prostu za rękę i wyprowadziłem stamtąd; nie musiałem nic mówić, bo wszystko zostało już powiedziane.

Mam nadzieję, Martinie, że mnie rozumiesz. Przeszłość należy do nas wszystkich, nie można jej dzielić, wygładzać; to wszystko się przecież ze sobą zrasta, krzyżuje, utwierdza wzajemnie w żądzy posiadania, we władzy i w klęskach; niekiedy też, ale bardzo rzadko, w rozsądku; a kto próbuje rozdzielać rzeczy i dowody, któreśmy odziedziczyli, kto chce sprawić sobie czysty rodowód, ten wie, że musi użyć przemocy.

Nie wysłaliśmy tej listy, nie odpowiedzieliśmy na rozporządzenie z dalekiej stolicy, i z czasem uwierzyliśmy, że w urzędzie Melzera-Tapiaua zapomniano o nas i o całej tej sprawie, ale zdaje się, że ich uwagi nic ująć nie mogło, nawet rzeczy najbardziej niepozorne i uboczne.

Pewnej niedzieli mianowicie zgłosił się do nas jakiś przygarbiony mężczyzna o krzywych ramionach, z aktówką; pokazał nam przelotnie swą legitymację służbową i ledwo ją zdążył schować, tą samą ręką wyciągnął chusteczkę i przycisnął do ust, czekając, dopóki nie nastąpi suchy, szczekliwy kaszel. Podziękował za poczęstunek, nie chciał ani mleka, ani ziółek na kaszel, stojąc obok stołu, przy którym jedliśmy śniadanie, pogrzebał w teczce i wyłowił stamtąd segregator, a z segregatora kopię królewieckiego zarządzenia. Chciał wiedzieć, czy

dotarło ono do nas i czy zostały podjęte działania zgodnie z jego treścią. Taksując nas wodnistym spojrzeniem zapytywał również, czy żądane listy zostały sporządzone. Nie był ani rozczarowany, ani oburzony, kiedy z naszego milczenia musiał wywnioskować, że wprawdzie otrzymaliśmy rozporządzenie, lecz nie zastosowaliśmy się do niego. Zakładał, że spodziewaliśmy się jego wizyty; wcisnął segregator pod pachę, spytał o poszczególne pomieszczenia i zażądał, żeby mu towarzyszyć. Do naszych spontanicznych objaśnień nie przywiązywał żadnej wagi, dał nam to do zrozumienia, ignorując je po prostu.

Trzeba ci było widzieć, z jaką obojętnością potraktował Pawełka, który siedział w oszklonej szafie między tchórzem, borsukiem i wydrą, czesząc i głaszcząc wypchane zwierzaki i wsuwając im między zęby kulki z chleba. Nie mrugnął nawet, nie rzucił żartobliwego powitania w głąb oszklonej szafy, przeszedł obok dziecka jak obok jakiegoś nieważnego eksponatu, i zaraz potem zademonstrował nam, jak się wydaje wyroki na niewinne przedmioty – wyroki wygnania. Do tej pory dziwię się sobie, że tak cierpliwie przyglądałem się, jak tamten starał się wytropić i usunąć obce elementy; chwilami sprawiało to wrażenie, jak gdyby zabierał się do określania płci świeżo wyklutych kurcząt. Wybierał sobie jedną rzecz, oglądał ją z jednej strony, szybkim ruchem odwracał i lustrował spód, podnosił ukośnie do twarzy, jakby się w nią wsłuchiwał, po czym na wszystkim, co przejrzał i uznał za niepożądane, nalepiał kwit kontrolny z numerem i odnotowywał coś na swojej liście: pozbawienie obywatelstwa było postanowione. Uzasadnienia uważał za zbędne.

A jednak, mój drogi, niestety, to prawda: z początku nie przychodziło mi do głowy nic innego jak towarzyszyć mu przy ocenianiu inwentarza i przyczepianiu do poszczególnych przedmiotów kwitu stwierdzającego skazę; szedłem automatycznie obok niego, zupełnie jak gdyby ta selekcja była czymś nieodwołalnym; tutaj, ta zdobiona faska na masło – znamy te ornamenty z wielkiego łuku Wisły, możemy z niej spokojnie zrezygnować; albo ten zębaty wałek do międlenia lnu: już z daleka widać jego polskie pochodzenie. Tak to się właśnie odbywało. Rzeźbione figurki kobiet niosących wodę i jeźdźców tak poprzestawiał, że scena zupełnie się zmieniła: wyglądało, że teraz te kobiety uciekają przed atakującymi

jeźdźcami. Stojąc przed narożną szafą powiedział dosłownie: – Kto to się tu przybłąkał aż z Kaszub? – a spośród wielu desek do maglowania bezbłądnie wyszukał tę, którą wuj Adam odkupił od Cyganów.

Jak już mówiłem, z początku tylko siedłem obok, wysłuchiwałem jego monotonnych wyroków, od czasu do czasu wypowiadałem jakąś uwagę, coś na korzyść przedmiotów, których rodowód był niepewny, zwłaszcza udało mi się oczyścić z podejrzeń niektóre zabawki. W sali dywanów jednakowoż w końcu oprzytomniałem.

Po ataku kaszlu, który napędził mu łzy do oczu, gość zagłębił się w studiowanie naszego zbioru derek i koców, który z pomocą Sonji Turk tak wzbogaciłem, że „Gazeta Łukowiecka” zdobyła się na stwierdzenie, iż mazurska sztuka tkacka nigdy dotąd nie była tak kompletnie reprezentowana. Natychmiast wyczułem, do czego zmierzał: interesowały go treści, figury i symbole. Jasne, że zamek z bramą i tarasem nie wydał mu się podejrzany, nie mógł on wszak oznaczać nic innego niż trwałość, symbol zbrojnej siły. Biały skaczący jeleń, jeleń nadziei i złudzeń, uchodzący w wierzeniach mazurskich za zwierzę święte, znalazł nie mniejsze uznanie niż boski koń, Siwek Wotana, którego uważano za symbol oswojonej władzy. Łabędź przywodzi na myśl czystość, a bocian ma to do siebie, że uważany jest za symbol płodności. W każdym razie żaden z nich nie wzbudził podejrzeń wysłannika z Królewca. Zgodził się na kury, gęsi, na krowy i drzewa życia – mógłbym z góry przepowiedzieć, które figury i symbole zaaprobuje, a którym, że tak powiem, będzie chciał odmówić prawa pobytu. Fantastyczne zwierzęce stwory – a więc także zwierzęta w częściowo ludzkiej postaci – łączone motywy serc, a zwłaszcza niektóre sceny biblijne wzbudziły rychło jego dezaprobatę i niezwłocznie trafiły na listę.

A potem przywołał mnie i stwierdził od niechcienia, że niektóre eksponaty nie zasługują na to, aby je pokazywać w tym otoczeniu, rzeczy, w których do głosu dochodzi element „obcy”, odmienny – można by to także określić: nieniemiecki – i aby tych „złoczyńców”, wylegających się tu w sąsiedztwie, na które nie zasłużyli, łatwiej można było wyodrębnić, napiętnował je właśnie numerowanymi nalepkami. Wskazał na żółtawe

karteczki, po czym skinął głową, zadowolony z siebie, i już się odwracał, by pójść do następnej sali, gdy go zatrzymałem, po prostu zastąpiłem mu drogę, co go bynajmniej nie zdziwiło, a tym bardziej nie zakłopotало; patrzył tylko na mnie, jak gdyby liczył się z możliwością, że w tym momencie ktoś mu zastąpi drogę.

Tak? Coś jeszcze? Wcale nie zamierzałem powiedzieć mu tak dużo, ile mu w końcu powiedziałem; to chyba ta obojętność, z jaką wszystko wysłedził i skwitował, winna była temu, że najpierw zażądałem od niego, aby usunął swoje kartki z kilimów, gdyż uważałem, że zanieczyszczają nasze zbiory, które jak żadne inne obrazują rozwój mazurskiej sztuki tkackiej. Ponieważ zignorował moje żądanie, spoglądając tylko na mnie obojętnie, sam zacząłem zdzierać nalepki; zdzierałem i zrywałem jego piętujące znaki; pamiętam jeszcze, że od razu się lepiej poczułem, a na jego rzeczowe pytanie, czy nie żartuję, odpowiedziałem spokojnie: – Nie, to nie żarty.

Na to zwrócił się znowu ku kilimom, zupełnie jakby uznał, że rzeczywiście cokolwiek pobieżnie określił ich tożsamość, i próbując dotykiem tkaniny, spytał cicho, czy jest mi wiadome, że mógłbym zostać zmuszony do usunięcia wszystkiego, co „obce jest duchowi niemieckiemu”, a to zgodnie z ustawą o ochronie dóbr niemieckiej kultury.

Moje wyjaśnienie, że nasze muzeum jest instytucją prywatną, założoną przez wuja Adama, przejętą i rozbudowaną przeze mnie, nie zrobiło na nim wrażenia. Zwrócony ku dywanom beznamiętnym głosem zauważył, że nasze muzeum otrzymywało systematycznie dotacje i że publiczność miała do niego regularny dostęp; w takim przypadku, mówił obojętnie, władza musi spełniać swój obowiązek nadzoru. Tak to się właśnie odbyło. Był wtajemniczony, znana mu była sytuacja, a raz zacząwszy, nie poprzestał na odpowiedzi na moje pytanie, lecz dalej ciągnął tę samą śpiewkę; nieproszony rzucał mi wskazówki, rozporządzenia, najnowsze ustawy, które wszystkie bez wyjątku nic a nic mnie nie obchodziły.

Ale co to ja chciałem ci opowiedzieć?

Z początku tylko potrząsałem głową i zaprzeczałem mu, potem zażądałem dowodów, które podawał mi bezosobowym, obojętnym głosem, cytując odnośną ustawę. Coraz bardziej niezadowolony, domagałem się, aby uzasadnił, od jakiego momentu społeczeństwo może rościć pretensje do przedmiotów, które zdobył i zgromadził pojedynczy człowiek, sam dla siebie, i zirytowany pewnością i chłodem, z jakim również na to odpowiedział – wyraził się mniej więcej tak: „To sąd wspólnoty określa moment, w którym jakaś rzecz nabiera wartości dla wszystkich”; sprowokowany jego natychmiastowymi odpowiedziami, a zwłaszcza jego obojętnością, schwyciłem jakiś nóż i zamierzyłem się na jeden z kilimów. Czego się po tym spodziewałem? Potwierdzenia, że dywan ciągle jeszcze należy do mnie, mam więc prawo zrobić z nim wszystko, co mi się podoba, nie licząc się z jakimś tam społeczeństwem. Wiesz, co mi na to odpowiedział? Mogę sobie rościć prawo do materialnej wartości kilimu, natomiast wartość duchową muszę jakoby dzielić z innymi – ze wspólnotą narodową, jak się wyraził.

Nie pytaj, co pragnąłem sobie, czy jemu udowodnić, kiedy wbiłem nóż w niewielki chodniczek i usiłowałem przeciągnąć klingę po tkaninie, nie pytaj mnie także, co obiecywałem sobie po tym, że z całej siły cisnąłem o ziemię dwie wczesne ręczne ramy tkackie, aż spojenia ustąpiły i rozeszły się. Po prostu czułem, że muszę zdobyć pewność, co mi jeszcze pozostało. Może czułem się także zaskoczony, przechytrzony znienacka przez warunki, których nikt nie mógł przewidzieć. Tak szybko wykonywałem to, co dyktowała mi moja wściekłość, że w ogóle nie zauważyłem, gdzie się podział gość. Edith powiedziała mi później, że chyba przez cały czas mojego wybuchu siedział na parapecie i z rzadka zaszczycił mnie spojrzeniem, gdyż sprawdzanie swoich list wydawało mu się ważniejsze. W każdym razie coś musiało mnie prowadzić, coś mną kierowało; fakt, że nie uszkodziłem ani jednego przedmiotu, który on skalał swoją nalepką, mówił chyba sam za siebie; nawet w mym pomieszeniu zachowałem cząstkę jasności, która pozwoliła mi rozróżnić – ach, zostawmy to. Edith spowodowała, że się uspokoiłem, widziałem, jak przerażenie ścięło jej twarz, kiedy ukazała się w drzwiach, a potem rzuciła się na mnie, odebrała mi nóż i pchnęła na sofę.

Stojąc za mną, z rękami na moich ramionach, poprosiła gościa, by opuścił nasz dom. O wybaczenie go nie prosiła. – Już chyba pora, żeby zostawił nas pan samych – powiedziała, a kiedy mężczyzna zsunął się z parapetu i – niby znak zapytania – stał, oczekując widocznie jeszcze jakichś wyjaśnień, rzekła ostrzegawczo: – Co tu się ma dziać, o tym decydujemy ciągle jeszcze my.

Wtedy poszedł, skłoniwszy się ledwie dostrzegalnie, a Edith stała dalej za mną, ściskając mi mocniej ramiona, zbadala i oceniła szkody, które wyrządziłem – nie żeby podsumować straty, ale żeby zorientować się, co tu zaszło. Mój Bosze, szeptała, och, mój Bosze. Spróbowałem wytłumaczyć jej, jak do tego doszło. – Cicho bądź, Zygmunt, powiedziała, rozumiem wszystko, cicho bądź. – Powtórzyłem jej stwierdzenia gościa i wyłuszczyłem, co się stanie, jeśli jakaś samowolna władza położy rękę na naszych zbiorach. – Nie zrobią tego, powiedziała Edith, nie mogą tego zrobić. – Po raz pierwszy pomyślałem wtedy o tym, żeby raczej rozwiązać lub zniszczyć muzeum, niż poddać je regulaminowi narodowych dozorców, a Edith jak gdyby wyczuła, co mi przyszło do głowy, bo rzekła: – W razie czego zawsze jest jeszcze trzecia możliwość.

Tak, wtedy po raz pierwszy brałem pod uwagę zlikwidowanie muzeum...

Cierpliwości, mój drogi, zaraz się dowiesz, co Edith rozumiała przez trzecią możliwość, bowiem jeszcze tej samej niedzieli gość pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie umundurowanego Henseleita, pojawił się akurat w momencie, gdy zakopywaliśmy na pół rozkładającego się prosiaka, przyniesionego przez rzekę, którego Pawełek wydobył grabiami. Ponieważ Pawełek chciał urządzić mu pogrzeb, więc goście musieli poczekać, to znaczy bez świadków dokonać przeglądu muzeum, i, jak później zauważyliśmy, to Henseleit sporządził listę, podczas gdy mężczyzna z urzędu Melzera-Tapiaua sprawnie i beznamiętnie podejmował swoje decyzje.

– Właśnie przeczesujemy muzeum – powiedział Henseleit na powitanie i wyciągnął do mnie wskazujący palec. Poszliśmy oboje za nim; Edith pozostała przy mnie, chociaż Pawełek wzywał ją rozpaczliwie z dworu,

trzymała mnie mocno za rękę, przyjmując rzucane decyzje do wiadomości z nieprzeniknionym spokojem, niekiedy wydawało mi się, że się uśmiecha, uśmieszkiem wyższości. Ani na chwilę nie zostawialiśmy ich samych, a potem, gdy zakończyli już swą pracę nieomylnych sędziów, poszliśmy za nimi do sieni, gdzie z czegoś w rodzaju podsumowania dowiedzieliśmy się, że do wszystkich list sporządzone zostaną duplikaty, niezwłocznie, i że zostaną nam one przysłane wraz z prośbą, abyśmy dopilnowali zaleconego oczyszczenia zbiorów, również niezwłocznie.

W tym momencie Edith zabrała głos. Przedtem dmuchnęła na swój świecznik, wprawiając wiszące metalowe romby w wirowanie, i głosem nie znoszącym sprzeciwu oświadczyła, że przysyłanie list jest zbędne, tak, i powielanie, i przysyłanie. Po czym w milczeniu przeszła przez sień i zdjęła trzy wypisane ręcznie tabliczki z tektury. Wyciągnęła je po kolei w kierunku gości, tę z godzinami otwarcia i tę z cenami dla dorosłych, dzieci i klas szkolnych, a w końcu nieodzowną tabliczkę, na której prosiliśmy o wyrozumiałość, że nie możemy brać odpowiedzialności za pozostawione okrycia. Jak już mówiłem, wyciągnęła do nich tabliczki – o, proszę popatrzeć – a potem mocno i celnie uderzyła tabliczkami o kolano, tak że tektura się załamała i w miejscu załamania dała się lekko rozedrzeć, i kiedy już podarła wszystkie tabliczki na kawałki wielkości podstawek do piwa, wręczyła te skrawki Henseleitowi: – Proszę to zachować, jako dowód, jako wniosek: to jest mianowicie nasz wniosek o zamknięcie muzeum dla publiczności; nie musimy chyba czekać na zgodę.

Trzeba ci było widzieć tę bezradność, to zakłopotanie, i to nie tylko Henseleita i jego towarzysza, ale i moją, tak, bo nawet jeśli rozważałem kiedykolwiek możliwość zamknięcia, to teraz przyszło to zbyt nieoczekiwanie, a przy tym zostało ogłoszone w tak oczywisty sposób, jakbyśmy to już dawno ustalili. Nie mogłem przerwać Edith, zgadzałem się z nią w nieustającym oszołomieniu, nikt nie zauważył, jak mój wzrok i postawa wzajemnie sobie przeczyły. – Od dziś, powiedziała Edith, traktujemy to muzeum jako wyłącznie prywatny zbiór; jest znowu tym, czym już kiedyś było, i chyba nikt nie ma nic przeciwko temu.

Mężczyźni wycofali się w kąt, akurat pod moim dyplomem mistrzowskim naradzali się, to znaczy zwierali się jedynie ze swego zakłopotania i ubolewali nad utratą kompetencji, a na pożegnanie Henseleit nie miał nic więcej do powiedzenia ponad to, że nasze roszczenia do publicznych dotacji tracą swoją moc: – Odtąd koniec z subwencjami.

Jednakże kaszlący mężczyzna sądził, że nie może się zgodzić na oświadczenie Edith; dał nam do zrozumienia, że trzeba tu jeszcze coś sprawdzić i że instytucja, którą społeczeństwo przyzwyczyło się uważać za publiczną, nie może tak ni z tego, ni z owego stać się sprawą prywatną, tak po prostu przez oznajmienie swojej woli, jak się wyraził. Zapowiedział też urzędowe dochodzenie i rychłe decyzje.

Nie mogę powiedzieć, czy tą pogroźką chciał się zemścić za daremny trud węszenia; raczej objawił on na odchodnym zainteresowanie fachowca przypadkiem, który jeszcze mu się nie przydarzył. A czy wiesz, jak Edith rozładowała napięcie między nami, kiedy już zostaliśmy sami i z początku nic nie mogliśmy mówić, bo zbyt wiele trzeba by było powiedzieć? Postukała palcem w tabliczkę, która kierowała zwiedzających do toalety, i pokazała na mnie: – Patrz, Zygmunt, jeszcze jedno zadanie dla ciebie; te tabliczki też są teraz niepotrzebne, nareszcie można je usunąć...

Tak, Martinie, mimo wszystko nie chciałbym nazwać tego protestem, gdyż z naszego punktu widzenia był to nie tyle protest, co raczej spokojna rezygnacja; nie podporządkowaliśmy się ich planom dyrygowania naszym muzeum, narzucenia mu jakiejś tendencyjności, jakiegoś porządku, jak tamci sobie życzyli: nieuczciwego porządku spreparowanej historii...

Tylko odrobinę soku, dziękuję...

Gdyż dla nas, osiedlonych w sąsiedztwie sławnych bagien – dla nas historia przedstawiała się jako połyskujące, ciemne, zwodnicze bajoro, które nigdy nie rozjaśniało się do samego dna; nieświadomie nie ufaliśmy nikomu, kto chciał nam narzucić jakieś porządki albo próbował rozświecić mrok życiodajnych błot.

W każdym razie zamknęliśmy muzeum dla publiczności; nowy plakat, przybity do słupka przed mostem, miał nakłaniać zwiedzających, by zawczasu zawrócili – miał: powiedziałem, gdyż stwierdziliśmy, że plakat bynajmniej nie spełniał funkcji, jakiej się po nim spodziewaliśmy. Wielu dzwoniło do drzwi i domagało się nie tylko ustnego potwierdzenia, lecz także życzyło sobie, by ich poinformować o przyczynie zamknięcia. Każdy z nas, nawet Pawełek, jeśli podszedł do drzwi – uzasadniał zamknięcie tym samym zwrotem: sprawa prywatna, i ściśle biorąc, to się częściowo zgadzało.

Ależ tak, nie wiem, czy uwierzysz, że nawet jeśli z początku rozkoszowaliśmy się ciszą i bynajmniej nie odczuwaliśmy braku hałaśliwych wycieczek szkolnych – stopniowo musieliśmy przyznać się, że czegoś nam nie dostaje, i to zarówno zatopionych w myślach, pojedynczych osób, jak i tłoczących się niecierpliwie grup. Czego mi najbardziej brakowało? Nie, ani zachwyty, ani radości odkrywania, czy wręcz pewnego rodzaju nabożnych, ciejących spojrzeń; raczej nie mogłem pogodzić się z tym, że zebranych tu świadectw naszego minionego życia nikt już nie ogląda. Rozumiesz? Wartość wszystkich tych przedmiotów polegała przecież na tym, że ludzie je widzieli, że patrząc na nie dowiadywali się czegoś o sobie. A teraz trwały w osamotnieniu – owi świadkowie naszej przeszłości, eksponaty, opatrzone napisami i pieczołowicie poukładane w skrzyniach, gablotkach i na regałach, oczyszczone z ziemi i popiołu, a jednak na powrót w nowych, mrocznych kryjówkach – zupełnie jakby umarły drugą, reprezentacyjną śmiercią. Ale my godziliśmy się z tym, musieliśmy się z tym pogodzić; a ponieważ urząd Melzera-Tapiaua mimo zapowiedzi ciągle nie zajmował stanowiska wobec naszej decyzji, więc mieliśmy niekiedy uczucie, że w tym okresie odzyskaliśmy spokój. Muszę przyznać, że zależało mi na takim spokoju, w tym punkcie różniłem się od Conny'ego, który nie chciał się na nic godzić, w każdej sytuacji uważał, że musi interweniować, bez względu na to, czy mógł coś przez to osiągnąć – twierdził zawsze, że wystarczy mu już sam protest.

A jednak i dla Conny'ego Karrascha nadszedł dzień, w którym nie wiedział, co robić, i gotów był się poddać; pamiętam moment, gdy

bezwolny, jak w lunatycznym transie, siedział przy naszym stole, podczas gdy my lękliwie staraliśmy się nie przerywać-ciszy, po prostu baliśmy się, że wraz z jego ocknięciem musi nastąpić jakaś katastrofa. Właśnie nam opowiedział, co mu się przydarzyło, a raczej: w co się z własnej woli wplątał, nie przewidziawszy następstw; właśnie zakończył swą relację i zdawał się mieć tak nikłą nadzieję na jakąś radę czy rozwiązanie, iż zaraz potem zapadł w ten lunatyczny stan. A my rozmyślaliśmy tymczasem o jego opowieści.

Wyobraź sobie tylko, że w drugą niedzielę września, a więc w Dzień Tarski, Conny także był na Tarskich Wzgórzach na południe od Łukowca; pojechał tam motocyklem, by wraz z innymi przeżywać to, co rozgrywało się tu każdego roku o tej samej porze, a mianowicie szturmowanie lesistego wzniesienia, dominującego jak naturalna twierdza nad południową drogą dojazdową. Tarskie Wzgórze wyglądało z daleka jak potężny, brązowoszary grzyb, którego nóżka nie zdołała wydostać się z ziemi; na pamiątkę szczęśliwego zdobycia i obrony wzgórza podczas ostatniej wojny w każdą drugą niedzielę września żołnierze garnizonu łukowieckiego, przebrani w historyczne mundury strzelców petersburskich i podziemnej landwery, dla rozrywki szturmowali wzniesienie i zdobywali je bez wysiłku.

Ten dzień miał dla nas duże znaczenie: browar „Masovia” produkował specjalne mocne piwo pod nazwą „Tarskie”, niektóre cukiernie wystawiały w witrynie torty z sylwetką słynnego wzgórza; hotel „Luisenhof” przystrajano flagami i girlandami na wielki bal z okazji rocznicy szturm, szykowano się, by zaspokoić pragnienie ośmiuset gości. Ponadto pod miejscowością Tarsko – „miejscowość” to zresztą za dużo powiedziane: zaledwie parę rozrzuconych zagród – a więc u stóp wzniesienia rozbito namioty z piwem, w kuchniach polowych bulgotała tradycyjna zupa z soczewicy, rozstawiono kramy, namiot sanitarny, wóz z megafonem, przenośną toaletę, a także wkomponowaną w zбочce trybunę honorową z lśniących świeżością desek.

Conny przedostał się do trybuny i chociaż zmuszony był przeciskać się między stłoczonymi ciałami widzów, mógł słyszeć zapowiedzi z głośnika i

dowiedział się z nich, dla kogo przeznaczony był zrywający się falami aplauz.

A więc znowu wynaleźli jakiegoś weterana. Udały im się poszukiwania, bo w Grabniku wytropili ostatniego – jak sądzili – weterana, który brał udział w prawdziwym, rzeczywistym szturmie Tarskiego Wzgórza. Był to Bruno Baltuschat, odznaczony Żelaznym Krzyżem drugiej klasy. – A oto nasz bohater, Bruno Baltuschat – głosił megafon. Conny od razu go dostrzegł, gdy wreszcie dotarł do podpór wzmacniających trybunę honorową: oflankowany przez dowódców garnizonu, w nowym, zbyt sztywnym mundurze, nieśmiało, ba, niemal z lękiem, z plamami wilgoci na wąsach i kaprawymi, świńskimi oczkami, weteran siedział na drewnianym składanym krześle, podczas gdy wszyscy inni – oficerowie, urzędnicy z Łukowca, przywódcy w brunatnych i czarnych mundurach – musieli się zadowolić miejscem na ławce.

Niepokój, który dojrzał Conny u Brunona Baltuschata, zdawał się w miarę przybywania coraz to nowych gości honorowych raczej wzmacniać niż słabnąć – pojawił się również jeden generał i duchowieństwo, dyrektorzy szkół i burmistrzowie sąsiednich miejscowości, i im więcej gości honorowych wdrapywało się na trybunę, tym bardziej nieswój wydawał się weteran, coś go dręczyło, coś podrywało ze składanego krzesła i kazało niespokojnie lustrować otaczające go twarze; nie zwracał uwagi na cygara, podsuwane mu w skórzanych etui przez życzliwych sąsiadów. Wreszcie ordynansi w białych kurtkach nalali honorowym gościom piwa, a ci stukając obcasami przepijali do siebie, postępując z zadowoleniem i wierzchem dłoni niedbale obcierając sobie pianę z ust; w dobrym humorze wysłuchali wszyscy wiadomości z głośnika, że oddziały dotarły na tereny przygotowawcze i zajęły stanowiska. Lornetki skierowały się w stronę rzadkiego lasu na wzgórzu, czysty ton trąbki, jasny i pytający, wzniósł się w górę, odpowiedziała mu cienko jakaś inna trąbka z drugiej strony wzniesienia, i zanim jeszcze przebrzmiały ostatnie tony, na białoniebieskim niebie nad polem bitwy pękły pierwsze szrapnele; ja sam niejeden raz już to przeżyłem.

Conny nie mógł wprost oderwać wzroku do Brunona Baltuschata, którego podniecenie nie było spowodowane niewidoczną z początku, lecz hałaśliwą bitwą, bardziej niż suchy stukot wystrzałów, dochodzący zza wzgórze, interesowały go twarze widzów, które badał przy pomocy pożyczonej lornetki. Szturm rozpoczął się, to znaczy najpierw wzgórze zostało zaatakowane od drugiej strony przez strzelców petersburskich i zgodnie z faktami, którym nie można było zaprzeczyć, tamci zmusili naszą landwerę do odwrotu: z początku pojedynczo, a potem grupkami żołnierze w szarych polowych mundurach wycofali się z lasu i w sfornym ordynku spuszczaali się w dół zbocza aż do jasnego pasa porośniętego krzakami. A tam w górze już się pojawiły mundury koloru gliny i sygnał trąbki obwieścił wstrzymanie ognia i zwycięstwo – chwilowe zwycięstwo; ogień karabinowy zaciął. Wszystkie lornetki skierowane były na skraj lasu, wszystkie oprócz pożyczonej lornetki weterana: Baltuschat pochłonięty był wyłącznie pragnieniem, by się jak najmocniej skurczyć i skryć za plecami oficerów; Conny widział to, nie uszło też jego uwagi, że weteran drgnął na widok śniadego mężczyzny w przesadnie szerokiej pelerynie cywila, który nawet nie starał się ukryć swego zainteresowania dla wszystkich gości honorowych z osobna.

Na wrześnieowym niebie rozpryskiwały się teraz rakiety, świetne kule, zdające się pochodzić z wnętrza ziemi, gdyż u podnóża góry nie można było dostrzec żadnego poruszenia; jednakże wkrótce potem dał się zauważyć jakiś ruch w rowach i zaroślach i za usypanymi kopczykami ziemi; kępki trawy przesunęły się, a pokryte liśćmi gałęzie powędrowały w stronę zbocza, okolica ożywiła się, jakby chcąc się na nowo podzielić i wymieszać, a potem ze wzgórze zabrzmiały odgłosy wybuchów, szare welony w kształcie grzybów uniosły się w górę, a kiedy na skraju lasu zaczął terkotać wściekle ogień karabinowy, trąbka zagrała sygnał do ataku.

Generał zwrócił się łaskawie do weterana, skierował jego uwagę na żołnierzy landwery, którzy w silnym ogniu podnieśli się do natarcia, wskazał na ciężkie, zamaskowane karabiny maszynowe, które osłaniały atakujących – Baltuschat kiwał ulegle głową, potakiwał gorliwie, po czym natychmiast odszukał wzrokiem ciemnoskórego mężczyznę w pelerynie.

Generał uśmiechnął się wyrozumiale, może był zdolny do uczuć ojcowskich, a nawet może potrafił wczuć się w położenie weterana, którego zaproszono, aby mógł jeszcze raz przeżyć zapomniane chwile męstwa albo strachu, w każdym razie nie ustawał w uświadamianiu Baltuschatowi kolejnych etapów natarcia z pozycji wyższego rangą.

Tymczasem żołnierze w szarych mundurach dotarli już dalej niż do połowy wzgórza, kiedy generałowi przyszedł do głowy pomysł, na który nikt jeszcze nie wpadł: mianowicie zapragnął dowiedzieć się, jaką pozycję zajmował swego czasu weteran; chciał, żeby mu pokazał położenie jego dołka osłaniającego, materiał, którego używał najchętniej do maskowania, trasę, którą mniej więcej przebył wtedy lub musiał przebyć idąc do ataku. Po raz pierwszy widzowie święta z okazji szturm mogli zobaczyć, jak generał wziął pod ramię weterana i podczas gdy natarcie jeszcze trwało, opuścił wraz z nim trybunę honorową – ma się rozumieć z orszakiem, w który oczywiście wkręcił się i Conny.

Szukali więc miejsca, na którym mógł leżeć kiedyś Bruno Baltuschat i przytulać się do ziemi; musiał sobie przypominać, mierzyć, porównywać, a generał bynajmniej się nie gniewał, że mężczyzna niczego nie zapamiętał. – Może tu, w tej muldzie? – Melduję posłusznie, że to możliwe, ale może też nie. – A ten garb, tam, jakby stworzony dla osłony atakującego? – Melduję posłusznie, ten garb nie jest mi bliżej znany. – Generał okazał zrozumienie dla takiego braku pamięci, nawet mu się to podobało: bohaterowie nie obciążają sobie pamięci detalami geograficznymi. Podążyli w ślad za nacierającymi na zalesione wzgórze; ogień u wylotu karabinów tworzył łańcuch szybkich błyskawic; tu i ówdzie któryś z atakujących padał i przekonująco turlał się kawałek w dół, ale życzliwe dotknięcie czubkiem buta generała pozwalało mu zmartwychwstać i złożyć meldunek.

W górze pod laskiem pękały granaty ręczne, ogień artyleryjski przybierał na sile, na chwałę niegdysiejszych zdobywców odnoszono tam ponowne zwycięstwo, gromkie „hurra” już je zapowiadało, i generał poprosił weterana, by sobie przypomniał, w którym miejscu on sam swego czasu

walcząc wdarł się w zarośla: – Melduję posłusznie, może to było koło krzaków leszczyny, ale może i tam, koło świerka.

Żołnierze w szarych mundurach zajęli porośnięte lasem wzgórze, mundury koloru gliny uciekały, wszystko szło dobrze, wprost znakomicie; przy wtórze przeciągłego, elegijnego sygnału trąbki zwycięzcy zdjęli hełmy i opuścili wzrok na ziemię. Także Conny popatrzył w ziemię, ale kątem oka obserwował zdumiony, jak mężczyzna w obszernej pelerynie zbliżył się bezszelestnie i skierował do drzewa, o które oparł się Bruno Baltuschat, syknięcie, jakaś pogróżka, na które weteran odpowiedział pokorną prośbą o cierpliwość – więcej Conny nie usłyszał, gdyż generał już znowu zwrócił się do bohatera i pociągnął go na świeżo wyrąbaną przesiekę dla omówienia sytuacji.

Conny zaś podążył za śniadym mężczyzną, który nazywał się Simoneit i pochodził z Gorłówka, zaraz za Tarskiem; poszedł za nim i próbował nawiązać rozmowę o przebiegu tegorocznego szturmu, a im uparciej tamten milczał, tym silniej Conny wyczuwał oburzenie i pogardę obcego dla owej uroczystości. Wreszcie Conny zaprosił go do namiotu i ugościł piwem „Tarskie”, a gdy potem celowo zaczął mówić o Brunonie Baltuschacie, Simoneit spojrzał tylko na niego z politowaniem i pogardą, zupełnie jak gdyby wymienił nazwisko człowieka, który właśnie przegrał z kretesem swoją i tak zaszarganą przyszłość. Conny nie musiał już udawać ciekawości i zdumienia, gdyż Simoneit zdecydował się wygarnąć wszystko, co wiedział.

On, Simoneit, był także weteranem tych walk, on też zdobywał niegdyś Tarskie Wzgórze, ale wszystkie jego prośby, by chociaż raz znaleźć się w rocznicę bitwy na trybunie honorowej, były odrzucane, ponieważ parę razy, jakkolwiek tylko przez krótki okres, siedział w łukowieckim więzieniu, tak, za kłusownictwo. Nic nie przemawiało na korzyść jego petycji: ani Żelazny Krzyż pierwszej klasy, ani fakt, że komitetowi organizującemu rocznicę bitwy coraz trudniej przychodziło wynaleźć jeszcze jednego weterana, zdolnego do poruszania się o własnych siłach. Kiedy dowiedział się, że niejaki Bruno Baltuschat odkryty został przez komisję i wybrany, by z uprzywilejowanego składanego krzeselka śledzić

natarcie, uznał, że nadarza się ostatnia okazja, by spełniło się jego najgorętsze marzenie.

Pojechał do Baltuschata, który mieszkał w Grabniku, i zaproponował mu, by zrezygnował z nominacji i odstąpił jemu, Simoneitowi, dostarczony już mundur, więcej nawet, dał mu do zrozumienia, że on ma chyba większe prawo do siedzenia na trybunie honorowej niż Baltuschat. To nie Baltuschat odrzucił propozycję; uczyniła to jego żona i obie córki; trwały przy swym postanowieniu nawet wtedy, gdy Simoneit zrobił aluzję do jakiegoś epizodu, samo napomknienie którego wystarczyło, by Baltuschatowi zabrakło tchu. Ponieważ nie mogli dojść do porozumienia, Simoneit pozwolił sobie zwrócić kandydatowi uwagę na skutki, jakie niechybnie wywoła jego pojawienie się na trybunie. A teraz tamten faktycznie zjawił się i Simoneit czuł się upoważniony czy wręcz powołany do tego, by wygarnąć całą prawdę o roli, jaką odegrał weteran Bruno Baltuschat przy zdobywaniu Tarskiego Wzgórza.

Tak więc Conny dowiedział się, jak jednostka, do której należeli kiedyś Simoneit i Baltuschat, pod naporem Petersburczyków zdecydowała się z początku na opuszczenie wzgórza, krótko przed świtem, w ogniu szrapneli. Musieli wlec ze sobą wyposażenie, każdy zajęty był sobą, nie było czasu zważać na to, kto zginął i co przepadło. W każdym razie po pospiesznym odwrocie stwierdzono podczas przeglądu, że na liście zaginionych muszą umieścić również landwerzystę Baltuschata. Potem u podnóża wzniesienia przygotowali nowe natarcie; oddziały skoncentrowały się, uzgodniły sygnały, zajęły mizerne pozycje wyjściowe. Każde dziecko szkolne u nas wiedziało, kiedy i przy jakiej pogodzie rozpoczął się atak, jak wysokie było zużycie amunicji, ile czasu trwała walka o wzgórze, a wreszcie ilu lekko i ciężko rannych oraz zabitych naliczono po obu stronach.

Simoneit utrzymywał, że tylko dlatego dotarł nie zraniony do skraju lasu, że nie zwlekał z szukaniem osłony, padając co kilka susów na ziemię i skrywając się za poległymi kolegami, przez cały czas obserwował, jak przeznaczone dla niego kule uderzały w martwe ciała. Podobno był pierwszym, który walcząc wdarł się w kryjące zarośla, w krzaki, które

znał lepiej niż ktokolwiek inny, bo już jako wyrostek zakładał tu sidła, rozstawiał łąpki zwykłe albo talerzowe. Bezwiednie przedzierał się w kierunku swej starej kryjówki, w której długi czas przechowywał narzędzia, i tam, niedaleko od owej skrytki, znalazł leżącego na ziemi landwerzystę, który wpadł jedną nogą w łąpkę talerzową, a jego ręka tkwiła uwięziona w drugiej łąpce.

Landwerzysta nie poruszył się, kiedy Simoneit szturchnął go kolbą karabinu; dopiero gdy ukląkł i cicho zawołał, mężczyzna dźwięknął żelastwem i gwałtownie odwrócił twarz na bok: był to Bruno Baltuschat. Simoneit własnoręcznie uwolnił go z pułapek przykuwających go do ziemi przez cały czas trwania oblężenia i natarcia, przewiązał mu głębokie rany na ramieniu, po czym Baltuschat nie odmówił sobie strzelania za uciekającymi Petersburczykami tak wytrwale i ostentacyjnie, że nie sposób go było pominąć w przyznawaniu odznaczeń...

Tak, można by to tak nazwać: bohater w potrzasku, schwytany w talerzową pułapkę, ale tymczasem poznałeś już Conny'ego na tyle dobrze, by sobie wyobrazić, że człowiek taki jak on nie zadowolony po prostu przyjęciem do wiadomości tych informacji i skwitowaniem ich milczeniem. Kiedy Simoneit zapewnił go, że może dowolnie rozporządzać opisanym przypadkiem Baltuschata, Conny wskoczył na motor i wrócił do Łukowca, do redakcji.

Był dyżur niedzielny z niewielką obsadą; być może Conny zawahałby się usiąść do wysłużonego remingtona, gdyby był tam Kukiełka, ale najuprzejmniejszy redaktor Mazur musiał mieć wzgląd na swoje dolegliwości sercowe, które spowodowane były w ostatnich latach przez listy z pogrózkami – listy, których nie odważył się włączyć do swej kolekcji. Nowy redaktor, Kudzus, młodszy od Kukiełki, przy każdej okazji zabiegał o zaufanie starszych współpracowników i przymknął oko, gdy Conny zaproponował mu, że napisze pod pseudonimem kilka uwag o przebiegu Święta Tarskiego, niewielką wzmiankę, która miała być dołączona do głównego artykułu. I tak to Conny napisał historię o żołnierzu, który podczas odwrotu złapał się w sidła kłusownika i przeżył

szturm, gdyż łapki trzymały go przy samej ziemi, historię weterana Baltuschata, którego zły los doprowadził do tego, że nie mógł już uniknąć odznaczenia.

Kudzus, nie pijący maślanki, lecz tylko jałowcówkę, przeczytał tekst, naniósł skreślenia, które Conny skwapliwie zaaprobował, po czym dał zezwolenie na druk i okazał taki zachwyt, że, jak mówił, życzył sobie regularnie podobnych relacji, z początku mogą być pod pseudonimem. Gdy ukończywszy pracę siedzieli naprzeciwko siebie, Kudzus poczęstował Conny'ego jałowcówką i wypytywał ostrożnie o jego stosunki – nie metodycznie, raczej w formie hasła, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że zależy mu bardzo na zbliżeniu. Potem podłoga zaczęła krążyć pod nogami, Kudzus wzmocnił nieco nacisk na Conny'ego i w końcu zagroził mu, że będzie bardzo rozczarowany, jeśli ten odrzuci jego zaproszenie do tak zwanego Domu Towarzyszy Broni, do którego każdy, kto się liczy, może przyprowadzić gości.

Pojechali motorem Conny'ego; Kudzus krzyczał mu adres do ucha. Dom stał sobie nad jeziorem, za nadbrzeżną promenadą; był to dom doktora Fantla, który ponad czterdzieści lat leczył bóle zęby mieszkańców Łukowca; później pozwolono mu wyemigrować do córki do Londynu, uprzednio jednak musiał zrezygnować z całego swego majątku. Wszystkie okna były oświetlone, niektóre stały otworem; Conny słyszał muzykę gramofonową i odgłos kul biliardowych, które odbijały się bez echa. Ciężkie drzwi wejściowe były zamknięte; gdy Kudzus zadzwonił, w zamku zgrzytnął klucz i jakiś olbrzym o szyi muskularnej jak u miotacza młotem wpuścił ich do środka.

Wpisali swe nazwiska do zeszytu i przeszli wzdłuż oprawionych fotografii przywódców. Wysokie rozsuwane drzwi były otwarte. Kudzus pokazał Conny'emu salę posiedzeń, pokój bilardowy i czytelnię, pociągnął go zachęcająco do wyłożonej drewnem sali szkoleniowej, gdzie Conny poczuł niemoc w kolanach i wściekle walenie w skroniach, aż musiał poprosić Kudzusa o wybaczenie i usiąść na pulpicie. Na ścianie wisały plakaty i tablice poglądowe, na których przedstawione były kształty czaszki i twarzy; były to bez wyjątku odpychające fizjonomie z cofniętym czołem i

wydatnymi guzami czołowymi, z ogromnymi uszami i nisko umieszczoną nasadą nosa. Conny czuł obręcz ściskającą mu pierś, spoglądał z ubolewaniem na twarze i miał tylko jedno życzenie – żeby opuścić ten dom; jednak Kudzus miał widocznie wobec niego jakieś zamiary: obstawał przy tym, by zaprowadzić swego gościa do sali, gdzie serwowano napoje. Tutaj, w dawnym gabinecie lekarskim, wzniesiono kontuar, stały też twarde, proste chłopskie sprzęty, a na niskich dębowych krzesłach siedzieli tak zwani towarzysze Kudzusa i z cynowych kufli pili piwo „Tarskie”. Większość z nich była w mundurach, cywile przyczepili sobie do kłapy jednoczącą ich odznakę, której byli ślepo zaprzysiężeni; wszyscy siedzieli skupieni wokół Toniego Lettkowa, który najwidoczniej opowiadał jakąś wesołą historyjkę o swojej brygadzie kawalerii, może relacjonował jakieś zabawne wydarzenia; przy każdym wybuchu śmiechu wzruszał ramionami.

Conny opisywał nam dalej, jak Kudzus zamarł w bezruchu przed Tonim Lettkowem, wyciągnął ramię w geście pozdrowienia i trwał tak, dopóki pospieszne skinienie głowy nie wybawiło go z odrętwienia; następnie podeszli do kontuaru, gdzie pojawił się miotacz w ciężkim skórzanym fartuchu i utoczył im coś do picia. Jedna ze ścian zawieszona była starodawną zdobyczną bronią: były tam francuskie szpady, rosyjskie bagnety, dwa angielskie śmigła samolotowe, wszystko powieszona na krzyż; na innej ścianie wisiały stare złupione mapy sztabowe. W kątach salonu Conny odkrył sporo znanych twarzy, rozplywających się w błękitnym dymie papierosowym, Struppka i Henseleita na przykład, ale także właściciela „Luisenhofu” i dwóch łukowieckich sędziów. Przepito do niego, Conny podniósł do ust cynowy kufel, pijąc spoglądał ponad jego brzegiem i zobaczył, jak dwóch mężczyzn za kłębami dymu zetknęło głowy szepcząc coś i spoglądając w jego stronę.

Kudzus wyznał mu, że już od dawna miał zamiar go tu kiedyś przyprowadzić; pociągnął go do stołu, na którym w wiklinowym koszyczku leżał chleb i sucha kiełbasa. Mężczyźni wokół Toniego Lettkowa zaczęli nagle śpiewać, nie mogli już przy tym usiedzieć na krzesłach, lecz zerwali się, mimo woli znieruchomieli i po odśpiewaniu pieśni unieśli kufle w kierunku pana z majątku.

Kudzus mówił o gazecie, o ich łukowieckiej gazecie; otwarcie, jak ktoś, kto wie, że przez cały czas osłania go jakieś potężne ramię, rozwodził się nad „linią”, nad zatwardziałą, konserwatywną linią pisma; Maruhn i jemu podobni, mówił, nie wyzwolili się z ducha Grunwaldu. Nie uciekał się bynajmniej do zamaskowanej krytyki czy zawilej argumentacji: otwarcie i beztrasko wyliczał powody swego niezadowoleni?; dostrzegał wiele rzeczy, które należałoby zmienić; przede wszystkim uznał za konieczne, by we wszelkich dziedzinach otworzyć gazetę dla ducha nowego ruchu – choć musiał przyznać, iż Maruhna zmuszono już do niejednego ustępstwa; ciągle jeszcze w przekonaniu, że nikt mu nie może zaszkodzić, dał następnie do zrozumienia, że oni, to znaczy on i jego towarzysze, naturalnie dysponują środkami na to, aby cała owicie wyeliminować wpływ Maruhna na gazetę, ale że w tym przypadku muszą obrać szczególną drogę. Gadał i gadał, nie chodziło mu wcale o to, by poznać poglądy Conny’ego. Conny do końca nie był pewny, czy Kudzus szukał w nim sprzymierzeńca, świadka czy też tamten odkrył karty tylko po to, by wybadać, jak objawia się ukryty opór.

Jego kufel był już pusty, ale machnął przecząco dłonią, gdy Kudzus chciał zamówić nowe piwo. Było mu gorąco, szukał pretekstu, żeby się pożegnać. Miał uczucie, że coś się tu szykuje, że gazeta jest w niebezpieczeństwie, a przynajmniej to, co w niej pozostało z charakteru i kształtu, jaki nadał jej Maruhn, i jeszcze zanim opuścił ów Dom Towarzyszy Broni, rozważał, czyby nie poprosić starego Maruhna o chwilę rozmowy, podczas gdy Kudzus odłamał kawałek chleba i podzielił się z nim, podając mu jednocześnie kawałek kiełbasy na końcu noża.

Nagle do ich stolika podeszedł miotacz, niosąc w rękach pół tuzina kufli; nachylił się lekko ku Conny’emu i powiedział krótko: – Niech pan wstanie, natychmiast. – Odstawił kufle na kontuar, przywołał Conny’ego ruchem ręki i wskazał mu wyjście. Conny nie zdążył się nawet pożegnać. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i spojrzał na Kudzusa: ten stał zaskoczony, a jego zaskoczenie było szczere. Bez żadnych wyjaśnień, bez jednego słowa miotacz otworzył drzwi i na znak, że czeka jedynie na to, by Conny jak najszybciej wyszedł, przybrał postawę policjanta regulującego ruch, który ręką zgiętą pod idealnym kątem wskazywał drzwi na dwór.

Conny wiedział, że będzie obserwowany aż do momentu odjazdu, dlatego nawet nie próbował zerknąć do któregoś z okien. Kopnął starter, wskoczył na siodełko i na nadbrzeżnej szosie pozwolił maszynie pokazać, ile potrafi wyciągnąć. Zatrzymał się przed hotelem „Luisenhof” i oparty o kierownicę obserwował przyjazd gości na „Bal Tarski”; był wśród nich także Friedrich Maruhn ze swą chorą, jak zwykle ubraną na czarno żoną; Conny’emu udało się z nim przywitać.

Potem pojechał do domu, spakował swój plecak i wyruszył jeszcze tego samego wieczoru do Romejków; gnał samotnie ciemnymi, piaszczystymi drogami aż nad Jezioro Dzwonów, gdzie często już przedtem spędzał swój wolny dzień. Naciął sitowia na posłanie, rozpałił ogień, w którym upiekł ziemniaki, a potem leżał tak i czekał na jękliwy dźwięk, który, jak powiadali ludzie, miał pochodzić od zatopionego dzwonu, leżącego na dnie jeziora, a zgubionego przez nieuwagę podczas ucieczki. Niegasnący blask nad jeziorem, żałosne okrzyki nocnych ptaków, nieokreślone szelesty w trzcinie; od kiedy Conny odkrył dla siebie ten zakątek, sądził, że znalazł tu schronienie: tak ku memu zdziwieniu nazwał tę małą, okoloną brzozami zatoczkę. Spał tam pod gołym niebem, rano mył się w jeziorze, na otwartym ogniu przygotowywał sobie śniadanie, a potem godzinami czytał w słońcu, otoczony odgłosami chlupotu, trzasków i pluskania. Tam, nad wodą, czyta się zupełnie inaczej, utrzymywał, człowiek zupełnie inaczej się koncentruje, niektóre rzeczy przyswajają sobie o wiele łatwiej, jakby mimochodem. Jednakże nigdy nie miał ochoty zajmować się ufną wydrą albo oddawać się „czujnym obserwacjom”, jak mówił. Fosforyzujący pniak czy spodnia strona starego liścia nie znaczyły dla niego nic więcej ponad to, czym były.

Domyślasz się już, czego szukał, co tam nad jeziorem znalazł – kiedyś powiedział, że to tylko inna forma samotności, niekoniecznie płodniejsza, tylko właśnie inna. Wracał zawsze następnego ranka, kiedy nad jeziorem świtało. Twierdził jednak, że ani razu nie pomyślał, iż musi jak najszybciej wrócić w to miejsce. Największą radością w drodze powrotnej było zatrzymać się bardzo wcześnie przed domem pewnego wiejskiego piekarza i kupić jeszcze ciepły chleb: tak, już samo światło w piekarni wydawało mu się przyjazne.

W każdym razie po Świącie Tarskim pojechał tam znów, i nad zatoczką, którą wyszukał sobie na „chwilową ucieczkę”, postanowił odwiedzić Friedricha Maruhna, jednakże nie w nagłej do pośpiechu atmosferze biura, lecz w domu, w starej, obrośniętej dzikim winem willi, której ogród opadał tarasami do jeziora. Jednak nie musiał się tam udawać, gdyż kiedy rano wkroczył do drukarni i przechodząc sięgnął po swój fartuch, jeden z uczniów powiedział mu, że szef wyraźnie się za nim stęsknił. – Jak myślisz, ile razy pytał o ciebie, nie przebieraj się nawet.

Conny wszedł na pierwsze piętro, skierował się do skrzydła, gdzie korytarze wyłożone były kokosowymi chodnikami. Stara sekretarka Maruhna, której nikt nie nazywał inaczej niż Gnom, tym razem nie mrugnęła do niego, dodając mu otuchy, lecz okazywała z troską; nie zaproponowała Conny’emu, by usiadł; usłyszał, jak go anonsuje przez uchylone drzwi.

Friedrich Maruhn poprosił Conny’ego, by wszedł. Nie poczęstował go kawą ani koniakiem, lecz ruchem ręki zaprosił do zajęcia miejsca w jednym ze skórzanych foteli. Conny twierdził, że w oczach Maruhna odbijały się wszystkie zasady, jakie wyznawał ten człowiek, powiedział też cokolwiek byś nie miał przeciwko liberalnym konserwatystom, z nim możesz się dogadać. Właściciel gazety sortował cygara; wysypywał na biurko zawartość podzielonej na kilka przegródek skrzyneczki, przeznaczonej dla gości, oglądał starannie każdą sztukę, a co jakiś czas wsuwał jedną do swego pojemnego etui, na własny użytek. Pierwsze zdania wymówił cicho, pochylony nad biurkiem, Conny rozumiał jedynie pojedyncze zwroty; w widoczny sposób podniosło się powszechne oburzenie, masowo nadchodziły rezygnacje z prenumeraty, nie ustają pogroźki i rozdrażnienie, urażono bowiem godność mazurskiej rocznicy. Maruhn podniósł się, podszedł do kolorowej mapy, na której zaznaczono dwadzieścia dziewięć cmentarzy poległych bohaterów z okręgu Łukowiec, wśród nich także cmentarz w Tarsku. – Nie trzeba było – powiedział spokojnie – odsłaniać kulis tarskiego święta, nie zachodziła taka potrzeba. – Stał przed mapą, pokrytą krzyżami na szerokiej, czarnej podstawie; dwa krzyże ozdobione były stylizowanymi liśćmi dębowymi, w Bobrach i Borzymach; leżeli tam bracia Maruhna. Stary człowiek

podszedł najpierw do okna, stamtąd do biblioteczki, a przechodząc obok Conny'ego, położył mu na moment rękę na ramieniu. Conny chciał coś powiedzieć, ale Maruhn go uprzedził; w jego głosie nie słyhać było oskarżenia, kiedy zauważył: – Krytykować, wypowiadać się otwarcie, służyć prawdzie: to są rzeczy oczywiste. Tylko: aby dotrzeć do prawdy, na której nam zależy, powinniśmy zrezygnować z ulegania prawdom drugorzędnym. Kto walczy o prawdę, musi pogardzać złośliwą radością, czerpaną z tanich wynurzeń. Cięń Tarska pada teraz na wszystkie krzyże.

A potem podszedł do drzwi, otworzył je i ze spuszczonego wzrokiem czekał, aż Conny przesunie się obok niego; przez szparę w drzwiach Conny dostrzegł już stojącego Gnoma; sekretarka czekała w gotowości, trzymając w ręku papiery białego i żółtego koloru – jego papiery. Powiedziała: – Bardzo pana proszę o wybaczenie, ale szef musi się zaraz stawić w ratuszu. – Conny odebrał dokumenty i popatrzył w lekko podpuchnięte oczy kobiety. Kiedy był w przedpokoju, wydało mu się, że zaczęły się tu systematyczne porządki, w których nie powinien dłużej przeszkadzać.

W drukarni opróżnił swoją półkę w szafie, wrzucił zawartość do tobołka, papiery włożył na wierzch i nie wiedząc, co robić, zjawił się u nas i opowiedział o wszystkim; podobnie jak on nie oczekiwał od nas żadnej rady, pograżając się w swym lunatycznym odrętwieniu, z którego nie śmieliśmy go wyrwać, tak samo i my nie spodziewaliśmy się, że mogą nas obciążyć odpowiedzialnością za jego dalsze kroki.

O nie, Conny nigdy nie był zwolennikiem stanu niepewności, nawet jeśli owego dnia sprawiał wrażenie, że nie wie, co począć. Po kolacji wyciągnął z węzła swoje papiery i wyszedł. Nikogo z nas nie wtajemniczył w swoje plany, po prostu odszedł; nawet do Pawełka, który odprowadził go aż do mostu, nie powiedział ani słowa.

Zgłosił się do Griga, właściciela najstarszej w Łukowcu drukarni, wystarczyła mu niespełna godzina, by przekonać milczącego szefa i jego syna o tym, że jest im niezbędny jako pracownik. Powróciwszy do nas potrafił wyjaśnić, jak sobie wyobraża rozszerzenie rodzinnego

przedsiębiorstwa, w którym dotychczas drukowano głównie cenniki i zarządzenia. – Będziemy drukować karty z życzeniami – powiedział Conny – ponieważ prawie każdy ma kłopoty, kiedy z okazji ważnych wydarzeń trzeba życzyć innym szczęścia, musimy dać ludziom gotowe karty. – Marzył mu się ponadto kalendarz ścienny, w którym każdy dzień miałby jakieś motto; poza tym rozważał druk kart wizytowych i wydanie pierwszej książki adresowej Łukowca. – Grigowie będą zdumieni, ile rzeczy można wyprodukować przy pomocy maszyn drukarskich, powiedział Conny, zarzucił węzełek na ramię i wrócił jeszcze tego samego wieczoru do domu, do pani Weinknecht, która wciąż jeszcze się nim opiekowała.

Czy ja sam powiedziałem Conny'emu, co o tym sędzę? Z pewnością były powody, żeby to zrobić; i jak słyszałem tu w radiu – przez te tygodnie jestem bowiem gorliwym słuchaczem radia – a więc jak dowiedziałem się niedawno z audycji „Rozważania na czasie”, od czasu do czasu opłaca się być bezwzględny, szczególnie wobec przyjaciela, któremu nie powinno się oszczędzać nawet najbardziej brutalnego sądu – to oczyszcza i rozluźnia.

Nie, wtedy zataiłem swoje zdanie, nie miałem przecież potrzeby wytykać mu jego odkrycia – wyciąłem jedynie jego relację o święcie tarskim i przechowywałem ją w jednej z teczek, które założyliśmy w muzeum. Tak, przechowywałem: cóż to za metoda, pomyślisz sobie; chowamy pod klucz wycinek terażniejszości, aby leżakując nabrał szlachetnej dojrzałości, cennej patyny, by któregoś dnia osiągnąć „zdolność świadczenia” i nadawać się na eksponat muzealny. Tak, artykuł o święcie tarskim zmienił nie tylko życie Conny'ego, lecz odegrał także pewną rolę w przymusowej sprzedaży „Gazety Łukowieckiej”, na co zresztą Friedrich Maruhn zgodził się od razu, rezygnując z czasu do namysłu.

Chyba już zauważyłeś, że nie wystarcza mi wyłącznie własna interpretacja, potrzebna mi również inna, zewnętrzna, muszę uwzględnić fakty dokonane, z którymi zawsze miałem do czynienia, a tak to już jest, że fakty dokonane to inni.

Jakie uczucie? Przepraszam. Czy kiedykolwiek miałem uczucie, że znajduję się w stanie przejściowym? Że jestem dopiero modelem, który może się rozwinąć? – tak, tak, ależ rozumiem cię, Martinie, i odgaduję także, jaką odpowiedź chciałbyś usłyszeć. Mogę ci powiedzieć tyle, że takie uczucie nigdy mnie jeszcze nie nawiedziło, do tej pory nie uważałem się za coś tymczasowego. Zależy to chyba również od faktu, że ten kraj, Mazury, nie ma w sobie niczego przejściowego, niczego dokonanego w połowie. Wszystko wydawało się zastane, określone, doprowadzone do końca; te lasy, ta tajemnicza cisza, ta cierpliwość; pas jezior i spinająca wszystko kłamra tradycji: tu nie mogło narodzić się uczucie tymczasowości, niepełności, tu nic nie wyglądało tak, jakby wymagało uzupełnienia. Nawet bieda wydawała się ostateczna, tak samo różnice między ludźmi i ta wieloraka zależność, w jakiej się żyło. Wiesz – tam gdzie dobrowolnie uznaje się panowanie pór roku, tam chyba nikomu nie przyjdzie do głowy, że mógłby być czymś tymczasowym.

Ale co to miałem ci opowiedzieć? Prawda, o uwięzieniu, o tym, jak Conny i ja dostaliśmy się do niewoli, w końcu lipca, na skwarnym, skoszonym polu między Borkiem a jeziorem Łukowiec. To także było u nas ustalone, zawsze tak było: w pewnym określonym momencie „brano jeńców”; nas capnęli, gdy opuściliśmy Małe Grajewo, a w tylne koło motoru Conny’ego wbił się hufnal. Musieliśmy zsiąść i pchać ciężki motocykl; drobny piasek, ostry i brudny, parzył stopy; dookoła trwała lipcowa spiekota, do tego dochodził żar bijący od maszyny i opary benzyny, które przyprawiły nas o zawroty głowy.

Przechodziliśmy obok świeżo zżętego pola, ściernie lśniły, a ziemia między nimi była spękana po tygodniach suszy; dalej, tam gdzie teren opadał w stronę jeziora, wszystko rozpływało się w żółtym migotaniu. Pochyleni nad krnąbrnym motocyklem usłyszeliśmy nagle koncert na kosy, dochodzący z kotliny pod dzikimi gruszkami, koncert kosiarzy, uderzających osełkami o brzeszczoty kos, dziko i zuchwale, na znak, że i to ostatnie pole już zżęli. A kiedy przebrzmiały ostatnie cienkie tony, zewsząd zbiegli się ludzie, których nie widzieliśmy przedtem, zastąpili nam drogę, otoczyli nas, dwudziestu albo trzydziestu mężczyzn i kobiet, niektórzy z grabiami i kosami, inni także z powrósłami plecionymi ze

słomy, i kiedy już odsunęli nas od motocykla, zaczęli nas wiązać jak snopki – tak przebiegało u nas „branie w niewolę”.

Zarzucili nam na szyje plecione postronki, związali ręce, a my nie mogliśmy protestować, obyczaj nakazywał nam stać spokojnie, podporządkowywać się regułom gry; kto zakończył żniwa, temu wolno było na swej ziemi brać jeńców, a nawet więcej: powołując się na pewną starą sentencję przetrzasnęli nam kieszenie, policzyli pieniądze, które mieliśmy przy sobie, i odliczyli tyle, że każdy z nich mógł sobie zafundować kieliszek wódki ziołowej.

Motocykl? Cisnęli go wspólnie na krótki wóz drabiniasty, który wytoczył się z kotlinki, nie była to bynajmniej wysoko naładowana fura, lecz tylko parę snopków, na których leżał wieniec dożynkowy, przystrojony jedwabnymi wstążkami i słonecznikami; poza tym umieszczono tam staruchę – trzęsącą się lalkę ze słomy, związaną tak foremnie, że przypominała siedzącą kobietę w kapeluszu od słońca z szerokim rondem. Nas przywiązali do drabinki, musieliśmy iść obok skrzypiącego koła, którego okucie mełło piach – my, więźniowie dożynkowi; a ponieważ scena, którą sami przedstawialiśmy, spodobała się nam, więc szliśmy tak, jakbyśmy rzeczywiście byli związanymi więźniami: z głową przykładnie opuszczoną w dół i powłócząc nogami – jak ludzie, których pozbawiono przyszłości.

Kosiarze i kobiety wiążące snopy dumni byli ze zdobyczy, która im się nawinęła w ostatniej chwili; zachowywali się niby szorstko i dawali nam przyjazne kuksańce, a niektórzy całowali nas, dając tym do zrozumienia, jak bardzo zdani jesteśmy na ich kaprysy. W tym wesołym pochodzie dotarliśmy do majątku, gdyż to właśnie robotnicy rolni z majątku pojmali nas, a tam na skraju wyboistego podwórza, przed wielką czerwoną bramą stodoły, na przykrytym stołku, w jasnej wiatrówce i butach do konnej jazdy stał Toni Lettkow.

Kiedy drabiniasty wóz wjechał na podwórze, psy zaczęły ujadać, w kuźni kowale wystukiwali donośne powitanie, rozwarły się okna i drzwi, wylecieli szwajcarzy w świeżo upranych, biało-czerwonych koszulach,

dziewki służebne, woźnice i chłopcy stajenni – wszyscy migali za wozem, który jechał wzdłuż szpaleru dzieży i baniek na mleko i zatrzymał się chyba z dziesięć metrów przed Tonim Lettkowem.

Dwóch żniwiarzy przesunęło trzonek od wideł przez wieniec dożynkowy, zdjęli go z wozu i ponieśli z wolna, miarowo, ku Toniemu Lettkowowi. Wyciągnęli do niego wieniec, tak że bez wysiłku mógł go dotknąć, potem położyli go, ściągnęli czapki i stali tak, jak gdyby z trudem przychodziło im wytrzymać ogólny poklask. Toni Lettkow podziękował im jakąś sentencją. Teraz pierwsza żniwiarka podniosła uplecioną z owsa narzeczoną, poprawiła jej wygląd, ściągnęła z głowy słomiany kapelusz i, że tak powiem, na wysuniętym biodrze zaniósła słomianą kukłę Toniemu Lettkowowi; ten przyjął ją z wahaniem, ale też i z pełnym szacunkiem – później musiał z nią zatańczyć – a w końcu doprowadzono i nas, więźniów, a jemu nie pozostało nic innego jak uwolnić nas od plecionych postronków i zaprosić na dożynki.

Następnie Toni Lettkow wygłosił kolejną sentencję i w paru osobistych słowach podziękował wszystkim za ich pracę; nie wychwalał szczególnie niczyich zasług, raczej podkreślał w uderzający sposób korzyść wspólnego trudu, wzywał do dalszej wspólnej pracy i zanim jeszcze skończył mówić, wśród słuchaczy wszczął się ostrożny ruch: tu się rozdzielali, ówdzie łączyli, odbywało się jakieś tajemnicze przegrupowanie; to rząd napełnionych wodą kadzi i baniek skłaniał ich widocznie do tego, by z kolei oni utworzyli szpaler: ludzie w majątku gotowali się do wodnej bitwy.

Tak to właśnie było: powracający z pola tworzyli jedną partię, a wszyscy inni, którzy byli zatrudnieni na terenie majątku, drugą, i jak gdyby wyrównując jakieś stare porachunki, zbliżali się do siebie, nabierali wody, chlapali, pryskali, polewali się kubłami, wylewali sobie wodę na głowy: możesz sobie wyobrazić, cóż to było za zamieszanie, jaki radosny rozgardiasz. Koszule i letnie sukienki ciemniały i przyklejały się do ciał, na wyboistym podwórzu wkrótce stały kałuże, a słoneczniki, które osiągnęły już wysokość rynny dachowej na domu, przesłaniał migocący wodny welon. My – dożynkowi jeńcy, otrzymaliśmy również swoją porcję, i

naturalnie również Toni Lettkow, któremu w pewnej chwili swawolnie chluśnięto w plecy zawartością drewnianego cebrzyka, silnym strumieniem; przyjął to ze spokojem.

Conny zwrócił mi naraz uwagę na Heiniego Hausera, który przemykał się z miską w kierunku domu, przed którym na kamiennych schodach stała żona Toniego Lettkowa, ubrana jak zawsze na jasnoniebiesko, jak zawsze z białą rękawiczką w ręce. Któregoś dnia pojawiła się w majątku z dużym bagażem, przybyła z Królewca, jak przebąkiwano: wyniosła kobieta, nie zadająca sobie trudu, by zdobyć sympatię ludzi, nie przywiązująca też jednak żadnej wagi do tego, by dowieść, jak daleko sięga jej władza. Jak mówiono, była wytrwałą czytelniczką, często przez kilka dni nie opuszczała domu; sam Toni Lettkow przywoził jej regularnie paczki książek z Łukowca. Ludzie nazywali ją „Błękitna”.

Teraz więc stała na kamiennych schodach, prawdopodobnie zwabiona wrzawą wodnej bitwy – a może też przeszkodziła jej ona w czymś – spoglądając beznamiętnie na męża, który akurat obojętnie wyżywał mokrą wiatrówkę – koścista kobieta o długich rękach i nogach, o której powiadano, że pochodzi z jednej z najstarszych rodzin Samlandii. Nazywała się Malwina, tak, Malwina. Nie zauważyła, że Heini Hauser podkradł się z boku ze swą miską; a nawet gdyby dostrzegła bosego mężczyznę, na pewno nie przyszłoby jej do głowy, że ma to jakiś związek z nią. Heini niezauważony dotarł do kamiennych schodów, schylił się w nagłym niezdecydowaniu, spojrzął jeszcze w naszym kierunku, a ponieważ zachęciliśmy go gestem, zaczerpnął ręką wody z miski i prysnął kilka kropel na kobietę.

Nikt tego chyba nie spostrzegł, a ponieważ Heini wiedział, że owego dnia miał do tego prawo, niespodziewanie wyprostował się i pryskał, chlapał teraz prędkimi, małymi ruchami na jasnoniebieską sukienkę. Każdemu innemu Heini chlusnąłby po prostu całą miskę w plecy, ale wobec niej, żony Toniego Lettkowa, nie odważył się na to, z szacunku czy onieśmienia, albo też dlatego, że nigdy jeszcze nie powiedziała do niego ani słowa, mimo iż czasem go spotykała. Gdy kobieta odwróciła się ku niemu, Heini Hauser uśmiechnął się z zakłopotaniem i uniósł ramiona –

bez obrazy, zdawał się mówić, dziś chyba wolno. Kobieta nie była wcale oburzona ani rozbawiona, pochyliła się trochę i uderzyła swą długą, białą rękawiczką w twarz mężczyzny, krótko i oszczędnie, zginając tylko przegub, mniej więcej tak, jak uderza się w zakurzony but, dopiero potem przyjrzała się ciemnym plamom na sukience, podczas gdy Heini, wytrącony z równowagi, patrzył na nią jak urzeczony, zupełnie jakby spodziewał się wyjaśnień albo usprawiedliwienia. Spostrzegliśmy jeszcze, jak z ociąganiem oddalił się, z wyrazem głębokiej, nieodwołalnej urazy na twarzy, dojrzeliliśmy także, jak cisnął pustą miskę niby dysk do ogrodu; w tym momencie rozpoczął się szturm na stodołę, który porwał wszystkich do zastawionych obficie stołów, widocznych w otwartych teraz czerwonych wrotach.

Tak, Martinie, teraz rozpoczęła się wielka uczta dziękczynienia i zgody; mokrzy, jak stali, boso, z nagimi torsami wszyscy popędzili do zestawionych razem stołów, ciągnących się przez całą szerokość stodoły; kapało im z głów, woda ściekała po twarzach, kiedy rzucili się na półmiski, w których chlupotało, parowało i pachniało to wszystko, co im w tym dniu przysługiwało: wędzona świńska głowa z grochem, czernina z pyzami, fasola gotowana razem z mięsem, kasza z miodem oraz ryż z cukrem i rodzynkami. Próbowaliśmy wszystkich potraw. Oparci plecami o dom albo o ściany stodoły siedzieliśmy na długich ławach w suchym żarze dnia i jedliśmy, jedliśmy; z początku jeszcze spłukiwaliśmy talerze pod silnym strumieniem z pompy, kiedy zmienialiśmy dania, później po prostu dokładaliśmy sobie, nie troszcząc się o potrawy, którymi delectowaliśmy się wcześniej.

Gdybyś widział to zadowolenie, to rozleniwiające dobrodziejstwo jedzenia – naokoło wszyscy wzdychali, postękiwali, pochłaniali potrawy z zamkniętymi oczami i rozluźnieni oddawali się chwilowemu wyczerpaniu, a obok przodownicy siedział Toni Lettkow, tak samo odprężony i znużony, można by pomyśleć, że jest jednym z nich.

Nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby się przebrać – wyjąwszy „Błękitną”, która weszła do domu i podczas całego pojedynczego posiłku nie ukazała się nawet w oknie. Dali wyschnąć rzeczom na sobie,

niektórzy rozdzielali się z mokrych koszul i rozkładali je na słońcu albo wieszali na drzewach w sadzie, gdzie kołysał nimi pachnący słomą wiatr. Nie myśl sobie, że półmiski, wazy i koszyki zostały opróżnione – służące cały czas dokładały i jedliśmy tak długo, dopóki nie uznaliśmy za wskazane napić się wódki ziołowej i nalać sobie domowego piwa. Siedząc na ziemi przepiliśmy do siebie, a przede wszystkim przepiliśmy do Toniego Lettkowa, który nie omieszkął trącić się z każdym, również z nami, jeńcami dożynekowymi, i z ludźmi z Małego Grajewa.

W końcu nadeszli wynajęci muzykanci – skrzypce, flet i bassetla – trzech ciemnowłosych mężczyzn z bujnym wąsem; zbliżyli się z umiejętnością okazywaną uroczystą powagą, pewni siebie, dziękując nader skąpo za nasz burzliwy aplauz. Nie zdążyli się jeszcze szczegółowo przedstawić Toniemu Lettkowowi, gdy my już usiedliśmy wokół nich szerokim kręgiem; przodownica trzymała na kolanach słomianą kukłę, owsianą narzeczoną, którą teraz, zgodnie ze starym obyczajem, trzeba było roztańczyć, tak właśnie, roztańczyć. Choć wędrowni muzykanci zerkali pożądliwie na suto zastawione stoły, nasze rytmicznie skandowane prośby zmusiły ich, by najpierw wykonali swą pracę.

Zagrali. Toni Lettkow wkroczył do środka koła, skłonił się przed przodownicą, która ze śmiechem rzuciła mu owsianą narzeczoną, dyndający stwór, uwity ze ździebeł słomy. Schwycił ją i przycisnął do siebie. Z oddaniem przytulił twarz do słomianej głowy. A potem tańczył, tańczył, z ekspresją, nie dbając o bezwolne słomiane nogi, które zwisały między jego własnymi kolanami i przy gwałtownych obrotach zaczynały się rozplatać... Zmęczony, bez tchu, rzucił owsianą narzeczoną pierwszemu kosiarzowi; ten wyrwał niemal słomianej lalce ramię, chwytając ją w ostatniej chwili. On, pierwszy kosiarz, też odtańczył taniec z lalką, zresztą nader ryzykowny, rodzaj suwanego, przy którym musiał położyć owsianej narzeczonej jedną rękę na postrzępionym tyłku. Coraz szybciej zmieniali się tancerze, kukła zaczęły już gubić słomę, wirując wkoło. Zrobiła się cienka, tak, przez to wirowanie, obracanie, ściskanie traciła formę i na koniec pozostał z niej tylko bezkształtny, słomiany wiecheć, który Conny pośród tańca rzucił wysoko nad głowy i nagle się zatrzymał czekając bez ruchu na deszcz ostatnich słomianych ździebeł.

Powstaliśmy, wzięliśmy się za ręce i uczciliśmy koniec owsianej narzeczonej tańcem w kole.

Nie, nie, jeszcze się nie rozeszliśmy. Skoro tylko dokonaliśmy tego, czego wymagał od nas obyczaj, odstąpiliśmy stoły wędrownym muzykantom, i podczas gdy ci jedli tak, jak gdyby musieli się pokrzepić przed nadchodzącą zimą, niektórzy z nas przydźwigali dzbany z piwem oraz butelki ziołowej wódki i likieru, wszystko w dużych ilościach. Rozłożyliśmy się na snopach słomy. Zapadł zmierzch. Jedna z dziewcząt z Małego Grajewa, molestowana przez swe przyjaciółki, zaczęła śpiewać. Śpiewała o tym, że w życiu nie zajdzie się daleko, jeśli człowiek zbyt wiele oczekuje, zbyt wiele żąda. Po niej kosiarze zaśpiewali skoczną piosenkę; kamień i żelazo spierały się w niej, które z nich potrafi wykrzesać największe iskry. Również Toni Lettkow zaśpiewał ku naszemu zdumieniu starą pieśń żniwiarzy. Niektórzy z nas oparli się o siebie, siedzieli ramię przy ramieniu albo trzymając się za ręce; nie spieszyliśmy się z zapaleniem latarni, nie potrzebowaliśmy wiele siedząc tak w ciepłej ciemności, w ten pełen znużenia wieczór, kiedy większość z nas czuła się w zgodzie z sobą samym. Wyczuwało się tę prostą, spokojną harmonię, odnajdywało ją na twarzach, przynajmniej jak długo siedzieliśmy na snopach i śpiewaliśmy albo tylko trwaliśmy w milczeniu, nasłuchując ocieślałych ruchów zwierząt na pastwiskach.

Potem muzykanci zegrali dożynkową nutę; taniec ten co roku trwał do świtu, tym razem też miał trwać tak długo. Wymknąłem się sam cichaczem. Zszedłem do wodopoju dla koni, idąc kawałek po nadbrzeżnym żwirze, a potem groblą w kierunku Łukowca; towarzyszyła mi muzyka, entuzjazm i radość; narodziło się nie znane dotąd uczucie, że unosi mnie siła i wesele innych; niczego mi nie brakowało. W korytarzach najładniejszego mazurskiego więzienia paliły się kontrolne lampy; cele były ciemne. W świetle księżycy mieniły się kolorowo kawałki szkła na białym wapiennym murze. Z szopy na łodzie wyszła gromada podpitych wioślarzy; zniecacka utworzyli koło, okrążyli mnie i tańczyli wokół, grożąc żartobliwie; jako odszkodowanie ich wodzirej wręczył mi ogromny papierowy chaber.

Wędrowałem samotnie wzdłuż zabudowań nadbrzeżnych – nie, właśnie że nie samotnie; miałem uczucie, że mógłbym iść za sobą, obok siebie, towarzyszyłem z uwagą mężczyźnie z papierowym kwiatem aż do drewnianego mostu na rzece Łukowiec...

Jak to, już znowu zrobiło się tak późno?

Szkoda, nie, naturalnie, że nie można tego zmienić – jak trzeba, to trzeba. Ale to muszę ci jeszcze opowiedzieć: jak raptownie prysła ta fikcja trwania, jak szybko runęliśmy w dół tracąc równowagę, o której sądziliśmy, że odnaleźliśmy ją na długo...

Nie, nie było to nic niezwykłego: Conny świętował dożynki w majątku, wytrzymał aż do rana, a po śniadaniu, które większość spożyła na podwórzu, kowal pomógł mu załatać dętkę i oczyścić świece zapłonowe. Zanim zjechał w pędzie na groblę, zrobił ponoć zuchwałą rundkę po podwórzu, grzmiącą rundę, która zbudziła ostatnich śpiochów w stajni. Nie wiedział, iż saperzy z Łukowca wyznaczili sobie ten dzień na zmontowanie na rzece mostu pontonowego, jak zwykle pędził ulicą nad jeziorem, zatrąbił zbliżając się do trzech czy czterech miejsc o złej widoczności, w przekonaniu, że wszyscy ustąpią mu z drogi, jak to zawsze dotąd czynili. Nie spodziewał się ciężkiego ciągnika i jeszcze cięższego pontonu; skręcały one szerokim łukiem z ulicy Cesarza Wilhelma w ulicę Jeziorną, szary potwór, blokujący wszystko na drodze do rzeki, nie zostawiający żadnej luki. Conny skierował motor na żywo płot z tui, przejechał przez niego; wyrzuciło go w powietrze, po czym wylądował na kupie zwiniętej siatki, którą trzymano tam do reperacji nadbrzeżnych płotów.

Tak, to prawda, ale trzymali go kilka tygodni w szpitalu, tak, kilka tygodni...

Wiem, mój drogi, i nie chcę, nie mogę cię zatrzymać... Tygodni, podczas których musiał się sporo nauczyć od nowa...

Tak, chyba masz rację, Martinie, kiedy tylko zaczynamy sobie przypominać, stwarzamy na nowo powiązania. Za każdym razem stajemy

po czyjejsz stronie. Tak, to taki nowy sposób przyswajania sobie. Ale spróbuj się tylko dowiedzieć, jakie pragnienia się za tym kryją.

Dziękuję, nawzajem... No to do jutra.

XI

Nie, nie było ani listu, ani pozdrowień; jakiś mały chłopiec zostawił dla mnie te kwiaty u portiera – tyle przynajmniej się dowiedziałem – tymczasem zaszedłem tak daleko, że szczególnie sobie cenię takie anonimowe sygnały; mogę wówczas pomyśleć, że ten bukiet mógłby pochodzić od różnych ludzi. Mam nadzieję, że mnie nie oświecisz, Martinie.

Nie? Zatem jestem spokojny; to taka błogosławiona niepewność.

A więc maszerowaliśmy gęsiego w kierunku granicy. Eugen Lawrenz na przodzie, za nim Pawełek, a na końcu ja, a każdy niósł plecak, w każdym plecaku była paczuszka z kanapkami, które moja matka zrobiła wieczorem poprzedniego dnia i zawinęła w pergamin. Omijaliśmy drogi i szosy, trzymając się ścieżek i leśnych dróg, przemykaliśmy się miedzami, obdarzaliśmy zaufaniem wąskie dróżki, którymi ciągnął niegdyś Hugo Bandilla, król mazurskich przemytników; dawno już wsadzili go do obozu pracy. Nie wiem, czy uwierzysz, ale cały ranek pachniał zupą z soczewicy. Nie maszerowaliśmy do Prostek, znanego przejścia granicznego, szliśmy wzdłuż bystrej rzeczki Maruny aż do dawnych Lasów Wąsockich, obecnie Fliessthaler, a potem posuwaliśmy się, jak powiedziałem, ścieżkami w kierunku Kartoszy, niepozornej stacyjki granicznej, wokół której skupiło się kilka wyblakłych drewnianych domków.

Gdyby to zależało od Eugena Lawrenza, przerwalibyśmy naszą wyprawę jeszcze przed wschodem słońca; czuł się nieswojo wśród krajobrazu, w którym, jak się wyraził, na niczym już nie można było polegać. Zdezorientowany, ciągle zwracał naszą uwagę na wysepki krzaków, które jakby wyrosły przez noc obok nasypu kolejowego i mostu; albo przerażony pokazywał na pole, na którym w tajemniczy sposób zebrały się setki krzaków kadyku; to znowu na widok lasu, w którym drzewa nie

rosły pionowo, ale ukośnie, pochylone ku sobie, przekonywał nas, byśmy na wszelki wypadek się skryli. W jednym miejscu dobrze znana mulda ziemi pokryta była siatką, z której wystawały cztery pozbawione koron pnie; gdzie indziej zaskakiwało nas skupisko nieforemnych, nieruchomych, a przede wszystkim jednakowej wielkości skrzyń, bez wyjątku udekorowanych brzozowymi liśćmi. Eugen Lawrenz, jak już powiedziałem, gotów był po tym odkryciu zawrócić, ale myśmy się uparli, żeby kontynuować podróż – już nie swojską, lecz napawającą dziwnym niepokojem drogę do Kartoszy.

To, że każdy z nas niósł plecak, nie było przypadkowe. Jesienią parę razy wyruszaliśmy do Kartoszy. Mimo że graniczna stacyjka była bardzo niepozorna, przejeżdżał przez nią oczekiwany z niecierpliwością wielki transport dorodnych, słynnych polskich gęsi. Przeszarżała lokomotywa ciągnęła całe pociągi tych mądrych i pożywnych zwierząt; nazywaliśmy je gęsiami pociągami. Piszcząco w nich, gęgało i syczało, a kiedy celnicy pchnięciem otwierali rozsuwane drzwi, przez chwilę stali w śnieżnej zawiei, tak, w kurzawie piór.

Te gęsie pociągi odprawiane były z całą życzliwością; konduktor dbał o to, by każdy, kto sprawdzał papiery przewozowe, mógł się w kręgu własnej rodziny przekonać o jakości towaru. Wychodziliśmy naprzeciw pociągom na pas ziemi niczyjej, aż do miejsca, w którym musiały się zatrzymać i czekać, aż przełożą zwrotnice. Konduktor, cierpiący zawsze na brak tytoniu i pieniędzy, udawał niezadowolonego, gdy pytaliśmy go o uszkodzone ptaki, zaledwie jednak wyciągaliśmy na otwartej dłoni swoją ofertę, łapał po prostu jakąś gęś z bezwładnymi skrzydłami, odpisywał ją na przyznane mu konto ubytków i wpychał do nadstawionego plecaka. Jeśli otaczały go same zdrowe sztuki, to demonstrował nam niekiedy, jak bez szczególnego wysiłku, jedynie dwoma zręcznymi, szybkimi ruchami zmieniało się zdrową, odpowiadającą wszelkim przepisom wywozowym gęś w uszkodzonego ptaka, wlokącego za sobą skrzydło, który ledwie był wart uznaniowej opłaty.

Te właśnie uszkodzone, tanie, w smaku jednakże całkowicie pełnowartościowe gęsi sprowadziły nas także owego pierwszego

września do Kartoszy, kiedy to zmieniona okolica wprawdzie zadała nam kilka niepokojących zagadek, jednakże jutrzienka wschodząca nad granicą obiecywała pogodny i niemal bezwietrzny dzień.

Kiedy tam przybyliśmy, stacja graniczna była pusta. Budka celnika była jeszcze zamknięta. Pawełek zabijał czas zbierając między szynami tłuczone kamyki z ostrymi kantami, układał je obok nasypu, a potem ćwiczył się w celowaniu do dzikich kaczek i łysek, które nawet pod tym bombardowaniem nie chciały opuścić swego bagnistego torfowego stawu.

Eugen Lawrenz usiadł na kamiennym słupku i zabrał się za swoje kanapki. Ja łąziłem wzdłuż pustych krat i klatek i zbierałem białe, szare i białoszare pióra ze skrzydeł, o które prosiła mnie Sonja Turk. Nadal nikt nie nadchodził tego ranka; szerokie okno, przez które nie mniej szeroka kobieta zwykle wydawała kawę, było wciąż zawarte; dreznina nie przywiozła celników, a w drewnianych chatach zrezygnowali widocznie ze śniadania, gdyż nad ani jednym z porośniętych mchem dachów nie unosił się słup dymu. Czyżby całe Kartosze udały się na wakacje? Może przenieśli przejście graniczne? Dokonałem inspekcji urzędowych budynków i uspokoiłem się, znalazłszy jeszcze wszystkie tabliczki z zakazami, przepisy odprawy i napisy informujące o wystawionych spluwaczkach.

Jednakowoż po naszej stronie personel nie pojawił się nawet wtedy, gdy z rzadkich lasów olchowych na południu wypełził gęsi pociąg; i to mnie zdezorientowało. Pociąg zbliżał się, sapał dzwoniąc przez łąki, gwizdnął parę razy w naszym kierunku, zapowiadając swe przybycie, lecz widocznie dostrzeżono go i oczekiwano tylko po polskiej stronie, gdyż przed drewniany budynek stacyjny wyszedł tam elegancki zawiadowca, który widząc zbliżający się pociąg poprawił na sobie mundur. Pozbieraliśmy się. Powoli dotarliśmy do ziemi niczyjej, usiedliśmy na wypalonym przez lecące iskry zboczu nasypu kolejowego. Błyszczące wyczyszczone mosiężne drążki lokomotywy, dym wisiał nad jej kominem, jakby namalowany przez Pawełka.

Nagle – zawiadowca stacji przyjmował właśnie wjeżdżający pociąg – ciała nasze przebiegło drzenie, jakaś brutalna siła zdawała się nas unosić, miałeś uczucie, że jeśli kolejne nadbiegające fale uderzeniowe nie przewrócą cię od razu, to przynajmniej wydzwigną do góry i uniosą. Nasyp zatrząsał się. Ziemia zadrżała. Zwisające gałęzie brzoźowego szpaleru zakołysały się gwałtownie. Huczało i grzmiało, a my rzuciliśmy się na ziemię, zerkając sponad szyn w stronę horyzontu, za którym musiało się dziać to wszystko, czego dalekie skutki mogliśmy odczuć. Nagłe błyski rozświetlały niebo od dołu, płonąc i pałając konkurencyjna jutrzienka mieszała się z zorzą poranną, a na jej tle z cichym warkotem w ściśle uporządkowanym szyku pojawiły się samoloty, Ju-87, jak wywiedziały się później Pawełek. Ciągnęły w zwartych eskadrach na południe, przelatując nad tą drugą jutrzienką.

Po przeciwnej stronie, przed budynkiem stacyjnym stał zawiadowca, maszynista, palacz i konduktor; oni także nasłuchiwali huku, dobiegającego zza horyzontu, oni też podnieśli głowy i patrząc w ślad za samolotami liczyli je, myśląc się przy tym. Potem przybliżyli się do siebie, by się naradzić. Zawiadowca zawołał coś na niemiecką stronę, machał ręką, dawał sygnały gwizdkiem, ale ponieważ nikt nie odpowiadał, naradzili się jeszcze raz i widocznie doszli do wniosku, żeby się trzymać przepisów odprawy i wyprowadzić gęsi pociąg ze strefy swojej odpowiedzialności, tak jak to zawsze robili.

Wdrapali się więc z dokumentami odprawy w zębach na wysłużoną lokomotywę, odmeldowali się z góry u swego zawiadowcy, dali pary, ruszyli i potoczyli się pomału na ziemię niczyją, gotowi dostarczyć gęgający ładunek zgodnie ze zleceniem do miejsca przeznaczenia. Przygotowaliśmy się. Sięgnęliśmy po pieniądze, upewniliśmy się, czy tytoń jest na swoim miejscu.

W tym momencie zza zalesionego wzgórza wyskoczyły dwa samoloty, zanurkowały w kotlinę, znowu podciągnęły się w górę i skierowały się na nas, dwa dwusilnikowe samoloty z namalowaną głową rekina o lekko zezujących oczach i wyszczerzonych zębach. Wyraźnie mogłem je rozpoznać, mogłem też dojrzeć poprzez migotanie śmigieł sylwetki

pilotów i zaraz potem czarny krzyż Rzeszy na płatach nośnych. Musiałem przygnieść Pawełka do ziemi, bo na widok obu samolotów chciał zerwać się na nogi; musiałem go parę razy mocno uderzyć, by nie wymachiwał rękami do obu maszyn, pozdrawiając pilotów...

Tak było, Martinie, tak jak mówisz: zaraz potem w samolotach coś rozbłysło i nitki pocisków smugowych poleciały w dół na nasyp kolejowy, rąbnęły o ziemię, aż piasek i kamienie rozprysły się i potoczyły w kierunku sunącego wolno pociągu; nie można było nadażyć z obserwowaniem tego, co się tam rozgrywało. Działa pokładowe i ciężkie karabiny maszynowe stebnowały brązowoczerwone wagony potężnym szwem, a jednocześnie drewniane ściany rozpryskiwały się w kawałki, świstały pociski, żelazo grało, pękały budki hamulcowego, eksplozje rzucały zygzakowate blaski, a z rozerwanej rury lokomotywy wydobywała się prychnając uwieczona para.

Wykoleił się, pociąg się wykoleił, ale dopiero po drugim nalocie, i to głównie dlatego, że nie było nikogo, kto by jak zwykle przestawił zwrotnice na ziemi niczyjej; kiedy palacz zeskoczył i na własną rękę próbował to zrobić, jego lokomotywa miała już prawie koła w powietrzu i przechylała się jak statek z przesuniętym ładunkiem. Wywróciła się na naszą stronę, waląc się pociągnęła za sobą oba przednie wagony, swą masą powodując, że wyskoczyły z szyn również następne i ściągnęły się w harmonijkę. Koła kręciły się w powietrzu, para i dym spowiły lokomotywę. Ustępowały spojenia, tu się coś łamało, ówdzie zwisający żelazny łańcuch walił o jakiś próg.

A obok mnie Eugen Lawrenz powiedział – nigdy tego nie zapomnę: – Coś mi się widzi, Zygmunt, że tera znowu je wojna.

Więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż w tym momencie usłyszeliśmy dźwięk, jakby ktoś zadął w zardzewiałą trąbę, i potężny gąsior drąc się zeskoczył z roztrzaskanej ściany wagonu, lądując niemal przekoziołkował w powietrzu i z odrzuconą do tyłu głową wydał znowu ten zardzewiały dźwięk, na co z dziur i pękniętych luków zaczęły wyłaniać się tuczony gęsi, wrzeszcząc zeskakiwały na dół, a ledwie się znalazły na ziemi,

łopocąc skrzydłami popędziły za gąsiorem, który najwidoczniej wskazał cel: zarośnięte torfowe bajora.

Cóż to był za szum! Te krzyki, to dzikie bicie skrzydłami białej armady, która wpadła w panikę; Pawełek musiał się mnie mocno trzymać, żeby to wszystko znieść. Wyobraź sobie tylko: jedna gęś uciekała wlokąc po ziemi skrzydło, inna podskakiwała na jednej nodze, tej odstrzelono kuper, tamta umykała z piersią zbryzganą krwią. Biel i czerwień, niewinność i krew. Niejeden ptak padał wyciągając szyję, trzepocąc lekko skrzydłami. Leżały w cieniu nasypu kolejowego jak pozostałe po zimie grudy śniegu, których nie dosięgło słońce. To, co się działo na torfowym stawie, wyglądało jak święto radości tych, którym udało się umknąć: całe to gęsie bractwo tłukło i chlapało skrzydłami w brązowej wodzie, bezustannie nurkowało, wiosłowało w ciasnym kręgu, wyrzucało w górę bryzgi wody i nawoływało się niezmordowanie.

Eugen Lawrenz zabronił Pawełkowi ruszać się spod osłony nasypu, po czym kazał mi pójść ze sobą i pomóc mu dostać się do jednego z wagonów, w którym pociski wyrąbały kawał drewnianej ściany. Najpierw westchnął, potem wydał okrzyk zaskoczenia, po czym kazał sobie podać mój plecak i zapalonego papierosa. Pochyliłem się nad podłogą wagonu, przez chwilę miałem uczucie, jakbym miał przed sobą spustoszoną wystawę sklepu z drobiem: gęsi leżały wprawdzie z kunsztownie wygiętymi szyjami i dekoracyjnie rozpostartymi skrzydłami, ale część połyskujących wilgotnie wnętrzości, niezbędnych do sporządzenia czerniny, rozprysnęła się – najwidoczniej pod uderzeniami pocisków, przykleiła do ścian wagonu, zwisała ociekając krwią z poszarpanych wybuchem desek, tu i ówdzie brukając któryś z białych brzuchów. – Podróbki, powiedział Eugen Lawrenz, jest tu cała masa podrobów – a kiedy już umieścił w naszych plecakach dwa lekko krwawiące, jeszcze ciepłe ciała, wyciągnął kilka arkuszy papieru pergaminowego i przy pomocy wieczka, które ukręcił od puszki po konserwach, zaczął zbierać żołądki i wątróbki, zeskrobując je też ze ścian, pozbierał także kilka pletwiastych nóg oraz pięknie połyskujące pęta jelit. Zgrabnie zawinął flaki w papier i włożył do plecaków.

Na ostrzegawczy krzyk Pawełka zeskoczył ku mnie, porwaliśmy nasz łup i zaczęliśmy uciekać, a odwróciwszy się zobaczyliśmy zrozpaczonego zawiadowcę stacji, który wykrzykując jakieś imiona biegł wzdłuż gęsiego pociągu i nagle padł na kolana – tam gdzie spod wywróconej lokomotywy wystawały nogi przygniecionego palacza. Biegliśmy obok ciągle jeszcze pustych budynków po niemieckiej stronie; huk w powietrzu nie ustawał, grzmoty i łoskot towarzyszyły nam aż do brzoźowego lasu i nie umilkły nawet wtedy, gdy dotarliśmy do bagnistych lasów wąsockich.

Tam napotkaliśmy pasterza, który szukał zbłąkanego zwierzęcia; był to stary człowiek w czarnym, spłowiałym płaszczu, nikt z nas go przedtem nie widział, ale to go nie powstrzymało od tego, by rzucić się na Eugena Lawrenza i w żywiołowym zbrataniu objąć go: – Wojna, człowieku, powiedziała, tera Polska już zginie. – Podskakując przed nami poprowadził nas wzdłuż dołów z wodą i ponad ciągle jeszcze zielonymi drzewami na wzgórze, z którego mogliśmy objąć wzrokiem smołowaną wstęgę wielkiej szosy granicznej, której budowę tak kiedyś sławił Conny: tamtędy ciągnęli na południe.

Sunęły na południe kolumny na rowerach i ciężkie oddziały artylerii, falujące regimenty piechoty; wypatrzyliśmy płaskie łodzie bojowe na specjalnych pojazdach, przeznaczone do tego, by we wzbijającym fontanny ogniu obronnym pruć fale Bugu i Narwi; przetaczały się połowe centrale telefoniczne, które wkrótce cykając meldować będą o małych i dużych zwycięstwach; skrzypiąc i turkoczając pojawiły się kolumny pancerne; ciągnięto kuchnie połowe, działa przeciwpancerne, uniwersalne 88 mm, które miały przeważać szalę zwycięstwa pod Modlinem i Brześciem Litewskim, a obok pojazdów, broni i maszerujących kolumn ruchliwie i niezmordowanie uwijali się łącznicy na ciężkich motocyklach, sumiennie przekazujący rozkazy...

Tak, Martinie, jak podobne są te obrazy! Znowu stałem i patrzyłem, jak przejeżdża tędy armia, jak ciągnie na „pole chwały”, tym razem wprawdzie w innym kierunku, dobrze wyposażona i zaopatrzona w ostatnie zdobycze epoki, ale unoszona tym samym posłuszeństwem, tą samą ślepą odwagą, a jeśli nie tym, to z pewnością urojonym poczuciem

obowiązku, które przywoływało na ich twarze ową nieprzeniknioną obojętność. Można było sądzić, że to ciągle ci sami żołnierze zdążają w stronę horyzontu, znikają za nim i okrężnymi drogami powracają; takie właśnie odnosiło się wrażenie.

Pomaszerowaliśmy z powrotem do Łukowca, idąc równolegle do szosy, przez pola i łąki. Tym razem – muszę dodać ten zwrot: tym razem – nie były dzwony, powietrze nie trzeszczało jak staniol, a mosty nie były zabezpieczone zardzewiałymi bronami, pługami i wałami pierścieniowymi, lecz dwoma działami obrony przeciwpancernej 37 mm. Pawełek od razu kucnął przy obsługujących je żołnierzach. Główną ulicą miasta przeciągała armia, a mieszkańcy Łukowca klaskali, machali rękami i rzucali żołnierzom papierosy i słodycze. Kawiarnie stały otworem – można się było samemu obsłużyć – kto chciał, wynosił na ulicę naręcza goździków albo astrów, dekorował nimi żołnierzy, wtykał łodygi kwiatów w lufy karabinów. Piekarze taszczyli plecione kosze z bułkami i ciastkami i podawali je na lawety albo do szeroko otwartych luków czołgów. Chłopcy od rzeźnika Kauluscha rozcinali girlandy kiełbas i rzucali krótkie, pękate kawałki na przejeżdżające wozy z załogami. Wprost trudno uwierzyć, co ludzie interesu z Łukowca w swym entuzjazmie gotowi byli ofiarować wyruszającej armii: nie tylko scyzoryki, skarpety i otwieracze do butelek, ale i skórki na reumatyzm, maszynki do strzyżenia, a żołnierze brali wszystko na znak solidarności.

Eugen Lawrenz wyciągnął mnie z rozentuzjasmowanego tłumu, milcząc zeszedliśmy w dół do zakola rzeki; nad nami ciągle jeszcze wisały eskadry samolotów i wciąż docierały do nas podmuchy przetaczających się w oddali detonacji. Na ławce przed domem siedziała Edith, z płaszczem na kolanach, obok niej stała duża walizka; na nasz widok zerwała się i popędziła ku nam; pragnęła wiedzieć tylko jedno: kiedy wyruszamy. – Dokąd mamy ruszać? – spytałem, a ona na to, jakbyśmy jeszcze tego nie wiedzieli: – Wojna, Zygmunta. – Nagle spostrzegła, że Pawełek nie wrócił z nami; zażądała natychmiastowej odpowiedzi, gdzie go zostawiliśmy, i wzburzona, bez słowa, pobiegła po niego.

Nie zdążyliśmy nawet pokazać jej naszej zdobyczy. Wnieśliśmy plecaki do kuchni, gdzie moja matka siedziała wygodnie między przygotowanymi miskami i miednicami – obraz letargicznego oczekiwania, a kiedy rozwiązałem rzemyki i otworzyłem plecak, wsunęła rękę do środka, zbadała zawartość, po czym z namysłem wyciągnęła z plecaka długą gęsią szyję. Ze spokojną znajomością rzeczy położyła ptaki na rozpostartym fartuchu, rozdzieliła jelita do kilku misek i od razu zabrała się do oskubywania pierwszego ptaka. Najbardziej ucieszyła ją i zachwycała nie lekko uszkodzona gęś, lecz przywiezione przez nas podroby. – Prawie nie ma co skubać – powiedziała z podziwem – wojna to zrobiła nie gorzej od nas, w każdym razie możemy uroczyście świętować jesień. – A potem pozostawiliśmy ją przy pracy, którą sama nader często nazywała swym ulubionym zajęciem, a jej zawodzący śpiew dowodził, że nic się nie zmieniło.

Wyruszyć w drogę? Czy moglibyśmy opuścić nadgraniczny Łukowiec? Myślę, że raczej tak; ale to, co marzyło się Edith – „Dokądkolwiek, gdzie nie ma wojny” – albo co jeszcze tego samego dnia zaproponował nam Conny, nie byłoby na pewno takie łatwe...

Ależ oczywiście...

Conny przyszedł od razu po pracy, nie obrał drogi przez miasto, lecz nadszedł od strony ogrodów nadbrzeżnych, pod pachą niósł płaską, brązową paczkę, a po sposobie, w jaki się poruszał, można było poznać, że nie zależało mu na przypadkowych spotkaniach. Widziałem z okna warsztatu, jak nadchodził, a w chwilę potem usłyszałem jego pukanie i wpuściłem go. Wręczył mi paczkę, nie patrząc na mnie, a na moje pytanie, co tam przysłał, powiedział tylko: – Coś do twojego muzeum – znaki czasu.

Były to najnowsze dzieła z drukarni Griga, duży wybór plakatów; pokazywały one złodzieja węgla, kradnącego tak potrzebną energię, wzywały do nieufności wobec obcych, gdyż wróg wszędzie słuca, obwieszczały konieczność zaciemniania, znaczenie zbiórki złomu, pewność zwycięstwa, a jeden plakat – ukazywał on chłopca i żołnierza,

k którzy podawali sobie ręce ponad krainą pełną jezior i lasów więc ten plakat głosił, że ojczyzna i front mają ten sam wielki cel. Conny unikał powtórnego oglądania plakatów, przyglądał się tylko mnie, chcąc widocznie sprawdzić, jakie wrażenie robią na mnie barwne ostrzeżenia i nakazy, a ponieważ nie zareagowałem dostatecznie szybko, wyciągnął portfel, wyłowił z niego komplet świeżo wydrukowanych kartek żywnościowych i dołożył je do plakatów.

Pamiętam, że nie od razu go zrozumiałem, gdy powiedział: – Jeszcze jest czas, by wyruszyć do Haparandy. – Zapytałem: – Haparanda? Jak to? – a on na to, z udanym rozczarowaniem, które było też jednak trochę prawdziwe: – Zdaje się, Zygmunt, że jesteśmy umówieni w Haparandzie – Edith, ty i ja. Niewiarygodnie dawno temu ustaliliśmy, że tam pojedziemy. Teraz byłby odpowiedni moment, by wyruszyć.

Nie wątpiłem, że Conny mówi poważnie; wymawiał tę obcą nazwę tak, jak wymawialiśmy ją będąc dziećmi – wtedy gdy nie była dla nas jedynie celem ucieczki, ale i ziemią obiecaną – mianowicie skandując ją z rozkoszą: Ha-pa-ran-da. Nie chciał niczego robić pośpiesznie, prosił mnie jedynie, bym przemyślał nasz stary plan, byśmy go wspólnie z Edith przedyskutowali; przyrzekłem mu to, chociaż wiedziałem, że ja nie pojedę; zbyt wiele trzymało mnie w Łukowcu; moja rodzina, praca, no i nasze muzeum, tak, również nasze muzeum, które znaczyło dla nas tym więcej, im wyraźniej, tak, im jawniej głoszono, że ojczyzna jest „wspólnotą losu”...

Widzisz, i już z tej brutalnej wykładni poznajesz, do czego miała służyć ojczyzna. Na jej obszarze – głoszono – dojrzewały cnoty narodowe, których pilnie potrzebowano, a więc wierność, męstwo i zacięta wytrwałość, a ziemią ojczystą nie była już dla nich najbliższa okolica, lecz kraj, Rzesza...

Ale co to ja chciałem ci powiedzieć?

O marzeniu, prawda, o naszym dzieciennym marzeniu, o Haparandzie: Kiedy Conny pierwszego dnia wojny zaproponował nam, byśmy wspólnie wyruszyli na północ, uświadomiłem sobie dopiero, ile rzeczy wiąże mnie

z Łukowcem, a zwłaszcza jakie znaczenie zyskało dla mnie muzeum. Wtedy wydawało mi się wykluczone, że mógłbym porzucić nasze zbiory albo choćby tylko przejściowo powierzyć je komuś innemu. Mój stosunek do przedmiotów, do „czystych świadków”, jak nazwał je kiedyś wuj Adam, zmienił się, niepostrzeżenie, bez specjalnych zabiegów; zawsze kiedy byłem z nimi sam, zdawały mi się coś obiecywać: że pewnego dnia to wszystko, co teraz puszy się i chełpi, zostanie zdemaskowane. Czy możesz sobie wyobrazić, że kiedy czasem stawałem przed regałami, brałem do ręki pojedyncze sztuki i dotykałem ich, odczuwałem niemal pociechę. Tak, było to jak układ, a chwilami coś w rodzaju milczącego sporu: stare, skromne znaleziska wagą swej przeszłości przeciwstawiały się arogancji dnia dzisiejszego. Czasami przyłapywałem się też na tym, że podobnie jak wuj Adam rozmawiałem z niektórymi przedmiotami; tak, powtarzałem sobie historie, łączące się z nimi, a niekiedy traktowałem je jak sprzymierzeńców, którzy na sobie samych doświadczyli tej spokojnej obojętności, z jaką czas znosi wartość rzeczy, wartość naszych projektów.

W każdym razie z początkiem wojny odkryłem nasze muzeum na nowo, wytworzył się między nami – jak już mówiłem – jakiś pocieszający związek, i z szaleńczym oddaniem, do którego zdolny jest tylko zapamiętały kolekcjoner, zacząłem urządzać specjalny pokój, dla oszczędności miejsca każąc sąsiadować ze sobą leciwym sprzętom kuchennym i dawnym narzędziom. Tak, byłem opętany, kiedy gromadziłem ten zbiór, mający obejmować wszystko to, co ukazywało „ojczyznę czasu wojny”; postanowiłem sobie od samego początku przechowywać wszystko, nawet najbardziej niepozorne dowody, przypadkowe dokumenty, uporządkować je tak, by miały siłę świadczenia; chciałem w ten sposób uwiecznić ślady, jakie wojna pozostawiła w ojczyźnie, żądania, jakie stawiała, ile oczekiwań i złudzeń zbudziła i ile nieszczęścia i smutku w końcu nam przyniosła. Zaczęto się od plakatów, które przyniósł nam Conny, od kompletu świeżo wydrukowanych kartek racjonujących żywność.

Ale teraz spróbuj sobie wyobrazić, że podczas gdy ja dopiero obmyślałem swój plan, tajemnicza konkurencja od dawna już zajęta była gromadzeniem pokaźnych, głównie błyszczących świadectw wojny i

ukrywaniem ich w pomieszczeniu oddalonym tylko o kilka metrów od sali, którą przeznaczyłem na moje zbiory. Pamiętam jeszcze ten ranek, kiedy Edith przerażona weszła do pracowni, bez słowa, cała dygocąc, wzięła mnie za rękę, wyciągnęła na korytarz, gdzie także nie umiała mi nic powiedzieć – tak była ogarnięta strachem. Zaprowadziła mnie do łóżka Pawełka, podeszła do jego nóg, uchyliła pierzynę, uniosła materac i stała, dysząc, na uginających się nogach. W siatce z kolorowych resztek wełny leżał piękny pocisk, granat obrony przeciwpancernej, kaliber 37 mm, pochodzący przypuszczalnie z jednego z dział, które od pierwszego dnia wojny ubezpieczały mosty Łukowca. Edith, zdaje się, przeraził nie tyle fakt, że w domu znajdował się granat, ile że to właśnie Pawełek potajemnie przeschmuglował pocisk i schował pod łóżkiem jak jakiś zakazany skarb, jak ukryty kapitał, co do którego miał własne, niepojęte plany. Nie czekałem na jego powrót; ostrożnie podniosłem pocisk, zaniósłem przez ogród nad rzekę i tak że Edith widziała wszystko z okna, zatopiłem granat tam, gdzie woda przewalała się w czarnych wirach.

Tak, a wróciwszy do domu spostrzegłem nagle, że szmaciany dywanik nad wjazdem do tajnej piwnicy leży tak, jak go nigdy nie zostawiałem: odsunąłem go na bok, podniosłem klapę, zszedłem na dół do duplikatów i imitacji oraz eksponatów, których nie chcieliśmy albo nie mogliśmy pokazać w muzeum. Światło latarki ślizgało się po przedmiotach, które zesłałem w mrok; wydawały się nie ruszane – z wyjątkiem kosza na bieliznę, który był tak zastawiony przedmiotami, że wyglądało, iż umieszczono je tam umyślnie. Zdjąłem je: kosz zawierał zbiory Pawełka, ukrywał on jego konkurencyjne przedsięwzięcie, zdradzające z pewnością wrażliwość, konsekwencję i oko na wszystko, co miało jakąś wartość.

Nie, nie granaty, ale za to liczne inne świadectwa wojny, podzielone na działy i tematy, wyglansowane, wygładzone, naciągnięte z ręcznie na tekturę: amunicja do karabinu na przykład, dystynkcje, emblematy poszczególnych rodzajów broni, ale także menażki, saperka i mapnik z mapami, który rzeczywiście podarował mu pewien polski oficer. Wiele rzeczy przytaszczył z prowizorycznego obozu jenieckiego, który urządzono za miastem koło fabryki sklejk; wywiedział się szybko, czego najpilniej potrzebują jeńcy, często oczekiwali go z niecierpliwością, i to,

czego ja kiedyś omal nie przypłaciłem życiem – zbiór guzików od mundurów, niespodzianka dla wuja Adama, którą chciałem go zaskoczyć, on nabywał bez żadnego ryzyka za paczkę papierosów. Jeńcy darowywali mu chusteczki wojskowe, opaski przeciwpotowe, naszywki na kołnierze, a nawet sfilcowane wojskowe skarpetki, które bynajmniej nie lekceważąco, lecz z widocznym zmysłem dekoracyjnym przypiął do wewnętrznej ściany kosza.

Wiedział albo zdawał się już wiedzieć, jak pouczające są porównania, umieścił więc obok siebie na przykład niemiecką i polską sprzączkę od pasa, podobnie niemiecką i polską oficerską rękawiczkę skórzaną, pojednawczo splecione ze sobą. Najbardziej jednak zdumiał mnie zbiór, który umieścił w pudełku po herbatnikach: były to odkształcone pociski i poszarpane ostro odłamki granatów i bomb, których nie pozbiarał bynajmniej na placu ćwiczeń albo na strzelnicy, ale drogą wymiany dostał od pewnego starszego przyjaciela, którego ojciec był sanitariuszem w rezerwowym lazarecie w Łukowcu. Wszystkie sztuki wyjęte były z ciał operowanych rannych żołnierzy.

To, co zobaczyłem, zatrzymałem chwilowo dla siebie; położyłem wszystko na swoim miejscu, zamknąłem kosz i zastawiłem go maskującymi przedmiotami. Wiedziałem, że pewnego dnia zaciągnie mnie przed swój zbiór, żądny tego, by widzieć, jak oniemieję, jak waham się między zdumieniem i uznaniem, dlatego też pozostawiłem dywanik tak, jak on sam go położył...

Kiedy przysła kolej na nas?

Masz na myśli wojnę? Wiesz przecież, jak pomyślnie przebiegała z początku, jak efektywnie ciągnęły każdego dnia nad nami w kierunku południowym eskadry Ju-87 i He-111, by zaatakować Mławę, Łomżę i Modlin, a niektóre nie omieszkały zaprezentować swych możliwości także w Warszawie, po tym jak została ona ogłoszona twierdzą, by usankcjonować bombardowania. W każdym razie pierścień wokół Bzury właśnie się zamknął – kocioł, w którym wszystko się rozstrzygnęło – kiedy to Conny i ja dostaliśmy wezwanie do wojska, otrzymaliśmy je

obydwaj tego samego dnia, razem poszliśmy do szkoły, gdzie w naszej dawnej klasie urzędowała komisja poborowa – major, lekarz sztabowy, pisarz, goniec i chyba także kilku świadków...

Conny przyniósł dużą, brązową kopertę, której nie wypuścił z rąk podczas mierzenia i ważenia, nawet mnie nie powiedział, co zawiera, mrugnął tylko znacząco i cicho gwizdnął: – Poczekaj tylko, Zygmunt, jeszcze się dowiesz, do czego to się przyda. – W drzwiach minęliśmy się z Simonem Gayko; krzywonogi Bośniak został wcielony do armii przed nami; wzruszył ramionami, nie był zbyt zadowolony: namiętnego budowniczego modeli statków nie skierowano do załogi okrętu, lecz uznano, iż nadaje się akurat do zasilenia artylerii nadbrzeżnej. My byliśmy następni, i zaledwie znaleźliśmy się przed małomówną, zgraną komisją, Conny wystąpił naprzód i przekazał lekarzowi kopertę, wręczywszy mu papier z lekkim ukłonem; ten kiwnął spokojnie głową i wyłowił dwa zdjęcia rentgenowskie, które oglądał długo pod światło; czytając załączony papier, kiwał wciąż potakująco głową. Rzeczowa, lakoniczna wymiana zdań między lekarzem i majorem, nakazujący gest ręki: Conny był zwolniony, odroczenie do odwołania, jak to się nazywa, a to z powodu niewydolności kręgosłupa, co okazało się skutkiem jego wypadku.

Mnie major nie chciał uwierzyć, że było mi obojętne, gdzie mnie wydział, to znaczy, do jakiego rodzaju broni; starając się znaleźć jednostkę, która by odpowiadała moim zdolnościom albo w której mogłyby się one szczególnie uwidocznic, zaznajamiał mnie pokrótce ze specjalnymi wymaganiami i zadaniami różnych rodzajów broni – przebieg wojny pozwalał jeszcze wtedy na taką czasochłonną procedurę. Major wtajemniczał mnie więc zwięźle w możliwości artylerii, uzasadniał wielostronność zadań, stawianych saperowi, wyłuszczał mi, dlaczego ostatecznie wszystko zależy od piechoty – a ja ciągle jeszcze nie mogłem się zdecydować. I nie zaprotestowałem, kiedy przestudiowawszy pobieżnie mój życiorys, przeznaczył mnie do służby w batalionie zaopatrzeniowym, w zastępczym batalionie zaopatrzenia. Wyszkolenie zasadnicze – także żołnierz służby zaopatrzenia musiał mieć wyszkolenie zasadnicze – zdobyłem na urozmaiconych widokowo, ba, wręcz uroczych placach ćwiczeń w Giżycku, tak niedaleko mego Łukowca, że już po dwóch

miesiącach mogłem pojechać po raz pierwszy na sobotę i niedzielę na urlop, w mundurze. Tak zaczęła się krótka rola, którą zarezerwowała dla mnie wojna...

To pewnie siostra z tacą; pomóż jej, Martinie – na pewno znów przyniosła filiżankę dla ciebie...

No widzisz...

Tak, siostrze, znowu, pan Witt znowu tu jest, mój towarzysz w gęstwinie przeszłości, mój prywatny inspektor z urzędu miar i wag, którego sam poprosiłem o wycechowanie mojej historii... Wolno mi cię chyba tak nazwać, Martinie...

Dziękuję, siostrze, poradzę już sobie sam, powoli dochodzę do tego, że będę mógł ulżyć pani we wszystkim; wkrótce będę mógł pani wręczyć moją osobistą deklarację niepodległości – na utkany tle....

Nie, proszę nie pytać, niczego nie zdradzę...

Zrobię to, obiecuję to pani: zadzwonię jeszcze przed kolacją. Dziękuję, siostrze...

Ale na czym to stanęliśmy? Wojna, tak, moje gościnne występy na wojnie. Jak to brzmi – na wojnie – jako członek batalionu zaopatrzeniowego, mającego za zadanie zaopatrywać osłabione oddziały w wielkim łuku Narwi, na północny zachód od Białegostoku. Do Białegostoku jechało się wygodnie pociągami towarowymi; tam zjeżdżaliśmy z otwartych wagonów i z turkotem ruszaliśmy zmotoryzowaną kolumną, która wraz ze wzrastającą odległością stawała się coraz krótsza, przez płaski, bagnisty, nieprzejrany kraj, do komendantur, sztabów i odległych posterunków, które witały nas zawsze serdecznie i zmuszały do dłuższego pobytu, aby dowiedzieć się od nas ostatnich nowin. W wyprawach tych towarzyszył nam lekki pancerny wóz zwiadowczy, który jednakże w porze ciężkich zawiei śnieżnych nie mógł być użyteczny i był zastępowany zmotoryzowanym pługiem śnieżnym, na którym jechał uzbrojony oddział konwojujący: trzech żołnierzy z lekkim karabinem

maszynowym. Również niektórzy mieszkańcy witali nas serdecznie, niezamożni chłopcy, rzemieślnicy, handlarze; znali oni już trasę naszej kolumny, gdzie poszczególne wozy wyłączały się z szyku i pozostawione jakby samym sobie, toczyły się albo – to chyba lepsze określenie – zataczały się samotnie przez ten leżący w wiecznym, śnieżnym półmroku kraj. Nie zastanawialiśmy się, jak udało im się uratować w owych czasach wszystkie te złote monety, ukryć srebro przed kolejnymi generacjami grabieżców, a szynki i gęsi przed oddziałami rekwizycyjnymi; braliśmy od nich to, co wyciągali ku nam na leśnych polanach albo w dymiącym powietrzu znad zamrożonego bagna, i dawaliśmy im za to naftę i lekarstwa, kawę i tytoń. Z czasem witaliśmy niektórych z naszych handlowych partnerów po imieniu, dawaliśmy im zamówienia, wyznaczaliśmy atrakcyjne ceny, a jeśli w ogóle się czemuś dziwiliśmy, to tylko temu, skąd znali datę i trasę naszego przejazdu; zawsze oczekiwali nas z dala od wsi i chałup.

A później, podczas jednej z tych szalejących zamieci śnieżnych, które przechodziły nad krajem od północnego wschodu, zaginęła pewnego dnia załadowana ciężarówka, zaginęła bez śladu wraz z trzema żołnierzami z oddziału konwojującego, mimo szeroko zakrojonych poszukiwań; istniały dowody na to, że dotarła do Białegostoku, minęła go, przesledzono nawet jej drogę przez kilka umocnionych grobli na rozlewiskach Narwi, i nagle jednak ślad się urywał; było to w pobliżu smutnej wioszczyny – Kobrykowo czy jakoś podobnie – również tablica z nazwą była częściowo zasypana.

Do tej wsi, zamieszkaney prawie wyłącznie przez rybaków rzecznych i kopaczy torfu, wysłali z Białegostoku oddział specjalny; zrekonstruował on jeszcze raz ostatnią trasę ciężarówki, przesłuchał mieszkańców wsi, następnie poprosił sołtysa o wyznaczenie trzech mężczyzn do powieszenia. Sołtys odmówił, na co oddział wybrał trzech przypadkowych mężczyzn, powiesił ich podczas zamieci śnieżnej i wydał rozkaz pozostawienia ciał wisielców przez trzy dni na szubienicy. Podjechaliśmy do szubienicy, zatrzymaliśmy się na krótko. Widziałem ich tam, jak wisieli, huśtając się w podmuchach lodowatego wiatru, i pamiętam jeszcze, że nie mogłem oderwać wzroku od widoku ich butów,

ich w wielu miejscach podartych i wielokrotnie łątanych trzewików bez obcasów. Od tego dnia nikt nie oczekiwał nas w samotnych miejscach handlowych transakcji. Tak, Martinie, tu w Kobrykowie, to znaczy za tą nieszczęsną miejscowością, gdzie droga oddalała się od rzeki, na lekkim wzniesieniu nasze koła wyskoczyły z twardej, zamarzniętej koleiny, wóz siłą swego ciężaru zaczął się staczać, i mimo wielokrotnych prób nie udało się nam przy użyciu samego tylko silnika powrócić na drogę. Musiałem sprowadzić pomoc, musiałem zabrać z chałup kilku mężczyzn do pomocy; niektórzy rzeczywiście żegnali się ze swymi bliskimi, zanim usłuchali mego wezwania i w swych bezkształtnych kapotach, nadających im wygląd jakichś zasznurowanych stworów, poszli do ciężarówek. W ostatniej chałupie otworzył mi stary, wysoki, wymizerowany mężczyzna, któremu w widoczny sposób udawało się łączyć godność i niedbałość i który nie okazał ani zaskoczenia, ani przestachu, kiedy ujrzał przed sobą obcy mundur.

– Cóż, panie żołnierzu? – zapytał i wydawał się zdziwiony, że nie powiedziałem mu, czego chcę, lecz odsunąłem go na bok, po prostu przycisnąłem go do ściany i wszedłem do niskiej, ciepłej izby, gdzie pod osłepłym od śniegu oknem, naprzeciwko rozżarzonego pieca, stały krosna. Tak to trafiłem do Michała Mamino, najślawniejszego mistrza tkackiego w województwie białostockim, suwalskim i łomżyńskim. To znaczy, nie wiedziałem jeszcze, że człowiek, który patrzył na mnie z potępieniem, gdy bez słowa wszedłem do izby, to był Michał Mamino, legendarny tkacz, na którego niekiedy powoływała się także Sonja Turk jako na najwyższy autorytet, mimo że, jak mogłem teraz stwierdzić, bynajmniej nie był od niej starszy.

Stałem obok krosien; mistrz pracował właśnie nad gobelinem „Chrystus podczas burzy”; pamiętam jeszcze czerń i zieleń morza, i że apostołowie nosili szaty koloru ziemi, a śpiący Chrystus był ubrany na biało. Cóż za spokojne wyzwanie było w tym obrazie: płonące grzebienie fal na spiętrzonej ścianie wody, a pod nią niska łódeczka bez wiosła ni żagla czy steru, i podczas gdy apostołowie podpierali się nawzajem i oceniali groźbę fal, Chrystus spał u ich stóp. – Panie żołnierzu – pytał stary człowiek stanowczo – z jakim zleceniem pan przychodzi? – Zamiast

odpowiedzi spytałem go, czy mogę tu przyjść jeszcze raz; wahał się z wyrażeniem zgody, uważał, że powinien zwrócić mi uwagę na to, iż on nic nie sprzedaje, jak również nie przyjmuje żadnych zamówień; dopiero gdy wymieniłem mu swój zawód, zgodził się, aczkolwiek niezbyt ochoczo.

W każdym razie przyszedłem do niego znowu, zapukałem, jak mi poradził, w okno, a nie do drzwi, a on wpuścił mnie przez drewnianą przybudówkę, gdzie znajdował się gołębnik. Zaparzył nam herbatę z kwiatu lipy, do tego poczęstował mnie brązowymi, twardymi jak kamień sucharami, które on maczał sobie w płynie. Tylko jeden jedyny raz uśmiechnął się: było to wtedy, gdy go spytałem, czy spotkał kiedyś Michała Mamino – powiedziałem: wielkiego Michała Mamino, którego nawet moja mistrzyni, Sonja Turk, uważała za autorytet. Uśmiechając się wyciągnął z narożnej szafki skrzyneczkę, wydobył z niej pakiecik listów i położył przede mną stary wycinek z gazety: zdjęcie przedstawiało Sonję Turk i Michała Mamino, dwoje zdobywców pierwszej nagrody na wystawie kilimów w Kownie.

Kazał sobie opowiedzieć o naszej pracy, zwłaszcza jednak o chorobie Sonji i o jej widomym pogodzeniu się prawie ze wszystkim, co niosła ze sobą choroba albo co na nią nakładała; na temat wojny nie uronił ani słowa. Wszelako nawet kiedy już poznał moje nazwisko, nie przestał mnie nazywać Pan Soldat i chwilami miałem wrażenie, że znosił moją wizytę jedynie dlatego, by wypełnić nałożony sobie samemu obowiązek. Zanim go pożegnałem, napisał list do Sonji Turk; nie musiał się ani chwili namyślać, nieprzerwanie wodził piórem po papierze, zupełnie jak gdyby kontakty między nimi nigdy nie zostały zerwane, jak gdyby niczego nie trzeba było na nowo zadzierzgnąć, objaśniać. – Może mi odpisze – powiedział i obserwował uważnie, jak kładłem list między swoje dokumenty.

Nie musiałem nawet czekać do następnego urlopu, by oddać list Sonji Turk; aby pozbyć się części ładunku, nasza kolumna zatrzymała się w Łukowcu przed wielkim magazynem w pobliżu kazamatów, który pewnego dnia podczas wybuchu tysięcy składowanych tam pancernaustów miał się dosłownie rozsypać w proch w chmurze dymu i

pyłu. Obładowany puszkami z wieprzowiną, kawą i cukrem ruszyłem w drogę do domu, zostawiłem tam część ładunku, a z resztą poszedłem przez most do samotnego domu nad końskim wodopojem. I teraz Sonja Turk zadziwiła mnie: przy całej radości z listu Michała Mamino nie wydawała się wytrącona tą niespodzianką z równowagi, nie żeby go oczekiwała, j to właśnie teraz, ale coś w jej zachowaniu, jakaś radosna satysfakcja, jakieś szelmowskie zadowolenie pozwalało sądzić, że coś się wydarzyło, coś się zdecydowało, o czym nigdy nie zapomniała.

Nie, Martinie, to nie o to chodziło, i nigdy byś na to nie wpadł, choćbyś się nie wiem jak wysilał; ja sam dowiedziałem się o wszystkim tylko pośrednio, z odpowiedzi, którą mi podyktowała, musiała podyktować, gdyż ze swymi spuchniętymi stawami nie mogła już utrzymać pióra.

Chodziło o pewien zadawniony spór, spór o przekonania między tymi dwoma znamienitymi tkaczami, który w pierwszej chwili może ci się wydać bezcelowy i raczej bezpłodny, który jednak miał dla niej – a to znaczy chyba też dla nas – zasadnicze znaczenie. Sonja Turk twierdziła przed wielu laty, że kilimu mającego cechy oryginału nigdy nie da się dokładnie powtórzyć. Michał Mamino natomiast utrzymywał, że jest to możliwe przy dokładnym przestrzeganiu ustalonego i opisanego procesu tkania; na to Sonja Turk wezwała publicznie swego kolegę, by dostarczył na to dowodu, a on przyjął wyzwanie, rezygnując z nagrody, którą gotowa była wypłacić Sonja Turk w razie porażki czy obalenia swej teorii: pięćdziesiąt złotych w złocie.

Było to, jak już mówiłem, wczasach, kiedy oboje byli jeszcze młodzi, i nawet jeśli potem do wiadomości publicznej nie przeniknęło nic o stanie sporu, to wydało się, że Michał Mamino uparł się, by go jednak w tajemnicy rozstrzygnąć, i przez dłuższy czas usiłował dostarczyć atutów, potwierdzających jego pogląd, by wreszcie po wszystkich tych daremnych próbach przyznać, że Sonja Turk miała rację. I to właśnie przede wszystkim zakomunikował jej, czy też wyznał w swoim liście: że mimo rozlicznych prób nie udało mu się utkać dwóch identycznych kobierców, które nie różniłyby się nawet grubością nici.

Jego prace? Czy oglądałem jego prace? Tylko niektóre, Martinie, chociaż nigdy nie zanieczyściłem odwiedzenia go, kiedy przejeżdżaliśmy przez Kobrykowo, a pokazał mi je tylko dlatego, że uparcie go o nie pytałem. Musisz wiedzieć, że był umiarkowanie życzliwy, nie dał mi również nigdy odczuć, że moje odwiedziny coś dla niego znaczą; gdybym miał określić sposób, w jaki mnie traktował, to musiałbym powiedzieć: siedział chwilę do mojej dyspozycji. Prezentów, które mu przynosiłem – kiedyś był to nawet garnek z owocami w rumie od Sonji Turk – w mojej obecności nie ruszał; kładłem moje podarunki na stole i tam leżały nietknięte, dopóki nie odszedłem; nigdy nie usłyszałem od niego żadnych podziękowań, choćby zdawkowych, nie mówiąc już o szczególnie serdecznych.

Ale pytałeś o jego prace: był wśród nich kobierzec dużych rozmiarów, obliczony całkowicie na efekt z odległości – zdecydowane płaszczyzny kolorów: srebrzysta zieleń i srebrzysta żółć – nazwał go „Gołębie i ryby”. Widziałem go, zanim dwóch ludzi odebrało dywan czy też utrzymywało, że musi go odebrać, dwóch odpychających, milkliwych mężczyzn – jednego z nich miałem wkrótce potem zabić. Gołębie i ryby zamieniły się żywiołami, pomyliły górę i dół: tak więc chmary wrzcionowatych ryb szybowały w czystym błękitnie, podczas gdy poważnie zorganizowane stada gołębi śmigły w migotliwej głębinie. Była to imponująca praca, okaz zadziwiającej piękności; nawiasem mówiąc, gołębie i ptaki poruszały się w przeciwnych kierunkach, ale obie grupy – można to było przewidzieć – miały zaraz wtargnąć w złoty blask światła, z ciemnym siatkowym wzorem w tle; wraz z Sonją Turk daremnie próbowaliśmy później nadać tym symbolom jakiś jednoznaczny sens.

Zapytałem mężczyznę, dokąd chcą zabrać dywan; spojrzeli tylko na mnie nie rozumiejąc, a po chwili Michał Mamino zdecydował się odpowiedzieć za nich: – Do kościoła, powiedział, podarowałem dywan naszemu kościołowi.

Kontynuowałem te wizyty dla Sonji Turk, tak, głównie ze względu na nią, gdyż od kiedy po raz pierwszy opowiedziałem jej o Michale Mamino, mężczyźni mnie swą nienasyconą ciekawością, chciała wiedzieć o wszystkim, co go otaczało, co się z nim łączyło, interesowało ją nawet, jak

się ubierał, a raz, zapominając zupełnie o swym stanie, poważnie rozważała ponowne spotkanie. I właśnie dlatego, że powtarzałem swoje odwiedziny, przestrzegałem instrukcji, których udzielono nam w batalionie, nigdy więc nie opuszczałem naszego wozu bez broni i zawsze tylko pod warunkiem, że przynajmniej jeden z nas zostawał w wozie; na nowych mapach, które otrzymaliśmy, zakreskowano tak zwane „tereny niepewne”, i te czerwone kreseczki sięgały aż pod Kobrykowo.

Tak, Martinie, ale tylko sporadycznie i, jak się zdaje, bez żadnego planu; te napady wyglądały z początku jak małe, wściekłe ciosy, które miały im samym dowieść, że klęska w żadnym razie nie doprowadziła do całkowitego paraliżu, nierzadko jednak ten opór stanowił odpowiedź na niektóre akcje butnego okrucieństwa, do którego gotowi byli ci, co nadciągali za wojskiem, by na swój sposób obejmować w posiadanie podbity kraj i rządzić nim. Oni, zarządcy, nie mówili już „niepewnych”, lecz o „zapowietrzonych” terenach, a za skuteczny środek, by uczynić je uległymi i bezpiecznymi, uważali „bezwzględna dezynfekcję”.

Las w każdym razie nie był jeszcze zakreskowany na mapie, ów nieruchomiasty las jodłowy pod Kobrykowem, przez który do tej pory bez obawy obieraliśmy drogę, dwie przeładowane ciężarówki z naszej kolumny, potężniejsza, z pługiem śnieżnym z przodu, a my w bezpiecznej odległości za nią; na śniegu kładły się wielokształtne cienie, pod wieczór można było dostrzec różne barwy śniegu – od szarobiałego do fioletu. Wiatr tu nie docierał, widoczne były tylko tropy zwierzyny, przechodzącej przez drogę, poza tym ani śladu, co najwyżej wygrzebane łapami w śniegu porosty, brudne plamy w tym nietkniętym krajobrazie. Tak, jeszcze wrony, które dawały się nieść wiatrowi ponad lasem w kierunku Narwi, gdzie na brzegach piętrzyły się kry lodowe, a na krze widniały szczątki utopionych zwierząt domowych. Przemierzaliśmy równomiernie tę przestrzeń, utkaną z zimna i milczenia, niezbyt szybko, ale skutecznie i niepowstrzymanie; wiedzieliśmy, że tamci w bazach i punktach dowodzenia liczą na nas. I właśnie w tym lesie wpadliśmy w zasadzkę.

Jeszcze się nie ściemniło, lecz obydwa wozy jechały już na światłach; droga biegła pagórkami, i w momencie kiedy pierwszy samochód stanął,

dostrzegłem w kręgu reflektorów dwa potężne, ociosane pnie, które bynajmniej nie leżały w poprzek zagradzając drogę – to niechybnie wzbudziłyby w nas nieufność – tak, jak gdyby zsunęły się z jednego z tych długich pojazdów do przewożenia drzewa, przebiły żerdzie zabezpieczające i ześliznęły się, tak to wyglądało. Ci z przodu wysiedli, kopnęli pnie nogą i naradzali się; powątpiewali widocznie, że pług śnieżny zdoła usunąć przeszkodę, a objechać jej się nie dało, gdyż do samej drogi dochodziły stare jodły, których pnia nie objąłby jeden mężczyzna. – Będą musieli wziąć linę – powiedział nasz kierowca – przewlec ją przez łańcuch, a potem podjechać tyłem i odciągać pnie na bok, jeden po drugim. – Wysiadł i ruszył do przodu, gestykulując żywo zapoznał ich ze swym planem, właśnie chyba ich przekonał, gdy ciszę przerwał terkot, jakiś osobliwie suchy, pozbawiony echa trzask.

Trzech z nas skuliło się i upadło, kierowca uniósł jeszcze raz twarz, wygiął się, chciał się pewnie podciągnąć na jednym z pni, lecz ogień karabinowy, który się na nowo zerwał, odrzucił go do tyłu. Nagle zrobiło się cicho; nie była to jednak dawna obojętna cisza, która zawsze tu panowała, trwając nad wszystkimi, którzy wkraczali w te lasy czy wręcz uważali je za swą własność; była to cisza pełna zaskoczenia i napięcia wywołana nagłym przerażeniem i zdumieniem. Z przodu, w pierwszym wozie, musiał jeszcze znajdować się Treuburger, dowódca naszej kolumny, nieokrzesany, porywczy mężczyzna, o którym przebąkiwano, że był zdegradowanym oficerem, samotnik, w którym wszystko zdawało się budzić wstręt, nawet władza, jaką mu powierzono. Nie wiem, jak zdołał niezauważony opuścić pojazd, wczołgać się pod niego, a potem jeszcze dotrzeć aż do mnie, na jego znak otworzyłem drzwiczki szoferki. Rzucił mi swój pistolet maszynowy, zapuścił motor i rozkazał ostrzeliwać przez otwarte okno las. – Wal między drzewa – powiedział, podczas gdy sam wyłączył światło i z zimną krwią cofał wóz, zyskując metr po metrze. Gdy klakson ryknął nieznośnym, przeciągłym dźwiękiem, sądziłem z początku, że jest on częścią jego strategii ucieczki, ale nagle nasza platforma zawadziła o kilka pni, pękła plandeka, wóz się zatoczył i wypadł z kolein, wjechał na drzewa i stanął jak zakleszczony. Treuburger leżał twarzą na

kierownicy, czołem naciskał na klakson; odciągnąłem go na siedzenie i wyłączyłem silnik. W czoło, trafili go w czoło.

Nie pytaj mnie, na co liczyłem albo co postanowiłem; otworzyłem drzwiczki od strony lasu, przecisnąłem się obok Treuburgera i ześliznąłem w śnieg, niepewny, czy już mnie nie wypatrzyli; nawet teraz nie słysząc było żadnego szmeru, żadnego stłumionego okrzyku porozumiewawczego, nawet żadnego trzasku w stężących od mrozu krzakach. Chciałem się upewnić, zanim przedostanę się do lasu, uniosłem głowę nasłuchując, i wtedy wysoko na wierzchołku nieruchomej jodły ujrzałem krótki, biały błysk i poczułem uderzenie w rękę, kiedy pocisk wniknął w drzwi. Krótka seria z pistoletu maszynowego, bez celowania, bez zastanowienia, lecz jakby odruchowo, a potem jak w zwolnionym filmie z mrocznego gąszczu jodły oderwał się jakiś kształt, spadał z gałęzi na gałąź, ciągnąc za sobą rozpylone masy śniegu; kołyszące się gałęzie osłabiły upadek – później, kiedy wspominałem tę chwilę, wydawało mi się, że gałęzie podawały sobie nawzajem bezwładne ciało, tylko pod koniec poleciało w inną stronę, zda się, przejęło je jakieś inne drzewo; upadło obok mnie, uderzając o maskę samochodu. Rozpoznałem twarz: należała do jednego z mężczyzn, którzy zabrali dywan.

Przypuszczalnie tamci siedzieli wszyscy na drzewach, niepewni teraz i zdezorientowani, osłonięci gałęziami i pilnujący, by nie zdradzić się błyskiem ognia u wylotu lufy, tak jak zdradził się ich towarzysz; osiągnęli wszak najważniejsze, a ja zmusiłem ich do tego, by uznali wyższość broni automatycznej. Ale mieli chyba też inne powody, dla których pozwolili mi ująć, i z wysokości swych platform i siedzeń spoglądali beczynnienie na uciekającego, który nie pobiegł z powrotem drogą, lecz pod ich kryjówkami przedostał się do lasu, brnąc po kolana w śniegu. Nie, nie pomyliłem kierunku, wiedziałem, jak ciągnie się las, że przerzedza się w kierunku łąk nad Narwią, za którymi leżało Kobrykowo.

To nie to, Martinie; w Kobrykowie nie było żadnej bazy, mieszkał tam jednak Michał Mamino, a ksiądz miał telefon. A więc przez las i po trzeszczących od lodu łąkach; musiało być krótko przed północą, kiedy przechodziłem przez drewniany most, uszkodzony przez spiętrzoną krę;

w całej wsi nie paliło się ani jedno światło, u Michała Mamino także było ciemno, mimo to był ubrany i bez słowa kazał mi wejść do domu. Nie zaproponował, bym usiadł, chociaż widział po mnie, jak byłem wyczerpany; stojąc oczekiwał ode mnie wyjaśnienia tej późnej wizyty. Przeprosiłem go i powiedziałem, by zaprowadził mnie do księdza, jako tłumacz. Z wyrazem lekkiego ubolewania odmówił i stojąc sztywno, pewny siebie, mimiką zwrócił mi uwagę na to, że przyniosłem ze sobą broń, że przyszedłem do niego z bronią. Raptem opuścił izbę, a zaraz potem weszło kilku ludzi, którzy mnie rozbroili, kilku znużonych, nie ogolonych mężczyzn ze strzelbami myśliwskimi i w czarnych futrzanych czapkach. Związali mi ręce sznurkiem, ruchem dłoni nakazali wyjść i poprowadzili poprzez ciemności w dół nad Narew, nie jakbym był ich więźniem, lecz jednym z nich, spiskowców. Poszliśmy z powrotem do mostu; przy jego filarach pracował lód, jakby wypróbowywał i sprawdzał ich wytrzymałość; jednak przez most nie przeszliśmy; z daleka dochodził aż tutaj syk rakiet wylatujących w niebo i skapujących w dół; na rzadki rozproszony ogień odpowiadały ciężkie karabiny maszynowe, docierał do nas także odgłos granatników. Mężczyźni poszeptali między sobą, coś szybko ustalili, po czym poprowadzili mnie wzdłuż oblodzonego brzegu rzeki do niskiej, lecz przestronnej szopy, w której rybacy z Kobrykowa przechowywali w zimie sieci, żerdzie, boje i kamienne kotwice. Pozwolili mi usiąść, jeden z mężczyzn skręcił mi papierosa; siedzieliśmy cicho i paliliśmy, spoglądając na rzeźbę zaśnieżonej okolicy i słuchając przesuwającego się ognia. Tak, i tu w tej szopie, dla mnie, przytulonego do podłogi czółna bez kilu, zakończyła się wojna, albo raczej rola, jaką mi w niej wyznaczono.

Bezradni, jakże zdezorientowani i bezradni byli ci mężczyźni, kiedy w ciszy poranka zbliżył się potężny huk jadących czołgów, którego może nigdy przedtem nie słyszeli, szcęk, dudnienie i nieuchronnie zbliżający się łoskot: dwa czołgi miażdżyły zamarznięte łąki, za nimi szły opancerzone transportery – ci, którzy mnie więzili, ledwie mogli przypuszczać, że taka siła wymierzona jest w nich, nie mogła być wymierzona nawet w całe Kobrykowo, tak nieproporcjonalna się wydawała; być może wierzyli, że ta przygniatająca opancerzona potęga

tylko się tu zabłąkała i chce jechać dalej, gdy oto już pierwsze granaty uderzyły w spiętrzony na rzece lód. Nie mogłem powstrzymać mężczyzn od rzucenia się do okienek i otwarcia bramy na tyle, by odpowiedzieć na ogień ze swoich strzelb myśliwskich; położyłem się w czólnie, zamknąłem oczy i czekałem. Jednocześnie zobaczyłem błysk i poczułem ból: w tym samym momencie rozprysła się kula niesłychanej jasności, po której nastąpiły twarde, głębokie uderzenia.

Reszty dowiedziałem się później w Białymstoku, w małym lazarecie, w którym wydobyto ze mnie ni mniej, ni więcej tylko siedem odłamków; siedem, a to znaczyło: o dwa za mało. Z powodu tych dwóch pozostawionych odłamków przenieśli mnie do Łukowca, i od Edith, a nie od lekarzy, dowiedziałem się, dlaczego ciągle odkładano operację: tkwiły one w pobliżu serca, dwa niepokazne odłamki, „łagodne” odłamki, jak je określono podczas ponownego badania, tkwiły we mnie w taki sposób, że nie można ich było usunąć bez znacznego ryzyka, a ponieważ nie zagrażały bezpośrednio sercu, więc lekarze byli za tym, by chwilowo zostawić je we mnie, przynajmniej dopóki nie zaczną okazywać skłonności do kłopotliwych wędrówek. W pierwszym okresie najbardziej dokuczał mi ucisk, ostry ucisk, objawiający się boleśnie nie tyle przy chodzeniu, co przy siedzeniu, tak, kiedy siadałem.

W każdym razie, kiedy nie było już prawie wątpliwości, że odłamki otorbią się, wypuszczono mnie ze szpitala; cała rodzina przybyła, żeby mnie odebrać, również Conny, a w domu oczekiwała mnie też Sonja Turk, którą przywiózł w fotelu na kółkach Marian. Na powitanie była czernina, a w radiu wiadomość: na Atlantyku zatopiono statki wroga o łącznej wyporności osiemdziesięciu tysięcy ton. – Całkiem jak na zamówienie, powiedziała moja matka, i dodała: – Tak to jest, jak się zadają z naszymi.

Nie, nigdy więcej; o Michale Mamino nigdy więcej nie usłyszeliśmy; list który napisałem na prośbę Sonji Turk, wrócił z powodu niemożności doręczenia, a pewien kolega z mojej jednostki, któremu powierzyłem poszukiwanie tkacza, nie mógł się niczego dowiedzieć o miejscu jego pobytu; mieszkańcy Kobrykowa twierdzili wręcz, że nie mogą sobie przypomnieć nikogo o takim nazwisku.

Tak, Michał Mamino przepadł bez wieści.

Ale co chciałbyś wiedzieć? Słusznie: podczas gdy od Simona Gayko przychodziły z obcych krajów pozdrowienia i zdjęcia – stał zawsze na warcie obok wyciągniętej groźnie, strzegącej morza paszczy dalekosiężnego działa – więc podczas gdy on siał postrach wśród wroga raz u wybrzeży Danii, to znów Norwegii, a wkrótce potem nawet u wybrzeży francuskich, dając nam pojęcie o możliwościach podróży, jakie stwarzała wojna, ja, nic nikomu nie mówiąc, z własnej inicjatywy otworzyłem nasze muzeum. Nie rozlepiliśmy żadnych plakatów, nie ustanowiliśmy godzin otwarcia, zrezygnowaliśmy z opłat za wstęp, nie zrobiliśmy niczego, co mogłoby dać władzom jakikolwiek powód do tego, by nałożyć na nas jakąś daninę lub stawiać nam warunki; dlatego też zaprzestaliśmy na przykład wszelkiej reklamy, godząc się z tym, że tylko nieliczni znajdą do nas drogę, ci, którzy usłyszeli o nas przypadkowo. Liczyliśmy na to, że ludzie dowiedzą się o nas „ze słyszenia”. Każdy, kto chciał się przejść po naszym muzeum, miał być mile widziany, każdy, kto pragnął zagłębić się w różnobarwną kronikę daremności, w dokumentację nieustannego przegrywania.

Conny – wiesz, co powiedział Conny, kiedy kilku uczniów z klasy Pawełka opuściło muzeum, a my próbowaliśmy wyłuszczyć mu powody nieoficjalnego, ponownego otwarcia? Potrząsając głową, powiedział tylko: – Z ojczyzną w sercu zdobywać świat. Kiedyż wreszcie zrozumiecie, że ojczyzna to nic innego jak azyl niezłomnej pychy i ograniczonego samouwielbienia: alibi. – I zaraz potem poprosił nas, byśmy wyłączyli radio; koncert życzeń, który właśnie nadawano, przyprawiał go o mdłości.

Było to już w tym okresie, kiedy cały Łukowiec oburzał się na niego, jednocząc się w namiętym potępieniu, i dochodziło do tego, że wszyscy goście w lokalu podnosili się z obojętną pogardą i wychodzili, byle tylko nie pozostawać z nim pod jednym dachem. Inwalidzi zatrzymywali się niespodziewanie przed nim i spluwali, umundurowani członkowie organizacji młodzieżowych skupiali się na chodniku i spychali go na jezdnię; wieczorem w drodze do domu pobiła go grupa łukowieckich saperów, to znaczy, Conny był przekonany, że byli to saperzy, ale nie mógł

niczego udowodnić. Zdarzało się wszelako również, że jakiś emerytowany nauczyciel ukradkiem uchylał przed nim kapelusza i że w listach, najczęściej anonimowych, gratulowano mu i zachęcano, by pozostał wierny bezwzględnej sprawiedliwości, na którą się tak przykładnie zdecydował.

Edith i ja często zastanawialiśmy się, skąd czerpał tę odwagę i wytrwałość, by stawiać czoła tylu przeciwnikom, a w każdym razie opinii publicznej miasta, i jakkolwiek podziwialiśmy jego niezłomność, to jednak bardzo się niepokoiłiśmy o wynik tego początkowo rzeczowego, później jednak pełnego nienawiści sporu...

Z pewnością, Martinie, gdyż wszystkich nas to przecież długo i intensywnie zajmowało: zaczęło się to w młodniaku koło Francuskiego Wzgórza, za miastem, w Borku albo dokładniej nad wartkim potokiem za Francuskim Wzgórzem, płynącym równolegle do młodniaka; przepływał on pod ziemią wzdłuż Małego Grajewa, aby wpaść do jeziora Łukowiec. Nad potokiem klęczał żołnierz; Conny zatrzymał się na zalesionym pagórku i przyglądał się, jak tamten pochylił twarz nisko nad lustrem wody, jak gdyby chciał coś zbadać, potem umył się śpiesznie, wytarł sobie twarz chustką do nosa, poderwał się na nogi i zaczął czyścić mundur, przede wszystkim spodnie na kolanach, ale także rozpiętą kurtkę. Szorował i tarł, zwilżył materiał i w zapamiętałym pośpiechu tarł dalej, lecz nieufność kazała mu ciągle przerywać tę czynność, by nasłuchiwać i wietrzyć. Potem zakopał chustkę w sypkiej ziemi skarpy, zgarnął trochę liści i oczyścił sobie buty, po czym opuścił się na czworaki i wysunął rzykownie, daleko nad wodę, aby jeszcze raz obejrzeć i zbadać swoją twarz.

W tym momencie padł na niego cień Conny'ego, lub też dostrzegł on w lustrze wody pofalowaną, wysoką postać mężczyzny, który zbliżył się niepostrzeżenie; w każdym razie w tej samej sekundzie, w której odkrył, że nie jest już sam, skoczył na równe nogi... Żołnierz był już niemłody, jak stwierdził od razu Conny, miał szeroką, otwartą twarz, przez jego lewy policzek, prawie do szyi, biegły dwie wąskie, ogniste pręgi; dysząc spoglądał przerażony na Conny'ego.

Conny nie zdążył nawet zaproponować mu pomocy – jego motocykl stał po drugiej stronie Francuskiego Wzgórza, gdyż nagle żołnierz odwrócił się i pobiegł pomiędzy sosny; trzymając w ręku furazerkę, uciekał nie zatrzymując się ani razu, przeskakując mrowisko i kępy jagód, aż do głównej drogi prowadzącej w głąb Borku. Wykopawszy chustkę Conny pojechał do nas. I to wszystko, tak zaczął się dla Conny'ego czas pogardy i atakowania go, kiedy to każde przejście przez Łukowiec stawało się dla niego biegiem przez różgi.

Nie minęło nawet pięć dni, kiedy „Gazeta Łukowiecka” opublikowała relację, według której dzieci z Małego Grajewa, będące na jagodach, odkryły w młodniaku koło Borku ukryte pod gałęziami ciało kobiety. Policja zidentyfikowała nieżyjącą – była to Anna Hauser z Małego Grajewa, ale to nie wszystko: jako wysoce podejrzanego o ten czyn aresztowała Henryka Gutkelcha, mężczyznę, z którym Anna Hauser żyła od wielu lat i którego opuściła na krótko przed zbrodnią. Jak informowała gazeta, zatrzymany odmawiał przyznania się do winy.

Conny pojechał do Małego Grajewa i rozmawiał pół nocy z Heinim Hauserem, rozpytywał o życie Anny, wyrobił sobie obraz Henryka Gutkelcha, a następnego ranka zgłosił się na policji i podał do protokołu swoje spotkanie z żołnierzem, dostarczył także brudną chusteczkę – ma się rozumieć za pokwitowaniem. I na tym chwilowo stanęło; wtajemniczeni przez Conny'ego we wszystkie jego zamiary i kroki, my również przypuszczaliśmy, że we wszystkich koszarach Łukowca przeprowadzono żmudne i co najmniej niechętne kontrole i przeglądy; wiedzieliśmy albo raczej domyślaliśmy się, iż w żadnych koszarach policja nie jest mile widziana, i liczyliśmy się z długotrwałymi poszukiwaniami. Conny dowiedział się jedynie, że zbadano chustkę do nosa i że odkryto na niej dwie grupy krwi; potem znowu zapadła cisza, tak że niekiedy nasuwało się podejrzenie, jakby wszystko gdzieś wsiąkło, jakby całe śledztwo utknęło w martwym punkcie, osiadło na mieliźnie wskutek nieubłaganych wymogów wojny.

Nagle jednak okazało się, że właśnie wojna posunęła sprawę naprzód, nie pomogła jej wprawdzie jeszcze rozwiązać, ale dostarczyła

nieoczekiwanych informacji, wystarczających, aby wydobyć śledztwo z fazy niepewności: Conny natknął się na nazwisko żołnierza. Bynajmniej nie z satysfakcją, raczej zamyślony i przygnębiony, wyciągnął z kieszeni numer „Gazety Łukowieckiej”, milczał chwilę, po czym zrezygnowanym gestem kazał nam obejrzeć jedyne zdjęcie na pierwszej stronie. Pamiętam je: krępy żołnierz, daremnie próbujący powstrzymać uśmiech, gdy jego dowódca przypina mu wysokie odznaczenie. Żołnierz nazywał się Lothar Sentek. – To on, powiedział Conny, wszelka pomyłka jest wykluczona.

A więc był to Lothar Sentek z ulicy Hindenburga, posiadacz pierwszego w Łukowcu Krzyża Kawalerskiego, któremu nie mógł się oprzeć żaden wrogi bunkier ani żaden fort, jak donosiła gazeta; tak, podoficer Sentek, który ognistą kulą swego miotacza ognia pokonywał umocnienia Modlina, posyłał ognistą śmierć przez luki i wizjery belgijskich fortów, udawadniał bunkrom i systemom schronów Linii Maginota ich przestarzałość, zamieniając potwory z betonu i stali w pułapki, w ogniste pułapki, samemu operując przeważnie z martwego pola.

Razem przeczytaliśmy artykuł, poświęcony Lotharowi Sentkowi, przyjęliśmy do wiadomości zapowiedź, że najwyższe władze miasta nie odmówią sobie przyjemności, aby odznaczonego syna tej ziemi przyjąć godnie podczas jego najbliższego urlopu w ojczyźnie, a ja miałem uczucie, że przedłużamy lekturę, gdyż obawiamy się pytania, wynikającego z nowych informacji. A potem Edith zapytała: – Naprawdę chcesz to zrobić? – Przez chwilę Conny wpatrywał się zadumany w pętlę rzeki, po czym odparł: – Nie pozostaje mi nic innego...

Tak, Martinie, nie mylisz się, to było wyzwanie, i w przebłysku wszechogarniającej świadomości Conny chyba zrozumiał, w co się wdaje, gdyż podjąwszy decyzję wyszeptał ledwie dosłyszalnie, sam do siebie: – Albo albo, jedni albo drudzy. – Nasze ostrzeżenia brzmiały co najwyżej wzruszająco.

A potem wyszedł, z gazetą w ręku udał się do budynku łukowieckiej policji kryminalnej, zażądał rozmowy z Josephem von Intelmannem, szefem, który przejął sprawę Anny Hauser i doprowadził do punktu, w

którym wszystko musiało upaść wobec trudności i przeszkód, jakie stawiała wojna. Intelmann poprosił Conny'ego do siebie: był to niski, wciąż jeszcze sprężysty mężczyzna o białych włosach, z wąską baretką w klapie marynarki, który podniósł się zza biurka i zdawał się początkowo nie rozumieć, co Conny ma na myśli mówiąc: – Mam go, wiem, kto to był. – Wkrótce jednak zorientował się, o co chodzi, i znowu usiadł, spokojnie czekając, gotów przyjąć świstek papieru z nazwiskiem i adresem i być może także numerem jednostki; zamiast tego Conny położył przed nim gazetę, tak pozaginaną i złożoną, że na wierzchu pozostało tylko zdjęcie Sentka i poświęcony mu artykuł.

– Proszę – powiedział Conny, a stary Intelmann zaczął czytać, nagle przypomniał sobie, że czytał już raz ten tekst, niechętnie podniósł wzrok, jakby Conny mógł, jakby musiał się pomylić, ale ten skinął twierdząco głową: – To on, nikt inny; miał jeszcze ślady krwi na twarzy. – Joseph von Intelmann wstał, rozdrażniony i zły, i to chyba nie dlatego, że nie dowierzał Conny'emu, ale raczej przewidywał, że czeka go przeprowadzenie niemożliwej akcji, czynności godzących w poczucie solidarności i nakaz chwili. – Czy pan wie, co pan mówi – wykrzykiwał – do czego może doprowadzić pańskie zeznanie! Nasz kraj znajduje się w stanie wojny, jeśli pan przypadkiem o tym zapomniał...

– Henryk Gutkelch – powiedział Conny – ciągle jeszcze siedzi w więzieniu.
– Zostanie wypuszczony warunkowo – powiedział von Intelmann, który potrzebował teraz przestrzeni: przemierzał pokój zawracając gwałtownie, potrząsnął kilkakrotnie głową, jakby odpierając jakieś absurdalne wyobrażenia; możliwe, że myślał o zdarzeniach minionej wojny, w której sam dowodził kompanią pod L'homme Mort, i przywołując te doświadczenia, próbował teraz ocenić zadanie, które przed nim postawiono.

W końcu roześmiał się, bezradnie i z oburzeniem; możliwe, że czuł się jeszcze bardziej rozdrażniony nieruchomym, a przez to nagłym oczekiwaniem Conny'ego, a może była to owa dręcząca, tak, wręcz zuchwała pewność gościa, że tutaj, gdzie chodziło o dowód winy, była, mogła być tylko jedna jedyna decyzja, w każdym razie jego ton miał w

sobie coś karcącego, tak, oskarżającego, kiedy kreślił niedorzeczność postawionego mu żądania: najpierw poszukiwania mężczyzny, który mógł być gdzieś między Przylądkiem Północnym a Atenami, w najgorszym wypadku wśród oblegających Tobruk, ale tu pomogłaby chyba centralna poczta polowa i punkt informacyjny Wehrmachtu dla szczególnych przypadków – oczywiście pod warunkiem, że istniałoby wystarczające uzasadnienie. Wytropią go więc pod ochroną jego jednostki gdzieś w Norwegii, Rumunii albo Jugosławii, ale czy sąd polowy uzna prośbę z Łukowca o przesłuchanie go? A co będzie, jeżeli specjalistę od niszczenia schronów wytropimy pod umocnieniami greckiej linii Metaxasa albo pod cytadelą w Benghazi, w samym środku ognia lub też w martwym polu jakiegoś fortu, gdy stalowa lufa jego miotacza skierowana już będzie na otwór w murze? Czy użyć telefonu Polowego, czy raczej za pomocą chorągiewek lub sygnałów dymnych rozkazać mu, by przerwał walkę, opuścił okupioną ciężkimi stratami pozycję wyjściową i oddał się do dyspozycji w związku z jakąś łukowiecką sprawą sądową? Jakąś łukowiecką sprawą sądową!

A jak by zareagowali przełożeni owego wysoko odznaczonego żołnierza, jego dowódca pułku, który sam sformułował wniosek o order, a może i dowódca dywizji, trzymając w ręku prośbę z mazurskiego miasteczka, o którym nigdy nie słyszeli? Wreszcie: jakie wnioski mogliby wyciągnąć koledzy, gdyby jednemu z nich, który każdego dnia potwierdzał słuszność ich zaufania, a nawet podziwu, w taki sposób naprzykrzano się z ojczyzny – w tym wypadku powiedzieliby przypuszczalnie: z przeklętych tyłów?

Nie było konsekwencji, której Joseph von Intelmann nie przedstawiłby i nie poddałby Conny'emu pod rozwagę; dał nawet do zrozumienia, że jego zdaniem pierwsze protesty przeciw takiemu żądaniu podniosłyby się w samym Łukowcu, wśród „najwyższych osobistości miasta”, a w końcu machnęła ręką. – Dość o tym – zaprezentował Conny'emu swoją cierpiącą minę, poszukał jego wzroku i spytał: – Czy pan pojmuje, czy pan pojmuje, w co pan się wdaje? – Conny odpowiedział bezpośrednim pytaniem: – Co pan zamierza? – na co niski, siwowłosy szef łukowieckiej policji kryminalnej odpowiedział, wzruszając ramionami: – A cóż by? Najpierw przekażemy prośbę o przesłuchanie przez właściwy sąd polowy. – Conny

miał uczucie, że trafił na człowieka będącego zarazem jego przeciwnikiem i współnikiem.

A po tej rozmowie, którą Conny wielokrotnie nam powtarzał, nie zdobywszy nigdy pewności, co Joseph von Intelmann naprawdę sobie myślał – po tej wizycie znowu się wydawało, że nic się nie dzieje; musieliśmy przyjąć, że łukowiecką prośba utknęła gdzieś w sztabach frontowych, może w zamęcie wojny została zniszczona lub wręcz zdobyta przez wroga. Nadszedł czas, kiedy Conny wyraził podejrzenie, że Intelmann pozorował tylko zajęcie się sprawą, a w rzeczywistości już dawno odłożył ją *ad acta* – z powodów, których wojna dostarczała wszak tuzinami.

Jednak wkrótce potem pożałował tego: w kinie, na filmie „La Habanera”, natknął się przypadkowo na Intelmanna; siedzieli obok siebie i za każdym razem, kiedy Zarah Leander przestawała śpiewać, policjant zapoznawał go ze swymi wysiłkami i stanem śledztwa. A więc był już od dawna na tropie Lothara Sentka, ślady prowadziły na Sycylię i dalej na Krete, a stamtąd do Czarnogóry, gdzie nagle się urywały, gdzie nie tylko on sam, ale także część jego jednostki w walce z partyzantami po prostu zniknęła i została uznana za zaginioną – z czym jednak on, Intelmann, nie chciał się raz na zawsze pogodzić: szperając i śledząc, wspomagany przez niektórych dowódców, kolegów z tamtej wojny, odnalazł nowy ślad, który prowadził do lazaretu w Innsbrucku, stamtąd do Wrocławia i Królewca, i raptem do Giżycka.

Tak, właśnie, Martinie: tam gdzie i ja odbywałem szkolenie zasadnicze, na uroczych widokowo placach ćwiczeń w Giżycku, w sąsiedztwie Łukowca, Lothar Sentek kształcił swoich saperów. A kiedy Joseph von Intelmann dowiedział się o tym, nie przepuścił okazji, by pojechać tam osobiście i z uzyskanym zezwoleniem przesłuchać człowieka, którego tak daleko zaniósł fala wojny. Pozwolono mu porozmawiać z nim w cztery oczy w kantynie podczas służby, bez świadków, i ledwie usiedli i zamówili kawę, a żołnierz już się przyznał do tego, że owego dnia był koło Francuskiego Wzgórza w Borku. Nie zaprzeczał także, że spotkał tam kobietę – znał tylko jej imię, Anna – i że w pewnym momencie doszło między nimi do

sprzeczkę, raczej żartobliwej, jak twierdził, nie na serio i bez użycia przemocy, a już w żadnym razie nie mogło to doprowadzić do tak strasznego wypadku. Nie omieszkął wyrazić żalu z powodu tego, co się stało, i zgłosił chęć zeznawania na procesie.

Joseph von Intelmann wydawał się nie tylko poruszony bezwarunkową gotowością do zeznań i udzielenia wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania, oprócz tego musiał przyznać żołnierzowi pewną „subiektywną prawość” i „sympatyczną otwartość”, których działaniu przynajmniej on nie mógł się oprzeć; mimo to nie sądził, by Lothar Sentek był bez winy.

Widzisz, a później o wszystkim dowiedział się i napisał Kudzus, Kudzus z „Gazety Łukowieckiej” – prawdopodobnie nawet dowiedział się od określonych ludzi, mających określony cel – w każdym razie jego to inicjały widniały pod relacją, która zapoznała naszą opinię publiczną z prowokującym faktem, iż najwyżej odznaczony żołnierz miasta stoi pod zarzutem morderstwa. I aby wykluczyć wszelką wątpliwość, kogo dotyczy to podejrzenie, wymieniono jeszcze raz miejsca tych dosłownie płomiennych zasług, od Łomży po Eben Emael, nazwy miejscowości i twierdz, o których nie można wspomnieć, nie myśląc jednocześnie o jego męstwie, jego odwadze; z drugiej strony życie młodej kobiety z Małego Grajewa, które rzekomo miał na sumieniu ten żołnierz, zostało w skrócie tak przedstawione, że pozostała na nim jeśli nie skaza, to przynajmniej cień, coś wątpliwego, dwuznacznego. Nazwiska świadka, który obciążył Lothara Sentka, nie podano, jednakże nie upłynął nawet dzień, a już cały Łukowiec je znał i z rozgoryczeniem wiele ust podawało je dalej – był to w końcu wyraz oburzenia całego miasta.

Conny nie był zaskoczony czy wzburzony, gdy otoczył go mur wrogości, miał nawet zrozumienie dla ludzi, którzy go odtrącali, nie brał im nawet za złe, kiedy dawali mu odczuć swą pogardę, a więc: gremialnie opuszczali lokal, kiedy on wchodził, albo spluwali przed nim, lub, co też się zdarzało, w jego obecności i nie wymieniając nazwiska rozmawia o pewnym łobuzie, który postawił sobie za cel atakować od tyłu najlepszych ludzi. Conny znosił to, brał na siebie ciężar bycia najbardziej znienawidzonym

człowiekiem w Łukowcu, a podtrzymywało go w owym czasie, pozwalało mu znieść nienawiść, bezsenność i samotność jedynie przekonanie, że prawo musi obowiązywać również podczas wojny.

Tak, Martinie, chodziło właśnie o to słowo, a przecież o wiele więcej niż słowo, symbol, niezniszczalny atol... Dlatego wziął to wszystko na siebie, i kiedy Toni Lettkow spotkał go raz nad Jeziorem Tatarskim i z wysokości konia nie miał mu nic do powiedzenia oprócz: – Nie życzę sobie widzieć pana więcej na mojej ziemi – przyjął to prawie z pokorą do wiadomości i sumiennie unikał wkraczania na zakazany teren. A kiedy zjawił się na wieczorze przezroczy Heimatvereinu, to znaczy kiedy tam świadomie zbłądził, nie musiał długo czekać, by jeden z gości podniósł się i stwierdził, że jest tu obecny ktoś niepożądany, na co Conny ze spokojem wstał i przy aplauzie zgromadzonych opuścił salę. Grigo wszelako trzymał z nim; właściciel najstarszej drukarni w Łukowcu, którego syn zajęty był nad Coventry, Londynem i Birmingham, syknął wprawdzie z dezaprobatą, kiedy usłyszał, w co Conny się wdał, przyznał mu jednak rację i podobno oświadczył: – W czas wojny też musi być coś więcej niż tylko wojna.

A potem wniesione zostało oskarżenie, i podczas gdy Rommel zdobył Agedabię i posuwał się w kierunku Bardii, w Łukowcu rozpoczął się proces przeciwko Lotharowi Sentkowi, postępowanie karne, które mogło być otwarte tylko dlatego, że prokurator, doktor Weinert, w minionej wojnie był plutonowym pod L'homme Mort.

Obserwatorzy procesu przybyli z Olsztyna, z Elbląga, a nawet z Królewca, i wszyscy byli zgodni co do tego, iż to nadzwyczajne zainteresowanie dotyczyło nie tyle spodziewanego wyroku, ile faktu, że w owym czasie proces tego rodzaju w ogóle mógł dojść do skutku, gdyż nawet jeśli po przyjaźni między Intelmannem i Weinertem, tej przyjaźni z okresu walk o L'homme Mort, można się było czegoś spodziewać, to jednak istniały w samym Łukowcu siły i instancje, których władza sięgała dostatecznie wysoko, aby proces po prostu udaremnić.

Jednakże został on rozpoczęty; salę musiano zamknąć z powodu przepełnienia. My, ja i Edith, nie zostaliśmy wpuszczeni, gdyż

preferowano mężczyzn w mundurach z łukowieckiego batalionu saperów, do którego należał Lothar Sentek. Straciliśmy więc wystąpienie Conny'ego, nie usłyszeliśmy szemrania, jakie podniosło się, gdy stanął na miejscu dla świadków, ani okrzyków gniewu i dezaprobaty, tak otwartych i hałaśliwych, że sędzia zagroził opróżnieniem sali, jeśli zamęt będzie się przedłużał. Na pewnego feldfebla saperów nałożył karę, gdyż ten krzyknął na Conny'ego „łajdak”, sam Conny wyznał nam, że był przygotowany na to, a nawet na więcej; tym jednak, co zbiło go z tropu i niespodziewanie sprawiło przykrość, była obecność pary milczących starsuszków: rodziców oskarżonego, siedzących nieruchomo w niedzielnych ubraniach i spoglądających na niego nawet nie wrogo, lecz z niedowierzaniem.

Tak, mój drogi, a potem Conny zeznawał, spokojnie, jak nam opowiedziano; było to zeznanie, którego nie dało się podważyć nawet w krzyżowym ogniu pytań; podobno powiedział, jakby w formie deklaracji, że nie jest jego rzeczą udowadniać, lecz relacjonować – co mogłoby zabrzmieć jak usprawiedliwianie się, gdyby zaraz potem nie stwierdził stanowczo, że uznaje tylko jeden przymus, przymus wynikający z prawdy.

Mowy prokuratora i obrońcy wypadły tak, jak widocznie musiały lub jak tylko mogły być wygłaszane w tamtych czasach: pod portretem przybysza z Braunau – nieruchomy wzrok, z Opatrznością na ty – spoglądającym na zgromadzenie w masce uroczystej stanowczości; prokurator i obrońca rozwodzili się obszernie nad wymogami historycznej chwili, zanim zajęli się omawianym przypadkiem, była tam mowa o „dziejowej walce”, o „heroicznych zmaganiach” i o „przysiędze frontu ojczyźnianego” – równie dobrze, powiedział później Conny, mogliby wymienić między sobą i odczytać artykuły wstępne, musiał jednak przyznać, że za całą tą napuszoną retoryką, całą sofistyką i logiką przewodu sądowego prowadzono tu także spór o interpretację prawa, subtelny, odbywający się ponad głowami zainteresowanych: przynajmniej zdawało mu się, że coś takiego wyczuł; kiedy sąd udał się na naradę, Conny nie miał wątpliwości, jaki zapadnie wyrok: uniewinnienie.

Nie był to jednak wyrok uniewinniający z powodu dowiedzionej niewinności, lecz z braku dowodów – co nie przeszkodziło wielu słuchaczom w powitaniu go oklaskami, a koledzy Sentka uznali, że nie mogą przepuścić okazji, by wziąć swojego człowieka na ramiona i triumfalnie znieść go po schodach gmachu sądu; u dołu schodów zrobiono zdjęcie, które następnego dnia ukazało się w „Gazecie Łukowieckiej”, podpisane „zwycięzca pozostał zwycięzcą”.

Czekaliśmy na Conny’ego, a kiedy wyszedł, wzięliśmy go w środek i osłanialiśmy, przepychając się i przedzierając do obłązonego wyjścia, i nagle przed sobą ujrzeliśmy Intelmanna, Josepha von Intelmanna; do dziś nie wiem, czy z rozmysłem nie dostrzegł ręki Conny’ego. Spuszczony wzrok – to było jego powitanie; wydawał się wstrząśnięty, a jednocześnie odczuwał ulgę. Pierś w pierś musieliśmy się przesuwać obok siebie, z wymuszonym uśmiechem. Te jego oczy: w oczach miał wyraz smutku. – Nigdy więcej – podobno użył tych słów, musnąwszy Conny’ego wzrokiem: – Mówię panu, nigdy więcej. – My tego nie usłyszeliśmy.

Po procesie namówiliśmy Conny’ego, by na kilka dni zamieszkał u nas, a on przyniósł to, co do niego należało i z czym za żadną cenę nie chciał się rozstać: wysłużoną walizkę przytrzymywaną sznurkiem i bezdenny worek żeglarski, w których mógł bez trudu pomieścić wszystko, czego potrzebował. – Wiesz, Zygmunt, powiedział, powinno się posiadać tylko tyle, ile można samemu unieść. – W tym czasie prawie go nie widywaliśmy, w milczeniu spożywał z nami posiłki, usuwał się do swego pokoju, czytał albo robił notatki, przede wszystkim jednak, pochylony nad mapą Europy, zajmował się codziennymi meldunkami Wehrmachtu, analizując je i interpretując na swój sposób.

Nie, Martinie, nie za bardzo, chociaż w „Gazecie Łukowieckiej” zaczęły się ukazywać pierwsze zawiadomienia o poległych i zaginionych; gdyż, jak już mówiłem, z początku wojna przebiegała korzystnie, a tym, co przynosiła do naszych domów, można się było pochwalić: z Norwegii ciemnoczerwona szynka z renifera, z Paryża oszałamiające mydło, rodzynki i ciężkie wino przybywały z Grecji, z Bułgarii olejek różany, a z sąsiedniego kraju, mimo bezlitosnych restrykcji, docierały do nas ciągle

jeszcze grzyby i gęsi, jak od niepamiętnych czasów. Mimo iż my z początku prawie nie ucierpieliśmy, wojna nas oszczędziła, to ci na zachodzie i północnym zachodzie nie wyglądali na takich, co wyszli z tego bez szwanku – mam na myśli ludność cywilną; sam za siebie mówił fakt, że zanim się jeszcze na dobre spostrzeżliśmy, Łukowiec zalany został obcymi – nagle słyszałeś dialekt koloński, subtelny hamburski i jeszcze bardziej subtelną mowę bremeńczyków; przybywali zwłaszcza starsi i całkiem starzy ludzie, niektórzy mogli sobie pozwolić na to, by zamieszkać w „Luisenhofe”, nieliczne pensjonaty w mieście wkrótce były przepełnione, obydwa banki wyrażały ubolewanie, że nie mogą przyjąć więcej przedmiotów wartościowych na przechowanie, gdyż wszystkie skrytki były zajęte. Nastąpiła tajemna, pokojowa okupacja miasta: snuło się to towarzystwo, znużone czekaniem, po nadrzecznych skwerach, wpadało punktualnie do naszej kawiarni z tarasem, okupowało publiczne ławki i wszędzie czytało listy.

Pamiętam jeszcze, jak wkrótce potem nadeszły także pierwsze transporty z dziećmi szkolnymi, całe klasy z nauczycielami przybywały do nas, wielkemiejskie dzieci, blade od nocnych alarmów, wtajemniczone twarze, sceptyczne, przedwcześnie dojrzałe.

My także mieliśmy naszego stałego gościa, Rositę Riesmöller z Bremy, której ojciec był inżynierem łodzi podwodnych; jej przybycie poprzedziła krótka korespondencja. Pawełek i ja wspólnie odebraliśmy ją z dworca; staliśmy na peronie z naszymi saneczkami pewnego cichego zimowego dnia; nie było słyhać nawet huku lutownic, którymi francuscy jeńcy po drugiej stronie mostu rozmrażali zwrotnice czy też tylko je rozgrzewali. Kiedy już Pawełek zrezygnował z tego, by ją sobie wyobrazić – jego ciekawość była równie duża jak obawa, czy aby z Rositą można będzie dosyć „przedsięwziąć” – zaczął rozważać warianty powitania i zdecydował kupić w sklepiku dworcowym paczkę papierosów czekoladowych, którymi zamierzał poczęstować Rositę, kiedy już będzie siedziała na sankach. Nie pytaj mnie, co chciał przy tym sprawdzić.

A potem ona wyszła nam naprzeciw – w o wiele za krótkim palcie, z o wiele za długimi, tyczkowatymi nogami żrebaka, tkwiącymi w wełnianych

pończochach, i z pewnością siebie, która natychmiast dała Pawełkowi do myślenia, powiedziała: – No to jesteście – i poprosiła, by Położyć walizkę ostrożnie na sanki: – Jest tam parę upominków. – Była wyższa od Pawełka, była też od niego starsza, Rosita Riesmöller z Bremy, ze swoją bezbronną otwartością, nie znająca wątpliwości. Jeszcze na dworcu stwierdziła we właściwy sobie „ozdobny” sposób: – W rzeczy samej, nie ma u was gruzów – a kiedy Pawełek po chwili zapytał: – Co masz na myśli? – odpowiedziała lekko pouczającym tonem: – Gruzy są to skutki nalotów bombowych; niekiedy tylko jeden dom leży w gruzach, a niekiedy cała ulica. Nas też zbombardowali.

Wtedy usłyszałem to słowo po raz pierwszy.

Rosita rzadko pozwalała sobie pomóc; jak zwykle samodzielna, rozpakowała swoją walizkę, a na obiad zjawiała się z całym naręczem podarunków, które wręczyła nam z zadziwiającą powagą: szczypczyki do cukru dla Edith, kółko do serwetek dla mojej matki, dla Pawełka dziadka do orzechów, a dla mnie gilotynę do cygar; Eugen Lawrenz, na którego obecność nie była przygotowana, dostał kawałek mydła. Trudno było nie zauważyć pewnego sceptycznego napięcia, z jakim nas obserwowała – nie tylko wtedy, gdy rozpakowywaliśmy nasze prezenty, ale i przy wszystkich czynnościach i rozmowach – napięcia czy też ukierunkowanej uwagi, która kazała nam przypuszczać, że spodziewała się od nas mimowolnego potwierdzenia, dowodu na coś. Co to było, dowiedzieliśmy się pewnego wieczoru, kiedy z rozbijającą szczerością zapytała nas, czy prawdą jest, że wszyscy Mazurzy są skromni, zabobonni i przebiegli; dowiedziała się tego na lekcjach geografii ojczyściej, które miały ją przygotować do poznania tego odległego kraju i jego mieszkańców. Eugen Lawrenz rozbawiony przyznał jej od razu rację, a nawet więcej: gorliwie wyliczył jeszcze inne mazurskie cechy, z którymi przyjdzie jej się spotkać. – Nauczysz się jeszcze, że jesteście twardzi, twardzi i sprytni, pogańscy chyba też, ale to tylko po kryjomu; pokorni, na pewno, rzetelni przede wszystkim wobec siebie samych; niezawodni, zwłaszcza jak wszystko się dobrze układa, zamyśleni i tak dalej, poza tym zagryzamy żywe wrony – zgadza się, Zygmunt? – Potwierdziłem wszystko. Projekcja obrazu, jaki rzucaliśmy aż do Bremy i który Rosita prostodusznie przyniosła nam do

domu, tak nas zachwyciła, że mężczyliśmy ją, żeby dowiedzieć się o sobie jeszcze więcej.

Rozumiesz chyba, Martinie, że chcieliśmy wiedzieć wszystko, co o nas napleciono w tej przygotowawczej nauce o naszym kraju; klaskaliśmy z aprobatą w ręce, kiedy Rosita zniosła z góry swój zeszyt do tego przedmiotu z prostotą, jak gdyby odczytywała jakieś przepisy, objawiła nam całą prawdę o nas, Mazurach. Byliśmy więc zacofani, mieszkaliśmy często w jednej izbie ze zwierzętami; ciągle jeszcze używaliśmy drewnianego pługa, wielu z nas jadło nadal z drewnianych talerzy. Że w osiemnastym wieku byliśmy przytułkiem dla ubogich z całych Prus, to się nawet zgadzało, ale pouczyła nas także, że czciliśmy drzewa, zwłaszcza lipy i dęby, i że w bruzdach naszych pól kartoflanych leżeli pijacy, jako że popadliśmy beznadziejnie w alkoholizm.

Co jeszcze? Nie oszczędzono nam przymiotnika „niezłomni” – jako żołnierze są niezłomni – następnie powiadano, że mamy okrągłe głowy i kręłą budowę ciała, a jeśli chodzi o ubranie, to widziani z Bremy, lataliśmy głównie na szaro i zakutani. Jednakowoż nasze okutanie nie przeszkadzało nam być „urodzonymi tancerzami”, jak się wyrażano; starzy i młodzi kręciliśmy się podobno przy każdej okazji w rytm naszego ulubionego tańca – mazura. I wreszcie dowiedzieliśmy się również, do czego ten kraj w całkiem szczególny sposób się nadaje, tak, do czego jest wprost stworzony: do wędrówek, kajakiem mianowicie, które można przedsięwziąć samemu, ale także we dwoje, po niezliczonych dziewiczych jeziorach, połączonych ze sobą – dodatkowy dar – rzekami i kanałami.

Nie protestowaliśmy, nie prostowaliśmy niczego, przytakiwaliśmy wszystkiemu, nie tyle z grzeczności, ile raczej dlatego, że chcieliśmy pozostawić jej samej sprawdzenie słuszności tych sądów, mimochodem, niechcący, po prostu żyjąc tu u nas.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaskoczyłem ją samą w muzeum, siedziała w kucki na podłodze i rysowała nasze instrumenty muzyczne, diabelskie skrzypce i bęben; zamierzała narysować po trochu niemal cały inwentarz muzeum, a kartki posyłać pojedynczo do domu. – Po co? – spytałem, a

Rosita odparła otwarcie: – Żeby tamci zazdrościli. – A potem znowu nie minęło wiele czasu, gdy któregoś ranka przy śniadaniu poprosiła: – Mogłabym dostać jeszcze łyżek mleka i chlebka ze smalcem? – Zawarła przyjaźń z naszymi zdrobnieniami, czy też to one, których użycie było dla nas za każdym razem pouczające, nią zawładnęły...

Co mówisz? Właśnie, Henrike używa ich bez przerwy, przypuszczalnie częściej i bardziej świadomie niż my sami ich używaliśmy... Henrike: mam nadzieję, że się pozbięrała, że zrozumiała, iż nie miałem wyboru...

Decyzję zniszczenia, która objawiła mi się jako jedyne wyjście, można co najwyżej usprawiedliwić, uczucia zadowolenia nie przyniosła.

Ale zostawmy to, nie chcę sam siebie uprzedzać!...

Tak, wiem, musisz znowu iść, czuję to też po moim zmęczeniu, po stopniu znużenia, ale to muszę ci jeszcze powiedzieć, zanim pójdziesz: rację miał ktoś, kto mógł rozpocząć dzień czerwonym winem i kaczką w galarecie i z lubością mówił o naszym przeznaczeniu: mianowicie stary, korpulentny radca sądu wojennego, który był u nas zakwaterowany przez kilka nocy, kiedy z naszego kraju uczynili znowu „bazę przygotowawczą”, owego lata przed napaścią na Związek Radziecki. Tak, miał rację. Jego *credo* brzmiało: Nic się nie powtarza. Poprosił mnie o specjalne oprowadzenie po naszym muzeum, kazał sobie opowiedzieć o jego powstaniu, chciał, żeby mu pokazać niektóre dokumenty, brał do ręki monety, sprzęty domowe, skorupy, nic przy tym nie mówiąc. Dopiero później, kiedy już wszystko obejrzał, stanął sapiąc na podeście schodów i głębokim aktorskim głosem pożalił się: – I to też przepadnie, zostanie skreślone z konta, ten głupiec z Berlina już to przesądził. – W podziękę za oprowadzenie zaprosił mnie na butelkę czerwonego wina, a ja przypomniałem sobie innego lokatora, podczas innej wojny, kiedy ten określił zniszczenie i rozpad jako coś pocieszającego. – Musielibyśmy stracić nadzieję, powiedział, gdyby nie było szansy zniszczenia i przegranej. – Trzy lata później radca sądu wojennego został powieszony...

Dobrze, Martinie, to dobra wiadomość, już jutro... Przecież wciąż jeszcze nie przestałem o tym myśleć, że któregoś dnia wszyscy będziecie siedzieli

tu, przy moim łóżku, Carola i Simon Gayko, i nawet Marian Jeromin; ta wielka rodzina mogłaby wtedy odbyć sąd nade mną, albo moglibyśmy wspólnie określić wielkość strat. A więc do jutra...

XII

Wchodź, wchodź, mój drogi, czekam już na ciebie, gdyż muszę mieć kogoś, komu mógłbym opowiedzieć, że jest to najlepszy dzień, od kiedy tu leżę, po prostu potrzebuję kogoś, z kim mogę podzielić się radością, przepełniającą mnie od dziś rano, od wizyty lekarza naczelnego: skóra się przyjęła, Martinie, wysepki skóry pogodziły się ostatecznie ze swoim nowym otoczeniem. Rozumiesz mnie, prawda? Musiałem powiedzieć ci to na samym początku, a teraz weź sobie jakieś krzesło i poczęstuj się brzoskwinia – całą tę paterę owoców ofiarowano mi zresztą anonimowo, podobnie jak niedawno kwiaty: taki anonimowy dar to najczystsze dobrodziejstwo. Wierz lub nie: jest mi teraz lżej, napięcie ustępuje, ten nadmierny ucisk, pojawiający się chyba nieuchronnie wtedy, kiedy nie wiesz, co począć z tym, czego się dowiedziałeś, z wiadomością wielkiej wagi.

Wyobrażam to sobie jako karę dla ludzi: otrzymać jakąś niesłychaną wiadomość i nie móc przekazać jej dalej, wlec ze sobą to palące bogactwo, aż ostygnie i skamienieje w twojej pamięci.

Słucham? Rzeczywiście? Naprawdę sądzisz, że to była Henrike?... Dziwne, wczoraj, kiedy już poszedłeś, zasnąłem krótkim snem, którego człowiek się uczy, musi się nauczyć w szpitalu, jest tak przyzwyczajony do ciągłego wchodzenia i wychodzenia siostr, że mu to nie przeszkadza. Obudziłem się, ponieważ ktoś stał przy moim łóżku i patrzył na mnie, spojrzenie dosięgło mnie we śnie, ale kiedy otworzyłem oczy, było już za późno; zarejestrowałem tylko ramię i widziałem, jak zamknęły się cicho drzwi. Na stoliku nocnym stał ten talerz z owocami...

Tak, i jesteś pewny, że to ona przechodziła koło autobusu? Może cię nawet rozpoznała, może poczekała, aż odjedziesz, zanim odważyła się przyjść tu sama. Zobaczmy... zostawmy to nierozstrzygnięte. Nie musimy

wszystkiego rozwiązywać, wszystkiego wyjaśniać w tej chwili; od dawna już przyzwyczałem się do radzenia sobie z niepewnymi sprawami, do pozostawienia ich po prostu takimi, jakie są, niby odwieczne, lecz nie dające się rozwiązać zadanie.

Już wtedy tak było, gdy wojna zaczęła się przedłużać, i o ile mogliśmy to z Łukowca właściwie ocenić, nie przebiegała już tak korzystnie. W każdym razie pierwsze oznaki niepewności co do zakończenia wojny – pamiętam jeszcze, kiedy się pojawiły, wraz z lekkim przerażeniem; dziś jeszcze mogę określić, kiedy to było, wszyscy w domu nad zakolem rzeki podzielaliśmy tę niepewność i nie mogliśmy się jej pozbyć, chociaż wojna była daleko, a doniesienia o niej brzmiały uspokajająco. Czas pewności skończył się, kiedy Albin Jakubzik, którego nie nazywaliśmy w klasie inaczej jak Drągalem z powodu jego długości i sposobu poruszania się, zupełnie jakby miał zaraz upaść, przyjechał ze Wschodu na urlop i paradował z jakimś nie znanym czerwonym orderem, tak zwanym orderem mrożonego mięsa, którego ustanowienie wyjaśniał każdemu, kto był tego ciekaw.

Brzmiało to niewiarygodnie, wręcz nieprawdopodobnie: armia marzła. Nawykła do zwycięstw armia, która stoczyła bitwy w kotłach pod Wiaźmą i Briańskiem, która zdobyła Kaługę i Kursk i wdarła się aż na przedmieścia Moskwy, dygotała, trzęsła się, szczykała zębami. Niedaleko od moskiewskich kominków, które miały uczynić zimę znośną, armię dopiero co brnącą po błocie zaskoczył mróz, który zamienił zdobyty kraj w lodową pustynię, przez którą żołnierze, konie i pojazdy wlokły się bezradnie przy minus pięćdziesięciu stopniach. Ocieplane rękawice mogłyby zapobiec odmrożeniom, ale ich zabrakło, ocieplane czy filcowe buty mogłyby chronić przed odmrożeniami i amputacjami, ale nie było ani jednych, ani drugich. W armii, nastawionej na letnią walkę, na letnie zwycięstwa, nie pomyślano nigdy ani o futrzanych czapkach, ani o nausznikach, o wełnianych rękawicach czy ciepłych paltach i wełnianej bieliźnie...

Tak, Martinie, dokładnie tak jak mówisz: również wielka armia napoleońska marzyła niegdyś o letnich triumfach, dopóki nie przyszły

chłody i bezlitosnymi razami nie złamały ich pychy – to dojmujące srogie zimno, powodujące ogólne odrętwienie, zimno, które z taką troską respektowaliśmy u nas na Mazurach, że sumiennie się na nie przygotowywaliśmy...

Wyobrażenie marznącej armii posiało w nas niepewność i sprawiło, że po raz pierwszy pojawiły się wątpliwości co do jej szans na zwycięstwo: zbyt dobrze znaliśmy panowanie mrozu, a nasze własne doświadczenie pozwalało nam ocenić obrazy, które roztaczał przed nami w swych opowieściach Albin Jakubzik: kulejący mężczyźni w świszczącym wietrze, ranni, zamarzający na noszach; odmawiające posłuszeństwa narzędzia, do których przykleja się skóra; sztywne, sterczące do góry końskie nogi na równinie, na której odbywał się odwrót. Moja matka była wstrząśnięta i wytrącona z równowagi, kiedy dowiedziała się o losie armii; płakała bezgłośnie, pociągając nosem, i w tym współczuciu, z właściwą sobie zaradnością, wpadła na pomysł, co trzeba zrobić: – Tu nie pomoże nic innego, tylko trzeba robić na drutach, jakby ktoś rozkazał, że wszyscy muszą robić na drutach, tak żeby druty paliły się w rękach, to wkrótce znowu by mieli ciepło i przyjemnie, tam, na tej ich wojnie.

Taki rozkaz przyszedłby chyba za późno, ale jeszcze podczas urlopu Albina Jakubzika ogłoszono wśród ludności Łukowca apel o dary dla żołnierzy, wołanie o pomoc, wezwanie, by wesprzeć ciepłymi ubraniami armię cierpiącą we wrogim kraju od nieprzyjaznej zimy. Wezwanie przypominało nam o tym ze ścian domów, z drzew, z gazety, i trzeba ci było widzieć łukowiczów w ich gotowości niesienia pomocy armii, cierpiącej wskutek chłostającego mrozu.

Jeszcze zanim otwarto punkt zbiórki w sali gimnastycznej mojej dawnej szkoły, ludzie stali już w dwuszeru przed bramą, tupiąc, rozmawiając, taksując z nienasyconą ciekawością rzeczy, które naznosili i ciągle jeszcze znosili inni, luzem na ręce albo związane w paczki lub narzucone po prostu na własne palto. Nikt by nie uwierzył, co wydobywano na światło dzienne ze skrzyń i szaf, z pudeł i mrocznych zakamarków: były tam nie tylko ocieplane spodnie, buty na futrze i palta, przez które nie przenikał wiatr, ale i prastare futrzane czapy, różnobarwne szydełkowe nauszники,

mufki z krecich skórek. Kiedy ustąpił mrok przedświt, można było rozróżnić futra i skóry całej mazurskiej zwierzyny: a więc pozszywane lisie ogony, skóry zajęcy i wydr, delikatne ciepłe kołnierze, których dostarczył tchórz, podpinka do palt ze skór żrebaków, dalej kocie i borsucze skórki na brzuch i plecy, rękawice ze skóry dzikich królików i wreszcie robione podwójnie na drutach ochraniacze na usta, szyję, nadgarstki. Wszystko to, co służyło całym pokoleniom w Łukowcu do skutecznej walki przeciwko rodzimym mrozom, co wynaleziono i zdobyto niegdyś do ochrony przed zimmem, nosząc to z dobrym skutkiem, miało teraz pomóc udręczonej armii przetrwać rosyjską zimę.

Wśród pomocników, którzy na ochotnika zgłosili się do odbierania darów, oceniając je i sortując, był także Eugen Lawrenz. Chciał tylko „tak trochę” pomóc, tak tylko między dwiema podróżami – podróżami zawodowymi, które znowu musiał przedsięwziąć, gdyż zbyt wiele pieców w kraju dymiło i kopciło, kiedy, jak wymagała tego sytuacja, musiano je przestawić z brykietów i koksu na torf. Eugen Lawrenz został wybrany przez swych kolegów w punkcie zbiórki czymś w rodzaju głównego arbitra, miał, że tak powiem, w ostatniej instancji rozstrzygnąć, które dary jeszcze się nadawały, a których przy najlepszych chęciach nie można było uznać za „przydatne na froncie”.

Nie możesz sobie wyobrazić, co taki jak on musiał przeżywać w tym miejscu: ludzie obrażali się, kiedy nie chciał przyjąć używanych wyściółek z koziej sierści, grozili, że się na niego poskarżą, kiedy odrzucał mocno wytarte skórki zajęcze. Specjalne wystąpienie miała „Błękitna” z majątku, tak, żona Toniego Lettkowa – on sam tkwił wciąż ze swym regimentem pod Leningradem i miał tam przeżyć dwukrotnie wszystkie cztery pory roku. Wkroczyła więc do sali gimnastycznej, nie zważając na kolejkę czekających, zwróciła się lakonicznie do Eugena Lawrenza, pytając, czy to jest miejsce zbiórki, a kiedy ten zaskoczony kiwnął tylko głową, kazała mu zaraz wyjść na zewnątrz do sań, załadowanych futrami, kocami i ocieplaną odzieżą. Nie pozostawało mu nic innego, jak wnieść samemu zdumiewający dar, rzeczy, na widok których oczekujący tręcali się i zaczętnali szeptać, nie to, żeby się dziwili, iż ktoś może się rozstać z tak cenną własnością, lecz dlatego, że wydawało im się niewyobrażalne, że

któs wszystko to, a przypuszczalnie jeszcze więcej, mógł nazwać swoją własnością. A kiedy kobieta przyjęła niedbale nic nie znaczące zaświadczenie, poleciła Eugenowi Lawrenzowi, by pomógł jej zdjąć futro, i podczas gdy ten stał jeszcze niezdecydowany, kobieta wskazała na stos, na który miał rzucić ubranie. – Tam jest chyba jego miejsce – powiedziała, a potem poszła, i nikt by nie przypuścił, że to jej pojawienie się zapoczątkowało i przypieczętowało dla Eugena Lawrenza nieszczęście, nieszczęście powstałe przez nierozwagę, lekkomyślność i ufność, którego aż do ostatniej chwili nie mógł rozszyfrować ani pojąć, gdyż nikt nie pomógł mu w zrozumieniu jego winy.

Trzeba ci wiedzieć, że miejsce zbiórki było otwarte przez siedem dni, a ostatniego dnia musieli zająć jeszcze pomieszczenie na przyrządy gimnastyczne, żeby umieścić gdzieś ubraniowe dary, wystarczające, by uodpornić na każdą zimę cały bojowy regiment. Potem zajechały dwie ciężarówki, które w ruchu wahadłowym wywoziły posortowane i powiązane w pęczki rzeczy na dworzec towarowy, do podstawionego pociągu, na którego wagonach białą farbą wymalowano podziękowanie ojczyzny dla frontu: Ojczyzna dziękuje frontowi. Dowódca transportu, starszy sierżant z Nadrenii, miał, jak się zdaje, w każdej kieszeni piersiówkę, napełnioną francuskim koniakiem, i kiedy tylko podjeżdżali z nowym ładunkiem, wyciągał do nich najpierw butelkę; także francuscy jeńcy wojenni, którzy pracowali na torach i pomagali przy wyładowywaniu wozów i załadunku wagonów, dostawali po odświeżającym pamięć łyku. Wagon za wagonem zapełniał się aż po sufit, wspólnym wysiłkiem zasuwno drzwi, i kiedy zapadł zmrok, połowa darów była załadowana. Pracowali dalej przy świetle księżycy, w odbłasku od śniegu, dopóki wszystkie wagony nie zostały wypełnione po brzegi, w pełni wykorzystane przy pomocy ugniatania, wciskania i upychania. Lokomotywa była już podłączona, kiedy starszy sierżant stwierdził, że nie zostawiono miejsca dla oddziału konwojującego, tak, nawet miejsca stojącego.

Rozkazał więc, aby z ostatniego wagonu usunąć część ładunku – akurat tyle, aby zrobić miejsce dla trzech mężczyzn. Tych wyrzuconych rzeczy nie było wiele, starszy sierżant sam je podniósł z szyn, i tknięty nagłą

myślą przywołał z powrotem francuskich jeńców, którzy już znowu pracowali przy zwrotnicach, i rzucił im ubranie ze słowami: – Macie, na niemieckie mrozy.

Jak łatwo przyszło mu rozdzielić nadliczbowe rzeczy według własnego uznania i widzimisie; wszystkim, którzy stali blisko niego, coś się dostało; po prostu ubrania leciały na nich, zmuszeni byli je chwycić i brać, również Eugen Lawrenz, który schwycił w powietrzu trzyćwierciową kurtkę z szarej skóry, ciepłą, pod spodem całą podbitą borsukiem. A potem oddział konwojujący podzielił uzyskane miejsce, rozmieścili broń i wyposażenie, przygotowali świece i latarki – jazda w lodowe pustynie mogła się rozpocząć, i pociąg ruszył z chwilą, kiedy starszy sierżant dał maszyniście kolidy znak światłem.

Tak się to zaczęło, lecz wszystko by przeszło niezauważenie i bez następstw, gdyby Eugen Lawrenz już następnego dnia nie wybrał się znowu w drogę, w podróż zawodową do Orzechowa czy Gniazdowa, Wyruszył pewnego pogodnego dnia w swym nowym, ciepłym nabytku.

Droga wiodła groblą w kierunku majątku, a potem wzdłuż ściętego mrozem brzegu bagna, gdzie nie pozostał już żaden ślad po małym domku, w którym kiedyś mieszkał, obok pomnika, wystawionego pewnemu oficerowi, który utonął, po czym wspiął się do wroniego lasku i wędrował dalej dobrze przetartą szosą, wyrównaną i wygładzoną metalowymi płozami sań. Po krótkim czasie usłyszał za sobą pobrzękiwanie dzwonek, w pełnym biegu podjechały lekkie sanie i Eugen Lawrenz stanął w środku koleiny, ani przez chwilę nie wątpiąc, że sanki, wiozące tylko dwie osoby, zatrzymają się i podwiozą go kawałek, ale te podjeżdżały bliżej i bliżej, nie zwalniając biegu, ignorując Eugena kierowały się wprost na niego, aż musiał uskoczyć na bok, żeby go nie przewróciły.

Rozpoznał twarze siedzących – skwaszoną woźnicę i twarz „Błękitnej”, jednak w momencie kiedy ich poznał, zmuszony był zadbać o swoje bezpieczeństwo, dlatego jego uwagi umknął wyraz nagłego zdumienia, nic usłyszał także krótkiego polecenia, które kobieta wydała woźnicy;

zobaczył tylko, jak sanki, które już dawno go minęły, nagle zarzuciły i stanęły, tak że on, Eugen Lawrenz, nie mógł pomyśleć sobie niczego innego, jak tylko, że jednakże zdecydowano się go zabrać. Mylił się. Nie zawrócili do niego, kazali jemu podejść, a kiedy zamierzał wdrapać się na sanki, na skrzynię nad płozami, gdzie leżał worek z obrokiem, kobieta powstrzymała go twardym spojrzeniem, wyciągnęła jedną rękę spod futrzanej derki i kiwnąwszy nią kazała Eugenowi podejść tak blisko, że mogła go dotknąć, i rzeczywiście dotknęła jego kurtki. Zapytała: – Miejsce zbiórki, prawda? Był pan wszak na miejscu zbiórki? – na co Eugen Lawrenz odpowiedział: – Tak, całe siedem dni. – Ta odpowiedź wystarczyła kobiecie; uniosła twarz i popatrzyła na oslepiająco białą, zaśnieżoną okolicę, a woźnica po prostu ruszył.

I tak się to potoczyło, Martinie, tor został przygotowany – tor nieszczęścia, nawet jeśli ci, których najbardziej dotknęło, jeszcze nic o tym nie wiedzieli. W każdym razie nie byliśmy zaniepokojeni, co najwyżej zdziwiliśmy się, kiedy któregoś wieczoru pojawiło się u nas dwóch mężczyzn w długich, obramowanych futrem skórzanych płaszczach, którzy chcieli mówić z Eugenem Lawrenzem, bynajmniej nie natarczywie czy dramatycznie, lecz raczej tak, jak gdyby miał im on tylko coś potwierdzić, a my opowiadaliśmy im skwapliwie, dokąd się udał nasz doktor od pieców – jak się sam nazywał – i kiedy spodziewamy się jego powrotu. Mężczyźni wyglądali na zadowolonych i nie pojawili się więcej, podobnie zresztą jak nie pojawił się Eugen Lawrenz, po prostu nie wrócił z Orzechowa czy Gniazdowa, więc po upływie pewnego czasu, który sami sobie i jemu wyznaczaliśmy, poszliśmy na policję i zgłosiliśmy jego zaginięcie, ponadto, jako że tą drogą niczego się nie dowiedzieliśmy, wstępowaliśmy od czasu do czasu do łukowieckiego komisariatu, przypominając, prosząc i nalegając, sam już nie wiem, jak często się tam pojawialiśmy, musieliśmy jednak zadowalać się ciągle tym samym wzruszeniem ramion, wreszcie jednak nasze starania uwieńczone zostały nie tyle sukcesem, co pewnością: Eugen Lawrenz przebywał w areszcie policji bezpieczeństwa, i to było najgorsze, co mogli nam zakomunikować na komisariacie; ta szczególna policja miała bowiem swe własne kompetencje i nie była zobowiązana do udzielania informacji ani nie

podlegała zwykłemu prawom. Na komisariacie byli na tyle szczerzy, że przyznali się do swej bezsilności.

Zaraz, mój drogi, zaraz! Conny poddał myśl, by wtajemniczyć Alfreda Jakubzika, który ciągle jeszcze cierpiał z powodu skutków ciężkich odmrożeń i dlatego nie mógł wrócić na lodową pustynię, a Drągał zgodził się pomóc. Założył swój wyjściowy mundur, do butonierki wpiął swój nowiuteńki order, po czym kazał się zameldować w niepozornym biurze policji bezpieczeństwa, gdzie, według jego własnej relacji, wysłuchano go tylko chłodno i nieuważnie i gdzie jego, człowieka chodzącego o lasce, nawet nie poproszono, by usiadł.

I przypuszczalnie odesłaliby go bez żadnych wyjaśnień, a on opuściłby budynek tak samo, jak tu przyszedł, gdyby na korytarzu nie napotkał go Masuch, szczerzy Masuch z naszej dawnej klasy, obecnie szef tego biura albo przynajmniej zastępca szefa. To, czego się dowiedział, zawdzięczał Jakubzik w końcu nie mundurowi, nie ranom, nawet nie orderowi mrożonego mięsa, lecz jedynie dawnemu koledze z klasy, który, kiedy go już rozpoznał i wyklepał po ramieniu, wprowadził do pokoju szefa i natychmiast zaproponował mu monstrualny fotel, po którym można było poznać, że służył niegdyś innym panom, w innym otoczeniu. Szef kazał zaparzyć prawdziwej kawy, wydobył na stół wybór europejskich gatunków papierosów, jak również srebrne pudełko ze słodyczami: – No, to opowiadaj bracie...

Widzisz, Martinie, i tylko dzięki temu dowiedzieliśmy się, co zaszło...

Gdy żona Toniego Lettkowa zobaczyła mężczyznę w koleinie sań, sądziła przez chwilę, że widzi stojącego tam własnego męża w trzyćwierciowej kurtce, którą podarowała mu sama na zimowe polowania, lecz kiedy minęła go na saniach i ujrzała czy rozpoznała twarz, wiedziała już w błyskawicznym, nieomylnym olśnieniu, że pomocnik z miejsca zbiórki przywłaszczył sobie kurtkę jej męża. Pomocnik z miejsca zbiórki: to odkrycie tak ją wzburzyło, że jeszcze tego samego dnia powiadomiła policję. Eugen Lawrenz od razu przyznał się, że kurtka, którą miał na sobie, pochodziła z akcji zbierania darów dla armii, potwierdził wszystko,

zaprzeczał jednakże, jakoby sam sobie wyszukał to okrycie, powołując się uparcie na dowódcę transportu z pociągu, jakiegoś starszego sierżanta, który rzucił mu kurtkę, aby zrobić w wagonie miejsce dla oddziału konwojującego; tego, że i francuscy jeńcy w ten sam sposób obdarowani zostali zimową odzieżą, zapomniał powiedzieć lub też świadomie pominął. Ustalono numer pociągu z transportem i godzinę odjazdu; niczego więcej nie można się było dowiedzieć, gdyż w lasach koło Orszy pociąg najechał na minę, maszynista i palacz zginęli w katastrofie, a oddział konwojujący poległ w walce z partyzantami.

Ponieważ pozornie nic nie świadczyło na korzyść Eugena Lawrenza, obłożyli go określeniem, odpowiadającym zorganizowanemu obłędowi owych czasów, nazwali go „szkodnikiem narodu” i „przekazali” do obozu Liekuk, z którego, dopóki istniał, udawało się wyjść tylko trupom, jak zeznał później jeden z jego komendantów. Nie miał prawa ani do korespondencji, ani do odwiedzin, i po trwających jakiś czas daremnych staraniach, by nawiązać z nim kontakt, musieliśmy pogodzić się z faktem, że Eugen Lawrenz umarł za życia.

Tak, tak to właśnie było, kiedy zimno wprawdzie nie pokonało pewnej siebie armii, jednakże ją poniżyło i ukazało, jak jest bezradna i narażona na ciosy; to nieszczęście obudziło naszą czujność i po raz pierwszy zaczęliśmy wątpić w szumnie zapowiadany koniec wojny, a jeśli nawet nie od razu zdaliśmy sobie z tego sprawę, to jednak przestaliśmy liczyć na bliskie i zadowalające zwycięstwo. Byliśmy wstrząśnięci, poruszeni, nie mogliśmy stłumić uczucia goryczy. Niespodziewanie wątpliwości znalazły swe codzienne potwierdzenie: obcy, którzy przybywali ze zniszczonych miast Zachodu i okupowali Łukowiec, kazali sprowadzać meble i sprzęty, o ile te jeszcze istniały, gromadzili już zapasy opału na następną zimą, a komu udało się wydzierżawić albo kupić kawałek ogrodu, ten zaraz po roztopach sadił kartofle. Obcy już dawno porzucili postawę wyczekiwania, opuszczali stopniowo ławki w parkach i schodki przy fontannie przed budynkiem dworca, całkowicie pochłonięci tym, by urządzić się tu na nieokreślony czas.

Myśleliśmy też swoje, gdy w Łukowcu zakwaterowano kompanię dietetyczną, jednostkę składającą się wyłącznie z żołnierzy chorych na żołądek, z których służby, jak sądzono, nie można już było zrezygnować; ilekroć te postacie o szarych, zapadniętych twarzach, zdradzających wspólne cierpienie, ciągnęły na plac ćwiczeń – nigdy ze śpiewem, jak saperzy – musiałem myśleć o spostrzeżeniu Conny'ego: – Lemingi rozpoczęły swój marsz, teraz wszyscy dołączają do szeregu. – Nie tylko przeczuliśmy, lecz rozumieliśmy doskonale, co to oznaczało, kiedy oddział pomocy technicznej którejś niedzieli przy użyciu palnika acetylenowego i specjalnych narzędzi ściągał z cokołów liczne pomniki łukowieckie, po prostu je zrąbywał: Hindenburga, królową Luizę, spoglądającego przez lunetę Wielkiego Księcia Elektora, który ponoć obserwował uciekających Szwedów, uzbrojonego w pióropusz Hohenzollerna z jego naiwnym męstwem, Ludendorffa i Scharnhorsta, Gneisenau i Theodora Kömera, Lutzowa, a nawet ulubionego dowódcę bośniaków – mieszkańcy Łukowca wymyślali coraz to nowe powody, by go lubić! Komu tylko dodano kiedyś choćby odrobinę metalu szlachetnego, ten musiał za to zapłacić; cięto go piłą i wrzucano do pieca hutniczego, oczywiście z zapewnieniem, że po zwycięstwie – aby je właśnie przyspieszyć, musiano przejściowo wypożyczyć sobie szlachetne metale – przeżyje promienne zmartwychwstanie.

Nic nie uszło naszej uwagi, traktowaliśmy to wszystko jak ważne znaki, nie byliśmy też zaskoczeni, że wkrótce po tym wydarzeniu nadeszła kolej na Mariana Jeromina, nasze cudowne dziecko tkackie; w przeciwieństwie do mnie on od początku wiedział, jakie naszywki najlepiej mu pasują; pierwsze zdjęcie, które nam przysłał, przedstawiało go w mundurze żołnierza oddziału sanitarnego, podczas szkolenia przy noszach, następne dotarło do nas już ze szpitala polowego nad Dźwiną: Marian między dwoma rannymi z założonymi przez niego opatrunkami ramieniu, na tle leniwej rzeki.

Dlaczego nie zabrali Conny'ego, z powołaniem którego liczyliśmy się każdego dnia, dowiedzieliśmy się przy okazji, i to od niego samego: drukarnia Griga stała się „zakładem o znaczeniu wojennym”. Podziwialiśmy plakaty, które odkładał potajemnie z każdego zlecenia

drukarskiego i przynosił do nas: były tam wezwania, hasła, ostrzeżenia, dwujęzyczne ostrzegawcze obwieszczenia dla terenów okupowanych, wielobarwne obietnice i drobny mączonek zarządzeń, następnie legitymacje i zaświadczenia, dowody oraz bony, uprawniające niemal do wszystkiego. Syn Griga został strącony nad Londynem, z obozu dla jeńców w Teksasie pisał, że kiedy brakowało tam sproszkowanej kredy do zaznaczania białych linii na boisku do piłki nożnej, życzliwi Amerykanie dopomogli, użyczając dwa cetnary cukru pudru. Bez Conny'ego stary Grigo musiałby zamknąć drukarnię...

Ale co to ci chciałem powiedzieć? Prawda: kiedy powołał Mariana, Sonja Turk nie mogła zostać sama w domu przy starym końskim wodopoju, musiałem jej to wytłumaczyć, musiałem ją przekonać, aby pożegnała się z tym wszystkim, co stanowiło jej życie, nie tylko ze wszystkimi realnymi materiałami i przedmiotami, ale i z projektami, które sobie tam wymarzyła, z odsuniętymi na później planami, a ja pchałem lub nosiłem ją po domu, by mogła zdecydować, co chciałaby zabrać.

Edith nie sprzeciwiała się tym przenosinom, odczuwała jednak wobec Sonji Turk jakiś paraliżujący lęk, tak, dręczące zakłopotanie, które kazało jej traktować nasze postanowienie wzięcia do siebie starej mistrzyni jak poważne zadanie. Sonja i ja przejrzelismy niezbędny dobytek, ubrania, pościel, naczynia, umieściliśmy w skrzyni dokumenty i listy, potem część tajemniczej spuścizny Bianki – między innymi przybory ze szkła do zamawiania chorych zwierząt; nie dziwiło mnie też, że nalegała, by zabrać również wypchaną pójdkę. Na wierzchu musiałem położyć księgę, kompendium mazurskiej sztuki tkackiej. Byliśmy gotowi. Skinęła głową w stronę krosien. Powiedziała: – No to jazda, Siechmutje, do ostatniej poczekalni...

Krosna? Czy zrezygnowaliśmy z krosien? Nie, Martinie, tylko od tego dnia pracowałem w domu Sonji Turk sam...

I tak stara mistrzyni zamieszkała u nas, ku radości Pawełka i ku większej jeszcze radości Rosity, gdyż dzieci nie zadowolily się oglądaniem szklanych kulek, luster i tablic z kolorowymi symbolami, które odkryły w

pokoju Sonji Turk; chciały poznać ich właściwości, ich wywołujące dreszcz zdolności, chciały usłyszeć opowieści związane z nimi, a Sonja chętnie spełniała ich żądania i opowiadała historie o tym, jak powstały wyrzuty sumienia, o cudownych urojeniach, o zwycięstwach, jakie odnosili mężczyźni o białych rękach i które zostały zaprzepaszczone i zmarnowane przez innych mężczyzn, którzy poczuli się „powołani jak wszyscy diabli”. Sonja Turk zadawała im ćwiczenia w rysowaniu, zadziwiała je przy zgadywankach, objaśniała z nimi kształty mgły; ze swego fotela na kółkach uczyła dzieci i wyszukiwała im zajęcia, a one nie mogły się doczekać, kiedy po szkole będą mogły pójść do pokoju na parterze, który specjalnie uprzątnęliśmy i urządziliśmy dla mistrzyni.

W tym czasie Edith wywołała konsternację wiadomością, że przyjęła pewne zajęcie – wszystko było już ustalone i podpisane, posiadała już także specjalną legitymację upoważniającą ją do nieograniczonego wstępu na teren dworca w każdych okolicznościach, pokazała nam też opaskę na rękaw, którą miała nosić przy pracy: Edith zgłosiła się na ochotnika do służby w łukowieckiej misji dworcowej. Od niej nie dowiedziałem się nigdy, dlaczego to zrobiła, załatwiła wszystko, nie pytając nas ani niczego z nami nie uzgadniając, a sposób, w jaki zakomunikowała nam ten fakt dokonany, pozwalał sądzić, że próżne byłyby wszelkie próby odwiedzenia jej od tego zamiaru.

Jej dyżur zaczynał się zawsze wieczorem; początkowo jeszcze się znami żegnała, później opuszczała dom bez słowa, szła do przestronnej, przegrzanej zimą drewnianej budy, w której oprócz żelaznego piecyka ciepła dostarczała jeszcze kuchnia połowa. Na długich, przykrytych ceratą stołach krojono tam wojskowy chleb, dzielono na porcje pęta kiełbasy i bloki margaryny, opróżniano beczki z czteroowocową marmoladą i rozdzielano ją do tekturowych kubeczków, a w kuchni polowej gotowano hektolitry zbożowej kawy – wszystko to przeznaczone było dla pasażerów pociągów, jadących do domu na urlop albo wracających na front. W tamtym okresie przez Łukowiec przejeżdżało dużo pociągów, i to nie tylko z urlopowiczami, ale także transportów z rannymi, jeńcami i zaopatrzeniem, a nocą na nie oświetlonych bocznicach, jak odkryła kiedyś

Edith, zatrzymywały się zamknięte i zaplombowane pociągi towarowe, z których we wszystkich językach Europy dochodziły ją wołania o pomoc.

Niekiedy widziałem z daleka, jak Edith biegła wzdłuż zatrzymujących się pociągów, z odkrytym emaliowanym dzbankiem w ręce; w opuszczonych oknach przedziałów tłoczyli się żołnierze, machali, dowcipkowali, wyciągali do niej kubki i menażki, które ona napełniała parującą kawą. Inne kobiety biegły od okna do okna z koszami, wyłgały w górę chleb i zawczasu przyszykowane porcje kielbasy i margaryny. Dziwiłem się spokojowi, beznamiętności, z jaką Edith wykonywała swą pracę – nie reagowała na żarty i docinki, nie wdawała się w żadne rozmowy, obojętnie przyjmowała listy, aby je wrzucić do najbliższej skrzynki pocztowej, odpowiadała krótko i mechanicznie, kiedy z odjeżdżających pociągów do niej machano.

Do domu wracała zwykle koło północy i, przynajmniej w początkowym okresie, odczuwała potrzebę, by siedząc na moim łóżku opowiadać o spotkaniach i przeżyciach podczas dyżuru, gdyż tego, czego dowiadywała się przy pociągach, nie można było przeczytać w żadnej gazecie: była to wojna z pierwszej ręki. Rozmawiali z nią świadkowie, współwinowajcy i ofiary; nie krępowali się niczym, wyjawiali swe uczucia i nastroje, zachęceni i ośmieleni miejscem, które zmniejszało ryzyko mówienia prawdy, a zawsze potęgowało gotowość do zwierzeń. Edith nie zależała, by zbierać wiadomości, dowiadywała się niechcący i mimochodem o zwycięskich odwrotach i kwitowanych wzruszeniem ramion poświęceniach na straty całych armii, słyszała o spalonych miastach Zachodu, o wystawieniu batalionu głuchych, o wyrzeczeniach ludności, a w niektórych twarzach, ukazujących się jej w oknach przedziałów, dostrzegała lęk i zmeczenie.

Opowiadała mi także, że nie mogła się oprzeć trwożnym nawoływaniom dochodzącym z zaplombowanych pociągów towarowych; jeśli transportom nie towarzyszyli strażnicy, strzegący ich i nie dopuszczający do nich nikogo podczas postojów, podchodziła ukradkiem do wagonów z nadliczbowymi racjami i przez szpary wpychała chleb, kielbasę i margarynę. Światowy dworzec, mówiła, czasami można by pomyśleć, że

Łukowiec to dworzec światowy, po którym przetacza się nieszczęście. Przechowywała przedmioty, które z wdzięczności wysuwano jej przez szpary – kartkę z węgierskiego kalendarza, płaską rosyjską rzeźbę, święty obrazek z napisem po włosku, często tylko skrawek papieru z nabazgranym adresem, Amsterdam albo Namur; chowała wszystko, bez określonych zamiarów, bez celu – być może po to, jak sędzę, aby kiedyś potwierdzić sobie samej prawdę o pewnym odcinku życia, który zdawał się jej niekiedy przywidzeniem.

Ale zostawmy to; nagle przestała opowiadać o sobie i swych nocnych przeżyciach na dworcu; w milczeniu przychodziła do domu, rozbierała się po ciemku, nie interesowało jej wcale, czy jeszcze nie śpię. Kiedy pytałem ją o dyżur, zbywała mnie stwierdzeniem: – Nic szczególnego, jak zwykle.

Opanował ją lęk, początkowo tylko czasami, ale tak odczuwalnie, że nawet Sonja Turk i Pawełek zauważyli to i chcieli dowiedzieć się ode mnie, czy Edith coś się przytrafiło albo czy czekają coś, do czego według niej nie dorosła. Nigdy bym nie przypuścił, że to ja byłem źródłem jej lęku, przynajmniej na początku: cierpiała na myśl, że mógłbym ją odprawić, tak, dawała mi do zrozumienia, że miałbym prawo ją odtrącić, gdyż nie jest bynajmniej człowiekiem, za jakiego ją uważałem.

Trzeba ci było słyszeć, jak się oskarżała, jak obwinała siebie: przypominała sobie jakieś drobne błędy, które kiedyś popełniła, i rozdmuchiwała je do rozmiarów ciężkich przewinień; błahe zaniedbania były dla niej okazją do obwiniania się o niesłychane zbrodnie. W tym samooskarżaniu posunęła się tak daleko, że zaczęła uważać się za niegodną, niegodną tego, by z nami żyć. Potrafiła siedzieć godzinami pogrążona w przygnębiających rozmyśleniach, nieczuła na moje perswazje.

Raptem, jak gdyby ten lęk się zużył lub też ona sama się wyczerpała, przeraziła nas jakąś nową trwogą. Przez przypadek wykryłem, że po swych nocnych powrotach, zanim weszła do mnie na górę, udawała się najpierw regularnie do spiżarni. Zbadałem spiżarnię i w jakimś zakamarku, zastawionym deskami, odkryłem zdumiewające zapasy

żywności, które gromadziła z przynoszonych potajemnie racji – nie troszcząc się o to, że niektóre produkty mogą się zepsuć. Poukładane były jak, leżały tam puszki smalcu, chleb, kiełbasa, garnki marmolady, torby z owocami południowymi, fałszywa czekolada, płócienne worki z makaronem i grochem. Któregoś więc razu, gdy znowu zaniósła do kryjówek blok topionego sera, złapałem ją tam, uspokajałem i pocieszałem, aż nieproszona wyznała, że lęka się, iż umrze z głodu albo że my pozwolimy jej umrzeć z głodu. Tak więc poczuła się zmuszona poczynić pewne kroki, ale podczas gdy lęk nakazywał jej taką przezorność, ona sama wzbraniała się przyjmować pożywienie; siedziała tylko z nami przy stole, wyczerpana, pogrążona w sobie, i nfe mogła się przemóc, by coś przełknąć. Na mój pomysł, by zlikwidować zapasy, przystała przypuszczalnie tylko z wyczerpania.

W każdym razie nie pozostało nam nic innego, jak pogodzić się ze zmianami, jakie zaszły w Edith, jakoś się do nich przyzwyczaić, a znaczyło to, że musieliśmy się przygotować na rzeczy nieobliczalne. Przez pewien czas wyglądała na mniej załęknioną i przybitą, jej przygnębienie wydawało się nie tak groźne, zwłaszcza po tym, kiedy Sonji udało się ją namówić na aromatyczne kąpiele, które przygotowywano pod nadzorem starej mistrzyni – pamiętam jeszcze, że dosypywano do nich pozbawiony goryczy, wysuszony mech, kawałeczek starego, czerwonego drzewa sandałowego i łodygi krwawnika – dopóki znowu, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie zaczął ją opanowywać nowy lęk zmuszający do czynności, które doprowadziły w domu do nie znanych wcześniej podejrzeń.

Dzieci pierwsze zauważyły straty, stwierdziły braki w naszych zbiorach i oburzone, a jednocześnie stanowcze ciągnęły mnie do regałów i stołów, zatrzymywały się przed nimi, milczały pośepnie, czekały, czy zauważę to, co one odkryły już przede mną, a kiedy nie wymieniałem dostatecznie szybko nazw tego, co zginęło, wskazywały oskarżycielsko na tabliczki, które miały objaśniać brakujący właśnie eksponat, albo w powietrzu modelowały rękami rzecz, która zniknęła. Patrzyłem i wzbraniałem się uwierzyć w to, co widziałem: tu brakowało garści miedzianych monet, ówdzie wykopanej przez wuja Adama ozdoby; zginął stary sprzęt

kuchenny, narzędzia, a nawet pierwsza wykonana na Mazurach drewniana prasa do blaudruku; nie było znalezisk z jaćwieskich grobowców, rękojeści miecza z brązu, najwcześniejszej drukowanej w Łukowcu Biblii.

Rósł żal z powodu strat, im dalej ciągnęły mnie dzieci w głąb naszych sal wystawowych. Ogłuszony rozczarowaniem i goryczą, zamknąłem się w swoim pokoju i przywoływałem na pamięć ostatnich gości zwiedzających muzeum, myślałem zwłaszcza o tych, którzy pojawiali się kilkakrotnie, zbierałem poszlaki i stawałem bezradny wobec licznych powodów do podejrzeń, które pojawiały się jakby same z siebie. Może już kiedyś tego doświadczyłeś: powodowany wątpliwościami, zarażony nieufnością, nie potrafisz już w końcu pozostawić kogokolwiek poza podejrzaniem; tak więc moje posądenia obejmowały rzeczywiście wszystkich: równie dobrze mogła to być owa para subtelnych staruszków, jak też przedwcześnie dojrzała szkolna klasa czy ten nerwowy mężczyzna w lodenowym płaszczu, tytułowany przez swoje towarzystwo profesorem.

Policja, pytasz? Oczywiście zamierzaliśmy zwrócić się do policji, ale miało się to stać dopiero w ostateczności, gdyby nasza wspólnie uzgodniona, maksymalna czujność nie doprowadziła do niczego...

Tak, Martinie, a potem zaczęły się tygodnie nieufności i męczącej uwagi; nierzadko musiałem przeproszać zwiedzających, uzasadniać moje zbyt nagłe pojawienie się jakimś naprędce wymyślonym kłamstwem; często, gdy nie udawało mi się dostatecznie zamaskować podejrzliwości, cierpiałem na myśl, że moje otwarte posądenia skłaniają zwiedzających do pośpiesznego opuszczania muzeum. Ciągłe nie mogłem znaleźć żadnego śladu, nie wierzyłem również w nagłe olśnienie, gdy pewnej ciepłej nocy, krótko po burzy, wyjrzałem przez okno do ogrodu i nad rzeką, tam, gdzie dawno temu zakopaliśmy kulę tatarską, odkryłem jakąś postać, kopiącą w skarpie między wierzbami, tak, kopała spiesznie, nie oglądając się na nic, naraz pochyliła się, chwilę trwała bez ruchu, po czym zaczęła przysypywać coś mokrą ziemią.

Była to Edith. Udałem, że śpię, a następnego dnia, gdy poszła na dyżur – nie chodziła już regularnie do swej misyjnej budy na łukowieckim dworcu, niekiedy pod najdziwniejszymi pretekstami zostawała w domu – a więc kiedy już wyszła, przemknąłem się do wierzb nad rzekę i obejrzałem zabliznioną nadbrzeżną skarpe. Było tam kilka uklepanych, ledwie zauważalnych wzgórków, niektóre prawie idealnie zamaskowane przy pomocy kawałków murawy; jeszcze zanim rozkopałem niepozorne kopczyki, wiedziałem już, na co się natknąłem, co odnalazłem: był to cmentarz zaginionych „świadców”, założony przez Edith, miejsce pochówku znalezisk i dokumentów, które wuj Adam wygrzebał niegdyś z mroków ziemi albo wyrwał z niepamięci, by świadczyły o minionym życiu. Teraz o mało co przepadłyby po raz drugi, pogrążając się wraz ze swym przesłaniem.

Wykopałem je, zaniósłem niepostrzeżenie do warsztatu i rozłożyłem na podłodze, a potem zawołałem Edith i zaprowadziłem do odzyskanych rzeczy. Nie czuła się winna, nie okazywała skruchy ani zakłopotania, wszystko, co miała mi do powiedzenia, to było, że musimy zawczasu ukryć wszystko, co ma jakąś wartość, i że najpewniejsze kryjówki znajdują się ciągle jeszcze w ziemi. To powiedziawszy zostawiła mnie samego, a następnego ranka nie wstała, gdyż bała się, że nie będzie mogła się ubrać, nie wstała, ponieważ w swej urojonej słabości i niezręczności ubieranie wydawało jej się tak trudnym przedsięwzięciem, że nawet z naszą pomocą nie czuła się na siłach, by mu sprostać. To znaczy, już samo wstanie wydawało się jej zbyt dużym wysiłkiem i Edith drżała na myśl, że musiałyby podołać wymaganiom dnia: jeść, zajmować się gospodarstwem, pędzić wzdłuż pociągów z urlopowiczami. Spokój i bezruch, to było wszystko, czego pragnęła, jednak, jak się okazało, to też nie wystarczyło, żeby przeszkodzić nawrotowi lęku, „lęku z dołka pod sercem”, jak mówiła Edith. Ten lęk znalazł sobie znowu swój własny, niepowtarzalny wyraz: skubanie. Kiedy Edith zaczynała skubać, od razu wiedzieliśmy, co się z nią dzieje; skubała kołdrę, palce, włosy mechaniczny, niekiedy rytmiczny ruch wychodził gdzieś z jej wnętrza. Nawet kiedy przerywałem to skubanie, biorąc jej dłoń między swoje mogłem poczuć, że lekkie ruchy trwają dalej, impulsy nie ustawały.

Te objawy ustąpiły chwilowo, kiedy zdarzyło się nieszczęście w każdym razie Edith dowiodła, że jest w stanie zrobić coś, czego by się sama po sobie nie spodziewała: kiedy domem wstrząsnął głuchy, na pozór niezbyt groźny huk detonacji, kiedy poderwaliśmy się z miejsc, gdy rozszedł się zapach spalonej magnezji, to właśnie Edith z nieomylnym podejrzeniem rzuciła się w stronę luku tajnej piwnicy, zaraz jednakże zatrzymała się, pozostawiając otworzenie luku mnie. A kiedy z szarej chmury, zataczając się wynurzył się Pawełek – bądź co bądź miał jeszcze tyle siły i przytomności, by pchnąć do góry drewnianą klapę w tym samym momencie, kiedy ja próbowałem ją otworzyć od góry, kiedy podszedł chwycenie do okna z niebieskawo nakrapianą twarzą, wyglądającą, jak gdyby potrząsano mu nad nią sitem, z którego ściekał sok z jagód, i gdy w panicznym pośpiechu próbował otworzyć okno, Edith znowu zadziałała pierwsza, i choć niewiele mniej przerażona niż ja, porwała chłopca i uniosła jego twarz ku światłu, aby stwierdzić rodzaj obrażeń.

Tak jest, Martinie, ale jeśli chodzi o szczegóły, to Pawełek umocował na swoim warsztacie raketę świetlną dużego kalibru i przy pomocy młotka i śrubokręta chciał zbadać jej wnętrze; w każdym razie mieliśmy szczęście, że zajął się badaniem raket, a nie granatów przeciwpancernych. Jeszcze w drodze do domu z gabinetu łukowieckiego lekarza powiatowego, doktora Duddeka, przyrzekł mi z zabandażowanymi rękami – miał oparzenia od odprysków magnezji – obiecał mi więc, że nigdy więcej nie będzie się zabawiał w pirotechnika, a kiedy podbiegł do Edith, aby i jej to obiecać, na jej twarzy pierwszy raz po długim czasie pojawił się cień uśmiechu.

Pamiętam jeszcze, że wracając wtedy do domu po raz pierwszy zobaczyłem plakat, plakat uniwersalny, plakat-zagadkę; wisiał na barierze betonowego mostu, na wysokości kolan, samotny czarny plakat, przedstawiający bez żadnego komentarza jedynie biały znak zapytania; poza tym żadnego napisu, żadnej postaci, widziałeś go i w tej samej chwili zapomniałeś, lecz zrobiwszy kilka kroków wracałeś do niego, odwracałeś się zdumiony, zupełnie jak gdybyś wykluczał możliwość, by jeden skromny znak zapytania kazał ci się oglądać. Również za pierwszym filarze mostu wisiał taki plakat, tym razem na wysokości oczu – i jak

dowiedzieliśmy się wkrótce potem, stawał on swe nieokreślone, lecz dające się wielorako interpretować wezwanie ze ścian dworca i kościoła, a nawet z otynkowanych murów więzienia; zszedłem więc na dół skarpy, obejrzałem znak zapytania z bezpośredniej bliskości, broniąc się przed kiełkującą niepewnością, przed uczuciem, że już przez samo patrzenie wplątany jestem w konspiracyjne poczynania, a kiedy wróciłem na drogę, zbadałem najpierw sytuację: nikt mnie nie obserwował.

Władzom łukowieckim początkowo nie zależało ani na wykryciu autora plakatu, ani na pospiesznym usuwaniu samych arkuszy; demonstrowały obojętność wobec wieloznacznych żądań znaku zapytania. A gdybyś chciał wiedzieć, co Conny miał do powiedzenia na temat plakatów, którymi wytapetowane były nie tylko łukowieckie ściany, ale nawet kilka drzew Borku, to uważał on, że łuki znaku zapytania są zbyt dobrze odżywione; wolałby cieńsze i bardziej podobne do sierpa. Więcej z niego nie wydobyliśmy...

Nie, mój drogi, ależ pytaj, pytaj – praca, mówisz? Czy w tamtych czasach praca była w ogóle jeszcze możliwa?

Nie, Martinie, nie uważam, by to było bez znaczenia, dla mnie jest to bardzo ważne. Mogę powiedzieć o kimś, że go dobrze znam, dopiero wtedy, gdy wiem także, jaką pracę wykonuje albo przynajmniej jaki ma do niej stosunek; dla bujących w obłokach dziewic mam jedynie umiarkowane zainteresowanie...

Zdziwisz się. Kiedy zgromadzone przez nas zapasy wełny i farb zostały już prawie zużyte, kiedy padł Mińsk, a dywizje Rokossowskiego dotarły do Warszawy, wtedy to otrzymaliśmy największe, najbardziej chyba lukratywne zlecenie, jakie kiedykolwiek otrzymał mazurski tkacz; zlecenie niemal orientalne, kiedy pomyślę o tym, jakie obietnice, przywileje, honoraria i szczególne uprawnienia z nim się łączyły. Sonja Turk, która radziła mi z wielu powodów, bym przyjął zlecenie, widocznie od samego początku przewidywała jego los, nazywając naszą ostatnią pracę nie inaczej jak „diabelny niedokończony”, a „diabelnie”, jak już

wiesz, znaczy nie tylko potężnie albo dużo, ma to także coś wspólnego z trwonieniem.

Ale posłuchaj: Conny stał pochylony nad swą mapą Europy i analizując meldunki Wehrmachtu przesuwiał szerokie strzałki ze Wschodu aż do Wisły i Niemna; właśnie kiedy zakreskowywał na niebiesko obydwie kotły wokół Witebska i Bobrujska – z Witebska po raz ostatni zameldował się Marian Jeromin – odwiedził nas nieoczekiwany gość. Otwarty łazik zatrzymał się przed domem, zobaczyłem, jak wyskakuje z niego młody, na swój wiek wysoki rangą oficer, ze sznurem adiutanta i odznaką ranionego; przywitał się uprzejmie ze mną i grzecznie zapytał o Sonję Turk. Poprowadziłem go do domu i zawiodłem do starej mistrzyni, która właśnie z pomocą Pawełka próbowała jeść postną zupę zacierkową. Przedstawił się – zrozumieliśmy, że był członkiem sztabu albo nawet kwatery głównej – zaczekał, aż mistrzyni poprosiła go, by usiadł, i nie zaprotestował, kiedy nakazała mi, bym został.

Nie przychodził we własnej sprawie, przybywał do nas na życzenie sztabu, do którego należał; ale zanim jeszcze wyjawiał nam swe zlecenie, chciał się najpierw jeszcze raz upewnić, czy ma przed sobą znakomitą mistrzynię tkacką, Turk, na co Sonja niby się certowała, a potem powiedziała tylko: – No, niech już będzie, ale dosyć tych ceregieli. – Oficer uśmiechnął się, nie zrozumiawszy jej, a potem zaczął mówić o swym zleceniu: miał to być kilim, duży kilim myśliwski, przeznaczony do tego, by zdobić całą jedną ścianę w pewnym rustykalnym pałacyku myśliwskim, tak; dokładne wymiary jeszcze nam dostarczy. Dzieło miało być prezentem sztabu dla głównodowodzącego, który był ponadto łowczym Rzeszy i niebawem miał święcić jubileusz, jubileusz służbowy, jak się wyraził oficer.

Bez trudu uzasadnił, dlaczego wybór padł na Sonję Turk. Podczas ostatniego polowania z nagonką w Puszczy Rominckiej łowczy Rzeszy w domu wysokiego urzędnika leśnictwa objawił nadzwyczajne zainteresowanie niewielkim kilimkiem, zatytułowanym „Sobór lisów”, a pochodzącym z pracowni łukowieckiej. Pod względem artystycznym mielibyśmy zapewnioną absolutną swobodę, pod warunkiem, że

zgodzilibyśmy się przedstawić czy też „ulokować” na nim całą zwierzynę łowną w komplecie; w miarę możliwości kilim miał budzić radość z polowania albo raczej przyjemne wspomnienie z łowów.

Sonja Turk czekała, aż skończy, potem bez słowa wyciągnęła ku oficerowi swoje dłonie, palce z guzowatymi stawami, nabrzmiące od osadzających się kryształów, a na jego nie rozumiejące spojrzenie powiedziała: – Wysłużyły się, ledwie już mogę coś utrzymać, od tych rąk nie ma się co więcej spodziewać, nawet zwykłego szmacianego chodniczka. – Oficer spojrzął z niedowierzaniem na te ręce, wykrzywione i powykręcane, a w niektórych miejscach połyskujące osobliwą gładkością, jednakże widać było po nim, że zmartwiły go nie tyle wyciągnięte ku niemu dłonie, lecz raczej fakt, że najwidoczniej będzie się musiał pożegnać ze swym ulubionym planem, który tam w sztabie mozolnie wymyślili i zatwierdzili. – Czy to znaczy, spytał, że w żadnym wypadku nie może pani przyjąć zlecenia?

– Ależ nie – powiedziała Sonja Turk – i teraz ja z kolei byłem zaskoczony – przyjmujemy zlecenie, tak, przyjmujemy je. Projekt zrobimy wspólnie; wykonanie będzie należało do mistrza Rogalli.

Musiałem wtedy pomyśleć o pewnym wcześniejszym chybnym zleceniu, o sposobie, w jaki odrzucili naszą pracę; powiedziałem: – To niemożliwe, zużyliśmy resztki surowca. – Oficer natychmiast zapewnił mnie: – Dostarczymy panu tyle materiału, ile pan potrzebuje, i jeszcze więcej. – Zwrócony do Sonji Turk, wyliczałem dalej moje obiekcje: – Nawet gdybym chciał, to nie poradzę sobie bez Mariana Jeromina; bez niego nie dam rady zrobić takiej dużej rzeczy. – Postaramy się, żeby on panu pomógł – rzekł oficer. – Ale Marian jest w Rosji, powiedziałem, przypuszczalnie w kotle pod Witebskiem. – W tym przypadku, powiedział oficer z ulgą, potrzebny mi jest numer poczty polowej, nazwisko i stopień; damy mu do dyspozycji najszybszy środek lokomocji.

Tak się spieraliśmy, oficer wykluczał wszelkie kłopoty, wszelkie obawy, a obalając wszystkie nasze obiekcje i wątpliwości, dawał nam pojęcie o środkach, jakimi najwidoczniej dysponował, o swych wszechstronnych

możliwościach. Potrzebował jedynie mojej zgody, cała reszta jakby się nie liczyła; wyraziłem ją wreszcie, wzruszając ramionami, zwłaszcza że Sonja Turk nie dostrzegła moich proszących o pomoc porozumiewawczych spojrzeń i już dawno się zdecydowała. Oficer podziękował, coś sobie zanotował, obiecując pisemne potwierdzenie i ponowne odwiedziny; zanim się pożegnał, musiał nas zobowiązać do zachowania absolutnej tajemnicy. Kiedy wskoczył do łazika, wyciągnął się i klepnął po udach, sprawiał wrażenie człowieka, który miał wszelkie powody do zadowolenia z siebie.

Sonja Turk kiwała z uśmiechem głową na moje wyrzuty, przewidziała je tak samo jak moją groźbę, iż przy najbliższej okazji pod jakimś pretekstem oddam zlecenie; krzywiła się też tylko lekko, kiedy przypomniałem jej, jak wybredna i konsekwentna była niegdyś ona sama wobec zleciodawców. – Absolutnie nie możemy przyjąć tego zlecenia – powiedziałem, a na to ona, nagle zrezygnowana: – Wiesz, w tych czasach nie ma co wybierać, jak ci proponują ochronę, to trzeba się jej chwycić, a to zlecenie daje nam ochronę – boję się, że będziemy jej potrzebować. A co się tyczy myśliwskiego kilimu, to, jak mi się widzi, pozostanie naszym diabelnym niedokończonym.

Następnie poczyniliśmy przygotowania, aby rozpocząć najkosztowniejszą pracę, jaką nam kiedykolwiek zlecono. Jak skwapliwie oficer trzymał się ustaleń umowy, możesz poznać choćby po tym, że już po kilku dniach przysłał ordynansa z potwierdzeniem zlecenia, zaświadczeniami o uprawnieniach i specjalnymi legitymacjami, które potwierdzały, że ich właścicielowi powierzono specjalne zadanie dla wielkiego łowczego Rzeszy. Zaliczka, którą ku memu zaskoczeniu wyprosiła mistrzyni, szybko zasiliła nasze konto. A potem, ciągle jeszcze oszołomiony, zzieleniały od kołyszącego lotu w burzy samolotem transportowym, naprawdę wrócił do domu Marian Jeromin, odkomenderowany do zadań specjalnych, jak wynikało z jego rozkazu wymarszu; dopiero od nas dowiedział się, jakiemu zleceniu i czyjemu najwyższemu rozkazowi zawdzięcza swój powrót.

We trójkę zrobiliśmy wyliczenia, ustaliliśmy kolejne etapy pracy, naszkicowaliśmy prowizoryczny rozkład czasu – przy czym Sonja Turk bynajmniej nie ograniczała się do roli słuchaczki: nagle znowu interesowała się wszystkim, wtrącała i doradzała.

W każdym razie, naszpikowany legitymacjami i zaświadczeniami upewnającymi, zaprząłem się wkrótce potem z Marianem do ręcznego wózka i poczłapaliśmy do magazynu przy starych kazamatach gdzie ponownie mogliśmy się przekonać o zasięgu władzy naszego zleceniodawcy: wartownik, przyzwyczajony do otwierania szlabanu kolumnom ciężarówek, spoglądał na nasz ręczny wózek na poły z rozbawieniem, na poły pobłaźliwie, jednakże zagłębiwszy się w nasze papiery stał się rzeczowy, niemal gorliwy, i połączył się z głównym biurem zaopatrzenia, skąd przysłano po nas żołnierza w drelichu.

Och, ten labirynt towarów i artykułów! Ten podziemny skarbiec, zbrojownia, spiżarnia! System torów prowadził promieniście do skąpo oświetlonych tuneli, nad wlotami których wisiały fosforyzujące tabliczki z numerami; pociągi z połączonych lor ciągnęły zapakowane towary do rampy, pod którą podjeżdżały ciężarówki; inne pociągi, gwizdząc ostrzegawczo, turkotały do odległych magazynów i lochów, które z kolei podzielone były na działy i poddziały, mieszczące zapasy, których cały Łukowiec nie zużyłby przez sto lat. Trzeba by całej księgi, aby zapisać wszystkie te artykuły, pozycje, gotowe części i części zamienne; po składach, leżących pod gliniastą ziemią Samlandii, nie było między Wisłą a Niemnem magazynu większego niż łukowiecki, żaden nie był bardziej rozbudowany i tak imponująco zaopatrzony.

Nasze wątpliwości były nie na miejscu: starszy sierżant sztabowy, który przyjmował od nas zamówienia, bez trudu znalazł w spisie magazynu, zaksięgowane pomiędzy ośmiuset pozycjami, surową wełnę, płótno, materiał do napinania, dalej nici wszelkiej grubości i farby w każdej postaci. Zwrócił nam uwagę na to, że dysponuje nawet partią dywanów, ale oczywiście, gdybyśmy chcieli sobie jeden zabrać do domu, potrzebowalibyśmy specjalnego żółtego zezwolenia. Czekaliśmy niecałą godzinę; pozwolono nam zostać w głównym biurze, gdzie

przysłuchiwalismy się zamówieniom i odwołaniom, tysiąc nazw to za mało, aby określić fantastyczne potrzeby wojny; często były to nieznane nazwy, chyba jakieś maskujące szyfry, pamiętam jeszcze „wodę zwycięstwa” i „proszek paradny”. Wszędzie mieli swoje własne życzenia, na frontach, w bazach i koszarach; z tego brzucha zaspokajano wszystkie bez wyjątku życzenia: zarówno w sprawie śledzi solonych i okowity oraz narzędzi operacyjnych, jak też prośby o nici do szycia i ręczne granaty jajowe. Otrzymalismy znaczek na rampie, wywołano nasz numer kontrolny, pokwitowałem odbiór pierwszej partii materiałów, a kiedy ujęliśmy dyszel, Marian Jeromin, stojąc już pochylony, spojrział na mnie i powiedział: – Czy to się dzieje naprawdę? Chyba mi się to nie śni?

Tak, i to niedługo potem – już o tym wspominałem – wyleciały w powietrze katakumby dostatku, gdyż eksplodowało siedemnaście czy siedemdziesiąt tysięcy pancerafaustów, które w szalejącym ogniu wywołały łańcuch eksplozji; ziemia się zatrzęsła, w górę uniósł się słup popiołu, błota i porozrywanych krzaków, a w Łukowcu popękały wszystkie szyby w oknach.

Tymczasem jednak katakumby stały jeszcze do naszej dyspozycji. Zawieźliśmy materiał do warsztatu i podczas gdy grupa armii „Środek” wycofywała się skutecznie w kierunku Narwi, my zabralismy się wspólnie do projektu wielkiego kilimu myśliwskiego, nie wiedząc czy też nawet nie przeczuwając, że miał to być nasz ostatni projekt, tak, ostatnia praca na łukowieckich krosnach, wyjąwszy może Sonję Turk, gdyż, jak już mówiłem, nie nazywała go nigdy inaczej jak „diabelny niedokończony”; już pierwsze jej pytanie brzmiało: – A co on ma opowiadać, ten diabelny niedokończony, jaki sens chcemy mu przypiąć, skoro ma na nim być cały świat zwierzęcy? Tak, jak gdyby to kiedy mogło doprowadzić do czego dobrego: wszystko naraz.

Projektowalismy więc, szkicowalismy, wymyślalismy sceny polowań. Wreszcie, po wielokrotnym obracaniu, przesuwaniu i przerabianiu, zdecydowalismy się na następujący pomysł: myśliwi oglądają broń do polowania i myślą przy tym o szlachetnej zwierzynie łownej. Pojmujesz: przywołując sceny z historii łowów, stworzyliśmy sobie wiarygodny

powód do zgromadzenia wszystkich zwierząt lasu, a zarazem przedstawienia właściwego każdemu zwierzęciu rytualnego rodzaju śmierci. Zabraliśmy się do roboty – gdzieś w tym czasie, kiedy Trzeci Front Białoruski zajął Kowno i zagroził Mariampolowi. Nasz zleceniodawca, który w krótkich odstępach czasu odwiedził nas dwa razy, chciał nie tyle oglądać i oceniać, ile raczej upewnić się, że praca została w ogóle rozpoczęta i czyni codziennie postępy. Był zaskoczony, boleśnie rozczarowany, gdy uklepywaliśmy uzyskane centymetry skromnego przyrostu. – Ale chyba nie zawiodą nas państwo, pytał zatroskany, będzie chyba gotowe na czas? – Uspokajaliśmy go, wskazując na to, że jeszcze nigdy nie przekroczyliśmy terminu odbioru, a on, pewnie po to, aby nas zdopingować i zachęcić do wytrwania w pracy, podczas swych ostatnich odwiedzin przyniósł nam kawę w puszce, kakao i kilka konserw z wołowiny. Fakt, że potem już się nie pojawił, prawie nas nie zaniepokoił; myśleliśmy o jego wysokiej randze i niekorzystnym przebiegu wojny, uspokajając się przypuszczeniem, że przejściowo potrzebują go gdzie indziej, tam gdzie trzeba było uzupełnić jedną z wielu bolesnych luk, jakie stwierdzano wtedy na wszystkich odcinkach. Pracowaliśmy dalej; kiedy potrzebowaliśmy materiału, wędrowaliśmy z ręcznym wózkiem do podziemnych magazynów, a specjalne przepustki otwierały przed nami szlabany, zaświadczenia uprawniające udostępniały nam niewyczerpane lochy; z czasem udało się nam założyć własny magazyn zapasów, ostatnią partię przywieźliśmy jeszcze na kilka dni przed wielką eksplozją...

Tego nie wiem, Martinie, przebąkiwano, że magazyn w Łukowcu zniszczony został przez kilku mężczyzn, którzy nocą wyskoczyli z samolotu nad Borkiem i lasem państwowym, z jednej z tych powolnych maszyn, przelatujących teraz regularnie w ciemności nad miastem i nazywanych przez wszystkich maszynami do szycia...

A potem któregoś dnia wszystko straciło ważność, nic już się nie liczyło, nawet nasze specjalne zaświadczenie. Powszechne wezwanie zmusiło nas do przerwania codziennej roboty – tak, pracowaliśmy akurat nad przedstawieniem ciągu słonek – i stawienia się z określonymi narzędziami, łopata, kilofem i szpadlem, na dawnym łukowieckim targu na bydło, w południowo-wschodniej części miasta. Każdy, kto był zdolny

unieść narzędzia, musiał się stawić, bez względu na swoją pozycję czy zawód, każdy miał się uważać za zobowiązanego do służby, tak więc mężczyźni z Łukowca pozamykali swoje sklepy i okienka, opuścili swe miejsca pracy i przyodziani w zniszczone łachy, ciągnęli w stronę targu na bydło, gdzie wywoływano ich po nazwisku i łączono w nienumerowane formacje, które nazywały się po prostu oddziałami. Wyznaczono plutonowego i zastępcę tego plutonowego, musieliśmy utworzyć czworobok, a potem wystąpił Krimkowski, Ludwik Krimkowski, szef łukowieckiej szkoły pożarniczej, oflankowany kilkoma sierżantami saperów i paroma brunatnymi uniformami; był tam także Reschat, najwyższy rangą, ten ze złotym liściem dębowym. Najwidoczniej zlecono mu, by zaznajomił nas z naszym zadaniem, a Krimkowski w zaprojektowanym własnoręcznie mundurze – wyłogi jego kołnierza zdobiły naprawdę dwie skrzyżowane końcówki węża strażackiego – a więc generał pożarny, jak go nazywaliśmy, mówił o przejściowym zagrożeniu Łukowca przez tylko liczebnie silniejszego przeciwnika i zakomunikował nam decyzję lokalnego dowództwa, by temu wrogowi nie ustąpić ani piędzi, ale to ani jednej piędzi ojczystej ziemi.

Następnie wezwał nas, by wspólnie z mężczyznami z sąsiednich powiatów wznieść pozycje obronne; miał tu powstać rów, rów przeciwpancerny nie do pokonania, prosta, jednakże skuteczna przeszkoda, przed którą nawała ze wschodu najpierw się spiętrzy, a potem załamię. Rzucił jeszcze parę zdań o naszej sile w ciężkich czasach, zacytował historyczny przykład, w którym wszystko dobrze się skończyło i uraczył nas wizją, według której ten jedyny w swoim rodzaju rów okalający kraj miał się stać pułapką i grobowcem, w którym błyskawicznie znikną ludzie i sprzęt wojenny, a przede wszystkim grzmiące stada owych legendarnych T-34; już widział, jak wałą się i przewracają, bezradne jak leżące na grzbiecie żółwie. Potem wystąpili plutonowi, sierżant saperów zaprowadził ich do rozłożonej na ziemi mapy; każdemu z nich przydzielono jeden odcinek, każdy otrzymał kartkę z wymaganymi wymiarami okopu, i to było wszystko.

W towarzystwie wybranych saperów i brunatnych mundurów pobiegliśmy truchtem do przydzielonego nam odcinka, owej łagodnej

przymglonej jesieni, po skoszonych łąkach i zżętych polach, wydłużoną, rozciągniętą tyralierą truchtaliśmy wzdłuż rzeczki Maruny, koło miejsca, w którym mój ojciec zniknął w bengalskim wniebowstąpieniu; w zasięgu wzroku znajdowały się rankowskie sady. Równolegle do nasypu kolejowego, za którym trzydzieści lat temu znalazły osłonę wściekłe mózdzierze Samsonowa, saperzy wytyczyli przebieg okopu, pociągnęli go po przekątnej przez piaszczyste pole, wzdłuż najdalszego skraju drzew owocowych, z których część musiała paść, wreszcie skierowali go w stronę wzgórz aż do zalesionych wierzchołków i dalej ku horyzontowi, gdzie mężczyźni z sąsiednich miejscowości pracowali kopiąc i ryjąc grunt, zbliżając się ku nam z naprzeciwnika.

Rozkopaliśmy ziemię – tę ziemię, która była nasiąknięta i przepojona męką i niedolą i wszystkimi przeszłymi losami – kopaliśmy i przerzucaliśmy ją zgodnie z planem, ściany rowu musiały schodzić pochyło do dołu, trzeba je było uklepywać i wygładzać, aby wrogі czołg tak się nad nim pochylił, by dopiero w ostatniej chwili własny ciężar przeważał go w dół i pojazd zaklinował się grzechocząc w zwężającym się umocnieniu, nie mogąc wspiać się na przeciwległą ścianę, ale także niezdolny już do wygrzebania się tyłem. Niektórzy z nas zastanawiali się, jak obserwatorzy w przelatujących wysoko obcych samolotach tłumaczyli sobie nasz zbiorowy wysiłek, tę prostą, nie kończącą się budowlę, która codzienie rosła i powiększała się i która przecinała kraj jak jakiś wyschnięty kanał. Nie wątpiliśmy, że analizując zdjęcia lotnicze byli przynajmniej pod wrażeniem tempa, w jakim otaczaliśmy Łukowiec osłaniającym rowem.

Tak, Martinie, właśnie tam koło pagórkowatych wysepek lasu – osiągnęliśmy już prawie wymaganą głębokość rowu – po zdjęciu pierwszej warstwy gliny kilof Conny'ego natrafił na pokrywę urny i przebił ją powodując dźwięczny odgłos, na który wszyscy stojący w pobliżu odwrócili się. Jeszcze zdrapywałem sypką ziemię i próbowałem ostrożnie oczyścić urnę, gdy usłyszeliśmy okrzyk zdumienia, a zaraz potem taki sam dźwięczny odgłos. Już byli przy mnie, by pokazać mi drugą urnę, którą mogłem zabezpieczyć w nienaruszonym stanie. Moja prośba o wzmożoną uwagę opłacała się. Jeden znalazł zapinkę do włosów,

inny nożyk długości palca, odkryto także kilka naczyń z maściami, chyba najbardziej cenny dar grobowy, i położono przede mną na rozpostartej chustce do nosa.

Conny wyszczerzył zęby, mruknął: – Widzisz, ktoś już tu wygrał, prehistoria. – Potem jednak to właśnie on pracował ostrożnie i gorliwiej niż inni, aby wydobyć z ziemi możliwie nie uszkodzone znaleziska z dawnego pola grzebalnego, na które natrafiliśmy – a nawet więcej: w przerwach napominał mężczyzn, by kopali uważnie i wypatrywali znalezisk, i by wszystko, co według nich miało jakąś wartość, przynosili do mnie, tak, wszystko, co dawało im do myślenia. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie skutki miało wezwanie Conny’ego, ten jego apel.

Co chwila podchodzili do mnie, znosząc wszystko, co odsłoniły łopaty i kilofy, albo wołali mnie i pokazywali mi swoje odkrycia: zardzewiałe żelazne części od narzędzi rolniczych, skamieniałe drzewo, które poruszało ich fantazję, okruchy wypalonych cegieł, skorupy, kości i zamknięcia do butelek i sam już nie wiem, co jeszcze, a ja musiałem im to objaśniać, określać wartość użytkową i szacować wiek. Byli rozczarowani, jeśli wyrzucałem ich znaleziska poza skraj rowu, niektórych ogarnęła ambicja, nie tylko żartobliwa, chwilami mogłeś sądzić, że tej jednoznacznej ziemnej robocie, z której powstać miał rów przeciwpancerzy, chcieli nadać jakiś dodatkowy sens. Gdyby wuj Adam to przeżył, gdyby ujrzał tę kopiającą, szuflującą armię, wydobywającą z mazurskiej ziemi bezcenne dowody – nie wątpię, że byłaby to najszcześniejsza chwila jego życia.

Wieczorem, kiedy nasz oddział kolebał się do domu, Conny niósł mój kilof, a ja płachtę namiotową z łupem dnia; zaniósłem ją od razu do naszego warsztatu, gdzie oczekiwał mnie już niecierpliwie Pawełek: – Pokaż, jest coś fajnego? – Razem przejrzelśmy i oczyściliśmy przedmioty; były to głównie dokumenty z młodszej epoki kamiennej i z epoki brązu, najdonioślejsze znaleziska, jakie kiedykolwiek odkryto na terenie Łukowca. Nie mieliśmy czasu, żeby zapewnić im stosowne miejsce, zadowoliliśmy się tym, że wypisaliśmy karteczki identyfikacyjne i zanieśliśmy na strych, gdzie, zgromadzone wokół komina, miały

przezimować. I muszę przyznać, że faktycznie myślałem o tym, by te świadectwa, znalezione przy budowie rowu przeciwpancernego, wystawić któregoś dnia – któregoś jeszcze nie określonego dnia – w osobnym pomieszczeniu, przeznaczonym tylko dla nich, wraz z opisem warunków i okoliczności, w jakich powstał ten zbiór.

Za każdym razem, kiedy łączyliśmy ze sobą dwa odcinki rowu, a więc po ostatnim poniekąd uroczystym przekopaniu, puszczałyśmy w obieg butelkę i siedząc w kucki na usypanych ze świeżej ziemi wałach przysłuchiwałyśmy się saperom, którzy chwalili nas i rów i ciągle na nowo objaśniali, dlaczego nasze dzieło miało przynieść zgubę wrogim czołgom, których należało się spodziewać ze wschodu i południowego wschodu.

Uczucie bezradności pojawiło się jednakże, gdy któregoś dnia – właśnie znowu przepijaliśmy do siebie z okazji kolejnego przebiccia – dał się słyszeć łoskot pękających granatów, grzmot i głuchy huk, dochodzący do nas wprawdzie z daleka, jednakże dający przeczucie niepowstrzymanej siły ognistego walca, któremu nic się nie oprze. A grzmot ten dochodził z północy.

– To na północy, powiedział Conny skonsternowany, przebili się na północ – i to stwierdzenie odnosiło się nie tylko do bliskości niebezpieczeństwa, lecz również do wartości naszego obronnego dzieła. Usłyszał to Reschat, złoty liść dębu wynurzył się znienacka, aby nas pochwalić i rozdać papierosy – to na nim, a nie na jednostkach wojskowych, spoczywała odpowiedzialność za budowę rowu przeciwpancernego, i z pewnością w głosie, ucinającą wszelkie dalsze pytania, powiedział w kierunku Conny'ego: – Przejściowe wtargnięcie, zostaną odcięci. Świeże jednostki już są w drodze. A poza tym: od jutra w całym kraju powstaje armia ochotnicza. Ostatnia wielka akcja naszej ludności przyniesie decydujący zwrot.

Po takie słowa sięgnął Reschat w chwili, gdy bezradni i sparaliżowani spoglądaliśmy odrętwiałym wzrokiem na północ, gdzie ziemię wstrząsały drgania, których słabe echa dochodziły aż do nas. Nie sądzę, że przerwaliśmy pracę albo że Reschat, straciwszy pewność w obliczu

nieprzewidzianego przebiegu wojny, zarządził koniec naszej działalności, kazał nam kopać dalej nawet wtedy, gdy z wyciem przeleciała nad nami lotem nurkującym eskadra rosyjskich lotników bojowych; ich samoloty również nadleciały z północy i wypuściły świecące nitki pocisków nad naszą budowlą. Wynieśliśmy z dołu rannych i kopaliśmy dalej.

Coś się tu szykowało, mogliśmy to poznać między innymi po tym, jak zmieniał się ruch pociągów na dwutorowym nasypie kolejowym: prawie żaden nie jechał na wschód; przejeżdżające pociągi, które kazały nam unosić wzrok i pozwalały chwilkę odsapnąć, szły prawie wyłącznie na zachód; najpierw kilka składów specjalnych z własną obroną przeciwlotniczą, pomalowanych na kolor ochronny i z lasem anten nad centralą dowodzenia; potem transporty rannych ze znakiem Czerwonego Krzyża, a wreszcie okryte plandekami transporty materiałów i wagony z bydłem, ciągnięte przez lokomotywy pociągów pasażerskich.

Ludzie Reschata, sprawujący nadzór, przechadzali się nad brzegami rowu i zagrzewali nas do pracy, kiedy zbyt długo spoglądaliśmy na pociągi, ponaglając: – Dalej, ludzie, budowa musi być skończona. – Jeśli z początku tolerowali jeszcze opóźnienia, spowodowane tym, że mężczyźni przynosili mi swoje znaleziska, to obecnie okazywali niechęć i rozdrażnienie, gdy wskutek prehistorycznych ambicji cierpiała praca. – Zostawcie te bzdury, są ważniejsze sprawy, na to nie ma teraz czasu.

Ach, i pamiętam jeszcze, jak ścięliśmy potem rząd owocujących jabłoni, nie zadawszy sobie trudu, by zerwać przedtem jabłka; zwaliliśmy drzewa razem z owocami, odrąbaliśmy korzenie, wyrwaliśmy tkwiące jeszcze w ziemi pniaki, trzaskało przy tym, twardo i sucho, jak przy strzelaniu z bicia, i nie oczekiwałem niczego nadzwyczajnego, kiedy kątem oka zobaczyłem, jak doktor Duddek, lekarz powiatowy z Łukowca, przyklęknął i wygrzebywał coś z ziemi, potem podniósł to, dmuchając i czyszcząc rękawem marynarki. Gdy uniósł głowę, wiedziałem już, że mnie szuka.

Z daleka wyciągnął do mnie rękę, ochoczo, triumfująco, jak gdyby to, co trzymał w zamkniętej dłoni, wymagało specjalnej zapowiedzi. Przyczłapał

do mnie, otworzył dłoń i pokazał jakiś sfałdowany, zanieczyszczony ziemią przedmiot. Kazał mi go zważyć w ręcę: był zdumiewająco ciężki. – Żużel żelazny – powiedział doktor Duddek, powiedział to z takim naciskiem, jak gdyby nareszcie znalazł dowód na żywione od dawna przypuszczenie. – Jeśli nie ma pomyłki, to już przed tysiącem lat w Łukowcu wytapiano żelazo, tak zwaną rudę darniową. – Odebrał mi swoje znalezisko, chciał zbadać je w domu pod mikroskopem i po zanalizowaniu przekazać do naszego muzeum...

Co mówisz? Jaką wartość ma takie odkrycie? Komu służy taka wiedza? Naturalnie, można postawić takie pytanie, a może nawet trzeba...

W każdym razie staliśmy jeszcze blisko siebie w rozkopanej ziemi, gdy najpierw jeden z ludzi Reschata, a potem sam złoty liść dębu zaczął nas ponaglać do podjęcia przerwanej pracy, dość szorstko i z groźbą w głosie, a ponieważ nie od razu wróciliśmy do naszych narzędzi, Reschat zapragnął dowiedzieć się, dlaczego tak razem stoimy, na co doktor Duddek pokazał mu odłamek żużla i – muszę przyznać – dość protekcyjnym tonem zauważył: – Coś dla znawców – żużel, pochodzący z wytapiania rudy, tysiącletni i do tego jeszcze rodzimy.

Reschat wziął odłamek do ręki, domyślałem się, że czuł się sprowokowany, widziałem, iż zastanawiał się, co zrobić, i gdy tak trwał w niezdecydowaniu, doktor Duddek powiedział: – Ten, co umie patrzeć, i z żużlu się czegoś dowie. – Człowiek, który od dziesięciu dni sprawował w Łukowcu władzę, większą od władzy wojskowej, drgnął i cisnął znaleziony przedmiot w dół skarpy do Maruny. Nawet nie zaczekał, aż wpadnie do wody, równocześnie odwrócił się i powiedział przez ramię: – Tu nie możemy sobie pozwolić na subtelności, a teraz do roboty – i odszedłby po prostu przez usypane pagórki ziemi, gdyby stary lekarz, raczej chłodny i rozgoryczony niż wzburzony, nie krzyknął za nim jednego słowa, słowa „barbarzyńca”. Reschat zawrócił spowolniałym krokiem, zażądał, żeby powtórzyć mu to słowo, a doktor Duddek zduszonym głosem powiedział: – Tak jak pan postępują barbarzyńcy, i gdyby mnie pan nie zrozumiał, powtarzam to jeszcze raz: barbarzyńcy. – Reschat wymienił spojrzenie ze swymi ludźmi, otwarcie nakazał im

wzrokiem, by przyjęli do wiadomości i zapamiętali to, co właśnie usłyszeli. Potem odszedł, a następnego ranka, kiedy rozdawano nam opaski na ramię, kiedy przy pomocy opasek i wręczanych zdobycznych karabinów ogłoszono czy też okrzyknięto nas armią ochotniczą, daremnie czekaliśmy na doktora Duddeka; choć wypatrywaliśmy go wytrwale, doktor Duddek wciąż nie nadchodził.

Tak, Martinie, odkrywca śladów pierwszego wytopu rudy w lasach Łukowca więcej się nie pojawił, nie miał już okazji, by zbadać swe niesłychane znalezisko, ani też nie zmuszano go, by włączył się do ostatniego zrywu, który organizowano, grzmiąco i uroczyście zarazem, kiedy wszystko było już stracone, kiedy koniec był nieunikniony.

A więc znowu ostatnia rezerwa, ostatnie natarcie, jeszcze raz naród miał być kozłem ofiarnym, ci, którzy zawsze musieli wszystko znosić, wszystko wytrzymać, znowu mieli wyteńczyć ostatnie siły, by odwrócić klęskę; trzeba ci było nas widzieć, łukowieckie pospolite ruszenie, kiedy pod dowództwem dwóch oficerów-inwalidów maszerowaliśmy na górę zamkową – ach, maszerowaliśmy to za duże słowo, powinienem raczej powiedzieć: wlekliśmy się, obojętnie, jak werbowani robotnicy rolni wloką się na pola. Na głucho grzmiącej górze, naprzeciwko łatwego do opanowania przesmyku i na ledwo rozpoznawalnych, zarośniętych tarasach, wyznaczonych zarysami linii, które kiedyś rył wuj Adam, ćwiczyliśmy zajmowanie i zmianę pozycji, krycie się i usuwanie przeszkód przy ładowaniu. Podczas gdy mężczyźni wykonywali rozkazy i instrukcje, ja przez cały czas przyglądałem się ich nakryciom głowy, po prostu wzroku nie mogłem oderwać od czapek konduktorów i listonoszy, od ciemnozielonych sukiennych czapek robotników leśnych, od kaszkietów z szerokim daszkiem i filcowych kapeluszy, wyróżniających naszych urzędników. Po nakryciach głowy można było rozpoznać, kto zajmował gęste zarośla kadyku.

Conny i ja pilnowaliśmy, żeby się trzymać razem, żeby leżeć za pniami sąsiednich sosen, wykorzystywać wspólnie osłonę znajdującego się przed nami muru i by z piaszczystego kwadratu, na którym kiedyś, w innej epoce, rywalizowaliśmy między sobą o nasze prywatne cmentarze, leżąc

obok siebie obserwować przesmyk między jeziorami. – Pamiętasz? – Pamiętam; nic więcej nie mówiliśmy. W powietrzu trwał daleki, nieustanny łoskot; nie był to ten sam zgiełk i wrzawa, które niegdyś kazały nasłuchiwać natchnionemu badaczowi stron ojczystych: tętęt kopyt w przestworzach, szcęknięcie kolczug, nadlatująca chmara strzał; tam, na zachodzie, raczej grzmiało, huczało i dudniło od uderzeń pocisków moździerzy i bombardowań samolotów bojowych. Musieliśmy na zmianę bronić góry zamkowej i zdobywać ją, kazali nam rozproszyć się w kierunku szosy, gdzie wskoczyliśmy do przygotowanych, głębokich do ramion dołów osłonowych i sponad składanych wizjerów panczerfaustów zerkaliśmy w kierunku toczących się na zachód ciężarówek, pojazdów gąsienicowych i furmanek. W tej fali, która w jesiennym słońcu przez cały dzień płynęła na zachód, były sztaby i władze cywilne komendantury, administratorzy z tyłów wojny, a przynajmniej tego niezmiernego podbitego kraju, który – jak już mówiłem – zdobyli po raz drugi i nad którym wolno im było panować przez jakiś czas, bezwzględnie i butnie, aż do chwili, gdy nagle ci, co oddali im trochę swej władzy, popadli w kłopoty i musieli zatroszczyć się, jak by tu umknąć. Pomiędzy pojazdami wojskowymi klekotały czterokonne furmanki, karkołomnie załadowane rzadkimi meblami, skrzyniami, lnianymi workami i walizkami. – Już czas – szepnął Conny, przytulony do brunatnej trawy – wkrótce i my będziemy musieli pomyśleć o naszych planach.

Chcieliśmy coś postanowić, coś umyślić, jeszcze tego samego wieczoru, kiedy zsuniemy z ramion opaski i odłożymy zdobyczne karabiny, jednakże wkrótce pokazało się, że było już na to za późno, tak, za późno, gdyż ktoś inny uprzedził nas swoją decyzją: Masuch.

Nie wiem, czy to na jego polecenie musieliśmy powstać z zamaskowanych pozycji i pomaszerować w dół do kuchni polowej, która od kilku godzin dymiała słabo u stóp góry zamkowej. Nasz były kolega szkolny stał pomiędzy obydwoma oficerami paląc i rozmawiając niedbale; z jego pozycji nie można było wywnioskować, z jaką misją do nas przybył. Mieli wydawać po pół litra kawy; ustawiliśmy się w szeregu, podchodziliśmy bliżej, zbliżając się również do niego, zdającego się nie interesować ani mężczyznami, ani tym, by i sobie napełnić kartonowy kubek. Ponieważ

tak usilnie nas nie dostrzegał, więc musiał nas widzieć. Ta jego cierpliwość, dopóki podchodząc nie zrównaliśmy się z nim, a wtedy zrobił jeden jedyny krok; stanął tak blisko Conny'ego, że ich rękawy stykały się, i nikomu nie przyszłoby do głowy, że on, Masuch, którego znali wprawdzie nie wszyscy, ale jednak niektórzy z nas, zjawił się w sprawie służbowej.

Nie przywitał się z Connym, nawet nie spojrzął mu w twarz; kierując słowa ku ziemi, półgłosem rozkazał: – Pójdiesz ze mną, ale najpierw wypij swoją kawę. – Nikt poza Connym i mną nie zrozumiał, co mówi, a kiedy wypiliśmy kawę, Conny mrugnął do mnie, skinął niefrasobliwie głową i rzekł: – No to broń jej skutecznie, naszej góry zamkowej, jutro znowu przyjdę ci w sukurs – a potem podszedł wolno do naszego kolegi z klasy, nie podawszy mi przedtem ręki. Skąd mieliśmy wiedzieć, że zobaczymy się znów dopiero po sześciu latach? Tak, po sześciu latach...

Tak, Martinie, było właśnie tak, jak mówisz: nie tylko wykryli, że plakaty ze znakiem zapytania pochodziły z drukarni Griga, wiedzieli także, że to Conny sam je projektował i rozklejał, ale podczas gdy z początku nie zwracali uwagi na biały znak na czarnym tle, po prostu go ignorowali, jak gdyby w swej nieokreśloności nie miał on żadnego znaczenia, to im dłużej musieli go przyjmować do wiadomości, tym bardziej ich drażnił, a z czasem, zwłaszcza po tym, kiedy na plakatach pojawiły się jeszcze ręcznie namalowane wykrzykniki, zaczęli odczuwać zagadkowe hasło jako destrukcyjne, a nawet prowokujące. Uznano je za podżeganie do zwątpienia, za sygnał wyrotowy: tak w każdym razie oświadczyli Conny'emu w biurze policji bezpieczeństwa, i mimo iż obstawał uparcie przy swojej wersji, nie uwierzyli mu.

Nie wierzyli mu, że jego znak zapytania miał wezwać każdego do zastanowienia się: czy aby uczyniłeś wystarczająco dużo dla tego, o co toczy się gra? Machnęli znużeni ręką i zapoznali go z utrwalonymi na piśmie wypowiedziami obywateli Łukowca; wszyscy bez wyjątku zinterpretowali plakat jako próbę szerzenia niepokoju i demoralizacji. Przesłuchanie prowadził sam Masuch, jak się później dowiedzieliśmy; wydawało się, że chciał wykorzystać okazję, iż miał Conny'ego przed sobą, nie tylko dla zakończenia tej sprawy, ale także do wyświetlenia kilku

innych niejasnych punktów, które zebrały się na jego koncie – wyglądało na to, że wiedzieli o Connym więcej niż my, jego najbliżsi przyjaciele i krewni.

Chociaż Masuch zaproponował swemu dawnemu koledze herbatę i ciastka oraz egipskie papierosy, a także posadził go na najwygodniejszym krześle, przeznaczonym dla gości, Conny nie mógł mu pomóc w odślanianiu ukrytych powiązań, a w szczególności nie umiał nic powiedzieć, kiedy rozmowa zesłała na tak zwaną grupę Weinknechta, która podobno właśnie została ujęta w niedalekiej Gołdapi. Przy końcu przesłuchania Masuch, którego zachowaliśmy w pamięci jako zamyślonego, szczupłego mężczyznę, stwierdził, że nie może puścić Conny'ego wolno, musiał on spędzić noc w urzędzie, w pomieszczeniu bez okien; a na dzień dobry Masuch kazał go aresztować.

Tak, a teraz wyobraź sobie – ja czyniłem to niezliczoną ilość razy – jak obydwaj schodzili ulicą Dworcową, ramię przy ramieniu, w równym rytmie; wyobraź sobie, jak ponaglając się wzajemnie przechodzą przez zaporę tylko dzięki dokumentom Masucha i w przymusowym dostrojeniu się wchodzą po schodach na dworzec, gdzie, jak gdyby jeden chciał naśladować ruchy drugiego, robili tę samą ilość kroków, jednocześnie stali, spoglądali w jednym kierunku, a przy tym nieustannie dbali o to, by ścierać na siebie jak najmniej uwagi. Mimo to nie mogli zapobiec temu, że przy wsiadaniu do pociągu do Gołdapi przez sekundę widać było kajdanki, które łączyły ich przeguby.

Pociąg był krótki – tylko trzy czy cztery wagony, nie mieli oddzielnego przedziału i usiedli razem obok niewyspanych żołnierzy.

Conny opowiadał później, że z okna przedziału wypatrzyli zamaskowane zgrupowania czołgów i artylerii pod osłoną jesiennych lasów, a na jakimś lotnisku polowym naliczyli z tuzin samolotów pod maskującymi siatkami, które nie wzbijały się w powietrze, chociaż inne maszyny przeciągały lotem koszącym nad horyzontem. Po obu stronach piaszczystych dróg ciągnęli na północ obładowani żołnierze, mijając działa przeciwlotnicze i armaty przeciwpancerne, które okopały się na zżętych polach. Pociąg

musiał się kilkakrotnie zatrzymywać w polu, gdyż tory przekraczały kolumny ciężarówek i furmanek, kolebiące się, ciasno stłoczone jedna za drugą. O zmierzchu dotarli do Gołdapi.

Przy wysiadaniu nie musieli ukrywać, co ich łączy, gdyż w momencie kiedy zeskakiwali na peron, zaczęły strzelać działa, miotacze, a daleko za jeziorem błyskało i huczało od wystrzałów artylerii – Gołdap została niespodziewanie zaatakowana. Zanim wysłano naprzód czołgi z piechotą, w miasto uderzyły granaty, powietrze wypełnił jęk pocisków miotaczy i huk ciężkich granatów. Nikt nie liczył się z tym wczesnym atakiem na Gołdap, ani obrona, ani ludność.

Conny pozostawił Masuchowi decydowanie o tym, którądy i jak mają iść, oddychając w jednakowym rytmie biegł obok tamtego, z początku opanowany tylko pragnieniem, by opuścić niebezpieczną strefę dworca. Ulice były zapchane ludźmi i nie oświetlonymi pojazdami, tłum pędzony i nękaný jedną, jedyną myślą, przelewał się tam i z powrotem, przetaczał się pułkami obok siebie, by po chwili znów złąć się w jedno. Nie reagowano na okrzyki, nie słuchano żadnego rozkazu. Wybuchły pierwsze pożary. Conny i Masuch przebili się w jakąś boczną uliczkę, żeby wyminać furmankę, przeleźli przez płot okalający ogród. Właśnie zaczęli schodzić jego stromym zboczem, kiedy zostali po prostu zdmuchnięci podmuchem ciężkiego pocisku. Conny opowiadał: Siła fali uniosła ich i cisnęła o spróchniałą drewnianą altankę. Kiedy Masuch doszedł do siebie, siedzieli jeszcze chwilę obok altanki, szukając czapek, aktówki, gdy nagle Masuch powiedział: – Klucz, wyciągnij klucz. – Conny wcisnął palce do prawej kieszeni, ale nie znalazł klucza, nie było go także w lewej kieszeni, więc nie umawiając się nawet, schylili się i popęzli na czworakach przez opadający w dół ogród, macając i oklepując ziemię płaską dłonią, poczołgali się w kierunku, z którego przyszli, a potem przez spulchnione grządki z powrotem do altany, okrążając ją kilka razy; klucza nie znaleźli.

Masuch zdecydował przedostać się z Connym do urzędu, to znaczy, zwierzył mu się z tego, co postanowił, potem zawahał się i popatrzył spokojnie na Conny'ego, dokładnie tak, jak gdyby oczekiwał od niego

komentarza albo nawet własnej propozycji, ale Conny zrezygnował z wszelkich słów i okazał gotowość do pójścia razem z nim.

Ogień zacichał, tłum zniknął z ulic, schronił się pod osłonę piwnic albo, poddając się napierającej fali, ciągnął na drogę wylotową na zachód; z rzadka jedynie przemykali się mieszkańcy, żołnierze pędzili ulicami, na których kładło się migotliwe światło pożarów. A potem, tak opowiadał Conny, ponad słabnącym buczeniem silników ciężarówek usłyszeli potężny, szczękający odgłos zagłuszający nawet terkot broni automatycznej, który się właśnie zerwał, i wybuchy granatów karabinowych, a dwóch żołnierzy, którzy mijali ich uciekając na rowerze, krzyknęło do nich: – Z drogi, zwiewajcie, czołgi idą.

Masuch szarpnął Conny'ego w bok, po raz pierwszy kajdanki werżnęły się w przegub ręki. Jednocześnie pchnęli ciałami jakieś drzwi wahadłowe i wpadli do hali kasowej – była to hala jakiejś kasy oszczędności, posuwali się po omacku przez mroczne korytarze, a w końcu zeszli po żelaznych schodkach w dół; ukryli się w kotłowni. Żadnego umawiania się, żadnych wspólnych rozważań czy zapewnień; siedzieli tylko, jak opowiadał Conny, przykucnięci w milczeniu, dopóki nie usłyszeli nad sobą klaszczących kroków wojskowych butów i krótkich serii ognia z broni automatycznej; wtedy Masuch zaproponował mu, żeby wspólnie poszukali jakiejś skrzynki z narzędziami i uwolnili się z więzów, tak, żeby uwolnić się od siebie nawzajem. I to było wszystko. Nie znaleźli żadnego stosownego narzędzia, musieli czekać; Masuch podzielił się papierosami ze swoim więźniem i, jak mówił później Conny, spali na siedząco obok siebie.

Ale potem daleki ogień artyleryjski zaczął się zbliżać, słychać było suche szczekanie dział pancernych, a w budynku nad nimi rozległy się gwizdy i okrzyki...

Tak, Martinie, Gołdap została ponownie zdobyta, ale spostrzegli to dopiero wtedy, kiedy usłyszeli głosy własnych żołnierzy w hali kasowej i na korytarzach. Opuścili kryjówkę, poszli przez tłące się miasto wśród dopalających się pożarów, przez wyboiste boczne ulice; nikt ich nie zagadnął, nie obdarzył zainteresowaniem, ani żołnierze, ani też cywile,

którzy wychodzili zeszytniali z piwnic i domów i oceniwszy w milczeniu sytuację wynosili na ulicę swój dobytek, na dworze pakowali go i wiązali w tobołki, przygotowując do drogi.

Bez szwanku dotarli do biura, wielopokojowej, prywatnej willi, nieuszkodzonej, lecz pustej; pozostał tylko dozorca; zanim wpuścił ich do budynku, zażądał, żeby Masuch pokazał mu legitymację. I to on, dozorca, rozdzielił ich za pomocą specjalnego klucza, na życzenie Masucha wystarał się także o nowe, znormalizowane kajdanki i położył je obok tacy, na której wniósł świeżo zaparzoną kawę. Nie udało im się, opowiadał później Conny, powrócić do tego, co przeżyli, przedstawić to sobie nawzajem jeszcze raz i wyjaśnić; wypili niespiesznie swoją kawę, zapalili, a potem Masuch, jakkolwiek z wyrazem ubolewania, poprosił Conny'ego, by wyciągnął dłonie, i kajdanki zatrzasnęły się na jego przegubach. Być może po to, by w skupieniu uporządkować i przygotować to, co właśnie teraz należało uporządkować i przygotować, powierzył Conny'ego dozorczy, który orientował się we wszystkich pomieszczeniach. Ten zamknął Conny'ego – zamknął go aż do momentu, w którym to małe miasto ponownie i ostatecznie zostało utracone, a kiedy seria pocisków unicestwiła zamek u drzwi, Conny wyszedł ze swego zakamarka i wyciągnął ku wbiegającym żołnierzom swe skute ręce.

Co mówisz? Bezpieczeństwo? Bezpieczeństwo w jaskini lwa? Nie wiem, Martinie, czy ta prawda zawsze się potwierdza, co do tego mam wątpliwości, w końcu Conny opowiadał, że również ludzie z grupy Weinknechta, z którymi miał być skonfrontowany, nosili kajdanki, te same, mówiące za siebie kajdanki; mieli je jeszcze, kiedy znaleziono ich w jakiejś piwnicy z przestrzelonymi karkami, pokrytymi zaschniętą krwią.

W każdym razie Conny zniknął z pola widzenia, podczas gdy my ciągle zdobywaliśmy jeszcze górę zamkową i patrząc na legendarny półwysep przygotowaliśmy ją do obrony, i gdy siedzieliśmy na zarośniętych tarasach, jedząc krupnik z kuchni polowej, i gdy obserwowaliśmy niezakłócony lot rosyjskich samolotów, a niezliczeni Reschatowie bezustannie zaklinali nas, urabiali i zagrzewali, byśmy zawierzili własnej

przewadze i oczekiwali z ufnością zbliżającej się – który to już raz? – „decydującej bitwy”.

Jakże oni nas faszerowali miłością do ojczyzny! Czego nie wymyślali, żeby tylko wykorzystać ojczyznę jako ożywcze hasło. A więc sprowadzono ojczyste dywizje, bo spodziewano się po nich przykładnej zażartości. Miłość ojczyzny miała się przerodzić w najwyższą wolę walki. Ojczysta ziemia, ojczysta duma, ojczyste dźwięki miały nas natchnąć, wypełnić, porwać. Jak się nagradza wytrwałość, mieliśmy sobie przykładowo wywnioskować z historii ojczystej, i zawczasu mogliśmy być pewni jej wdzięczności. Hasła te bombardowały nas nieustannie, jak już mówiłem, czuliśmy się jak pod stale kapiącą kroplówką. Reschatowie – a byli oni nie tylko w Łukowcu – zaklinali nas i uspokajali, zmuszali swoimi możliwościami do pozostania, podczas gdy ich własne samochody, mające służyć im do ucieczki, były jawno zatankowane, specjalne przedziały zarezerwowane, a szybkie łodzie i lodołamacze, które miały ich przewieźć przez zalew i Bałtyk, czekały pod parą. Ten, kto widział nas pod sosnami i pośród kadyku pod górą zamkową, kto policzył okopane działa za rowem przeciwczołgowym, ten musiał sądzić, że Łukowiec został ogłoszony twierdzą, a przynajmniej „miastem obronnym”. Chociaż Pierwszy Front Białoruski groził na zachodzie odcięciem całych Mazur, ciągle jeszcze ani jedna kolumna nie opuściła miasta.

Śnieg spadł tej zimy wcześniej, nasze niezawodne bagna, na które się niegdyś u nas powoływano, zamarzły na metr głęboko, a jeziora, także te leśne, pokryły się lodem. Otrzymaliśmy zezwolenie na ułożenie w Borku drzewa w sági. Można było ujrzyć chmary wron, wielkie i hałaśliwe jak nigdy dotąd. Rybacy łowiący pod lodem musieli się nieźle mordować. W Małym Grajewie, zasypanym śniegiem, świętowano cichy ślub; Heini Hauser żenił się z Iriną Gutkelch, zaproszono i mnie, ale mój talerz pozostał nie używany, gdyż syrena wezwała mnie na ćwiczenia alarmowe na górze zamkowej.

Wieczorami, kiedy północno-wschodni wiatr oblegał domy, ten sam północno-wschodni wiatr, który niósł stłumiony zgiełk bojowy, w te wieczory, kiedy żadna praca nie kleiła się, zaraz po kolacji zaszywałem się

w naszej „mieszanej” sali wystawowej. Może się zdziwisz, Martinie, ale zacząłem przeglądać, wydzielać i przygotowywać eksponaty; pojedyncze sztuki umieszczałem już w pudłach i koszach. Naciskany, by pozostać, przekonany – i na pewno także gotów – by wytrwać, nie mogłem wszelako oprzeć się pragnieniu, by zadbać o rzeczy, które były mi powierzone. Nie pytaj mnie, dlaczego zacząłem akurat od „zwierząt stron ojczystych” – uczyniłem to ulegając po prostu jakiejś intuicji, a pierwsze, co powędrowało do potężnego plecionego kosza, to był wypchany wilk z niebieskimi szklanymi oczami. Dodałem mu do towarzystwa lisa i tchórza, ułożyłem na wilczej szyi spreparowanego bobra, w poprzek pod łapy wsunąłem czarnego bociana i wypełniając ostrożnie wolną przestrzeń, rozmieściłem skóry żmij, wyduszki z jaj, szkielety, poroża – pokażną część naszego zaimpregnowanego, nieśmiertelnego inwentarza. Kiedyś przysłała tam Edith, długo stała Przyglądając mi się bez wyrazu, a potem spytała: – Wszystko? Mamy zabrać wszystko? – Jeśli będziemy musieli uciekać – odpowiedziałem wtedy – nic nie będzie za dużo.

Widzisz, musisz mi uwierzyć, że nie dlatego szykowałem do drogi te znaleźiska i dokumenty, dowody i rozliczne świadectwa naszej głęboko splecionej egzystencji, by miały z czasem uzasadniać jakieś roszczenia dochodzić jakichś praw, raczej pakowałem i układałem to wszystko dlatego, że po prostu to do nas należało – do naszej okolicy, do naszego życia, do ugruntowanej wiedzy o nas samych, z pomocą której mogliśmy prześledzić wstecz kręte ścieżki naszego pochodzenia...

Dość, Martinie, nalej nam jeszcze po ostatniej filiżance herbaty, wypal do końca papierosa, potem muszę się trochę przespać. Pojutrze – mam nadzieję, że nic się nie zmieniło? – w każdym razie, kiedy przyjdziesz, będę ci mógł potwierdzić, że cała przeszłość jawi się nam tym ostrzej, im bardziej się od niej oddalamy...

Popiół? Wysyp do umywalki i spłucz...

Tym ostrzej, mówię ci, uświadomiłem to sobie już na statku owej zimy, na Bałtyku i patrząc w tył na zamglony horyzont, poczułem, że nie ma powrotu, dla nikogo na pewno nie ma powrotu do tego, co było niegdyś,

nawet jeśli wiedzeni cudem i dokładną pamięcią znowu schwycimy zerwane nitki i zwiążemy je na krótko: – Raz rozłączone – na zawsze rozłączone, mówiła Sonja Turk; ni ma żadnego zaczynania od nowa.

XIII

Wierz mi, w skrytości ducha nie uważaliśmy, że to możliwe, w głębi serca nikt z nas nie liczył się z ewakuacją czy nawet ucieczką, po prostu dlatego, że nie mogliśmy sobie wyobrazić rezygnacji z Łukowca, tego starego miasta; nie mogliśmy wyobrazić go sobie pustego, obnażonego, pogrążonego w głuchym milczeniu i oczyszczonego z naszych śladów; tak jak niemożliwym zdało się nam wydanie na łup miasta, tak nie mogliśmy uwierzyć, że miasto nas opuści, miasto, które stało się dla nas uosobieniem trwałości i bezpieczeństwa. Przyzwyczajaliśmy się do myśli, że należymy doń, tak jak ono należało do nas, niezmiennie, przez całe lata.

A jednak pewnego styczniowego ranka, sztywnego od mrozu, nadszedł rozkaz ewakuacji. Miasto zasypywał ogień dalekonośnych dział, ponad dachami snuły się welony kurzu, pomiędzy dudniącymi detonacjami przebijał się ostry dźwięk syreny. Pobiegliśmy z Marianem do majątku, gdzie na podstawie specjalnych zezwoleń, którymi mogliśmy się legitymować jako podwładni naczelnego łowczego Rzeszy, otrzymaliśmy przydział dwóch pojazdów: sań i wozu drabiniastego. Zaprzęgliśmy konie, zwierzęta zwietrzyły zapach spalenizny i trudno było je utrzymać, musiały jednak iść wolno z powodu cienkiej skorupy lodowej błyszczącej na szosie. Za dwie godziny w majątku miała się zebrać kolumna wozów, tyle czasu dano nam na przejrzanie mienia, zapakowanie niezbędnych rzeczy, załadowanie na wozy i umocowanie tego, co miało nam towarzyszyć w nieznane. W lód na jeziorze uderzył ciężki granat, podniosła się zasłona połyskliwych okruchów, odłamków i kawałków lodu i jak z wywierconego otworu trysnęła w górę fontanna wody. W domu nad zakolem rzeki już na nas czekano, beczynn timer, wciąż jeszcze nie wierząc; tu także nikt nie mógł sobie wyobrazić, że musimy opuścić to miasto, te domy i wszystko, co nas tu wiązało i co nazywaliśmy swoją własnością. Czy rzeczywiście stąd idziemy? Czy naprawdę musimy uciekać? A może to pomyłka?

Wołaliśmy do nich przekazując to, co sami wiedzieliśmy, ale moi wciąż wzbraniali się uznać rozkaz, patrzyli na nas tylko, nic nie rozumiejąc; dopiero gdy Marian podał termin, który nam wyznaczono, gdy przebiegł prędko koło nich i wpadł do domu, zbudzili się z osłupienia, ruszyli za nim ze ściśniętym sercem i wreszcie – gdy brali do ręki pierwszy przedmiot, z którym za nic nie chcieli się rozstać – pojęli, co się stało.

Pamiętam jeszcze, jak pobiegłem na górę, do sal wystawowych, zdecydowany zawlec do wozu skrzynie i kosze, które przezornie zapakowałem – kryły one jedynie znikomą część inwentarza muzeum; potem jednak, pośród tych stosów rzeczy i wciąż jeszcze pełnych regałów, poczułem paraliżujące niezdecydowanie, drżałem, czułem jakieś klucie, wydawało mi się, że nie zdołam podnieść nawet pudła ze strojami ślubnymi, i przez moment rozważałem, czy nie zostawić wszystkiego swemu losowi, tak jak było, wraz z całą mocą świadczenia. Wydawało mi się, że nie wolno mi rozdzielać i rozrywać tego, co uzupełniało się w tej mocy dowodowej, co się wzajemnie naświetlało. Hierarchia – przecież nie mogłem ustalić żadnej hierarchii: to nie, to nie, a to tak. Wszystko to stanowiło całość, musiało zostać razem.

Oszołomiony otworzyłem okno, w dole wynoszono na dwór krzesła, zegar ścienny, pościel złożoną w kostkę i układano obok drabiniastego wozu – wszystko to wypełniało już wóz w jednej trzeciej, a gdy Marian wyniósł na plecach stół z jadalni, odwróciłem się, podszedłem do oszklonej gabloty i wrzuciłem skromny zbiór ozdób do skrzynki. Na ślepo, najchętniej sięgałbym na ślepo, zgarniając z półek wszystko, co nawinęłoby mi się pod rękę. Nie pytaj, co decydowało o wyborze, co spowodowało, że bęben i diabelskie skrzypce skazałem na pozostawienie, a staremu mazurskiemu kołowrotkowi zapewniłem miejsce na wozie. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego miały jechać z nami skrobek i topory bojowe, tkwiące w uchwytach, a zniszczony ul musiał pozostać w domu.

Zgarniałem bez planu, rzucałem na stos wszystko, co mi wpadło w oczy, dokumenty, monety, odświętne szaty; historyczne naczynia kuchenne znajdowały bezpieczne schronienie wśród szmacianych chodników, broń z epoki brązu wpadała między zabawki i „rośliny ziemi ojczystej”. Nie

potrafię podać powodu, dlaczego, otępiały i spocony, przeznaczałem do zabrania przedmioty, które przybyły do nas z tamtej strony granicy: krzesło ręcznej roboty, ozdobną mazowiecką kamizelkę, stare siodła i drewniane narzędzia rolnicze – wybierałem je również bez planu, jak i inne przedmioty, jak urnę z czasów Jadźwingów czy koronę ze słomy.

Dziwne: Zdejmując jak w transie eksponaty ze swoich miejsc i chowając je, za każdym razem wiedziałem, skąd pochodzą, jakie historie się z nimi wiążą.

Ani słowem nie odzywałem się do Pawełka, który włókł swoje ulubione przedmioty, pytając mnie o decyzję: – A to? Można to zabrać? – Przyglądałem mu się tylko w milczeniu, gdy chcąc zaoszczędzić miejsca, beztrudnie wymieszał zbiór miejscowych minerałów, gdy wytrząsał z probówek i butelek mazurskie wapienie i żwiry, kwarcy, miki i glinki i wszystko razem wsypywał do trójkątnej papierowej torebki, którą wcisnął do szkolnego tornistra. To Pawełek włożył mi zaraz potem w ręce „Księgę”, kompendium mazurskiej sztuki tkackiej Sonji Turk, którą wraz z dawnymi narzędziami zniosłem jako pierwszą do wozu.

Dwóch żołnierzy, powiesiwszy broń na płocie, pomagało Marianowi i kobietom ładować ciężkie paczki na wozy, to znaczy żołnierze układali i wiązali pakunki, podczas gdy kobiety wbiegały raz po raz do domu i wносиły wszystko, co pod żadnym pozorem nie mogło zostać: jeszcze tylko to, to musi jechać. Moja matka, gnana nienasyconym pragnieniem, z suchym łkaniem wywlekała i wyciągała na dwór wszystko, co nadawało się do transportu, nie zważając na wartość ani wagę, przyniosła nawet tygły, moździerz i rynienki, w których mój ojciec wyczarowywał niegdyś swoje cudowne substancje. Edith pakowała swoje rzeczy bez słowa, z zaciśniętymi ustami, moje wołanie zdawało się do niej nie docierać, a raz, gdy zderzyliśmy się na schodach, spojrzała na mnie bez wyrazu, aż się przestraszyłem. Sonja Turk siedziała apatycznie na sankach, okryta czarną szydełkową chustą, obetkana poduszkami, jej fotel na kółkach był tak obstawiony, że dawał osłonę od wiatru, można było sądzić, że to, co się wokół niej dzieje, nic nie obchodzi.

Jak szybko przybywało załadowanych rzeczy; wkrótce piętrzyły się i sterczały jak wieże; a w rozdeptanym śniegu wokół pojazdów leżała wciąż ta sama ilość przedmiotów, które musiały, które powinny były jechać. Żaden z pakunków nie zawierał spisu zawartości, nie było żadnych list, które by mówiły, co się mieści w danym koszu, walizie czy skrzyni, nawet inwentarz muzeum, który tak troskliwie zapakowałem, nie był oznaczony, i naraz – po drugiej stronie jeziora pierwsze wozy ruszały po wybojach na miejsce zbiórki – naraz zaczęło się rozpaczliwe upewnianie: – Czy album też jest? A termofor? Mój Boże, gdzież jest żelazko? A miód? A duże lustro jest? A budzik? Zawełowane mięso królicze? A mój stołeczek? A beczka z kapustą?

Nie było rady, jęklive pytania zmuszały nas do powtórnego przeszukiwania bagażu, szarpaliśmy więc, macaliśmy i grzebaliśmy, pamiętam jeszcze, jak nagle zamarłem bezradny: z ręką zanurzoną aż po bark w nasze mienie, wyczułem pod palcami kamień tatarski, oprawną w drewniane listewki dziobatą kulę z granitu – najwidoczniej żołnierze wrzucili to na wóz. Było już za późno, aby kulę zrzucić, a potem porządkować i układać ładunek na nowo; niezgrabny pocisk, który w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku stał się przeznaczeniem wodza Tatarów, musiał wyruszyć z nami w drogę.

Nie potrafię ci powiedzieć, ile razy dawałem sygnał do odjazdu; nie mogli rozstać się z rzeczami, leżącymi przed domem na śniegu, chcieli zanieść je do budynku albo nakryć ocieplającymi workami, przeciwko styczniowi, przeciw ostrym północno-wschodnim podmuchom. Marian i ja musieliśmy zleźć z wozów, przyprowadzić kobiety i pomóc im wdrapać się na bagaże powiązane na krzyż, gdzie w końcu znalazły sobie miejsce do siedzenia pośród celujących w niebo stołowych nóg, pościeli i zrolowanych dywanów; ale nawet teraz nie milkły pytania i upewnienia.

Czy myśleliśmy o powrocie? Czy uważaliśmy ewakuację za rozwiązanie przejściowe? Widzisz, Martinie, często sam zadawałem sobie to pytanie: czy w chwili opuszczania Łukowca liczyliśmy na powrót. Ale gdy uprzytomnię sobie uczucia, które nas ogarniały, i nasuwające się myśli,

muszę ci powiedzieć, że przynajmniej mnie wypełniało jedno jedyne pragnienie: uciekać, uciekać z tym, co zostało mi powierzone...

W każdym razie wyprawa nasza rozpoczęła się wśród głuchego huku dalekosiężnych dział; gdy pojazdy ruszały, unosiła się nad nimi wątpią skarga, zduszona, niewiadomego pochodzenia; kierowałem zaprzęgiem drabiniastego wozu, nie obejrzałem się. Trzęśliśmy się na wybojach spadzistej drogi nad jeziorem, tu dopadł nas wiatr, postawiliśmy kołnierze. Przed otwartymi domami zostały bagaże, meble i naczynia kuchenne, teraz już bezpieczeństwa, porzucone, gdyż sanie i ręczny wózek dawno już były przeładowane i nie mogły nic więcej udźwignąć. Doganiał nas podjeżdżący na most zakutane kobiety, dzieci, starych mężczyzn o lasce, pochód, który wyruszył w drogę piechotą i teraz spieszył się i zapierał, zdobywając śliskie wzniesienie; niektórzy chwycili się naszych wozów. Drewniana brama więzienna, od dawna pustego, stała otworem, podobnie przycupnięty, biało otynkowany domek nad jeziorem, w którym spędziłem szczeniące lata. Na grobli, prowadzącej pod górę do majątku, zrobił się zator, mogliśmy już tylko powoli wlec się naprzód, mężczyźni z biczami pod pachą rozprostowywali zdrętwiałe nogi, zerkali ku pojazdom, chcieli wywęszyć, kto jedzie za nimi, a kto przed; jeden z nich, schowany za szalikiem, stwierdził na nasz widok: – Popatrz, popatrz, i muzeum też jest z nami, to już człekowi nic nie zabraknie.

W końcu wjechaliśmy na jedno z pastwisk przy majątku, sto, a może nawet sto dwadzieścia wozów, dostaliśmy owies i sieczkę, a „generał straży pożarnej” Ludwik Krimkowski przedstawił się jako tzw. „dowódca kolumny” i próbował nas zapewnić, że doprowadzi wszystkich cało do Tczewa nad Wisłą: taki wyznaczono cel.

Staliśmy jeszcze na zamarzniętym podwórzu, wszyscy woźnice, gdy z budynku mieszkalnego wyszła żona Toniego Lettkowa, „Błękitna”, w sznurowanych bucikach i krótkim sukiennym płaszczu. Szła ku nam, przechodząc skinęta głową na powitanie, jak zawsze dumnie i z daleka, przy swoim powozie jak zwykle nieuważnie wyciągnęła rękę do Heiniego Hausera, by pomógł jej wsiąść. Ten zawahał się; widziałem, że się waha,

ale na jej niechętnie, zdziwione spojrzenie podtrzymał ją i pomógł wdrapać się na kozioł.

Heini Hauser zdecydował się pozostać, życzył mi szczęśliwej drogi, nie szczęśliwego powrotu, bez pośpiechu wyszedł na środek podwórza, odwrócił się i obserwował nasze odejście, bynajmniej nie uradowany czy w widoczny sposób pogodzony z losem, lecz z chłodną cierpliwością, samotna postać na tle szeroko rozciągniętych zabudowań stajennych...

Tak, Martinie, prowadziliśmy ze sobą zwierzęta, ale tylko konie i część bydła; małych zwierząt nie wolno było brać w drogę. Wiedliśmy je na długim sznurze za wozem, dreptały posłusznie skrzypiącym śladem kół, także oba wierzchowce Toniego Lettkowa, idące za powozem „Błękitnej”, a kto by widział nas z daleka, ten powolny, kołyszący się, ale uparcie dążący naprzód pochód, ten mógłby nas wziąć za wyprawę wyruszającą po nowe ziemie, ku nowym możliwościom i koloniom, na Zachód. W pochodzie nie paliła się ani jedna latarnia, chaty i podwórza, obok których przejeżdżaliśmy, tonęły w ciemnościach, tylko śnieg dawał trochę światła, owa zaskorupiała śnieżna powłoka, pokrywająca ziemię. Nic nas nie zatrzymywało, minęliśmy zamkową górę, wąski przesmyk osnuty legendą o wytrwałości i zwycięstwach; w lasach znaleźliśmy nadzieję i osłonę przed wiatrem; ustał tam, a może zamarzył jego nieustanny jęk. Pełni nadziei odpoczywaliśmy pod sosnami; od Łukowca oddaliliśmy się o dwanaście kilometrów. Z tyłu rozpalono ognisko, by zagrzać mleko i kamienie, które chciano zawinąć w mizerne derki; skulone postacie jak na komendę zeskakiwały z wozów i układały na warstwie słomy gałęzie i szyszki; zanim jednak zapłonęły dalsze ogniska, Krimkowski i jego pomocnicy rzucili się biegiem wzdłuż kolumny, ostrzegając i tłumiąc śniegiem buchające już w górę płomienie.

Nie było więc ognia; resztę nocy przesiedzieliśmy na wozach, drzewa trzaskały na mrozie, zimno chwytało za gardło, zwierzęta grzebały kopytami i rzucały łbami, nie musieliśmy wystawiać warty, nikt nie spał. Za mną, nie, na wszystkich wozach cicho wypytywano się wzajemnie, wyliczano wiezione dobra, sumowano straty; teraz, gdy ludzie cofali się myślą wstecz, dochodzili do wniosku, że wszystko, co zebrali i zdobyli w

owych latach, miało swoją wartość; w czasie tego przerywanego bilansu uświadamiali sobie „prawdziwe” znaczenie przedmiotów i możesz być pewny, że wśród tego, co zostawili, odkrywali rzeczy najniezbędniejsze: trzeba było to zabrać; że też tego nie ma; że też mogłeś o tym zapomnieć – tak brzmiały owej nocy wyrzuty sumienia i monotonne obwinianie się nawzajem. Była to jedyna noc, w ciągu której cały nasz pochód pozostał razem.

Wyruszyliśmy o świcie, nikt nie ścigał zwierząt, które zerwały się ze sznura i uciekły w głąb lasu – zjeżdżaliśmy w dół szerokim leśnym traktem, na wszystkich wozach i saniach spożywano śniadanie. Podczas jazdy moja matka kroїła i smarowała chleb, piłowała kawałki suchej kiełbasy z zapleśniałą skórką, rozdawała plastry suszonych jabłek i puszczała w obieg emaliowany dzban z koniakiem rozcieńczonym herbatą – Pawełek biegł obok i podawał śniadanie do sań, na których widać było tylko Mariana; Sonja Turk zda się utonęła wśród zwałów dywanów i pościeli. Las był na tym odcinku rzadszy, jakby przeczesany, nad kolumną wozów unosiły się obłoczki oddechów; o świtanu las się cofnął i wyjechaliśmy na zaśnieżoną szosę prowadzącą do Orzysza. Wówczas weszło słońce rozświetlając lodową szreń na brzozech.

Nie byliśmy już sami, w naszą kolumnę wplotły się pojedyncze obce wozy z bocznych dróg, ale także łącznicy na motocyklach, wozy sanitarne i grupki żołnierzy z rozproszonych oddziałów, którzy przyłączyli się do nas tak bezwolnie, jakby nasza droga miała zawieść ich w bezpieczne miejsce. Nasza kolumna podwoiła już swoją długość. Nie zatrzymała nas też zaimprovizowana barykada na szosie, zbudowana w pośpiechu przeciw oczekiwany stadom T-34; czoło pochodu przerwało przeszkodę, zbudowaną z autobusów i szyn, przy pomocy transportera na gąsienicach ściągnięto ją do rowu, a tymczasem my już napieraliśmy z tyłu i przepływali, parci siłą bezwładnego uporu. Raz przeciągaliśmy obok opuszczonego dworca; jego nazwy, rozmytej przez deszcz, można się było jedynie domyślić, pamiętam, że obok zaśnieżonych torów stał długi szpaler sprzętów, skrzyń, mebli, worków i koszy, na wpół zasypanych śniegiem; wszystko to stało tak, jak postawili je ludzie, którym wolno było

wsiąść do ostatniego pociągu dopiero po rozstaniu się z mieniem. Edith naciągnęła koc na twarz i zaczęła płakać.

Z wysokiego mostu obejmowałem wzrokiem okolicę aż po horyzont, widziałem białą pustynię słabo oświetloną słońcem, krętą szosę i nasz kołyszący się pochód, naprzeciw któremu zmierzała teraz z północnego wschodu zmotoryzowana kolumna, tryskająca energią i zdecydowaniem kolumna czołgów, otwartych pojazdów na gąsienicach i wojskowych ciężarówek, które otrzymały może rozkaz osłaniania albo nawet oswobodzenia Łukowca. Ruszyliśmy, zatrzymaliśmy się znowu, a kiedy jeszcze się naradzaliśmy, podjechał łącznik na motocyklu, pełnym gazem i z wyciągniętymi nogami, w biegu rozkazując opuścić szosę – natychmiast zjeżdżać z szosy! – łącznik zdawał się nie słyszeć, co wołano doń z wozów. Wszyscy byli niezdecydowani, oceniali ryzyko zaśnieżonych, a w odkrytych miejscach całkiem zawianych rowów, przymierzali się w zatroskaniu, z wahaniem, byli zdania, że znalazłby się przejazd, gdyby podjechać blisko pod brzozy. Ale to nie wystarczyło: zanim jeszcze wrócił łącznik, wyłamał się przód kolumny, ścieśniony albo po prostu zepchnięty przez czołgi, ciężko mielące śnieg: widziałem, jak czołgi na krótko wypadły z szyku, jak konie wspięły się w górę i zaraz potem stały po brzuch w zaspach, zapadając się tylko na chwilę, żeby znaleźć grunt, po czym bijąc kopytami natychmiast naprężyły się znów w uprzęży, by wydostać się na pole. Sanki i wozy jedne po drugich wypadały z szyku, niektóre przechylały się przy próbie wjazdu na drugi brzeg rowu, przewracały się, przygniatały ludzi i zrzucały spiętrzone rzeczy w śnieg. Łamały się dyszle. Pękały osie i płozy. Odgłosy trzaskania z bicza ginęły wśród tej całej wrzawy, krzyków i nawoływań.

Zobaczyłem, że teraz moja kolej, zsiadłem, dałem znak do zsiadania Marianowi i innym, z wyjątkiem Sonji Turk, po czym popędziłem konie, a one nie skoczyły, lecz ruszyły do przodu brnąc w zaspach, w oczach ich nie było strachu. Podjechały ukosem na drugi brzeg rowu, biły weń kopytami mocno udeptując śnieg, wóz przechylił się, bagaż przesunął lekko w sznurach, ale równomierny ruch naprzód zapobiegł upadkowi. Przejechaliśmy na drugą stronę, najpierw wóz drabiniasty, potem sanie; udało nam się, gdyż pod śniegiem leżały wiązki chrustu, porządnie

ułożone, a potem widocznie zapomniane tej jesieni ostatecznych rozstrzygnięć. Stojąc na twardym, zbitym w bryły gruncie, widzieliśmy przejazd kolumny wojskowej, mielącej ziemię, komendanci stali w otwartych lukach wieżyczek ze spojrzeniem skierowanym prosto przed siebie, w czołgach kulili się bardzo młodzi żołnierze – miałem wrażenie, że usiłują nas nie widzieć. Nieomylnie ciągnęli w kierunku, gdzie spodziewali się frontu, w pojazdach pokrytych brudnobiałą farbą maskującą, posłuszni, lecz pozbawieni wiary.

Widzisz, tak zaczął się rozpad naszego pochodu, nie natychmiastowe rozwiązanie, lecz stopniowe wykruszanie się, gdyż nawet jeśli z początku pomagaliśmy sobie nawzajem, chwyтали za szprychy, naprawiali wozy, zbierali porozrzucone rzeczy i ładowali je na nowo, jeśli nawet rozdzielaliśmy ludzi i mienie pomiędzy ocalałe wozy – niektórzy nie chcieli, nie mogli, upierali się, że pojedą później za nami na swoich naprawionych wozach. Jednak kto raz pozostał w tyle, ten już więcej się do nas nie przyłączył, gdyż nasza własna droga nie przebiegała tak, jak było ustalone, lecz zależała, o czym wkrótce mieliśmy się przekonać – od stale zmieniającej się sytuacji na drogach, to znaczy od ruchu niezliczonych kolumn, posuwających się w przeciwnych kierunkach, cofających się pobitych dywizji i nieprzewidzianych, szybko przedzierających się do przodu rosyjskich jednostek pancernych.

Jechaliśmy dalej, przemierzaliśmy jeszcze wciąż kraj na północny zachód, przez zamarzniałe pola, czasem przez łąki i twardy lód na jeziorach; w dzień gotowaliśmy na skraju lasu, na paleniskach, które inni zbudowali z kamieni; nocą odpoczywaliśmy w opuszczonych majątkach, w cegielniach, gdzie żar wygasł w piecach. Gdzie to było, gdzie mogło być to miejsce, gdzie obie artylerie, nasza i ta druga, walczyły ponad naszym pochodem? Staliśmy w dolinie, słyszeliśmy świst pocisków, przy bliskich wybuchach z trudem mogliśmy utrzymać konie. Nie widzieliśmy ani jednych, ani drugich, nasłuchiwaliśmy tylko i czuliśmy, jak pod naszymi wozami drży ziemia. Tam to długi na palec odłamek rozbił oszkloną skrzynkę ze sklejki, w której jechały „rośliny ziemi ojczystej”, suszone dzwonki, srebrzysty oset, bagno, służące jako środek przeciw molom; okruchy roślin rozsypały

się, wymieszały ze sobą; kiedy ruszaliśmy, Edith wyrzuciła rozbitą skrzynkę w śnieg.

Tak, teraz sobie przypomniałem: Wilków, to było w dolinie pod Wilkowem, gdzie artyleria, nasza i ta druga, wiodły nad nami swój pojedynek; wkrótce przedostaliśmy się przez las, któremu wieś dała imię, trzęśliśmy się i ślizgali obok stosów połupanego drewna, obok tego tłącego się nieszczęścia. Nie tylko działa i pojazdy wojskowe, także wozy cywilnej kolumny szukały w lesie ochrony i chyba ją znalazły aż do momentu, gdy zagrzmiały działa. Te wszystkie rozciągnięte na śniegu zwierzęta. Rozbite wozy. Zniszczone sprzęty pod pochylonymi, zwisającymi, połamanymi pniami. Obracające się, nieustannie obracające się koło przewróconego wozu, którego zawartość porwała wichura i poniosła wysoko nad ziemią, aż na wierzchołki drzew. Stary człowiek, przenoszący z pomocą żołnierzy sztywne ciała nad brzeg leja od wybuchu granatu i spuszczający je ostrożnie w dół. Porozcinane pudła tekturowe, skrzynie wymiotujące zawartością, pościel, wszędzie na śniegu spiętrzona, poplamiona pościel, zapach spalonej gumy. Z naszej kolumny nie zsiadł nikt, by pomagać, zabezpieczać, a ci, którzy przeżyli atak, zdawali się niczego od nas nie oczekiwać, ba, wydawało się, że wcale nas nie zauważają, gdy tak przechodziliśmy mimo nich w umęczonym pochodzie.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy moja matka zrobiła to odkrycie, jej pełen przerażenia okrzyk powiedział nam, że odkryła coś ważnego: zerwała się oburzona, łapała ustami powietrze lamentując; obejrzałem się i zobaczyłem, jak spiesznie wyciąga ubrania z jednej ze skrzyń, święteczne ubrania, marynarki, spodnie i bluzki, trzymając je w oskarżycielskim geście na lodowatym wicherze, a potem z goryczą ciskając między meble: miód, otwarty dzban i kilka słoików z miodem zostały tak przyciśnięte do skrzyń z ubraniami, że ich gęsta zawartość nasączyła i posklejała nasze święteczne rzeczy; kapały z nich ciężkie krople i wyciągały się w nitki, posklejał się nasiąknięty materiał, plamy rozszerzały się i rozprzestrzeniały coraz bardziej, jakby żadna sztuka odzieży nie miała być oszczędzona. Jeśli uchroniły się w skrzyni, to otrzymały swoją porcję pomiędzy meblami, dokąd matka nie tylko rzucała kapiące ubrania, lecz

przyciskała je chwilę jakby za karę. Gdy w końcu wszystko już się poplamilo i posklejało, próbowała oczyścić szmatką pojedyncze sztuki, przy czym nie mogła się powstrzymać, by zgiętym palcem nie zebrać grubej warstwy miodu i nie zlizać go z zamkniętymi oczami. W każdym razie na najbliższe kilka godzin miała powód do rozgoryczenia.

Ach, te straty, ten długi szlak ruin i zmarnowanego mienia! Tak jak choćby na chwilę można ustalić kurs statku według pływających odpadków i wyrzuconych za burtę butelek, kubków i desek, tak można było wówczas rozpoznać drogi i bezdroża kolumn uciekinierów po przedmiotach, które leżały na brzegach oblodzonych wiejskich dróg, po tych wszystkich zgubionych, pozostawionych rzeczach. Każdy pochód wnosił swój wkład, dobrowolnie albo pod przymusem, każdy powiększał obrzeża nieszczęścia, które następni traktowali jak drogowskaz, jak znak prowadzący do zacisznego miejsca. Ileż dobytku zamieniło się tam w śmiecie! Jakże dokładnie zima i puste pola udowodniły rzeczom ich bezwartościowość!

Ale muszę ci opowiedzieć o nas, o owym wieczorze, kiedy zostaliśmy zmuszeni do zmiany kierunku ucieczki.

W poszukiwaniu noclegu opuściliśmy szosę, z wozem Krimkowskiego na czele wtoczyliśmy się nagą lipową aleją pod górę do opustoszałego majątku; granaty uszkodziły szosę i stajnie, ale dom pozostał cały; mieliśmy nadzieję uszczelnić rozbite okna słomą i workami. Ledwo zajechaliśmy, dowódca strażaków zawołał woźniców do siebie. Powlekliśmy się na zeszywniałych nogach na taras, omijając rozbite donice z kwiatami i odłamki tynku, rozsadanego przez mróz; skrzydła drzwi uderzały na wietrze o ściany, za oknami powiewały podarte firanki. Tak zwany dowódca kolumny oczekiwał nas w rozpiętym płaszczu, by omówić sytuację, spoglądał ponad naszymi głowami na łagodne, białe zbocza, opadające ku jezioru owalnego kształtu, pewnie spoglądał w przyszłość ten nasz rozkazodawca ze skrzyżowanymi wężami strażackimi na wyłogach kołnierza. Jak każdego wieczoru tymi samymi słowami powtarzał swoje zalecenia o karmieniu zwierząt, rozdziale pomieszczeń, zmianie wart, powtarzał przepisy przeciwpożarowe i reguły zachowania

się pod ostrzałem i, tak jak za każdym razem, zachęcał nas na zakończenie do stawiania pytań.

Wyciągnęły się dwie, trzy ręce, ale on ich nie zauważył; zdawało się, że nagle zapomniał o swoim wezwaniu, i z takim natężeniem wpatrywał się w przeciwległe zbocza, że odwróciliśmy się mimo woli szukając celu, w który wbijał wzrok. Nie było nikogo, kto od razu nie zauważyłby jeźdźca, który pędził galopem w dół ku jezioru – samotny ciemny jeździec, jadący szybko, ale i ostrożnie, omijający podstępne zasy tak pewnie i dokładnie, jak ktoś, kto dobrze zna te okolice. Człowiek i koń zdawali się zlewać w jedną istotę, gdy tak lecieli nad brzegiem jeziora; jeździec jednym susem przeskoczył strumień, przedarł się przez zeszywniałe trzciny, zawrócił i pojechał ku dworowi, wciąż jeszcze nie zwalniając, choć dawno już musiał spostrzec wozy kolumny. Przejechał obok nas, przed podjazdem do dworu ześliznął się z siodła, wyciągnął z futerału karabin i nie przywiązując konia ani nawet nie dając mu żadnego polecenia, przeszedł pośród naszych sań i wozów do stajni. Dopiero gdy padł pierwszy strzał, kilku z nas pobiegło za nim, ja też...

Nie, Martinie, to nie było to; w stajni stało bądź leżało ponad tuzin rannych koni, arabów i wierzchowców mazurskiej hodowli, o które nikt nie zdążył się zatroszczyć, gdy detonujące pociski dział pancernych zmusiły ludzi z majątku do ucieczki. Tak jak powiedziałem, zwierzęta stały bądź leżały w swoich boksach, z przeciętymi pęciami, rozdartymi bokami, czekały bez jęku czy westchnienia, lecz z cichym posapywaniem, parskając w słomę. Stały tam z zakrwawioną sierścią, z obnażonymi kośćmi; jeden koń obwąchiwał stojąc własne połyskliwe trzewia, spokojnie, bez panicznego szarpania, słychać było jedynie słabe grzebanie kopyt.

W ostatnim świetle dnia, wpadającym przez otwory wybite granatami, męczyzna ślaniając się przechodził od boksu do boksu, nieruchomił na moment, podnosił jedną ręką karabin i strzelał z bezpośredniej odległości zawsze w to samo miejsce: za ucho. Jeden za drugim konie uginały kolana padając; widać było, jak te leżące w słomie podrywały w górę głowy po uderzeniu kuli, próbowały jeszcze wstać, zanim wyciągnęły się na ziemi.

Jak długo drgały ciała! Nie wątpiliśmy, że mężczyzna jest właścicielem koni, nie przeszkadzaliśmy mu, nie pokazywaliśmy się nawet; w milczeniu szliśmy za nim i mogliśmy zaobserwować, jak kilka koni na jego widok podniosło i opuściło głowę, jakby na powitanie. Kiedy znowu ładował karabin, zobaczyłem na jego lewej ręce zamszową rękawicę, miał drewnianą dłoń.

Potem usiadł na cebrzyku z owsem i zapalił, opierając czoło o wspornik, obity deskami z surowego drewna, pozostawiliśmy mu tę chwilę i nie zbliżaliśmy się do niego. Trzeba było widzieć jego twarz, gdy podniósł się nagłym ruchem i pokuśtykał w naszą stronę, otępiaty z bólu, a jednocześnie wypełniony gorzką satysfakcją, małowówny mężczyzna, właściciel majątku, jak się okazało, który jechał dwadzieścia kilometrów tylko po to, by nie zostawić rannych koni swojemu losowi; chciał teraz wrócić na nocną kwaterę do swoich ludzi. Nie zatrzymał się, nie chciał nic wiedzieć, skąd się wzięliśmy i dokąd zmierzamy; nie rzucając nawet jednego spojrzenia na budynki, przeszedł między naszymi wozami i przy podjeździe zagwizdał na konia; ten podbiegł posłusznie, mężczyzna wskoczył na siodło i jakby dopiero teraz zauważył, że go otaczamy. – Na zachód nie ma przejścia – powiedział nagle – doszli już do Elbląga i zagrodzili ostatnią drogę. – Powiedziawszy to, zawrócił konia i odjechał bez pożegnania, a my patrzyliśmy za nim, póki nie wjechał na zbrocze po przeciwnej stronie.

Zajęliśmy zimny dwór i naradzaliśmy się, to znaczy wspólnie przyjęliśmy do wiadomości, że zostało nam tylko jedno wyjście: droga przez zamarznięty zalew i dalej przez zimowy Bałtyk, po czym każdy odszedł do swoich, by ich poinformować, co czeka ich w podróży na północ. Nikt się nie buntował, nie złorzeczył, nie było protestów; wszyscy apatycznie podporządkowali się nowemu postanowieniu; ach, godziliśmy się z każdą decyzją, dającą widoki ucieczki.

Leżeliśmy w sali pod pozatykanymi, pozawieszanymi oknami, na drewnianej podłodze, ciasno przytuleni do siebie, byliśmy w ubraniach, obetkani mizernymi kocami, na mizernych poduszkach; nieustannie słyszeć było przemykanie się, szepty, nie można było przywyknąć do

jęków i do mamrotania jakiegoś starca, który w świetle łożówki grzebał wśród swoich kosztowności – nic nie pomagało, gdy tu czy tam ktoś prosił o ciszę, nie uspokajali się. Niektórzy mówili przez sen albo wydawali przeraźliwe okrzyki, inni jedli potajemnie pod kocami albo niezmordowanie coś sobie opowiadali; mimo to udawało mi się na chwilę, na minuty zapaść w sen.

Owej nocy Sonja Turk przemówiła po raz ostatni – nie to, żeby umarła albo uległa paraliżowi odbierającemu mowę: tylko że od tego czasu przestała mówić, na wszystko odpowiadała milczeniem. Zaczęło się to od momentu, gdy ktoś wpadł do sali i obudził wszystkich krzykiem: – Śnieg pada, jest straszna zamieć – na co kilka osób wstało, podbiegło do okna i zastygło tam w zamyśleniu. Słyszałem, jak na dworze wiatr przybiera na sile i z głośnym wyciem hula wokół domu. Myślałem o naszym rannym wyjeździe, o zwałach śniegu, zasypanych drogach i tkwiących w zaspach wozach, a gdy jakaś ręka powędrowała wzdłuż mego ramienia, myślałem, że to ręka Mariana, Mariana Jeromina, który coś wymyślił przeciw śniegowi; ale była to Sonja Turk, która zapytała ostrożnie: „Śpisz? Śpisz, Siechmunt?” po czym wzięła mnie za przegub i przycisnęła do siebie bliżej, tak blisko, że poczułem jej oddech na swojej twarzy, teraz była pewna, że nikt nas nie usłyszy; z początku chciała tylko wiedzieć, czy rzeczywiście pada śnieg, a gdy potwierdziłem, moja dawna mistrzyni pochwaliła go. Pochwaliła śnieg, zanim poprosiła mnie o ostatnią przysługę, ostatnią uprzejmość.

Z wysokości sanek odkryła w rogu sadu dzikie, nie strzyżone zarośla, miałem ją tam przetransportować, zaraz, bez słowa – „żeby nikt nam tu nie marudził” i tam miałem ją posadzić na śniegu, wśród zamieci i pozostawić samej sobie. Życzyła sobie mieć kobierzec – „wiesz, który, ten z tym okiem” – chciała pod nim leżeć i dać się przysypać śniegowi – „za piecem nie byłoby przytulniej” – i tak zniknąć bez śladu. Uważała, iż musi mi obiecać, że wszystko pozostanie „między nami”. Pozostawiła mi wolną rękę co do rozporządzenia jej własnością. Przepowiadała ulgę w naszej drodze na północ. O tym, jak bardzo liczyła na to, że spełnię jej życzenie, świadczył między innymi fakt, że chciała, bym jeszcze prędko przysiągł,

że zawsze będę pracował według księgi, czynnie potwierdzając doświadczenie w niej zgromadzone.

Do przysięgi nie doszło. Kiedy cierpliwie próbowałem wyperswadować jej ten plan, gdy tłumaczyłem, ile ona dla nas znaczy, gdy próbowałem jej udowodnić, że dla nikogo nie jest ciężarem, kiedy w końcu doszedłem do projektu urządzenia warsztatu w spokojnej okolicy, w którym ona, Sonja Turk, mogłaby wiernie przekazywać swoje doświadczenia pojętym uczniom tkactwa – kiedy tak podawałem przyczyny mej odmowy i malowałem widoki na przyszłość, odsuwała się stopniowo ode mnie, coraz rzadziej coś wtrącała, wreszcie przestała zważać na moje pytania i leżała zupełnie obojętna, zdecydowana nic więcej nie mówić; nawet Pawełkowi nie udało się nakłonić jej następnego ranka do mówienia.

Tak, to się często zdarzało; chowaliśmy naszych zmarłych przed świtem, ale co znaczy: chowaliśmy. Tam gdzie było to możliwe, rozbijaliśmy zmarzniętą ziemię kilofami, niekiedy przykrywaliśmy ich tylko gałęziami albo zostawialiśmy pod kopczykiem śniegu, tuż przy szosie, z milczącym zapewnieniem, że pewnego dnia wrócimy do domu i dopełnimy tego, na co nie pozwalała nam obecna chwila. Te lodowe i śnieżne groby również wytyczyły nasz szlak, owe pośpiesznie uklepywane pogórki, w których drewniane krzyże nie mogły się długo utrzymać.

Dalej, musieliśmy iść dalej, posłuszni nakazom, strachowi i ówczesnym prawom ruchu, coraz dalej, gdyż wstawał dzień, popędzały nas niecierpliwe rozkazy, na horyzoncie wśród huku podnosił się ogień, dalej i dalej, gdyż mimo woli nasuwał się nam przerażający obraz: ostatni statek luzujący cumy, podczas gdy my dopiero dochodzimy do pustego mola. Przy pomocy mioteł i szufelek uwalnialiśmy wozy z niewoli śnieżnej, karmiliśmy konie zapasami znajdowanymi w zabudowaniach gospodarczych, szuflami odgarnialiśmy drogę do szosy, ryjąc wąwozy; bicze trzaskały, kolumna otrząsała się z nocnego bezruchu. Pewnego razu wpadliśmy w poślizg i zatrzymali się na lipie, przy czym złamało się kilka szczebli drabiniastego wozu; przy zderzeniu zgubiliśmy prawdopodobnie część zbioru monet. Tak, jeśli nie zsunął się wraz z pudłami i skrzynkami podczas nalotu bombowców na wydmach, to mógł przepaść tylko tam,

gdzie nasz wóz wpadł w poślizg; lipa uchroniła go przed wypadnięciem poza skraj skarpy i przewróceniem. W każdym razie po „roślinach ziemi ojczystej” straciliśmy jeszcze i monety, które świadczyły o kolejno następujących po sobie, wielojęzycznych, barwnie odzianych zdobywcach Łukowca i przedstawiały profile królów i chanów, z których rozkazu miasto pozbywało się cennych pamiątek.

W alei lipowej kilka wozów wpadło w poślizg, jeden z nich runął ze skarpy, połamaly się osie; pozbieraliśmy bagaże i rozdzieliliśmy ludzi na inne pojazdy. My również wzięliśmy na nasz wóz jednego człowieka: Josepha von Intelmanna, emerytowanego szefa byłej łukowieckiej policji kryminalnej. Wgramolił się na wóz z obszerną torbą podrózną, przytwierdzoną do przegubu, przedstawił się każdemu po kolei, nawet Pawłowi, wkrótce dowiedzieliśmy się, że teczka zawierała akta, opisy niesłychanych łukowieckich przypadków kryminalnych, w których rozwiązaniu brał decydujący udział i które chciał, jak mówił, „przewieźć na tamtą stronę”, aby wykorzystać je przy pisaniu podręcznika albo pamiętników. Tego samego dnia wsiadł na nasz wóz jeszcze jeden z ludzi Krimkowskiego, niezgrabny, ruchliwy mężczyzna, którego sanie się złamały i który wciąż odkrywał znaki, zwiastujące pomyślny koniec ucieczki, ba, wojny...

Chciałbyś wiedzieć, jak to możliwe? Widzisz, myśmy też zadawali sobie to pytanie, my i wszyscy inni, skazani na to, by wierzyć własnym oczom, którzy nawet przez zamknięte powieki widzieli dostatecznie dużo, by nabyć odporności na wszelkie proroctwa czy pocieszenia, ale ci, którzy nas potrzebowali, by przedłużyć trwałość swej nędznej potęgi, nie potrafili widocznie inaczej, musieli tłumaczyć wydarzenia na swoją korzyść.

Przytulia, siedzący obok Intelmanna na wozie, właśnie nam to demonstrował: jeśli przypadkiem jeden z naszych samolotów pokazał się nisko na niebie, pokrytym śniegowymi chmurami, przewidywał odzyskanie „potęgi w powietrzu”; gdy któraś z naszych kolumn pancernych spychała nas do przydrożnego rowu, prorokował powrót do rodzinnych stron; a gdy u podnóża jakiegoś pagórka okopywali się

grenadierzy, był to dla niego początek „bitwy obronnej”, która doprowadzi do zasadniczego zwrotu. Nawet kiedy przejeżdżaliśmy obok grupy czarnych drzew, gdzie z gałęzi zwisały ciała powieszonych żołnierzy, z gołymi głowami, kołyszące się na wietrze – nawet na widok tych piechurów skazanych przez sądy polowe potrafił przepowiadać, że wszystko znowu „idzie ku lepszemu”, po prostu dlatego, że dowództwo najwidoczniej zdecydowało się na przywrócenie dyscypliny wszelkimi możliwymi środkami. To przerażające, Martinie, jak dalece wszystko da się wytłumaczyć, w jak opaczny sposób sami możemy być rozumiani; czasem trzeba się zgodzić, że istnieje wiele rodzajów poznania.

Było rzeczą nieuniknioną, że ci dwaj, Intelmann i Przytulia, będą sobie skakać do oczu, że ich nieustający spór będzie podsycalo wszystko, co wpadnie im w oczy albo przyjdzie na myśl; gdy się dowiedzieli, że siedzą na inwentarzu łukowieckiego muzeum regionalnego, znaleźli najobfitsze źródło wzajemnych starć w przeciwstawnych zwierzeniach.

Pamiętam jeszcze, że Intelmann nie wyobrażał sobie natychmiastowego powrotu po zakończeniu wojny, wskazywał na historyczne wędrówki ludów, stwarzające fakty dokonane, wątpił, czy ojczyzna jest czymś niezmiennym, czymś danym i przypisanym, a do świadectw i dowodów, które z nami jechały, przywiązywał jedynie sentymentalną, co najwyżej historyczno-kulturową wartość.

Przytulia natomiast przekonany był o rychłym powrocie i oczywistym objęciu mienia w posiadanie, mówił o prawie do ojczyzny i o tym, że nikomu nie wolno „naruszać tego prawa”, gdyż jest ono po prostu wyrazem elementarnej potrzeby; powoływanie się na historyczne wędrówki ludów wydawały mu się próbą degradowania ojczyzny do wartości jedynie geograficznej, a w inwentarzu naszego muzeum upatrywał może niepozorne, ale za to nieodparte dowody niewygasłych praw; nazywał je nawet „skromnym zastawem”. Pozwalałem im się sprzeczać, a sam skoncentrowałem się na drodze.

Nazwy; jak często czytałem te same nazwy osiedli i miasteczek; wydawało mi się, że poznaję mosty i lasy, przez które już przejeżdżaliśmy, pewnej

nocy miałem ciężki sen, że samowolnie przesunięto ostatnie drogowskazy w Prusach Wschodnich; nie można już było pewnie posuwać się do przodu, gdyż pogłoski i hasła, ale także rozkazy oderwane od rzeczywistości szarpały nas w różne strony, kazały czynić objazdy, prowadziły w kółko. Zapory i kontrole na co drugim skrzyżowaniu, wyłapywano i kontrolowano żołnierzy z rozbitych oddziałów, którzy się do nas przyłączyli, tworzone z nich jednostki alarmowe albo przekazywano lotnym sądom polowym; nam jednak kiwano przyzwalająco głowami po pokazaniu specjalnych zaświadczeń wielkiego Łowczego Rzeszy, kiwano jako uprzywilejowanym.

Kto wie, czy dotarlibyśmy w końcu do zatoki, gdybyśmy nie przyłączyli się do jednostki sanitarnej, do kolumny załadowanych i uszkodzonych pojazdów, z których kilka trzeba było wlec na stalowej linie; były to ciężarówki na wysokim podwoziu, napędzane gazem drzewnym. Toczyliśmy się za nimi wśród wydm po wyboistej drodze pod górę; za rozwichrzonymi karłowatymi sosnami leżała zatoka.

Zatrzymaliśmy się na ośnieżonym grzbiecie wydmy. Przed nami leżała szara zatoka, szara płyta grobowa, pokryta kruchym lodem, poprzecinana ciemnymi torami wodnymi, w których jaśniały okruchy lodu; wmarznięte boje sterczały pochylone. Te wszystkie porzucone przedmioty, nakrapiające szarą płaszczyznę aż po horyzont, były to ślady uciekinierów, wiodące ku mierzei, ślady, którym już nie ufaliśmy. Konwój holowników, promów, kutrów rybackich i łódek poruszał się w kierunku północnym, za zardzewiałym lodołamaczem, zostawiającym za sobą nad wodą upartą smugę dymu; aż do nas na górę dochodziło skrzypienie cielsk statków, ocierających się o ziarnisty lód. Przewędrowałem spojrzeniem z powrotem wzdłuż toru wodnego aż do murowanej latarni morskiej, mola, małego portu w małym mieście, gdzie domy skupiły się wokół basenu portowego i po obu stronach rzeki, wpadającej do zatoki. Przycumowane do mola stały korpusy dwu trałowców koloru minii, bez nadbudówek. Możesz sobie wyobrazić, jak gwałtownie pochód ruszył naprzód, pobudzony tym obrazem, jak sanie zarzucając śmigały w dolinę, wozy podskakiwały na zniszczonej drodze; ludzie ujrzeni cel, ostatnią

ucieczkę, bramę nadziei, dotarli do portu, gdzie miała się skończyć ta obłądna jazda.

Nie pozwolono nam wjechać do miasta. Tam gdzie droga wiodła z wydm w dół, zatrzymali nas kurierzy obozowi, zmusili do zawrócenia i na czas koniecznego oczekiwania – może trzy, może cztery dni – wskazali miejsce wśród karłowatych sosen, w płytkim zagłębieniu, ustawiliśmy tam wozy w półkole, uprzętnęli śnieg na zamarzniętym piasku, przygotowali miejsce na ogniska. I oto kotły kołysały się już nad ogniem, wyrastały namioty.

Marian Jeromin podał mi swoją lornetkę; przesuwając ją wolno wzdłuż wybrzeża, widziałem wszędzie oczekujące kolumny, wozy zestawione w tabory albo rozproszone wśród falistych wydm, a na plaży, gdzie fale pozostawiły zamarznięte ślady, złożono całe arsenały broni i wojskowego dobytku, działa wszelkiego kalibru, do których brakło amunicji, radiowozy, które nie miały już o czym meldować, stopy pustych opakowań, kuchnie polowe, samochody specjalne i górę siatek maskujących już tylko siebie. Skierowałem lornetkę na miasto, którego ulice zapchane były kolumnami czekających pojazdów, na obydwu dużych placach wydymały się okrągłe namioty Czerwonego Krzyża, jeden z mostów na rzece załamał się pod ciężarem czołgu. Choć statki transportowe opuściły właśnie port, nabrzeże zajęte już było znowu przez czekających; byli to bez wyjątku żołnierze w bandażach.

Czy byliśmy otoczeni? Tak, Martinie, całkowicie otoczeni, dowiedzieliśmy się o tym ostatecznie, gdy Krimkowski zwołał woźniców i uprzedził nas, że przypuszczalnie będziemy musieli czekać na transport nie trzy, a pięć dni, tak mu powiedzieli w mieście; w kotle wokół portu znajdowało się przeszło sześć tysięcy rannych, miano ich wywieźć pierwszych, a po nich niezbędne materiały. Rozeszliśmy się w milczeniu. Głębiej wkopaliśmy się w piasek, nad wgłębieniami rozpościeraliśmy płachty namiotowe, przygotowaliśmy wały dla osłony przed wiatrem. Na oczach wszystkich rozpruto brzuch zdechłej, zeszywniałej już na mrozie krowy, przy pomocy siekier i pił dzieliliśmy mięso i rozdawali pomiędzy ludzi. Zgodnie z rozkazem wygaszaliśmy o zmierzchu ogniska. Nie było ciemno;

nad zatoką trwała nocna szarówka, pod jej osłoną wracały statki, pozbawione świateł, uwięzione w torze wodnym, przeorywanym wciąż na nowo przez stary lodołamacz.

Nawet tu na wydmach uczestniczyliśmy w przybijaniu statków, słyszeliśmy stuk luków i skrzypienie bomu ładunkowego, wsłuchiwalismy się w szum motorów i ryk syren parowych, liczyliśmy bezustannie, obsadzali promy, kutry, przesuwali czekających do przodu, szacowaliśmy liczbę pozostałych i próbowaliśmy ocenić szanse naszego transportu.

Jeszcze tylko pojedyncze samoloty przelatywały nad kotłem, zrzucając nocą bomby na port, których skutków nie mogliśmy rano stwierdzić, jeszcze nie dawało się określić łoskotu poza horyzontem, owego buczenia i grzmotu, w każdym razie na tyle dalekiego, że po pewnym czasie można się było przyzwyczaić i nie słyszeć. Bomba świetlna, spływająca wolno w dół i rzucająca zimne błyski na port, spowodowała jednak bardziej konkretne obawy; zaczęliśmy zadawać sobie pytanie, jak długo jeszcze mały porcik będzie zdalny do użytku, częściej też i z większym niepokojem liczyliśmy oczekujących i obserwowali w przygnębieniu, jak drogą wśród wydm zajeżdżały wciąż nowe kolumny wozów sanitarnych, które staczały się po wybojach w dół ku plaży i nie jechały przez miasto do portu, lecz od razu zatrzymywały się na nabrzeżu, gdzie w długich szeregach stały nosze z rannymi. Wiele razy w ciągu dnia sanitariusze przemierzali i kontrolowali szeregi, podnosili koce, pochylali się nisko nad noszami, na skinienie zbliżała się ciężarówka, jadąca wolno za nimi: opadała kłapa, nosze za noszami wsuwano na platformę. Nadciągały również nowe kolumny uciekinierów, przybywały z zachodu, gdzie czekały dotąd cierpliwie w małych portach, które padały jeden po drugim; rozlewali się teraz po wydmach, powiększając liczbę oczekujących i panujący rozgardiasz, przyczyniając się do rozszerzania cmentarza.

Przygotować się! Pewnego popołudnia Krimkowski pędził wzdłuż szeregu wozów, wołając: – Przygotować się! – a kto zastąpił mu drogę i chciał wiedzieć coś więcej, temu powtarzał tylko głośniejszym tonem: – Przygotować się, do licha! – tak jakby do tego z dawna

oczekiwanego słowa nie można było wiele dodać. W końcu wezwano więc łukowiecką kolumnę, by szykowała się do odjazdu, ludzie wypełzli z jam, nadbiegali spomiędzy sosen, znowu pakowano, przeładowywano, wiązano rzeczy, po raz ostatni zaprzęgano do najkrótszego etapu, jaki był przed nami, wiodącego krętą drogą w dół do miasta i portu, pustego i błyszczącego w zimowym słońcu. Na skamieniałe twarze wstąpił promyk światła, kiwaliśmy sobie głowami, jedni drugich wspaniałomyślnie częstowali ostatnimi okruchami tytoniu, tu i ówdzie pytano nagle o zdrowie. O wiele za wcześnie wsiedliśmy na wozy, zaczęliśmy zjeżdżać w dół do miasta; statków nie było jeszcze widać, nabrzeże zajmowali czekający, którzy mieli większe prawo do miejsca, ale posuwaliśmy się do przodu, zajmowaliśmy każdy metr i ścieśnialiśmy się tak, że między wozami nie było prawie luzu.

Tak, Martinie, wówczas zza horyzontu wyrosła owa mieszana flota, niezmordowanie pływająca w tę i z powrotem, wysokie burty zbliżały się, dymiące statki wślizgiwały się do basenu portowego; śruby obracały się mieszając lodową zupę podczas energicznych manewrów przybijania. Rzucano liny na brzeg, wysuwano trapy, po czym od razu wszystko zaczynało sunąć, toczyć się, unosić w powietrzu – nigdy nie widziałeś szybszego załadunku. Ludzie zalewali pokłady, schodzili do ciemnych ładowni, przyciskali się do oblodzonego relingu, kulili między zaskorupiałymi linami – udowadniali, że wszędzie można znaleźć miejsce, jeśli się musi. Przesuwaliśmy się ciągle do przodu, szykowaliśmy papiery, specjalne pozwolenia i zaświadczenia, to znaczy wszystko przekazałem Marianowi, którego sanie stały przede mną; byliśmy zdecydowani wziąć na pokład tyle bagażu, ile się da...

Konie? Konie, mówisz? Pojazdy?

Nie, one musiały zostać, oddział strzelców przejmował je od razu w porcie i okrężną drogą transportował na plażę, do obozu przejściowego, do obozu śmierci...

Nasza kolumna dotarła zatem do portu, przybliżyły się zniszczone burty statków, próbowaliśmy już wejść na jeden z nich, który miał nas

prawdopodobnie odtransportować, kiedy w mieście rozległ się przeraźliwy jęk syren. Nikt nie schodził, nikt nie szukał schronienia! Cel był zbyt bliski. Teraz już także rogi ostrzegawcze kutrów, promów i łodzi desantowych zanosły się wyciem, widzieliśmy, jak załogi lekkich działek przeciwlotniczych rzucały się na platformy. Może szukalibyśmy ratunku pod osłoną mola. Gdyby ktoś zrobił początek, dał przykład, jednak troska o to, że stracimy szansę, pewną pozycję wśród oczekujących, przykuwały nas do miejsca.

Nadleciały od strony lądu, trzy fale nisko sunących maszyn, usłyszeliśmy szum motorów dopiero w chwili, gdy wystrzeliły spoza wydmy, płasko, jak wyrzucone z katapulty, po czym wzniosły się w górę, zawróciły nad zatoką i pomknęły w kierunku plaży. Snopy pocisków z białym błyskiem zagłębiały się w lodzie i rozpryskiwały zmarznięty piasek, bębniły po molu, po statkach, ludziach i nie kończącej się wstędze rzeczy ułożonych w stosy. Padły bomby. Pierwsze poszarpały tor wodny. Następne zmiotły mizerną latarnię morską. Znajdowały drogę do portu, rozbryzgując fontanny wody, przebijały pokłady statków, eksplodowały na nabrzeżu, kładły pokotem domy, spłaszczone, ze stromymi ścianami szczytowymi, uderzały w obóz. Basen portowy zasnuła zasłona dymu i piasku, jeden statek płonął. Spłoszone konie stawiały dęba, próbowały ucieczki, ale nie było żadnej luki, wozy stały jak zaklinowane. Statki pustoszały, przerażony tłum parł nabrzeżem w kierunku miasta, niepowstrzymanie porywając ze sobą wszystko, co napotkał po drodze. Pamiętam, jak czubek masztu, czubek najwyższego masztu w porcie zadrżał, pochylał się stopniowo i niemal łagodnie zanurzył w wodzie, gdy kuter się przewracał. A potem...

Nie, nie, już dobrze, nic mi nie będzie, to tylko ten dawny ucisk, to uczucie, jakby ściskano cię śrubami – to pozostało i pewnie już zostanie na zawsze. Nie trzeba wołać siostry; otwórz tylko okno, to wystarczy... Nie ma rady, o tym też musisz się dowiedzieć...

Wciąż jeszcze słyszę, jak Edith z przerażeniem woła moje imię; wciąż jeszcze ją widzę wśród pościeli i zwiniętych dywanów, z nieruchomą twarzą Pawełka na kolanach, krew tryskała mu z czoła; wciąż ją

widzę, zaprzęgniętą do dziecinnych sanek, na których położyła ciało chłopca, niknącą w napierającym tłumie, nie reagującą na moje wołanie i znaki. Po prostu nie udało mi się jej zatrzymać, nie mogłem zapobiec temu, że zsiadła z wozu, zdjęła chłopca i umieściła go na saneczkach opartych dotąd o drzewo; kiedy samoloty znikły za wydrami, jakiś wyższy oficer skinieniem przywołał łukowiecką kolumnę na molo, przy którym przycumowane były cielska czerwonych trałowców, popędzał nas i zaklinał, a ja nie zdołałem dość szybko oddać lejc. Zeskoczyłem dopiero wtedy, gdy Edith stała się już częścią zdezorientowanego tłumu, który unosił ją w kierunku miasta, biegłem za nią, raczej zataczałem się, potykałem, tłum pociągał mnie za sobą, tylko nie upaść, myślałem, teraz tylko nie upaść, ale bezwzględność, z którą ludzie parli przez wąskie ulice, niosła mnie wraz z nimi i chroniła przed upadkiem.

Na placu, na którym wciąż jeszcze stały okrągłe namioty, napór ustąpił, tłum rozplynał się, rozluźnił, odsunąłem się na bok, przez chwilę stałem oparty plecami o ścianę domu, wypatrywałem kobiety z sankami. Wchodziłem do namiotów, przeszukiwałem wzrokiem szeregi rannych żołnierzy i cywilów, przesuwalem się wzdłuż sienników aż do zasłony, za którą jak figurki wycięte z papieru poruszały się sylwetki operujących lekarzy – i nie mogłem ich znaleźć.

Może w szpitalu, myślałem, może zawiozła chłopca do szpitala; ruszyłem biegiem, pytając o drogę. Przed wejściem nie było saneczek, ale na schodach, na rozjeżdżonym śniegu na płacyku siedzieli i leżeli ranni, ze wzrokiem zwróconym w stronę ceglanego budynku, nawet nie zniecierpliwieni czy oburzeni, lecz pogrążeni w letargu, z gasnącą nadzieją. Prawie nie zwracali na mnie uwagi, gdy przechodziłem między nimi, nie rozsuwali się, gdy wchodziłem po schodach. Korytarz był nie do przebycia, zajęty przez ciężko rannych; czekałem przy wejściu, aż ukazała się siostra, potrząsnęła przecząco głową, jeszcze zanim zapytałem o kobietę z chłopcem, a w odpowiedzi na moje pytanie wskazała na leżących i rzekła: – Niech pan się sam rozejrzy...

Trochę wody, Martinie, przynieś mi, proszę, szklanek wody...

A stamtąd, z tego płaskiego pudełka – odsuń wieczko palcem, daj mi pół tabletki, przełam po prostu... Tak, dziękuję...

Nie było ich więc ani w namiotach, ani w dawnym szpitalu miejskim, gdzie się ich z początku spodziewałem, ani nad rzeką, ani na krótkich uliczkach, które przebiegałem szukając. Sprawdziłem w szkole, w sali gimnastycznej, przeszukałem oba kościoły, pytałem i opisywałem, ktoś musiał ich przecież widzieć, kobietę z dziecinnymi sankami, ktoś musiał sobie przecież przypomnieć, ale wszyscy, których pytałem, spoglądali na mnie bezradnie, jakby stracili pamięć. Ogarnięci strachem, błędząc w poszukiwaniu bezpieczeństwa, nie chcieli nawet zatrzymywać się wśród smug dymu, napędzanego przez wiatr nad miasto. Przestałem pytać, gdy sami zaczęli mnie indagować o dzieci, towarzyszy podróży, krewnych, tak i tak ubranych, z pluszowym pieskiem w objęciach albo wspartych na kulach; wiedziony nagłą nadzieją zaprzestałem poszukiwań na ulicach i wróciłem do portu.

Tam będzie, mówiłem sobie, musi tam być, okrężną drogą wróciła do kolumny, gdy nie powiodły się próby oddania chłopca pod opiekę lekarską, tak, mówiłem sobie, jest już z pewnością na pokładzie jednego ze statków, zabrana w pierwszej kolejności; statki znowu przyjmowały ludzi i materiały, wśród zamieszania, dymu, obok wystających z wody żerdzi. Te wszystkie zatonięcia, te straty. To beznamienne zniszczenie w krótkim czasie całego mienia, będącego owocem nieskończonego trudu. Ów wyrok, by wszystko zaczynać od początku, tylko po to, by utrzymać marzenie o trwałości. Ach, zostawmy to.

Stałem w porcie, próbowałem stworzyć sobie jakiś obraz sytuacji, zyskać rozeznanie; nasza kolumna nie czekała już tam, gdzie ją zostawiłem, kolumna z Łukowca, te wszystkie wozy i sanie, powierzyła swą zawartość obydwu nie wykończonym trałowcom; przez ten czas odepchnięto ją, z wyjątkiem kilku pojazdów, od mola w kierunku plaży. Na korpusach okrętów tłoczyli się nasi ludzie, piętrzyły się ich bagaże, z żelaznych pokładów, nie mających jeszcze nadbudówek, nagle zaczęto wołać mnie po imieniu i kiwać na mnie, prędko, prędko, odbijamy, zobaczyłem, że

stary lodołamacz przejął cumę, przyczepioną do dziobu stojącego z przodu trałowca – wiekowy statek miał nas więc wyholować z portu.

Edith z synem musiała już być na pokładzie, nie było innej możliwości – rozumiesz, po prostu musiałem w to wierzyć biegnąc w kierunku załadowanych, a raczej przeładowanych korpusów statków; gdy Marian Jeromin obu rękami dawał znaki, wciąż jeszcze przypuszczałem, że moi bliscy są w komplecie i wszyscy tylko na mnie czekają. Pobiegłem w kierunku wyciągniętej ręki Mariana, chwyciłem ją, wciągnięto mnie gwałtownym szarpnięciem – lina holownicza już się napięła, a cumy naszego statku huśtały się na burcie. Sama informacja nie byłaby mi wystarczyla, musiałem się przekonać na własne oczy, musiałem ich odnaleźć; podczas gdy odległość od mola nieznacznie się zwiększała, biegłem po pokładzie zaglądając każdemu w twarz, ześliznąłem się po stromych schodkach w dół, do posępnego wnętrza statku, przestępowałem przez skulonych ludzi, cicho wołając żonę po imieniu, macając rękami, rozpytując pasażerów przeciskałem się przez wnętrze statku; nikt mi nie odpowiadał.

Wyszedszy z powrotem na pokład zobaczyłem, jak nasz konwój wysuwa się z basenu portowego, najpierw lodołamacz, potem my, potem drugi trałowiec, a raczej korpus, który kiedyś miał się stać trałowcem – wszystkie statki sztywno połączone stalowymi linami. Z rufy obserwowałem jednostkę płynącą za nami, przepatrywałem, na ile to było możliwe, ludzi na pokładzie, słyszałem, jak Marian mówi obok mnie: – Oni są tam, część naszych rzeczy też tam jest, nie dało się inaczej, za wielu ludzi pomagało przy załadunku, straciliśmy rozeznanie – po czym wskazał na stos pakunków, na których siedziała moja matka, zamyślona, poddana losowi, i na związaną pościel, służącą Sonji Turk za ochronę przed wiatrem – Edith i syna nie mógł mi wskazać...

Bez wieści, Martinie, zaginęli bez wieści; jakiś stary człowiek, który wiele lat później podczas zjazdu ziomkostwa wspominał zdobywanie małego portu, twierdził wprawdzie, że spotkał kobietę, która ciągnęła na sankach przez zimowe wydmy swoje martwe dziecko, ale i on nie mógł powiedzieć nic ponad to, że sanki wpadły nagle do jednej z dziur, wygrzebanych w

ziemi, a kobieta jak skamieniała zastygła nad jej brzegiem, podczas gdy ostatnie kolumny uciekinierów gnały obok niej w dół do portu, w kierunku obu ostatnich łodzi desantowych, które przycumowały pod rzadkim ogniem artyleryjskim. Zaginęli bez wieści, bez wiadomego końca, po prostu zniknęli za zasłoną niepewności, nie wiem nawet, czy mam uważać owe wydmy nad zatoką za miejsce, gdzie wszystko się dla nich skończyło...

Ale co to ci chciałem powiedzieć? Nasz konwój płynął wśród dymu przez zamrznięty tor wodny, lodołamacz wciskał pod wodę małe niebieskawe bryłki lodu, oba korpusy statków, pozbawione maszyn i steru, cięły pokrywę lodową. Obaj z Marianem staliśmy na rufie nie mogąc oderwać wzroku od głęboko zanurzonego statku, płynącego za nami na sztywnej linii i orzącego kaszę lodową. Oba korpusy statków przyholowano niegdyś ze stoczni do portu w nadziei, że pewnego dnia zostaną wykończone i wyposażone, tak że będą mogły być użyte jako szybkie trałowce Związku Floty Bałtyckiej, a teraz nadawały się jedynie na statki dla uciekinierów.

Wybrzeże spłaszczало się powoli, molo w porcie robiło się coraz krótsze, mała słupa dymu nad miastem. Towarzyszył nam cierpliwy patrol mew. – Zobaczysz, szeptał Marian, że oni przyjadą, przyjadą następnym transportem; będziemy na nich czekać w Pillau⁶. – Mówił do mnie bez przerwy, karmił mnie nadzieją, przekonywał pocieszając i dawał do zrozumienia, że przy pomocy specjalnego zaświadczenia udało mu się załadować nawet kamień tatarski, który jechał teraz na pokładzie drugiego statku; nie pozwolono mu wszelako na zabranie całego bagażu – część rzeczy musieliśmy pozostawić jak wszyscy inni; Marian był pewien, że były to rzeczy, bez których można się obejść.

Kiedy pojawił się ogień, gdy na ciemnym skrawku wybrzeża zapłonął biało-żółty płomień, mieliśmy przez chwilę wrażenie, że wybucha on ze środka ziemi, z płaskiego, wąskiego skrawka, ale zaraz potem dał się

⁶ Dzisiejszy Bałtyk (przyp. tłum.).

słyszeć ponad konwojem świst ciężkich pocisków; kiedy uderzały o lód, rzucaliśmy się na żelazny pokład. Zasypywał nas deszcz lodowych okruchów. Myślałbyś, że statek się otrząsa. Nad pokładem rozległ się przeciągły ostrzegawczy krzyk; ogarnięci paniką ludzie rzucili się do zejść. Przed nami i za nami rosły w górę fontanny, wiatr pędził przed sobą drobniutkie okruchy jak błyszcząca zasłona. Uwięzieni w torze wodnym, pozbawieni własnej maszyny, mieliśmy poruszać się przymusowym kursem, który wyznaczał lodołamacz. Jeden z pocisków zerwał maszt i antenę, drugi trafił w daleko wysunięty nok mostka i skręcił stalowe dźwigary. Trafiony został również dziób statku, pękający granat cisnął stos bagaży na lód zatoki, rozerwał pokład i zabił świtę Krimkowskiego.

Nasz konwój ostrzeliwały rosyjskie działa polowe i pancerne; dotarły one do zatoki. W pewnym momencie jeden z pocisków przebił korpus statku, płynącego za nami, widziałem wyszarpaną dziurę na wysokości linii wodnej, widziałem, jak ludzie wybiegali z wnętrza statku na pokład, na już i tak przeładowany pokład trałowca, gdzie nie było żadnej osłony.

Naraz ogień ucichł; już myśleliśmy, że jesteśmy poza zasięgiem ostrzału. Na tamtym statku klęczał na śródkręciu jakiś mężczyzna i modlił się, nikt się doń nie zbliżał; najpierw wydawało mi się, że to złudzenie, gdy pochylona postać bardzo powoli, z opóźnieniem zaczęła się zsuwać z pokładu – w każdym razie zsuwała się niepowstrzymanie, aż musiała podeprzeć się rękami – wkrótce jednak okazało się, że pokład pochyła się rzeczywiście, że statek się przechyla i zaczyna się z niego zsuwać wszystko, co tam ułożono i spiętrzone, nie wyłączając ludzi, siedzących na swoim dobytku.

W przerwie strzelaniny usłyszeliśmy krzyk, jeden ogromny krzyk przerażenia, jakby świat się kończył, statek zaczął tonąć. Te wzniesione ręce, zataczające się ciała. Te skrzynie, łóżka, kufry i paczki, szorujące i toczące się po pokładzie; nie powstrzymane przez reling, spadały w lodową kaszę farwateru. Jeszcze nikt nie skakał, choć przechył stale się powiększał, czerwony od minii korpus trzymał się jeszcze na linie i płynął naprzód, podczas gdy woda z chlupotem wdzierała się do środka.

Na brzegu znowu błysnęło, widocznie poznali, że jeden z elegancko wyglądających z dala statków został trafiony, znowu salwy rozbijały się o lód, otaczając nas rzadkim lasem fontann. Jeden z granatów uderzył w nadbudówkę lodołamacza, nie wybuchając; inny pocisk odsłonił ciężką, zakotwiczoną boję i złamał ją ponad beczkowatym brzuchem. Statek za nami pogrążał się głębiej, coraz głębiej, fala przed dziobem malała, wyraźnie traciliśmy tempo. Nie zdołałbym już tam odszukać swoich bliskich.

Dwóch żołnierzy marynarki, którzy najwidoczniej należeli do załogi lodołamacza, a na czas przejazdu byli odkomenderowani na nasz statek, na sygnał świetlny przybiegli do nas na rufę i próbowali odcumować linę, łączącą nas z tonącym statkiem, szarpali i naciskali przy użyciu łomu, ale lina była zbyt obciążona i nie mogli jej uwolnić. Na tamtym statku machano, krzyczano, grożono, ludzie wskazywali na wodę, lód, wołali o pomoc, zapierając się i czepiając nielicznych przedmiotów, dających jeszcze oparcie. Marynarze wydobyli ze schowka na narzędzia dwie siekiery, na zmianę, z rozmachem uderzali ostrzem w linę, ciągle w to samo miejsce, aż puściły pierwsze sploty, wreszcie, nie mogąc utrzymać całego tego przemożnego ciężaru, lina zerwała się, siekąc wokół, po czym zwiotczała, plasnęła w farwater i zatoneła. Nasz statek, uwolniony od hamującego ciężaru, zakołysał się i od razu zyskał na szybkości, podczas gdy nieszczęsny statek za nami zarzucił ciężko i pozostał w tyle.

Tak, Martinie, widziałem to; nie odwróciłem się, gdy czerwona burta zanurzała się coraz głębiej i głębiej, setki rąk wyciągały się w górę, gdy lodowata woda zalewała pokład zabierając ostatnie mienie. Trałowiec tonął bez protestu, wcale nie bohatercko wyprostowany, wśród spienionych wód, lecz leżąc poziomo i równomiernie opadając na dno jak pełna blaszana balia; zobaczyłem jeszcze kilku ludzi skaczących na zwodniczy lód okalający farwater, na dryfujące bagaże; widziałem, jak się osuwali, jak łamał się lód, jak tonęli, a komu brakło siły czy odwagi do skoku, tego z ssącą siłą wciągały wiry; mimo to niektórzy utrzymywali się na powierzchni, mrowiąc się wokół miejsca katastrofy, jeszcze z daleka widzieliśmy, jak machali z desek i drabin, które wciągnęli na lód.

Widzisz, ci, co tam tonęli i umierali, to nie była tylko połowa naszej łukowieckiej kolumny, to była część samego Łukowca, jego przeszłości i swoistego charakteru; w tym momencie wyczuwaliśmy instynktownie, że nawet jeśli kiedykolwiek pozwolono by nam wrócić, Łukowiec nigdy już nie będzie dla nas tym, czym był kiedyś. Wszystko będzie inaczej, musi być inaczej, nikt nie przejdzie do porządku nad tym nieszczęściem, które uwieczniło się już na dnie naszej pamięci.

W każdym razie my z Marianem siedzieliśmy dalej na rufie, patrzyliśmy w tył, aż maleńkie, ciemne wzniesienia obok toru wodnego rozplynęły się we mgle, a i potem – dawno już poza zasięgiem dział z brzegu – trzymały nas tam ból i pustka, przykuwały do miejsca, z którego wkrótce nie można było nic rozpoznać poza szarą dalą, przez którą w meandrach wił się nasz ślad...

Tak, mój drogi, nurkowie mogliby zrekonstruować trasę naszej ucieczki; na dnie zatoki i Bałtyku leżą opanowane przez pąkle i pokonane przez rdzę, zamieszkane przez ryby wciąż jeszcze niezliczone świadectwa naszej rozpaczliwej wyprawy na zachód, kolosalne znaleziska nieszczęścia, drogowskazy zawinionej klęski, bezlitosnej odpowiedzi na przemoc, którą sami zasialiśmy; ach, jak często schodziłem w dół, w ciemności, w milczeniu śledząc ten podwodny trop śmierci, aby znaleźć potwierdzenie niepojętego bezsensu tych ofiar. Jak często pragnąłem, Martinie, żeby morze kiedyś wyschło albo tak się cofnęło, żeby jeszcze raz ukazała się posępna armada, na wpół wessana przez szlam i piasek, by jeszcze raz odsłoniła swe przeznaczenie tym, którzy w niedzielę służyli nam wykrętnymi odpowiedziami i nierealną pociechą.

Muszę cię jednak poprowadzić dalej, na północ, przez zamarniętą zatokę, przez kanał rzeczny koło Pillau i znowu do zapchanego basenu portowego, w którym tłoczyły się wszystkie możliwe typy statków, wszystko, co tylko miało kil: statki ochrony wybrzeża, holowniki morskie, ogromne okręty pasażerskie i frachtowce, a wśród nich łodzie podwodne, fregaty, pomocnicze okręty wojenne, a nawet płaskie kutry torpedowe z ubiegłej wojny. W zimnym świetle księżycy prześlizgivaliśmy się przez nieprzejrzaną gromadę statków, lodołamacz doprowadził nas do

nabrzeża, nie cumując. Musieliśmy długo czekać, zanim przerzucono trapy.

Rozbłysła latarka, w jej świetle rozpoznaliśmy napierśniki z emblematami żandarmerii polowej. Tupali podkutymi butami po pokładzie, wszystkich mężczyzn postali na rufę, odzywali się lakonicznie, obojętni wobec trupów na przednim pokładzie; cierpliwie sprawdzali nasze papiery, jakby nic dla nich nie znaczył mróz ani wąskie smugi śniegu, które wiatr nawiewał na nas z nabrzeża. Bez słowa, nieznacznym skinieniem wybrali kilku z nas, wśród nich Mariana, a gdy poprosiłem ich, by jeszcze raz przeczytali specjalną przepustkę, zażądali – i to była ich odpowiedź – moich papierów po raz drugi i oddali mi je dopiero wtedy, gdy komendant zezwolił nam na wejście do portu wojennego w Pillau. Marian zdążył mi tylko jeszcze powiedzieć, gdzie są nasze bagaże, i już odprowadzono go przez pomost z pokładu wraz z innymi, wygarniętymi bez uzasadnienia.

Mniej, Martinie, jeszcze mniej mi zostało, a ponieważ sporo zatoneło, już prawie wcale nie mogłem ustalić, gdzie jakie rzeczy zginęły. Ma razie nie chciałem rachować strat, gdyż wydawało mi się, że nie nadszedł jeszcze czas bilansu.

Wszyscy bez pośpiechu wlekli swój uratowany dobytek na ląd, składali między szynami kolejowymi, otulali się szczelnie i rozglądali po skąpo oświetlonych dużych okrętach, w pobliżu których czekali uciekinierzy, dotychczasowi mieszkańcy całych miast; ich szeregi ciągnęły się daleko w ciemność. Rozglądaliśmy się, otępiali i niespokojni; nagle ktoś krzyknął: „Hermann? Gdzie jest mój brat?” I już pędził od jednego do drugiego, zrywał osłony z twarzy, podnosił koce, odpychał już sprawdzonych, wciąż na nowo przeżywając rozczarowanie, a choć jego gorączkowe poszukiwania nie dawały rezultatu, podziały jak apel, by ze swej strony zacząć się gwałtownie upewniać; ludzie jakby się ocknęli z przerażenia, przepychali w różnych kierunkach, wymawiali wśród szlochu imiona, błagali, pytali: „Johann? Gdzie jest Karl? Kto widział Idę? Przecież była... Przecież on nie... Gdzie ona się podziała?”

Nie mogłem już tego znieść, nie mogłem znieść tych dotknięć, tych rozczarowań, spojrzeń szukających pomocy; gdy Krimkowski postanowił dowiedzieć się o nasze szanse na transport, poszedłem z nim do kapitanatu portu.

Ach, pamiętam jeszcze ten drewniany barak, do którego nas posłano, czuję słodkawy zapach powietrza, widzę starego mężczyznę w wymiętym mundurze; wąska wstążeczka orderu zwisała krzywo, bluzę miał rozpiętą. Żałośnie patrzył na nas zaczerwienionymi oczyma; z tyłu za jego plecami wisiała mapa portu, za który wprawdzie odpowiadał, ale już od dawna zrezygnował z kierowania nim czy choćby tylko rozeznawania, gdyż nie kontrolował już ruchów poszczególnych jednostek. – Często wchodzą i wychodzą bez zapowiedzi, powiedział, wślizgują się po cichu, biorąc na pokład co się da i wymykają się znowu. – Nie mógł nam wskazać żadnego statku, w każdym razie nie tej nocy, gdyż musiał na razie czekać na pociągi sanitarne, pięć pociągów sanitarnych, które zapowiedziano z Królewca, z oblężonego miasta, obwołanego twierdzą, by przedłużyć jego klęskę.

Pocieszył nas, że może uda się następnej nocy, i już chcieliśmy go pożegnać, gdy wszedł jakiś żołnierz, zasalutował i złożył meldunek, że zgodnie z rozkazem przygotowano wszystko do wysadzenia. Poznaliśmy go natychmiast po głosie: był to Simon Gayko. Nie, czy to możliwe? Ależ tak, tak. Możesz sobie wyobrazić, jak formalnie wypadło powitanie i jak niewiele mogliśmy sobie powiedzieć ze zdumienia. Po kryjomu dał znak, by wyjść za nim na dwór. Ziemia drżała. Mroźne, jasne niebo. Obmacał nas ostry podmuch wiatru. Cienie lekkich okrętów wojennych wysuwały się z portu na redę, gdzie formował się konwój. Teraz, kiedy byliśmy między sobą, gdy tyle chciałoby się usłyszeć – teraz staliśmy tylko razem, przyglądali się sobie nawzajem i nasłuchiwali. W końcu Simon zapytał: – Łukowca już pewnie nie ma? – Znowu będzie – odparł Krimkowski. – Gdzie – spytał Simon – na Zachodzie?

Musiał wracać do swojej baterii. Obiecał przyjść następnego wieczora na nabrzeże, tam gdzie kończyły się szyny.

Poszliśmy z powrotem do swoich ludzi, przechodziliśmy obok sprzętu wojennego, obok ciasno stłoczonych kolumn, mających nadzieję na zaokrętowanie, które ożywiały się za każdym razem, gdy przed nimi wpuszczano jakąś grupę na pokład. Zatrzymała nas góra wysłużonych taczek, wózków ręcznych i dziecinnych. Obmacywaliśmy koła i drążki, rozważali, czy nie wypożyczyć sobie jakiegoś wózka, ale wartownik pilnujący porzuconych rzeczy odesłał nas stamtąd. W oddaleniu od reszty, pod osłoną stosu węgla, kuliły się grupy więźniów w pasiakach, bez płaszczy, z ramionami i biodrami otulonymi w koce, obojętnych wobec strażników, otaczających ich gęstym pierścieniem. Ze starego frachtowca z ładownią na tylnym pokładzie wyładowywali amunicję artyleryjską, ciężkie granaty w drewnianych stojakach, podczas gdy po dwu trapach naraz wnoszono na pokład rannych i umieszczano ich w pustych ładowniach. Od strony morza wsunęła się do kanału potężna ściana, pancerny mostek, opancerzony maszt, stanowiska dowodzenia ogniem, wieżyczki dział; krążownik zakołysał się groźnie i uroczyście i rzucił kotwicę.

Wszędzie, nawet na szkunerach i szalupach, przyjmowano coś na pokład i jednocześnie wyładowywano, prądy te stykały się i przecinały, jak przyływ i odpływ przesuwano się obok siebie wszystko, co wypłuł, przetrawił i zniekształcił front, i to, czego trzeba było mu dostarczyć, by zaspokoić jego różnorodne potrzeby. Przed jednym ze statków powstało zbiegowisko; kulawy mężczyzna, okrążając swój rozklekotany wózek, oburzał się głośno na dwóch marynarzy, którzy właśnie wciągali trap na pokład; wymyślał im żądając, by wpuścili go na statek, do jego bliskich, którzy stali już na górnym pokładzie – do licha, przecież ich tam widać! – wymachiwali rękami, próbując przeszkodzić we wciąganiu trapu, ale żołnierze otrzymali rozkaz i powtarzali z zadziwiającym spokojem, że statek jest już pełny i że powinien sobie poszukać innego transportu. Krimkowski włączył się w kłótnię, a ja tymczasem pobiegłem do torów i torem, między szynami, do resztek naszej łukowieckiej kolumny. Wyciągnąłem przemocą dwie postacie, które ukryły się wśród moich rzeczy, opukiwałem poszczególne sztuki i dając upust przemożnej potrzebie, to podnosiłem jakieś wieczko, to znów rozwiązywałem

wstążkę, rylem wśród przedmiotów, macałem je i wymieniałem nazwy rzeczy, których dotknęły moje palce: była tam jeszcze słomiana korona i „puszka z Sokółek”, chroniona przez szmaciany dywan, była teczka z dokumentami i wypchany czarny bocian, pamiętam, jak ich dotykałem i pieściłem; nie poczułem wprawdzie przyływu odwagi, ale jednak niewyraźny strumień ciepła. Nie, nie liczyłem tego, co mi pozostało, nie dotykałem też wszystkich pojemników, wystarczyły mi przypadkowe dotknięcia, przypadkowe spotkania.

A potem, na krótko przed przybyciem pierwszego pociągu sanitarnego, zatrzymał się przy nas zamknięty samochód, kierowca spiesznie otworzył tylne drzwi, wysiadł z nich wyższy oficer, którego dystynkcje przykrywał szeroki futrzany kołnierz. Szybko zamknąłem swoje bagaże. Oficer obszedł auto dokoła, otworzył drzwiczki od swojej strony, jego ramię w geście napuszonej galanterii stężało w kątownik, służąc za oparcie szczupłej kobiecie, która wysiadła z samochodu. Ukłon, naprawdę, a potem jeszcze markowane ucałowanie dłoni; na niecierpliwy znak szofer wyniósł z wozu liczne tekturowe pudła i ustawił je przy nas; jeszcze jeden ukłon na pożegnanie.

Film, myślałem, film nam tu pokazują, wtem „Błękitna” zbliżyła się do mnie, pstryknęła palcami pytając, na którym statku zarezerwowano dla niej kabinę. Nie odpowiedziałem jej, zostawiłem ją samą.

Przez resztę nocy sanitariusze wraz z żołnierzami marynarki przynosili rannych z nadjeżdżających pociągów sanitarnych na biały statek pasażerski, pływający pod flagą Czerwonego Krzyża, a gdy ten odpłynął, na jego miejsce przybił statek wielorybniczy, tak, wielorybniczy statek-baza, który wziął na pokład mieszkańców wielu straconych osiedli wraz z dozwoloną ilością bagażu, a ponieważ jego ładowność wciąż jeszcze nie była wykorzystana, przybiegł do nas bosman; szacując, ile jest osób, przepychał się wśród oczekujących, zostawiając za sobą wolną ścieżkę i wołając: – Dotąd, wszyscy stąd dotąd na pokład; ci zza torów muszą poczekać. – Nie znalazłem się w pierwszej grupie i nie żałowałem tego, gdyż każdemu pozwolono wziąć tylko tyle bagażu, ile sam zdołał unieść. Prawie nikt nie znalazł czasu, aby się pożegnać; miotani sprzecznymi

uczuciami mieli aż nadto zajęcia, kilkakrotnie zdejmując z ramion już związany toból, by jeszcze coś zmienić, tu czegoś się pozbyć, ówdzie dopakować coś pospiesznie w ostatniej chwili; zdawali się przeczuwać, że to już ostatni przegląd i ocena bagażu przed podróżą, z której nie będzie powrotu.

Oczywiście, Martinie, ale może sam to czujesz, że decyzja: ludzie czy mienie, była prosta. Wszystkim leżało na sercu, by każdy kął na statku przeznaczyć dla ludzi; dziś nie wahałbym się ani sekundy, czy przewieźć w bezpieczne miejsce ludzi, czy też ich bagaże, choćby nie wiem jak cenne, i to nie tylko teraz, gdy dostatecznie jasno udowodniono mi zbędność rzeczy; wówczas jednak nie mogłem traktować inwentarza naszego muzeum po prostu jako prywatnego mienia, uważałem, że nie mam prawa porzucać go, gdy mi się spodoba, rozsiać po drodze, a to przede wszystkim dlatego, że świadectwa naszego pochodzenia i naszej drogi z mroków przeszłości nie należały do jednego człowieka, lecz do wszystkich. Rozumiesz mnie? To, co powierzone, było własnością wszystkich, ręczyłem za wspólne mienie i dlatego nie mogłem go zostawić jak kosz bielizny czy odziedziczony zegar.

Reszta naszej kolumny obozowała widocznie w korzystnym miejscu, w zasięgu widzenia z nabrzeża, gdyż jeszcze kilkakrotnie wzywano grupki spośród nas na pokład statków gotowych do odplynięcia, aby wykorzystać wszystkie miejsca – wieczorem przyszła kolej na mnie. Podczas gdy z wieżyczek krążownika wstrzeliwano się daleko w głąb Samlandii, gdy przybywały nowe pociągi sanitarne, które musiały czekać na puste statki, w czasie alarmu lotniczego, gdy małe uzbrojone jednostki wypływały na redę, przeniosłem z pomocą Simona Gayko mój cały bagaż w zaciszny kął basenu portowego, gdzie stał pod parą masywny holownik. Na rozkaz Simona, który wrócił wcześniej, niż się spodziewałem, ważny i nieco rozweselony, zgodnie z jego wskazówkami wszyscy pozostali z łukowieckiej kolumny przenieśli swoje rzeczy na miejsce postoju holownika; było nas ośmioro. Simon sam wdrapał się na pokład i coś tam omawiał ze sternikiem, czego nie mogliśmy słyszeć; po zachowaniu obydwu widać było, że są sobie wzajemnie przychylni, okazało się jednak, że nasza przyszła podróż nie zależy jedynie od woli

sternika. Wylądowawszy bezpiecznie z powrotem na nabrzeżu, Simon Gayko przygotował nas do spotkania, a ściśle mówiąc ponownego spotkania z człowiekiem, którego również on nazywał „namiestnikiem”: – Zaraz przyjdzie namiestnik Łukowca – nie musiał nic więcej dodawać, gdyż wiedzieliśmy, kogo ma na myśli.

Reschat zjawił się dopiero w chwili, gdy odwołano alarm lotniczy. Jego i jego świętę przywiozły dwie limuzyny; nie zwracając na nas uwagi, człowiek z dębowymi liśćmi wszedł po gładkich kamiennych schodkach, wskoczył na holownik i z otwartego noku mostka czuwał nad załadunkiem swoich kufrów i skórzanych toreb. Niegdyś najpotężniejszy człowiek w Łukowcu, którego słowo pod koniec więcej znaczyło niż rozkaz komendanta garnizonu, nie chciał zatem oddać swojej osoby pod ochronę pancernego bunkra, wykopanego pod jego najwyższym kierownictwem; sposobami, zastrzeżonymi dla niego i jemu podobnych, dostał się do Królewca, a stamtąd do Pillau, gdzie specjalnie dla niego stał pod parą statek gotowy do drogi, gdyż nikt nie ośmieliłby się kazać mu czekać.

Stał więc tak w swoim długim brązowym płaszczu, w sztywnej czapce z daszkiem i liczył sztuki bagażu, które ładowano na statek; nie brakowało chyba żadnej, bo skinął głową z zadowoleniem, poczęstował sternika papierosem i pozwolił sobie podać ogień. Jakże konsekwentnie nas nie dostrzegał; prawdopodobnie nie zauważyłby nas wcale, podobnie jak i owych pokornie czekających kolumn na nabrzeżu, gdyby sternik z Simonem Gayko nie podeszli doń i nie zwrócili mu na nas uwagi, na ostatnich uczestników łukowieckiego transportu, którzy – co rzecznicy podkreślali szczególnie – dowieźli aż tutaj ważne eksponaty z muzeum regionalnego i świadectwa mazurskiej sztuki tkackiej bezcennej wartości, majątek, który nie powinien przepaść. Wówczas były namiestnik Łukowca polecił nam, całej ósemce, przyjść na mostek, chciał poznać nasze nazwiska i zawody; pragnął się dowiedzieć, co nas powstrzymało od walki na froncie, od „udziału w ciężkich zmaganiach frontowych”, jak się wyraził, a potem co drugiemu z nas pozwolił wnieść bagaż na holownik – poza mną mogli wejść na pokład Krimkowski, „Błękitna” i Joseph von Intelmann ze swym archiwum kryminalnym.

Tak to jest, Martinie: czasem sprzymierzeńców się nie wybiera, czasem jest się skazanym na to, by przyjąć pomoc wbrew chęci – ach, zostawmy to. My, wybrańcy, pracowaliśmy ręką w rękę, znosząc nasze bagaże na dolny pokład holownika, nikt nie troszczył się o to, że poszczególne sztuki mieszały się ze sobą, na pokładzie rósł olbrzymi pagór, na który z pomocą sternika naciągnęliśmy plandekę; nie, nikt się o to nie troszczył, gdyż po prostu czuliśmy, że odtąd będziemy dzielić wspólny los i że u kresu tej podróży odnajdziemy się na tej samej plaży. Czy wiesz, co zawołałem do Simona Gayko na pożegnanie, gdy nagle chciał się koniecznie dowiedzieć, gdzie nas będzie mógł odnaleźć? Nie podając celu naszej podróży, na ślepo obiecałem mu, że zostawię wiadomość w Szlezwiku, w tamtejszym muzeum regionalnym, i do dziś się dziwię, że zadowolił się tym adresem. Sternik pomachał mu ręką, liny klasnęły o pokład, odbijacze zaskrzypiały przy zwrocie.

Staliśmy w korytarzu pod mostkiem, gdy holownik przesunął się tuż obok rzucających cień statków i wziął kurs na wyjście z portu.

Macki silnych reflektorów przeszukiwały niebo, przecinały się i plątały, kosły ciemności nisko nad horyzontem. Prześliznęliśmy się przez port, płynąc w ślad za tankowcem ochronnej barwy, na małej naprzód dotarliśmy do otwartego morza i biorąc kurs na zachód ujrzeliśmy sterczące kontury mieszanej floty, stojącej na redzie na kotwicy. Raz skierowano do nas sygnał świetlny, z dalekiej wieży pytano o nasz znak rozpoznawczy, nie zrozumieliśmy odpowiedzi, słyszeliśmy tylko stukot rampy sygnałowej.

Byliśmy wyczerpani ucieczką i niepewnością, i marzyliśmy w ubraniu nie zdejmowanym od wielu dni, a jednak nie ciągnęło nas do cieplej masy załogi z przyśrubowanymi stołami i krzesłami; z kąta osłoniętego przed wiatrem spoglądaliśmy na ląd, nad którym widniało w oddali bladoczerwone, rozmyte pasmo, i tym razem nie tyle wypełniało nas uczucie, że uszliśmy przed klęską, ile raczej przeświadczenie, że potężny statek na zawsze uwozi nas na zachód, nie tylko w inny świat, ale i w inne czasy, skąd nie będzie powrotu. Płynęliśmy na zachód nie w bezpiecznym konwoju, nie otoczeni czujną opieką szybkich okrętów wojennych, nawet

nie w towarzystwie nieuzbrojonych statków podobnego typu, lecz pojedynczo i ukradkiem: tajemniczy samotnik, wykradający się pod osłoną nocy, bez świateł pozycyjnych, za to z podwójnie obsadzonym okiem. Morze było spokojne, około północy niebo zachmurzyło się, a gdy zaczęła się zamieć, poszliśmy do mesy i wyciągnęliśmy się na ławkach. Nie, tego nie wiedzieliśmy, a Reschat, którego wielokrotnie pytałem o port docelowy, wykręcał się, udając, że czeka na ostateczne rozporządzenie; ponieważ nie wolno nam było wchodzić na mostek, nie mogliśmy się dowiedzieć, jaki kurs wyznaczono. Przez brudne bulaje ujrzelśmy raz wynurzający się nagi ląd; Intelmann twierdził, że rozpoznał wyspę Bornholm, i wnosił z tego, że płyniemy do Kopenhagi albo na jedną z duńskich wysp; ale gdy z bakburty ujrzelśmy piaszczyste pasmo, wydało nam się, że trzymamy kurs na jeden z portów pomorskich.

Dawny namiestnik Łukowca nigdy nie pokazywał się bez swoich dwu towarzyszy o sinych twarzach, owych nieufnych przybocznych, którzy sami skazali się na milczenie i ze wzruszeniem ramion odpowiadali, że nic nie wiedzą, zdawali się zresztą godzić z każdą wyznaczoną przystanią. Potrafili godzinami stać na mostku i wpatrywać się w mgłę albo obserwować zderzanie się krótkich fal z rufą. Nie wydawali się zaskoczeni, gdy Reschat, który zajął naturalnie kapitańską kajutę, wyszedł na pokład w mundurze kapitana piechoty, tak, w używanym mundurze; nasze zdumienie zignorował. Spodziewaliśmy się niemal, że gdy szef ich zmienił kostium, to i oni zamienią brąz na feldgrau.

Lecz czy możesz sobie wyobrazić, że ci dwaj wkrótce po zmianie stroju aresztowali Intelmanna i mnie, zupełnie formalnie, po czym zamknęli jako więźniów do schowka? Ale tak było naprawdę...

Co do tego doprowadziło? Tuman mgły, zaczęło się to po wyjściu z mgły, kiedy na ledwie zmarszczonym morzu odkryliśmy dryfującą tratwę, dużą tratwę, obsadzoną dziesięcioma, a może nawet dwunastoma mężczyznami, którzy na nasz widok zaczęli krzyczeć i machać rękami, po czym wystrzelili nad nami raketę wzywającą pomocy. Kilku spośród nich zaczęło wiosłować w naszym kierunku; tak zdecydowanie parli do przodu w swojej żółtej, nadmuchiwanej łodzi, że braliśmy już liny do ręki, by im

je rzucić. Wyraźnie słyszeliśmy dźwięk telegrafu w maszynowni. Wyszliśmy z mgły na małej naprzód i nie wątpiliśmy, że właśnie usłyszeliśmy sygnał „stop”; nie tylko mnie się zdawało, że holownik tracił rozpęd i zaczął się zatrzymywać. Już jeden z marynarzy wyrzucił za burtę zwiniętą drabinę sznurową, już kilku wioślarzy na tratwie odłożyło wiosła, gdy na mostku powstało jakieś zamieszanie i zaraz po tym znowu zadźwięczał telegraf: holownik zwiększył tempo, zmienił kurs, przepłynął obok tratwy, na której podniosło się kilku mężczyzn, skonsternowanych, nie dowierzających, jakby padli ofiarą złudzenia. Rzuciliśmy liny i pobiegli na mostek: stał tam sternik, mając z obu stron towarzyszy Reschata, którzy ze spokojem przystawiali mu do boków na wpół zakryte pistolety, podczas gdy Reschat pochylał się nad kompasem i z natężeniem wpatrywał w przestrzeń w prostej linii przed sobą, jakby wypatrył tam cel, tak upragniony i obiecujący, że mógł sobie pozwolić na przeoczenie tratwy.

Nie muszę ci mówić, na co Intelmann i ja zwróciliśmy jego uwagę, czego żądaliśmy i co przedkładaliśmy; jak zwykle słucał uważnie, a potem dał nam do zrozumienia, że niekiedy ze względu na bezpieczeństwo, konieczne do realizacji ważniejszego zadania, normalne zasady i obowiązki muszą być naruszone – również i w tym wypadku. Poza tym odnosi wrażenie – powiedział – że życiu rozbitków na tej stabilnej tratwie nie grozi poważne niebezpieczeństwo.

Joseph von Intelmann stwierdził, że nieudzielenie pomocy na pełnym morzu jest traktowane jako morderstwo, żądał natychmiastowego zawrócenia i wzięcia rozbitków na pokład i zapowiedział, że po zejściu na ląd złoży meldunek. Zamiast odpowiedzi na nasze zastrzeżenia Reschat rozkazał nam opuścić mostek, trzykrotnie, monotonnym głosem, a ponieważ się wzbranialiśmy, pozostawił usunięcie nas z mostka swoim towarzyszom, a oprócz tego kazał im nas aresztować z powodu stwarzania zagrożenia dla realizacji zadania. Trzymając broń w pogotowiu, popędzili nas na dół i zamknęli w schowku na dolnym pokładzie, najwidoczniej tuż nad wałem od śruby. Ostatni etap naszej podróży przez niezbyt wzburzony zimowy Bałtyk spędziliśmy siedząc lub leżąc na kamizelkach ratunkowych, z mielącym odgłosem obracającej się

śruby w głowie, w areszcie, którego zakończenia nie ważyliśmy się nawet przewidywać.

Poczekaj jeszcze chwilę, Martinie, musisz dowiedzieć się reszty o naszym przybyciu na miejsce; usiądź jeszcze...

A więc leżeliśmy na kamizelkach ratunkowych w tej zimnej komórce, w ciemnym schowku, i nasłuchiwaliliśmy, gdyż holownik zwolnił; hałas śruby był teraz znośniejszy. Wyobraziłem sobie port, bezpieczny port w słońcu, kutry rybackie kołyszą się przy palach, kilka szkunerów cumuje przy kei, a od miasta nadjeżdża już czarny zamknięty samochód. Wtem zaszumiało, kotwica zanurzyła się w wodzie, a gdy ze szczękiem wyciągano łańcuch z kluzy, śruba jeszcze raz zawirowała z całym rozpędem, aż szum jej ustał zupełnie.

– Rzucili kotwicę, szepnął Intelmann, nie przybijają do brzegu. – Kroki na żelaznych schodkach, ciężkie przedmioty uderzają o pokład: zwracaliśmy sobie wzajemnie uwagę na wszystko, co się działo; próbowaliśmy zachować orientację. Jednak tych trzasków, które do nas docierały, tych głuchych uderzeń nie mogliśmy sobie wytłumaczyć, nie rozumieliśmy także komend i następującego po nich tupotu. Jakież bagaże spadały na luźno ułożoną podłogę z desek. Prawdopodobnie ktoś schodził po drabince sznurowej. Tuż przy burcie po kilku próbach zaskoczył silnik.

Tak, a potem usłyszeliśmy szybkie kroki na korytarzu i wstaliśmy, mocno trzymając się jeden drugiego, przygotowani na to, że towarzysze Reschata otworzą drzwi i wywołają nas. Ale człowiek, który otworzył stalowe drzwi i wyciągnął do nas rękę, dał nam nie tylko czas na przyzwyczajenie się do światła, lecz od razu poinformował, że wszystko co złe minęło i że zmieniła się sytuacja na pokładzie. Był to maszynista holownika. Mrugając oczami podążyliśmy za nim na pokład. Staliśmy na kotwicy w jakimś cichym fiordzie, na jednym brzegu las podchodził aż do plaży, drugi brzeg stromo opadał ku wodzie, a na końcu krzywego drewnianego pomostu rybak spokojnie wyciągał swoje węćierze na węgorze. – Płyną z tyłu za nami – powiedział maszynista – w naszej łodzi ratunkowej. –

Pochwyciłem jego spojrzenie; wzdłuż stromego brzegu mała, szara łódź pyrkotała w kierunku oddalonego półwyspu.

Sternik, który nalegał, byśmy jako świadkowie podpisali jego sprawozdanie o zaniedbaniu obowiązku udzielenia pomocy, zapoznał nas z położeniem: – To jest zatoka Schlei, na zachód leży miasto Szlezwik, a tam gdzie ląd opada, koło wsi rybackiej Maasholm, zaczyna się pełne morze. Na razie dopłynęliśmy do celu.

Nie myśl, że natychmiast ogarnęła nas niecierpliwość i pognała na ląd, po tej podróży, po wszystkim, co przeżyliśmy, każdy chciał zostać na pokładzie holownika, jak długo się da; widać było, jak przedłużano trwanie czynności i odwlekano konieczne decyzje; nasze bagaże leżały jeszcze w strasznym rozgardiaszu. Pochylny nad mapą morską, szukałem i znalazłem miejsce naszego zakotwiczenia, przeczytałem nazwę „Egenlund”, podnosząc wzrok rozpoznałem otynkowany dom, który nosił to miano, z nisko opuszczonym słomianym dachem, pojedynczy, obszerny, bardzo solidny dom, zdradzający życzenie swego budowniczego, by tu wytrwał i pozostał. Pamiętam jeszcze, że przez chwilę miałem wrażenie, że może tam, może właśnie tam osiadę...

Widzisz, rozpoznałeś ów dom, który mnie przyjął i który miał pewnego dnia do mnie należeć, który, dokładnie biorąc, przypadł mi w udziale, gdyż pielęgnowałem aż do śmierci jego starych właścicieli, zdziwaczałego weterynarza i jego zawsze uśmiechniętą żonę. Pod bukami koło tego domu zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Ale o czym to ci chciałem jeszcze powiedzieć? Racja: kiedy sternik zdecydował, że popłyną w górę zatoki aż do Szlezwiku, poprosiłem go o wysadzenie mnie wraz z bagażami przy pomoście; przycumowaliśmy więc i podano mi przez burtę moje mienie; teraz, kiedy układałem rzeczy, które mi pozostały, gdy tak leżały osobno, nie mogłem się powstrzymać, by ich nie przejrzeć, nie sprawdzić. Sam na krzywym drewnianym pomoście, w bezwietrznej ciszy mglistego popołudnia, przeglądałem, rejestrowałem i liczyłem ową resztę rzeczy, które towarzyszyły mi z Łukowca aż tutaj, a podczas gdy szacowałem straty, przepłynął obok

rybak w łodzi, patrzyłem za nim i nie mogłem uwierzyć, że troskliwie zanurza swoje węćierze w wodzie, że wojna dopuszcza istnienie takiego spokojnego obrazka. Nie przeszłość, lecz terażniejszość wydawała mi się nieprawdziwa i nie do pojęcia.

Nagle obok mnie stanął weterynarz z laską wbitą w piach i bez skrępowania zaczął wypytywać. Czy przyjechałem z daleka? Tak, z daleka, z Łukowca. Czy to miasto? Tak, miasto, niedaleko granicy z Polską. Czy mam może zamiar zostać tu na dłużej? Nie, tylko tyle, ile będzie trzeba, tylko do końca wojny. Czy ten cały stos to moja prywatna własność? Nie wszystko, część jest z łukowieckiego muzeum ziemi mazurskiej, rzeczy, których nie chciałem zostawić, niezbędne do życia.

Pytał i pytał; nagle zapragnął się dowiedzieć, czy miałbym ochotę na gorącą herbatę, mój bagaż mogę spokojnie zostawić na pomoście. Już szedł naprzód i wspinał się ku ścieżce. Tak, Martinie, poszedłem za nim i nie przeczuwałem, że przybyłem na miejsce – nie wróciłem do domu, lecz właśnie przybyłem na miejsce pod szerokością geograficzną nowego początku.

XIV

Wkrótce mnie wypiszą; dają mi jeszcze dziesięć albo czternaście dni, a potem zwolnię tu łóżko i pokój i będę musiał rozejrzeć się za jakimś innym lokum – jeszcze nie wiem gdzie. Jeszcze nie wiem, czyj adres mam podać – czy ciasne, pełne zakamarków mieszkanie organisty, gdzie mieszka Carola, czy też przytułek dla starych mężczyzn, gdzie Simon Gayko próbuje wymazać wspomnienia – a jeśli nie te adresy, no to chyba popiół i zwęglone rumowisko w Egenlund. Jeszcze się nie zdecydowałem, kogo mam narazić na przyjęcie mnie. Tak jak wtedy, pod koniec wojny, moi bliscy zniknęli z pola widzenia, rzućni jedni tu, drudzy tam, ale tym razem wiem, gdzie mógłbym ich wytropić – co jednakowoż nie znaczy, że nie umawiając się uprzednio znów się zejdziemy, aby wspólnie coś zdecydować.

Ach, Martinie, jakże łatwe są początki, kiedy bieda jest czymś normalnym, kiedy dotyka wszystkich, i z jaką łatwością odnajdujesz kierunek, kiedy twoim doradcą jest ciągłe wyrzeczenie. W każdym razie wtedy, po przybyciu do domu na stromym brzegu, nie na długo pozostałem sam.

Najpierw pojawił się... nie, opowiem to inaczej, zacznę o umieraniu ryb tego gorącego lata, kiedy woda rzeki Schlei wyglądała jak rzadka zupa kalafiorowa, a poziom jej opadł tak nisko, że wynurzyła się porośnięta algami wieżyczka łodzi podwodnej, która sama się zatopiła ostatniego dnia wojny. Poruszając słabo płetwami, skurczone, z obwisłymi skrzelami, unosiły się na powierzchni flądry, dorsze, miętusy i węgorze, i zewsząd, nawet z majątku Holmbek, ściągali do nas ludzie z wanienkami i wiadrami, aby zbierać lub nagarniać do workowatych sieci osłabłą, powolną zdobycz. Cóż to były za szalone żniwa! Po pierś w ciepławej wodzie, sunąc tanecznym krokiem po mulistym dnie, walcząc z rozbawieniem przeciwko wyporowi wody – całe to towarzystwo pluskało się i chlapało, potykało prychając, nurkowało i jeszcze pod wodą chwyciło rękami ruchliwe ciała ryb. Wanny i kosze, kadzie i wiadra na brzegu zapełniały się, mimo iż mewy robiły nam konkurencję, cała chmara mew siodłatych i mew śmieszek, które raz po raz, z ostrym, przenikliwym krzykiem, rzucały się na otepiałe ryby, chwyciły je i wzbijały się w górę, nader często upuszczając zdobycz, gdyż była za ciężka albo zbyt gwałtownie się broniła. Niejeden z nas dostał dziobem w głowę albo w ramię.

I właśnie wtedy, kiedy sunąłem do brzegu z dorszem i flądą, przede mną wynurzyła się nagle głowa, i z płytkiej wody, przyciskając do siebie wygiętą flądrę, podniósł się, szczerząc w uśmiechu zęby, ociekający wodą Simon Gayko, i chichocząc zaproponował mi swoją rybę, a potem powiedział: – Jak sądzisz, Siechmunt, jak to smakuje z wiosennym masełkiem? – Trzy razy splunąłem z przerażenia. Brodząc dotarliśmy do brzegu, gdzie leżał jego tłumoczek i porządnie poskładany, ufarbowany i przerobiony na ubranie cywilne mundur; dopiero tu udało mi się go stosownie powitać, dopiero tutaj pojąłem, że on naprawdę przybył, Simon Gayko, który, jak to kiedyś między sobą ustaliliśmy, otrzymał wiadomość,

czekającą na niego przez wiele miesięcy w muzeum stron ojczystych w Szlezwiku.

Pokurczowaty Bośniak: był pierwszym, który do mnie dotarł, a ja zabrałem go ze sobą na górę do stojącego na uboczu, przestronnego domu. Ledwie skończył swój pierwszy, mieszany posiłek z ryb, a już wyciągnął swoje czternaście super ostrych noży do strugania i wyczarował z bukowego drzewa fantastyczne ptaki, przeważnie roztaczające ogony, które potem malował i z plecakiem roznosił po kraju, żeby je sprzedać. Chorowitemu weterynarzowi płacił za izbę kawałkami słoniny, jajkami i jęczmiennym chlebem.

Już następnej wiosny biała motorówka, która w razie potrzeby przybijała do naszego pomostu, przywiozła do nas wynędzniałego mężczyznę, nie mającego wprawdzie żadnego bagażu, za to do paska miał przytroczonych więcej rzeczy, niżby mógł pomieścić w walizce. Widziałem, jak obwieszony woreczkami, puszkami, blaszanymi pudełkami na drucianych kółkach, które przy każdym kroku dyndały i podskakiwały, schodził po pomoście na ląd, nie zdążając pewnie do celu, lecz z ociąganiem, przygotowany na rozczarowanie, a kiedy wdrapał się już krętą ścieżką na górę, widać było po nim wyczerpanie, brak sił. Był to Marian Jeromin, który odnalazł nas z pomocą biura poszukiwań zaginionych. Mój dawny uczeń nie chciał opowiadać o okresie, kiedy to zniknął nam z oczu; wyszykowaliśmy mu postanie pod zasnutym pajęczyną okienkiem na strychu i nie dziwiliśmy się, że przeleżał tam pięć dni i nocy, śpiąc i od czasu do czasu z wzdychaniem czytając urywki z książki Sonji Turk – bo nie mógł się skoncentrować. Aż pewnego poranka wstał i ruszył w drogę, nie mówiąc nam, co zamierza i dokąd się udaje; wyruszał zaraz po śniadaniu i wracał dopiero pod wieczór, a któregoś razu, wróciwszy późno do domu, podszedł do mojego łóżka i obudził mnie, tylko po to, żeby mi powiedzieć, że udało mu się wytrzasnąć stare chłopskie krosna i jednocześnie wytargować cenę: pierwszy utkany przez nas kilim.

Tak, Martinie, w ten sposób się odnaleźliśmy, tak oto zaczęliśmy się urządzać w wyniosłym domu nad fiordem, za milczącym przyzwoleniem bezdzietnych, leciwych właścicieli, jeszcze za ich życia objęliśmy go w

posiadanie, rozbudowaliśmy największe pomieszczenie na pracownię tkacką, ze źródła poprowadziliśmy do domu wodociąg i powiększyliśmy jedną izbę na warsztat dla Simona Gayko. I jakby samoistnie w tym momencie znikło uczucie tymczasowości, wypożyczenia; im więcej zmienialiśmy, przerabialiśmy i tworzyliśmy, tym rzadziej zadawaliśmy sobie pytanie, jaki termin nam wyznaczono, jakie wydarzenie mogłoby nas znowu zmusić do wyruszenia w drogę. W każdym razie jeszcze zanim przybyły pierwsze dwie uczennice tkactwa, zdecydowaliśmy się na pozostanie tutaj – nie deklarując się, raczej bez słów, gdyż widzieliśmy tu stopniowe zaspokojenie naszych pragnień i potrzeb.

Wszelako nie mogłem pogodzić się z niepewnością, jaka ciążyła na losach Edith i chłopca; ich nieobecność odczuwałem tym silniej, im mniejsze stawały się przeciwności w Egenlund; rzeczywiście – dopiero kiedy na nowo odciskaliśmy nasz ślad, w którym wszystko przebiegało w sposób dający się przewidzieć i niemal wolny od wstrząsów, wzrósł niepokój i pragnienie uzyskania pewności. Podczas pracy przy krosnach, we śnie, na spacerach pod urwistym brzegiem z niepojętego oddalenia wyłaniał się ciągle ten sam zamglony obraz: zimowe wydmy, już nie zaludnione pokornymi kolumnami uciekinierów, kobieta w opadającym do ziemi płaszczu ciągnie sanki z leżącym na nich dzieckiem, którego zwisające bezwładnie ręce wloką się po śniegu. Pod zaciągniętym niebem zdążają w kierunku ciemnej grupy sosen.

Nie musiałem szukać ich fotografii, nosiłem je zawsze przy sobie i pewnego dnia, w zimie, chory z niepewności, dopytałem się, gdzie znajduje się filia biura poszukiwań zaginionych w Szlezwiku, nie tyle spodziewając się, że będą tam mogli obudzić we mnie nową nadzieję, ale z pragnieniem uzyskania ostatecznej informacji.

Źle ogrzane pomieszczenia urzędu mieściły się pod dachem byłych koszar; schody wytapetowane były ogłoszeniami o zaginionych i plakatami. Przestrzeń na strychu zapełniały surowe drewniane półki, na których w porządku alfabetycznym stały segregatory, luźne akta i papierowe koperty; sklecone z desek regały ledwo mogły pomieścić zamknięte w archiwach ludzkie losy, które w nie wtłoczono. Pod ukośnię

umieszczonym oknem stało staromodne biurko na kulkowych nogach, a za biurkiem siedziała żwawa, życzliwa młoda kobieta o bardzo jasnych oczach; nosiła sznurowane trzewiki i watowaną spódnicę; aby umożliwić palcom poruszanie się, obcięła sobie wełniane rękawiczki na wysokości nasady palców. Rozmawiając potrafiła zniżyć głos aż do tchnienia, nie stając się przez to niezrozumiała. Słuchając obejmowała obiema rękami kubek z grubego szkła, w którym pływał wyciśnięty, zbrązowiały już plasterek cytryny. Przy wypełnianiu mojego wniosku kilkakrotnie kiwała zachęcająco głową; długo i z zainteresowaniem oglądała pogniecione zdjęcia Edith i Pawełka, a potem potrząsnęła lekko głową, właśnie tak, jak gdyby nikogo nie wolno było spisywać na straty – i podała mi rękę w taki sposób, że niespodziewanie nabrałem otuchy, tak, bolesnej otuchy, po tyłu miesiącach.

Od owego dnia wstępowałem do niej zawsze, ilekroć byłem w mieście, wchodziłem na górę nie tylko po to, żeby zapytać, czy ma jakieś wiadomości, ale też, aby skwapliwie przepuszczając ludzi, przysłuchiwać się, jak dodawała otuchy innym, którzy stracili brata, męża, syna, widzianych po raz ostatni na śnieżnych polach Witebska, w porcie Cherbourg albo na wybrzeżu Samlandii. Skąd pochodził ostatni znak życia? – to było chyba jedno z najważniejszych pytań, i trzeba ci było słyszeć, dokąd wojna rzuciła ludzi, gdzie zawieruszyli się oni swoim bliskim. Jednego widziano po raz ostatni na Atlantyku, w brzuchu transportera przewożącego jeńców, inny ostatnim razem pisał z pustynnej miejscowości o trudnej do wymówienia nazwie, niektórzy zaginęli w przepaściach Kaukazu, podczas lotu nad fińskimi lasami, w paryskim metrze, na duńskiej plaży, w greckich winnicach, w mleczarni w Zachodnich Prusach – wszędzie. Nanosiła dane na gotowe formularze, jak gdyby nazwy miejscowości były jej doskonale znane; przypinała fotografie, wyglądała życiorysy do druku, a kto od niej wychodził, czynił to z przeświadczeniem, że natychmiast, włączając w to wszystkie kraje, rozpoczną się poszukiwania zaginionych.

Kto może powiadomić o...? – pytały plakaty, które powstawały tam na stole.

I pewnego razu wszedłem na górę do biura poszukiwań z drobnym, starszym mężczyzną, było to na krótko przed końcem pracy, i jak wszystkim innym, tak i jemu ustąpiłem pierwszeństwa – starszemu mężczyźnie, jak już mówiłem, który trzymał się sztywno i zachowywał wyniośle i który palił jakieś ziele, przypominające zapachem przegniłe materace. Chociaż był tak ubrany, jakby uciekł z obozu na Wschodzie, siedział na krześle jak ktoś, kto przywykł do wydawania rozkazów. Jak ceremonialnie rozwiązywał paczuszkę z dokumentami i papierami! Z jaką stanowczością podsunął wypełnioną kartę z wnioskiem o poszukiwanie.

Kobieta przeczytała to, co kiedyś własnoręcznie zapisała, przyniosła segregator, upewniła się jednym jedynym przelotnym spojrzeniem, a potem popatrzyła z mocą na starego człowieka i wymieniła nazwę statku oraz datę i godzinę jego storpedowania koło półwyspu Hel. Na pokładzie miało się znajdować ponad dwa tysiące uciekinierów, głównie z terenów nad Niemnem; wojskowym łodziom konwojującym udało się wyratować stu osiemdziesięciu rozbitków.

Powiedziała to bardzo cicho, nie spuszczać z mężczyzny wzroku; ten nawet nie westchnął, nie demonstrował swojego nieszczęścia, jak można by tego oczekiwać; tylko usta zaczęły mu drgać, a trzęsące się palce nie mogły związać paczuski. Wreszcie poprosił o kartkę papieru i pożyczył długopis; to, co miał do napisania, zdawało się gruntownie przygotowane, pisał prawie nie odrywając długopisu od papieru. Włożywszy zapisaną kartkę do koperty zakleił ją i podał bez słowa kobiecie, a potem wyciągnął spod podszewki swojej kurtki nóż myśliwski i wbił go sobie w pierś.

Później, Martinie, później niejednym raz zadawałem sobie pytanie, czy można było przeszkodzić temu czynowi, zawiadamiając go jakoś inaczej, łagodniej albo bardziej stanowczo, wszak wiele zależy od sposobu, w jaki komunikuje się ludziom straszne wiadomości – w tym wypadku nie odważyłem się decydować. Chciałbym mniemać, że wszystko, co się wydarzyło, nie było pochopne, że zostało dobrze przemyślane, tak spisanie ostatniej woli, jak i sięgnięcie po nóż – nawiasem mówiąc, zapisał cały swój majątek – urzędzenia do szycia, sztucce, kufle i akcje fabryki konserw rybnych koło Kłajpedy – a więc całą tę spuściznę, chciałem rzec,

zapisał w spadku biura poszukiwań zaginionych. Nie zdziwisz się chyba, kiedy ci powiem, że tego dnia zakończyła się praca młodej kobiety w filii biura poszukiwań.

Kiedy już wszystko zostało zaprotokołowane i wyjaśnione, zostaliśmy sami w zimnym pomieszczeniu na strychu; oderwałem jej palce od blatu biurka, pomogłem wstać, a potem sprowadziłem ostrożnie po schodach, idąc musiałem ją nieustannie zapewniać, że nie ponosi tu żadnej winy i że ja na jej miejscu w ten sam sposób położyłbym kres niepewności. Nie, żeby się obwiniąta, oskarżała; chciała tylko wiedzieć, czy nie doszłoby do owego aktu rozpacz, gdyby spróbowała przedstawić ten potwierdzony dokumentami los w jakiś inny sposób.

Na ulicach byli tylko nieliczni okutani przechodnie, pochyleni nisko przed ostrym wiatrem spieszili do domów. Na zamrzniętej rzece rozbłysły słabe światełka, tam gdzie rybacy łowili węgorze za pomocą długich wideł. W milczeniu przeszliśmy przez miasto; przed wykrzywionym domkiem z pruskiego muru wyłowiła z torebki klucze, otworzyła i ruchem ręki zaprosiła mnie do sieni – zupełnie jakbyśmy się umówili.

Z piętra jakiś męski głos zapytał: – Czy to ty? – a kobieta powiedziała: – Tak, a któż by inny? – Jeśli chodzi o mnie, tobym się w tym momencie pożegnał, ale ona zafrasowanym gestem zaprosiła mnie, żebym towarzyszył jej na górę, tak więc wdrapaliśmy się wąziutkimi drewnianymi schodkami do pokoiku jak dla lalek, w którym otulony w koce drobny mężczyzna przy świetle kościelnej świecy przepisywał nuty. Uginająca się, przy każdym kroku trzeszcząca podłoga. Liczne maleńkie krzeselka i foteliki do siedzenia. Na ścianie niebieskie, zawieszane według lat wigilijne talerze. Zanim mężczyzna odwinął się z koca, nie omieszkał zauważyć z przyganą w głosie, wskazując na cieniuteńki, prawie prześwitujący serwis, że jeszcze nigdy nie musiał tak długo czekać z herbatą. Podczas gdy kobieta wyjmowała ze ściennej szafki trzecią filiżankę, przedstawiliśmy się sobie i nie tyle z nieufności, ile ze szczerego zainteresowania zadał mi szybko kilka niezbyt dyskretnych pytań: gdzie teraz mieszkam, czym się zajmuję, stan rodzinny, jak zdrowie. – Ojciec – powiedziała kobieta i zawarła w tym słowie całe swe potępienie.

Poprosiła go, by przyniósł butelkę rumu, tę dobrze schowaną, jeszcze nie napoczętą, a on niechętnie usłuchał; mojej uwagi nie uszły jego pełne wyrzutu gesty; stawiając butelkę na stole, naprawdę powiedział: – Zawdzięczamy ją naszej oszczędności, ty nalej, Carola – żeby nic się nie zmarnowało.

Tak, Martinie, i w ten oto sposób po raz pierwszy wypilem za zdrowie mojej przyszłej żony i niewiele starszego ode mnie teścia, wypilem ich zdrowie, jeszcze zanim ponownie zaczęliśmy roztrząsać nieszczęśliwy wypadek. Ponowne spotkanie pozostawiliśmy przypadkowi.

Ale wkrótce potem, pewnej niedzieli, Marian i ja mieliśmy nieuniknioną niedzielną kłótnię...

O co poszło? Zawsze o to samo...

Podczas gdy ja obstawałem przy rękodzielniczej tradycji, rękodzielniczej wierności, on chciał dopomóc młodemu tkaczowi w pierwszym rzędzie do wyzwolenia jego własnej fantazji; płaszczyzna, kolor, ornament powinny swobodnie przemawiać i słać jedynie siebie; praca powinna się zaczynać beztrąsko i bez planu, nakierowana całkowicie na przeżywanie, a nie na zachowanie historycznych stylów dekoracyjnych. Wskazywał na strukturę kory palmowej w jej naturalnym wzroście, przywoływał stare indyjskie nazwy kobierców, których mottem było piękno nieużyteczne – „Utkany wiatr” albo „Rosa wieczorna” czy „Płynąca woda” – krótko mówiąc, nie chciał, by „sztuka”, jego „sztuka”, była skrzepowana wymogami rzemiosła. Ciągłe to samo. Nie pozostawało mi nic innego, jak powtarzać to, co on, jak się zdaje, zawsze wyniosłe ignorował: że na początku mazurskiej i nie tylko mazurskiej sztuki tkackiej między sztuką i rzemiosłem nie było rozdziału i że uczeń tkacki wytwarza przedmioty, które mają być wprawdzie także podziwiane, ale przede wszystkim używane; najpierw jest materiał i cel, a dopiero potem wzniosłe przeżycia. Jak już mówiłem, znowu wzięliśmy się za łąby, kiedy nagle pod oknem przeszła Carola, przed wejściem cofnęła się i niezdecydowanie zaczęła patrzeć na dom, nie, raczej lustrowała go w oczekiwaniu, żeby ją dostrzeżono. Niosła coś pod pachą, coś zwiniętego w

rulon, co chciała mi przynieść w „podziękowaniu za to, co niedawno”; z początku nie chciała wejść do środka, miała tylko to oddać, ale kto potrafi się oprzeć, kiedy taki Marian Jeromin nalega, żeby wejść do domu, tak usilnie i gorąco. Przy kawie rozwinęła sztych, reprodukcję sztychu Łukowca z osiemnastego wieku – ach, jakie to wszystko było „w przybliżeniu”, i te domy sfłoczone ciasno, jakby szukające ochrony. Zaułek siodlarzy zabarwiony błękitem horyzontu, brązowawy zaułek garncarzy; zamek zakonny, obronny i ciężki, okupował wyspę na jeziorze, widać było rzekę wpadającą do niego obok cmentarza, a z Borku myśliwi nieśli samy z przetrąconymi nogami.

Było to pierwsze spojrzenie na Łukowiec od czasu, kiedy opuściłem miasto – sztych pochodził ze starego kalendarza, „Miasta Wschodu”, i właśnie dlatego, że wszystko było tylko „mniej więcej”, tylko w przybliżeniu „się zgadzało”, gdyż Łukowiec był w trakcie „stawania się” i przybierania kształtu, musiałem to bezwiednie uzupełniać i sztukować zgodnie z moim wewnętrznym obrazem, tu rozciągnąć brzegi jeziora, tam dostawić dwa kościoły; nadałem ulicom ich ostateczny przebieg, zmniejszyłem plac targowy, przesunąłem ujście rzeki, zeszlifowałem półwyspowi szpic, a w cichej zatoce założyłem Małe Grajewo. Już pędziłem po nadpływających z Polski tratwach. Już znowu leżałem na górze zamkowej pod siedmioma sosnami i z przyspieszonym pulsem obserwowałem, jak przesmyk lądu zaludnia się historycznymi najeźdźcami. Tak, i już siedziałem z Edith w ciemności cokołu pomnika i słuchałem, jak czerwone chrabąszcze uderzają o brąz. Znaleźliśmy dla obrazu jakieś ramki i powiesiliśmy w pracowni tkackiej.

No widzisz, i wracając myślą ku stronom ojczystym, zachęceni do zrobienia porządku we wspomnieniach z Łukowca, tak się jakoś stało tej niedzieli, że otworzyliśmy także ledwie odwiedzaną izbę, w której częściowo jeszcze zapakowany w skrzyniach, przykryty płótnem i wodoszczelnym papierem, leżał uratowany inwentarz naszego dawnego muzeum stronom ojczystych, nie zapomniany, ale jednak przez długi czas nie dostrzegany. Kiedy już pokazaliśmy Caroli krosna i warsztat Simona, pchnęliśmy także drzwi do owej izby, pchnęliśmy je tylko i patrzyliśmy, jak kobieta wchodzi sama i zdumiona dotyka rzeczy, które się tam

ukazały: stare drewniane narzędzia domowe, broń, ścieniała od rdzy, szmaciane dywaniki w kolorach tęczy, jaćwieska urna, magazynujący kurz czarny bocian, „puszka z Sokółek”. Pytając lustrowała zapakowane przedmioty; widać było po niej, że chciałaby natychmiast wyjąć to wszystko z pudeł, worków i toreb, oszołomiona i nie rozumiejąca, że wszystkie te skarby skazane są na żywot w ukryciu. – To przecież całe muzeum – powiedziała. – Tak – odrzekłem. – To przecież nie może tutaj zmarnieć – powiedziała ona. – To się nie marnuje – odparł Marian – odpoczywa sobie tylko. – Wielu ludzi – powiedziała Carola – byłoby z pewnością szczęśliwych, gdyby mogli to ujrzeć. – Dotąd nie było na to sposobnej pory – powiedział Simon. – Ale teraz – rzekła ona – teraz przyszła odpowiednia pora.

Impuls, inicjatywa wyszły od Caroli. To jej zapał wskazywał nam następne zadanie. Jeszcze zanim to wypowiedziała, ujrzałem oczyma wyobraźni pograżone dotychczas w letargu zbiory porozkładane, uporządkowane, obdarzone funkcją poszerzonego świadczenia, i to nie w jednej izbie czy bokówce, lecz w swoim własnym budynku, niewielkim wprawdzie, ale za to stylowym domku, który musiałby stać na stromym brzegu pod bukami, dom z zachęcającą drewnianą werandą, mazurski dom. Miały on od początku służyć jednemu tylko celowi: zbierać wszystko, co określało kraj naszego pochodzenia, co świadczyło o jego osobliwości, obrazowało jego historię i co wreszcie także wyjaśniało, dlaczego utraciliśmy go i w jakich okolicznościach musieliśmy go opuścić.

Jeszcze tego samego wieczoru zacząłem szkicować jakiś projekt, siedziałem rysując i nie mogłem uwierzyć, ile może zdziałać samo tylko oddalenie, tak, oddalenie i niedostępność. Nigdy przedtem Mazury nie jawiły mi się tak wyraźnie, tak jasno – nigdy przedtem nie udało mi się z takim spokojem odgadywać ich tajemnej istoty, tej mieszaniny uporu i uległości. Nieobecne, zyskiwały wieloznaczną ostrość.

W każdym razie – co to ja chciałem powiedzieć? Prawda: prezent ślubny. Kiedy motorówka w dniu naszego ślubu przywiozła nas z miasta, Carola wskazała z pomostu na załadowany wóz drabiniasty, który czekał przed domem; było to wiosną i pojazd był przystrojony gałązkami brzozy i

girlandami. Simon Gayko, niegdyś, w legendarnych czasach mój druhna, siedział ubrany na czarno na jednym z flegmatycznych holsztyńczyków, jego bośniacka nieprzeniknioność czyniła go podobnym do pomnika; chociaż zdawał się patrzeć gdzieś ponad naszymi głowami, to jednak śledził, jak wspinamy się pod górę, jak się zbliżamy, nieporuszony czekał, aż podejdziemy bliżej, a potem wykrzyknął w naszym kierunku jakiś wiersz, którego nawet ja nie zrozumiałem, jakieś mroczne życzenia, w których była mowa o skoku zająca i piórze kaczkę, o kogucim grzebieniu i sowych oczach; a kiedy Marian postawił przed Carolą jako swój podarek pięknie rzeźbioną kołyskę, Simon przywołał mnie skinieniem ręki na wóz: – No, Siechmunt – powiedział – tera stoisz cały na twoim muzeum.

Postukał w ciosane, wygładzone pnie, zabębnił palcami w przycięte deski, pokazał mi przygotowane ramy okienne i obrobione dłutem, impregnowane belkowanie: – Jak tylko powiesz, że trza zaczynać, to się zacznie; to jest mój prezent ślubny. – Wysoko na wozie podaliśmy sobie ręce i kiedy wspólnie zepchnęliśmy pierwszą belkę, miał to być tylko symboliczny początek, ale już inni zaczęli się wdrapywać do nas na górę, zwijali się, ścigali, chcąc jak najszybciej rozładować wóz, i gdybyś mnie spytał o najszczęśliwszą chwilę naszego wesela, to przeżyliśmy ją przy wylądowywaniu budulca na nasze muzeum.

Ale i to także powinieneś wiedzieć: chociaż Carola dowiedziała się od Mariana i ode mnie dostatecznie dużo o kraju, z którego przybyliśmy, nie wystarczało to jej. Wkrótce po weselu, podczas gdy pokurczowaty Bośniak kopał doły pod fundamenty, potem wylewał cement na podmurówkę i ciągnął w górę drewnianą werandę, zaczęła swe regularne podróże do Szlezewiku, gdzie w bibliotekach i antykwiariatach poszukiwała literatury o Mazurach; trzeba ci było widzieć, co znosiła uradowana do domu: powieści, roczniki, wspomnienia wojenne, periodyki z zakresu leśnictwa i rybołówstwa, księgę „humoru mazurskiego”, jakąś inną z „mazurskimi przepisami”, wygrzebywała opisy podróży, opowiadania, a nawet jedną sztukę, i wszystko to połykała po to, by jak sama żartobliwie wyjaśniała, wybadać, z kim się zadała. Na parapecie za jej szafką nocną pęczniała teczka z wycinkami prasowymi. Studiowała programy radiowe, zakreślając audycje poświęcone „utraconej ojczyźnie”. Gdy Marian

powiedział kiedyś: – Będziemy cię chyba musieli mianować „honorową Mazurką” za całą tę twoją specjalną wiedzę – uśmiechnęła się i odrzekła: – Jeszcze nie trafiłam na wszystkie wasze ślady.

Tak, a któregoś popołudnia wkroczyła tak energicznie do pracowni, że od razu nastawiliśmy się na jakąś niecodzienną wiadomość. Bez słowa wyciągnęła ku mnie kawałek gazety z programem radiowym, wycelowała ołówek na rubrykę „Utracona ojczyzna”, i kiedy po raz drugi przeczytałem zapowiedź audycji, Carola zapytała: – Czy to nie on? To przecież musi być on – Konrad Karrasch, o którym tyle mi opowiadałeś! I popatrz tylko, o czym on będzie mówił: Rozmyślenia o Łukowcu. Czy nie powinniśmy tego posłuchać?

Gwizdnięciem przywołaliśmy na dół gimnastykującego się na rusztowaniach Simona Gayko, udaliśmy się do dużego pokoju i włączyliśmy radio; pamiętam jeszcze, że tak się nastawiłem na usłyszenie jego głosu, iż nie mogłem zrozumieć nic z tego, o czym mówił; jego słowa początkowo przelatywały po prostu przeze mnie, taki byłem podniecony, wprost nie posiadałem się z radości; dopiero gdy wychyliliśmy po kieliszku czystej, udało mi się skoncentrować na treści programu. – Nasz Conny – szepnął Simon – kto tak gada, temu chyba nic nie dolega. – Z całą pewnością był to głos Conny’ego; jednakże nie zdołał on sprawić, byśmy wyzbyli się wszystkich wątpliwości, tak, im dłużej się wsłuchiwałem, tym dotkliwiej wkradała się bezradność, gdyż człowiek z radia agitował za czymś, na czym Conny’emu, naszemu Conny’emu, nigdy nie zależało, od kiedy go znaleźmy.

Przywoływał tam pewne dziedzictwo, historyczne, kulturowe dziedzictwo; dalekie miasto o nazwie Łukowiec zostało wymienione jako przykład, w jaki sposób osada ta mogła przetrwać w czasie, zgniataną wprawdzie przez burzliwy los, plądrowana, pustoszona i zdobywana przez przeróżnych sąsiadów, ale ostatecznie niezniszczalna w swym jądrze, i to głównie dlatego, że to miasto „nosił w sercach” jej mieszkańcy. Conny wskazywał na to, że istnieje wiele sposobów posiadania czegoś, że ojczyznę traci się dopiero wtedy, gdy się ją pomija milczeniem albo gdy nikt już o niej nie pamięta. Ojczyzna jawiła mu się jako miejsce

niewypowiedzianych związków: związków z folklorem, językiem, krajobrazem i widocznymi osiągnięciami minionych pokoleń; w tym miejscu mówił o dumie z ojczyzny. Komu ją odbiorą, ten jest jeszcze biedniejszy niż ktoś cierpiący nędzę, twierdził, i przytoczył obraz „chwiejącej się trzciny, którą łamie każdy wiatr”, a na zakończenie powiedział, że każdemu, komu zależy na zachowaniu pokoju, trzeba przyznać „prawo do ojczyzny”.

Możesz sobie wyobrazić, jak ciężko przychodziło mi wyłuskanie prawdziwego Conny'ego z tego, co mówił, dawnego kąśliwego Conny'ego, lecz po zakończeniu programu wiedzieliśmy ostatecznie, że to był on, i powołując się na jego audycję jeszcze tego samego dnia napisałem do niego obszerną relację o nieszczęściu ucieczki, o tym, gdzie się znaleźliśmy, co robiliśmy; dołączona fotografia miała mu dać pojęcie o miejscu naszego zamieszkania. Nie, nie odpowiedział mi, wprawdzie list nie wrócił, ale Conny mi nie odpowiedział...

To się tak tylko zdaje, mój drogi, to tylko z zewnątrz tak wygląda, jak gdyby wtedy wszystko szło jak z płatka, jedno po drugim, życzenie do życzenia, tworzenie i odnajdywanie się, obejmowanie w posiadanie; w rzeczywistości możesz spokojnie założyć, że nam również nie zostały oszczędzone przeciwności, możesz to sobie nazwać nieuniknionymi doświadczeniami...

Ależ oczywiście, Martinie...

W tym tygodniu na przykład, kiedy pochowaliśmy weterynarza – przeżył żonę o pół roku, pojawili się krewni z Kilonii, ruchliwa siostrzenica z mężem, którzy trzymając się za ręce obchodzili teren należący do domu, oceniali, wymierzali, zapisywali w notesie, a w odpowiednim czasie weszli do domu, aby kontynuować to lustrowanie i szacowanie. W naszej obecności porozumiewali się półgłosem co do ewentualnej przebudowy, tu chcieli zburzyć ścianę, tam wznieść nową, w pracowni już urządzali rustykalny kącik wypoczynkowy – wobec takiej uzurpacji nic mi nie przychodziło do głowy. Zwłaszcza mężczyzna – ze świńskimi rzęsami, atletycznie zbudowany – nie przestawał eksploatować swej fantazji,

produkował pomysł za pomysłem, przy czym najwyraźniej nie musiał się zbyt wysilać, by pomijać nas i rzeczywistość, którą tu stworzyliśmy. Nie przeszkadzaliśmy mu. My nie istnieliśmy. Naszym uczennicom polecił jowialnie, by pracowały dalej – na razie. Podczas inspekcji kuchni potrząsał głową; jej także zagroził gwałtownymi zmianami. Nie było pomieszczenia, które by chciał pozostawić takim, jakie było, i im dłużej mu towarzyszyłem, tym więcej znajdowałem powodów do obaw, że nasz czas w Egenlund dobiega końca.

Simona jednakże, Simona Gayko, zajętego wśród belek stropu, nie zdołał zaniepokoić. Kiedy parka chciała się dowiedzieć, co on tam buduje, Bośniak zawołał z góry: – Muzeum stron ojczystych, melduję posłusznie. – Czy on to buduje zupełnie sam? Tak, tak, całkiem sam. Czy nie zechciałby raczej przerwać, jako że dom i ziemia niebawem zmienią właściciela, który nie jest zainteresowany żadnym muzeum? O tym nic mu jakoś nie wiadomo, a poza tym musi dokończyć to, co raz zaczął, bo świeża ruina, nie, to nie jest dobra rekomendacja dla cieśli. Także wieczorem, kiedy byliśmy sami, Simon nie chciał podzielić moich trosk: – Zobaczysz, mówił, wszystko będzie jak trza.

Nie pytaj, co mnie gnębiło, kiedy w czarnym ubraniu wkraczałem do pokoju zmarłego, dokąd wezwał nas adwokat i notariusz ze Szlezwiku o celu otwarcia testamentu; po mojej lewej ręce siedziały dwie starsze kobiety, całe zaprzątnięte tym, żeby się wzajemnie nie dostrzegać; po prawej stronie, odprężona, tkwiła pomysłowa para z Kilonii. Odczytując ostatnią wolę weterynarza, adwokat i notariusz w jednej osobie akcentował dobitnie niektóre słowa, uderzając szkłem powiększającym o stół.

Swój raczej mizerny majątek zapisywał więc testator Towarzystwu Opieki nad Zwierzętami, meble i pozostałe sprzęty jednemu z domów starców. Samochód, od siedmiu lat unieruchomiony na podpórkach, przeznaczył swojej siostrze Gudrun, wyposażenie weterynaryjne łącznie z biblioteką fachową miało przypaść siostrze Christine. Para – Hertha i Heinz Dieter Bentin – też nie wyszła z próżnymi rękami; dostała obydwaj leciwe konie wyścigowe weterynarza, które w majątku Holmbeck dożywały swych dni.

Dom i ogród, w dowód wdzięczności za sumienną opiekę, przyznano Zygmuntovi Rogalli.

Ledwie otwierający testament podniósł swój chłodny, badawczy wzrok, oburzenie pojednało skłócone siostry, które powstrzymując złorzeczenia opuściły pokój, tak, wyszły powłócząc nogami, po czym wstał świeżo upieczony właściciel leciwych koni wyścigowych i oświadczył, że podważy testament, gdyż jest przekonany, że nie przejawia się w nim w wystarczający sposób wolna wola. Wygłaszał rzeczowe groźby, zapowiadając wytrwałą wędrówkę przez wszystkie instancje; urzeczywistnił to, co zapowiedział, i dopiero po czterech latach Egenlund mógł ostatecznie należeć do nas, a nasza własność zabezpieczona została przeciwko wszelkim roszczeniom stosownymi wpisami i dokumentami.

Tak, Martinie; ale na długo przedtem, zanim mogliśmy nazwać nowe miejsce naszym własnym, muzeum było gotowe, pierwsze i – o ile wiem – jedyne mazurskie muzeum ziemi ojczystej; pociągnięte bezbarwną bejcą drzewo jaśniało w słońcu, to drzewo obrobione i przygotowane przez samego Simona, pochodzące z bagnistego lasku, po którym mimo wczesnych rys i pęknięć znać było sękatą twardość i wytrzymałość. Jakkolwiek budynek w porównaniu z okazałym domem mieszkalnym sprawiał skromne wrażenie, to jednak jego kształt budził nieustające zainteresowanie; nawet na przepływających łodziach ludzie wychodzili ze sterówki i z wyciągniętą ręką gapili się w naszym kierunku: – Tam, popatrzcie no tylko.

Podzieliliśmy niewielkie, wyposażone w regały i stoły sale, nadaliśmy im stosowne nazwy: sala dokumentów, sala ozdób, sala prehistoryczna; broń i zabawki umieściliśmy w tak zwanych alkowach; zwierzęta i świadectwa ojczystych zwyczajów otrzymały swoje kąciki. Szczególnie piękne, przyciągające wzrok eksponaty znalazły miejsce na drewnianej ścianie, gdzieniegdzie zwieszały się także na cienkim drucie z sufitu.

Cóż to była za radość, kiedy ofiarowaliśmy wspomnieniom z Łukowca dach nad głową! I ta szczególna satysfakcja, kiedy odwijaliśmy uratowany inwentarz z chust i papieru, porządkowaliśmy go na nowo rozkładaliśmy i

opatrywaliśmy tabliczkami – szczęśliwi i zdumieni, że aż tyle nam zostało. Ach, i to podniecające odkrycie, że wprawdzie udało się nam wrócić pamięcią do utraconego miasta, że jednak ono samo niechybnie się zmieniało, kiedy je wskrzeszaliśmy; po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że w każdej przeszłości, którą proponujemy innym, tkwi cząstka zmyślenia. Z pewnością miasto, które dzięki nam znów ożyło, to ciągle jeszcze był Łukowiec, ale nie można było przeoczyć, że uczyniliśmy je wraz z jego minionym życiem zarazem bogatszym i uboższym.

Otwarcie naszego muzeum nie przebiegło jednakże tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Gdyby to od nas zależało, to któregoś niedzielnego przedpołudnia obejrzelibyśmy sobie wspólnie nasze zbiory, być może z mimowolnym wzruszeniem, na drewnianej werandzie zjedlibyśmy najpierw czerninę, a potem faworki, a wieczorem, przy rodzimej nikolaszce, ogrzewalibyśmy i serwowali sobie historyjki, których jeden oczekiwał od drugiego życząc sobie, by były tylko nieznacznie zmienione.

Prasa Szlezwiku postarała się o to, żeby otwarcie muzeum zwróciło na siebie uwagę, która nie ograniczyła się tylko do Egenlund, tak – prasa Szlezwiku zapowiedziała to wydarzenie w swoich bogato ilustrowanych artykułach. Wielu nie zawahało się później nazwać dnia otwarcia wielkim dniem.

A więc wyobraź sobie girlandy i biało-niebieskie chorągiewki, gałęzie jodły na werandzie mazurskiego domu, wyobraź sobie kapełę, niewielką, ale o bogatej tradycji, złożoną z dawnych absolwentów łukowieckiej szkoły pożarniczej, dalej tak zwaną Młodzież Łukowca, przeważnie dziewczęta i chłopców o matowoblond włosach, w strojach regionalnych, jak również radę starszych łukowieckiego Heimatvereinu, który bardzo szybko znów się zawiązał, o czym my w Egenlund nie wiedzieliśmy. Rada Starszych demonstrowała, jak należy się zachować w oczekiwaniu na przedstawiciela rządu krajowego, zaś miejscowej prasie zdawała się przypadać do gustu kombinacja wódki i pokrojonej w plastry pasztetówki. Na lekko zmarszczonej powierzchni rzeki Schlei kołysały się żaglówki i łodzie wiosłowe, mimowolnie przyciągnięte zgromadzeniem na stromym brzegu. Co jeszcze? Nie mogę nie wspomnieć zbitych

naprędce stołów i ław pod czerwonymi bukami, tak samo jak wypożyczonej kuchni polowej, na której od kilku godzin, pod okiem byłego głównego kucharza „Luisenhofu”, gotowały się flaki z majerankiem...

Co mówisz? Znajomi? Czy pojawili się starzy znajomi? Zdziwisz się, kto uznał za stosowne przybyć na otwarcie naszego muzeum – nawiasem mówiąc, najczęściej na podstawie ogłoszenia w nowo założonej gazecie „Goniec Łukowiecki”, którą tego dnia po raz pierwszy trzymaliśmy w ręku. Może już zauważyłeś, że chociaż to przecież my zaprojektowaliśmy i urządziliśmy muzeum, to jednak program otwarcia wymknął się nam z rąk, odebrano go nam, wyperswadowano wskazując na szerszy charakter tego wydarzenia, i na koniec mogliśmy już tylko stwierdzić, że rada starszych łukowieckiego Heimatvereinu ustaliła i wydrukowała siedem punktów programu, łącznie z „częścią nieoficjalną”. Niewiele brakowało, a mielibyśmy znowu wrażenie, że nasze muzeum nie należy już tylko do nas. Ale zostawmy to.

Kiedy niepozorny samochód przedstawiciela rządu zatrzymał się pod bukami, rada starszych wyszła mu bez pośpiechu na spotkanie. Przytulia nieco z przodu, z rękami złożonymi łagodnie na brzuchu – mnie wolno było pójść za nimi, w nieokreślonym odstępnie, obok Simona Gayko. Przedstawiciel rządu, z odkrytą głową, w ciemnym garniturze w prążki, przy pomocy kierowcy wysiadł z samochodu, pozostawiony chwilę sam sobie stał bezradny i zakłopotany, i dopiero gdy mógł oprzeć jedną rękę na ramieniu kierowcy, podszedł z uśmiechem do nas, to znaczy, dał się na pół nieść w naszym kierunku, i po kolei uprzejmie przywitał się z nami, przy czym miałem wrażenie, że moją rękę przytrzymał dłużej niż dłonie innych.

Zręcznie, acz nie bez wysiłku kierowca wniósł przedstawiciela rządu krajowego, który miał amputowaną rękę i gołęń, po schodach na drewnianą werandę, oparł go łagodnie o balustradę, obciągnął mu przesuniętą marynarkę, poprawił krawat, podczas gdy on sam, przedstawiciel rządu, uniósłszy wymizerowaną twarz, przyglądał się bacznie gościom zgromadzonym pod werandą. Ja także spojrziałem na

nich, i nagle dostrzegłem Krimkowskiego, byłego generała straży pożarnej, a także Josepha von Intelmanna, byłego szefa łukowieckiej policji kryminalnej; śmiali się, wynajdując sobie coraz to nowy powód do śmiechu. Koło źródła na zboczu stał samotnie mężczyzna przypominający Toniego Lettkowa. Duddek, były lekarz powiatowy, doktor Duddek żartobliwie napominał kapelę, co przy jego paraliżu twarzy wyglądało, jakby stroił miny – i przy pomocy laski torował sobie przejście w szeregach tak zwanej Młodzieży Łukowca, która czekała z niecierpliwością na swoje własne przedstawienie. Dojrzałem także Pillunata, popularnego pisarza, piszącego o zwierzętach, który, cierpliwszy od innych, z pełnym oddaniem zasadał się niegdyś z kamerą na żubra, wypuszczonego tytułem próby na wolność w lasach wokół Łukowca – zgodnie z życzeniem ówczesnego łowczego Rzeszy.

Jeszcze przed powitaniem, które ogłoszone zostało gdzieś do przepływającej dołem rzeki i dlatego do nas nie dotarło, tradycyjna kapela zasłużyła sobie na wątłe oklaski, odegrawszy „Radosne tony i pieśni uroczyste” Glucka; potem przemawiał przedstawiciel rządu krajowego. Przekazał pozdrowienia, życzenia i jednomyślne oświadczenia swoich kolegów, że w tym, co powstało tu, w Egenlund, można dojrzeć wyraz naszej słusznej tęsknoty. Rząd krajowy – oświadczył przedstawiciel – jest zdania, że to, co stanowi treść naszej tęsknoty, nigdy nie jest naprawdę stracone, w tym sensie również „krajina mrocznych lasów i kryształowych jezior” nie jest ostatecznie utracona. Za czym tęsknimy, zapytywał, i sam sobie odpowiadał: za czymś nieosiągalnym, nieobecnym, ale wcale nie bezpowrotnym. Tęsknić, powiedział cicho, to znaczy: przezwyciężyć czas i dopomóc naszym pragnieniom, by stały się żywą teraźniejszością. Przekraczać granice, aby obejmować w posiadanie albo samemu dać się objąć w posiadanie: to także jest tęsknota. Przede wszystkim jednak widział on w tęsknocie owe postaci oczekiwania i pragnienia, określające wszystkie nasze marzenia. To, na co nie ma już miejsca w naszej tęsknocie, obumiera, głosił, i w tym sensie chciałby mówić o wzniesionym tu muzeum stron ojczystych jako o miejscu, w którym tęsknota przekształcała się w czyn. Dlaczego tu jesteśmy, zapytywał, i znowu odpowiadał sam sobie: aby święcić dzieło powstałe z

tęsknoty, ale tego, co się tu wznosi i zaświadcza o dawnej ojczyźnie, nie chciałby traktować jako namiastki, namiastka bowiem jest wielkością wątpliwą. To raczej upartej tęsknocie udało się, jak mówił, nadać kształt marzeniu o ojczyźnie.

Z przymrużonymi oczyma i kamienną twarzą przeczekał przedstawiciel rządu nasz aplauz, który bynajmniej nie wydawał się go zaskakiwać. Już zmienialiśmy nogę, już spoglądaliśmy na Przytulię, który zgodnie z programem miał mówić na temat „Nasz Łukowiec: wczoraj, dziś, jutro”, kiedy przedstawiciel rządu jeszcze raz zabrał głos, cicho, aby, jak mówił, poczynić kilka czysto osobistych uwag. – W każdym okresie – rozpoczął – ludziom odbierano ich ojczyznę; nie ma epoki, w której nie byłoby wygnanych, wypędzonych, uchodźców, zawsze, we wszystkich stronach świata zmuszano ludzi, by ratowali się ucieczką na obczyznę; mogli przetrwać tylko wtedy, kiedy zrezygnowali z szukania jedynej prawdy w przeszłości. Po biblijnych tajfunach, po ślepych atakach gniewu i wściekłości historii dla wielu, których los rozproszył i rozmiótł, nie było już powrotu; wszyscy respektowali ich żal po tym, co stracili, ale też każdy oczekiwał od nich gotowości do nowej wspólnoty w obcym kraju.

A potem rzekł: – Poznałem waszą piękną ojczyznę, dwukrotnie ciężko ranny omal nie pozostałem nad uroczym jeziorem Skomack Wielki, oddalonym tylko parę kilometrów od Łukowca. W samym Łukowcu otrzymałem decydujące transfuzje. Piękne miasto, piękny, tajemniczy kraj. Dziesiątki tysięcy Polaków urodziły się już na Mazurach, ludzie, którzy traktują ten kraj jako swoją ojczyznę, muszą go tak traktować: czy mamy im tę ojczyznę odebrać, wracając tam przemocą? Znam wasz piękny kraj – powiedział jeszcze raz – teraz jest to kraj sąsiadów. Nie jest to nam obojętne, ale jedyne, co możemy zrobić, to pozwolić, by tęsknota za dawną ojczyzną zakiełkowała w nowym otoczeniu.

Nie słychać było żadnego sprzeciwu, ale cisza, która zapadła, była ciszą bezradności, spojrzenia szukały się nawzajem, wymieniając wyrazy zakłopotania i zdziwienia, dawano sobie milcząco do zrozumienia, że to wyznanie uważano za zbędne, niestosowne w takiej chwili.

Przedstawiciela rządu to milczenie nie zaskoczyło; usiadł na jednym z płóciennych krzeseł i otarł sobie chusteczką pot z czoła.

Jeśli pamiętasz rozmowy, jakie podczas ucieczki prowadzili ze sobą Przytulia i Joseph von Intelmann, to chyba się domyślasz, że następny mówca – a był to właśnie Przytulia – inaczej dobierał słowa niż jego poprzednik. I rzeczywiście tak było: nasze muzeum stron ojczystych nie jawiło mu się jako wyraz tęsknoty, ile raczej jako dowód wierności utraconej ziemi, przejściowo utraconej ziemi, jak się wyraził. O ile przedstawiciel rządu mówił raczej cicho i z wysiłkiem, to mowa Przytulii rozbrzmiewała gorącą ufnością, a wielu zdaniom towarzyszyło znaczące potrząsanie głową. Uważał, że wierność ciągle się jeszcze opłaca i jest nagradzana, a to po prostu dlatego, że żadne nieszczęście nie trwa wiecznie, bo ludzie, jeśli już je spowodowali, to będą je też potrafili naprawić.

Niestety, wywodził dalej, czuje się on jednak także zmuszony widzieć w istnieniu tego muzeum milczące oskarżenie: dokumenty, dowody, cały ten mówiący za siebie inwentarz oskarża tych, którzy traktują utracony kraj nie tylko jako łup, ale jako ziemię odzyskaną. Tego, kto zawsze wierzył, że posiada ten kraj od dawien dawna, niezaprzeczalnie i niepodważalnie, zapraszał Przytulia tutaj, by zapytał milczących świadków.

Po cytacie z Kanta, po omówieniu moralnych i twórczych sił, które jakoby rodzą się z uczucia miłości do ojczyzny, po odmalowaniu minionych i obecnych stosunków w Łukowcu Przytulia zakończył swoją mowę – nie omieszkając wspomnieć polskich strat terytorialnych na Wschodzie i początkowej nieufności polskich wysiedleńców, nie potrafiących od razu uważać przydzielonego im kraju na zachodzie za trwałą własność – zakończył swoją mowę publiczną obietnicą zachowania przebogatego dziedzictwa łukowieckiej przeszłości, pielęgnowania go i przypominania. Nasze muzeum stron ojczystych, powiedział, jest już częścią tej obietnicy.

Kto wie, jak długo trwałyby oklaski, gdyby nie wezwano kapeli: tańcem drewnianych chodaków Lortzinga z „Cara i cieśli” zakończyła ona

oficjalną część programu, który przewidywał obecnie wspólną przechadzkę po muzeum; ja miałem objąć rolę przewodnika...

Naprawdę? To zdumiewające, że archiwum prasowe zachowało zdjęcia z otwarcia... Tak, a więc Henrike zdobyła je i nawet kazała powiększyć... Wkleiła do albumu?... Więc przypuszczalnie też je widziałeś; mam nadzieję, że utrwalono na nich pewne spotkanie, pewne powitanie, może nawet uściski, na widok których musiałem wstrzymać oddech i zamknąć oczy...

Nie rzuciło ci się w oczy żadne powitanie? Wobec tego muszę ci opowiedzieć, co wydarzyło się pośród odświętnych mazurskich strojów, pośród sukien ślubnych i haftowanych kamizelek, zaraz na początku wprowadzania.

Po obejrzeniu poplamionych, zbrązowiałych ze starości dokumentów zdążyliśmy do sali ozdób, kiedy nagle odkryłem twarz w połowie zasłoniętą wiszącym strojem, której tego dnia najmniej bym się tu spodziewał. Nie mogłem dalej mówić, znieruchomiałem niezdecydowany, ale bardziej jeszcze zdumiony, nie mogłem nawet zrobić kroku w kierunku owej twarzy, postarzałej, ale ciągle jeszcze gładkiej twarzy byłego namiestnika Łukowca.

Reschat, człowiek z dębowym liściem, nie chciał przepuścić okazji uczestniczenia w otwarciu naszego muzeum; pojawił się z niezwykłą jak na niego skromnością i swym widokiem obalił kilka krążących wersji o swojej śmierci: że na przykład wytropili go Anglicy i na żądanie Polski dostarczyli do Warszawy; że zdemaskowany jako rzekomy robotnik leśny popełnił samobójstwo; także to, że w Ameryce Południowej osiągnął nową pozycję i majątek; swym nieoczekiwanym pojawieniem się w Egenlund zadał im wszystkim kłam.

Ni z tego, ni z owego stał tu, poruszony, a może nawet zachwycony otoczeniem, w którym się znalazł; nie zależało mu wcale, żeby go ktoś zauważył; wyglądał tak, jak gdyby przyszedł tu naprawdę tylko po to, żeby dać się porwać i cicho przenieść w inny czas. Tak, a potem zobaczyłem, jak z tyłu przysuwa się do niego Duddek, były lekarz

powiatowy z Łukowca – z trzęsącą się szyją, z postrzępionymi, jakby pozbawionymi konturów ustami, doktor Anton Duddek, który z obozu Kreuzbom, dokąd wywieziony został jeszcze w ostatnich miesiącach wojny, wyniósł paraliż twarzy. Za chwilę, myślałem, stary lekarz potrąci starego namiestnika, za chwilę podniosą obaj wzrok, rozpoznają się i staną jak wryci, nawiedzeni wspomnieniami i zamiarami, i nawet jeśli namiestnikowi wyleciało z pamięci, w jaki sposób wtargnął w życie lekarza, to przecież tamten musiał wszystko boleśnie pamiętać – tak wyraźnie, że to spotkanie nie mogło przebiec mimochodem i bez następstw – po prostu dlatego, że doktor doświadczył skutków decyzji tamtego.

No tak, a potem zderzyli się ze sobą ramionami, odwrócili się, natychmiast się rozpoznali – zupełnie, jak gdyby przeżywali ten moment w wyobraźni niezliczoną ilość razy, i wszystko bym zrozumiał, tylko nie to: że ich ręce jednocześnie wyciągnęły się ku sobie, że nieśmiało, jakby tłąc się tylko, pojawił się na ich twarzach uśmiech i że w końcu, jakby w ich pamięci nic się nie zachowało, zaczęli się obejmować i trwali w tym uścisku dłużej niż normalnie.

Przypieszyłem oprowadzanie, skracałem objaśnienia, rezygnowałem niekiedy ze wskazówek; cały czas w obawie, że tamci dwaj, trzymający się odtąd razem, mogliby podejść do mnie – domyślasz się chyba dlaczego; i kiedy potem, skończywszy oprowadzanie, stanąłem koło drzwi, aby przyjmować gratulacje i podziękowania od wszystkich z osobna, Reschatowi nie mogłem podać ręki. Tak, nie dostrzegłem jego dłoni, a gdy usłyszałem, jak powiedział: – Zasłużył się pan starej ojczyźnie – nie potrafiłem nic odpowiedzieć, pomyślałem sobie tylko po cichu: – A ty przyczyniłeś się do jej wypaczenia i utraty. – Te raki samotniki, każdy w swoim więzieniu, utkanym ze wspomnień: w muzeum spotkali się ze sobą, jakby nic między nimi nie zaszło, pokonani przez głębię przeszłości pomijali po prostu to, co domagało się podsumowania.

Znam twoje wątpliwości, Martinie, ale musisz mi uwierzyć, że rzeczy, któreśmy zgromadzili, przekazywały i pozostawiały w człowieku coś, co miało swój skutek – jakiś nastrój, zamyślenie, jakieś nieme pogrążenie się

w sobie – mogłeś to chociażby odczytać z twarzy ludzi, którzy wychodzili z muzeum i gratulowali mi. Ten spokój, ta ufność, to radosne zdumienie zgromadzonymi dowodami przemijania. Nie przesadzę, jeśli powiem, że dzień otwarcia muzeum był dla wielu rodaków okazją do powrotu, w potajemnych marzeniach, do utraconego miasta. Czuliśmy, że jesteśmy wśród swoich, że wszyscy jedziemy na jednym wózku, czuliśmy, iż posiadamy coś, co należy tylko do nas, tak, niepodzielny skarb symboli i przyzwyczajień.

Nie przeszkadzało mi, że byłem mimowolnym świadkiem pobłażliwości i dobrodusznej kpiny, z jaką dwaj dziennikarze ze Szlezwiku skomentowali nie tylko ucztę flakową, która odbywała się na dworze, ale także niektóre popisy w „części nieoficjalnej”. Nie rozumieli po prostu przekazanych tradycją aluzji tańca z obręczami, w którym każdy, komu wrzucono obręcz przez głowę, musiał się wykupić. Nie wiedzieli, że ten, kto u nas żyzył coś ceremonialnie drugiemu, mógł też czegoś zażądać – przede wszystkim kiełbasy, jak przy chodzeniu z bębniem, gdzie przebrani chłopcy katowali napiętą cielecą skórę i przy wtórze tego niezwykłego hałasu wygłaszali swoje życzenia, co trzeba było opłacić kiełbasą albo kaszanką.

My w każdym razie natychmiast wiedzieliśmy, o co chodzi, kiedy Młodzież Łukowca przedstawiała zwyczaj tak zwanej Krzywej Środy – środy w Wielkim Tygodniu – i klaskaliśmy, kiedy młodzi przyskali się wodą i rozbawieni łaskotali się nawzajem mokrymi wiechciami i gałązkami kadyku. Szczególnie udana wydała mi się scena świętojańska, zrywanie ziół w noc świętego Jana, pod księżycem z papieru: Młodzież Łukowca przemykała się bezszelestnie wkoło po wymaginowanej łące, aby znaleźć dziewięć niezbędnych ziół, zebrać je i związać w pęczek; ich czarodziejska moc była niezawodna. Jeden z dziennikarzy utrzymywał, że ta stara zabawa w zbieranie ziół wygląda jak nocne poszukiwanie zgubionego grosza; ach, zostawmy to – ich tania kpina kompensowała im fakt, że wiele z tego, czego Młodzież Łukowca wyuczyła się na ten dzień, wydało im się dziwaczne i niezrozumiałe.

Czy mówiłem ci już, że pod czerwonymi bukami urządziliśmy prowizoryczny parkiet do tańca?

To było tak – Simon wyrównał ziemię i położył deski do tańca, a między drzewami rozwiesił sznury, na których kołysały się własnoręcznie wykonane lampiony w kształcie gruszek, jabłek i ogórków; o zmierzchu kapela zmusiła nas do tańca. W dole, do obmywanego łagodnie brzegu Schlei przybijały łodzie i cumowały prowizorycznie; lekko ubrani wycieczkowicze i miłośnicy sportów wodnych wspinali się do nas i przechadzali się rozbawieni między kuchnią połową, parkietem i oświetlonym muzeum, nie dając się jednak wciągnąć czy zarazić naszym entuzjazmem. Nawet muzyka ich nie zatrzymywała, ani mazur, do którego nawoływał Marian Jeromin, pierwszy tancerz w tym korowodzie, dający każdorazowo sygnał do hołubców i przytupu na końcu. Z jaką swobodą chronił za każdym razem osłabłą Carolę przed zatoczeniem się! Jak wyzywająco na nią spoglądał! Kiedy tych dwoje tańczyło, to nawet rada starszych przerywała swoją jednostajną naradę i mogłeś zobaczyć, jak trzy pogrążone w dociekaniach, siedzące na uboczu marabuty wpadały w niezwykle u nich zachwyty. – Nowy Łukowiec – krzyknął do mnie znieścacka Przytulia – co by to było, Siechmunt, gdybyśmy tu założyli Nowy Łukowiec, tu, w Egenlund – i odtąd musiałem myśleć o tej nazwie, patrząc na tancerzy, jedzących i żądnych wspomnień mówców przy stołach i pod zasłuchanymi drzewami; ta nazwa, ot tak sobie wykrzyknęta, kryła w sobie jakąś obietnicę.

Ale o czym to jeszcze powinieneś się koniecznie dowiedzieć? Racja, o tej innej muzyce, o drugim święcie, które urządziła sobie tak zwana Młodzież Łukowca, późno, kiedy wielu gości już nas pożegnało, z wdzięcznością i zapewnieniem, że wkrótce znowu przyjdą. Jakby na jakiś tajny sygnał podnieśli się chłopcy i dziewczęta w niebiesko-białych strojach, a kto by ich śledził spojrzeniem, mógłby zobaczyć, jak wymykają się pojedynczo albo najwyżej parami, bynajmniej nie w pośpiechu, ale jednak w ściśle określonym celu! Powlekli się w kierunku muzeum, wśliznęli tylnymi drzwiami i już byli sami. Światło było zgaszone; blask świec kładł się na zaciągniętych zasłonach w kolorową kratkę. Nie pozostało mi nic innego, jak o określonej porze skontrolować to tajne zgromadzenie,

przypominające jakiś spiszek; pamiętam jeszcze, że wynurzyłem się z cienia buków, przez nikogo nie zauważony, i że udało mi się bezszelestnie otworzyć drzwi i stanąć za filcową materią zasłony, opadającej szeroko na kształt dzwonu.

Co takiego? Dobrze, no to zgadnij, co się tam działo.

Tak, zgadza się; zgarnęli sobie ukradkiem parę butelek, jak również kilka talerzy z chlebem i kiełbasą...

Tak, to też; tańczyli przy muzyce z adaptera; możliwe, że był to Glenn Miller... Ale trzeba ci było widzieć, jak oni tańczyli, z zacięciem, akrobatycznie, nie oszczędzając się lub też z lubieżną ociężałością, z szeroko otwartymi, przyciśniętymi do siebie ustami, a ich ruchy przypominały rośliny morskie w łagodnie falującej wodzie...

Swing, mówisz? Lubisz wolny swing? Jeśli chodzi o mnie, to każdy niech robi, co mu się żywnie podoba, ale człowiek chyba ma prawo wyrazić swoje zdumienie. W każdym razie owa tak zwana Młodzież Łukowca obchodziła swoje własne święto, i ja nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby zadowolili się swoją muzyką i swoim alkoholem, ale zabołało mnie, rozumiesz, zabołało mnie, kiedy zobaczyłem, że przypasali sobie miecze, ten krzywy i dragi, ciężki dwuręczny, że niektóre dziewczęta przebrały się w historyczne welony i stroje ślubne, że używali eksponatów jako kostiumu, jako zabawki. Na podłodze naprawdę leżała pulchna Elsbeth i staromazurskim wałkiem do ciasta tłukła orzechy. Jakaś grupka siedząca niby w transie ustawiła pośrodku jaćwieską urnę grzebalną w charakterze pojemnej popielniczki. A jakiś chudy wstawiony diabelec karmił swoją równie zalaną przyjaciółkę kawałkami kiełbasy, a potem poprosił wszystkich o uwagę, bo teraz nastąpi akt chrztu: uroczyście podszedł do „zwierząt ojczyzny” i nadawał im imiona; wilka ochrzcił Schwentek, czarnego bociana Kamutzki, bobra Buberek, a kto otrzymał już imię, tego przy wtórze mamrotania pokrapiano wódką.

Tak, Martinie, i kiedy im się tak przyglądałem, urażony, przede wszystkim urażony, usłyszałem, jak na dworze ktoś mnie woła: – Zygmunt, gdzie jesteś, masz gościa, Zygmunt – ale ja nie mogłem się oderwać, musiałem

wytrzymać to, co mi demonstrowali ci młodzi, zupełnie jak gdybym przyrósł do ziemi w tej swojej urazie i przygnębieniu, a potem usłyszałem okrzyki dochodzące z werandy i w chwilę potem drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Conny, okolony światłem świec, spłoszonych wieczornym powiewem – Konrad Karrasch, z paczuszką pod pachą.

Z jakim spokojem spojrzenie jego chłonęło obraz, który mu się przedstawiał, i jaką przyganę potrafił wyrazić samym tylko sposobem, w jaki mierzył wzrokiem leżącą, siedzącą, ściskającą się Młodzież Łukowca. Przeciągali się, mrugali oczami, poczuwszy się niepewnie, zaczęli odkładać co poniektóre pożyczone przedmioty na swoje miejsce. Speszony chrzciciel wycierał ochrzczone przez siebie zwierzęta, a swojej przyjaciółce kazał pozbierać talerze. Conny stał cierpliwie, po kolei, spokojnie kierował wzrok na to, co mieli odstawić bądź uporządkować, a Młodzież Łukowca, aczkolwiek niechętnie, była posłuszna jego nakazującemu spojrzeniu – zebrała butelki i szklanki, spakowała płyty, pozbierała nawet okruchy chleba, a kiedy Conny usunął się z drzwi, potulnie opuściła truchcikiem muzeum. – O to mi chodziło – powiedział Conny – to w końcu nie jest chlew.

A więc stał tam, stał z paczuszką pod pachą, i szkoda, że nie widziałeś, jak podeszliśmy do siebie przez całą długość muzeum, najpierw powoli, ociągając się, a potem coraz szybciej, i zanim się przywitaliśmy, klepnęliśmy się parę razy, uderzaliśmy się lekko w pierś, upewniając się: – To ty? – To naprawdę ty? – Tak, Conny. – Taa, Zygmunt. – Podał mi paczuszkę ze słowami: – Przyczynek do twojej tutejszej wielce chwalebnej pracy. Chyba nie będzie jedyny.

Wciąż jeszcze nie mogłem się od niego oderwać, zsuwając sznurek nadal na niego patrzyłem. Co mi przyniósł? Intarsję, najpiękniejszą intarsję, jaką kiedykolwiek mieliśmy w naszym muzeum. Pochodziła ze starej mazurskiej szafy chłopskiej, na niebieskim tle biegly najdelikatniejsze ornamenty roślinne, środek wypełniały czerwone i białe kwiaty, a w głębi pomiędzy pędami liści z wyciągniętymi ramionami szli ku sobie kobieta i mężczyzna. To jeszcze nie było wszystko. Conny, który miał po drodze krakę i musiał przyjechać autobusem – dlatego też spóźnił się na

uroczystość otwarcia muzeum – poprosił mnie nagle, żebym oprowadził go samego po muzeum, po prostu wstał i podniósł mnie z miejsca, jak gdyby nie chciał dopuścić, żebyśmy się za wcześnie zatracili w opowiadaniu, za wcześnie pogrążyli i zagubili pośród tych wszystkich „a wiesz” i „a pamiętasz”, i zanim jeszcze zauważyłem, jak wodzi przelotnie wzrokiem po regałach i stołach, z uznaniem, chwilami w zamyśleniu, on już znalazł miejsce dla intarsji: – Tu, Zygmunt, można by ją postawić tutaj, jak myślisz? – I umieścił intarsję na jednym z regałów, otaksował jeszcze raz spojrzeniem, przekrzywiając głowę, był zadowolony.

Dalej, chciał, żebym go dalej oprowadzał; każdy przedmiot wydawał mu się godny uwagi, niektórych dotykał zamyślony, do innych, które zdawał się rozpoznawać, mrugał porozumiewawczo, poklepywał je i pieścił, zupełnie jak gdyby witał się z dobrymi znajomymi. Fotografował. Robił sobie notatki. Przez długi czas nie dostrzegał mojego rosnącego zdziwienia. W końcu musiałem go wprost zapytać: – Co jest, Conny? Chyba nie chcesz pisać o otwarciu muzeum? – Położył mi rękę na ramieniu, żartobliwie upomniał mnie, jak gdybym usiłował zobowiązać go do czegoś, co już dawno straciło wartość, i dopasowując swój krok do mojego, powiedział: – Tak, Zygmunt, napiszę o otwarciu, po to między innymi też tu jestem. Nie będziesz narzekał: przedstawię nasze muzeum jako to, czym naprawdę jest: najważniejszym, najbardziej pocieszającym tworem tego rodzaju. – I zaraz zaczął mnie namawiać, żebym zaabonował „Gońca Łukowieckiego”, założoną przez niego gazetę stron ojczystych, na którą miał licencję i której był redaktorem naczelnym; niezależna, ponadpartyjna gazeta, wychodząca w Lüneburgu...

Tak, Martinie, ciągle jeszcze wychodzi, jakkolwiek nie ukazuje się już co tydzień, a tylko co dwa tygodnie, przypuszczalnie dlatego, że Łukowiec, ten najżywiej poruszający ich wszystkich temat, już dawno został zgłębniony i rozszyfrowany, a jego dzieje i osobliwości po siedmiokroć przynajmniej odmalowano wyczerpująco w słowie i obrazie, w każdym razie na tyle często, że jako czytelnik można było przewidzieć kolejność tematów: po regatach letnich muszą nastąpić jesienne łowy, a hymn pochwalny na cześć naszych pieców kaflowych każe oczekiwać w następnym numerze medytacji o mazurskiej sztuce tkackiej z inwokacją

do Sonji Turk. Ale zostawmy to; nikt nie może przywrócić do życia owada zamkniętego w bursztynie.

Musisz wiedzieć, że jeszcze tej samej nocy Conny zainspirował radę starszych do ufundowania medalu za zasługi dla miasta Łukowca – miała to być stylizowana tarcza z krzyżem, nad nim trzy skaczące ryby, od razu też zaproponował, żeby pierwszy medal przyznać mnie, co zostało przyjęte z aprobatą i niezwłocznie uchwalone. Jeszcze zanim towarzystwo biorące udział w uroczystości się rozeszło, ustalono dzień wręczenia medalu; ach, i pamiętam jeszcze, że Conny nie przepuścił okazji, by w obecności wszystkich pogratulować mi, tak oficjalnie, że poczułem się nieswojo. Często potem jeszcze czułem tę niepewność i wahanie, kiedy musiałem go brać za słowo czy też oceniać pewne jego działania. Rozumiesz? Po prostu nie wiedziałem, jak mam to sobie tłumaczyć, kiedy później, w pokoju dziecinnym, ucałował śpiącą Henrike, śpiącemu Bernhardowi wcisnął w zaciśnięte paluszki monetę dwumarkową, a mnie samemu powinszował „takich dzieci”. A do Caroli powiedział w mojej obecności: – Jeśli o to chodzi, to my Mazurzy zawsze znajdziemy jakiś wykręt – co też mógł mieć na myśli?

Dosyć; kiedy pokazałem mu już dom i po kilku kieliszkach, które musieliśmy wychylić wspólnie z Marianem i Simonem Gayko, poszliśmy do pracowni tkackiej, usiedliśmy przy otwartym oknie, patrząc w tę niezdecydowaną ciemność, którą ty też znasz z letnich nocy nad rzeką Schlei: Tak, Conny; taa, Zygmunt.

My z tą naszą nieuleczalną chorobą – wspomnieniami: jakże prędko udało się nam ustalić dzień, w którym widzieliśmy się w domu po raz ostatni, podczas owej przerwy na kawę pod ośnieżoną górą zamkową, gdy nasz były kolega szkolny Masuch przyszedł po Conny'ego, aby dostarczyć go do Gołdapi, do miasta, o które już toczyły się walki, które tracono, znowu odzyskiwano i wśród grzmiących detonacji ponownie oddawano; w jednym z niewielu nie zniszczonych jeszcze domów Conny czekał na przesłuchanie i konfrontację. Siedział tam i czekał, gdy naraz wtargnęli rosyjscy żołnierze, a on wyciągnął ku nim swe skute kajdankami ręce.

Spoglądając na lekką mgiełkę nad rzeką Schlei Conny opowiadał, jak to żołnierze uwolnili go od więzów i zegarka, jak nakazali mu zdjąć ze ściany wszystkie obrazy za szkłem i roztrzaskać je o oparcie krzesła; jak po lustracji domu zmusili go w pomieszczeniu pocztowym do otwierania paczek poczty polowej, musiał je rozcinać, podnosić do światła i próbować zawartości zdobywanych butelek; jak go w końcu wzięli ze sobą na ulicę i kazali przyłączyć się do maszerującego oddziału jeńców, którzy mijali ich właśnie z rękami skrzyżowanymi na karku.

On, cywil, maszerował pomiędzy wziętymi do niewoli żołnierzami przez zniszczone miasto, a potem dalej przez zaśnieżone pola, cały czas równoległe do dróg i szos, zapchanych kolumnami zaopatrzenia, artylerią i jednostkami pancernymi; brnąc naprzeciw wielkim płatom śnieżnej zamieci, tłumiącej ich jęki i postękiwania, otoczeni tumanami śniegu nie dostrzegali się nawzajem.

Chociaż zabroniono im rozmawiać, to jednak podczas marszu przez rzadkie lasy zagadnął go jakiś starszy żołnierz, już po raz drugi szedł on do rosyjskiej niewoli i chciał tylko zwrócić Conny'emu uwagę, że w jego położeniu ubranie cywilne nie jest korzystne, o nie, z pewnością nie jest. Więcej nie musiał mówić, by wzbudzić konieczny niepokój, nieunikniony lęk; od tej pory Conny trzymał się w środku kolumny, nawet o zmiernych. Na noc wprowadzono ich do jakiejś stodoły, gdzie wstrząsnęli resztki słomy i zaszyli się w niej, leżąc żuli skórki od chleba, które rzucili im wartownicy, zanim zamknęli wrota i zaryglowali je. Conny nie mógł usnąć. Czujnie nasłuchując rozpoznał natychmiast głos starszego żołnierza, usłyszał go, wstał, i podążył za cieniem, było to o świcie.

Żołnierz poprowadził go do krzywej drabiny, szturchnięciem w bok nakazał mu wejść na górę; na strychu leżał żołnierz, który się powiesił na belce. Był już rozebrany do bielizny; ponownie szturchnięty, Conny założył mundur, watomane spodnie, kurtkę, buty i płaszcz; zmarłego przebrali za cywila. Przy świetle zapalki Conny dowiedział się, kim od tej pory miał być i do jakiej jednostki był odkomenderowany, wrył sobie w pamięć nazwy i numery, a potem podarli książeczkę wojskową i

wepchnęli te strzępki razem ze znaczkiem identyfikacyjnym między chyboczące się deski podłogi.

Maszerowali pięć dni na wschód; początkowo nikt nie interesował się ich nazwiskami i jednostkami, do których należeli, ale zanim załadowano ich do pociągu towarowego, musieli przejść przez barak, szlauch, służbę, gdzie rejestratorzy nanieśli ich dane na listy, a rzeczoznawcy skontrolowali ich bagaż i ulżyli mu sumiennie. Jako Robert Feller, były starszy szeregowy tak zwanej kompanii remontowej, wsiadł Conny do pociągu, który wiózł ich niespiesznie przez zimową dal; rychło przestali liczyć noce, które spędzili na bocznicach. Gdy zmarł starszy żołnierz, nie było już chyba pośród jeńców nikogo, kto wiedziałby o pożyczonej egzystencji Conny'ego; odnosili się do niego z tą samą obojętnością, jaką mieli dla innych.

Dalej opowiadał Conny o obozach, czekających na nich obozach, które każdy skądś tam znał, zagubionych, przycupniętych w nieprzebytych pustkowiach, z górującymi groźnie drewnianymi wieżyczkami; wkraczał do środka, zajmował zawsze taką samą pryczę, podporządkowywał się powstającym momentalnie prawom hierarchii wśród jeńców, trzymał się i zapewniał sobie korzyści dzięki temu, że pod przybranym nazwiskiem godził się na wszystko, na każde zadanie, każdą żadaną czynność. Jeśli na apelu pytali o sanitariusza, występował Conny; kiedy potrzebowali elektryka, murarza, pomocnika pisarza obozowego, Conny podnosił rękę i był odtąd zwalniany od codziennej pracy – przynajmniej nie musiał pracować pod nadzorem straży i mógł nie uczestniczyć w apelach, podczas których liczone więźniów przed wymarszem w ciemności i po powrocie też w ciemnościach. Przenoszony kilkakrotnie do innych, coraz odleglejszych obozów, w których, jak sądził, za każdym razem pozostawała częśćka jego samego, nie tylko pogodził się z nowym nazwiskiem, ale i śnił już o nim jako o swoim własnym, wypełniał je sobą, zamieszkiwał w nim, że się tak wyrażę. Z wdzięcznością myślał o starszym żołnierzu, który wystarał mu się o mundur; w międzyczasie nader często dowiadywał się, na jakie brzemienne w skutki podejrzenia narażeni byli automatycznie cywile na obszarze frontu.

Kiedy ułożono pierwsze listy repatriacyjne, łatwo mu przyszło wywiedzieć się, że jego nazwisko również tam figurowało; już zaczął rozdawać swój sekretny dobytek – żyletki, papier listowy, oba sporządzone przez siebie noże, lecz przed ostatecznym zestawieniem transportu rozpoczęło się jeszcze raz wielkie śledztwo i rewizje, wzywano ich pojedynczo na ostatnie przesłuchanie do komendantury, gdzie nie tyle musieli ujawnić nieznanne fakty, ile raczej potwierdzić już znane. Conny prześlizgiwał się szczęśliwie przez uporczywy labirynt ich pytań, byli z niego zadowoleni, wzywano już następnego, kiedy jeden z członków komisji jeszcze raz zapytał o numer jednostki Conny'ego i miejsce jej stacjonowania pewnej określonej jesieni.

Na chybił trafił – jak opowiadał Conny – wymienił jakąś miejscowość na Ukrainie, na co tamten bez słowa podsunął leżące przed nim papiery komendantowi, który je pobieżnie przeczytał i z kolei sam podał dalej, a w końcu bez wzburzenia, którego można by oczekiwać, przywołał wartownika. Conny pomylił się o trzysta kilometrów, ale to jeszcze nie wszystko: nie wiedział, że owej jesieni kompania naprawcza brała udział w akcji represyjnej przeciwko cywilom, gdzieś głęboko na tyłach.

Skazany na dwadzieścia lat przymusowych robót, został przeniesiony do innego obozu u zbiegu dwóch wielkich rzek, do jakiegoś zapomnianego obozu, jak mówił Conny, otoczonego ciszą starych lasów, oddalonego o kilka dni marszu od najbliższej stacji kolejowej. Komendant, niski, barczysty i posępny – mogłeś sądzić, że i jego skądś znasz – zdawał się traktować swój posterunek jako wyznaczony mu rodzaj zesłania, za co mścił się na tych, którzy zdani byli na jego łaskę. Więźniowie pochodzili z wielu krajów europejskich, trafili tu nawet Hiszpanie, Holendrzy i Duńczycy, w większości skazani przez sądy wojskowe na kary „jubileuszowe” – na dziesięć, dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat. Conny'ego, jako nowo przybyłego, przydzielono do grupy Węgrów; zajął prycę pośród nich, latem i zimą wyruszał z nimi do lasu, aby przy pomocy jedynie ręcznej piły, siekiery i klina ścinać olbrzymy o grubej korze, każdego dnia przepisowe ilości metrów sześciennych...

Conny opowiadał, że Węgrzy mieli swojego rzecznika czy też starostę, któremu byli bezgranicznie oddani; gdy on wkraczał, cichły spory, szukający u niego rady mogli być pewni swojej sprawy, zrozpaczonemu podsuwał zawsze jakąś deskę ratunku, której mógł się uchwycić, ponadto wiele potrafił osiągnąć przy pomocy ołówka.

Nawet po pracy brał swymi poplamionymi na brązowo, lepкими, pachnącymi żywicą rękami ołówek, szukał dostatecznego światła, gestem przywoływał któregoś ze swych ziomków i proponował mu, by ten opisał miejsce, skąd pochodzi, jakiś swojski, ojczysty zakątek, fragment krajobrazu, którego nikt nie zapomina. I podczas gdy tamci zacinając się przypominali sobie, on według ich słów szkicował brzeg rzeki, winnice, równiny, stawy i chaty, prosząc ich ciągle o poprawki, co miało ten skutek, że musiał bezustannie zmniejszać, zwięzać i stopniowo przybliżał się do obrazu, jaki każdy z nich zachował w pamięci z dawnych dni. Często obrazki te podobne były do siebie przez swój spokój i ustronność, zawsze coś tam na nich trwało w cichym oczekiwaniu albo wstrzymywało oddech.

Każdemu z Węgrów sporządzał po boleśnie dokładnym przypominaniu rysunek ołówkiem, nie większy od pocztówki; niektórzy nosili je w ochraniających tekturowych okładkach, inni przypinali w głowach pryczy. Z grzeczności czy też ze współczucia poprosił również Conny'ego, by opisał miejsce, które chciałby uwiecznić na obrazku, tak, miejsce jego przynależności, a on zdecydował się nie na reprezentacyjną panoramę Łukowca, jaka ukazuje się z wysokości dzikiej gruszy, lecz na górę zamkową i siedem sosen, pod którymi niegdyś rywalizując ze sobą założyliśmy nasze sekretne cmentarze. Codziennie był świadkiem, jak więźniowie kontemplowali te rysunki, nawet na dworze, w lasach.

Którejś zimy, kiedy ptaki spadały martwe z drzew, przywódca Węgrów zachorował, a ponieważ lazaret był już przepełniony, zaniecono go do izby, gdzie kładli umierających. Po pracy więźniowie szli wspólnie odwiedzić chorego, ale on wolał mówić z każdym z osobna; niekiedy zatrzymywał jakiegoś gościa cały wieczór u siebie, tak że minęły blisko

trzy tygodnie, zanim porozmawiał z każdym ze swoich rodaków – o czym, tego nikt nie chciał powiedzieć.

A potem starosta zmarł, i Węgrzy pochowali go u zbiegu obu rzek, na cmentarzu obozowym, otaczając opieką i przystrajając jego grób przez wszystkie pory roku. Kto znał stosunek, jaki mieli do i zmarłego, ten nie zdziwił się, że kiedy niespodziewanie zaczęto formować pierwsze transporty na powrót do kraju, Węgrzy zwrócili się do komendanta z prośbą o pozwolenie zabrania do domu śmiertelnych szczątków ich byłego rzecznika. Prośbie odmówiono, i w miejsce Węgrów do domu wolno było pojechać Rumunom, na długo przed upływem wymierzonych kar. Tymczasem Węgrzy z twardego drewna i skrawków blachy, które zdobyli w kuchni i obozowym warsztacie, zbili podobną do trumny skrzynię i postawili ją pośrodku baraku.

Wkrótce wezwano ich znowu do powrotu do kraju i znowu skreślono z listy, gdyż wszyscy bez wyjątku wzbraniali się pozostawić bez opieki grób swego przywódcy i nic nie mogło zachwiać ich postanowienia, ani podwyższone pensum pracy, ani obniżone racje jedzenia, ani też szykany, które wynajdywał dla nich posępny komendant.

Conny wypytywał ich ostrożnie na osobności i prędko wywiedziało się, co umacniało ich w decyzji: otóż dobrowolnie przyrzekli swemu staroście, że nie wrócą bez niego. Wierzyli po prostu, że tego od nich w domu oczekują, i obstawali przy tym godząc się na wszystko, co na nich nakładano. Że łatwiej znosili wymyślne szykany niż członkowie i innych nacji – na to, jak twierdził Conny, widział wystarczająco wiele dowodów. Kiedy po raz piąty stali w kolejce do zwolnienia, zagrozili strajkiem głodowym na wypadek, gdyby ich jedyne życzenie miało pozostać znowu nie spełnione; tym razem komendant ustąpił, pozwolono im otworzyć grób i zabrać ze sobą prochy ich rzecznika. Wkrótce po ich wyjeździe również Conny'ego dołączono do transportu idącego na zachód; zakomunikowano mu, że nadzwyczajne złagodzenie kary zawdzięcza jedynie wielkoduszności rządu...

Widzisz, Martinie, ja też go o to zapytałem: jak pozbył się przybranego nazwiska czy też jakie to zdarzenie podsunęło mu myśl zdjęcia nowej skóry, za którą przecież drogo zapłacił. Podczas tygodniowej podróży pociągiem, opowiadał Conny, nie mógł jeszcze podjąć żadnej decyzji, kazał się nazywać Feller i pod tym nazwiskiem dotarł do obozu przejściowego, jako Robert Feller został też zwolniony do domu, do Hanoweru, gdzie odnalazł nie tknięty przez bomby dom, na którego furtce wisiała tabliczka głosząca: Heinrich Feller i syn, rzecznicy patentowi. Nie wszedł, przynajmniej nie od razu; udał się do słabo uczęszczanego lokalu, kazał sobie co jakiś czas podać piwo, siedział i spoza brudnej firanki obserwował dom, siedział tak przez pół popołudnia, ze swej strony obserwowany podejrzliwie przez właściciela; dopiero gdy na parterze zabłyśło światło, przeszedł przez ulicę i zadzwonił. Otworzył mu starszy mężczyzna w domowej kurtce, i zanim jeszcze Conny zdążył wymienić swoje nazwisko, usłyszał kobiecy głos wołający: – Czy to on? Czy to on, Heinrich? Powiedz szybko, kto to?

Stary człowiek zaprowadził go do obrośniętego zielenią pokoju; zdawał się od razu wiedzieć, w jakiej sprawie przyszedł do niego Conny. – Jeśli się nie mylę, powiedział, przynosi mi pan wiadomość o moim synu. – Na to Conny położył na stół swoje dokumenty zwolnienia, poczekał, aż mężczyzna przeczyta, przygotowany na jego zdumienie i nieufność, a potem opowiedział o zamianie ubrań i nazwisk, i dokąd go to wszystko zaprowadziło.

Czy wiesz, o co stary człowiek w końcu poprosił Conny'ego?

O mundur, o resztki z czasem wielokrotnie reperowanego munduru; zamyślony stwierdził, że znalazłby dla niego zastosowanie, a jako odszkodowanie zaproponował Conny'emu pieniądze na ubranie cywilne. Tak, wkrótce potem wystawiono Conny'emu nowe papiery, z pomocą Krimkowskiego, którego spotkał na dworcu w Hanowerze i który poręczył za niego jako świadek.

Możesz sobie wyobrazić, cośmy tej nocy jeszcze raz przywracali życiu, co ożywialiśmy przy oknie pracowni? Schodziliśmy po schodkach w dół

przez miniony czas, przepatrywaliśmy kąty, zdmuchiwaaliśmy kurz i słuchając zdawało mi się niekiedy, jak gdyby zdarzenia same się opowiadały, jak gdyby to, cośmy przeżyli, udzielało się nam obu równocześnie, szmerząco, obojętnie. Wyglądało to tak, jakby oto z łodzi do łodzi przerzucano liny, chwyciono je i dłoń przy dłoni ściągano do siebie, aż w końcu burty się zetknęły, nie pozostawiając między sobą wolnej przestrzeni. Świtało, a my wciąż jeszcze siedzieliśmy, bynajmniej nie zdumieni, że w ten sposób spędziliśmy całą noc, i patrzyliśmy, jak pod zrywającą się bryzą poruszyła się lekka mgła i jak w pierwszych promieniach słońca woda zaczęła się burzyć, tam gdzie chmary śledzi wystrzelały aż pod samą powierzchnię przed swymi prześladowcami.

Podczas gdy ja robiłem śniadanie, Conny poszedł jeszcze raz do muzeum, trzymając w ręku zdjęcie, na którym Edith stojąc nad rzeką ze śmiechem próbowała przyciągnąć żerdzią piłkę Pawełka, która odpłynęła od brzegu. – Rzeczywiście, Zygmunt, powiedział później, w naszym muzeum czujesz nagle, że odzyskujesz grunt pod nogami; coś cię unosi, prostuje. – Naprawdę myślałem, że się przestyszałem, ale on powtórzył swe wyznanie, potrząsając przy tym głową.

Odjechał od nas porannym autobusem; ręka w rękę poszliśmy w cieniu żywopłotu aż do pastwisk majątku Holmbek, skręciliśmy na rozgrzaną już od słońca szosę, milcząc, całą drogę w milczeniu; dopiero gdy z położonego niżej mieszanego lasu twarde, błyskające światło odbite od szyby ochronnej zapowiedziało nadejście autobusu, wymieniliśmy jeszcze raz ustaloną datę ponownego spotkania. Potem Conny odjechał, a ja powoli wracałem, rozmyślając ze zdumieniem, a może nawet z niedowierzaniem o naszym spotkaniu, czując przy tym rosnące zatroskanie, coś domagało się wyjaśnienia, jasności, żałowałem, że nie zadałem mu więcej pytań, tak, że oszczędziłem mu zbyt wielu wątpliwości.

Pod bukami stały jeszcze ławy i stoły, wszędzie poniewierały się resztki z uroczystości otwarcia muzeum, poplamione tekturowe talerze, zmięte papiery; muzeum było otwarte, chciałem wejść, ale doszedłem tylko do drewnianej werandy: w dole, na wąskiej plaży biegło dwoje

rozbawionych ludzi, mężczyzna i kobieta, byli to Marian i Carola; odbiegali od siebie, okrążali jedno drugie, brodzili po wodzie, z jasnego jak glina stromego brzegu coś razem wyrwali – korzenie, wiesz, wymyte do białości, twarde, poskręcane korzenie, wyblakłe od słońca, zmuszone przez bezlitosne przeszkody do przybierania dziwacznych kształtów. O tej wczesnej porze szukali tam korzeni, a ja, oparty o balustradę, mogłem dojrzeć, jak przynosili sobie nawzajem jakąś fantastyczną roślinę, podnosili do góry i próbowali interpretować, każde wedle swych możliwości albo oczekiwań, i mimo woli zacząłem sobie wyobrażać, jakie to śmiałe interpretacje dawał „artysta”: – Tutaj widzisz nadzwyczaj długą zmięę z potrójnie złamanym kręgosłupem; to tutaj to syczące zaklęcia; a przy tym tworze chodzi bez wątpienie o wykrzywioną, zmurszałą łate mierniczą, oplakującą swój utracon kształt!

Ach, zostawmy to. Drzwi do naszej przeszłości stały otworem, wszedłem do środka, oszołomiony nagłym uczuciem, że wypełniłem pewną dawną powinność i że ostatecznie się zadomowiłem; pomyślałem o wuju Adamie, ujrzałem jego obraz przed sobą.

Teraz, mówisz? Czy Conny zgłosił się także po zniszczeniu muzeum?

Nie, nie, możesz być spokojny, rozumiem tę uzasadnioną niecierpliwość słuchacza i bez trudu mogę ci odpowiedzieć, nie uprzedzając zasadniczych faktów...

A więc osobiście nie przyszedł, nie przysłał nawet listu, ale w jego gazecie, w „Gońcu Łukowieckim”, ukazał się artykuł na ponad półtorej strony – nie, nie artykuł, lecz list otwarty do mnie zatytułowany „Do niewiernego powiernika przeszłości”. Zachowałem ten numer dla ciebie, tutaj, na najniższej półce nocnego stolika. Tylko tyle: Zdezorientowany i zaślepiony, zniszczyłem jakoby coś bezcennego, czego niszczyć nie miałem prawa, choćby moje zasługi były nie wiem jak wielkie. Moja zuchwała arbitralność, pisze, spowodowała, że zniszczyłem zgromadzone dowody nieprzemijającej prawdy i pozbawiłem wielu naszych rodaków po raz drugi ojczyzny. Nie wątpię jednak, że wolałbyś raczej wyrobić sobie własny pogląd na tę sprawę...

Ale gdzie to akurat byliśmy? Prawda: ten migotliwy, gorączkowy poranek, ze swymi kłopotami i satysfakcją; nasze muzeum było więc oficjalnie otwarte, Łukowiec odrodził się, by już nie zginąć, złożony tak przewidująco na podstawie świadectw, których żarliwa mizerność ciągle na nowo mnie wzruszała; to, cośmy tu zebrali, wystarczało w każdym razie, żeby zobrazować minione życie we wszystkich jego przejawach.

Czego nikt z nas nie przewidział, to strumienia darów, który dotarł do nas po tym, jak w gazetach ukazało się kilka relacji z otwarcia muzeum; z daleka przesyłali nam poroża i dokumenty, przez wzgląd na nas rozstawali się z zabawkami i tkaninami, przeznaczali nam próbki ziemi i niedzielne malowidła, spreparowane rybie głowy – rzeczy, które przywieźli ze sobą i których nie porzucili, kiedy porwał ich i rozproszył tajfun historii; mienie, które dlatego chyba tak ochoczo oddali, iż sądzili, że u nas, w sąsiedztwie podobnych dokumentów, będzie miało jeszcze większą moc świadczenia.

Dobrze, Martinie, zgoda, dosyć na dziś... Pojutrze? Wobec tego na pewno jeszcze tu będę...

XV

Kiedyś, pamiętam, pojawił się bez zapowiedzi ów zakochany w historii minister spraw wewnętrznych; podczas męczącej podróży służbowej zapragnął tak po prostu do nas zajrzeć, aby się trochę odprężyć i chłonać z regałów echa przeszłości; z ironicznym smutkiem mówił o nowych tendencjach do tymczasowości, do życia do odwołania, które pewne stowarzyszenie architektów uczyniło nawet swoim programem. Kiedyś Bernhard zainkasował pieniądze za wstęp i zaprosił kolegów z klasy na lody i kiełbaski; za resztę pieniędzy kupili w sklepie zoologicznym kilka ptaków śpiewających, które wypuścili na wolność nad brzegiem rzeki Schlei. Któregoś dnia zajechał Reschat z rodziną, były namiestnik Łukowca, pragnąc widocznie przybliżyć swojej drugiej rodzinie świadectwa miasta, nad którym kiedyś miał nieograniczoną władzę; zapukał do nas, z kopertą w ręce, w której był czek na ofiarowaną sumę; posłałem do niego Mariana i kazałem przekazać, że muzeum jest

chwilowo zamknięte. A kiedyś – strumień darów już dawno sprawił, że zaczęliśmy odczuwać brak miejsca – a więc kiedyś drogą w parowie przyjechała z łoskotem ciężarówka, kierowca podał nam list, subtelne, wąskie pismo, i zanim jeszcze skończyliśmy czytać, kierowca spuścił klapę przyczepy i zabrał się do wyładowywania przesyłki. To były dzwony, wiesz, pożarowy, alarmowy na burzę, a także dwa dzwony kościelne z Łukowca i okolic, ciężki, cetnarowy balast, który chciał nam życzliwie wmusić pewien superintendent w stanie spoczynku i który musieliśmy odesłać, gdyż nie mieliśmy go gdzie umieścić – był to zresztą jedyny dar, którego nie przyjęliśmy. A raz, owego śmiertelnie znużonego lata, kiedy Henrike całe dni spędzała w muzeum, zdecydowana odrysować cały inwentarz – kiedyś zdarzyło się naprawdę, że jakieś dwie dziwne stare kobiety, sądząc, że nikt ich nie obserwuje, ukradły maleńkie próbki przekazanej nam ziemi ojczystej, zawięły je pospiesznie w papierowe tutki i ukryły w torebkach.

Nie zaskoczę cię chyba, jeśli powiem, że Conny opublikował w tym czasie łącznie pięć relacji o naszym muzeum, pięć entuzjastycznych, bogato ilustrowanych i zachęcających artykułów, które sprawiły, że wybrało się do nas wielu gości, do położonego na uboczu Egenlund, tak. Często trzymali w rękach artykuły z „Gońca Łukowieckiego”, poruszając się z ich pomocą wśród eksponatów; niekiedy widywałem ich, jak zwiedziwszy muzeum siadywali na drewnianych ławeczkach, pogrążeni jeszcze raz w lekturze naszego pisma stron ojczystych, zupełnie jak gdyby próbowali porównać ze sobą to, co zostało zapowiedziane, z tym, co przeżyli. Ani razu nie znaleźliśmy egzemplarza „Gońca Łukowieckiego” w którymś z naszych koszy na śmieci...

W redakcji, pytasz? Czy kiedykolwiek odwiedziłem Conny'ego w jego redakcji?...

Tak, Martinie, byłem tam, aczkolwiek tylko raz, siedziałem na jedynym krześle dla interesantów i przysłuchiwałem się, jak Conny dyktował z pozorów bezwolnej sekretarce krótkie wiadomości z Łukowca, z dzisiejszego Łukowca, którego nazwę jego polscy mieszkańcy trochę skrócili. Musisz wiedzieć, że za każdym razem, kiedy u nas był, zapraszał

mnie, żebym odwiedził go w redakcji, ale ja ciągle nie mogłem wygrzebać się poza Szlezwik, gdzie w końcu znajdowaliśmy i dostawaliśmy wszystko, czego nam było potrzeba. Ale kiedyś Conny miał swój wielki dzień, więc poczułem się zobowiązany pojechać do Lüneburga. Nigdy przedtem nie zdarzyło się wszak, że ktoś został honorowym obywatelem Łukowca, mam na myśli: honorowym obywatelem utraconego, nieosiągalnego miasta, które w międzyczasie wprawdzie tylko nieznacznie, ale zmieniło już swą nazwę; jednakże rada starszych naszego Heimatverein-u czuła się wystarczająco kompetentna, by w uznaniu jego zasług nagrodzić Conny'ego tą zdumiewającą godnością.

Pojechałem więc tylko po to, żeby być przy tym wydarzeniu, odnalazłem skromny, prywatny dom, gdzie na piętrze mieściła się redakcja, zajmująca małe, pełne zakamarków pokoiki na poddaszu, których ściany wyklejone były najkorzystniejszymi, choć nieostrymi widokami Łukowca i w których pomalowana farbą podłoga tak była zavalona stosami gazet i górami manuskryptów, że ćwicząc codziennie slalom między nimi niechybnie mogłeś nabawić się zwichnięcia stawu biodrowego. Conny zapoznał mnie ze swym jedynym redaktorem, zamkniętym w sobie, tęgim mężczyzną, który wprawdzie sam nie pochodził z Łukowca, za to jego żona tam się urodziła; poznał mnie także z jedyną sekretarką, która uśmiechnęła się bezradnie, kiedy Conny nazwał ją chodzącą encyklopedią Łukowca. Nie przebrał się jeszcze na swój uroczysty wieczór, musiał przedtem podyktować wiadomości w skrócie, które czerpał z tłumaczonych doniesień; nie tylko tolerował moją obecność przy ich dyktowaniu, ale życzył sobie wręcz, bym został, i własnoręcznie przyciągnął jedyne krzesło dla gości: – Klapnij i słuchaj – nowiny z Łukowca.

Czego się dowiedziałem?

Wyższe piętra budynków w Łukowcu również tego lata pozbawione były bieżącej wody, ponieważ nie udało się podwyższyć odpowiednio ciśnienia. Nieliczni taksówkarze Łukowca ponownie odmawiali przyjmowania zleceń na zbyt dalekie kursy poza miasto; swą odmowę uzasadniali złymi drogami, na których samochody zbyt szybko się niszczą. Dawny majątek został przebudowany na szkołę rolniczą, jednakże nie

można było jej jeszcze przekazać do użytku, gdyż nie dostarczono części zamiennych do centralnego ogrzewania. Chłopi w Ch. postanowili sami uzyskać połączenie z resztą świata; rozpoczęto już budowę pięciokilometrowej drogi. W samą porę przed zimą ukończono prace renowacyjne na dworcu w Łukowcu: ściany wewnętrzne wyłożono płytami z marmuru. Ludność, z czasem przywykła do „naszej” łukowieckiej zimy, ma nadzieję, że wkrótce nadejdą dostawy ciepłej odzieży.

Czy to były najważniejsze, najbardziej godne zakomunikowania nowiny z tego starego miasta? Czy z Łukowca, który stał się pułapką tęsknoty, można było donosić tylko fakty obciążające, czy dostarczał on jedynie przygnębiających przykładów niedoskonałości?

– To – powiedział Conny ze stroskanym wyrazem twarzy – tę wiadomość też jeszcze weźmiemy: Na placu przy kościele otwarto uroczyście nową aptekę. – Potem rzucił luźne kartki na biurko sekretarki, odwrócił się do mnie, nagle zmieszany, i chociaż nie powiedziałem ani słowa, czułem się zmuszony usprawiedliwić wybór swych wiadomości: wszystko, co podyktował, pochodziło z prasy polskiej, niczego tu nie zmyślono ani nie zniekształcono, a za poprawność tłumaczenia mógł ręczyć. Położył mi rękę na ramieniu, pociągnął mnie za sobą; a ja nie pytałem już o nic więcej, pozwoliłem sobie objaśnić przeznaczenie pokoiów, pełnych zakamarków, mogłem poszperać w archiwum, postukałem palcem w kilka tytułów skompletowanej przez niego biblioteki stron ojczystych, tak, obejrzelśmy też portrety sławnych lub przynajmniej godnych wzmianki Mazurów, a zanim zeszlismy na dół, musiałem mu obiecać, że przy najbliższej okazji przyjdę znowu, żeby się zapoznać ze stylem pracy redakcji.

Na dole mieścił się jeden mały i jeden większy pokój, gdzie Conny mieszkał – były to pokoje umeblowane, jak dowiedziałem się ze zdziwieniem; właścicielka, wdowa po maszyniście pociągu, który przez większą część swego życia prowadził wąskotorową kolejkę nad jeziorami mazurskimi, mieszkała po drugiej stronie sieni. Szafa – nigdy przedtem nie widziałem tak pretensjonalnej szafy; Conny otworzył ją ostrożnie i

wyjął ciemny garnitur, ściągnął ze sznurka srebrzysty krawat, a z mrocznej głębi wydobył na jaw czarne półbuty. Podczas gdy się przebierał, ja rozglądałem się szukając jakiejś fotografii, jakiejś ryciny czy innej pamiątki, ale nie znalazłem nic, ani obrazka nad tapczanem, ani fotografii za szkłem na parapecie okiennym, żadnej figurki, żadnej rzeczy, żadnego talizmanu, nic, co by pochodziło od niego i co mogłoby uczynić jego postać bardziej wyrazistą. Wszystko, co osobiste, zdawało się starannie wymazane albo też Conny od samego początku świadomie unikał zbierania czy stawiania rzeczy, świadczących o przeżytych chwilach czy choćby tylko przywołujących na pamięć spotkania i nastroje. Doszedłem do wniosku, że Conny nie przywiązuje najmniejszej wagi do tego, by zaznaczyć swój własny ślad, i że czuje się dobrze w tym domu bez szczególnych znaków, jakby stworzonym do tego, by ułatwić zapomnienie...

Sprzeczność, myślisz? A w czym miałyby się ona zawierać?

Ach, wiesz: kto tak namiętnie żyje wspomnieniami, ten czuje się wyniesiony ponad wszelką terażniejszość, ten musi ją unieważnić, uznać za martwą płaszczyznę, za to mile będzie widział wszystko, co utwierdza go w zamiarze, by nadal zamieszkiwać przeszłość.

Ale co to jeszcze muszę ci powiedzieć? Prawda: o niespodziewanej przeszkodzie, która w końcu uniemożliwiła mi towarzyszenie Conny'emu w uroczystym akcie, w asystowaniu przy tym, jak wyliczają jego zasługi, w przysłuchiwaniu się, przyklaskiwaniu...

Zaczęło się dokładnie tak jak na mostku w Egenlund, w pracowni, i na strychu: coś się przekrzywiło, coś się zachwiało, menstrualna szafa zakołysała się, grożąc runięciem, a ja stałem tam w bezbronnym niepokoju, z coraz twardszym łomotaniem w uszach, zbyt słaby, by krzyknąć. Potem poczułem mdłości, a świat przed oczami zmaćił się, rozpląnął powolnymi kręgami; nogi miałem jak obumarłe. Zanim upadłem, pomyślałem jeszcze, że to zawroty głowy, i usłyszałem okrzyk przerażenia Conny'ego: – Zygmunt, mój Boże, Zygmunt! – Wciągnął mnie na swój tapczan, zdjął mi buty i marynarkę, rozpiął mi koszulę, potem z

korytarzyka zatelefonował po lekarza, poczekał, aż gospodyni go wprowadzi, i dopiero gdy lekarz uspokoił go, że była to tylko chwilowa niedomoga krążenia, pożegnał się przepraszając i obiecując, że przyjdzie znowu tak prędko, jak tylko będzie mógł.

Widzisz, i zamiast siedzieć w sali bankietowej hotelu „Pod Czółnem” i przysłuchiwać się honorowemu obywatelowi przeszłości, leżałem w jego anonimowym pokoju, którego wyposażenie wystarczało zaledwie, by mógł uchodzić za umeblowany – leżałem tam z uczuciem, że oddziela mnie od świata mętna, zaparowana szyba, przynajmniej do chwili, zanim zastrzyk i proszki zaczęły działać. Stopniowo przedmioty znowu nabierały konturów i zobaczyłem kilka par wpatrzonych we mnie oczu, były to życzliwe oczy kobiety, oczy jej psa i kota; zwierzęta siedziały jak wyrzeźbione, z największą czujnością śledząc moje ruchy. Kobieta przyniosła mi herbatę z kwiatu lipy, trzymała za mnie filiżankę i dawała mi pić; lekarz przekazał przez nią, że może jeszcze zajrzy, a na pewno zadzwoni. Kobieta miała swój własny sposób lamentowania: mówiła i powtarzała to kilkakrotnie: – No nie, i to akurat w taki uroczysty dzień; widać, że choroba wszystko ma za nic.

Kiedy usiadłem na łóżku, wyglądała na rozczarowaną, pod żadnym pozorem nie chciała dopuścić, żebym wstał i zrobił kilka kroków. Z jaką naturalnością ścierała mi z czoła zimny pot! I jak sprawiedliwie umiała podzielić swe współczucie pomiędzy Conny'ego i mnie! – Nie zasłużył sobie na to pan Karrasch – mówiła na przykład – żeby mu pan właśnie dziś zaniemógł.

Żarzące się oczy zwierząt, ciepło potęgujące jeszcze uczucie osłabienia, kapiące słowa kobiety, przemawiającej do mnie tonem łagodnej skargi sprawiły, że pozostałem w łóżku, chociaż być może udałoby mi się przeżyć jeszcze zakończenie uroczystego aktu i wzmocnić końcowe oklaski dla Conny'ego.

To, co od niej usłyszałem, co opowiedziała mi nie pytana, było jednym hymnem pochwalnym swoistego rodzaju, panegirykiem na cześć Conny'ego, z którym łączyła się skarga na warunki, w jakich musiał

pracować. Tak, uwielbiała go, rozumiała każdą ofiarę, jaką ponosił dla gazety i owego dalekiego miasta za horyzontem, w którym ponoć był taki szczęśliwy; broniła widomej obsesji, z jaką stawiał swej ojczyźnie pomniki; chwaliła jego skromne wymagania co do jedzenia i nieomylny gust w wyborze ubrań. Odczuwała podziw dla zręczności, z jaką Conny przewycięzał finansowe tarapaty, w które wielokrotnie wpadała gazeta i on sam; w końcu nigdy jeszcze nie był nikomu nic winny, jej też nie, o nie. Swój spokój o najbliższą przyszłość uzasadniała częstymi odwiedzinami pewnego uprzejmego pana, który jeszcze nigdy nie pojawił się bez kwiatów, a po jego wyjściu pan Karrasch, rozpogodzony, oddychał z ulgą. O nazwisko tego gościa nie musiałem pytać, bo sama z uznaniem wymieniła: – Może być, że pan Reschat właśnie bierze udział w uroczystości.

Następnie z uśmiechem wyjawiała mi, czego się dowiedziała o mnie od Conny'ego, oprócz wszystkich tych informacji, jakie mogła zdobyć w „Gońcu Łukowieckim”; wszystko tu świadczyło o wczesnej, trwałej sympatii, o przyjaźni, która nie potrzebowała słów; nie mogła się tylko zdecydować, kto w „młodych latach mógł być większym zawiadakią”. Czego to Conny jej nie naopowiadał! Nawet Dzień Tarski był jej znany i nasze zabawy na górze zamkowej pod siedmioma sosnami. Nie zależało jej na tym, by usłyszeć inną wersję lub uzyskać potwierdzenie tego wszystkiego, co o nas wiedziała, wystarczało jej pokazanie mi, jak dalece była wtajemniczona, i demonstrowała tę swą wiedzę w taki sposób, że brzmiało to jak agitowanie za Connym.

Tak, Martinie, siedziała przy mnie, dopóki Conny nie wrócił, w pośpiechu, zatroskany, a kiedy pytał, jak się czuję, odpowiedziała za mnie. Niedbale podał jej otrzymany dopiero co dyplom, wręczył go jej do przestudiowania, do przechowania albo też jako odszkodowanie za to, że zastępowała go przy moim łóżku; kobieta skinęła głową, było to zgodne z jej życzeniem, i oflankowana zwierzętami opuściła pokój, już pogrążona w lekturze.

Teraz wstałem, to znaczy spróbowałem wstać, ale Conny przytrzymała mnie za ramiona, tak że musiałem mu pogratulować z łóżka;

powiedziałem: – Moje gratulacje dla honorowego obywatela Atlantydy – a on na to, po chwili namysłu: – Czasami, Zygmunt, mam rzeczywiście uczucie, że nade mną jest ocean i że muszę się obciążać ciężarkami, żeby nie wypłynąć na powierzchnię.

Był w płaszczu, wrócił tylko na sekundę, żeby zobaczyć, czy jest mi lepiej; w „Czólnie” czekało na niego wesołe towarzystwo, które nader niechętnie go puściło. Nie musiałem go prosić, sam, nie pytany wymienił nazwiska towarzyszy, same swojskie nazwiska, wśród nich był Reschat; dawny namiestnik Łukowca był nawet członkiem komitetu, który ułożył i zatwierdził tekst dyplomu honorowego obywatelstwa. Widziałem ich w duchu, siedzących wokół okrągłego stołu, człowiek przy człowieku, w niepojętej zgodzie, zespoleni i złączeni jedynie wspólnotą pochodzenia – zbiegowie, nurkujący na dno doznanego czasu, aby zbudzić widma, które nagle polubili, aby się zabawić w przywoływanie cieni. Conny zaprosił mnie, żebym dołączył do nich później. Powiedział, że będzie grać mi miejsce. Zapewniał mnie, iż towarzystwo powita mnie z entuzjazmem. – Odpocznij jeszcze chwilkę, a potem przyjdź – powiedział i odwrócił się ku drzwiom.

Ty przynajmniej zrozumiesz chyba, że musiałem go zawołać z powrotem, musiałem mu wyjaśnić, dlaczego nie mogę usiąść przy stole, przy którym siedział już Reschat. Conny musiał wiedzieć, dlaczego nie mogłem pójść z nim. Nie dał mi zacząć, z westchnieniem podszedł jeszcze raz do łóżka, z westchnieniem i niecierpliwością, i zanim jeszcze zdążyłem coś powiedzieć, z cichą stanowczością stwierdził, że wszystko to jest mu znane, także to, co właśnie zamierzałem mu zakomunikować. W jego głosie brzmiało zniescierpliwienie i pobłażanie, kiedy wezwał mnie, bym nie obnosił dłużej ze sobą zwietrzałej, bezużytecznej wiedzy. On sam znał oczywiście przeszłość byłego namiestnika, tak, przypuszczalnie wiedział więcej niż ktokolwiek inny o czasach jego uzurpatorskiej władzy. Nie, żeby go chciał uniewinnić z tego wszystkiego, z tego całego brzemienia winy i odpowiedzialności, jakie wziął na siebie, nie żeby chciał go brać w obronę czy wręcz go usprawiedliwiać; jedyne, co chciał mu przyznać, to była ni mniej, ni więcej, tylko druga szansa. W tym zawierało się credo Conny'ego: że w czasie, w którym każdemu dana jest najwidoczniej jedna

jedyna szansa, by się wykazać lub poprawić, powinniśmy domagać się uparcie drugiej szansy. W każdym razie przemawiał do mnie napominającym tonem. Prosił mnie, bym jeszcze to przemyślał i odrzucił, co zbędne. Poprosił jeszcze raz, żebym przyszedł: – Naszym kapitałem zakładowym, Zygmunt, jest przecież nadzieja...

Tak jest, Martinie, znasz mnie: już nie poszedłem za Connym, nie dotarłem na uroczyste łukowieckie zebranie. Chwilę jeszcze leżałem spokojnie na tapczanie, nie dlatego nawet, bym się wahał czy nie mógł podjąć decyzji, lecz tylko obserwując kota, który wcisnął się w szparę drzwi i z karkołomnie uniesioną tylną łapką demonstrował mi rozkosze samoczyszczenia. Potem wstałem. Napisałem do Conny'ego krótki list. Następnie zapukałem do drzwi po drugiej stronie sieni, zawołałem nawet, ale ponieważ nikt się nie odezwał, opuściłem dom i poszedłem na dworzec; po drodze minąłem „Czółno” nie odczuwając przy tym potrzeby, by pod osłoną starej lipy rzucić okiem do owej tylnej sali na parterze, w której wielbiciel fikcji fetowali pierwszego honorowego obywatela miasta, które istniało jeszcze tylko w pamięci...

Tak, to chyba prawda: w naszej pamięci rzeczy prowadzą czystą egzystencję, nie uszkodzone i nie zagrożone... Ach, zostawmy to.

W Egenlund: u nas w Egenlund z nadejściem jesiennych sztormów zrobiło się puściej; docierało do nas już tylko niewielu odwiedzających, przeważnie ludzie starsi, którzy kilkakrotnie musieli odpoczywać w parowie; to znaczy, muszę przyznać, że to nie ja zwróciłem na ten fakt uwagę, lecz Bernhard. To on spostrzegł tę zmianę, on zauważył, że twarze zwiedzających z czasem stają się coraz starsze, a pewnego razu powiedział: – Jesienią rozpoczyna się sezon starych fregat, ciągnących do ojczystego portu. – Niekiedy, widząc, jak zgięci od wiatru żeglują po nagim wzniesieniu – więcej starych kobiet niż mężczyzn – nachodziła mnie myśl, że głosy przeszłości stają się coraz cichsze, by w końcu całkiem umilknąć, i że pragnienie powrotu do świadectw początków tym tylko nie wydaje się przedsięwzięciem chimerycznym, którzy posiadali kiedyś to, co obecnie utracili. Rozumiesz? Nagle musiałem zacząć się liczyć z tym, że również nasze wspomnienia i powiązania starzeją się i uchodzą z tego

świata, i że to wszystko, co w wiosnie naszej wędrówki tyle dla nas znaczyło, widocznie już tylko dla nas ma jakąś wartość, lecz nie dla tych, których chcieliśmy wyznaczyć na swoich następców. Wiesz, to wtedy zacząłem się zastanawiać, czy ból po stracie jest dziedziczny, czy w ogóle można przekazywać uczucia, bodźce i zadania tego rodzaju – gdyż jest tylko kwestią czasu, kiedy rozwieje się autentyczne przeżycie, stając się fatamorganą, połykliwym, nieosiągalnym mirażem.

Dosyć, potrafisz na pewno zrozumieć, dlaczego nie wahałem się ani przez chwilę, kiedy dyrekcja szkoły w Szlezwiku, do której chodzi mój syn, zaprosiła mnie do wygłoszenia odczytu dla uczniów starszych klas; zaproponowano mi temat: „Zapomniany Wschód – podróż na Mazury”. Nie miałem wystąpić sam: oprócz mnie zaproszono również autora dzieł o zwierzętach, pochodzącego z Łukowca, Pillunata, zamyślonego przyjaciela żubrów, który życiu i zwyczajom tej skołtunionej, pierwotnej góry mięsa poświęcił kilka książek.

W drodze do pokoju nauczycielskiego podczas przerwy spotkałem mego syna Bernharda i paru jego kolegów z klasy; widać nie umieli inaczej, musieli mnie wszyscy razem powitać z ironiczną uniżonością, z ręką zgiętą przy piersi. Pillunat, łatwo ulegający nastrojom, co najwidoczniej utrudniało mu mówienie, podszedł z wyciągniętymi ramionami, spojrzął na mnie osobiście nieruchomym wzrokiem, zniewalająco, jakby zawdzięczał mi szczęśliwy dzień. Nie może być! A jednak tak! Nauczycielka historii zaproponowała nam napoje owocowe, nauczyciel geografii szybko zrezygnował z częstowania nas swymi chorobliwie bladymi ciasteczkami z serem; podziękował za gotowość wprowadzenia uczniów w uwarunkowania kraju, który musieliśmy porzucić. Kiedy nadszedł czas, by udać się do auli, okazało się, że nie ma Pillunata; odnalazłem go w jakiejś klasie, samego, siedzącego sztywno na krześle, z lekko uniesioną twarzą; siedział tak z zamkniętymi oczami i zdawał się drzeć z napięcia...

Nie, to nie to; on tylko w ten sposób skupiał się, koncentrował, co uważał za tym potrzebniejsze, iż to, co chciał nam przekazać, ciągle mu umykało, odpływało gdzieś, traciło ostrość, i mógł to dogonić, sprowadzić z

powrotem jedynie przenosząc się sam, siłą koncentracji, w tamte czasy. Zaczekałem, aż jego kontemplacyjny pościg zakończy się sukcesem, ale mimo to przestraszyłem go, kładąc mu rękę na ramieniu. – Już czas – powiedziałem, a on, zadumany, skinął głową; konwojowani przez uczniów udaliśmy się do auli, gdzie najpierw poproszono nas na podium, ciało nauczycielskie nie mogło bowiem odmówić sobie zaanonsowania w naszych osobach gości, którzy z pierwszej ręki będą mogli przekazać historię i wiedzę o odległej ojczyźnie.

Najpierw była moja kolej, ale zanim jeszcze zaprosiłem słuchaczy do wzięcia udziału w wycieczce w zamierzchłe czasy, do żywej ziemi niczyjej, która stopniowo dostała się pod koła historii, rzuciłem w kierunku audytorium, bynajmniej nie niechętnego, raczej trwającego w leniwej ciekawości, parę pytań – prostych, mających ułatwić kontakt ze słuchaczami: czy ktoś mógłby mi przypadkiem wymienić nazwę jakiegoś mazurskiego miasta albo mazurskiego jeziora, lub rzeki? A jeśli nie, to może ktoś mógłby mi powiedzieć, z jakim krajem graniczą Mazury? Ponieważ nikt nie kwapił się z odpowiedzią, upatrzyłem sobie chłopaka w workowatym swetrze: – No, co to może być za kraj? – Z bezpiecznej głębi sali ktoś krzyknął: „Saksonia”, a chłopak powtórzył niechętnie, no, jasne, Saksonia. Mimo iż z miejsca powiało niechęcią, nie mogłem się powstrzymać od zadania następnego pytania. Chciałem wiedzieć, z czego znane są Mazury, jeśli w ogóle z czegoś zasłynęły, i po chwili ponurego medytowania jakaś bardzo wymięta skórzana kurtka w pierwszym rzędzie rzeczywiście powiedziała: – Zdaje się, że z króla Mazur. – No tak, a potem zacząłem stwarzać ten kraj, przyzywać go na modłę wuja Adama, aż nabrał konturów, kształtu, odrębności, a później kazałem im po kolei wystąpić, wszystkim, którzy zdobywali ten kraj i wydzierali go sobie, zostawiając po sobie niewiele więcej niż niewyraźne echo i pouczające legendy swych kłesk; ledwie mnie słuchali. Rozumiesz: ledwie mnie słuchali!

Podczas gdy przyzywałem mazowieckich bartników i myśliwych w darowanej im głuszy, podczas gdy szkicowałem i interpretowałem obie bitwy pod Grunwaldem, podczas gdy przedstawiałem im obrazy minionych obyczajów, a w końcu zabrałem ich w znaczony gruzami i

wrakami ślad naszej ostatniej ucieczki, moi młodzi słuchacze coraz częściej odwracali się do siebie, szeptali, wymieniali skrycie jakieś przedmioty, rozśmieszali się nawzajem, w widoczny sposób co i raz przestawali zwracać na mnie uwagę. Bolało mnie to, Martinie, tak, bolało mnie; nie wiedziałem, co robić. Z początku tylko niepewny, a potem zmieszany i zbity z tropu, usiłowałem pozyskać ich zainteresowanie, wczuwając się jeszcze intensywniej w to wszystko, co chciałem im przybliżyć, siebie ukazując jako naocznego świadka wszystkiego i wszystkich; niewiele to pomogło. Moje próby wydania się dowcipnym zdawały się ich dziwić, chociaż za punkt wyjścia wziąłem podobną sytuację: lekcję historii w pewnej mazurskiej szkole wiejskiej, w której pewien uczeń regularnie przed szczytowym punktem jakiegoś wydarzenia historycznego decyduje: – Gównu, idę se. – Nie raczyli nawet zachichotać. Chociaż nie, umiarkowane zainteresowanie pojawiło się, kiedy zacząłem im opisywać zimowe regaty na lodzie albo wyścigi na potężnych tratwach czy polowanie na wilki w mglistym, śnieżnym powietrzu – to zainteresowanie natychmiast jednak spadło, kiedy chciałem zapoznać ich z niesłychanym znaczeniem, jakie przypisywaliśmy dniom tygodnia. Widzisz, a potem zaplątałem się, zabłądziłem: zamiast pozostać przy opisie naszej sztuki tkackiej, zgubiłem się w historii symboli, raptem byłem przy przelotach gęsi, a zaraz potem próbowałem wytłumaczyć naszą wiarę w cuda, i tak jak wymykał mi się temat odczytu, tak samo wymykali mi się moi młodzi słuchacze. Nie udało mi się doprowadzić do tego, by ci z tyłu przerwali grę w karty, podnieśli wzrok znad swojej lektury, po prostu nie pozyskałem ich dla tego kraju, dla jego piękna i jego nieszczęścia także nie. Nie zdziwi cię, że przerwałem przed czasem, który mi przyznano, usiadłem bezradny na krześle i oddałem głos Pillunatowi.

Ten miał nade mną przewagę kilku doświadczeń. Zanim zaczął mówić, krótkim gestem poprosił najpierw o zaciemnienie sali dla przygotowanego rzutnika, czekał ulegle, aż spuszczone rolety, również wtedy zwlekał jeszcze chwilę i dopiero gdy pełna oczekiwania cisza groziła pryśnięciem, zabrał głos, zapowiadając podróż po tajemniczej krainie, okolonej lasami, prześwietlonej jeziorami, zamieszkaną przez

prastarą zwierzynę, która gdzie indziej już dawno wyginęła. Trzeba ci było słyszeć, jak poprawiali się na krzesłach, szurając przy tym i hurgocząc, jak wpatrywali się w ekran.

Węgorzewo – wydaje mi się, że najpierw pokazał północną furtkę Mazur, gdzie odbijały lakierowane stateczki parowe, wyruszające w podróż po Wielkich Jeziorach; to znaczy, na ekranie ukazał się nie otynkowany na biało zamek, lecz ocieniona przez popękane drzewa rzeczówka, Węgorapa, której imienia użyczyły ciągnące tędy co noc węgorze. Szeptem, jak gdyby bał się zakłócić ciszę, ostrzegawczo, jakby każdy niebaczny dźwięk mógł nas pozbawić jakiegoś odkrycia, wskazywał na zarośnięte brzegi, nie zezweczone, jak się wyraził, żadną ścieżką, podkreślał ich dziewiczość i ciszę, zaufawszy działaniu głoski „nie” pozwalał nam przeczuć ich niezgłębioną i niedostępną, tak iż musiałeś sądzić, że jesteś pierwszym, no, najwyżej drugim człowiekiem, który stoi przed tym nietkniętym widokiem rzeki. W tym duchu toczyła się cała jego opowieść.

Ukazywał więc samotną, rozwichrzoną sosnę, wystrzelającą wysoko ponad nadbrzeżną skarpe, i właśnie chciałeś np. ocenić jej wysokość, gdy Pillunat syknięciem nakazywał słuchaczom spokój, z tego tylko powodu, że na wystającej daleko gałęzi zaczął się duży drapieżny ptak, wpatrujący się nieruchomo w beztroską flotyllę kaczek na dole. Żadnych ludzi, prawie ani śladu ludzkiej obecności, i być może właśnie to zapewniło mu z początku milczące zainteresowanie słuchaczy: że zabrał ich do krainy, w której nie można było dojrzeć żadnego przejawu działalności człowieka. Samotny żagiel na tle porośniętej lasem wyspy, przegniła łódź w trzcinie, płot z krzywych sztachet, który przedwcześnie skapitulował: wszystko to potęgowało jeszcze uczucie opuszczenia, kazało sądzić, że wszystko tu zostało porzucone i należy już tylko do siebie.

Kiedy ekran wypełnił puszczański dąb, Pillunat faktycznie wezwał słuchaczy, aby spróbowali się naprawdę bacznie wsłuchać, tak, by ambitnie nasłuchiwali, i nie mogłem wykluczyć, że przy dostatecznej koncentracji można było dosłyszeć stłumiony hałas, tak zwaną wrzawę wojenną, podnoszącą się jak na zawołanie, gdy spotykali się pogańscy Prusowie z rycerzami zakonnymi. Albo to pole żyta, w siarkowożółtym

świetle, w szeleszczącym żarze południa; szeptem zaprosił nas, byśmy usiedli na usypanym stosie kamieni i spoglądając ponad niezmiernie odległym kresem lasów, nasłuchiwali tykania czasu i zadumali się nad protestem chabrów. Wszyscy jesteśmy w końcu jedynie podrzutkami natury, powiedział, które tylko w samotności znajdują pocieszające odpowiedzi.

Trwał przy swoim metodycznym wyborze, nie pokazywał ani miast, ani wsi, nie chciał mieć w kadrze nawet załogi łodzi rybackich, tych złe ogolonych, jasnookich, palących fajkę poławiaczy siei; wystarczały mu same burty i wiszące między nimi, przetykane rybimi ciałami sieci, podobnie jak zadowalał go prom bez ludzi, most, po którym nikt nie szedł, i pusta ławka pod szpalerem brzoź. W pewnym momencie zaczynałeś machinalnie szukać kryjówek i wyobrażać sobie, jak łatwo byłoby się tu schować, zaszyć w gąszczu. Mazury, ziemia obiecana dla wszystkich, którzy pragnęli ucieczki. Tam to żyliśmy, kochani chłopcy, tam, w owym królestwie ciszy i niewygórowanych oczekiwań, można było żyć tak, jak człowiek chciał.

Tak, i gdyby Pillunat zakończył swój odczyt w tym miejscu, z pewnością wiele by mu zostało oszczędzone, pozostawiłby ich pogrążonych w milczeniu, zamyślonych, i jeśli niekoniecznie pełnych nagłych postanowień, to chociaż owładniętych marzeniem, ale ta podróż w samotność posłużyła mu najwidoczniej tylko jako pretekst, aby mógł się z niej powoli wyłonić jego ulubiony obiekt, aby przygotować wszystkich na jego pierwotny widok; mam na myśli żubra, pra-byka. Nagle musiałeś uwierzyć, że dziewiczość i cisza Mazur istnieją tylko po to, aby zapewnić żubrowi to otoczenie, którego mu właśnie potrzeba, nagle musiałeś nabrać przekonania, że ta kraina ze swymi lasami, jeziorami i bagnami stworzona jest jakoby tylko po to, by stać się ostoją przedpotopowego stwora.

W cieniu olchowych zarośli, po kolana w mchu, zaprezentował się nam pierwszy żubr, z kłębem soczystej trawy w pysku, z wyrazem nieobliczalnej złośliwości w małych, ciemnych oczkach skierowanych na patrzącego. Pillunat, nasz autor książek o zwierzętach, mówił teraz

szeptem, chcąc, by ta cudowna gorączka czatów udzieliła się jego słuchaczom, pragnąc pokazać im ten pierwotny obraz przetrwania z niebezpiecznie bliskiej odległości. Zachwycony podchodził żubra w zmieniającym się otoczeniu, ukazując go raz na tle lasu mieszanego, potem znowu wysokopiennego, prezentował go we śnie, w grzmiącym galopie, przedstawiał nawet jako „zasłuchanego w wieczność” – człowiek nie mógł się wprost nadziwić, w jak urozmaicony sposób żubr dawał się fotografować. Kiedy pokazywał dwa żubry, gotujące się z siłą dwóch średnich lokomotyw do starcia, w dodatku na tle skończenie pięknego zachodu słońca, z któregoś kąta sali rozległo się ciche, niepewne muczenie, któremu po chwili osłupienia odpowiedział radosny ryk; wybuch śmiechu był nieunikniony, a uczniom zawtórowali nauczyciele.

Pillunat zdawał się go nie słyszeć, albo też po prostu pominął to milczeniem, aby nowym, trzymanym w zapasie atutem odzyskać zainteresowanie słuchaczy; tego, co zaoferował, bez wątpienia nie widział dotąd żaden z nich: na grząskiej łące, nieco z dala od pasącego się stada, stała żubrza matka ze swym młodym; nie imponowały ani swym przedpotopowym wyglądem, ani też sposobem, w jaki nasłuchiwały, mającym w sobie coś wiecznego; stały tylko, z masywnym, skudlonym karkiem, i gapiły się ponuro w kierunku kamery. Pillunat prosił, by poddać się działaniu tego rzadkiego widoku, a wszystkim, którzy nie mogli się zdobyć na podziw, wyliczył parę powodów: najstarszy ssak ojczysty, pierwotna siła, wyjątkowa płochliwość, cierpliwość, małe wymagania, beztroski samotnik, ongiś doszczętnie wytępiony, obecnie z powodzeniem żyjący na wolności; a to, co tu widzicie, to pierwszy na Mazurach urodzony na wolności żubr – po upływie wieków.

Zerwały się irytujące oklaski, znowu rozległo się parokrotne muczenie, przenikliwe, radosne muczenie, zagłuszone potężnym rykiem; odwróciłem się do Pillunata i w wąskiej smudze światła, padającej z boku rzutnika, zobaczyłem jego przerażoną, żółtawą twarz, spierzchnięte usta, drżące dłonie. Było mi go żal, Martinie, och, bardzo żal – tak jak kiedyś żal mi było wuja Adama, gdy nasze muzeum nad zakolem rzeki odwiedzili moi koledzy z klasy. Stanowczym ruchem wsunął nowy slajd, już ostatni: niby własny pomnik stał tam na nagim pogórku żubr; został chyba

sfotografowany z niebezpiecznej bliskości, gdyż można było rozpoznać powiewające kosmyki na jego czaszce, zaschnięty nawóz na tylnych nogach i posklejane kosmyki włosów przy otworze, przez który potężny ogier wysuwał swój organ. Jeszcze zanim autor książek o zwierzętach powiedział jakieś słowo, o ekran klasnął przejrzwały owoc, zdaje się, śliwka – pocisk trafił zębami w rozłożysty kark, rozprysnął się, ściekając gęstymi lepкими smugami, i przez sekundę byłeś naprawdę zdziwiony, że ta przedpotopowa góra mięsa nie drgnęła, trwając niewzruszenie w swej pomnikowej martwocie. Cóż to był za wybuch entuzjazmu: towarzystwo klaskało, zrywało się z krzeseł, podskakiwało, wyło i ryczało fetując celny strzał w łopatkę, który każdy sam by chętnie oddał.

Nauczyciel geografii rzucił się do wyłącznika, nauczycielka historii próbowała powstrzymać audytorium uspokajającymi gestami, ale Pillunat zrezygnował z dalszych słów i z chusteczką przy ustach, a raczej ją gryząc, niezgrabny ze wstydu i wstrząśnięty, opuścił bez pożegnania salę, uciekł do klasy, gdzie znowu go wytropiłem, gdzie odnalazłem go siedzącego, zmartwionego, pełnego niedowierzania. Położyłem mu rękę na ramieniu i czekałem, więcej nie mogłem dla niego uczynić...

Tak, Martinie, masz chyba rację: Wartości naszych doświadczeń nie można chyba dowolnie przekazywać. Musimy się z tym pogodzić, my, namiętni zaklinacze czasu, że inni podają w wątpliwość to, co dla nas tak wiele znaczy; być może wszystko jest skazane na przemijanie, a nasze próby, by te kilka rzeczy, które wydają się nam najlepsze, uczynić nieprzemijalnymi, są tylko wyrazem beznadziejnego protestu przeciwko daremności, którą w skrytości ducha już uznaliśmy. Nie jestem pewien... Ale zostawmy to.

Zabrałem go ze sobą, zabrałem Pillunata do nas do Egenlund, gdzie ten cichy, niekłopotliwy gość spędził cały weekend – śpiąc na łóżku polowym w muzeum, i gdzie podczas samotnych wędrówek po plaży doszedł do przekonania, że w przyszłości będzie odrzucał wszelkie zaproszenia na publiczne odczyty. Podczas gdy Henrike poprosiła go o autograf, który wkleiła później do jednej z jego książek, Bernhard obwiniał go o to, że sam przyczynił się do przykrego zakończenia imprezy, a to przez tę

„patetyczną gadaninę”, „ten zaduch wieczności”. – Dla ciebie – powiedział mi – żubr może sobie być świętą krową Mazur, ale my jesteśmy akurat innego zdania.

O tak, zdumiewające, że to pamiętasz – tak Bernhard nazwał nasze muzeum: „nabożna buda”; przypuszczalnie już dawno przejąłeś to wyrażenie. Nie? Dziwi mnie to, bo on przecież często mówił tak, jakby ci z ust wyjął, i działał po twojej myśli. Niemniej powinieneś wiedzieć, że to właśnie Bernhard dobrowolnie siedział kilka nocy na czatach, po tym kiedy włamali się do nas nieznani sprawcy, tak, do muzeum. Musisz się wszystkiego dowiedzieć, obiecałem ci to na początku, i dlatego nie chciałem ukrywać przed tobą tego, co przydarzyło mi się ostatniej nocy, we śnie o zaskakującej, bolesnej wyrazistości.

Kamień tatarski znowu się wynurzył; leżał w płytkiej wodzie koło naszej plaży, obmywany łagodnie butelkowozieloną wodą rzeki Schlei: stary, bryłowaty pocisk, zgubiony podczas zimowej ucieczki, odnalazł nas. I jakby to było oczywiste, pojawili się Eugen Lawrenz i wuj Adam; boso, z zakasnymi nogawkami weszli brodząc do wody i mocowali się z kamieniem, wnieśli go na plażę, tu odsapnęli i coś sobie ślubowali, zanim zapierając się energicznie nie pochylili się znowu nad kamieniem. Dysząc toczyli go do dróżki, do stromej, krętej ścieżki, wejście którą nawet bez bagażu wymagało nie lada wysiłku; wyczerpani, wyczerpani, całą swoją zręczność, pchali go centymetr po centymetrze – obraz najwyższej męki.

Ach, to ich zaangażowanie, to napięcie i determinacja! Udało im się wepchnąć kamień aż do wielkiego zakrętu, to znaczy do połowy drogi między plażą a muzeum; dalej nie dali rady, po prostu byli już wyczerpani, pokonani, a resztkę sił starczała za ledwie na to, by utrzymywać ospowatą kulę na tej samej wysokości. Z twarzami przytulonymi do kamienia wołali o pomoc, wołali na górę do mnie, szybciej, Zygmunt, rusz się, chodź tu i pomóż! A kiedy chciałem do nich zeskoczyć, zauważyłem, że jestem związany, przywiązany konopną liną do jednego z czerwonych buków. Szarpałem więzy, natężyłem się, ale nic to nie pomogło, nie mogłem przyjść im z pomocą, gdyż skoro tylko udało mi się rozluźnić linę, Marian i Carola, którzy stali obok mnie i trzymali jej końce w rękach, ze śmiechem

znowu zaciągali więzy, tak że przyciskały mnie do pnia. Ze stromego zbocza dobiegła urywana komenda, zobaczyłem, jak mężczyźni równocześnie rzucili się na bok, jak kamień tatarski runął w dół i wzbijając w górę słup wody i mułu, spadł w to samo miejsce, w którym go odkryłem. Jeszcze dwukrotnie próbowali wtoczyć kamień do domu, bez powodzenia.

Kiedy się obudziłem, wiesz, co nieświadomie postanowiłem sobie, kiedy się obudziłem? Jeszcze pod wrażeniem tej bolesnej wyrazistości, z jaką to przeżyłem, powziąłem naprawdę zamiar, by najszybciej, jak to będzie możliwe, pojechać do Egenlund, gdyż sądziłem, że nie jest wykluczone, iż odnajdę kamień. Wyobraź sobie, przez jedną dręczącą chwilę zapomniałem, co się stało; a kiedy stopniowo uprzytomniłem sobie ogrom zniszczenia, leżąc w ciemności jak sparaliżowany, zacząłem wątpić, czy o tym także tylko nie śniłem, i jakiś głos, obcy, a jednak mogłem w nim rozpoznać mój własny głos, powtarzał, że ani jedno wspomnienie, które stało się trwałą częścią naszej pamięci, nie może zostać zniszczone. I ta suchość w ustach. Drżenie, niepokój wraz z rosnącą jasnością, a potem przerażenie i nieznośny ucisk, kiedy musiałem przyznać przed sobą, że nie ma powrotu do Egenlund. Musiałem pogodzić się z tym, że po raz drugi straciłem ojczyznę. Ale widzę po tobie, że czekasz na inne wyznania, że ciekaw jesteś reszty wydarzeń; dobrze, wkrótce się wszystkiego dowiesz, masz do tego prawo.

Wyobraź więc sobie: zeszłego lata zapowiedziała się u mnie listownie polska ekipa telewizyjna, z tą naturalną uprzejmością, tak typową dla Polaków; również wspaniałomyślny termin, jaki dali mi na odpowiedź, świadczył o zwykłej w tym kraju uprzejmości. Nie z podejrzliwości czy szczególnej potrzeby wsparcia, ale dlatego, że miałem uczucie, iż szykuje się tu doniosłe spotkanie, wtajemniczyłem Conny'ego i poprosiłem go, żeby przyszedł tego dnia, jeśli będzie to mógł jakoś urządzić. Conny, obdarzony własnym węchem, natychmiast się zgodził, i ze swej strony uznał za stosowne przyprowadzić rzeczownika rady starszych Łukowca, Przytulię. Nie było tu co rozważać, zgadywać czy postanawiać, gdyż w liście wymieniono otwarcie intencje tej wizyty: oni, którym z końcem wojny przypadł ten kraj – i którzy go, jak już mówiłem, ani przez chwilę

nie traktowali jako zdobycz, ale jako nareszcie „odzyskaną ziemię” – nasi goście chcieli więc w dokumentalnym filmie pokazać, jaki wyraz nadajemy idei ojczyzny, jak uchroniliśmy miasto, skąd pochodzimy, od zapomnienia, jakie żywiliśmy nadzieje na powrót. Wizyta u nas miała być zakończeniem dłuższego rekonesansu, prowadzącego przez liczne miasta.

No tak, i kiedy Łódź ze Szlezwiku przybijała do naszego pomostu, staliśmy gotowi, by ich powitać, ale ponieważ pomagaliśmy przy wyładowywaniu bagażu, przywitania i prezentacje nie przebiegały po myśli gości, tak że oba te punkty programu solidnie nadrobiliśmy, kiedy już wtaszczyliśmy na ląd blaszane pudła i plastikowe torby. – Państwo pozwolą – szef ekipy faktycznie użył tego zwrotu na naszej mizernej plaży: – Marek Kowalek, Bogdan Czymaj, Karol Neumann. – Gdy wymieniałem nasze nazwiska, kiwał z uśmiechem głową, wydawało się, że wszystkich nas bez wyjątku zna, ten szczupły, wymizerowany mężczyzna, przypalający sobie od peta nowego papierosa, który pogodnie ogarniał spojrzeniem okolicę i cicho stwierdził: – Prawie jak u nas. – Kiedy chcieliśmy im pomóc przy przeniesieniu kilku sztuk bagażu, machnął przecząco, ale wesoło ręką; u nich obowiązywał ścisły podział pracy, jego współpracownicy w każdych okolicznościach sami troszczyli się o transport swych urządzeń. Wspięliśmy się po stromym zboczach, na górze czekała Carola, zaprosiła gości na śniadanie; wszyscy trzej pocałowali ją w rękę. Szef ekipy wyraził się z uznaniem o położeniu domu, określił geologiczny wiek fiordu, dał się poznać jako miłośnik drzew, a po wejściu do domu – jako znawca kaflowych pieców.

Na śniadanie była kaszanka na gorąco, ogórki ze słoika, smalec ze skwarkami, wędzonka i jaja na twardo, a do tego pillkalska nikolaszka i żubrówka z importu. Przy stole rozmawialiśmy o jedzeniu, a ściślej o polskich i mazurskich potrawach z grzybów, porównując je ze sobą i wychwalając każdy swoje; opisywaliśmy sobie duszone, gotowane i smażone potrawy z grzybów, by w końcu dojść do wniosku, że nikt na całym świecie, kto przedtem nie „przeżył” polskich albo mazurskich potraw z grzybów, nie ma prawa rozvodzić się o ich przyrządzeniu.

Wypiliśmy za to. Jeden Przytulia pił z nami raczej symbolicznie. Cierpiał, nie interesowała go wymiana błahostek, chciał przystąpić do rzeczy, i aby nadać rozmowie pożądany zwrot, zapytał, jak podoba się gościom u nas po jakby nie było czterech tygodniach pobytu; tak najogólniej. Szef ekipy, widocznie przygotowany na to pytanie, uśmiechnął się z lekka i bez zastanowienia oświadczył, że jego wrażenia w dużej mierze się potwierdziły, mówiąc ogólnie; po czym poprosił nas o pozwolenie zapalenia papierosa, wyjątkowo. Cały czas się uśmiechając zwrócił nam uwagę na fakt, że obaj jego współpracownicy noszą prawie nowe ubrania dżinsowe, które kupili sobie we Frankfurcie.

Milczeliśmy, omijając się wzrokiem, a potem Conny niespodziewanie spytał, czy któryś z naszych gości był kiedykolwiek w Łukowcu, na co Marek Kowalek odwrócił się ku niemu, bynajmniej nie zdziwiony, tak, każdego roku bywa kilka razy w Łukowcu, przejeżdża przez miasto w drodze do swego drewnianego letniego domu koło Mrozów, przez pewien czas Schönhorst. I z otwartością, która nas zdumiała, mówił zaraz dalej: o dziele odbudowy po wojnie, o chronicznym braku mieszkań w Łukowcu i, mrugając porozumiewawczo do mnie, o projekcie władz miasta, by utworzyć tam niebawem muzeum regionalne. Jego głos nie zmienił się, gdy na stwierdzenie Przytulii, że to miasto i ta ziemia znajdują się tylko przejściowo pod administracją polską, odrzekł spokojnie: – U nas w domu wychodzi się z założenia, że korektura granic jest ostateczna. – Zaprosił nas do rychłego odwiedzenia Łukowca. Przepowiedział nam niespodzianki przy próbach odnalezienia dawnego ducha miasta. Obiecał przyrzadzić zupełną rybność, gdybyśmy odwiedzili go w jego letnim domku. Żadnej niepewności, żadnego obciążenia; dla Marka Kowalka, ze dwadzieścia pięć lat młodszego ode mnie, wszystkie kwestie na Wschodzie były rozwiązane, a zresztą, oznajmił, musimy się stopniowo nauczyć żyć także z nie rozwiązanymi problemami, być może jest to nawet nakazem chwili.

Dziwne, przygotowałem sobie na tę wizytę pytania, ułożyłem je sobie licząc na usuwającą ostatnie wątpliwości dyskusję, ale teraz, kiedy tak siedzieliśmy naprzeciwko siebie, musiałem zadowolić się rolą słuchacza. Byli młodzi, oszczędzeni przez wojnę, nie ciążyło na nich brzemię

doświadczeń, kiedy definiowali swój świat, zastali fakty dokonane – i zrezygnowałem z zadania im wszystkich swoich pytań, pytań o możliwości interpretacji historii, o przedawnienie cierpień, o szanse nowego sąsiedztwa.

Najwytrwalej mówił Conny; domagał się uznania „historycznych”, „narosłych” historycznie praw, domagał się, aby zapewniono prawo powoływania się na nie, żądał też, by stały się one miernikiem każdego porozumienia, i im zapalczywiej bronił tych praw, z tym większym zainteresowaniem słuchał go Marek Kowalek, z tym większym zadowoleniem – mogłeś niemal sądzić, że mowa Conny’ego odpowiada jego życzeniom, nie zdziwiło mnie więc też, gdy w pewnej chwili zaproponował mu, żeby powtórzył swe uwagi przed kamerą. Ten się zgodził, i po raz kolejny dowiódł, jaki wpływ może wywrzeć terkocząca kamera na przebieg wypowiedzi, do jakiego złagodzenia i wyważenia może się najwidoczniej przyczynić. W każdym razie Conny w sposób umiarkowany bronił historycznego prawa i nie omieszkał wykorzystać okazji do przypomnienia swoim potencjalnym słuchaczom ich własnych doświadczeń, jakich dostarczyła im historia, po czym pytał ich jeszcze, co w końcu pozwoliło im zwyciężyć, jeśli nie miłość do własnego kraju i niezachwiane zaufanie do praw historycznych.

Kamerzysta nie zadowolił się ujęciem Conny’ego zwyczajnie z przodu; podczas kiedy redaktor naczelny „Gońca Łukowieckiego” składał swe oświadczenie, kamera lustrowała jego postawę, wędrowała po nim od dołu w górę, zatrzymując się chwilę na ustach i rękach, potem zboczyła i pozwoliła mówić obrazom i rycinom, kolorowemu sztychowi Meriana na przykład, który oddał granice Mazur tak, jak gdyby rysowała je bezradna, udręczona artretyzmem ręka. Ponieważ Przytulia odmówił powtórzenia przed kamerą tego, co niestrudzenie przeciwstawiał szefowi ekipy – że mianowicie w historii nie ma ostatniego słowa – więc zaprosili mnie, żebym powiedział coś o celach i nadziejach łukowieckiego Heimatvereinu, przez mniej więcej półtorej minuty.

Wymówiłem się, poprosiłem ich, by wyszli na dwór, na werandę muzeum, gdzie goście jeszcze raz zostali powitani przez niemych świadków

przeszłości. Kamera pracowała. Otworzyłem drzwi; ukazał się za nimi biało-niebieski kilim weselny, który dotarł do nas tajemniczymi drogami. – Proszę wejść, powiedziałem, tu jesteście wśród swoich, gdyż wszystko, co jest zgromadzone w moim domu, dotyczy także panów.

Weszli więc i rozejrzeli się, nie okazując niezdecydowania czy pobłażania, jak można by oczekiwać, ani też pochlebstwa czy niechęci, lecz z całkowitą swobodą i spokojną żądzą wiedzy, jak gdyby to, co ukazywało się ich oczom, nie było w stanie ich dotknąć. Możesz spokojnie przyjąć, że oczekiwałem tego momentu z obawą, że często go w myślach przeżywałem – nie byli to bowiem przypadkowi, pierwsi lepsi zwiedzający, pochylający się nad dokumentami naszego pochodzenia niby nad jakimś zielnikiem, lecz goście, którym byliśmy boleśnie zobowiązani w tysiącletnim przesądzie – i odetchnąłem z ulgą, tak, odetchnąłem, kiedy rozbiegli się i, każdy przyciągnięty spontanicznie czym innym, rozpoczęli zwiedzanie. Nie kierowałem nimi, nie sugerowałem im nic, pozwoliłem im samym wybierać i decydować, i zauważyłem, że początkowo nie okazywali żadnej potrzeby, aby zwracać sobie wzajemnie uwagę na coś, co właśnie odkryli; każdy badał i podsumowywał sam dla siebie. To napięcie, to uczucie nierzeczywistości; chwilami wydawało mi się, jak gdyby nasza wspólna wędrówka między regałami i gablotkami to był tylko dalszy ciąg jakiegoś snu. Czy to, co osiągnęło ich tu poprzez filtr czasu, dotyczyło ich jakoś? Czy coś im to wyjaśniało? Czy pozwoliło im coś odnaleźć? Dla mnie te pytania pozostały nierozstrzygnięte.

Kiedy obeszliśmy już raz muzeum, stojąc na tle biało-niebieskiego kilimu powiedziałem kilka zdań do kamery: o wiedzy na temat stron ojczystych, która jest początkiem wiedzy o świecie, o budowie naszego muzeum, którego inwentarz miał jedynie dostarczyć dowodu na to, jak kiedyś żyliśmy, i ulegając nagłemu impulsowi, o możliwości nawiązania kontaktów z muzeum regionalnym w Łukowcu, aby poprzez udaną wymianę wspólnie oglądać historyczne tło, nie oskarżając, ale wyjaśniając. Marek Kowalek kiwając głową przyjmował do wiadomości moją deklarację, potem poprosił kamerzystę, by sfilmował obiekty, które wskazywał, prztykając palcami...

Co, Martinie? Co możesz sobie wyobrazić?

Nie, właśnie że nie: nie kazał bynajmniej filmować tylko tego, co łatwo mogłoby mówić przeciw duchowi muzeum – a tym samym przeciw nam; a więc wcale nie tylko poźółkły obraz z Hindenburgiem i Ludendorffem, omawiającymi sytuację podczas mazurskiej zimowej batalii; i nie tylko plakaty propagandowe, które Conny niegdyś drukował i w tajemnicy przynosił do nas – no wiesz: „Wróg podsłuchuje” i „Kołła muszą się toczyć ku zwycięstwu” – i bynajmniej nie tylko takie przedmioty, jak bośniacka trąbka wzywająca do ataku albo spłowiełe transparenty z okresu plebiscytu w latach dwudziestych. Chciał mieć na filmie zarówno „puszkę z Sokółek”, jak i jaćwieską urnę grobową, i zapewne w charakterze dokumentalnego rarytasu, niejako prezentu dla swych własnych hermeneutyków, oryginalny, wystrzępiony na brzegach dokument nadania ziemi zakonowi krzyżackiemu ze wszystkimi szczególnymi prawami i obowiązkami.

– Naprawdę chce pan to pokazać, pytał Conny, nie wymaga pan zbyt wiele od pańskich ludzi? – Och, powiedział Marek Kowalek, historia zawsze była nam szczególnie bliska, tak, można chyba stwierdzić, że wielu jest u nas maniaków przeszłości, dlatego świadectwa historyczne spotykają się z nadzwyczajnym zainteresowaniem. – Również te świadectwa, które mogłyby zaszkodzić dobremu samopoczuciu? – spytał Conny. Kowalek spojrzał na niego zaskoczony, uśmiechnął się, a potem powiedział powoli: – Wobec własnej historii nikt chyba nie ma czystego sumienia, co najwyżej subwencjonowani mieszkańcy tak zwanych domów panujących. Kto ją wycierpiał, tę historię, ten chcąc nie chcąc musi przypominać o związku przyczynowym wydarzeń.

Sfilmowali jeszcze kądziel, miecz z brązu i zakorkowane próbówki z przekazaną nam ziemią z ojczyzny; potem sfotografowali jeszcze budynek z zewnątrz i poprosili o dodatkowe informacje – liczbę odwiedzających, finansowanie muzeum, pochodzenie zbiorów – chętnie mu ich udzieliłem.

Przytulia, naradziwszy się sam ze sobą, również pod koniec nie chciał stanąć przed kamerą, pogrążony w rozmyślaniach towarzyszył nam

wszędzie, rejestrując najwidoczniej każde słowo. Niósł prezent od naszych gości, który wręczyli nam, kiedy skończyli kręcić. Był to kolorowy album: „Dawne i nowe mosty Warszawy”. Od czasu do czasu wymieniał z Connym spojrzenia, pytające, upewniające się spojrzenia, w których zdawałem się dostrzegać skrytą dezaprobatę.

Mój niepokój ciągle nie ustępował – po prostu wyszedłem z założenia, iż takie spotkanie jak to nie może przebiec bez jakiegoś incydentu, i jeszcze kiedy siedzieliśmy przy herbacie, zaparzonej przez Carolę na sposób fryzyski, obawiałem się, że jakieś ewentualne nieporozumienie albo choćby tylko odmienna ocena wydarzeń mogą się rozrosnąć do zasadniczych porachunków. Ach, ta nasza pryncypialność! Nasza zależność od tego wizerunku, jaki przekazujemy innym. Ale może właśnie to, Martinie, było w tym spotkaniu niezwykle, że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

W końcu ponowili swe niezobowiązujące zaproszenie, obiecując nam, że zobaczymy spokojne, rozwijające się miasto Łukowiec i otaczającą je krainę w objęciach samotności, która przyjmie nas swym dawnym milczeniem, a potem ucałowali rękę Caroli i ruszyli w drogę. Towarzyszyliśmy im do drewnianego pomostu; gdyśmy czekali na motorówkę, pojawiło się przygnębienie, męczące niezadowolenie – przypuszczalnie dlatego, iż każdy wyliczał sobie, czego nie powiedział, co przemilczał, nie tyle z lęku, co przez wzgląd na tamtych, tak; rozmowa ożywiła się znów dopiero wtedy, gdy z łodzi rzucili nam liny, a my pomogliśmy im wtaszczyć bagaże na pokład.

My trzej na brzegu odpowiadaliśmy na ich machanie, obserwując się jednocześnie kątem oka, chłodno, dziwnie rozdrażnieni, a kiedy przestaliśmy machać, nastąpiło to jak na komendę. Łódź nie znikła jeszcze z zasięgu wzroku, ale my wdrapywaliśmy się już z powrotem na strome zbocze, w milczeniu, nastawieni już na samoobronę.

No właśnie, a kiedy dotarliśmy do mazurskiego domu, Conny był tym, który podjął się podsumować wizytę, to znaczy, z początku nie umiał stwierdzić nic ponad dręczące uczucie, że czegoś zaniedbał; gorycz, jaką

odczuwał, tłumaczył sobie tym, że nie wykorzystaliśmy okazji, która się już tak prędko nie powtórzy. Nie umiał również uzasadnić poczucia dziwnej niższości, która nie pozwoliła mu się swobodnie wypowiedzieć. A potem popatrzył ponad rzeką i zaryzykował przepowiednię, w jaki sposób nasze muzeum i my sami pokazani zostaniemy w reprezentacyjnym filmie dokumentalnym: jako niepoprawni marzyciele, naiwni strażnicy kuriozalnych relikwii przeszłości, niedorzeczni misjonarze, którzy wierzą, że swym niezłomnym uporem zdołają poprawić wyniki historii. I teraz sądził także, iż wie już, co miałyby nam do zarzucenia: naiwność. Moją uwagę, że niczego, co powiedzieliśmy do kamery, nie da się wykorzystać dwuznacznie, zbyt, powołując się na własne doświadczenia przy montażu.

Tak, i w takim nastroju wszedł na drewnianą werandę, bez szczególnego zamiaru, wzburzenie nie pozwalało mu usiąść; walnął pięścią we framugę drzwi, wpatrując się nieruchomym wzrokiem we wnętrze muzeum, przełknął ślinę, i niespodziewanie coś odkrył: mianowicie zbędność plakatów propagandowych, które kiedyś sam mi przyniósł. Podeszedł do nich i oświadczył, że mogą dać powód do nieporozumień; poradził mi, bym je możliwie szybko usunął.

Przypomniałem mu, skąd się tu wzięły i że odzwierciedlają pewną epokę w Łukowcu, którą sami przeżyliśmy. Ale Conny obstawał przy swoim zdaniu, chciał, żebym je usunął, gdyż w pewnych okolicznościach mogą przemawiać przeciwko nam. Poszukując wsparcia zwrócił się do Przytulii; ten machnął lekceważąco ręką, z głębi swego niezadowolenia przyznawał mu rację i mrukiwie zarzucił mi, że powinienem to już być dawno uczynić. Wciąż jeszcze brałem ich żądania za wynik złego humoru, a na moje pytanie, czy Conny życzy sobie może nieskazitelnej historii Łukowca, takiej, która by nikogo nie obciążała, odpowiedział z początku tylko wzruszeniem ramion, ale zaraz potem musiałem przyjąć do wiadomości, że nie poprzestali na pojedynczym, mniej lub bardziej przypadkowym zarzucie. Ich rozgoryczenie, ich rozczarowanie samymi sobą kazało im teraz nieprzerwanie gorszyć się; to, co jeszcze ostatnim razem oglądali z zachwytem albo wzruszeniem, nagle wydawało im się fatalne, niesmaczne czy wręcz obciążające – mogłeś się tylko zdumiewać,

dlatego dopiero teraz to dostrzegli. Conny przeczytał szyldzik pod ozdobną faską na masło, pochodzącą z wielkiego łuku Wisły, i stwierdził, że teraz rozumie już powód, dla którego kamerzysta poświęcił mu przesadnie dużo uwagi; a po lekturze paru innych tabliczek oświadczył, iż otworzyły mu się oczy na to, dlaczego bladoniebieską narożną szafę, zębaty wałek do międlenia lnu czy skromne krzesło chłopskie fotografowano z jak najbliższej odległości – dotarły one niegdyś do Łukowca z tamtej strony granicy.

Co, co? Nie, Martinie, ja w ogóle nie zauważyłem odmiennego traktowania fotografowanych przedmiotów. Conny to wymyślił, a Przytulia powtórzył za nim, ten wizjoner zgryzoty, mistyfikator rozgoryczenia, a skoro już raz zaczął sobie wmawiać to, co mu było wygodne, więc wszystko stało się dla niego po fakcie jasne; znalazł powód dla swego niezadowolenia. Szkoda, że nie mogłeś słyszeć, czego to nie wymyślał, żeby nasze zbiory stały się bardziej zwarte, bardziej przekonujące. Jak gdyby zyskawszy całkiem nowe spojrzenie, potępiał teraz to, co, jak sam słyszałem, chwalił, żądał wyeksponowania przedmiotów, na które zwykle sam nie zwracał uwagi. Wszystko, co dotarło do nas z porzuconego miasta na furmankach, sankach, statkach, w tobołkach i skrzynkach, a często na własnych plecach i co, zgromadzone ze szczerym oddaniem, świadczyć miało o minionym, zakończonym, zamkniętym życiu, Conny chciał naprawdę na nowo ująć, uporządkować, zestawić, ale przede wszystkim „przetrzebić” ...

Tym razem więc to Conny widział powód do wielkiej segregacji, i to w taki sposób, że można by pomyśleć, iż w naszym muzeum on ma najwięcej do powiedzenia. Przerwałem jego wyroki w trybie doraźnym, gdy przed szklanymi rurkami z ziemią ojczystą zaczął mówić o idiotycznym sentymentalizmie; pomyślałem, że nadeszła pora, by odświeżyć mu w pamięci pewne szczegóły. Przypomniałem mu więc, że to muzeum jest placówką prywatną, przez nas założoną, zbudowaną i urządzoną, i że my, jego twórcy, chcielibyśmy, by służyło ono jednej tylko idei: by ocaliło od zapomnienia świat Łukowca takim, jakim go znaleźliśmy.

Zaskoczony odwrócił się do mnie, na taki sprzeciw nie był przygotowany, w jego głosie, kiedy zwrócił mi uwagę na regularne dotacje, jakie

otrzymywaliśmy od łukowieckiego Heimatverein, nie było wprawdzie ostrości, ale jednak niezadowolenie. Wtedy zaproponowałem im coś, co sam już dawno rozważałem, mianowicie, aby skreślono te dotacje, na co Conny odparł, że w niczym by to nie zmieniło praw własności i rozporządzenia: zbyt wiele zostało wniesione przez innych, wszystkich tych darowizn i depozytów nie można przecież uważać za własność prywatną, a poza tym społeczność mieszkańców Łukowca słusznie przywykła do tego, by traktować muzeum jako dom, który należy do wszystkich. Obecnie jest ono dobrem społecznym, gdybym przypadkiem o tym nie wiedział. A kiedy jeszcze Przytulia dał mi do zrozumienia, że bez zgody rady starszych raczej nie mogę wprowadzać jakichś istotnych zmian, poczułem się jak ów właściciel domu, któremu pewnego poranka oświadczono, że wszystko, z czego czerpał całą swą satysfakcję i uzasadnienie wysiłków, zostało mu niepostrzeżenie wykupione spod nóg. Wydało mi się, że pozbawili mnie czegoś, co nigdy by nie powstało, gdybym ja nie postawił sobie takiego zadania.

A więc porządkować i oddzielać – wszystko chcieli organizować na nowo, stosownie do swych najnowszych potrzeb – co mi jeszcze pozostało? Na co mi jeszcze raczą pozwolić? Przy terkotliwym odgłosie silników wracających do portu kutrów łowiących śledzie pojawiły się znów wątpliwości: Źle ich rozumiałeś, zbyt ostro interpretujesz ich słowa, wkrótce się okaże, że powodowało nimi tylko rozczarowanie, a Conny przyjdzie do ciebie i poklepując cię po ramieniu odwoła to wszystko, co cię w tej chwili wprawia w taką bezradność.

Ale to jednak Conny był tym, który uważał, że nie powiedział jeszcze wszystkiego. Conny, który uznał za konieczne ostrzec mnie na swój sposób, wprowadzając do gry gazetę, swego „Gońca Łukowieckiego”. Chciał wiedzieć, skąd będziemy brali zwiedzających, jeśli on, Conny, nie zapewni muzeum regularnego zainteresowania, i co się stanie, jeśli wezwie swych czytelników, aby odcięli się od muzeum, bo po prostu nie reprezentuje już ono dzisiejszych interesów Łukowca? Gdzież to my się podziejemy, kiedy rada starszych przyłączy się do tej opinii i ogłosi ją na najbliższym spotkaniu łukowieckich ziomków?

Przemawiał do mnie z innej sali, nie słyszałem kroków jego ani Przytulii, obydwaj trzymali się w konspiracyjnej bliskości, tak, przypuszczalnie zabierali się już do roboty, porozumiewając się wzrokiem, tu i ówdzie dokonując już wstępnego wyboru. Zostawiłem ich samych. Zrezygnowałem z pożegnania.

Zapadł wieczór, a ja szedłem wzdłuż poszarpanej krawędzi stromego wybrzeża, w kierunku morza, doszedłem aż do chaty rybaka łowiącego więcierzem, który w swej ciężkiej, smołowanej łodzi pierwszy podniósł rękę na powitanie, kiedy tu wylądowaliśmy. Rybak zmarł parę lat temu, w dole nad wodą stała jeszcze jego chata, a przynajmniej jej szczątki, które oparły się wiatrom i chłodom, nie wydały się też dostatecznie przydatne rabusiom. Wszedłem w pozbawione okien mury, drzwi były wyrwane z zawiasów, stary piec z lanego żelaza stał jak szare, wypchane zwierzę na swych wygiętych nogach, pachniało gliniastym kurzem, biedą i skromnością. Z kąta doleciał gdaczący, ostrzegawczy dźwięk, jakaś duża mewa znalazła tam sobie schronienie: jedno jej skrzydło wlokło się po ziemi, obserwowała mnie z rozdziawionym dziobem, a z jej różowej gardzieli nadal dobywały się ku mnie ostrzegawcze dźwięki. Wyciągnąłem do niej kij, wgryzła się w niego, łatwo dała się wyciągnąć na plażę, gdzie puściła kij i powiosłowała w kierunku wody, a odszedłszy kawałek, zaczęła się czyścić.

Usiadłem na progu. Nie podjąłem żadnej decyzji. Z oddali słyszałem, jak nasze uczennice z tkalni żegnały się wesoło ze sobą, ich okrzyki niosły się daleko w nieruchomym powietrzu.

Musisz wiedzieć, że siedziałem tak tamtego wieczora, aż zapadły ciemności, a potem nie podniosłem się po prostu dlatego, że od strony Egenlundu, przy bezustannym chrobocie kamyków i skałek, zbliżały się powolne kroki; nadchodził Simon Gayko. Nie szukał mnie, nie zdziwił się też, że mnie tu zastał, podszedł po kamienistej plaży, wzdychając siadł obok mnie i zapalił swą połataną fajkę: – Tak, Siechmuntche; tak, Simon.

Wiedziałem, czego chciał; jak tylko Simon siadł koło mnie z tą swoją bośniacką cierpliwością, wiedziałem, o co mu chodzi, i mówiąc szczerze,

nie potrzebowałem szczególnego wysiłku, by to znieść: mam na myśli jego potrzebę sortowania wspomnień, przywoływania cieni i nocnych zjaw, wskrzeszania dawno minionych przeżyć, gdyż z czasem zauważyłem, że nazbyt chętnie podążam za nim. Nie przygotowywał się do tej analizy pamięci, spytał po prostu: – Pamiętasz jeszcze ten stateczek awizo „Hohenzollern” i jak mi go roztrzaskaliście? – Jasne, że pamiętam. – A te wielkie regaty na lodzie, z Heinim Hauserem, gdy przy moście zdarzył się wypadek; to też jeszcze pamiętasz? – Jasne, że pamiętam, Simon. – A raz na tratwach, jak się dostałeś pod pnie i myślałem, że już koniec z tobą? – Za to Sonja Turk tam była; wyciągnęła mnie na łąkę, gdzie suszyła wełnę. – Spytał: – Jak myślisz, czy wtedy wszystko było lepiej – i zanim jeszcze zdążyłem odpowiedzieć, sam zdecydował: – Lepiej to może nie, ale przyjemniej.

Milczał chwilę, mogłeś czuć, jak obracał zatrzymane w pamięci obrazy i układał sobie nazwy, jak wiązał, wykopywał i kleił, a potem, niby obowiązkowe ćwiczenie, wyliczył ciągle te same nazwiska, zawsze w tej samej kolejności: Henseleit, co też się mogło z nim stać? Eugen Lawrenz, gdzie on też może leżeć? Heini Hauser, jak też się temu ułożyło? Dudej, co też mogło po nim pozostać?

Nie, żeby oczekiwał ode mnie informacji czy choćby tylko przypuszczeń; wystarczyło mu w zupełności, że wspominał niepewność losów, które wiązały się z tymi nazwiskami. Ach, utracony świat, utracony czas. Z pomarszczonego dna rzeki Schlei podniosły się i pękały pęcherzyki, wodne ptaki skrzeczały, szumiąc skrzydłami, zanim wylądowały z sykiem na plaży. A potem Simon zapytał: – Łukowiec, Siechmunt, jakbyś mógł wrócić do Łukowca, na przykład jutro, tobyś pojechał? – A ja powiedziałem: – Nie wiem, Simon, naprawdę tego nie wiem.

Nastąpiła cisza pełna przerażenia, Simon przestał ssać swą słabo tłącą się fajkę, odsunął się ode mnie i jednocześnie zbliżył twarz, pragnąc pochwycić mój wzrok – nie byłby bardziej przerażony, gdybym mu wyznał, że cierpię na nieuleczalną chorobę. Cicho, z protestem w głosie powiedział: – Ale my przecież musimy wrócić, Zygmunt, musimy, bo wszystko tam na nas czeka: drzewa i jeziora, i góra zamkowa, i pola, i

stara rzeka, co niesie tratwy. – Nie, Simon, powiedziałem, nikt tam już na nas nie czeka w Łukowcu, ci, którzy by mogli na nas czekać – tych już nie ma. Żadnego dźwięku, który by cię wspomniał, żadnej twarzy, która by się rozjaśniła na twój widok, żadnej ręki, która by odnowiła nieuniknione związki – bo tamtych nie ma, zaginęli i pogrążyli się w mroku, dlatego chwila, na którą czekasz, nie nadejdzie.

Simon dźwignął się, oparty o framugę, i stał przez chwilę jak odurzony, a potem bez słowa odszedł po kamienistej plaży, nader wzburzony, jak sędzę, łamiąc sobie głowę nad odwołalnością i ograniczoną trwałością naszych zasad. Grzechotanie kamyków, trącanych jego stopą, stawało się coraz cichsze. Wiem, dzisiaj wiem, co musiało dla niego znaczyć moje wyznanie: usunąłem mu grunt spod nóg.

Może to właśnie, Martinie, było ukrytym powodem, dla którego wtajemniczyłem jedynie jego, kiedy pozostało mi już tylko to jedno: zniszczyć nasze muzeum; być może sądziłem, że Simonowi więcej jestem winien niż wszystkim innym.

Nie, nie tego samego wieczoru, to się stało kilka dni później.

A po co? Jeśli o mnie chodzi, to nie, nie musimy robić żadnej przerwy, z czasem czuję nawet, że mogę stawić czoła przeszłości – a przynajmniej nauczyłem się ją znosić – możesz być o to zupełnie spokojny. A gdybyś chciał się czegoś napić, to jest sok, zimna herbata – widzisz, pragnienie, to dręczące pragnienie z pierwszych dni, ustąpiło...

Stało się to więc w namiocie, w wielokrotnie łątanym namiocie, w którym mieszkańcy Łukowca zebrali się na swe doroczne spotkanie ziomkowskie. My z Egenlund byliśmy tam wszyscy, oprócz Bernharda, który wyruszył autostopem do Pompei. Siedzieliśmy przy długachnych stołach, umacniających poczucie wspólnoty, z ogromnymi kuflami piwa w zasięgu ręki, i przysłuchiwaliśmy się żywym, wywołującym oklaski powitaniom, które wygłaszał Przytulnia jako rzecznik rady starszych. Rada starszych siedziała za stołem na podium, Przytulnia w środku, z mikrofonem. Widzieliśmy, jak się skręcał, żeby wypatrzeć każdego z osobna na ławkach, wymienić go w miarę możliwości z nazwiska, i nie omieszkiał

dodać do wielu nazwisk starego, łukowieckiego adresu, jeśli tylko go znał. Mnie również powitał osobiście, nazywając „naszym zasłużonym Zygmuntem Rogallą, wielkim mistrzem tkactwa z zakola rzeki”, na co ośmuset gości wstało i zaczęło klaskać na moją cześć, dopóki nie pokazałem się im, stanąwszy na ławce.

Największe brawa otrzymał Conny, pierwszy i jedyny honorowy obywatel Łukowca po utracie miasta, ich człowiek, który swym „Gońcem Łukowieckim” otworzył most ku przeszłości, gdzie co dwa tygodnie ukazywał im, czym kiedyś byli i co do nich niegdyś należało. Reschat, choć siedział bezpośrednio przed rzecznikiem, został powitany jako jeden z ostatnich, rzeczowe stwierdzenie jego obecności przyjęte zostało z przyjazną aprobatą. Widziałem, jak się skłonił, trzymając w ręku kółko z kluczami.

Porywy szkwału ożywiły obwisłą ścianę płóciennego namiotu. Płótno puchło, wydymało się, sztywniało, bliskie rozdarcia, albo zwisało oklapłe, uderzając twardo jak przycięte deski, spadające na siebie. Liny nad nami kołysały się, napinały i rozluźniały, a na nich huśtały się duże lampy elektryczne; podskakiwały i bujały się jak dzwony.

Po powitaniu uczciliśmy pamięć zmarłych obywateli Łukowca, na ich cześć powstaliśmy z miejsc, bez poczucia winy, lecz w milczeniu, przez niecałą minutę czciliśmy pamięć zastrzelonych, tych, którzy utonęli, i tych, co zamazli, których tak licznie pozostawiliśmy, wielu z nich nie pogrzebanych, wielu niepokodzonych. Przez tę jedną chwilę byli obecni, wezwani poczuciem obowiązku, i podczas gdy ich wspominaliśmy, słyszeliśmy tylko, jak wiatr buszował w namiocie, morski wiatr, ostry wiatr ze wschodu. Potem zaśpiewaliśmy jeden chorał i Pieśń Mazurów, a kopuła zdawała się lekko unosić, cały namiot zdawał się wznosić w górę i ulatywać ku stronom ojczystym.

Tak, Martinie, tak to było, a podczas przerwy nikt nie pozostał na swoim miejscu; teraz, kiedy już dowiedzieli się, kto tu zjechał, przeciskali się niecierpliwie przez wąskie przejścia, szukając się, machając, nawołując, chcąc odnaleźć kogoś i żeby ich odnaleziono. – Nie może być! – A jednak,

no przecież! – My nie przepychaliśmy się w przejściach, pozostaliśmy przy naszym stoliku, to znaczy oparci o stół znosiliśmy powitania, te wszystkie gwałtowne, wzruszone, niekiedy rozpaczliwe powitania: – Że też jeszcze żyjesz, Zygmunt! – No cóż, co mam robić.

No tak, i naraz stanął przed nami Conny, objął nas wszystkich, nawet przycisnął Henrike do piersi – pod znakiem Łukowca wszystko było możliwe; Łukowiec, daleki, legendarny Łukowiec kazał zapomnieć o wszelkich różnicach, byliśmy sprzymierzeńcami, jedną rodziną, zakonem, zakonem nostalgii, sprzymierzeniem chorych z tęsknoty. Conny nieznacznym ruchem odciągnął mnie od mojego towarzystwa i wskazał na wejście do namiotu, gdzie szare płachty poruszały się jak wachlujące uszy słonia; przedostałem się tam i czekałem na niego, bo ciągle go ktoś zatrzymywał. Zostałem wyróżniony wtajemniczeniem na osobności, w cztery oczy – powinienem to docenić. Conny wyjawiał mi, że rada starszych postanowiła zorganizować wybory nowego przewodniczącego łukowieckiego Heimatvereinu, obrotnego, doświadczonego i energicznego: Reschata. Zwrócił się do mnie, gdyż, jak sądził, znał moje zastrzeżenia; prosił mnie, bym zapomniał, co zaszło, i wezwał, bym raz jeden się przemógł – w interesie Łukowca, Zygmunt, naprawdę w interesie nas wszystkich. Conny zabiegał o poparcie dla kandydata.

Już nas wypatrzyli, już zaczęli się cisnąć, już utraciłem Conny'ego na rzecz paru co bardziej niecierpliwych uczestników, którzy poprowadzili go z powrotem na środek namiotu, gdzie wielu jeszcze pragnęło, by ich przywitał, rozpoznał albo dotknął. Wróciłem do naszego stołu, Simon spojrzał tylko raz na mnie i spytał: – Stało się coś? – Nie, Simon, co się miało stać? – Powietrze w namiocie stawało się coraz cięższe, dym papierosowy unosił się aż pod kopułę, rozchodziła się woń drożdży i kminku. Przy stole rady starszych dyskutowano o programie; po kolei przysuwali sobie wydrukowany na niebieskim papierze porządek wieczoru, coś rozważali, niektóre punkty programu umieszczali niżej, inne przesuwali wyżej: sprawozdanie roczne wygrało ze sprawozdaniem kasowym, manifestację wierności połączono w widoczny sposób ze złożeniem wieńców, na korzyść wyborów przesunięto wnioski i

postanowienia; potem Przytulnia ogłosił uchwalone zmiany. Mimo iż mówił do mikrofonu, ledwo mogłem go zrozumieć.

Tak, Martinie, teraz nietrudno już przewidzieć ciąg dalszy; musisz jednakże wiedzieć, że zostałem na miejscu i śledziłem przebieg zebrania, jakkolwiek nie tak uważnie i nie z takim zaangażowaniem jak zwykle; miałem uczucie, że znajduję się na drugim brzegu rzeki, oddzielony od tego, co się tu działo. Kiedy śpiewali, nie przyłączyłem się do nich – Henrike zwróciła mi na to uwagę, dając mi pełnego wyrzutu kuksańca, zapomniałem również podnieść rękę przy kilku ogólnych głosowaniach. Bezbronny wobec minionych chwil, które wryły mi się w pamięć, wobec zatartych obrazów, które gromadziłem mimowolnie w pamięci, a które obecnie z bezlitosną wyrazistością powracały i przesuwają się przed oczami, nie musiałem jednakże zmuszać się do spokoju – gorzki, zdecydowany spokój był już od pewnego czasu odpowiedzią na wszystko, co samorzutnie przywoływała pamięć. Czekałem jeszcze tylko na wybory. Otoczony bliskimi siedziałem sam i czekałem na wybory. Przebiegły one tak, jak spodziewał się Conny, jak życzyła sobie rada starszych; przed ogłoszeniem wyników nie panowało nawet to ogromne napięcie i przygniatająca cisza, pojawiające się jakby automatycznie przed momentem wybawienia od męczącej niepewności; raczej można było zauważyć radosną ciekawość – co chyba przemawia za tym, że od początku nikt nie miał wątpliwości co do wyniku wyborów.

Nowy przewodniczący podniósł się ociężale. Unoszony aplauzem wszedł na ławę i przez chwilę stał jak ogłuszony w migotliwym, mętym świetle, z zamkniętymi oczami. Splótł dłonie w geście podziękowania, dziękował wszystkim wokół, dając do zrozumienia, że nie pozostaje mu nic innego, jak przyjąć wybór. Jeszcze stojąc na ławce przyjmował pierwsze gratulacje. Ludzie gromadzili się wokół niego. Pomagali mu zejść. Zrobili mu przejście w tłumie. Na nowej fali aplauzu zdawał się przychodzić do siebie; uważnie ogarnął spojrzeniem otaczających go obywateli Łukowca, którym zaraz przyrzeknie, że będzie bezinteresownym przewodniczącym; taksował ich wzrokiem, oceniał i nie uszło mojej uwagi, że paru osobom, które nie klaskały, demonstracyjnie proponował uścisk ręki. Wypatrywał, poszukiwał i do dziś myślę, że to ja byłem tym, którego szukał, i że na

uściśnięciu mojej ręki szczególnie mu zależało, ponieważ gdy tylko mnie odkrył, ruszył prosto do naszego stołu. Jak łatwo przyszło mi wytrzymać jego spojrzenie pod łagodnym, piekącym bólem, który poczułem nagle na policzku. Skinął mi z uśmiechem głową i pozostawił Conny'emu rozmowę ze mną; mijał już stolik, nie podawszy mi ręki.

A Conny, honorowy obywatel naszej przeszłości, położył mi rękę na ramieniu, nie tyle po to, aby wszyscy mogli to zobaczyć, ile raczej dlatego, że tym gestem poufałej zażyłości chciał wyrazić swoją satysfakcję z wyniku wyborów. Zapowiedział mi swoją wizytę. On i nowy przewodniczący uzgodnili już, że bezpośrednio po spotkaniu odwiedzą nas w Egenlund; temat rozmowy był już także ustalony: chodziło o to, by wydobyć muzeum z jego niepozornej egzystencji i otworzyć przed nim nowe możliwości – nie przez rozbudowę ani wzbogacenie zbiorów czy zmianę siedziby, lecz dzięki przejściu muzeum przez Heimatverein. – Zaczyna się nowa era – powiedział Conny i odwracając się spytał jeszcze szybko: – Będiesz chyba w domu? – Pewnie, powiedziałem, będziemy wszyscy w domu. – Zniknął, a ja opuściłem namiot.

Zszedłem do pomostu, gdzie przybijała motorówka; wiatr ucichł, sierpniowe znużenie kładło się nad fiordem, nad brzegami, na których usychała trawa. Rybak, wnoszący na pokład skrzynki i bańki, mrugnął do mnie, wystarczyło to za powitanie. Z morza ściągnęli żaglówkę, prawdopodobnie wywróconą przez szkwał; na błyszczącym lakierze kadłuba załamywało się światło. Nie wiadomo dlaczego z pali do cumowania łodzi poderwały się mewy i znowu usiadły. Woda: patrzyłem na wodę, połyskującą jak wytłaczana blacha. W tym momencie po odrapanych pomoście nadszedł Simon Gayko, zbliżył się powoli, usiadł zwlekając ze swym pytaniem, dopóki nie odbiliśmy od brzegu, kierując łódź na środek fiordu: – Coś się stało, Zygmunt, nie? – Tak, powiedziałem, tak, Simon – a potem znowu milczeliśmy i patrzyliśmy na oddalający się w słońcu brzeg, i dopiero kiedy widać już było nasze muzeum w Egenlund, kiedy ukazało się zza czerwonych buków – wysokie, dumne, nieprzemijające – wtedy powiedziałem mu, co postanowiłem.

Nie zaprotestował gwałtownie, nie zaproponował, nie wyraził sprzeciwu, co by było naturalne, jedyne, co usłyszałem od niego, to była cicha, mroczna groźba. – Nie waż się, Zygmunt, ani się waż. – Nie powiedział nic więcej, także kiedy już wysiedliśmy z łodzi. Razem wspieliśmy się wydeptaną ścieżką, na górze nasze drogi rozeszły się. Wszedłem do muzeum. Zamknąłem drzwi. Popatrzyłem na eksponaty tak, jak jeszcze nigdy przedtem na nie nie patrzyłem. Rozpocząłem przygotowania do nadchodzącego dnia...

Tak, Martinie, pierwsze przygotowania; czyniłem je z rozmysłem i spokojną pewnością, że nie pozostało mi już nic innego, jak tylko zrobić użytek z mojego ostatniego prawa, gruntownie, zanim stanie się to, czego nie mogłem już tolerować i brać na siebie. Znosząc farbowane resztki wełny, taszcząc tu i tam kanister z benzyną, którego zawartość miała nasączyć przedzę, zanim w końcu schowałem go pod strojami, wybierając już miejsca, gdzie miały wybuchnąć pierwsze płomienie, i odpierając tysiące pokus, by to czy tamto w ostatniej chwili przemyścić na bok, miałem tylko jedno pragnienie – przenieść wszystkich świadków naszej przeszłości w bezpieczne miejsce, zapewnić im ostateczne, nieodwołalne bezpieczeństwo, skąd wprawdzie nigdy więcej się nie ukażą, ale też gdzie nikt już nie będzie mógł nimi zawładnąć, by przemówiły dla niego.

Ręce mi drżały, twarz płonęła; również w nocy czułem, jakby pierś ścisnęła mi jakąś twarda obręcz – owej nocy, podczas której dwa razy wstawałem i szedłem do muzeum, po to tylko, żeby się upewnić, iż przygotowania naprawdę zostały poczynione i że to wszystko nie jest snem.

Strzeżone znaleziska rozsypały się, ślady zostały zatarte. Przeszłość odzyskała to, co do niej należy, a co nam tylko na krótko wypożyczyła. Ale pamięć już znowu się budzi, już szuka i zbiera wspomnienia w niepewnej ciszy ziemi niczyjej.